

ODEBRAŁA ŻYCIE,  
W ZAMIAN MUSI  
ODDAĆ SERCE

# DWOR i RÓŻ

SARAH J. MAAS



*Dla Josha.*

*Za to, że poszedłby dla mnie pod Górę.*

*Kocham Cię.*



# Rozdział 1

Las przeistoczył się w labirynt śniegu i lodu.

Już od godziny wpatrywałam się w leśną gęstwinę. Przyczałam się w zagięciu grubej gałęzi, ale bez skutku: porywisty wiatr zasypał moje ślady gęstym śniegiem, ale jednocześnie ukrył przede mną wszystkie tropy potencjalnej zdobyczy.

Tym razem głód zagnał mnie od domu dalej, niż zwykle ważyłam się zapuszczać, ale ta zima była wyjątkowo ciężka. Zwierzęta nie podchodziły w okolice ludzkich sadyb, trzymały się bliżej matecznika, gdzie nie byłam w stanie dotrzeć. Mogłam polować tylko na nieliczne zbłąkane sztuki. I modlić się, aby starczyło ich do wiosny.

Nie starczyło.

Przetarłam oczy zdrętwiałymi palcami, strzepując płatki śniegu z rzęs. W zasięgu wzroku nie było ani jednego drzewa odartego z kory przez jelenie, co znaczyło, że jeszcze są w okolicy. Stado wędruje dopiero po оголоczeniu wszystkich drzew. Wtedy rusza na północ, przez tereny łowieckie wilków, może aż na zaczarowane ziemie Prythianu, gdzie nie zapuściłby się żaden śmiertelnik ceniący swoje życie.

Na samą myśl o tej krainie przeszył mnie zimny dreszcz. Odsunęłam od siebie nieprzyjemne myśli i ponownie skoncentrowałam się na otaczającym mnie lesie i na polowaniu. Od wielu lat mogłam robić tylko tyle: walczyć o przeżycie najbliższego tygodnia, dnia, następnej godziny. Teraz, przy syjącym nieustannie śniegu, wypatrzenie jakiegokolwiek zwierzęcia graniczyło z niemożliwością – zwłaszcza że siedziałam na drzewie, a widoczność nie przekraczała piętnastu stóp. Zdjęłam cięciwę z łuku, tłumiąc jęk bólu, kiedy zdrętwiałe mięśnie kończyn przypomniały o sobie, i zsunęłam się z gałęzi na ziemię.

Zmarznięty śnieg chrząścił pod moimi rozpadającymi się butami. Z wściekłością zgrzytnęłam zębami. Nie dość, że sama niewiele widziałam, to jeszcze robiłam niepotrzebny hałas. Jak tak dalej pójdzie, kolejny raz wrócę do domu z pustymi rękami.

Do zachodu słońca pozostało zaledwie kilka godzin. Jeśli nie zacznę wkrótce wracać, ostatnie mile będę zmuszona pokonać po ciemku, co mi się wcale nie uśmiechało. Pamiętałam dobrze ostrzeżenia słyszane od innych myśliwych, ostrzeżenia przed wielkimi wilkami krążącymi po lesie. Całymi stadami wielkich wilków. Do tego jeszcze szeptano po kątach o dziwnych przybyszach kręcących się w okolicy. Wysokich, niepokojąco dziwnych i śmiertelnie groźnych.

„Wszystko, tylko nie czarowny lud” – modlili się myśliwi do naszych dawno zapomnianych bogów. A ja potajemnie przyłączałam się do tych modlitw. Przez osiem lat od naszego przybycia do tej osady, leżącej ledwie dwa dni drogi od granicy nieśmiertelnych ziem Prythianu, szczęśliwie nie nastąpił ani jeden atak. Wędrowni kramarze czasem przynosili opowieści o odległych miastach położonych bliżej granicy, po których zostawały nadpalone drzazgi, popiół i białe kości. Niegdyś takie opowieści słyszało się na tyle rzadko, że starszyzna wioski lekceważyła je i nazywała zwykłymi plotkami. Jednak w ostatnich miesiącach nie było dnia, żeby na targu ktoś nie wspomniał o tym strwożonym szeptem.

Wiele ryzykowałam, zapuszczając się tak daleko w las, ale wczoraj zjedliśmy ostatni bochenek chleba, a zapasy suszonego mięsa skończyły się dzień wcześniej. Niemniej jednak wolałabym spędzić kolejną noc z bolesną pustką w żołądku, niż dokonać żywota jako zdobycz wilków. Albo czarodziejskich istot.

Nie żeby można się było mną porządnie najeść. Wychudłam tak bardzo, że mogłabym policzyć większość swoich zeber.

Sunęłam między drzewami tak zwinnie i tak cicho, jak tylko zdołałam. Przycisnęłam dłoń

do pustego, obolałego brzucha, aby stłumić głośne burczenie. Oczyma duszy już widziałam wyraz twarzy moich dwóch starszych siostr, gdybym ponownie wróciła do domu bez zdobyczy.

Po kilku minutach ostrożnych poszukiwań przykucnęłam przy kępie okrytych śniegiem jeżyn. Między ich kolczastymi pędami miałam całkiem dobry widok na polanę przeciętą wąskim, leniwym potokiem. Szereg dziur wybitych w lodzie wskazywał, że jakieś zwierzęta niedawno korzystały z wodopoju. Jeśli będę miała szczęście, może wkrótce przyjdzie kolejne. Jeśli będę miała szczęście.

Westchnęłam cicho, wbiłam jeden koniec łuku w śnieg i oparłam czoło o wygięte drewno. Bez jedzenia nie przetrwamy kolejnego tygodnia, a zbyt wiele rodzin poszło już na żebry, abym miała szansę wyprosić coś od bogatszych mieszkańców osady. Widziałam na własne oczy, jak wygląda ich szczodrość.

Usadowiłam się wygodniej i uspokoiłam oddech. Wytężyłam słuch, usiłując wyłowić odgłosy lasu wśród zawodzącego wiatru. Chmury nieprzerwanie sypały płatkami śniegu, które wirowały i tańczyły niczym lśniący pył, po czym okrywały brudnoszary świat świeżą bielą. Wbrew sobie, zapominając na chwilę o zdrętwiałych kończynach, wyciszyłam natarczywe i porywcze myśli, aby napawać się widokiem okrytego śnieżnym całunem lasu.

Niegdyś lubiłam sycić wzrok kontrastem soczystej zieleni młodej trawy na tle ciemnej, nierównej ziemi; albo ametystową broszą spinającą fałdy szmaragdowego jedwabiu. Niegdyś śniłam o kolorach, kształtach i grze światła i żyłam nimi. Czasem nawet posuwałam się do wyobrażania sobie dnia, w którym obie moje siostry wyjdą już za mąż i zostaną sama z ojcem. Mielibyśmy dość jedzenia, by nie obawiać się głodu, dość pieniędzy, aby kupić trochę farby, a nawet dość czasu, aby te wszystkie kolory i kształty nanieść na papier, płótno czy choćby ściany naszej chaty.

Niestety, nic nie zapowiadało, aby ten sen miał się wkrótce ziścić. Może nawet nigdy do tego nie dojdzie. Zostały mi więc chwile takie jak ta – kiedy mogłam podziwiać rozbłyски bładych promieni zimowego słońca na świeżym śniegu. Nie pamiętałam, kiedy ostatni raz to robiłam – kiedy poprzednio zwróciłam uwagę na cokolwiek ładnego czy chociaż ciekawego.

Skradzione światu godziny spędzone z Izaakiem Halem w rozpadającej się stodole nie miały znaczenia. Moje życie wypełniały głód, pustka, czasem wręcz okrucieństwo, ale nie było w nim nic ładnego.

Wichura uspokoiła się i wycie wiatru przeszło w ciche westchnienie. Śnieg padał leniwie, gromadząc się obficie w zgięciach gałęzi drzew. Hipnotyzujące, śmiertelnie groźne, łagodne piękno śniegu. Wkrótce będę musiała wrócić do zamrożonego błota okolicznych dróg, do ciasnego ciepła naszej chaty. Jakaś mała, rozbita na drobne kawałki część mnie wzдрыgnęła się na tę myśl.

Wtem z krzaków po drugiej stronie polany dobiegł szelest.

Instynktownie nałożyłam cięciwę na łuk i wyjrzałam na polanę między kolczastymi pędami jeżyn. Oddech zamarł mi w piersi.

Niespełna trzydzieści kroków ode mnie stała niewielka łania. Jeszcze niezbyt wychudzona, ale już na tyle głodna, aby ryzykować obgryzanie kory z drzew na polanie.

Mięsa z takiej zdobyczy starczyłoby dla całej naszej rodziny na cały tydzień. Jeśli nie lepiej.

Ślina naciekła mi do ust. Cicho, nie głośniejszy od szeptu wiatru wśród suchych liści, napięłam łuk i wycelowałam.

Nieświadoma czającej się kilkadziesiąt stóp od niej śmierci łania spokojnie odrywała kolejne płaty kory i powoli je przeżuwała.

Połowę mięsa mogłabym ususzyć, a resztę moglibyśmy od razu przerobić na... gulasz,

pasztety... Skórę mogłabym sprzedać albo może uszyć z niej ubrania. Ja potrzebowałam nowych butów, a Elaine także przydałby się nowy płaszcz. Co do Nesty – ona zwykle pragnęła wszystkiego, co miał ktoś inny.

Dłoń mi zadrżała. Tyle jedzenia. Taka ulga. Wzięłam głęboki oddech i poprawiłam cel.

Wtedy dostrzegłam parę złotych oczu lśniąca w krzakach nieopodal mnie.

Las momentalnie ucichł, wiatr zamilkł. Zdawało się, że nawet śnieg przestał padać.

My, śmiertelnicy, nie oddawaliśmy już czci żadnemu bóstwu. Ale jeśli potrafiłabym przypomnieć sobie ich zapomniane imiona, w tej chwili zaczęłabym się gorliwie modlić. Do nich wszystkich. Ukryty w gęstwinie wilk zrobił bezszelestny krok naprzód, nie spuszczać wzroku z nieświadomej niczego łani.

Był ogromny, w kłębie dorównałby kucowi. Chociaż przecież inni myśliwi ostrzegali mnie, że jego pobratymcy krążą po lesie, ze strachu momentalnie zaschło mi w ustach.

Przerażał nie tyle rozmiar drapieznika, ile nienaturalna wręcz bezszelestność jego ruchów. Przesuwał się przez gęste krzaki, nie powodując najmniejszego szmeru, najdrobniejszym dźwiękiem nie alarmując pożywiającej się na polanie łani. Żadne zwierzę tej wielkości nie mogło poruszać się tak cicho. A jeśli nie było to zwykle zwierzę, jeśli ten basior pochodził z Prythianu, jeśli jakimś zrzędzeniem losu należał do czarodziejskich istot, to obawa przed pożarciem była w tej chwili moim najmniejszym zmartwieniem.

Jeśli to jeden z zamieszkujących Prythian fae... powinnam już biec ile tylko sił w nogach.

Ale może... może oddałabym przysługę światu, mojej osadzie, sobie samej, gdybym zabiła tego stwora, póki jeszcze mnie nie zauważył? Bez trudu mogłabym posłać strzałę prosto w jego oko.

Niemniej jednak pomimo swoich rozmiarów wyglądał jak wilk i poruszał się jak wilk. „To tylko zwierzę – uspokajałam samą siebie. – Zwyczajne zwierzę”. Nie pozwoliłam sobie nawet rozważyć alternatywy – nie teraz, kiedy potrzebowałam spokojnej głowy i równego oddechu.

Miałam przy sobie nóż myśliwski i trzy strzały. Dwie z nich były najzwyczajniejsze w świecie – proste i skuteczne. Na wilku tej wielkości nie zrobiłyby pewnie większego wrażenia. Ale moja trzecia strzała, dłuższa i cięższa od dwóch pozostałych... Kupiłam ją od wędrownego handlarza latem, kiedy dysponowałam kilkoma miedziakami na zbytki. Wystrugano ją z jesionu i opatrzono żelaznym grotem.

Z piosnek śpiewanych dzieciom w kołyskach wszyscy wiedzieliśmy od małego, że czarodziejskie istoty nienawidzą żelaza. A jesionowe drewno zakłócało magiczne zdolności samoleczenia, które czyniły je nieśmiertelnymi, na wystarczająco długo, aby człowiek mógł zadać śmiertelny cios. Tak przynajmniej wynikało ze starych podań. Za skutecznością jesionu przemawiała jego rzadkość. Znałam te drzewa jedynie ze starych rysunków. Mało kto widział choć jedno żywe, odkąd fae wysokiego rodu spalili je wszystkie całe wieki temu. Zostało ich kilka, w większości skarłałych i schorowanych, ukrytych przez możnowładztwo w otoczonych wysokimi murami prywatnych gajach. Przez wiele tygodni po zakupie strzały zastanawiałam się, czy przypadkiem nie przepłaciłam za ten niemiłosiernie drogi kawałek drewna albo czy to wręcz nie jest jakaś fałszywka. Przez trzy lata jesionowa strzała tkwiła beczynn timer w kołczanie.

Teraz wyciągnęłam ją, unikając zbędnych ruchów, usiłując nie potrącić najmniejszej gałązki, żeby tylko ten olbrzymi wilk mnie nie zauważył. Strzała była wystarczająco długa i ciężka, żeby zranić – a może nawet zabić – basiora, jeśli tylko dobrze wyceluję.

Strach ścisnął mi serce tak mocno, że odczuwałam wręcz fizyczny ból. W tej chwili dotarło do mnie, że moje przeżycie zależało od odpowiedzi na jedno bardzo ważne pytanie: „Czy ten wilk jest sam?”.

Chwyciłam mocniej rękojeść łuku i napięłam mocno cięciwę. Byłam dobrą łuczniczką, ale nigdy dotąd nie przyszło mi stanąć oko w oko z wilkiem. Uważałam to za łut szczęścia, wręcz za błogosławieństwo. Ale teraz... Teraz nie wiedziałam, w co celować ani jak szybko mój przeciwnik potrafi się poruszać. Nie mogłam sobie pozwolić na chybienie. Nie, skoro dysponowałam tylko jedną jesionową strzałą.

A jeśli pod tym grubym futrem istotnie było serce fae... Dostanie to, na co zasłużył. To, na co zasłużyła sobie cała jego rasa tym, co nam zrobili. Nie chciałam ryzykować, że ten basior któregoś nocy zakradnie się do naszej osady, aby mordować, okaleczać i dręczyć. Lepiej niech zginie tu i teraz. Z przyjemnością zakończę jego życie.

Gdy wilk uczynił jeszcze jeden krok, pod jego masywną łapą – grubszą od mojego ramienia – trzasnęła sucha gałązka. Łania zastygła i rozejrzała się na wszystkie strony, strzygąc czujnie uszami. Wilk krył się w gęstwinie po zawietrznej stronie polany, nie mogła więc go dostrzec ani wywęszyć.

Basior opuścił łeb i sprężył do skoku swoje olbrzymie cielsko pokryte srebrzystym futrem, doskonale wtapiającym się w zalegający śnieg i rzucane przez drzewa cienie. Łania wciąż spoglądała w niewłaściwym kierunku.

Wodziłam wzrokiem od łani do wilka i z powrotem. Przynajmniej był sam – tyle dobrego. Ale jeżeli spłoszy moją namierzoną zdobycz, zostanie mi wygłodniały, przerośnięty wilk – do tego prawdopodobnie czarodziejski – szukający czegoś na ząb. A jeśli zabije łanię, jeśli zniszczy cenną skórę i zapasy sadła...

Jedna błędna decyzja i nie tylko ja zginę. Ale przez ostatnie osiem lat polowań w lesie całe moje życie sprowadzało się do konieczności podejmowania ryzyka. I zazwyczaj wybierałam dobrze. Zazwyczaj.

Wilki wystrzelili z krzaków i pomknęli w stronę łani. Był tak szybki, że jego futro przypominało rozmytą smugę szarości, bieli i czerni. Żółte kły lśniły złowieszczo w promieniach chylącego się powoli ku zachodowi słońca. Na otwartym terenie wydawał się jeszcze większy. Góra potężnych mięśni, szybkie łapy – brutalna pierwotna siła. Łania nie miała najmniejszej szansy na przeżycie.

Puściłam cięciwę, zanim zdołał uczynić zbyt wielkie szkody.

Strzała trafiła go w bok. Przysięgłabym, że w tym samym momencie zadrżała cała ziemia. Zaskowyczał z bólu i puścił szyję łani. Ze świeżej rany trysnęła na śnieg jasnoczerwona krew.

Zwrócił się w moją stronę, najeżył sierść i spojrzał na mnie rozszerzonymi, żółtymi ślepiami. Wydobywający się z jego gardła głuchy warkot wibrował w moim pustym żołądku. Zerwałam się na równe nogi, otoczona chmurą strąconego z pędów jeżyn śniegu, i nałożyłam kolejną strzałę na cięciwę.

Ale wilk tylko spojrzał na mnie znad umazanej krwią paszczy. Stercząca z jego boku jesionowa strzała wydawała się wręcz nie na miejscu. Śnieg ponownie zaczął padać. Wilk *spojrzał* na mnie świadomie, ze zdziwieniem. Wystrzeliłam drugą strzałę. Na wypadek, gdyby inteligencja, którą dostrzegłam w jego oczach, była z gatunku tych nieśmiertelnych i okrutnych.

Nie próbował nawet uniknąć strzały i ta wbiła się gładko w wybałuszone, żółte oko.

Basior osunął się na śnieg.

Barwy i ciemność zawirowały, rozmazując świat przede mną, mieszając się z wirującymi płatkami.

Łapy wilka dygotały. Ponad szum wiatru przebił się cichy skowyt. To było niemożliwe. Powinien już być martwy, a nie wciąż konać. Strzała wbiła się w jego oczodół niemal po same pióra.

Nawet jeśli nie był to zwykły wilk, nie miało to już znaczenia. Nie z jesionową strzałą

wbitą głęboko w bok. Nawet jeśli jest to jedna z czarodziejskich istot, wkrótce skona. Pomimo to ręce mi drżały, gdy strzepałam z siebie śnieg i ostrożnie podeszłam bliżej, starając się zachować bezpieczną odległość. Z zadanych przeze mnie ran buchała krew, plamiąc szkarłatem świeży śnieg.

Basior bił łapami wkoło, ale coraz słabiej. Chrapliwe dyszenie stawało się coraz wolniejsze. Czy bardzo cierpiał? Czy też tylko próbował w akcie desperacji odegnąć śmierć? Nie miałam pewności, czy tak naprawdę chcę to wiedzieć.

Śnieg zawirował wokół nas. Wpatrywałam się w zwierzę dopóty, dopóki srebrzystoszare futro przestało się unosić i opadać. Wilk. Zdecydowanie zwykły wilk, chociaż olbrzymi.

Ucisk w piersi nieco zelżał i pozwoliłam sobie na wypuszczenie powietrza z płuc w długim westchnieniu. Para z oddechu na chwilę przesłoniła mi całą scenę. Przynajmniej jesionowa strzała dowiodła swojej skuteczności. Niezależnie od tego, co tak właściwie powaliła.

Po szybkich oględzinach łani doszłam do wniosku, że dam radę nieść tylko jedno zwierzę – do tego z trudem. Ale szkoda mi było tak po prostu zostawić tego wilka.

Chociaż kosztowało mnie to sporo cennych minut, podczas których na polanę mógł zawędrować jakiś drapieżnik zwabiony wonią świeżej krwi, zdarłam z niego skórę i oczyściłam strzały najlepiej, jak potrafiłam.

Cóż, przynajmniej ogrzałam przy tym dłonie. Owinęłam futro krwawą stroną wokół szarpanej rany na szyi łani i zarzuciłam sobie zdobycz na ramiona. Miałam do przejścia kilka mil, a nie chciałam pozostawić za sobą krwawego śladu, który doprowadziłby do naszej chaty wszystkie okoliczne zwierzęta o ostrych kłach i pazurach.

Jęknęłam pod ciężarem, chwyciłam mocno nogi łani i rzuciłam ostatnie spojrzenie na parujące truchło wilka. Ocalałe złote oko wpatrywało się nieruchomo w zasnuwane chmurami niebo. Zrobiło mi się przez chwilę żal, że nie potrafię wykrzesać z siebie ani odrobiny współczucia.

Ale to był las, a do tego sroga zima.



## Rozdział 2

Gdy w końcu wyszłam z lasu, kolana dygotały mi z wysiłku. Kurczowo zaciskane na nogach łąni dłonie zeszywniały i zdrętwiały już dawno temu. Niknące ciepło martwego zwierzęcia na moich barkach przegrywało walkę z coraz silniejszym mrozem.

Świat wokół mnie zalewały coraz głębsze cienie, przecinane tylko gdzieniegdzie smugami ciepłego światła, sączącego się przez szpary między okiennicami naszej mizernej chaty. Mój marsz przypominał przedzieranie się przez żywy obraz – ulotna chwila bezruchu, błękit powoli przechodzący przez głęboki granat w atramentową ciemność.

Już tylko niemal obezwładniający głód mobilizował mnie do stawiania kolejnych kroków. W miarę zbliżania się do drzwi dobiegały mnie coraz wyraźniejsze głosy moich sióstr. Nie musiałam się nawet wsłuchiwać w ich paplaninę, żeby wiedzieć, o czym mówią. Na pewno szczebiotały na temat jakiegoś młodzieńca albo wstążek, które widziały w wiosce, w czasie kiedy powinny były rąbać drewno na opał. Pomimo to przywołałam uśmiech na twarz.

Obtupałam śnieg z butów na kamiennym przedprożu. Od szarego stopnia odpadło kilka kawałków lodu, odsłaniając wyblakłe znaki przeciw złemu. Ojciec przekonał kiedyś przechodzącego przez wieś szarlatana, aby wyrysował znaki mające chronić przed czarami w zamian za jedną ze swoich drewnianych figurek. Ojciec tak rzadko mógł coś dla nas zrobić, że nie miałam serca powiedzieć mu, iż znaki uczynione przez tamtego człowieka są bezużyteczne... Śmiertelnicy nie potrafili władać magią. Nie mieli nadludzkiej siły ani szybkości fae wysokiego rodu czy innych magicznych istot. Tak czy inaczej mężczyzna twierdzący, że w jego żyłach płynie krew dawnych władców czarodziejskich istot, wrył różne zawijasy i runy wokół okien oraz drzwi, wymamrotał kilka pozbawionych sensu słów i poszedł swoją drogą.

Otworzyłam drewniane drzwi, parząc boleśnie skórę dłoni o lodowatą żelazną klamkę, i wślizgnęłam się do środka. Ciepłe wnętrze wydawało się niemal gorące, a jasne światło na chwilę mnie oślepiło.

– Feyra! – moich uszu dobiegł przyciszony szept Elainy.

Zamrugałam, usiłując odzyskać ostrość widzenia. Jasne rozmazane plamy stopniowo ułożyły się w sylwetkę mojej starszej siostry. Chociaż zawinęła się w podniszczony koc, jej włosy w kolorze starego złota – takim samym u całej naszej trójki – były nienagannie upięte. Osiem lat życia w ubóstwie nie zabiło w niej nawyku dbania o swój wygląd.

– Gdzie to znalazłaś? – Gnębiący nas wszystkich głód sprawił, że jej słowa zabrzmiały ostro. Rzecz aż nazbyt powszednia w ostatnich tygodniach.

Ani słowa o zaschniętej krwi na moim ubraniu. Już dawno porzuciłam nadzieję, że moje siostry zaczną dostrzegać, czy wracam do nich wieczorem z wyprawy do lasu. Oczywiście sprawy stały inaczej, gdy ponownie dopadał je głód. Z drugiej strony *im* matka nie kazała nic przysięgać, gdy stały przy jej łożu śmierci.

Wzięłam głęboki oddech, aby nie dać się ponieść nerwom, i zrzuciłam łąnię z barków. Upadła na blat stołu z głuchym stukiem, niemal zrzucając stojący na brzegu gliniany kubek.

– A jak myślisz? – Głos miałam całkiem zachrypnięty, a każde wypowiedane słowo paliło mi gardło.

Ojciec i Nesta w milczeniu ogrzewali dłonie przy palenisku. Moja najstarsza siostra całkowicie go ignorowała. Jak zwykle. Zdarłam skórę wilka z szyi łąni, zzułam buty, postawiłam je obok drzwi i dopiero wtedy spojrzałam na Elainę.

Jej brązowe oczy – takie jak u ojca – były cały czas utkwione w martwym zwierzęciu.

– Długo ci zajmie czyszczenie?

Mnie. Nie jej, nie naszej siostrze. Mnie. Nie widziałam, żeby kiedykolwiek ubrudziły sobie ręce krwią czy łojem. Nauczyłam się oprawiać zwierzynę tylko dzięki poradom innych myśliwych.

Elaina przycisnęła rękę do brzucha, zapewne równie pustego i obolałego co mój. Ale ona nie była okrutna. Nie była taka jak Nesta, która urodziła się z kpiącym grymasem na twarzy. Elaina czasem po prostu... Nie rozumiała pewnych rzeczy. Nie ze złej woli nie proponowała mi pomocy. Zwyczajnie nigdy nie przyszło jej do głowy, że mogłaby ubrudzić sobie ręce. Nie mogłam nigdy dojść, czy ona naprawdę nie rozumiała, że jesteśmy bardzo biedni, czy też raczej odmawiała przyjęcia tego do wiadomości. Ale mimo to wciąż kupowałam dla niej nasiona, aby mogła zajmować się w cieplejsze miesiące swoim kwietnikiem – kiedy tylko było mnie na to stać.

Ona zresztą też kupiła mi kiedyś trzy małe puszki farby – czerwonej, żółtej i niebieskiej. To było w tym samym roku, kiedy ja wysupłałam niemały grosz na jesionową strzałę. To był jedyny prezent, jaki kiedykolwiek od niej dostałam. Ściany naszej chaty wciąż zdobiły pamiątki po nim – chociaż farba zdążyła już wyblaknąć, a w wielu miejscach się złuszczyła – drobne pnącza i kwiaty wokół okien, na belkach, na krawędziach sprzętów. Małe płomyki na kamieniach okalających palenisko. Tamtego łaskawego dla nas lata każdą wolną chwilę poświęcałam na zdobienie naszego domu kolorami. Czasem sprytnie ukrywałam dekoracje we wnętrzach szuflad, za dziurawymi zasłonami, pod krzesłami czy pod stołem.

Od tamtego czasu nie mieliśmy tak dobrego roku.

– Feyro – od strony ognia dobiegł głęboki bas ojca. Jego gładką, tak jak i u moich sióstr, twarz okalała starannie przystrzyżona broda. – Jakież szczęście cię dziś spotkało, że dane ci było zapewnić nam tak wspaniałą ucztę.

Siedząca obok ojca Nesta parsknęła. Nie zdziwiło mnie to. Zazwyczaj starała się umniejszyć jakkolwiek pochwałę dla kogokolwiek – mnie, Elainy czy któregoś z mieszkańców naszej osady. Drwiła nawet z większości słów taty.

Wyprostowałam się. Byłam niemal zbyt zmęczona, aby ustać na nogach, ale przytrzymałam się blatu stołu i posłałam Neście wściekłe spojrzenie. Z nas wszystkich to ona najbardziej odczuła pogorszenie naszego losu. Po cichu żywiła do ojca urazę, odkąd uciekliśmy z naszej rezydencji. Nawet po tym okropnym dniu, w którym jeden z wierzycieli przyszedł okazać ogrom swojego niezadowolenia z nieudanego interesu.

Ale Nesta przynajmniej nie gadała w kółko o odzyskaniu bogactw, tak jak zwykł to robić ojciec. Wydawała za to wszystkie pieniądze, których przed nią nie schowałam, i rzadko kiedy zwracała choć najmniejszą uwagę na swojego kulejącego rodziciela. Czasem nie potrafiłam ocenić, które z nas było najbardziej zgorzkniałe i godne pożałowania.

– Połowę mięsa możemy zjeść w tym tygodniu – powiedziałam, przenosząc wzrok na łanię. Zwierzę zajmowało prawie cały blat chwiejnego stołu, przy którym jedliśmy, gotowaliśmy i pracowaliśmy. – Drugą połowę możemy ususzyć – dodałam, choć dobrze wiedziałam, że jakkolwiek tego nie ujmę, i tak to na mnie spadnie zdecydowana większość pracy. – Pójdę jutro na targ sprawdzić, ile uda mi się wytargować za skóry – dokończyłam, bardziej już do siebie niż do nich.

I tak żadne z pozostałych nie zadało sobie trudu, aby chociaż potwierdzić, że usłyszało moje słowa.

Ojciec wyciągał swoją niesprawną nogę w stronę ognia, starając się jak najlepiej ją ogrzać. Zimny wiatr, deszcz czy nagłe skoki temperatury zawsze pogarszały stan okropnych, źle zabliźnionych ran na kolanie. Prosta, wystrugana samodzielnie laska do chodzenia stała oparta o krzesło, na którym siedział. Laska, którą Nesta czasem celowo ustawiała daleko poza zasięgiem

jego rąk.

„Gdyby nie czuł takiego przemożnego wstydu, mógłby znaleźć jakąś pracę” – mówiła zawsze, gdy zwracałam jej uwagę. Za tę ranę też go nienawidziła. Za to, że nie bronił się, kiedy tamten wierzyciel wpadł ze swoimi zbirami do naszej chaty i okładali go po nodze aż do skutku. Nesta i Elaina uciekły wtedy do sypialni i zabarykadowały drzwi. Ja zostałam, błagając i łkając, wysłuchując kolejnych krzyków bólu, kolejnych chrzestów pękających kości. Popuściłam ze strachu w spodnie, po czym zwymiotowałam na kamienie przed paleniskiem. Dopiero wtedy napastnicy wyszli. Nigdy więcej ich nie widzieliśmy.

Większość pieniędzy, jakie nam jeszcze zostały, wydaliśmy na znachora. Pół roku zajęło, zanim ojciec zdołał zrobić chociaż krok. Rok, zanim zaczął na dobre chodzić. Miedziaki, jakie przynosił, kiedy ktoś zlitował się nad nim na tyle, żeby kupić jedną z jego rzeźbionych figurek, nie starczały nawet na jedzenie. Pięć lat temu, kiedy oszczędności się skończyły, a ojciec wciąż nie mógł – nie chciał – nic ze sobą zrobić, nie zaoponował ani słowem, kiedy oznajmiłam, że zajmę się polowaniem.

Nawet nie spróbował wstać ze swojego miejsca przy ogniu. Nawet nie podniósł wzroku znad struganego kawałka drewna. Po prostu pozwolił mi ruszyć w te śmiertelnie groźne, dzikie leśne ostępy, w które bali się zapuszczać nawet doświadczeni myśliwi. Teraz jakby trochę zaczynało do niego wszystko docierać – czasem okazywał nieco wdzięczności, a nawet kuśtykał aż na plac targowy, aby sprzedawać swoje rzeźby – ale wciąż z mizernym skutkiem.

– Bardzo by mi się przydał nowy płaszcz – oznajmiła Elaina, ciężko wdychając.

W tej samej chwili Nesta podniosła się i zwróciła do mnie:

– Potrzebuję nowej pary butów.

Milczałam, wiedząc doskonale, że nie należy się mieszać w ich sprzeczki. Spojrzałam jednak na jej stojące przy drzwiach wciąż lśniące buty. Zaraz obok stały moje: zbyt małe, rozchodzące się w szwach, utrzymywane jako tako w całości jedynie za sprawą postrzępionych sznurówek.

– Ale ja strasznie marznę w tym starym dziurawym płaszczu – jęknęła Elaina. – Zamarznę na śmierć. – Spojrzała na mnie swoimi wielkimi oczyma i dodała: – Błagam, Feyro.

Przeciągnęła sylaby mojego imienia w najbardziej odstręczający jęk, jaki kiedykolwiek dotąd słyszałam w jej wykonaniu. Ale Nesta tylko mlasnęła językiem i kazała jej się zamknąć.

Przestałam ich słuchać, kiedy zaczęły się kłócić o to, która z nich powinna dostać pieniądze, jakie jutro uzyskam za skórę. Ojciec stał teraz przy stole, opierając się o blat jedną ręką, aby się nie przewrócić, i przyglądał się badawczo łani. Po chwili w milczeniu przesunął wzrok na wilczą skórę. Sięgnął do niej wolną dłonią (palce miał wciąż smukłe i szlachetne), odwrócił na lewą stronę i przesunął kciukiem po zastygłej krwi. Steżałam.

Spojrzenie ciemnych oczu ojca spoczęło na mnie.

– Feyro – zamruczał, zaciskając mocno szczękę – Skąd to masz?

– Z tego samego miejsca, gdzie znalazłam łanię – odparłam równie cicho, chłodnym i ostrym tonem.

Ojciec przeniósł wzrok na łuk i kołczan wciąż przewieszzone przez moje plecy, na nóż myśliwski o drewnianej rękojeści tkwiący w pochwie przy pasie. Oczy mu zwilgotniały.

– Feyro... ryzyko...

– Nie miałam wyboru – przerwałam mu może nieco zbyt ostro, wskazując brodą skórę.

Tak naprawdę chciałam powiedzieć: „Przez większość dni nawet nie raczysz *spróbować* wyjść z domu. Gdyby nie ja, już dawno zdechlibyśmy z głodu. Gdyby nie ja, już dawno wszyscy bylibyśmy martwi”.

– Feyro... – powtórzył tylko moje imię, po czym zamknął oczy.

Moje siostry przestały się sprzeczać. Uniosłam wzrok akurat na czas, żeby zobaczyć zmarszczony nos Nesty.

– Śmierdzisz jak świnia, która wytarzała się we własnym gnoju – rzuciła, z odrazą trącąc palcem mój płaszcz. – Czy nie mogłabyś chociaż *spróbować* udawać, że nie jesteś prostą chłopką?

Nie pozwoliłam sobie okazać, jak bardzo zabołały mnie jej słowa. Byłam jeszcze mała, kiedy nasza rodzina straciła pozycję i całą fortunę. Zdażyłam opanować ledwie podstawy eleganckiego zachowania, czytania i pisania. Nesta nigdy nie pozwalała mi o tym zapomnieć.

Cofnęła się o krok i pogładziła dłonią swoje złotobrazowe warkocze.

– Zdejmij te odrażające szmaty.

Rozbierałam się rozmyślnie powoli, usilnie powstrzymując słowa, które miałam ochotę z siebie wyrzucić. Była ode mnie starsza o trzy lata, ale jakoś udawało jej się wyglądać na młodszą ode mnie. Jej złociste policzki zawsze były oblane delikatnym, zdrowym rumieńcem.

– Możesz zagrzzać wodę w kociołku i dorzucić drew do ognia? – Gdy dokończyłam pytanie, mój wzrok padł na stos drewna. Zostało już tylko pięć szczap. – Wydawało mi się, że dziś wypada twoja kolej na rąbanie drewna?

– Nie znoszę tego robić – odparła, całą uwagę poświęcając swoim długim, zadbanym paznokciom. – Za każdym razem wbijają mi się drzazgi. – Spojrzała na mnie spod swoich ciemnych rzęs. Z naszej trójki to Nesta najbardziej przypominała matkę; zwłaszcza w chwilach, kiedy czegoś od nas chciała. – Poza tym, Feyro – dodała, wydymając policzki – tobie idzie to dużo lepiej niż mnie! Robisz to dwa razy szybciej. W dodatku twoje dłonie są do tego przystosowane. Są już przecież takie szorstkie.

Zazgrzytałam zębami.

– Proszę – powiedziałam, uspokajając swój oddech; dobrze wiedziałam, że kłótnia była ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebowałam i jakiej chciałam. – Proszę cię, wstań rano porąbać drewno. – Rozpięłam górne guziki tuniki. – Bo jeśli tego nie zrobisz, przyjdzie nam jeść zimne śniadanie.

– Nie będę robić niczego podobnego! – zaproponowała, marszcząc brwi.

Ale ja już szłam do małego pomieszczenia na drugim końcu chaty, w którym spałam z siostrami. Elaina wymamrotała coś błagalnie pod adresem Nesty, jednak w odpowiedzi doczekała się tylko poirytowanego syknięcia. Spojrzałam przez ramię na ojca i wskazałam leżącą na stole łąnię.

– Przyszykuj noże – powiedziałam, nie starając się przybrać uprzejmego tonu. – Zaraz będę z powrotem.

Nie czekając na odpowiedź, weszłam do izby sypialnej i zamknęłam za sobą drzwi.

W pomieszczeniu udało się zmieścić chwiejną komodę i olbrzymie łoże z drewna żelaznego, w którym spałyśmy wszystkie trzy. Była to jedyna pamiątka po naszym dawnym życiu. Ojciec kupił je matce w prezencie ślubnym. W tym łóżku przyszłam na świat. W nim też odeszła z niego mama. W minionych latach pomalowałam praktycznie każdy sprzęt w naszej chacie – poza tym jednym.

Wrzuciłam wierzchnie ubranie do zacinającej się szuflady w komodzie. Przy gałkach każdej z szuflad wymalowałam inne wzory. Elaina dostała fiołki i róże. Szufladę Nesty ozdobiły tańczące płomienie. Swoją udekorowałam nocnym niebem – mrowiem żółtych gwiazd (nie miałam białej farby). Chciałam w ten sposób jakoś rozweselić to ponure pomieszczenie. Moje siostry nigdy nawet słowem nie skomentowały mojej pracy. Sama nie wiem, dlaczego oczekiwałam czegokolwiek innego.

Jęknęłam, usilnie starając się nie paść z wyczerpania na łóżko.

\*\*\*

Na kolację zjedliśmy pieczeń. Chociaż dobrze wiedziałam, że postępuję głupio, nie oponowałam, gdy każde z nas brało dokładkę. Potem jednak nie pozwoliłam dalej nadwątlać naszych zapasów. Następnego dnia spędzę na oprawianiu łani i przygotowywaniu pozostałych jej części do zjedzenia. Będę też musiała wygospodarować kilka godzin, żeby pójść ze skórą na targ. Znałam kilku handlarzy, którzy mogliby być nimi zainteresowani – chociaż zapewne żaden z nich nie będzie skłonny zapłacić mi tyle, ile skóry były warte. Ale potrzebowaliśmy pieniędzy, a ja nie miałam czasu ani środków na podróż do najbliższego miasta, gdzie mogłabym uzyskać lepszą cenę.

Ssałam w milczeniu widelec, delektując się resztkami tłuszczu oblepiającymi metal. Przesunęłam językiem po powyginanych zębach – widelec pochodził z dość pospolitego zestawu, który ojciec zdołał uratować z pokoiów służby, gdy nasi wierzyciele przetrząsali rezydencję w poszukiwaniu kosztowności. Każdy sztuciec był inny, ale zdecydowanie woleliśmy to od jedzenia palcami. Srebra z posagu matki sprzedaliśmy już dawno temu.

Matka. Władca matrona, chłodna wobec swoich dzieci, radosna i olśniewająca wśród rówieśniczek, które bywały u niej z wizytami. Troskliwa wobec mego ojca – jedynej osoby, którą naprawdę kochała i którą prawdziwie szanowała. Ale była też inna rzecz, którą wprost uwielbiała – wystawne przyjęcia. Oddawała się im z taką pasją, że praktycznie nie miała już potem czasu zajmować się mną, wyjąwszy te nieliczne chwile, kiedy podziwiała moje pierwsze szkice i obrazy. Jej zdaniem mój talent mógł mi w przyszłości pomóc znaleźć odpowiednią partię. Gdyby dożyła naszego upadku, z pewnością byłaby zdruzgotana – dużo bardziej niż ojciec. Może więc miała wręcz szczęście, że odeszła wcześniej.

Jakkolwiek na to spojrzeć, dzięki temu było więcej jedzenia dla pozostałej czwórki.

W chacie, w której obecnie mieszkaliśmy, nie mieliśmy po matce żadnej pamiątki poza łóżem z drewna żelaznego. I przysięgi, którą jej złożyłam.

Za każdym razem, gdy spoglądałam ku horyzontowi lub gdy zastanawiałam się, czy może powinnam po prostu ruszyć w drogę i iść, nie oglądając się za siebie, w myślach rozbrzmiewały mi słowa obietnicy, jaką złożyłam jedenaście lat temu konającej matce. „Trzymajcie się razem, opiekuj się nimi”. Zgodziłam się, za młoda, by spytać, dlaczego nie zwróciła się z tym do jednej z moich starszych sióstr lub do ojca. Ale przysięgłam jej to. A potem ona umarła. W naszym podłym ludzkim świecie – chronionym jedynie słowami obietnicy złożonej przez fae wysokiego rodu przed pięcioma stuleciami – w świecie, w którym zapomnieliśmy imion naszych bogów, przysięga była prawem. Walutą. Spajającą więzią.

Bywały dni, kiedy nienawidziłam jej za wymuszenie na mnie tej obietnicy. Myślałam sobie, że może majaczyła w gorączce i tak naprawdę nie wiedziała, czego żąda od swojej najmłodszej córki. Albo może zbliżająca się śmierć obdarzyła ją nagłą klarownością myśli i zrozumiała prawdziwą naturę swoich dzieci i męża.

Odłożyłam widelec na stół, rozprostowałam obolałe nogi i przyglądałam się tańcowi płomieni dogasających na ostatnich szczapach na naszym mikrym palenisku.

Przeniosłam wzrok na siostry. Nesta – jak zwykle – narzekała na mieszkańców osady. A to że nie mieli za grosz wychowania; a to że nie zważali na konwenanse; że nie mieli pojęcia, jak lice są ich ubrania; że obnosili się ze swoimi łachmanami, jakby były uszyte z jedwabiu czy atlasu. Odkąd straciliśmy nasz majątek, niegdysiejsze przyjaciółki moich sióstr starannie je ignorowały, tak więc obie paradowały po okolicy, jakby młode chłopki tworzyły podrzędny krąg towarzyski.

Upiłam łyk gorącej wody (teraz nie stać nas było nawet na herbatę) i mimowolnie

śledzałam, jak Nesta snuła swoją opowieść Elainie.

– Cóż, powiedziałam mu: „Jeśli sądzi pan, że może się do mnie zwracać z taką nonszalancją, będę zmuszona odmówić!”. I wiesz, co Tomas mi na to odpowiedział?

Wpatrująca się w siostrę rozszerzonymi z przejęcia oczami Elaina wsparła się mocniej o blat stołu i potrząsnęła głową.

– Tomas Mandray? – wtrąciłam się. – Młodszy syn drwala?

Nesta zmrużyła swoje szaroniebieskie oczy.

– Tak – odpowiedziała, po czym odwróciła się na powrót do Elainy.

– Czego on od niej chce? – zapytałam głośno, spoglądając na ojca.

Nie doczekałam się żadnej reakcji. Najmniejszej oznaki poruszenia. Nawet niczym nie zdradził, że mnie w ogóle usłyszał. Był całkowicie zanurzony w swoich myślach i uśmiechał się ciepło do swojej Elainy – jedynej z nas, która w ogóle z nim rozmawiała.

– Chce ją poślubić – oznajmiła Elaina rozmarzonym głosem.

Zamrugalam.

Nesta przechyliła głowę na bok w sposób, w jaki to robią drapieżniki. Czasem zastanawiałam się, czy jej nieugięta wola nie pomogłaby nam w przetrwaniu – a może nawet wydzwignęłaby nas z biedy – gdyby ona sama nie była tak zajęta rozpaczaniem nad utratą dawnego statusu.

– Masz jakiś problem, *Feyro*? – Moje imię wyrzuciła z siebie jak najgorszą obelgę. Zazgrzytałam zębami tak mocno, że aż mnie zabolowały mięśnie szczęki.

Ojciec poprawił się na swoim krześle i zamrugał. Dobrze wiedziałam, że robię głupio, dając jej się sprowokować, ale nie zdołałam się powstrzymać.

– Nie możesz porąbać dla nas drewna, ale chcesz poślubić syna *drwala*? – zapytałam kąśliwie.

Nesta skrzyżowała ramiona na piersi.

– Sądziłam, że tylko marzysz, żeby się nas obu pozbyć z domu. Żebyśmy z Elainą jak najszybciej wyszły za mąż, żebyś w końcu miała czas na malowanie swoich wiekopomnych arcydzieł – parsknęła, spoglądając na palce wróżek wymalowane wzdłuż brzegu stołu.

Zieleń była zbyt ciemna, a błękit – zbyt głęboki. Z braku białej farby musiałam też pominąć białe pręciki w kielichach, ale jakoś sobie poradziłam. Chociaż świadomość namalowania czegoś tak ułomnego była nie do zniesienia.

Zwalczyłam chęć zakrycia wzoru dłonią. Może jutro po prostu zdrapię wszystko paznokciami.

– Wierz mi – odparowałam – że gdy tylko zdecydujesz się wyjść za kogoś wartościowego, zaniosę cię do jego domu i własnoręcznie mu oddam. Ale z Tomaszem ślubu nie weźmiesz.

Nesta rozdeła nozdrza z wściekłości.

– Nie zdołasz już nic zmienić. Klara Beddor powiedziała mi dzisiajszego popołudnia, że Tomas zamierza mi się lada dzień oświadczyć. Po ślubie nie będę musiała już jeść tych ochłapów. – Uśmiechnęła się złośliwie. – Przynajmniej nie muszę się uciekać do dzikiego tarzania się w sianie z Izaakiem Halem.

Ojciec odchrząknął z zakłopotaniem i udał się na swoje posłanie przy palenisku. Nigdy słowem nie przeciwstawił się Neście. Nie wiem, czy wynikało to ze strachu, czy z poczucia winy. Najwyraźniej nie zamierzał tego teraz zmieniać, nawet jeśli po raz pierwszy słyszał o Izaaku.

Położyłam dłonie płasko na stole i wbiłam w siostrę mordercze spojrzenie. Elaina cofnęła rękę z blatu, tak jakby brud i krew spod moich paznokci mogły jakimś sposobem przeskoczyć na jej alabastrową skórę.

– Rodzinie Tomasa powodzi się niewiele lepiej niż nam – zauważyłam, starając się mówić spokojnie, choć miałam ochotę na nią warknąć. – Byłabyś tylko kolejną gębą do wykarmienia. Jeśli nawet on nie zdaje sobie z tego sprawy, to jego rodzice już z pewnością tak.

Ale Tomas doskonale o tym wiedział. Spotkałam się z nim kiedyś w lesie. Natknęłam się na niego, gdy wracałam do domu z parą królików. Widziałam dobrze błysk głodu i desperacji w jego oczach. Nigdy nie zabiłam człowieka, ale wówczas mój nóż myśliwski ciążył mi bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Od tamtego spotkania starałam się go unikać.

– Nie stać nas na posag dla ciebie – ciągnęłam dalej zdecydowanym głosem, choć już ciszej. – Dla żadnej z was.

Jeśli Nesta chciała nas opuścić, w porządku. Droga wolna. Przybliżyłabym się do mojej wymarzonej, spokojnej przyszłości. Cichego domu, dostatku jedzenia i mnóstwa czasu na malowanie. Ale nie mieliśmy nic, absolutnie nic, aby zachęcić jakiegokolwiek młodzieńca do wzięcia sobie jednej z moich sióstr za żonę.

– Kochamy się – oświadczyła Nesta, a Elaina przytaknęła jej ochoczo.

Niemal się roześmiałam na głos. Kiedy zdążyły przejść od snucia marzeń o przystojnych arystokratkach do posyłania maślanych spojrzeń zwykłym chłopom?

– Miłością nie napełnisz pustego żołądka – odparowałam, gromiąc siostrę wzrokiem.

Nesta zerwała się na nogi, jakbym ją uderzyła w twarz.

– Jesteś zwyczajnie zazdrosna! – krzyknęła. – Słyszałam, jak mówią, że Izaak poślubi jakąś dziewczynę z Zielonych Pól z pokaźnym posagiem.

Też o tym słyszałam. Przy naszym ostatnim spotkaniu Izaak nie mówił o niczym innym.

– Zazdrosna? – zapytałam, cedząc powoli każdą sylabę, starając się zapanować nad coraz bardziej kipiącą wściekłością. – Nie mamy im nic do zaoferowania. Nie mamy ani posagu, ani choćby jednego wychudzonego zwierzęcia. Nawet jeśli Tomas istotnie chce cię poślubić... Byłabyś dla nich tylko ciężarem.

– A co ty tam wiesz? – wydyszała Nesta. – Jesteś półdziką bestią, do tego na tyle bezczelną, że dzień i noc usiłujesz dyrygować wszystkimi naokoło. Tylko tak dalej, Feyro, a kiedyś, pewnego dnia, nie zostanie nikt, kto by o tobie pamiętał. Nie będzie nikogo, komu by na tobie choć trochę zależało. – To powiedziawszy, wybiegła z izby, a zaraz za nią podążyła Elaina, usiłująca pocieszyć ukochaną siostrzyczkę.

Drzwi do sypialni zatrzasnęły za sobą tak mocno, że aż zadźwięczały wszystkie naczynia na półkach.

Już wcześniej słyszałam od niej podobne słowa. Wiedziałam też, że powtarzała je tylko dlatego, iż za pierwszym razem nie zdołałam ukryć, że mnie ubodły. Prawdę mówiąc, wciąż mnie bolały.

Pociągnęłam duży łyk z obtłuczonego kubka. Drewniana ławka zajęczała, gdy ojciec zmienił pozycję. Upiłam jeszcze trochę wody, zanim się odezwałam:

– Powinieneś przemówić jej do rozumu.

Przyjrzał się uważnie osmolonemu fragmentowi blatu stołu.

– A co ja mogę powiedzieć? Jeśli to naprawdę miłość...

– To nie może być miłość. Na pewno nie z jego strony. Nie przy tej jego rodzinie.

Widziałam, jak się zachowuje w wiosce. Chce od niej tylko jednego, i nie jest to jej ręka...

– Nadziei potrzebujemy w równej mierze co chleba i mięsa – wszedł mi w słowo i spojrzał na mnie bystrym wzrokiem, co u niego było rzadkością. – Potrzebujemy nadziei, bo ona daje nam siłę, by trwać. Więc pozwól jej zachować tę nadzieję, Feyro. Pozwól jej marzyć o lepszym życiu. O lepszym świecie.

Wstałam od stołu, zaciskając dłonie w pięści, ale w naszej chacie nie miałam dokąd uciec.

Mój wzrok padł na wyblakłe palce wróżek wijące się wzdłuż brzegu stołu. Zewnętrzne kielichy były już złuszczone i niemal pozbawione koloru. Dolna część łodyżki zdążyła się już zupełnie zetrzeć. Za kilka lat po moich dekoracjach nie pozostanie nawet ślad. Nic nie zdradzi tego, że kiedykolwiek tu były. Że ja kiedykolwiek tu byłam.

Spojrzałam na ojca hardo.

– Nie ma czegoś takiego.



## Rozdział 3

Ubity śnieg pokrywający drogę prowadzącą do wioski upstrzony był brązowymi i czarnymi plamami pozostawionymi przez wozy i konie. Elaina i Nesta mlaskały z niesmakiem i nieustannie się krzywiły, obchodząc szerokim łukiem co bardziej odrażające niespodzianki. Dobrze wiedziałam, dlaczego poszły ze mną. Spojrzały tylko na skóry, które wkładałam do torby, i bez słowa chwyciły płaszcz.

Nawet nie próbowałam im tego wyperswadować, ponieważ od wczorajszego wieczoru nie raczyły się odezwać do mnie słowem. Chociaż Nesta wstała o świcie i narąbała drewna na opał. Najpewniej zrobiła to, bo wiedziała, że dziś sprzedam skóry na targu i będę miała nieco grosza w kieszeni. Szły za mną drogą wijącą się wśród zaśnieżonych pól w stronę pobliskiej zapyziałej osady.

Kamienne domy były do bólu zwyczajne i nudne. Do tego zima sprawiała, że wyglądały jeszcze bardziej ponuro niż zwykle. Ale dziś wypadał dzień targowy, a to oznaczało, że na ciasnym placu pośrodku wioski pojawi się wielu handlarzy, którym chciało się przybyć mimo mrozu.

Z jednego z dalszych domów dobiegł nas zapach ciepłego posiłku; kusząca woń przypraw budzących zacierające się wspomnienia. Za moimi plecami Elaina jęknęła cicho. Przyprawy, sól, cukier... Rzadkość dla wielu mieszkańców osady i zupełnie poza naszym zasięgiem.

Jeśli mi się poszczęści u handlarzy, może dostanę dość pieniędzy, aby kupić nam coś pysznego. Już otwierałam usta, żeby o tym wspomnieć, ale właśnie wtedy skręciłyśmy za róg domu i zatrzymałyśmy się jak wryte, nieomal na siebie wpadając.

– Niech Nieśmiertelne Światło obdarza was swoim blaskiem, siostry – powiedziała stojąca nam na drodze młoda kobieta w bladych szatach.

Nesta i Elaina mlasnęły zniesmaczone, ja ledwie zdusiłam warknięcie. Wspaniale. Dokładnie to, czego teraz potrzebowałam. Żeby w dzień targowy po wiosce kręciły się Dzieci Błogosławionych, rozpraszając i irtując wszystkich wkoło. Starszyzna zazwyczaj pozwalała im zatrzymywać się jedynie na kilka godzin, ale sama obecność tych fanatycznych głupców, którzy wciąż oddawali cześć fae wysokiego rodu, sprawiała, że wszyscy robili się nerwowi. Nawet mnie drażnili. Dawno temu fae wysokiego rodu byli naszymi panami – ale nie bogami. I z pewnością nie byli dla nas dobrzy.

Kobieta wyciągnęła blade ręce w powitalnym geście. Na jednym z nadgarstków zabrzęczała bransoletka z przyczepionymi doń srebrnymi dzwoneczkami – *z prawdziwego srebra!*

– Czy znajdziecie chwilę, aby wysłuchać Słowa Błogosławionych?

– Nie – warknęła Nesta, ignorując dłonie nieznajomej i popychając Elaine do przodu. – Nie znajdziemy.

Rozpuszczone, ciemne włosy kobiety lśniły w świetle porannego słońca. Jej czystą, gładką twarz rozjaśnił promienny uśmiech. Za nią szło pięcioro innych akolitów, wszyscy młodzi. Każde z nich miało niestrzyżone, długie włosy. Wszyscy co do jednego rozglądali się po okolicy, szukając młodych ludzi, którym mogliby zawracać głowę.

– Zajmie to wam tylko chwilę – powiedziała kobieta, zagradzając Neście drogę.

Byłam pod wrażeniem – prawdziwym wrażeniem – gdy Nesta wyprostowała się jak struna, wypięła pierś i spojrzała z góry na młodą akolitkę. Niczym prawdziwa królowa, chwilowo pozbawiona tronu.

– Idź karmić swoim bredniami jakichś głupców. W nas nie znajdziesz przychylnych

słuchaczy.

Dziewczyna się cofnęła. W jej piwnych oczach pojawił się złowrogi cień. Powstrzymałam natrętny grymas. Może to nie był najlepszy sposób postępowania z nimi, ponieważ zdenerwowani potrafili być naprawdę męczący...

Nesta uniosła dłoń i podwinęła rękaw płaszcza, prezentując żelazną bransoletę noszoną na przegubie. Taką samą nosiła Elaina. Kupiły sobie komplet całe lata temu. Akolitka nabrała gwałtownie powietrza i wpatrywała się w ozdobę rozszerzonymi oczami.

– Widzisz to? – wysyczała Nesta, robiąc krok naprzód i zmuszając akolitkę do cofnięcia się. – To właśnie powinnaś nosić, a nie jakieś srebrne dzwonki, które mogą przyciągnąć te zaczarowane potwory.

– Jak śmiesz nosić coś takiego! To ohydna potwarz dla naszych nieśmiertelnych przyjaciół...

– Idź mącić ludziom w głowie gdzie indziej – warknęła Nesta.

Dwie pulchne i ładne żony rolników minęły nas w drodze na targ. Gdy przeszły obok akolitów, wykrzywiły się w takim samym grymasie odrazy, jaki widniał na twarzach moich sióstr.

– Miłująca fae suka! – rzuciła jedna z nich w stronę młodej kobiety.

Nie mogłam się z nią nie zgodzić.

Akolici milczeli. Druga wieśniaczka – na tyle zamożna, aby mieć na szyi spory naszyjnik ze splecionego żelaznego drutu – zmrużyła oczy i wyszczerzyła zęby.

– Czy jesteście naprawdę tak głupi, że nie rozumiecie, co nam te potwory robiły przez te wszystkie wieki? Co wciąż robią dla przyjemności, kiedy tylko mogą uniknąć odpowiedzialności? W pełni zasługujecie na koniec, jaki was spotka z ich rąk. Głupcy i dziwki, bez wyjątku.

Nesta z uznaniem kiwnęła głową wieśniaczkom. Gdy te się oddaliły, zwróciłyśmy się ponownie do młodej kobiety, która wciąż stała przed nami. Nawet Elaina skrzywiła się z odrazą. Akolitka jednak tylko wzięła głęboki oddech i jej twarz ponownie wyrażała jedynie błogie uniesienie.

– Ja również żywiłam te fałszywe przekonania – powiedziała. – Aż do dnia, w którym usłyszałam Słowo Błogosławionych. Dorastałam w wiosce podobnej do tej. Równie nudnej i ponurej. Ale niespełna miesiąc temu przyjaciółka mojego kuzyna ruszyła w stronę granicy jako nasza ofiara dla Prythianu. I nie została odesłana z powrotem. Teraz żyje wygodnie w dostatkach jako żona jednego z fae wysokiego rodu. I wy również możecie dostąpić tego zaszczytu, jeśli tylko poświęćcie chwilę na...

– Najpewniej ją zjedli – przerwała jej Nesta. – Dlatego do was nie wróciła.

„Albo gorzej – pomyślałam – jeśli jeden z fae wysokiego rodu naprawdę był zamieszany w uprowadzenie człowieka do Prythianu”. Nigdy nie spotkałam tych okrutnych, z wyglądu przypominających ludzi niktzemników, którzy rządzą całym Prythianem, ani czarodziejskich istot zamieszkujących tamte ziemie; o ciałach pokrytych łuskami, skrzydlatych, z długimi, patykowatymi kończynami, za pomocą których wciągają swoje ofiary głęboko pod powierzchnię dawno zapomnianych jezior i stawów. Nie wiedziałam, jaki los jest gorszy.

Twarz akolitki stężała.

– Nasi miłosierni panowie nigdy by nas nie skrzywdzili. Prythian jest krainą pokoju i obfitości. Gdyby raczyli zwrócić na was swoją błogosławioną uwagę, dziękowałybyście za możliwość życia wśród nich.

Nesta przewróciła oczami. Elaina zerknęła to na nas, to na plac targowy przed nami, to na grupkę gapiów, którzy zdążyli się już zebrać. Musiałyśmy zakończyć tę wymianę zdań i ruszać dalej. Nesta ponownie otworzyła usta, ale zdołałam w porę stanąć między nią a akolitką.

Zlustrowałam bladobłękitne szaty kobiety, srebrną biżuterię, nienagannie czystą skórę. Żadnego znamienia ani najmniejszej skazy.

– Walisz głową w mur – stwierdziłam.

– W szczytnym celu – odparła akolitka, prężąc się dumnie.

Pchnęłam lekko Nestę, aby ruszyła w stronę targu, i rzuciłam na odchodne:

– Bynajmniej.

Gdy wkraczałyśmy na ruchliwy plac targowy, wciąż czułam na plecach wzrok akolitów. Udało mi się jednak ani razu na nich nie obejrzeć. Zresztą wkrótce ruszą dalej, wygłaszać swoje kazania w innej wiosce. Musiałybyśmy wracać do domu, nakładając drogi, aby ich nie spotkać. Gdy byłyśmy już dość daleko, obejrzałam się przez ramię na siostry. Elaina wciąż się krzywiła z odrazą, ale Nesta była wściekła i sypała gromami z oczu. Zastanawiałam się, czy za chwilę nie wróci do tamtej dziewczyny i nie wda się z nią w bójkę.

Cóż, to nie był mój problem. Nie teraz.

– Spotkamy się tu za godzinę – powiedziałam i wtopiłam się w tłum sprzedających oraz kupujących, zanim zdążyły zareagować.

Przez blisko kwadrans rozważałam trzy możliwości. Na targu byli dwaj kupcy, którym zazwyczaj sprzedawałam moje łupy: stary szewc i bystrooki sukiennik przybywający regularnie z pobliskiego miasteczka. Ale dojrzałam też nieznaną: olbrzymią kobietę siedzącą na obrzeżu zepsutej fontanny. Nie miała wozu ani nawet małego stoiska, ale mimo to wyglądała, jakby przybyła tu dziś handlować. Liczne blizny i broń nie pozostawiały wątpliwości, czym się trudniła. Była najemniczką.

Czułam na sobie spojrzenia szewca i sukiennika. Obaj udawali brak zainteresowania mną, ale jednocześnie ukradkiem zerkali na moją torbę i próbowali odgadnąć jej zawartość. No dobrze, niech i tak będzie.

Podeszłam do najemniczki. Gęste, ciemne włosy sięgały jej do karku, a ogorzała twarz wyglądała jak wykuta z granitu. Gdy się zbliżyłam, nieznaną ledwo zauważalnie zmrużyła oczy. Jej tęczyki miały niezwykły kolor: bardzo ciemny, ale nie jednolicie czarny, lecz... o wielu różnych odcieniach czerni. Tu i ówdzie lśniły w porannym słońcu plamki brązu. Zepchnęłam na bok bezużyteczne dywagacje; zdusiłam instynkt każący mi postrzegać wszystko w kategoriach barw, światła i kształtów. Wyprostowałam się i wytrzymałam taksujące spojrzenie kobiety. Oceniała, czy jestem potencjalną rywalką, czy też potencjalną zleceniodawczynią. Jej broń – o lśniących rękojeściach i groźnie zakrzywionych ostrzach – przyprawiała mnie o ciarki na grzbiecie. Dla pewności zatrzymałam się parę stóp od niej.

– Nie przyjmuję płatności w towarach – powiedziała z dziwnym akcentem, którego nigdy wcześniej nie słyszałam. – Tylko gotówka.

Kilku przechodzących miejscowych starało się ukryć swoje zainteresowanie naszą rozmową. Zwłaszcza po tym, co chwilę potem powiedziałam.

– W takim razie tutaj nie znajdziesz zatrudnienia.

Górowała nade mną, nawet siedząc.

– Czego ode mnie chcesz, dziewczyno?

Była dość młoda. Miała jakieś dwadzieścia kilka lat, na pewno nie więcej niż trzydzieści. Ale byłam tak wychudzona z głodu, do tego ubrana tak nędznie, że istotnie mogła mnie wziąć za dużo młodszą od siebie.

– Mam do sprzedania skóry wilka i łani – oznajmiłam. – Pomyślałam sobie, że może cię zainteresują.

– Ukradłaś je?

– Nie. – Wytrzymałam jej spojrzenie i nie odwróciłam wzroku. – Upolowałam. Sama.

Przysięgam.

Ponownie zlustrowała mnie od stóp do głów.

– Jak...

To nie było pytanie – to było polecenie. Może spotkała na swojej drodze wielu ludzi, którzy nie traktowali przysięg tak poważnie jak ja. Którzy nie uważali, że raz dane słowo zobowiązuje nas już zawsze. I zapewne przykładnie ich ukarała. Opowiedziałam jej więc historię swojego polowania. Kiedy skończyłam, machnęła dłonią w stronę mojej torby.

– Pokaż – zakomenderowała. Wyciągnęłam starannie zwinięte skóry. – Nie przesadzałaś co do wielkości tego wilka – mruknęła pod nosem. – Ale nie wygląda na fae.

Zbadała skóry okiem znawczyni, obracając je na wszystkie strony, po czym podała cenę. Zamrugłam raz. Powstrzymałam się od zamrugania ponownie. Przeplącała – i to znacznie.

Spojrzała nad moim ramieniem.

– Zakładam, że te dwie dziewczyny obserwujące nas z drugiego końca placu, są twoimi siostrami. Macie ten sam kolor włosów. Do tego wyglądają na równie głodne jak ty.

Istotnie starały się podsłuchać rozmowę, nieudolnie udając obojętność.

– Nie potrzebuję twojej litości.

– Nie, ale potrzebujesz moich pieniędzy. A pozostali kupcy popisują się swoim skąpstwem od samego rana. Wszyscy są zbyt poirytowani tymi bezmózgimi fanatykami kręcącymi się po targu. – Wskazała brodą akolitów z zakonu Dzieci Błogosławionych, którzy wciąż zagradzali drogę każdemu napotkanemu przechodniowi, pobrzękując tymi swoimi srebrnymi dzwoneczkami.

Gdy spojrzałam ponownie na najemniczkę, uśmiechała się lekko.

– Twoja decyzja, dziewczyno.

– Dlaczego?

Wzruszyła ramionami.

– Kiedyś ktoś zrobił to samo dla mnie i mojej rodziny. W czasie, kiedy potrzebowaliśmy tego najbardziej. Powiedzmy, że nadeszła pora, bym spłaciła stary dług.

Przyjrzałam się jej uważnie, ważąc w myślach jej słowa.

– Mój ojciec rzeźbi w drewnie, mogłabym ci dać jeszcze coś z jego dzieł. Żeby transakcja była trochę uczciwsza.

– Podróżuję bez zbędnych rzeczy. A te – dodała i poklepała skóry – zaoszczędzą mi konieczności zabicia czegoś własnoręcznie.

Kiwnęłam głową. Kiedy kobieta wyciągnęła spod swojego ciężkiego płaszcza sakiewkę, poczułam, jak moją twarz oblewa rumieniec. Sakiewka była pełna srebrnych – a może nawet i złotych, jeśli dobrze poznawałam ten specyficzny brzęk – monet. Cóż, w naszych okolicach dobrze opłacano najemników.

Kraj był zbyt mały i zbyt biedny, żeby móc utrzymywać regularne wojsko do patrolowania muru odgradzającego nasze ziemie od Prythianu. Mieszkańcom takich dziur jak nasza pozostawało polegać tylko na literze Traktatu sprzed pięciuset lat. Ale wielmoże mogli pozwolić sobie na usługi najemników, takich jak ta kobieta, którzy patrolowali tereny przyległe do granicy nieśmiertelnych krain – choć zapewniali oni ochronę równie pewną co znaki wyryte na naszym progu. W głębi duszy wszyscy wiedzieli, że przeciwko czarodziejskim istotom nie jesteśmy w stanie zrobić absolutnie nic. Każdemu powtarzano to od kołyski, niezależnie od urodzenia czy pozycji. Przestrogi pobrzmiwały w kołysankach i rymowankach z dziecięcych zabaw. Jeden przedstawiciel fae wysokiego rodu mógł obrócić nasze kości w pył z odległości kilkuset stóp. Oczywiście ani ja, ani moje siostry nigdy nic podobnego nie widziałyśmy.

Ale i tak każdy chciał wierzyć, że jest coś – cokolwiek – co ochroni nas przed nimi w razie spotkania. Na rynku stały dwa kramy żerujące na tych lękach i tej nadziei. Można było na nich znaleźć amulety, talizmany, zwoje z zaklęciami ochronnymi i różne żelazne przedmioty. Nie mogłam sobie na nic takiego pozwolić. Poza tym nawet gdyby naprawdę działały, zyskałabym w ten sposób zaledwie kilka minut, by przygotować się na nieuniknione. Jakakolwiek próba ucieczki była bezcelowa, podobnie jak próba stawienia czoła tym istotom. Ale Nesta i Elaina zakładały swoje żelazne bransolety za każdym razem, gdy opuszczały dom. Nawet Izaak nosił na przegubie żelazną obręcz, zawsze wetkniętą pod rękaw. Kiedyś nawet zaoferował, że kupi mi taką samą, ale odmówiłam. Wydawało mi się to zbyt osobiste, zbyt przypominało zapłatę, stanowiło zbyt... trwałą pamiątkę tego, kim dla siebie byliśmy. I kim dla siebie nie byliśmy.

Najemniczka położyła monety na mojej wyciągniętej dłoni. Schowałam pieniądze do kieszeni, gdzie zaciążyły mi niczym kamień młyński. Nie było możliwości, żeby moje siostry nie widziały zapłaty. Nie było szansy, aby właśnie nie zaczynały kombinować, w jaki sposób wyciągnąć ode mnie choć część pieniędzy.

– Dziękuję – zwróciłam się do najemniczki, nieudolnie starając się ukryć drżenie głosu. Siostry zbliżały się do nas coraz bardziej, niczym sępy krążące nad padliną.

Moja rozmówczyni przeczesła palcami wilcze futro.

– Przyjmij jeszcze drobną poradę, tak między nami myśliwymi.

Uniosłam pytająco brwi.

– Nie zapuszczaj się głębiej w las. Ja bym się nie zapuszczała nawet w okolice, w których wczoraj polowałam. Wilk, nawet tak wielki, mógłby być najmniejszym z twoich problemów. Coraz częściej słyszę opowieści o tych stworach prześlizgujących się przez mur.

Przeszył mnie zimny dreszcz.

– Czy oni... Czy zamierzają nas zaatakować?

Jeśli to była prawda, musiałam znaleźć sposób na zabranie mojej rodziny z tej zatęchłej dziury i udanie się na południe, jak najdalej od niewidzialnego muru dzielącego nasz świat na dwie połowy. Zanim istoty z północy go przekroczą. Kiedyś, dawno temu, przez całe tysiąclecia byliśmy niewolnikami fae wysokiego rodu. Zbudowali wówczas na naszym pocie i naszej krwi wspaniałą cywilizację. Wielkie świątynie ku czci ich okrutnych bogów. Aż w końcu się zbuntowaliśmy. Powstał przeciwko ciemnościom jak świat długi i szeroki. Wojna była tak krwawa i siała takie zniszczenie, że potrzeba było sześciu śmiertelnych królowych, aby zawarto Traktat, który położył kres obopólnej rzezi i zaowocował powstaniem muru. Ziemię na północ od niego zostały oddane w wyłączne władanie fae wysokiego rodu i ich czarodziejskich podwładnych. Wraz z nimi odeszła też ich magia. Południowe ziemie przypadły nędznym śmiertelnikom, odtąd na wieki skazanym na życie z tego, co uda się wyrwać naturze.

– Nikt nie wie, co planują fae – stwierdziła najemniczka z kamienną twarzą. – Nie wiemy, czy to dzikie bestie wymykają się spod kontroli ich dumnych panów, czy też może te ataki są celowe. Służyłam pewnemu staremu szlachcicowi, który zarzekał się, że od pięćdziesięciu lat jest coraz gorzej. Dwa tygodnie temu odpłynął łodzią na południe i powiedział, że jeśli mam choć trochę oleju w głowie, powinnam zrobić to samo. Zanim odpłynął, zdradził, czego dowiedział się z listu od jednego ze swoich dawnych przyjaciół. Pewnej nocy cała wataha martaksów przekroczyła mur i rozerwała na strzępy połowę mieszkańców przygranicznej wioski.

– Martaksów? – zapytałam szeptem.

Wiedziałam, że fae nie stanowią jednorodnej rasy. Że są zróżnicowani równie dalece jak zwierzęta. Ale dotąd słyszałam nazwy tylko kilku ich odmian.

– Cielsko wielkie jak u niedźwiedzia – wyjaśniła kobieta z błyskiem w oku. – Łeb przypominający głowę lwa, ale z trzema rzędami zębów ostrzejszych od kłów rekina. A do tego

okrutne i bezwzględne bardziej niż te trzy zwierzęta razem wzięte. Wedle słów wielmożów rozszarpały wieśniaków na drobne kawałki.

Strach ścisnął mi żołądek. Stojące nieopodal siostry wydały mi się nagle takie kruche. Ich blada skóra wyglądała na niesamowicie delikatną i tak łatwą do rozszarpania. W starciu z czymś takim jak martaks nie mielibyśmy najmniejszych szans. Te całe Dzieci Błogosławionych były najzwyklejszą bandą głupców – fanatycznych głupców.

– Nie wiemy, co te wszystkie ataki znaczą – podjęła swoją opowieść najemniczka. – Oczywiście poza większą liczbą zleceń dla mnie. Ale ty trzymaj się jak najdalej od muru. Zwłaszcza jeśli zaczną się pojawiać fae wysokiego rodu. Albo jeszcze gorzej: jedno z ich książąt. Przy nich martaksy zdadzą ci się ledwie potulnymi psami.

Przyjrzałam się uważnie jej poblížnionym dłoniom o skórze spierzchniętej od mrozu.

– Czy kiedyś stawiałaś czoło innym fae? – spytałam.

Przymknęła oczy.

– Nie chcesz wiedzieć, dziewczyno. Chyba że chcesz tu zaraz zwrócić swoje śniadanie. Istotnie, już robiło mi się niedobrze. A do tego ogarniał mnie coraz silniejszy niepokój.

– Czy stwór, którego spotkałaś, był groźniejszy od martaksa? – odważyłam się zapytać.

Kobieta podwinęła gruby rękaw kurty i odsłoniła opalone, muskularne przedramię pokryte odrażającymi, powykręcanyimi bliznami. Ich krzywizny bardzo przypominały...

– Nie był tak silny czy tak wielki jak martaks – wyjaśniła – ale bardzo jadowity. Dwa miesiące nie mogłam choć na chwilę wstać z łóżka. Minęły cztery, zanim mogłam znowu chodzić.

Podciągnęła nogawkę spodni. „Wspaniałe mięśnie” – pomyślałam, choć jednocześnie cała zlałam się zimnym potem. Pod jej opaloną skórą widniała pajęczyna czarnych jak węgiel żył.

– Znachorka powiedziała mi, że nic się nie da z tym zrobić. Miałam szczęście, że mogę chodzić pomimo trucizny wciąż krążącej w moich żyłach. Może pewnego dnia mnie to zabije, a może tylko okaleczy. Ale przynajmniej odejdę ze świadomością, że zabiłam go pierwsza.

Miałam wrażenie, że krew w moich żyłach zastygła. Najemniczka opuściła nogawkę. Jeśli ktokolwiek z ludzi obecnych na placu targowym zauważył tę scenę, nie odważył się przemówić słowem ani podejść bliżej. A ja miałam już dość wrażeń jak na jeden dzień. Cofnęłam się więc, próbując uspokoić myśli w obliczu nowych informacji i tego, co przed chwilą zobaczyłam.

– Dziękuję za ostrzeżenia – rzuciłam.

Kobieta spojrzała za moje plecy i wykrzywiła usta w lekko rozbawionym uśmiechu.

– Powodzenia.

Chwilę później smukła dłoń chwyciła mnie za przedramię i odciągnęła na bok.

Wiedziałam, że to dłoń Nesty, jeszcze zanim spojrzałam na siostrę.

– Oni są niebezpieczni – wysyczała, wpijając mi palce w rękę i wciąż odciągając od najemniczki. – Nie zbliżaj się więcej do jej podobnych.

Spojrzałam na nią, a potem na Elainę, która mocno zaciskała poblądłe usta.

– Czy powinnam coś wiedzieć? – spytałam cicho.

Nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy ostatnim razem Nesta próbowała mnie przed czymkolwiek ostrzec. Tak naprawdę zawsze obchodziła ją tylko Elaina.

– Są nikczemni. Wydrą ci ostatniego miedziaka, choćby siłą.

Obejrzałam się na najemniczkę, która wciąż przyglądała się swoim nowym skórom.

– Okradła was? – spytałam.

– Nie ona – wymamrotała Elaina. – Ale inny jej podobny, który kiedyś przechodził przez wieś. Miałyśmy tylko kilka monet, a on się wściekł, ale...

– Dlaczego nie zgłosiliście tego starszyźnie? – weszłam jej w słowo. – Albo dlaczego nie powiedziałyście mnie?

– A co ty byś zrobiła? – parsknęła Nesta. – Wyzwała go na pojedynek? Mając tylko łuk i strzały? A starszyzna? Kto w tej podłej dziurze kiwnąłby choć palcem, żeby nam pomóc?

– A ten twój cały Tomas Mandray? – zapytałam chłodno.

Nesta spojrzała na mnie z wściekłością, ale zanim zdążyła cokolwiek zrobić lub powiedzieć, jej uwagę odwrócił jakiś ruch za moimi plecami. Posłała mi coś, co w jej mniemaniu miało być chyba uroczym uśmiechem – zapewne przypomniała sobie, ile mam w tej chwili przy sobie pieniędzy.

– Twój przyjaciel na ciebie czeka.

Odwrociłam się. Istotnie Izaak przyglądał się nam z drugiej strony placu ze skrzyżowanymi ramionami, opierając się plecami o ścianę budynku. Chociaż był najstarszym synem jedyne go rolnika z naszej osady, któremu dobrze się wiodło, nawet on wyszczuplał tej zimy, a jego włosy straciły swój połysk. Względnie przystojny, uprzejmy i nieco zamknięty w sobie, pod maską przeciętności skrywał mroczniejszą stronę, która przyciągała nas do siebie nawzajem; dzięki której rozumiał, jak podłe nasze życia zawsze były i zawsze będą.

Znaliśmy się w zasadzie od lat – odkąd tylko nasza rodzina przybyła w te okolice – ale nigdy zbyt o nim nie myślałam. Aż do pewnego popołudnia, kiedy zrzędzeniem losu spotkaliśmy się na głównym trakcie. Rozmawialiśmy o jajach, które niósł na targ. Podziwiałam różnorodność zabarwień skorupki – od brązów, przez popielate, po bladoniebieskie i jasnozielone. Zwykła, prosta, może nieco dziwaczna rozmowa. Ale gdy odprowadził mnie pod drzwi naszej chaty, nie czułam się już tak... samotna. Tydzień później zaciągnęłam go na siano w tamtej rozpadającej się stodole.

Zdarzyło się to dwa lata temu. Był moim pierwszym i jak dotąd jedynym kochankiem. Czasem spotykaliśmy się codziennie przez cały tydzień. Innym razem nie widzieliśmy się na oczy przez miesiąc. Jednak za każdym razem było tak samo: naprędce zrzucone ubrania, wspólne oddechy, języki, zęby... Czasami rozmawialiśmy, a raczej to on mówił o presji wywieranej na nim przez jego ojca. Często przez całą schadzki nie wypowiadaliśmy ani słowa. Nie nazwałabym naszych igraszek szczególnie wyrafinowanymi, ale przynosiły mi ulgę, chwilę wytchnienia, odrobinę egoistycznej przyjemności.

Nigdy, nawet przez chwilę, nie łączyła nas miłość, a przynajmniej to, co – jak mi się wydawało – ludzie mają na myśli, gdy mówią o miłości. Niemniej jednak jakaś część mnie umarła, kiedy oznajmił mi, że wkrótce się żeni. Nie byłam jeszcze na tyle zdesperowana, żeby poprosić go, aby po ślubie nadal się ze mną spotykał.

Izaak przechylił głowę w dobrze znany mi sposób, po czym oddalił się jedną z ulic odchodzących od placu targowego. Uliczka prowadziła poza miasto, do starej stodoły, w której zwykle na mnie czekał. Nigdy się szczególnie nie kryliśmy z tym, co robimy, ale też przedsięwzięliśmy pewne kroki, aby nie było to zbyt oczywiste.

Nesta mlasnęła i skrzyżowała ramiona.

– Mam nadzieję, że stosujecie odpowiednie środki – rzuciła.

– Trochę za późno na udawanie, że się tym martwisz – odparłam.

Ale owszem, uważaliśmy. Ponieważ mnie nie było na to stać, to Izaak zażywał stosowny wywar. Wiedział, że inaczej nawet bym się do niego nie zbliżyła. Sięgnęłam do kieszeni i wyciągnęłam miedzianego dwudziestaka. Elaina nabrała z sykiem powietrza, gdy wcisnęłam monetę w jej dłoń.

– Do zobaczenia w domu – powiedziałam, nie patrząc już na nie.

\*\*\*

Wieczorem, kiedy wszyscy czworo siedzieliśmy w milczeniu przy palenisku po kolejnym posiłku złożonym z pachnącej pieczeni, przyglądałam się badawczo moim siostram. Rozmawiały przyciszonymi głosami i co chwila chichotały. Płaszcz i buty, o których marudziły poprzedniego dnia, okazały się zbyt drogie, ale i tak wydały wszystko, co ode mnie dostały. Nie udało mi się ustalić, co kupiły; poza nowym dłutem, które Elaina przyniosła ojcu. Ale nie zbeształam ich za to. Nie po tym, gdy Nesta sama z siebie wyszła narąbać więcej drewna na opał. Szczęśliwie uniknęły kolejnej konfrontacji z Dziećmi Błogosławionych.

Ojciec drzemał na swoim krześle z laską położoną w poprzek ud. Uznałam, że chyba nie nadarzy się lepsza okazja, aby poruszyć z Nestą temat Tomasa Mandraya. Obróciłam się do niej i otworzyłam usta.

Nie zdążyłam jednak nic powiedzieć, bo nagle przed chatą zagrzemiał czyjś ogłuszający ryk. Drzwi wejściowe gwałtownie się otworzyły i do środka wpadły tumany śniegu. Na progu stał olbrzymi, warczący złowrogo stwór.



## Rozdział 4

Nie wiedziałam, w jaki sposób drewniana rękojeść noża myśliwskiego znalazła się w mojej dłoni. Przez kilka chwil rejestrowałam tylko gardłowy warkot olbrzymiej bestii o złotym futrze, przeraźliwy wrzask moich siostr, przenikliwe zimno wdzierające się do izby i zastygłą w grymasie przerażenia twarz ojca.

Intruz na szczęście nie był martaksem, choć ulga z tego powodu szybko zniknęła. Bestia o wielkości konia i sylwetce kota łeb miała zdecydowanie wilczy. Z czaszki wyrastały powykęcane rogi – potężne jak łopaty łośia. Jednak niezależnie od tego, czy stworowi było bliżej do lwa, wilka czy łośia, jego czarne, przypominające zakrzywione noże pazury i żółte kły wyglądały zdecydowanie groźne.

Gdybym spotkała taką bestię, samotnie przemierzając las, zapewne sparaliżowałby mnie lęk. Prawdopodobnie opadłabym bezradnie na kolana i modliłabym się przez łzy o szybką, możliwie bezbolesną śmierć. Ale teraz nie mogłam dać strachowi dostępu do mojego serca, pomimo głośnego szumu krwi w uszach nie zamierzałam ustąpić mu choćby o piędź. Nie do końca panując nad swoimi ruchami, stanęłam między siostrami a intruzem, który wspiał się na zadnie łapy i ryknął potężnie:

– MORDERCY!

Jednak w mojej głowie dźwięczało inne słowo: *fae*.

Te śmieszne znaki na naszym progu okazały się przeciwko niemu równie skuteczne, co zapora z pajęczyn. Powinnam była zapytać najemniczkę o to, *jak* zabiła tego potwora, o którym mi opowiadała. Niemniej jednak gruby kark bestii wyglądał jak dobry cel dla mojego noża.

Zaryzykowałam spojrzenie przez ramię. Moje siostry krzyczały ile sił w płucach, klęcząc przy bocznej ścianie paleniska. Ojciec przykucnął przed nimi. Kolejna osoba, której musiałam bronić. Wbrew rozsądkowi zrobiłam krok w stronę potwora, starając się opanować drżenie rąk, ale cały czas pilnowałam, aby między mną a nim znajdował się stół. Łuk i strzały były w przeciwległym kącie izby, do którego drogę blokowała mi bestia. Musiałabym ją minąć, żeby dostać się do mojej jesionowej strzały. I zyskać dość czasu, aby napiąć łuk i wystrzelić.

– MORDERCY! – zaryczał ponownie stwór, jeżąc sierść na karku.

– P-proszę – wydukał ojciec zza moich pleców, nie znalazłszy w sobie dość odwagi, aby stanąć u mego boku. – Cokolwiek uczyniliśmy, zrobiliśmy to nieświadomie...

– N-nikogo nie zabiliśmy – dodała Nesta, łkając bez ustanku. Głowę osłaniała ręką, tak jakby ta cienka bransoletka z żelaza mogła jej jakkolwiek pomóc w starciu z potworem.

Chwyciłam leżący na stole nóż kuchenny. Lepsze to niż nic, jeśli nie uda mi się dopaść kołczana.

– Wynocha – warknęłam w stronę bestii, unosząc przed sobą oba noże.

W zasięgu mojego wzroku nie było żadnego żelaznego przedmiotu, którego mogłabym użyć jako broni. Chyba że miałabym cisnąć w stronę potwora bransolety Nesty i Elainy.

– Precz z naszego domu.

Dłonie dygotały mi tak mocno, że z trudem utrzymywałam w nich rękojeści noży.

Gdybym miała choćby gwóźdź. Ileż dałabym za jeden cholerny gwóźdź!

Intruz w odpowiedzi tylko ryknął tak głośno, że zadrżały ściany naszej chaty i zabrzęczały wszystkie sprzęty stojące na półkach. Ale jednocześnie bestia odsłoniła swoją potężną szyję. Cisnęłam w nią nóż myśliwski.

Ruch był niesamowicie szybki – tak szybki, że ledwo go uchwyciłam. Potwór machnął jedną łapą, odtrącając nóż na bok, po czym kłapnął w moją stronę potężnymi zębami.

Odskoczyłam w tył, nieomal przewracając się o skulonego na podłodze ojca. Napastnik mógł mnie zabić. Mógł, ale ten atak okazał się tylko ostrzeżeniem. Płaczące głośno Nesta i Elaina modliły się do dawno zapomnianych bogów w nadziei, że może jeszcze któryś z nich kręci się w okolicy i wysłucha ich błagań.

– KTO GO ZABIŁ? – ryknęła bestia, robiąc krok w naszą stronę.

Stwór oparł przednią łapę na stole. Deski zajęczały pod jej ciężarem w głośnym proteście. Ostre pazury wbiły się jeden po drugim w podniszczone drewno.

Zdobyłam się na podejście o krok do przodu, gdy bestia wyciągnęła swój pysk i zaczęła węszyć. Oczy intruza, zielone, z drobnymi plamkami w kolorze bursztynu, nie wyglądały jak ślepia zwierzęcia – zwierzęta nie miały oczu o takim kształcie i tak zabarwionych.

– Zabił kogo? – zapytałam ze spokojem, który zaskoczył mnie samą.

Stwór warknął gardłowo.

– Wilka – odparł.

Serce na chwilę zamarło mi w piersi. Bestia już nie ryczała, ale spoglądała na mnie z wyraźnie wyczuwalną wściekłością. Może nawet lekko zabarwioną smutkiem. Zawodzenie Elainy przeszło w przenikliwe wycie. Uniosłam głowę do góry.

– Wilka?

– Dużego wilka o szarej sierści – warknął w odpowiedzi.

Czy zorientuje się, jeśli teraz skłamię? Czarodziejskie istoty nie były zdolne do kłamstwa – wiedzieli o tym wszyscy śmiertelnicy – ale czy potrafiły wywęszyć łgarstwa spływające z ludzkich języków? Nie mieliśmy najmniejszej szansy wykaraskać się z tej sytuacji poprzez walkę, ale może istniały inne sposoby.

– Jeśli został omyłkowo zabity – powiedziałam najspokojniej, jak tylko zdołałam – jakie zadośćuczynienie moglibyśmy zaoferować?

W myślach przekonywałam się, że to zły sen. Że zasnęłam przy trzaskającym miło ogniu, wyczerpana porankiem spędzonym na targu i popołudniem z Izaakiem, i zaraz się obudzę.

Bestia wydała z siebie szczekliwy odgłos, który mógł być szyderycznym śmiechem, po czym odepchnęła się od stołu i dreptała w koło między nami a zniszczonymi drzwiami wejściowymi. Mróz był tak silny, że dygotałam już na całym ciele.

– Musicie zaoferować zadośćuczynienie wymagane Traktatem wiążącym nasze krainy.

– Za wilka? – odparowałam.

Ojciec wymruczał moje imię ostrzegawczo.

Nie pamiętałam zbyt dobrze odbywanych we wczesnym dzieciństwie lekcji dotyczących postanowień Traktatu, ale przysięgłabym, że nie było tam nic na temat wilków.

Bestia obróciła się gwałtownie w moją stronę.

– Kto zabił wilka?

Spojrzałam wprost w jej zielone oczy.

– Ja.

Stwór zamrugał, spojrzał na moje siostry, potem z powrotem na mnie i zlustrował mnie od stóp do głów. Bez wątpienia widział we mnie jedynie wymizerowane chuchro.

– Z pewnością kłamiesz, aby je ochronić.

– Nikogo nie zabiłyśmy! – zaszlochała Elaina. – Proszę... Błagam! Oszczędź nas!

Również łkająca Nesta uciszyła ją ostro, jednocześnie zasłaniając siostrę własnym ciałem. Na ten widok poczułam bolesne ukłucie w piersi.

Ojciec wstał z klęczek, jęcząc z bólu, i zaczął powoli kuśtykać w moją stronę. Zanim do mnie dotarł, odezwałam się ponownie.

– Ja go zabiłam. – Bestia przerwała obwąchiwanie moich sióstr i ponownie przyjrzała mi

się badawczo. Wyprostowałam się. – Dziś sprzedawałam jego skórę na targu. Gdybym wiedziała, że jest jednym z fae, nie podniosłabym na niego ręki.

– Łżesz – warknął stwór. – Dobrze wiedziałaś, kim jest. Wiedza, że należy do mojego gatunku, tylko wzmogła w tobie chęć zgładzenia go.

Prawda, święta prawda.

– Czy możesz mnie za to winić?

– Czy cię zaatakował? Czy jakkolwiek cię sprowokował?

Już otwierałam usta, aby przytaknąć, jednak...

– Nie – warknęłam ostatecznie przez zaciśnięte zęby. – Ale zważywszy na to, co twój gatunek nam uczynił, co wciąż lubi nam robić... zasłużył sobie na ten los.

Lepiej umrzeć z uniesioną głową, niż płaszcząc się niczym nędzny robak.

Nawet jeśli warkot, który mi odpowiedział, był kwintesencją gniewu i wściekłości.

Blask płomieni tańczących na palenisku lśnił na obnażonych kłach bestii. Zastanawiałam się, co pocuję, kiedy zatopią się w moim gardle. Jak głośno będą krzyczały moje siostry, zanim one również zginą. Ale wtedy nagle uświadomiłam sobie, że Nesta postara się kupić Elainie dość czasu, aby ta uciekła. Nie ojcu, którym gardziła całym swoim chłodnym sercem. Nie mnie, ponieważ Nesta zawsze wiedziała, że jesteśmy dwiema stronami tej samej monety i że mogę sama walczyć z przeciwnościami losu. I zawsze mnie za to nienawidziła. Ale Elaina? Pielęgnująca swoje ukochane kwiaty, delikatna Elaina... Nesta poszłaby dla niej pod katowski topór.

Właśnie to nagłe olśnienie kazało mi wznieść trzymany wciąż w lewej dłoni nóż kuchenny i skierować czubek w stronę górującej nade mną bestii.

– Jakiego zadośćuczynienia wymaga Traktat?

– Życie za życie – odparł stwór, nie odrywając wzroku od mojej twarzy. – Każdy niesprowokowany atak człowieka na jednego z fae wymaga zapłaty w postaci ludzkiego życia.

Moje siostry nieco się uspokoiły. Najemniczka, którą spotkałam na targu, też zabiła czarodziejską istotę. Ale ona została przez nią zaatakowana.

– Nie wiedziałam – stwierdziłam. – Nie znałam tego fragmentu Traktatu.

Fae nie potrafili kłamać. Do tego bestia mówiła wprost, bez ogródek.

– Większość was, śmiertelników, uznała za stosowne zapomnieć o tym zapisie. Ale to tylko zwiększa przyjemność karania was.

Kolana się pode mną ugięły. Nie miałam szans na ucieczkę, potwór był z pewnością dużo szybszy ode mnie. Nie mogłam zresztą nawet spróbować, ponieważ blokował mi drogę do drzwi.

– Zrób to na zewnątrz – wyszeptalam drżącym głosem. – Nie... tutaj.

Nie tu, żeby potem moja rodzina musiała zmywać z podłogi moją krew i moje wnętrzności. Jeśli w ogóle pozostawi ich przy życiu.

Bestia zaśmiała się okrutnie.

– Tak łatwo godzisz się z losem? – zapytała, a gdy spojrzałam nań hardo, dodała: – Za bezczelne uzurpowanie sobie prawa do wskazania, gdzie mam cię rozdrzeć na strzępy, zdradzę ci pewien sekret, śmiertelniczko. Za życie, które odebrałaś, twoje życie musi zostać ofiarowane Prythianowi... W dowolny sposób. Zatem jako przedstawiciel nieśmiertelnej krainy mogę albo wypatroszyć cię jak świnię, albo... Możesz pójść ze mną za mur i dożyć końca swoich dni w Prythianie.

Zamrugalam.

– Słucham?

– Możesz albo umrzeć dzisiaj – wyjaśnił stwór, wypowiadając każdą sylabę powoli i wyraźnie, jakby mówił do kogo głupiego – albo oddać swoje życie nieśmiertelnym ziemiom

i zamieszkać na nich aż do śmierci, na zawsze opuszczając krainy ludzi.

– Zgódź się, Feyro – wyszeptał ojciec za moimi plecami. – Idź.

– Zamieszkać gdzie dokładnie? – zapytałam, nie spoglądając na rodziciela. – Każda piędź Prythianu jest dla nas śmiertelnie niebezpieczna.

Wolałam już zginąć rozszarpana w mroku nocy niż żyć w ciągłym lęku w krainach za murem aż do niewątpliwie dużo mniej przyjemnej śmierci.

– Mam ziemie na własność – powiedział stwór cicho, jakby niechętnie. – Pozwolę ci na nich zamieszkać.

– Dlaczego miałbyś to robić? – zadałam najgłupsze z możliwych pytań.

– Zamordowałeś mojego przyjaciela – warknęła bestia. – Zabiłeś, obdarłeś ze skóry, którą potem sprzedałeś na targu, powiedziałeś, że sobie na to zasłużył, a teraz jeszcze masz czelność kwestionować moją hojność?

„Jakież to typowo ludzkie” – zdawał się dodać pod nosem.

– Nie musiałeś wspominać o alternatywnej interpretacji zapisów Traktatu – stwierdziłam i podeszłam do niego tak blisko, że czułam na twarzy jego gorący oddech.

Fae nie mogli kłamać, ale mogli przemilczać informacje.

Potwór ponownie zawarczał.

– Nie powinienem był zapominać, że ludzie mają o nas tak niskie mniemanie. Czy wyście już zupełnie zapomnieli, czym jest litość? – zapytał. Jego kły znajdowały się ledwie kilka cali od mojego gardła. – Pozwól, dziewczyno, że ci to wyjaśnię. Możesz albo pójść ze mną i zamieszkać w moim domu w Prythianie, w pewnym sensie ofiarowując swoje życie w miejsce utraconego życia mojego wilczego przyjaciela, albo możemy wyjść na zewnątrz, gdzie rozedrę cię na strzępy. Wybór należy do ciebie.

Usłyszałam nierówne kroki ojca, a chwilę potem uścisk jego dłoni na ramieniu.

– Proszę, łaskawy panie, Feyra jest moją najmłodszą. Błagam cię, oszczędź ją. Ona jest wszystkim... Jest wszystkim...

Niestety, cokolwiek chciał powiedzieć, głos uwiązał mu w gardle, gdy bestia ponownie zaryczała. Ale usłyszeć te kilka słów, które zdołał z siebie wykrztusić; mieć świadomość wysiłku, jaki musiał w to włożyć... Było niczym cios nożem prosto w brzuch.

– Proszę... – jęknął ojciec, kuląc się za moimi plecami.

– Cisza! – ryknął potwór.

Ogarnęła mnie tak wielka wściekłość, że tylko ogromnym wysiłkiem woli powstrzymałam się od wymierzenia ciosu nożem prosto w oko stwora. Wiedziałam jednak, że gdybym tylko zaczęła wznosić ramię do ciosu, zatopiłby kły w moim gardle.

– Mogę zdobyć złoto... – nie dawał za wygraną ojciec.

Gotujący się we mnie gniew wezbrał. Jedyнным sposobem, w jaki mógł zdobyć jakiegokolwiek pieniądze, było udanie się na żebry. A nawet wtedy mógłby się uważać za szczęściarza, gdyby zdołał uzyskać choć kilka miedziaków. Na własne oczy widziałam, jak skąpi byli zamożniejsi mieszkańcy naszej wioski. Potwory mieszkające po naszej stronie muru były równie podłe, co te zamieszkujące nieśmiertelną krainę.

– Ile jest warte dla ciebie życie twojej córki? – parsknęła bestia. – Sądziysz, że można je wycenić?

Nesta cały czas zasłaniała swoim ciałem Elaine, której twarz była równie blada co śnieg wciąż wlatujący do izby przez zniszczone drzwi. Moja najstarsza siostra obserwowała każdy ruch potwora spod ściągniętych brwi. Nawet nie zerknęła na ojca, tak jakby była pewna jego odpowiedzi.

Ponieważ ojciec cały czas milczał, odważyłam się uczynić kolejny krok w stronę bestii,

aby ściągnąć jego uwagę z powrotem na siebie. Musiałam jakoś sprawić, aby wyszedł z chaty. Musiałam go odciągnąć od mojej rodziny. Mając świeżo w pamięci łatwość, z jaką intruz odbił ciśnięty przeze mnie nóż, mogłam tylko próbować ucieczki z zaskoczenia. Przy jego wyczulonym słuchu wątpiłam, aby stosowna okazja nadarzyła się w najbliższym czasie. Musiałam poczekać, aż uzna, że pogodziłam się ze swoim losem. Jeśli zaatakuję go lub spróbuję uciec przedwcześnie, zabije moją rodzinę dla czystej przyjemności, po czym wytropi mnie i... Nie miałam innego wyjścia – musiałam z nim pójść. A potem, jeśli będę cierpliwa, może nadarzy się okazja, by poderżnąć mu gardło. Lub przynajmniej unieszkodliwić go na wystarczająco długo, abym zdołała uciec.

Dopóki fae mnie ponownie nie znajdą, nie będą mogli wymagać ode mnie poddania się literze Traktatu. Nawet jeśli z tego powodu zostanę wyklęta jako wiarołomczyni. Ale jeżeli pójdę z nim, złamię najważniejsze przyrzeczenie, jakie kiedykolwiek złożyłam. Z pewnością miało większą wagę od jakiegoś starego dokumentu, którego przecież nigdy nie podpisywałam.

Poluzowałam chwyt na rękojeści noża i spojrzałam prosto w zielone oczy potwora. Milczałam przez dłuższą chwilę, aż w końcu spytałam:

– Kiedy ruszamy?

Wilcze rysy pyska pozostawały dzikie i okrutne. Wszelka moja nadzieja na powodzenie w walce z napastnikiem zgasła, gdy ruszył do drzwi... nie, do stojącego obok nich kołczana. Wyciągnął zeń jesionową strzałę, powąchał ją, parsknął gniewnie, po czym dwoma szybkimi ruchami złamał wół i cisnął do ognia. Wtedy dopiero zwrócił się do mnie, owiewając mnie dławiącym odorem swojego oddechu, zwiastującym moją zgubę.

– Teraz.

Teraz.

Nawet Elaina uniosła głowę i spojrzała na mnie z niemym przerażeniem w oczach. Nie mogłam znieść jej wzroku. Nie znalazłam w sobie też dość siły, aby spojrzeć na Nestę. Nie kiedy wciąż tkwiły nieruchomo, w milczeniu, skulone koło paleniska. Zwróciłam się w stronę ojca. Jego oczy lśniły od łez, odwróciłam więc szybko wzrok. Spojrzałam na nieliczne szafki stojące w izbie, na wyblakłe, zbyt żółte żonkile wokół uchwytów.

Teraz.

Bestia przestąpiła z nogi na nogę. Nie próbowałam nawet się domyślać, dokąd mnie zabierze ani co ze mną zamierza zrobić. Ucieczka byłaby głupotą. Musiałam czekać na dogodną chwilę.

– Mięsa powinno wam starczyć na dwa tygodnie – rzekłam do ojca, zbierając ubrania dla ochrony przed mrozem. – Najpierw dokończcie świeże, potem dopiero zajmijcie się uwędzonym. Wiesz, jak je dobrze przyrządzić.

– Feyro... – wyszeptał ojciec, ale nie dałam mu dojść do słowa i kontynuowałam, zapinając płaszcz: – Pieniądze, które uzyskałam za skóry, zostawiłam na komodzie. Starczą wam na jakiś czas... Jeśli będziecie oszczędni.

Spojrzałam na twarz ojca, aby zapamiętać jej rysy. W moich oczach zaczęły się zbierać łzy, ale pozbyłam się ich, intensywnie mrugając, i wsunęłam dłonie w wysłużone rękawice.

– Gdy nadejdzie wiosna – ciągnęłam dalej – połujcie w zagajniku na południe od łuku Srebrzanki. Znajdziecie tam dużo królików. Poproś... Poproś Izaaka Hale'a o pomoc. Pokaże ci, jak przygotować sidła. Sama go tego nauczyłam w zeszłym roku.

Ojciec kiwnął głową, zakrywając usta dłonią. Bestia warknęła ostrzegawczo i pomknęła w noc. Ruszyłam za nią, ale zanim opuściłam izbę, zatrzymałam się i obejrzałam na siostry. Tkwiły wciąż skulone przy palenisku, tak jakby nie ważyły się nawet drgnąć, dopóki nie opuszczą chaty.

Elaina poruszyła wargami, wymawiając bezgłośnie moje imię, ale nie podniosła na mnie wzroku. Spojrzałam więc na Nestę, której twarz tak bardzo przypominała oblicze naszej matki – zimne i nieugięte.

– Cokolwiek zrobisz – powiedziałam cicho – nie wychodź za Tomasa Mandraya. Jego ojciec bije swoją żonę, a żaden z jego braci nigdy nawet nie próbował go powstrzymać. – NESTA otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia, a może ze złości. Nie dałam jej nic powiedzieć i dodałam: – Sińce trudniej jest ukryć niż ubóstwo.

Nesta zeszywniała, ale nie odezwała się ani słowem. Obie zachowały milczenie. Obróciłam się w stronę zniszczonych drzwi i już miałam wyjść na zewnątrz, kiedy czyjaś dłoń złapała mnie za ramię i zatrzymała w miejscu.

Obróciłam się i spojrzałam ojcu w oczy. Kilka razy otworzył i zamknął usta, najwyraźniej nie wiedząc, jak ubrać myśli w słowa. Czekał na mnie na dworze, bestia wydała zniecierpliwiony ryk, od którego zatrzęsły się wszystkie sprzęty w izbie.

– Feyro – wykrztusił w końcu ojciec. Trzęsącymi się rękami ujął moje dłonie. Od wielu lat nie widziałam u niego tak trzeźwego i zdecydowanego spojrzenia. – Zawsze byłaś zbyt dobra na tę dziurę, córko. Zbyt dobra dla nas, zbyt dobra dla kogokolwiek tutaj. – Ścisnął mocniej moje dłonie. – Jeśli kiedykolwiek uda ci się zbiec, jeśli zdołasz przekonać ich, że spłaciłaś już swój dług... Nie wracaj tu.

Nie oczekiwałam rzewnego pożegnania, ale czegoś takiego również się po nim nie spodziewałam.

– Nigdy tu nie wracaj – zakończył swoją przemowę ojciec i ścisnął moje ramiona. – Feyro – wymówił moje imię łamiącym się głosem. – Udaj się w jakieś inne miejsce. Zaczynaj życie od nowa.

Czekał na mnie na zewnątrz, bestia była jedynie cieniem ledwo odcinającym się na tle nocy. Życie za życie... Ale co w przypadku, gdy życie ofiarowane jako zapłata oznaczało również utratę trzech innych? Ta jedna myśl wystarczyła, aby mnie zahartować, aby dać mi siłę.

Nigdy nie zdradziłam ojcu, jaką przysięgę złożyłam matce na jej łożu śmierci. Wyjaśnianie mu tego teraz nie miało zaś już najmniejszego sensu. Wyślizgnęłam się więc z jego uścisku i wyszłam.

Pozwoliłam, aby chrząst śniegu pod butami wyparł z moich myśli słowa ojca, i ruszyłam w ślad za bestią w stronę ciemnego lasu.

## Rozdział 5

Każdy krok w stronę linii drzew – zbyt szybko, zbyt lekko, zbyt wcześnie – niósł mnie ku cierpieniu i rozpacz, które na mnie z pewnością czekały.

Nie odważyłam się obejrzeć choć raz na naszą chatę.

Minęliśmy pierwsze drzewa i ruszyliśmy na spotkanie czającej się za nimi ciemności. Nagle pośród zarośli dostrzegłam cierpliwie czekającą siwą klacz. Jej umaszczenie było niesamowicie jasne, przypominało świeży śnieg w bladym świetle księżyca. Gdy bestia się do niej zbliżyła, zwierzę opuściło łeb, tak jakby się kłaniało potworowi.

Fae machnął wielką łapą w moją stronę, gestem nakazując mi dosiąść konia. Klacz zachowywała pełny spokój, nic sobie nie robiąc z bliskości stwora, który mógłby ją wypatroszyć jednym uderzeniem. Minęło wiele lat, odkąd ostatni raz jechałam konno, przy czym „konno” było w tym przypadku określeniem na wyrost, gdyż dosiadałam wtedy jedynie kucyka. Niemniej jednak miło było poczuć ciepło bijące od klaczy i rozgrzewające moje na wpół zamarznęte ciało. Usadowałam się więc wygodnie w siodle, a koń sam zaczął iść za swoim panem. Ze względu na wszechogarniającą ciemność nawet nie próbowałam nim kierować. Nie wiem zresztą, czy podołałabym temu zadaniu, nawet gdybym chciała – mój wierzchowiec niemal dorównywał wielkością idącej przed nim bestii. Nie zdziwiło mnie, że ruszyliśmy prosto na północ, ku nieśmiertelnym ziemiom. Chociaż się tego spodziewałam, strach i tak ścisnął mi żołądek tak mocno, że niemal się zgięłam w pół.

Zamieszkać z... nim. Możliwe, że resztę swojego życia spędzę na jego ziemiach. Może i okazywał mi w ten sposób łaskę, aczkolwiek przecież nie sprecyzował, w jakich warunkach przyjdzie mi żyć. Traktat zabraniał fae czynienia z nas niewolników, ale... Nie byłam pewna, czy w przypadku ludzi, którzy zabili jedną z czarodziejskich istot, nie robiono wyjątku od tej reguły.

Najpewniej zmierzamy ku wyrwie w murze, przez którą bestia dostała się na nasze tereny, aby mnie porwać. A gdy znajdziemy się po drugiej stronie tej niewidzialnej bariery, gdy już znajdziemy się w Prythianie... Moja rodzina nigdy już mnie nie odnajdzie, nigdy mnie ponownie nie zobaczy. Będę jedynie owieczką w królestwie wilków. Wilków... Wilk...

Zabiłam czarodziejską istotę. To właśnie uczyniłam.

W ustach mi zaschło. Zabiłam jednego z fae. Nie mogłam się zmusić do żalu z tego powodu. Na pewno nie w chwili, gdy pozostawiam moją rodzinę daleko za plecami na pewną śmierć głodową. Nie w sytuacji, kiedy oznaczało to po prostu jedną okrutną istotę mniej na świecie. Bestia cisnęła moją jesionową strzałę w ogień. Będę musiała liczyć na jakiś łut szczęścia, jeśli chcę zdobyć choć drzazgę tego drewna. A bez niego nie miałam najmniejszych szans na zabicie potwora czy choćby spowolnienie go.

Tylko dzięki wiedzy o tej słabości, o ich wrażliwości na jesion, przetrwaliśmy wojnę z fae wysokiego rodu, która nastąpiła po powstaniu wieki temu. Sekret ten zdradził nam jeden z nich...

Rozejrzałam się po lesie w złudnej nadziei wypatrzenia smukłego pnia zwieńczonego bujną koroną, ale nigdzie nie mogłam dojrzeć choć jednego jesionu. Nagle zdałam sobie sprawę, że nigdy w życiu nie widziałam, aby w lesie było tak cicho, tak spokojnie. Cała zwierzyna, nawet najgroźniejsze drapieżniki, musiała się panicznie bać idącej przede mną bestii, choć klacz zachowywała niezmacony spokój. Pozostawało mi mieć nadzieję, że podobnie będzie z innymi czarodziejskimi istotami po przekroczeniu magicznej granicy.

Prythian. To słowo, odbijające się wielokrotnym echem w moich myślach, brzmiało niczym wyrok śmierci.

Ziemie. Powiedział: „ziemie”. Ale co się na nich znajdowało? Klacz, której dosiadałam,

była piękna. Siodło, w którym siedziałam, było kunsztownie wykonane z wysokiej jakości skóry. To znaczyło, że fae, od którego kaprysu zależało teraz moje życie, miał jakiś kontakt z cywilizacją. Nigdy nie słyszałam nic konkretnego na temat czarodziejskich istot czy samych fae wysokiego rodu. Wszyscy opowiadali jedynie o ich sprawności w walce i nienasyconych apetytach. Ścisnęłam mocniej wodze, żeby powstrzymać dygotanie rąk.

Ciężko było o pewne informacje na temat samego Prythianu. Śmiertelnicy, którzy przekroczyli rozdzielający nasze krainy mur, czy to dobrowolnie w ramach daniny wysyłanej przez Dzieci Błogosławionych, czy wbrew swojej woli, nigdy nie wracali. Większość tego, co wiedziałam, pochodziła z zasłyszanych od mieszkańców wioski starych podań. Z rzadka ojciec raczył nas nieco łagodniejszymi opowieściami – w dni, w które zdawał się pamiętać o naszym istnieniu.

Z tego, co wiedziałam, fae wysokiego rodu nadal panowali nad północnymi krainami naszego świata – od naszej wielkiej wyspy, przez wąskie morze dzielące ją od ogromnego kontynentu, przez krainy bezdennych fiordów i zamarzniętych pustkowi, przez suche piaski wielkich pustyń, aż po bezkresny ocean. W części tych krain znajdowały się olbrzymie imperia. Inne dzieliły się na liczne królestwa. Prythian składał się z siedmiu królestw, w których panowało siedmioro książąt; istot o tak wielkiej mocy, że – jeśli wierzyć krążącym o nich legendom – potrafiły samodzielnie burzyć budynki i rozbijać całe armie. Podobno mogły zabijać tak szybko, że oko nie było w stanie uchwycić ich ruchu. Nie wątpiłam w te opowieści.

Nikt mi nigdy nie wyjaśnił, dlaczego ludzie zdecydowali się pozostać w tym, a nie innym miejscu, skoro oznaczało to tłoczenie się na niezbyt rozległym skrawku lądu, do tego tak blisko Prythianu. Głupcy. Ludzie, którzy pozostali tu po wielkiej wojnie, musieli być skończonymi głupcami. Wszak mieszkanie tak blisko potężnego wroga to prośenie się o kłopoty. Obowiązujący już od wieków Traktat gwarantujący pokój między śmiertelnikami a czarodziejskimi istotami nie zapobiegł powstaniu wyrw w magicznym murze rozdzielającym obie krainy. Wyrw wystarczająco dużych, aby te śmiertelnie groźne stwory mogły przekradać się na nasze ziemie i gnębić nas ku swej ucieście.

Dzieci Błogosławionych nigdy nie chciały przyjąć do wiadomości tej ciemnej strony Prythianu. Strony, którą miałam wkrótce poznać z bliska. Strach ścisnął mi żołądek. „Zamieszkać z nim” – przypominałam w kółko sama sobie. „Zamieszkać, nie zginąć”.

Chociaż przecież mieszkać można też i w lochach. Najpewniej zamknie mnie na cztery spusty i zapomni, że tam w ogóle jestem. Zapomni, że ludzie do życia potrzebują takich rzeczy, jak jedzenie, woda czy ciepło.

Spojrzałam przed siebie. Na tle rozgwieżdżonego nieba wyraźnie odznaczała się sylwetka idącej przede mną bestii, zwieńczona spiralnie skręconymi, potężnymi rogami. Z pyska potwora buchały kłęby pary. Kiedyś będziemy musieli rozbić obóz. Od granicy Prythianu dzieliło nas wszak wiele dni drogi. Miałam zamiar nie spać przez całą noc i nie spuszczać stwora z oczu. Chociaż moja jesionowa strzała dawno już obróciła się w popiół w palenisku naszej rodzinnej chaty, udało mi się ukryć pod płaszczem nóż. Może już wkrótce nadarzy się okazja, żeby go użyć.

Ale to nie swój los roztrząsałam w myślach, pograżając się w coraz głębszych otchłaniach paniki, wściekłości i rozpacz. Wsłuchując się w roznoszący się w nocnej ciszy rytmiczny chrzęst śniegu pod łapami i kopytami, miotalam się od wstydliwego samozadowolenia na myśl o tym, że moja rodzina zapewne umrze z głodu (co tylko świadczyło o tym, że byłam dla nich niezastąpiona), do odbierającego zmysły cierpienia na myśl o ojcu zebrzącym na ulicach, kuśtykającym z grymasem bólu na twarzy od jednego przechodnia do drugiego. Za każdym razem, gdy mój wzrok padał na grzbiet bestii, oczyma duszy widziałam ojca idącego powoli



przez wieś, błagającego o parę miedziaków, żeby mógł nakarmić moje siostry. Jeszcze czarniejsze przeczucia ogarniały mnie na myśl o tym, co mogłaby zrobić Nesta, aby uratować Elainę. Śmierć ojca nie zmartwiłaby jej na pewno, ale nie było kłamstwa, po które by nie sięgnęła, i nie było rzeczy, której by nie ukradła i nie sprzedała, żeby pomóc Elainie – i sobie samej.

Żeby odegnać dręczące mnie myśli, skoncentrowałam się na sposobie poruszania się krocącego przede mną potwora, żeby spróbować znaleźć choć jeden, dowolny słaby punkt. Niestety, bez powodzenia.

– Jakiego rodzaju istotą właściwie jesteś? – zapytałam. Mój głos niemal zaginął wśród śniegu, drzew i rozgwieżdżonego nieba.

Nie obrócił się, nie odpowiedział, nijak nie zareagował na moje słowa. Nie żebym go nie rozumiała: w końcu zabiłam jego przyjaciela.

– Czy masz jakieś imię? – spróbowałam ponownie.

„Albo chociaż jakieś miano, które mogłabym przeklinać”.

Odpowiedziało mi krótkie parsknięcie mogące uchodzić za ironiczny śmiech.

– A jakie to ma dla ciebie znaczenie, człeczyno?

Nie zareagowałam, żeby nie zmienił zdania na temat pozostawienia mnie przy życiu.

Może uda mi się uciec, zanim zdecyduje się mnie wypatroszyć? Mogłabym poprowadzić rodzinę na południe, gdzie wsiedlibyśmy na statek i popłynęli jak najdalej stąd. Może mogłabym spróbować zabić tego stwora, jakkolwiek niemożliwe by się to nie wydawało; niezależnie od tego, czy zostałoby to uznane za kolejny niesprowokowany atak? Zabić za to, że przyszedł po moje życie, moje *życie*... A przecież fae tak nisko sobie nas cenili. Najemniczka przeżyła walkę z jednym z nich. Może mi też by się udało? Może...

Już otworzyłam usta, żeby ponownie zapytać bestię o jej imię, ale wtedy stwór zawarczał z głęboką irytacją. Nie miałam nawet szansy zareagować, jakoś się obronić, kiedy poczułam silny, metaliczny, ostry zapach. Momentalnie opadło mnie wyczerpanie wydarzeniami minionego dnia i zapadłam w odrętwiającą ciemność.

\*\*\*

Obudziłam się nagle, ciągle w siodle. Krępowwały mnie jakieś niewidzialne więzy. Słońce stało już wysoko na niebie.

Magia – to musiał być ten nieprzyjemny zapach. To magia z pewnością nie pozwalała mi poruszyć ramieniem, uniemożliwiając dobyte noża. Rozpoznałam tę moc podświadomie, jakbym czerpała z jakiejś zbiorczej, ponadczasowej pamięci wszystkich śmiertelnych istot.

Jak długo byłam nieprzytomna? Jak długo ta bestia utrzymywała mnie bez zmysłów, aby nie musieć ze mną rozmawiać?

Zazgrzytałam zębami ze złości. Mogłabym zażądać odpowiedzi na moje pytania. Mogłabym krzyknąć do wciąż idącego przede mną, lecz całkowicie mnie ignorującego potwora. Ale wtedy koło mojej głowy przeleciała para świergoczących ptaków, a na twarzy poczułam powiew łagodnego wiatru. W pewnej odległości z przodu dostrzegłam metalową bramę z rosnącymi po bokach żywopłotami.

Moje więzienie czy raczej zbawienie? Nie mogłam się zdecydować.

Dwa dni. Podróż z naszej chaty do południowej granicy Prythianu trwała co najmniej dwa dni. Tak długo trzymał mnie magicznie uśpioną? Podły drań.

Podwoje rozwarły się, chociaż nigdzie nie widziałam odźwiernego czy strażnika. Stwór szedł dalej, nawet na chwilę się nie zatrzymując, a klacz poniosła mnie w ślad za nim.

## Rozdział 6

Posiadłość została wybudowana wśród łagodnych pagórków pokrytych zieloną trawą. Nigdy wcześniej nie widziałam czegoś podobnie wspaniałego. Nawet nasza dawna rezydencja nie mogła się z tym równać. Po alabastrowych ścianach budynku pięły się róże i ozdobny bluszcz. Tu i ówdzie wyrastały tarasy, balkony i schodki. Całość otaczał las, ale posiadłość była tak rozległa, że jej drugi koniec z trudem można było dostrzec. Tyle barw, tyle światła słonecznego, tyle ruchu, tyle różnych faktur... Ledwo nadążałam chłonąć to wszystko. Próba namalowania tego, co widziały moje oczy, była z góry skazana na porażkę. Żaden obraz nie zdołałby oddać wspaniałości rezydencji i jej otoczenia.

Podziw przyćmiłby wcześniejszy strach, gdyby otoczenie nie było tak puste i ciche. Nawet w ogrodzie, który właśnie przemierzaliśmy, krocząc żwirową alejką prowadzącą aż do głównego wejścia, panowała głucha cisza i niczym niezmacony spokój. Nad zapachem poruszanych łagodną pieszczotą wiatru ametystowych irysów, bladych przebiśniegów i jaskrawożółtych zonkili unosił się ledwo wyczuwalny metaliczny odór.

Musiała to oczywiście być magia – wiosenny krajobraz w środku zimy? Jaką przeklętą mocą dysponowali, aby uczynić swoje ziemie tak odmiennymi od naszych? Aby władać porami roku i pogodą? Wzdłuż pleców spłynęła mi strużka potu. Zaczynałam się gotować w zimowym ubraniu. Poruszyłam nadgarstkami i zmieniłam pozycję w siodle. Więzy, które mnie wcześniej krępowały, zniknęły bez śladu.

Bestia wysforowała się naprzód, zwinnie przeskakując po kilka marmurowych schodów prowadzących do wielkich dębowych drzwi. Gdy tylko potwór do nich dotarł, masywne skrzydła bezgłośnie stanęły otworem i właściciel domu wkroczył do środka. Bez wątplenia wszystko sobie dokładnie zaplanował. Celowo utrzymywał mnie w stanie nieprzytomności, żebym nie wiedziała, gdzie jestem, żebym nie potrafiła odnaleźć drogi powrotnej do domu, a także żebym nie miała pojęcia, jakie niebezpieczeństwa się na niej kryły. Poszukałam ręką noża, ale znalazłam jedynie kilka warstw postrzępionych ubrań.

Na samą myśl o tych pazurach przetrząsających mój płaszcz w poszukiwaniu noża zaschło mi w ustach. Odsunęłam jednak od siebie wściekłość, przerażenie i odrazę, ponieważ miałam na głowie ważniejsze rzeczy. Choćby to, że klacz zatrzymała się sama z siebie u stóp schodów. Sugestia była aż nazbyt zrozumiała. Górzące nade mną ściany rezydencji zdawały mi się przyglądać wyczekująco.

Obejrzałam się za siebie na wciąż otwartą bramę. Jeśli miałam spróbować uciec, to teraz.

Na południe, trzeba mi było tylko iść na południe. W końcu dotarłabym do muru. Oczywiście jeśli po drodze nie spotkałabym niczego, co by mnie powstrzymało. Szarpnęłam wodze, ale klacz nie ruszyła się z miejsca. Wbiłam pięty w jej boki, ale ani drgnęła. Syknęłam przeciągle z irytacją. W porządku, jak sobie chce. Pójdę pieszo.

Gdy zeskoczyłam na ziemię, kolana się pode mną ugięły, a przed oczami zatańczyły mroczki. Chwyciłam się siodła, aby nie upaść, i skrzywiłam się z bólu odrętwiałych kończyn i pustego brzucha. Teraz, musiałam uciekać teraz. Chciałam ruszyć, ale świat wciąż wirował i migotał.

Tylko głupiec uciekał, nie mając żadnego jedzenia ani dość sił.

W obecnym stanie nie przebyłabym nawet pół mili. Ten potwór dogoniłby mnie i rozerwał na strzępy, tak jak obiecał.

Odetchnęłam głęboko, trzęsąc się na całym ciele. Jedzenie. Najpierw coś zjeść, a potem uciec przy pierwszej sposobności. To był świetny plan.

Kiedy poczułam się na tyle dobrze, aby móc iść, nie ryzykując upadku na schodach, puściłam siodło i ruszyłam powoli w górę, w stronę drzwi. Oddychając ciężko, przekroczyłam próg wciąż otwartych wrót i weszłam do mrocznej sieni.

Wewnątrz rezydencja okazała się jeszcze bardziej wytworna. Posadzka była mozaiką białego i czarnego marmuru. W głąb domu prowadziły niezliczone drzwi. Na środku pięły się w górę poskręcane schody. Na wprost prowadził długi hol z wielkimi szklanymi drzwiami na drugim końcu budynku, przez które można było dostrzec fragment ogrodu jeszcze większego i jeszcze wspanialszego od tego z przodu. Żadnego śladu lochów ani krzyków błagających o litość dobiegających gdzieś z podziemi rezydencji. Tylko gardłowy warkot z jednego z pobliskich pomieszczeń; tak niski, że wprawił w drżenie rozstawione na licznych stolikach wazy wypełnione wielkimi bukietami hortensji. Jakby w odpowiedzi na ten dźwięk wypolerowane na połysk drewniane drzwi po mojej lewej otworzyły się na oścież. Polecenie aż nazbyt zrozumiałe.

Potarłam oczy drżącymi palcami. Wiedziałam, że fae wysokiego rodu niegdyś budowali w różnych częściach świata wielkie pałace i świątynie, które potem, po wielkiej wojnie moi śmiertelni przodkowie zniszczyli kierowani mściwością. Jednak nigdy nie zastanawiałam się, jak te istoty mieszkały obecnie, w jakiej żyły elegancji i w jakich pływały się luksusach. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że czarodziejskie krwiożercze potwory mogą zamieszkiwać posiadłości wspanialsze od czegokolwiek wybudowanego ludzkimi rękami.

Z nerwami napiętymi jak postronki weszłam do pomieszczenia.

Większość miejsca zajmował długi stół – dłuższy od wszystkich, jakie kiedykolwiek mieliśmy w naszej rezydencji – zastawiony jedzeniem i piciem. Było tam tyle potraw, niektórych wciąż gorących, że moje usta momentalnie wypełniły się śliną. Przynajmniej rozpoznawałam dania, nie były to jakieś dziwaczne czarodziejskie delikatesy, ale drób, chleb, groch, ryby, szparagi, jagnięcina... W każdej posiadłości śmiertelników zostałyby to uznane za wystawną ucztę. Kolejna niespodzianka. Bestia podeszła do olbrzymiego fotela stojącego u szczytu stołu.

Trwałam na progu sali, wpatrując się w potrawy – te wszystkie ciepłe, wspaniałe dania – których nie mogłam tknąć. To była pierwsza zasada wpajana dzieciom, zwykle za pomocą piosenek czy rymowanek: „Jeśli podły los sprawi, że z czarownym ludem spotkasz się, nigdy nie próbuj ich strawy, wina i miodów też strzeż się”. No, chyba że ktoś chciał zaprzedać fae swoje ciało i swoją duszę. Chyba że ktoś chciał zostać zawleczoney z powrotem do Prythianu. No dobrze, to drugie już mnie spotkało, ale może miałam jeszcze szansę uniknięcia tego pierwszego.

Bestia opadła ciężko na fotel. Drewno zajęczało w proteście, błysnęło oślepiająco białe światło i... W miejscu potwora siedział mężczyzna o złotych włosach.

Zdusiłam okrzyk zdumienia i oparłam się o drewnianą boazerię obok drzwi, dłonią szukając po omacku framugi, usiłując oszacować odległość dzielącą mnie od wyjścia z tego przekłętego domu. Bestia nie mogła być jedną z pomniejszych istot zamieszkujących Prythian. Należała do fae wysokiego rodu, rządzących tą krainą istot – pięknych, groźnych i bezlitosnych.

Mężczyzna był młody, a przynajmniej takie sprawiała wrażenie ta część twarzy, którą mogłam dostrzec. Nos, policzki i brwi zakrywała kunsztowna złota maska wysadzana szmaragdami oszlifowanymi na kształt liści. Bez wątplenia był to przejaw jakiejś absurdalnej mody panującej wśród jego pobratymców. Odślonięte pozostawały tylko oczy – które wyglądały tak samo jak w jego potwornej formie – silna szczęka i usta (chwilowo mocno zaciśnięte).

– Powinnaś coś zjeść – powiedział.

Ubrany był w ciemnozieloną tunikę, której prosty krój kontrastował z wytwornością maski. Strój zdobił jedynie skórzany pas przewieszony na skos przez pierś niczym szarfa. Ubiór sprawiał wrażenie bardziej wojskowego niż dworskiego, chociaż nie mogłam dostrzec żadnej

bronii. A zatem nie tylko był jednym z fae wysokiego rodu, ale również wojownikiem.

Nie chciałam się nawet zastanawiać, z jakiego powodu miał na sobie w tej chwili wojskowy ubiór. Usiłowałam też nie przyglądać się zbyt natrętnie skórze pasa lśniącej na jego ramieniu w promieniach słońca wpadających do pomieszczenia przez rząd okien umieszczonych za jego plecami. Od miesięcy nie widziałam tak bezchmurnego nieba. Mój gospodarz napenił stojący obok talerza kielich winem z przepięknej kryształowej karafki i wziął solidny łyk. Tak jakby tego potrzebował.

Przesunęłam się minimalnie w stronę drzwi. Serce łomotało mi z zawrotną szybkością. Czułam się, jakbym miała zaraz zwymiotować. Natrafiłam palcami na chłodny metal zawiasów. Jeśli będę szybka, w kilka sekund zdołam wypaść z domu i pobiec do bramy. On był z pewnością szybszy ode mnie, ale będzie musiał obieć ten masywny stół, a to powinno dać mi trochę czasu. Z drugiej strony jego lekko spiczaste uszy na pewno wychwycą najmniejszy szmer z mojej strony.

– Kim jesteś? – zdołałam wykrztusić.

Jasnozłote włosy mężczyzny miały tę samą barwę co futro w jego potwornej postaci. Potężne pazury bez wątpienia wciąż czały się tuż pod skórą.

– Siadaj – powiedział ostro i zatoczył szeroką dłonią krąg nad stołem. – Jedz.

W głowie powtarzałam w kółko wszystkie znane mi wierszyki i rymowanki. Gra nie była warta świeczki – nie warto ryzykować zniewolenia duszy i umysłu dla możliwości zaspokojenia głodu.

Mój gospodarz warknął cicho.

– Chyba że wolisz zemdleć?

– To niebezpieczne dla ludzi – wymamrotałam, nie dbając już o to, czy go obrażę.

Zaśmiał się cicho – raczej drapieźnie niż wesoło.

– Jedzenie jest dla ciebie całkowicie bezpieczne, człeczyno. – Zdecydowane spojrzenie tych dziwnych zielonych oczu osadziło mnie w miejscu. Tak jakby potrafił wyczuć napięcie wszystkich moich mięśni gotujących się do ucieczki. – Odejdź, jeśli chcesz – dodał, szczerząc zęby. – Nie mam zamiaru cię więzić. Brama jest otwarta. Możesz zamieszkać w dowolnym zakątku Prythianu.

„Gdzie zostaną bez wątpienia zjedzona lub gdzie będę torturowana przez jakąś przeklętą czarodziejską istotę”. Ale chociaż to miejsce było czyste i piękne, a do tego wydawało się w pełni cywilizowane, musiałam stąd odejść. Musiałam wrócić. Obietnica złożona matce była wszystkim, co miałam. Fakt, że moją rodzicielkę zapamiętałam jako chłodną i prózną, nijak tego nie zmieniał. Nie zrobiłam najmniejszego ruchu w stronę zastawionego stołu.

– W porządku – powiedział zirytowany i zaczął nakładać sobie jedzenie.

Przed konsekwencjami ponownej odmowy ocaliło mnie wejście do sali nowej osoby. Nieznajomy minął mnie, nawet na mnie nie patrząc, i szybkim krokiem podszedł do stołu.

– No i? – zapytał przybysz.

Był również jednym z fae wysokiego rodu. Miał rude włosy, a ubrany był w elegancką tunikę utkaną z nici w kolorze oksydowanego srebra. Twarz nieznajomego również przesłaniała maska. Nowo przybyły uklonił się nieznacznie gospodarzowi, po czym stanął w lekkim rozkroku ze skrzyżowanymi na piersi ramionami. Wciąż nie zauważał mnie stojącej z plecami przyciśniętymi do ściany tuż obok drzwi, przez które przed chwilą przeszedł.

– Co „no i”? – Złotowłosy fae przechylił głowę ruchem bardziej zwierzęcym niż ludzkim.

– Czy Andras nie żyje?

Gospodarz skinął głową. Wciąż nie wiedziałam, jak o nim myśleć. Jak o więzającym mnie tyranie czy jak o kimś, komu zawdzięczam życie?

– Przykro mi – powiedział cicho.

– Jak? – Nieznajomy nie ustępował. Zacisnął dłonie na ramionach, aż pobiełały mu knykie.

– Jesionowa strzała – odparł pan domu, a rudzielec syknął. – Magia Traktatu zaprowadziła mnie do śmiertelniczki. Otoczyłem ją swoją opieką.

– Dziewczyna... Zwykła śmiertelna dziewczyna zdołała zabić Andrasa. – Nie tyle spytał, ile stwierdził; a każde słowo wręcz ociekało jadem. Przybysz zerknął na przeznaczone dla mnie puste krzesło. – I magia Traktatu ujawniła jej winę.

Fae w złotej masce zaśmiał się gorzko i wskazał na mnie.

– Magia Traktatu zaprowadziła mnie prosto na próg jej domu.

Nieznajomy obrócił się błyskawicznie z niesłychaną gracją i płynnością ruchów. Jego maska była wykonana z brązu i przypominała pysk lisa. Zakrywała całą górną część twarzy, w tym większą część raczej paskudnie wyglądającej blizny biegnącej ukośnie od linii szczęki. Wycięcia w masce odsłaniały oczy, a właściwie oko, ponieważ drugi oczodół przecinała ta sama blizna, a gałkę oczną zastępowała złota kulka, która... Poruszała się razem z jego zdrowym okiem! A teraz spoglądała wprost na mnie...

Chociaż stał w pewnej odległości ode mnie, wyraźnie widziałam, jak źrenica zdrowego, rdzawobrunatnego oka się rozszerza. Przybysz pociągnął nosem i wykrzywił usta, odsłaniając równe, białe zęby. Po chwili odwrócił się z powrotem w stronę pana domu.

– Żarty sobie ze mnie stroisz – powiedział cicho. – To rachityczne coś zabiło *Andrasa* jedną jesionową strzałą?

Drań. Skończony drań. Szkoda, że nie miałam teraz ze sobą tej strzały. Chętnie bym go nią przesłała.

– Przyznała się do tego czynu – powiedział stanowczo złotowłosy mężczyzna, wodząc palcem po brzegu kielicha.

Paznokciec przeistoczył się w długi, ostry pazur, który nieprzyjemnie zgrzytał o metal naczynia. Musiałam wyteńczyć całą siłę woli, aby oddychać miarowo. Zwłaszcza po tym, jak dodał:

– Nie próbowała nawet zaprzeczyć.

Przybysz oparł się o brzeg stołu. Promienie słońca zatańczyły na długich, ognistorudych włosach. Zrozumiałam, dlaczego nosił maskę; ta blizna wyglądała naprawdę paskudnie. Ale gospodarz nie wydawał się w żaden sposób oszpecony. Może ukrywał twarz w wyrazie solidarności? Może to tłumaczyło tę absurdalną modę...

– Cóż – wysyczał rudzielec – teraz, dzięki twojej bezsensownej litości, zostało nam tylko *to*, a ty zmarnowałeś...

Zrobiłam krok do przodu. Tylko jeden mały krok. Nie miałam pewności, co chcę powiedzieć, ale gdy wyrażano się o mnie w ten sposób... Nie otworzyłam nawet ust, ale sam ruch wystarczył.

– Czy zabicie mojego przyjaciela sprawiło ci przyjemność, człeczyno? – zapytał rudy nieznajomy. – Czy zawahałaś się choć przez chwilę? Czy też nienawiść w twoim sercu płonąła zbyt jasnym ogniem, żebyś choć przez chwilę rozważyła pozostawienie go przy życiu? Takiej mizernej śmiertelniczce zabicie go musiało sprawić olbrzymią satysfakcję.

Złotowłosy nie powiedział nic, ale twarz mu stężała. Przyszpilona ich spojrzeniami sięgnęłam po nóż, którego nie było na swoim miejscu.

– Nieważne – dodał fae z lisią maską i spojrział na swojego pobratymca z ustami wykrzywionymi w szyderyczym uśmiešku. Gdybym nawet dożyła jakiejś broni, zapewne tylko by się roześmiał. – Może jest jakiś sposób, aby...

– Lucienie – przerwał mu cicho gospodarz, z ledwo słyszalną nutą dezaprobaty w głosie.  
– Zachowuj się.

Lucien zeszywniał, ale oderwał dłonie od stołu, obrócił się do mnie i głęboko uklonił.

– Łaskawa pani raczy wybaczyć. – Kolejne wycelowane we mnie szyderstwo. – Imię me brzmi Lucien, dworzanin i poseł. – Uczynił dłonią szeroki gest w moją stronę. – Twe oczy lśnią niczym gwiazdy, a włosy przywodzą na myśl polerowane złoto.

Przechylił głowę, najwyraźniej czekając na rewanż z mojej strony. Ale gdybym mu się przedstawiła, gdybym zdradziła mu cokolwiek o mnie, o mojej rodzinie, skąd pochodzę...

– Na imię jej Feyra – powiedział gospodarz. Bestia. Musiał usłyszeć moje imię w naszej chacie. Głębokie zielone oczy ponownie spotkały moje. – Alis zaprowadzi cię do twojej komnaty – dodał, dyskretnym ruchem głową wskazując drzwi. – Przydałaby ci się kąpiel. I czyste ubranie.

Nie mogłam się zdecydować, czy miała to być obelga, czy też nie. Czyjaś silna dłoń ujęła mnie za łokieć tak niespodziewanie, że aż podskoczyłam. Spojrzałam w bok i ujrzałam pulchną kobietę o brązowych włosach. Twarz kryła za ptasią maską. Pociągnęła mnie za rękę i głową wskazała otwarte drzwi za plecami. Na prostego kroju brązową sukienkę narzucony miała śnieżnobiały fartuch służącej. Moda na maski najwyraźniej wykraczała poza kręgi wysoko urodzonych.

Jeśli tak dużą wagę przywiązywali do swojego ubioru, a nawet do ubrania swojej służby, może byli wystarczająco płytki i próżni, abym zdołała ich zwieść (choć gospodarz nosił się po wojskowemu...). Jednak mimo wszystko miałam do czynienia z fae wysokiego rodu. Musiałam postępować w sposób przemyślany i skryty. Nie mogłam też zbyt szybko się spieszyć, aby nie zaprzepaścić szansy na ucieczkę. Pozwoliłam więc Alis zaprowadzić się do mojej komnaty. Komnaty, nie celi. Zawsze jakaś ulga.

Ledwo zdołałyśmy uczynić kilka kroków, kiedy Lucien warknął do naszego gospodarza:

– A więc takie karty rozdał nam Kocioł? *Ona* zabiła Andrasa? Nie powinniśmy byli go tam wysłać. Żaden z nas nie powinien być zmuszony tam iść. Ta wyprawa była z góry skazana na porażkę. – Barwa jego głosu zdradzała raczej gorzki żal niż żądzę zemsty. Czy on również potrafił zmieniać swój kształt? – Może winniśmy zwyczajnie stawić im czoła? Może w końcu nadszedł czas powiedzieć „dość”? Porzucić dziewczynę gdzieś, gdziekolwiek. Zabić ją. Mnie to za jedno. Tutaj jest niczym więcej jak kłopotem. Prędszej wrazi ci nóż w plecy, nim z tobą porozmawia. Nim porozmawia z kimkolwiek z nas.

Mimo potwornego spięcia starałam się oddychać spokojnie, miarowo...

– Nie – odparł drugi z mężczyzn. – Nie zrobimy nic, dopóki nie upewnimy się, że nie ma innego wyjścia. Jeśli zaś chodzi o dziewczynę, to zostanie tutaj. I włos jej z głowy nie spadnie. To nie podlega dyskusji. Jej życie w tamtej norze było wystarczająco ciężkie.

Poczułam, jak na policzki występują mi rumieńce. Odetchnęłam głęboko i usilnie starałam się nie spojrzeć na Alis, której wzrok czułam właśnie na sobie. „W tamtej norze”. Cóż, w porównaniu z tym pałacem tak zapewne jawiła mu się nasza chata.

– Wiesz zatem, co musisz zrobić, bracie – stwierdził Lucien. – Jestem przekonany, że jej życie wspaniale zastąpi życie Andrasa. Może nawet będzie mogła ćwiczyć razem z pozostałymi na granicy.

Przepełnione irytacją parsknięcie odbiło się echem od ścian.

Reszty już nie usłyszałam, gdyż zatonąłam w lśniących, pozbawionych najmniejszej skazy korytarzach rezydencji.

\*\*\*

Alis długo prowadziła mnie licznymi korytarzami o ścianach inkrustowanych złotem

i srebrem, aż wreszcie dotarliśmy do urządzonej z przepychem sypialni na drugim piętrze. Muszę przyznać, że nie stawiałam zbyt dużego oporu, gdy Alis wespół z dwiema innymi służącymi (również noszącymi maski) rozebrały mnie, wykąpały, przystrzygły moje włosy i oczyściły tak dokładnie, że czułam się jak kurczak szykowany na wieczerzę. Z drugiej strony tak właśnie mogło się stać – może będę ich następnym posiłkiem?

Zachowywałam względny spokój tylko dzięki wspomnieniu przyrzeczenia fae, który mnie tu przyprowadził – że nie zostanę zabita, ale dożyję końca swoich dni w Prythianie. Chociaż wszystkie spotkane w rezydencji istoty wyglądały dość ludzko (poza spiczastymi uszami), nie udało mi się ustalić, jak fae wysokiego rodu nazywali swoją służbę. Nie ważyłam się ich o to zapytać; bałam się nawet do nich słowem odezwać. Stałam bezbronna między służącymi, podczas gdy one się mną zajmowały... Musiałam wyteńczyć całą siłę woli, aby nie dygotać ze strachu.

Gdy ujrzałam suknię z turkusowego aksamitu, którą Alis położyła na łóżku, owinęłam się ciasniej połami białego szlafroka i opadłam na fotel, błagając, aby zwrócono mi moje stare ubrania. Alis zignorowała moje prośby, a gdy je ponowiłam, starając się ze wszystkich sił brzmieć żałośnie i smutno, zagniewana wyszła z komnaty. Od lat nie nosiłam sukni. I nie zamierzałam ponownie żadnej zakładać – nie w sytuacji, gdy najważniejszy był dla mnie mój plan ucieczki. W takiej kreacji straciłabym swobodę ruchów.

Siedziałam w szlafroku dobrych parę minut, wsłuchując się w dobiegający zza okien świergot ptaków dokazujących w pałacowych ogrodach. Żadnych krzyków, żadnego szczęku broni, żadnych odgłosów sugerujących mordowanie lub torturowanie ludzi.

Sypialnia, w której się znajdowałam, była większa od całej naszej chaty. Ściany pokrywała zielona tapeta z delikatnymi wzorami wyszytymi złotą nicią. Wszystkie sztukaterie również wykonano ze złota. Gdyby nie korespondowały tak dobrze z wykładanymi kością słoniową meblami i wzorzystymi dywanami, uznałabym je pewnie za nieco kiczowate. Łóżko, a raczej olbrzymie łoże, wpisywało się w styl sypialni. Zasłony wiszące z trzech stron mebla poruszały się na lekkim wietrze wpadającym do pomieszczenia przez otwarte okna. Szlafrok, który miałam na sobie, uszyty był z najwyższej jakości jedwabiu i obrębiony koronką tak delikatną i piękną, że nie mogłam się powstrzymać od mimowolnego wodzenia palcami po wyłogach.

Ta garść opowieści, które wcześniej słyszałam, okazała się mijać z prawdą. Albo też pięćset lat rozdzielenia krainy magii od świata śmiertelników nieco je zdezaktualizowało. Owszem, byłam zwierzyną, ofiarą, zdobyczą. W porównaniu z mieszkańcami Prythianu byłam słaba i bezużyteczna. Ale to miejsce... emanowało spokojem. Chyba że to również było iluzją, a „alternatywna interpretacja” zapisów Traktatu – kłamstwem; oszustwem, które miało uspić moją czujność, zanim odbiorą mi życie. Słyszałam wszak, że fae wysokiego rodu lubią bawić się swoim pożywieniem, zanim je skonsumują.

Drzwi zaskrzypiały. To Alis wróciła z naręczem ubrań. Uniosła do światła przesiąkniętą wodą szarą koszulę.

– Chcesz założyć to? – zapytała. Spojrzałam na dziury na bokach i łokciach. – Rozpadło się, gdy tylko praczki włożyły ją do wody. – Opuściła koszulę i pokazała mi kilka postrzępionych brązowych pasków skóry. – A to wszystko, co zostało z twoich spodni.

Zmełłam przekleństwo, które cisnęło mi się na usta. Może i była tylko służącą, ale gdyby chciała, mogłaby bez trudu mnie zabić.

– Czy teraz założysz suknię? – zapytała.

Wiedziałam, że powinnam wstać i zrobić to, o co mnie prosiła, ale tylko bardziej się zapadłam w fotel. Alis wpatrywała się we mnie przez chwilę, po czym wyszła bez słowa.

Wróciła ze spodniami i tuniką akurat mojego rozmiaru. Jedno i drugie było bardzo wzorzyste i kolorowe. Może trochę zbyt wyszukane jak na mój gust, ale nie zaprotestowałam, tylko zdjęłam szlafrok, a następnie rozpięłam guzy granatowej tuniki i przesunęłam dłońmi po szorstkim złotym hafcie na wyłogach. On jeden musiał kosztować fortunę. Do tego mile lechtał tę bezużyteczną część mojego umysłu, która uwielbiała wszystko, co śliczne, dziwaczne i kolorowe.

Byłam zbyt młoda, żeby pamiętać wiele z czasów przed kłopotami ojca. Tolerował mnie na tyle, aby nie przeganiać mnie ze swojego składu. Czasem nawet wyjaśniał wartość i znaczenie różnych towarów, napędzając mi głowę szczegółowymi informacjami, które już dawno z niej uleciały. Czasowi spędzonemu z nim w składach nasyconych aromatem egzotycznych przypraw i melodią obcych języków zawdzięczam większość moich wesołych wspomnień. Dzięki temu, choć nie potrafiłabym określić dokładnej wartości wszystkiego, co znajdowało się w tej komnacie, rozumiałam, że za same zasłony ze szmaragdowego jedwabiu wyszywanego złotą aksamitną nicią cała moja rodzina miałaby dość jedzenia do końca życia.

Przeszył mnie zimny dreszcz. Minęło już parę dni, odkąd zostałam zabrana z domu. Zapewne wkrótce skończy im się wędzona sarnina.

Alis zaprowadziła mnie przed pusty kominek i kazała usiąść na krześle z niskim oparciem. Nie oponowałam, gdy zaczęła rozczesywać moje włosy i zaplatać je w warkocz.

– Praktycznie sama skóra i kości – powiedziała, cierpliwie zmagając się z moimi splątanymi włosami.

– Zima nie jest łaskawa dla śmiertelnych – odparłam, starając się wyprzeć hardość z głosu.

Zaśmiała się krótko pod nosem.

– Jeśli masz dość oleju w głowie, będziesz trzymać buzię na kłódkę i mieć uszy otwarte. Milczenie i nauka bardziej ci się przysłużą niż chlapanie ozorem. I uważaj. Tutaj nawet własne zmysły mogą próbować cię oszukać.

Staralam się nie skulić na te słowa.

– Niektórzy z pewnością wściekną się z powodu Andrasa – kontynuowała Alis. – Ale jeśli o mnie chodzi, to był dobrym strażnikiem, lecz zdawał sobie sprawę z tego, co go może spotkać, gdy przekroczy mur. Wiedział, że zapewne napyta sobie biedy. No i pozostali doskonale znają warunki Traktatu. Nawet jeśli mierzyć ich będzie twoja obecność tutaj, najważniejsze, że nasz pan okazał ci łaskę. Nie wychylaj się więc, a pozostawią cię w spokoju. No, chyba że Lucien... Jemu przydałoby się, gdyby ktoś go ustawił do pionu. Jeśli znajdziesz w sobie dość odwagi, by to zrobić.

Nie sądziłam, abym się na to zdobyła. Gdy uznałam, że warto zapytać, kogo powinnam unikać, Alis już skończyła z moimi włosami i otworzyła drzwi prowadzące na korytarz.



## Rozdział 7

Gdy Alis zaprowadziła mnie z powrotem do jadalni, złotowłosa fae wysokiego rodu i Lucien wciąż siedzieli przy stole, z którego uprzątnięto już talerze. Sączyli wino ze złotych kielichów; z prawdziwego złota, a nie tylko pomalowanych złotą farbą czy pozłacanych. Przystanąłam na środku pomieszczenia i wspomniałam nasze pomieszane sztuce. Takie bogactwo, takie oszalamiające bogactwo, podczas gdy my nie mieliśmy nic.

„Póldzikie zwierzę” – tak mnie nazywała Nesta. Lecz w porównaniu z nimi, w porównaniu z tym miejscem; z niewymuszoną elegancją, z jaką trzymali swoje kielichy, ze sposobem, w jaki złotowłosa nazywał mnie „człeczyną”... Dla fae wszyscy musieliśmy być póldzikimi zwierzętami. Chociaż przecież to oni mogli przemierzać świat okryci futrem i uzbrojeni w pazury.

Na środku stołu wciąż stały misy i półmiski z jedzeniem. Woń przypraw unosiła się w powietrzu, wabiąc, przyzywając... Z głodu kręciło mi się w głowie.

Maska gospodarza lśniła w ostatnich promieniach popołudniowego słońca.

– Zanim zapytasz ponownie: możesz bezpiecznie jeść. – Wskazał mi krzesło na drugim końcu stołu. Jego palec kończył się zwykłym paznokciem. Żadnych pazurów. Gdy przez dłuższą chwilę się nie poruszyłam, westchnął ciężko i dodał: – Czego zatem chcesz?

Nie odpowiedziałam.

„Zjeść, uciec, ocalić rodzinę...”

– Mówiłem ci, Tamlinie – powiedział Lucien, przeciągając każdą sylabę, i zerknął na towarzysza. – Przez ostatnie kilkadziesiąt lat twoje umiejętności postępowania z kobietami nieco stępiały.

A więc ma na imię Tamlin. Gospodarz zgromił Luciena wzrokiem i poprawił się na krześle. Zastanawiałam się, czy zauważyli, jak zeszywniałam, słysząc ostatnie zdanie Luciena. Ostatnie *kilkadziesiąt* lat?

Tamlin nie wyglądał na dużo starszego ode mnie... Ale też przecież należał do nieśmiertelnej rasy. Mógł mieć równie dobrze setki lat. Nawet tysiące! Zwiżyłam językiem wyschnięte nagle wargi i uważnie przyjrzałam się ich twarzom, a przynajmniej tym częściom, których nie zasłaniały maski. Ich urodę można było opisać jako nieziemską, pierwotną i szlachetną. Jak u przedwiecznych bogów lub ich demonicznych dworzan.

– Cóż – dodał Lucien, przyglądając mi się swoim zdrowym okiem – teraz wyglądasz zdecydowanie lepiej. Przynosi mi to pewną ulgę, skoro masz z nami zamieszkać. Chociaż tunika nie jest tak ładna jak suknia.

Wilki sprężone do skoku – tym właśnie byli, zupełnie jak ich martwy przyjaciel.

– Wolałabym nie zakładać tamtej sukni – powiedziałam boleśnie świadoma mojej dykcji, każdego nabieranego oddechu.

– A dlaczegoż to? – zapytał Lucien półgębkiem.

Zanim zdążyłam otworzyć usta, Tamlin odpowiedział:

– Bo zabicie nas przyjdzie jej łatwiej w spodniach.

Staralam się zachować kamienną twarz i zapanować nad rytmem serca.

– Teraz – powiedziałam – kiedy już jestem tutaj... Co... Co zamierzacie ze mną zrobić?

Lucien parsknął, a Tamlin zachnął się i odpowiedział zirytowanym tonem:

– Siadaj.

Alis odsunęła krzesło stojące przy końcu stołu. Tyle jedzenia, ciepłego jedzenia, pachnącego tymi wszystkimi nęcącymi przyprawami. W czasie gdy byłam kąpana, służba

zapewne wniosła nowe potrawy. Tyle jedzenia się marnowało... Zaciśnęłam dłonie w pięści.

– Nie ugryziemy cię. – Lucien wyszczerzył swoje równe, białe zęby w sposób sugerujący coś zgoła przeciwnego.

Staralam się unikać jego wzroku, nie patrzeć w to dziwne, poruszające się metalowe oko, którego spojrzenie przesywało mnie na wylot, gdy powoli osunęłam się na krzesło. Tamlin wstał i ruszył wolno wzdłuż stołu w moją stronę. Był coraz bliżej i bliżej... Jego ruchy były niesłychanie płynne, jak u groźnego drapieżnika upojonego swoją potęgą. Z trudem usiedziałam nieruchomo – zwłaszcza gdy wziął ze stołu półmisek z mięsem, przełożył część na mój talerz, po czym polał obficie sosem z pobliskiej sosjerki.

– Sama potrafię się obsłużyć – powiedziałam cicho.

Zrobiłabym wszystko – *cokolwiek* – byle tylko utrzymać go z dala ode mnie.

Tamlin zamarł. Był tak blisko, że jeden ruch ręką wystarczyłby mu, aby rozerwać mi gardło pazurami czyhajacymi pod jego skórą. To dlatego na skórzanym pasie przewieszonym przez ramię nie nosił żadnej broni. Po co komu broń, jeśli samemu się nią było?

– Dla człowieka to zaszczyt być obsługiwanym przez jednego z fae wysokiego rodu – powiedział oschle.

Przełknęłam głośno ślinę. Gospodarz powrócił do nakładania różnych potraw na mój talerz, aż uzbierał się tego okazały stos, po czym napelnił mój kielich musującym winem. Odetchnęłam spokojniej dopiero, gdy wrócił na swoje miejsce, chociaż zapewne i stamtąd dobrze to usłyszał.

Nie pragnęłam nic innego, tylko rzucić się na jedzenie leżące na moim talerzu i nie przestawać jeść, aż przegryzę się przez talerz i dotrę do stołu. Powstrzymałam się jednak, wsunęłam dłonie pod uda i wbiłam wzrok w siedzących na drugim końcu stołu fae.

Przyglądali mi się zbyt uważnie, aby mogło to ujść za niedbałe spojrzenie. Tamlin wyprostował się nieco i powiedział:

– Wyglądasz... Lepiej niż wcześniej.

Czy to był komplement? Przysięgåłabym, że Lucien zachęcił towarzysza skinięciem głowy.

– A twoje włosy są... czyste.

Prawdopodobnie z powodu odbierającego zmysły głodu uznałam, że złotowłosy fae nieudolnie usiłuje skomplementować mój wygląd. Odchyliłam się na oparcie krzesła i odezwałam cichym, spokojnym głosem, jakim przemawiałabym do dowolnego napotkanego drapieżnika:

– Należycie do fae wysokiego rodu? Możliwych wśród innych fae?

Lucien odkaszlnął i spojrzał na Tamlina.

– Może ty odpowiedz.

– Tak – odparł Tamlin, marszcząc brwi, tak jakby szukał właściwych słów. Jednak ostatecznie dodał tylko: – Należymy.

W porządku. Najwyraźniej był małowimnym człowiekiem... fae. Zabiłam jego przyjaciela. Byłam niemile widzianym gościem. W takiej sytuacji też nie chciałabym ze sobą rozmawiać.

– Co zamierzasz ze mną zrobić, skoro już mnie tu sprowadziłeś?

– Nic – odparł Tamlin, nie spuszczać wzroku z mojej twarzy. – Możesz robić, co tylko zechcesz.

– Nie będę więc twoją niewolnicą? – odważyłam się zapytać.

Lucien zakrztusił się winem, ale Tamlin nawet się nie uśmiechnął.

– Nie trzymam niewolników.

Na te słowa poczułam nagłą ulgę w piersi.  
– Ale co mam ze sobą zrobić? Jak ma wyglądać moje życie? – naciskałam. – Czy... Czy chcesz, abym pracowała na swoje utrzymanie?  
To było głupie pytanie, jeśli o tym wcześniej nie pomyślał, ale... Musiałam to wiedzieć.  
Tamlin zeszywniał.  
– To, co ze sobą zrobisz, nie jest moim problemem.  
Lucien teatralnie odkasznął. Tamlin posłał mu wściekłe spojrzenie. Przez jakiś czas obaj fae spoglądali sobie w oczy w milczeniu, po czym Tamlin westchnął.  
– Nie masz żadnych... zainteresowań? – zapytał.  
– Nie.  
Nie było to do końca prawdą, ale nie wiedziałam, jak wyjaśnić mu moje zamiłowanie do malowania. Na pewno nie miałam zamiaru poruszać tego tematu, w sytuacji gdy ewidentnie uprzejma rozmowa ze mną wymagała od niego sporego wysiłku.  
– Typowo ludzkie – wymamrotał pod nosem Lucien.  
Kącik ust Tamlina drgnął.  
– Rób ze swoim czasem, co chcesz – powiedział. – Tylko trzymaj się z dala od kłopotów.  
– Czyli rzeczywiście chcesz, żebym tu została już na zawsze? – spytałam, choć tak naprawdę chciałam powiedzieć: „Tak więc mam pławić się tu w luksusach, podczas gdy moja rodzina umiera z głodu?”  
– Nie ja ustalałam te zasady – odparł Tamlin krótko.  
– Moja rodzina umiera z głodu – wypaliłam. Nie wstydziłam się błagać; nie w tym przypadku. Złożyłam obietnicę i dotrzymywałam jej już tak długo, że bez niej byłam nikim. – Proszę, pozwól mi odejść. Musi być... Musi być jakiś inny niejasny zapis Traktatu, który można alternatywnie zinterpretować. Jakiś inny sposób na odkupienie winy.  
– Odkupienie? – zapytał Lucien. – A czy ty chociaż przepraszałaś?  
Najwyraźniej próby skomplementowania mnie należały już do przeszłości. Spojrzałam Lucienowi prosto w zdrowe oko i powiedziałam:  
– Przepraszam.  
Fae oparł się wygodniej w krzesło.  
– Jak go zabiłaś? Czy to była krwawa walka? Czy raczej morderstwo z zimną krwią?  
Cała zeszywniałam.  
– Ugodziłam go jesionową strzałą, a potem posłałam zwykłą strzałę prosto w jego oko. Nie był w stanie podjąć walki. Po pierwszym trafieniu tylko na mnie patrzył.  
– A mimo to zabiłaś go. Chociaż on sam cię w żaden sposób nie zaatakował. Po czym zdarłaś z niego skórę – wysyczał.  
– Lucienie, wystarczy – przerwał ostro swojemu dworzanie Tamlin. – Nie mam ochoty wysłuchiwać szczegółów. – Po tych słowach obrócił się do mnie i posłał mi gwałtowne i nieustępliwe spojrzenie.  
– Moja rodzina nie przeżyje bez mojej pomocy – powiedziałam, zanim zdążył się odezwać. Lucien zachichotał. Zazgrzytałam zębami ze złości. – Czy wy w ogóle wiecie, co to znaczy być głodnym? – zapytałam, a mój gniew pochłaniał resztki rozsądku. – Czy wiecie, co to za uczucie nie wiedzieć, kiedy uda się ponownie cokolwiek zjeść?  
Mina Tamlina stężała.  
– Twoja rodzina żyje i jest otaczana opieką. Tak niskie masz mniemanie o fae, że posądzasz mnie o pozostawienie ich własnemu losowi po odebraniu im jedynej osoby, która była w stanie zaopatrzyć ich w jedzenie i ubranie?  
Wyprostowałam się w krzesło.

– Przyniekasz?

Nawet jeśli fae nie mogli kłamać, musiałam to od niego usłyszeć.

Odpowiedział mi niski, pełen niedowierzania śmiech.

– Na wszystko, czym jestem i co posiadam.

– Dlaczego nie powiedziałeś mi tego, kiedy opuszczaliśmy moją chatę?

– Uwierzyłabyś mi? Wierzysz mi teraz? – Z palców Tamlina wyrosły pazury i wbiły się w oparcia jego krzesła.

– Dlaczego miałabym wierzyć w choć jedno twoje słowo? Jesteście bez wyjątku mistrzami tańczenia wokół prawdy tak, żeby wyszło na wasze.

– Niektórzy mogliby powiedzieć, że niemądrze jest obrażać fae w jego własnym domu – warknął Tamlin. – Inni z kolei mogliby stwierdzić, że powinnaś być wdzięczna losowi za to, że znalazłem cię, zanim zrobił to któryś z moich pobratymców. Że cię oszczędziłem i dałem ci szansę spędzenia reszty życia w wygodzie i dostatku.

Nie bacząc, że to, co robię, jest nieroztropne, zerwałam się na równe nogi i już miałam odepchnąć swoje krzesło, kiedy niewidzialne dłonie chwyciły mnie za ramiona i siłą zmusiły do opadnięcia z powrotem na siedzenie.

– Odradzam zrobienie tego, co właśnie zamierzałaś – powiedział Tamlin.

Zamarłam, usiłując pozbyć się z nosa ostrej woni magii. Próbowала obrócić na krzesło, sprawdzić siłę niewidzialnego uchwytu, ale nie mogłam nawet poruszyć ręką, a plecy miałam tak mocno przyciśnięte do drewnianego oparcia, że zaczynały mnie boleć mięśnie grzbietu. Zerknęłam na nóż leżący przy moim talerzu. Powinnam była od razu po niego sięgnąć – niezależnie od tego, czy miałam choć cień szansy na powodzenie, czy też było to z góry skazane na porażkę.

– Ostrzegam cię ten jeden raz – dodał Tamlin ironicznie łagodnym głosem. – Tylko raz. Od tej pory wszystko zależy od ciebie, człeczyno. Nie dbam o to, czy odejdziesz, by zamieszkać gdzie indziej w Prythianie, ale jeśli przekroczysz mur, jeśli uciekniesz, twoja rodzina straci prawo do opieki.

Jego słowa podziały na mnie jak uderzenie kamieniem w głowę. Jeśli ucieknę, jeśli chociaż *spróbuję* uciec, wydam wyrok na własną rodzinę. A nawet jeżeli odważyłabym się zaryzykować... Nawet gdybym zdołała dotrzeć do nich, dokąd mielibyśmy się udać? Nie mogłam zapakować sióstr na statek. A gdybyśmy nawet dotarli w inne miejsce, gdzieś daleko stąd, nie mielibyśmy gdzie zamieszkać. Ale żeby ten potwór szantażował mnie moją rodziną, żeby groził pozostawieniem jej na pastwę losu, jeśli mu się sprzeciwię...

Już otwierałam usta, kiedy jego ryk zatrzęsł zastawą.

– Czy nie jest to uczciwy układ? Jeśli zdołasz uciec, możesz mieć dużo mniej szczęścia z tym, kto następny po ciebie przyjdzie. – Schował pazury. – Jedzenie nie jest zaczarowane ani zatrute. Jeśli zemdlejesz z wycieńczenia, będzie to tylko i wyłącznie twoja wina. Będziesz więc teraz siedzieć przy tym stole i jeść, Feyro. A Lucien bardzo się postara być uprzejmy. – Tu spojrział wymownie w stronę rudowłosego fae, który tylko wzruszył ramionami.

Niewidzialny uchwyt na moich ramionach zelżał. Uderzyłam dłońmi od spodu o blat stołu i skrzywiłam się z bólu. Nadal nie mogłam poruszyć nogami ani tułowiem. Jedno spojrzenie w gorejące zielone oczy Tamlina powiedziało mi wszystko, co chciałam wiedzieć: gość czy nie, nie wstanę od tego stołu, dopóki nie skończę jeść. Musiałam odłożyć rozmyślenia nad nagłą zmianą w moich planach ucieczkowych na później. Teraz... Przyjrzałam się podejrzliwie srebrnemu widelcowi i podniosłam go ostrożnie.

Obaj mężczyźni obserwowali mnie, śledzili każdy mój ruch, wpatrywali się w płatki mojego nosa, gdy powąchałam jedzenie spiętrzone na talerzu. Ani śladu metalicznej woni magii.

A fae nie mogli kłamać. Musiał zatem powiedzieć prawdę o jedzeniu. Nabiłam na widelec kawałek czegoś, co wyglądało na kurczaka, i odgryzłam kęs.

Ledwie powstrzymałam się od jęknięcia. Od lat nie jadłam czegoś tak dobrego. Nawet posiłki, które spożywaliśmy z rodziną w czasach dostatku, wydawały się nędzne w porównaniu z tymi delicjami. Zjadłam w ciszy całą zawartość talerza, boleśnie świadoma obserwujących każdy mój ruch mężczyzn. Jednak gdy sięgnęłam w stronę pobliskiego półmiska, aby nałożyć sobie dokładkę czekoladowej tarty, całe jedzenie zniknęło. Tak po prostu zniknęło, jakby go nigdy tu nie było. Nie został nawet najmniejszy okruszek.

Z trudem przełknęłam ślinę i odłożyłam widelec, aby nie dostrzegli drżenia rąk.

– Jeszcze jeden kęs, a zwróciłabyś wszystko, co zjadłaś – stwierdził Tamlin i upił solidny łyk z trzymanego pucharu.

Niewidzialne więzy zniknęły zupełnie jak niewypowiedziane pozwolenie na oddalenie się.

– Dziękuję za posiłek – powiedziałam. Nic innego nie przyszło mi do głowy.

– Nie zostaniesz, aby napić się z nami wina? – zapytał Lucien z jadowitym uśmiechem.

Położyłam dłonie na podłokietnikach krzesła, szykując się do powstania.

– Jestem zmęczona. Chciałabym się udać na spoczynek.

– Minęło kilkadziesiąt lat, odkąd ostatni raz widziałem kogoś z waszego gatunku – ciągnął Lucien. – Ale ludzie nigdy się nie zmieniają, zatem muszę zapytać: dlaczego znajdujesz nasze towarzystwo tak niemiłym, skoro mężczyźni w twoich stronach z pewnością nie grzeszą urodą?

Tamlin spojrzał ostrzegawczo na towarzysza, ale ten go zignorował.

– Jesteście fae wysokiego rodu – odparłam przez ściśnięte gardło. – Dziwi mnie, dlaczego w ogóle mnie tu zaprosiliście, a do tego chcieliście jeść ze mną.

Głupia. Powinni mnie już z dziesięć razy zabić za mój długi jęzor.

– To prawda – zauważył Lucien. – Ale racz zaspokoić moją ciekawość: jesteś ludzką kobietą, a mimo to wolałabyś jeść gorące węgle niż pozostać tu choć minutę dłużej niż to absolutnie konieczne. Pomijając to – dodał, niedbałym ruchem dłoni wskazując swoje metalowe oko i paskudną bliznę na twarzy – z pewnością nie jesteśmy aż tak przykrym widokiem dla twych oczu. – Typowa próżność i zarożumiałość fae. Przynajmniej w tym względzie legendy mówiły prawdę. Odepchnęłam to spostrzeżenie na bok. – Chyba że masz już kogoś wśród swoich pobratymców. Czy przed drzwiami do twojej nory ustawia się regularnie kolejka pretendentów do twojej ręki, przy których my jawimy ci się ledwie nędznymi robakami?

Pytanie to zadał z taką wyższością, że poczułam wręcz szczyptę satysfakcji, odpowiadając:

– Byłam blisko z pewnym mężczyzną z wioski.

„Zanim ten cały Traktat mnie z niej wyrwał. Zanim stało się jasne, że możecie z nami robić, co tylko zapragniecie, a my praktycznie nie mamy jak odpłacić pięknym za nadobne”.

Tamlin i Lucien wymienili spojrzenia.

– Kochasz tego człowieka? – zapytał Tamlin.

– Nie – odparłam tak swobodnie, jak tylko zdołałam.

Nie skłamałam. Ale nawet gdybym czuła coś więcej do Izaaka, odpowiedziałabym tak samo. Dość, że fae wysokiego rodu wiedzieli o mojej rodzinie. Nie chciałam dodawać do listy potencjalnych celów jeszcze Izaaka.

Ponownie wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

– A czy... Kochasz kogoś innego? – zapytał Tamlin przez zaciśnięte zęby.

Roześmiałam się, może nieco histerycznie.

– Nie. – Spojrzałam na jednego. Na drugiego. To nie miało sensu. Te groźne, nieśmiertelne istoty naprawdę nie miały nic lepszego do roboty, niż zasypywać mnie takimi pytaniami? – Czy rzeczywiście to was najbardziej obchodzi? Czy uważam was za przystojniejszych od ludzkich mężczyzn? Czy mam kogoś w swojej wiosce? Dlaczego w ogóle o to pytacie? Przecież jestem skazana na mieszkanie tutaj aż do śmierci.

Przez myśli przemknęła mi gorąca strzała gniewu.

– Mój przyjaciel zwyczajnie chciał się dowiedzieć czegoś więcej o tobie, skoro spędzisz tu trochę czasu – stwierdził Tamlin, po czym zacisnął na chwilę wargi. – Ale duma często wygrywa u Luciena z dobrymi manierami. – Westchnął, jakby był już zmęczony rozmową ze mną, i dodał: – Idź wypocząć. Przez większość dni obaj jesteśmy zajęci, jeśli więc będziesz czegoś potrzebowała, poproś służbę. Jest do twojej dyspozycji.

– Dlaczego? – zapytałam. – Skąd ta wspaniałomyślność?

Lucien rzucił mi spojrzenie sugerujące, że jest tym równie zdziwiony, biorąc pod uwagę, że zamordowałam ich towarzysza. Tamlin wpatrywał się we mnie przez dłuższy czas, po czym rzekł:

– I tak już zbyt często muszę zabijać. – Wzruszył ramionami. – A ty znaczysz zbyt mało, aby zakłócić spokój tej rezydencji. Chyba że uznasz za stosowne dybać na nasze życie.

Poczułam napływający na policzki i szyję lekki rumieniec. Znacząco zbyt mało. Owszem, w porównaniu z życiem, jakie prowadzili, z ich potęgą znaczyłam bardzo niewiele. Mniej więcej tyle, ile wyblakłe i złuszczone już wzory, którymi dawno temu udekorowałam naszą rodzinną chatę.

– Cóż... Dziękuję – powiedziałam, nie czując jednak zbyt dużej wdzięczności.

Kiwnął lekko głową i gestem nakazał mi oddalenie się. Odprawiona. Nędzna człeczyna może odejść. Lucien oparł brodę na dłoni i uśmiechnął się do mnie półgębkiem.

Dość tego. Wstałam i wycofałam się w stronę drzwi. Odwrócenie się do nich plecami byłoby niczym wystawianie się na atak wilka. To, że przecież darowali mi życie, nie miało najmniejszego znaczenia. Dopóki nie wyslizgnęłam się za drzwi, żaden nie odezwał się już ani słowem.

Chwilę później chrapliwy śmiech Luciena poniósł się echem po korytarzu. Nie trwał długo, bo momentalnie uciszył go ostry, groźny warkot.

Tej nocy spałam płytko. Wszak sforsowanie zamka w drzwiach sypialni byłoby dla nich zwykłą formalnością.

\*\*\*

Obudziłam się jeszcze przed świtem. Leżałam na plecach i wpatrywałam się w misternie rzeźbione kasetony, obserwując powolną wędrówkę pierwszych promieni słońca zakradających się do komnaty między draperiami i rozkoszując się miękkością materaca. Zwykle opuszczałam naszą rodzinną chatę jeszcze przed brzaskiem, chociaż moje siostry każdego ranka syczały na mnie ze złością, mając mi za złe budzenie ich tak wcześnie. Gdybym była w domu, wchodziłabym już do lasu, aby nie zmarnować ani jednej chwili cennego światła słonecznego, wsłuchując się w ospały świergot nielicznych zimujących u nas ptaków. Teraz leżałam w sypialni w wielkim cichym domu, na olbrzymim, obcym i pustym łożu. Jakaś część mnie tęskniła do ciepła wtulających się we mnie sióstr.

Nesta zapewne przeciąga się i cieszy większą ilością miejsca pod kołdrą. Zapewne z przyjemnością wyobraża sobie mnie w żołądku fae, wykorzystując tę opowieść, żeby skupić na sobie uwagę mieszkańców wioski. Może mój los skłoni ich do podarowania czegoś mojej rodzinie? A może Tamlin zostawił im dość pieniędzy – lub jedzenia czy czegokolwiek, z czym

wiązała się jego „opieka” – żeby przetrwali zimę? Albo może wszyscy obrócą się przeciwko nim, nie chcąc zadawać się z ludźmi dotkniętymi przez Prythian? Może już ich przegonili ze wsi?

Wtuliłam twarz w poduszkę i naciągnęłam przykrycie aż po szyję. Jeśli Tamlin istotnie o nich zadbał, jeśli jego opieka skończy się z chwilą, w której przekroczę mur, najpewniej mieliby mi raczej za złe powrót, niż się z niego cieszyli.

„Twoje włosy są... czyste”.

Co za żaloszny komplement. Skoro zaprosił mnie do swoich włości, skoro chciał, abym tu zamieszkała, skoro ocalił moje życie, nie mógł być całkiem... niegodziwy. Może pragnął jedynie zatrzeć niemile wrażenie po naszym naprawdę niezbyt przyjaznym pierwszym spotkaniu? Może uda mi się w jakiś sposób przekonać go, żeby wyszukał jakiś niejasny zapis Traktatu, aby zwolnić mnie z odbywania kary do końca życia. Albo może znajdę kogoś, kto go przekona...

Wędrowałam od jednej myśli do drugiej, próbując jakoś to sobie wszystko poukładać, kiedy klucz zazgrzytał w zamku drzwi i...

W ciszy zabrzmiał skrzek i mocne łupnięcie.

Zerwałam się raptownie i zobaczyłam leżącą jak długa na podłodze Alis. Lina, którą splotłam z obrębien zasłon i którą wykorzystałam do przygotowania improwizowanej pułapki przy drzwiach, teraz zwisała luźno wzdłuż ściany. Uważałam, że jak na tak ograniczone środki, poszło mi całkiem nieźle.

– Przepraszam, przepraszam – wyrzuciłam z siebie, zeskakując z łóżka, ale Alis zdążyła już wstać i właśnie z gniewnym sykiem wygładzała fartuch.

Ze zmarszczonymi brwiami przyjrzała się linie zwisającej z kinkietu.

– Co, na bezdenną głębię Kotła...

– Nie sądziłam, że ktokolwiek tak wcześnie przyjdzie. Chciałam to zdjąć i...

Alis zlustrowała mnie od stóp do głów.

– Sądzisz, że kawałek liny strzelający mi w twarz po otwarciu drzwi powstrzyma mnie od połamania ci wszystkich kości? – Serce zamarło mi w piersi. – Sądzisz, że twoja pułapka byłaby w stanie skrzywdzić którekolwiek z nas?

Gdyby nie szyderczy uśmieszek, który pojawił się na jej twarzy, zapewne wciąż bym ją przeproszała. Stałam wyprostowana i skrzyżowałam ramiona.

– To miało mnie tylko ostrzec, żebym zyskała czas, by rzucić się do ucieczki. Nie miało nikogo zatrzymać.

Przez moment wyglądała, jakby chciała splunąć w moją stronę, ale chwilę później zmrużyła oczy i wbiła we mnie przenikliwe spojrzenie swoich brązowych oczu.

– Wszyscy biegamy szybciej od ciebie, dziewczyno.

– Wiem – odparłam. Moje serce w końcu się uspokoiło. – Ale przynajmniej nie umarłabym we śnie.

Alis zaśmiała się krótko.

– Mój pan dał słowo, że możesz tu mieszkać. A żeby gdzieś mieszkać, trzeba być żywym. My zaś jesteśmy posłuszni woli naszego pana. – Przyjrzała się ponownie dyndającej smętnie linie. – Ale czy naprawdę musiałaś niszczyć te śliczne zasłony?

Nie chciałam tego robić. Próbowałam się powstrzymać. Ale nieśmiały uśmiech wkradł się na moje usta. Alis podeszła do okaleczonych stor i rozsunęła je. Niebo za oknem było wciąż ciemnoniebieskie, tu i ówdzie upstrzone plamami pomarańcza i lekkiego fioletu zwiastującymi rychłe wychynięcie słońca zza horyzontu.

– Przepraszam – powtórzyłam.

Alis mlasnęła.

– Przynajmniej nie poddajesz się bez walki, dziewczyno, to ci trzeba przyznać.

Już otwierałam usta, aby jej odpowiedzieć, kiedy do komnaty weszła kolejna służąca z twarzą ukrytą za ptasią maską, niosąc tacę ze śniadaniem. Wymruczała pod nosem opryskliwe pozdrowienie, postawiła tacę na niewielkim stoliku pod oknem i zniknęła w przyległej do sypialni komnacie łaźiebnej. Po chwili dobiegł mnie stamtąd odgłos nalewanej wody.

Usiadłam przy stoliku i przyjrzałam się śniadaniu. Owsianka, jaja i boczek. Boczek! Jedzenie bardzo podobne do tego, które spożywaliśmy na południe od muru. Sama nie wiem, dlaczego oczekiwałam czegoś innego. Alis wzięła pusty kubek i nalała do niego czegoś, co wyglądało i pachniało jak herbata: prawdziwa, aromatyczna herbata. Bez wątplenia sprowadzana ogromnym kosztem. Nie było łatwo dopłynąć do Prythianu i mojej małej ojczyzny.

– Co to za miejsce? – zapytałam cicho. – Gdzie my jesteśmy?

– Jest tu bezpiecznie. I ta wiedza powinna ci wystarczyć – odparła Alis, odstawiając dzbanek z herbatą. – A przynajmniej bezpiecznie jest w domu. Jeśli najdzie cię ochota rozejrzenia się po okolicy, zachowaj ostrożność.

No dobrze, jeżeli nie chce odpowiedzieć na to pytanie... Spróbowałam innego podejścia.

– Na jakiego rodzaju... istoty powinnam uważać?

– Na wszystkie – odpowiedziała Alis. – Ochrona ze strony mojego pana ma swoje granice. Inni będą chcieli zapolować na ciebie i cię zabić tylko dlatego, że jesteś człowiekiem. I nie ma to związku z tym, co zrobiłaś Andrasowi.

Kolejna bezużyteczna odpowiedź. Zająłam się śniadaniem, rozkoszując się każdym łykiem herbaty. W międzyczasie Alis dołączyła do drugiej służącej w komnacie łaźiebnej. Po uporaniu się ze śniadaniem i porannej kąpieli podziękowałam grzecznie, acz stanowczo za pomoc Alis i samodzielnie ubrałam się w jeszcze inną najwyższej jakości tunikę – fiolet materiału był tak ciemny, że niemal czarny. Żałowałam, że nie znam dokładnej nazwy tego koloru, ale i tak umieściłam go w odpowiedniej szufladce pamięci. Naciągnęłam brązowe buty, które miałam na nogach minionego dnia, i usiadłam przed marmurową toaletką, pozwalając Alis zapleść moje wciąż wilgotne włosy w warkocz. Skrzywiłam się na widok swojego odbicia w lustrze.

Nie był to zbyt przyjemny obraz, chociaż nie ze względu na to, jak wyglądałam. Nos miałam stosunkowo prosty, ale po matce odziedziczyłam jeszcze coś innego. Do tej pory pamiętałam, jak grzbiet jej nosa marszczył się w wyrazie udawanego rozbawienia, kiedy jeden z jej bajecznie bogatych znajomych opowiadał jakiś nieśmieszny dowcip.

Przynajmniej miałam łagodne usta ojca, chociaż zupełnie nie pasowały do zbyt wydatnych kości jarzmowych i zapadniętych policzków. Nie mogłam się zmusić, aby spojrzeć prosto w odbicie swoich osadzonych nieco zbyt wysoko oczu. Wiedziałam bowiem, że ujrzę spoglądającą na mnie z lustra Nestę albo matkę. Czasem zastanawiałam się, czemu siostra nieustannie szydziła z mojego wyglądu. Nie byłam w żadnej mierze brzydka, ale... Zbyt przypominałam ludzi, których nienawidziliśmy i których kochaliśmy, żeby Nesta była w stanie to znieść. Mnie zresztą także przychodziło to z trudem.

Gdy się nad tym dobrze zastanowić, Tamlinowi – fae wysokiego rodu przyzwyczajonemu do nieziemskiego, nieskazitelnego piękna – istotnie trudno było znaleźć sposób na skomplementowanie wyglądu kogoś takiego jak ja. Nieśmiertelny drań.

Alis skończyła zaplatać mój warkocz i już sięgała do przyniesionego kosza po kwiaty, aby mi je wpleść we włosy, ale szybko wstałam i cofnęłam się. Gdyby nie wpływ naszego ubóstwa, może i mogłabym uchodzić za ładną, ale nigdy o to nie dbałam. W lesie piękno nie ma żadnego znaczenia.

Gdy zapytałam Alis, co mam teraz robić – czy raczej co mam robić przez resztę mojego śmiertelnego życia – tylko wzruszyła ramionami i zasugerowała mi spacer po ogrodzie. Niemal się roześmiałam jej w twarz, ale zdążyłam się w porę opanować. Zniechęcenie do siebie



potencjalnej sojuszniczki już na samym początku byłoby skrajną głupotą. Wątpiłam, żeby Tamlin prosił ją o porady, poza tym żeby w ogóle poruszyć interesujące mnie tematy, musiałabym wejść z nią w większą zażyłość, ale... Przynajmniej spacer pozwoli mi nieco rozeznac się w domu i jego otoczeniu. I ocenić, czy jest tu ktoś inny, kto mógłby się za mną wstawić u Tamlina.

Korytarze były ciche i puste, co dziwiło w przypadku rezydencji tych rozmiarów. Tamlin i Lucien wspominali wczoraj o jakichś „innych”, ale jak dotąd nikogo nie widziałam ani nie słyszałam. Lekki przeciąg w korytarzach niósł ze sobą woń... hiacyntów (rozpoznałam ją tylko dzięki zamiłowaniu Elainy do kwiatów) i przyjemny dla ucha szczebiot trznadla – ptaka, którego śpiewu nie usłyszałabym w naszych stronach jeszcze przez wiele miesięcy. Jeśli w ogóle kiedykolwiek dane by mi było go usłyszeć.

Prawie dotarłam do szerokich schodów głównych, kiedy moją uwagę przykuły wiszące na ścianach obrazy.

Wczoraj jakoś nie miałam głowy do rozglądania się, ale teraz, w pustym korytarzu, zupełnie sama... Coś kazało mi zatrzymać się przy obrazie, na którym barwna plama rozświetlała ciemne, ponure tło. Malarz uzyskał niesłychanie ciekawą grę barw i fakturę.

Nigdy, przenigdy nie widziałam czegoś takiego.

„To tylko martwa natura” – powiedziała bardziej racjonalna część mnie. Po prawdzie tak właśnie było: wazon z zielonego szkła z wetkniętym wewnątrz bukietem kwiatów, rozkładającym się wachlarzowato powyżej wąskiej szyjki. Płatki i liście miały najróżniejsze kształty, rozmiary i kolory – róże, tulipany, powoje, nawłocie, astry, peonie...

Jakież umiejętności musiał mieć artysta, żeby namalować je tak realistycznie; żeby wyglądały wręcz lepiej od prawdziwych... To był tylko wazon z kwiatami na ciemnym tle... Ale też dużo więcej. Kwiaty zdawały się jaśnieć własnym światłem, jakby rzucając wyzwanie otaczającym je zewsząd ceniom. Jaki mistrz trzymał pędzel tak, że udało mu się sprawić, aby szkło wazonu chwyciło to światło, aby zakrzywiło się ono w wypełniającej naczynie wodzie. Miałam wrażenie, że patrzę na prawdziwy wazon, a nie namalowany obraz. Niesamowite.

Mogłabym się tak wpatrywać przez całe godziny. Dokładne przyjrzenie się wszystkim obrazom wiszącym w tym jednym korytarzu zajęłoby mi cały dzień, ale... Ogród. Plany.

Niemniej jednak gdy zmusiłam się do oderwania wzroku od namalowanych kwiatów i ruszenia dalej w stronę schodów, nie mogłam nie przyznać, że to miejsce jest dużo bardziej... cywilizowane, niż wcześniej sądziłam. Emanowało wręcz swoistym spokojem, chociaż większa część mnie nie chciała tego przyznać.

A jeśli fae wysokiego rodu naprawdę byli łagodniejsi niż w ludzkich opowieściach i plotkach? Może wówczas przekonanie Alis do mojej sprawy nie będzie takie trudne? Jeśli udałoby mi się pozyskać jej przychylność; gdybym zdołała przekonać ją, że wymaganie ode mnie takiej zapłaty jest niesprawiedliwe... Może poszukałaby w zapisach Traktatu sposobu na wypłatanie mnie z tej historii i...

– Ty – powiedział ktoś tak nagle, że przestraszona odskoczyłam do tyłu.

Na tle światła wpadającego przez otwarte szklane drzwi prowadzące do ogrodu odcinała się sylwetka postawnego mężczyzny.

To był Tamlin. Miał na sobie ten sam co wczoraj ubiór wojownika, o kroju podkreślającym rzeźbę ciała, ale tym razem w nacięcia w skórzanym pasie wetknięte były trzy noże – wystarczająco długie, aby mógł mnie nimi wypatroszyć równie łatwo jak swoimi pazurami. Blond włosy miał związane z tyłu głowy, więc mogłam się dobrze przyjrzeć jego spiczastym uszom i tej dziwnej, ale jednocześnie pięknej masce.

– Hej, ty, dokąd to się wybierasz? – zapytał wystarczająco ostro, abym poczuła się zobligowana do odpowiedzi.

„Ty”. Ciekawe, czy w ogóle pamięta moje imię.

Chwilę mi zajęło zebranie dość siły, aby się wyprostować (gdy mnie przestraszył nagłym pojawieniem się, odruchowo się skuliłam).

– Dzień dobry – odparłam beznamiętnie. I tak było to grzeczniejsze przywitanie niż „ty”.

– Powiedziałeś, że mogę spędzać czas, jak tylko zechcę. Nie sądziłam, że został na mnie nałożony areszt domowy.

Mięśnie na jego żuchwie zagrały.

– Oczywiście, że nie. – Nawet słuchając jego ostrego tonu, nie mogłam zignorować czysto męskiego piękna jego silnej szczęki i głębokiej, złotej opalenizny jego skóry. Był zapewne bardzo przystojny... byłby, gdyby w końcu zdjął tę maskę.

Kiedy zorientował się, że nie mam zamiaru nic więcej powiedzieć, wyszczerzył zęby w czymś, co zapewne miało uchodzić za uśmiech, i powiedział:

– Życzysz sobie, by cię oprowadzić?

– Nie, dziękuję – zdołałam wykrztusić, boleśnie świadoma każdego niezręcznego ruchu, jaki robiłam, usiłując go wyminąć.

Zastąpił mi drogę, chociaż musiał się w tym celu nieco cofnąć.

– Cały poranek spędziłem wewnątrz – oznajmił. – Potrzebuję nieco świeżego powietrza.

„A ty jesteś na tyle nieistotna, że nie będziesz mi przeszkadzać”.

– Naprawdę nie trzeba – rzuciłam, unikając kontaktu z nim. – Byłeś... Byłeś już wystarczająco wspaniałomyślny. – Starłam się powiedzieć to, jakbym naprawdę tak sądziła.

Posłał mi niezbyt przyjemny, oszczędny uśmiech. Zapewne nie przywykł do tego, by mu odmawiano.

– Czy moje towarzystwo stanowi dla ciebie problem?

– Nie – odparłam niepewnie i wyszłam na zewnątrz.

Tamlin warknął cicho.

– Nie zabiję cię, Feyro – rzucił za mną. – Zawsze dotrzymuję słowa.

Obejrzałam się przez ramię i niemal potknęłam na schodkach prowadzących do ogrodu. Stał na górnym podejściu, równie niewzruszony i majestatyczny co jasne kamienie w ścianach jego domu.

– Nie zabijesz... Ale ani razu nie wspomniałeś o niekrzywdzeniu. Czy to kolejne pole do „alternatywnej interpretacji”? Czy to właśnie wykorzysta przeciwko mnie Lucien? Albo ktoś inny?

– Wydałem im polecenie, aby nie tknęli cię nawet palcem.

– Lecz wciąż jestem uwięziona na twoich ziemiach za złamanie prawa, którego istnienia nawet nie podejrzewałam. Dlaczego wasz przyjaciel był tamtego dnia w naszym lesie? Wydawało mi się, że Traktat zabrania wam zapuszczać się na nasze ziemie.

Nie odpowiedział. Tylko na mnie patrzył. Może pozwoliłam sobie na zbyt wiele, może przekroczyłam cienką granicę. Może domyślił się, do czego prowadzą moje pytania.

– Traktat – powiedział w końcu cicho – nie zabrania *nam* robienia czegokolwiek poza czynieniem z was niewolników. Mur jest jedynie pewną niedogodnością. Gdybyśmy chcieli, rozbilibyśmy go w pył i przekroczyli granicę, aby was wszystkich powybić.

Może i spędzę resztę życia w Prythianie, ale moja rodzina... Musiałam zapytać.

– A chcecie zniszczyć mur?

Zlustrował mnie od stóp do głów, jakby chciał ocenić, czy warto mi to tłumaczyć.

– Mnie nie interesują ziemie śmiertelników. Chociaż nie mogę zaręczyć za wszystkich fae.

Wciąż nie odpowiedział na moje pytanie.

– Co zatem robił tam wasz przyjaciel?

Tamlin zeszytywniał. Roztaczał nieziemski, pierwotny wdzięk. Nawet oddychał z gracją.

– Jest... Na naszych ziemiach panuje pewna choroba. W całym Prythianie. Trwa to już od blisko pięćdziesięciu lat. To dlatego ten dom i moje ziemie są takie puste: większość już odeszła. Plaga rozprzestrzenia się powoli, ale sprawia, że magia... Działa dziwnie. Nawet moja moc ucierpiała z jej powodu. Te maski – dodał, stukając palcem w swoją – są wynikiem pierwotnego przyływu choroby, który nastąpił podczas balu maskowego czterdzieści dziewięć lat temu. Do tej pory nie udało nam się ich zdjąć.

Uwięzieni pod maskami przez blisko pięćdziesiąt lat... Ja bym chyba oszalała. Zdarłabym maskę razem ze skórą twarzy.

– Nie miałaś maski w zwierzęcej postaci... Wasz przyjaciel też jej nie miał.

– Tak się przejawia okrucieństwo tej plagi.

Żyj jako bestia lub wiecznie noś maskę na twarzy.

– Co... Co to jest za choroba?

– Nie jest to schorzenie czy plaga wedle tradycyjnego rozumienia tych słów. Jej działanie koncentruje się wyłącznie na magii, dotyka tylko mieszkańców Prythianu. Andras zawędrował na wasze ziemie, ponieważ wysłałem go na poszukiwanie lekarstwa.

– Czy ta plaga jest groźna dla ludzi? – Strach ścisnął mi żołądek. – Czy rozprzestrzeni się poza mur?

– Tak – odparł. – Jest... Jest możliwe, że dotknie również śmiertelników i ich ziemie. Nic więcej nie wiem. Posuwa się bardzo powoli. Jak na razie twój gatunek jest bezpieczny. Już od dziesięcioleci nie rozprzestrzeniła się ani trochę. Magia jakby się ustabilizowała, chociaż jest wyraźnie słabsza.

Fakt, że zdradził mi tak dużo informacji, wiele mówił na temat tego, jak wyobrażał sobie moją przyszłość. Miałam już nigdy nie wrócić do domu; nigdy więcej nie spotkać żadnego człowieka, któremu mogłabym zdradzić tę słabość naszych odwiecznych wrogów.

– Najemniczka, którą spotkałam w wiosce, była przekonana, że fae planują najazd na nasze ziemie. Czy jest związek między plagą a tą pogłoską?

Uśmiechnął się lekko, może nieco zaskoczony.

– Nie wiem. Często rozmawiasz z najemnikami?

– Rozmawiam z każdym, kto raczy powiedzieć mi coś użytecznego.

Nagle się wyprostował i nie skuliłam się na ziemi tylko dlatego, że wszak obiecał mnie nie zabijać. Po chwili wzruszył ramionami, tak jakby strząsał z nich rozdrażnienie.

– Czy pułapka z liny, którą zaimprovizowałaś w swojej komnacie, była przeznaczona dla mnie?

Wciągnęłam z sykiem powietrze przez zęby.

– Czy mógłbyś mnie winić, gdyby tak istotnie było?

– Może i przybieram czasem zwierzęcą postać, ale jestem istotą cywilizowaną, Feyro.

Zatem przynajmniej zapamiętał moje imię. Spojrzałam wymownie na jego dłonie i na ostre jak brzytwa czubki długich, zakrzywionych pazurów, tworzących lekkie wybrzuszenia na opuszkach palców.

Gdy zorientował się, na co patrzę, schował dłonie za plecami.

– Do zobaczenia na obiedzie – rzucił ostro.

To było wyraźnie polecenie, a nie formułka grzecznościowa, ale mimo to skinęłam mu głową i ruszyłam między żywopłoty, nie dbając o to, dokąd zmierzam, byle jak najdalej od niego.

Choroba nękająca ich ziemie, dławiąca ich magię, wysysająca ją... Magiczna plaga, która pewnego dnia może rozprzestrzenić się na świat ludzi. Po tylu wiekach bez magii byłibyśmy

całkowicie bezbronni. Niezależnie od tego, jak choroba mogłaby na nas wpłynąć.

Zastanowiłam się, czy którykolwiek fae wysokiego rodu zadałby sobie tyle trudu, żeby ostrzec śmiertelników.

Ustalenie odpowiedzi na to pytanie nie potrwało zbyt długo.

## Rozdział 8

Udawałam, że spaceruję bez celu po przepięknie utrzymanych i niesamowicie cichych ogrodach, podczas gdy w myślach odnotowywałam układ ścieżek i zapamiętywałam miejsca, w których mogłabym się w razie czego ukryć. Tamlin odebrał mi broń, a ja nie byłam na tyle głupia, żeby żywić nadzieję znalezienia gdzieś w okolicy jesionu, z którego mogłabym wykonać nową. Ale też w jego pas wetknięte były noże, zatem gdzieś w rezydencji znajdowała się zbrojownia. A nawet jeśli nie, odszukam jakąś broń. Odszukam i ukradnę. Na wszelki wypadek.

Wczoraj dokładnie zlustrowałam całą moją komnatę i ustaliłam, że moje okno nie ma żadnego zamka. Wykradnięcie się na zewnątrz i zejście po pnączach porastających ściany domu nie nastręczy mi żadnych trudności. Wspinałam się w życiu na dość drzew, żeby nie dostawać zawrotów głowy od wysokości. Co prawda nie planowałam uciekać, ale... Dobrze było przynajmniej zorientować się w możliwościach, gdyby kiedyś desperacja pchnęła mnie do takiego kroku.

Nie wątpiłam w prawdziwość stwierdzenia Tamlina, że pozostała część Prythianu jest śmiertelnie niebezpieczna dla ludzi. A jeśli istotnie te ziemie trawiła jakaś plaga... Na razie lepiej dla mnie będzie zostać tu, gdzie jestem.

Co oczywiście nie oznaczało rezygnacji z planów znalezienia kogoś, kto mógłby się za mną wstawić u mojego gospodarza.

Chyba że Lucien... „Jemu przydałoby się, gdyby ktoś go ustawił do pionu. Jeśli znajdziesz w sobie dość odwagi, by to zrobić” – powiedziała wczoraj Alis.

Obgryzałam swoje nierówne paznokcie, przemierzając ogród i rozważając wszystkie możliwości. Próbowałam przewidzieć potencjalne trudności. Nigdy nie radziłam sobie zbyt dobrze ze słowami. Nigdy nie opanowałam sztuki towarzyskiej szermierki, w której moje siostry i matka były tak biegłe, choć... miałam niemały talent do sprzedawania skór na targu.

Może więc spróbuję odszukać dworzanina Tamlina, mimo tego że mną gardził. Wyraźnie nie podobało mu się, że mam tu zamieszkać. Wszak otwarcie zasugerował zabicie mnie. Może spodoba mu się myśl odesłania mnie do domu, przekonania Tamlina do znalezienia innego sposobu, by uczynić zadość zapisom Traktatu. Jeśli to w ogóle możliwe.

Podeszłam do ławki stojącej wśród kwitnących obficie palców wrózek, kiedy usłyszałam chrzęst czyichś kroków na żwirze alejki. Szybkich kroków dwóch par zwinnych stóp. Wyprostowałam się i spojrzałam w stronę, z której przyszłam, ale nikogo nie dostrzegłam.

Zatrzymałam się na skraju otwartej łąki porosłej wysokimi jaskrami. Cała zielono-żółta połać w zasięgu wzroku była pusta. Za moimi plecami rosła poskręcana ze starości jabłonka, mimo swojego wieku gęsto obsypana kwieciem. Płatki zaczęły już opadać i pokrywały całe siedzenie ławki, na której miałam zamiar odpocząć. Lekki powiew wiatru poruszył gałęziami, strącając istne mrowie białych płatków. Przez chwilę wyglądało, jakby padał śnieg.

Rozejrzałam się po ogrodzie i łące, uważnie nasłuchując zbliżających się kroków. Spojrzałam w górę na gałęzie jabłoni, sprawdziłam za pniem drzewa... Nic.

Wzdłuż kręgosłupa przebiegł mi zimny dreszcz. Spędziłam wystarczająco dużo czasu w lesie, żeby nauczyć się ufać instynktowi.

Ktoś stał tuż za mną. Może nawet dwóch ktosiów. Lekkie pociągnięcie nosem i zduszony chichot zabrzmiały zdecydowanie zbyt blisko. Serce podskoczyło mi do gardła.

Spojrzałam ukradkiem przez ramię, ale zdołałam tylko kątem oka dostrzec migotliwy blask srebrzystego światła.

Musiałam się odwrócić i stanąć twarzą w twarz z kimkolwiek, kto znajdował się za mną.

Lub czymkolwiek.

Żwir ponownie zachrzęścił, tym razem jeszcze bliżej. Blask migoczący na skraju pola widzenia urósł i rozdzielił się na dwie małe postacie, sięgające mi najwyżej do pasa. Zaciśnęłam dłonie w pięści.

– Feyro! – Donośny głos Alis poniósł się między drzewami i klombami. Niemal wyskoczyłam ze skóry, gdy zawołała mnie ponownie: – Feyro, podano do stołu!

Odwrociłam się błyskawicznie na pięcie z rodzącym się na ustach krzykiem, którym chciałam ją ostrzec przed tym, co czaiło się za mną, i uniosłam pięści w górę, chociaż nie spodziewałam się, żebym w ten sposób wiele wskórała.

Ale migotliwe postacie zniknęły, a razem z nimi pociąganie, węszenie i chichot. Zamiast nich miałam przed sobą starą, nieco omszałą rzeźbę przedstawiającą dwie podskakujące wesoło owieczki. Potarłam kark.

Alis zawołała mnie ponownie. Wzięłam głęboki wdech i udałam się w drogę powrotną do rezydencji. Jednak gdy wędrowałam między żywopłotami, uważnie idąc z powrotem po własnych śladach, nie mogłam pozbyć się niemiłego wrażenia, że ktoś mnie cały czas obserwuje. Ktoś ciekawski i spragniony zabawy.

\*\*\*

Podczas obiadu ukradłam jeden z noży. Tylko po to, żeby mieć coś – cokolwiek – czym mogłabym w razie potrzeby się bronić.

Okazało się, że był to jedyny posiłek, na który mnie zaproszono, co wcale mi nie przeszkadzało. Zasiadanie trzy razy dziennie do stołu z Tamlinem i Lucieniem stanowiłoby dla mnie prawdziwą torturę. Ale tę jedną godzinę mogłam wytrzymać, jeśli w ten sposób łatwiej uwierzę, że pogodziłam się z losem i nie mam zamiaru się buntować.

Podczas gdy Lucien skarżył się Tamlinowi na jakieś problemy z magicznym sztucznym okiem, którym – jak się okazało – naprawdę mógł widzieć, wsunęłam dyskretnie nóż w rękaw tuniki. Serce biło mi tak mocno, że zastanawiałam się, czy go nie usłyszą. Ale Lucien mówił bez przerwy, a Tamlin poświęcał mu całą swoją uwagę.

Zapewne powinno być mi ich żal z powodu tych masek, trwale przytwierdzonych do twarzy; z powodu plagi trawiącej ich magię i nękającej ich lud. Ale im mniej miałam z nimi styczności, tym lepiej dla mnie. Zwłaszcza że Lucien zdawał się uważać każdą moją wypowiedź za pocieszenie ludzką i niemądrą. Ustawianie go do pionu, co sugerowała Alis, w takiej sytuacji w żaden sposób by mi nie pomogło. Z kolei wkradnięcie się w jego łaski byłoby niezmiernie ciężkie, choćby dlatego że ja żyłam, podczas gdy jego przyjaciel – nie. Musiałabym zająć się nim na osobności. Inaczej mogłabym zbyt wcześnie wzbudzić podejrzenia u Tamlina.

Rude włosy Luciena odbijały blask ognia tańczącego w kominku, migocząc przy każdym ruchu jego głowy. Klejnoty zdobiące rękojeść jego miecza lśniły hipnotyzująco. Jakże różniła się ta broń misternej roboty od zgrzebnego skórzanego pasa z nożami wciąż przewieszzonego przez pierś Tamlina. Lecz chociaż miecz był niezmiernie bogato zdobiony, wydawał się wystarczająco długi i masywny, aby służyć za coś więcej niż tylko dekorację. Może nosił go przy boku z powodu tych niewidzialnych stworów, które spotkałam w ogrodzie? Może to w walce stracił oko i dorobił się tej blizny? Zadrzałam lekko.

Alis zapewniła mnie, że w domu mogę czuć się bezpieczna, ale przecież zaraz potem przestrzegła mnie, abym uważała na siebie w jego otoczeniu. Co czai się w okolicach rezydencji? Co potrafiłoby wykorzystać moje ludzkie zmysły przeciwko mnie? Jak daleko sięga władza Tamlina? Gdzie jego polecenie, aby nie robić mi krzywdy, traci swą moc? Jakiego rodzaju i jak silną władzę dysponował?

Lucien przerwał swoje narzekania. Gdy podniosłam wzrok, dostrzegłam, że patrzy na mnie, uśmiechając się ironicznie, przez co jego blizna wyglądała jeszcze paskudniej.

– Czy jedynie podziwiałaś mój miecz, Feyro, czy też raczej rozważałaś możliwe sposoby zabicia mnie?

– Gdzieżbym śmiała – odparłam cicho, zerkając niepewnie na Tamlina.

Złote plamki w jego oczach zaśniły tak jasno, że dostrzegłam to nawet z drugiego końca stołu. Serce załomotało mi mocniej w piersi. Czy zorientował się, że chowam nóż? Czy słyszał szelest metalu ocierającego się o rękaw? Zmusiłam się do spojrzenia ponownie na Luciena.

Nie przestawał się uśmiechać szyderczo. „Bądź uprzejma, zachowuj się, może zdołasz pozyskać go dla swojej sprawy...”. To się mogło udać.

W końcu Tamlin przerwał milczenie:

– Feyra lubi polować.

– To nie jest tak, że *lubię* polować. – Powinnam była powiedzieć to grzeczniej, ale co się stało, to się nie odstanie. – Polowałam z konieczności. I skąd to w ogóle wiesz?

Tamlin posłał mi bezceremonialne, taksujące spojrzenie.

– A co innego mogłaś robić w lesie tamtego dnia? Miałaś też łuk i strzały w swojej... chacie. – Czyżby prawie powiedział „norze”? – Wystarczyło jedno spojrzenie na dłonie twojego ojca, żeby wiedzieć, że to nie on ich używał. – Wskazał moje poblźnione, pokryte zgrubieniami palce. – To ty jemu tłumaczyłaś, co zrobić z jedzeniem i pieniędzmi uzyskanymi za skóry. O fae można powiedzieć wiele rzeczy, ale na pewno nie to, że jesteśmy głupi. Chyba że te wasze absurdalne podania na nasz temat również to nam zarzucają?

„Absurdalne. Absurdalne i nieprzydatne”.

Wbiłam wzrok w okruchy chleba i smugi sosu na złotym talerzu. Gdybym była teraz w domu, wylizałabym talerz do czysta, nie chcąc zmarnować ani krztyny jedzenia. A same talerze... Za jeden mogłabym kupić parę dobrych koni roboczych, pług i pole do zaorania i obsiania. Odrażające.

Lucien odchrząknął.

– Ile ty tak właściwie masz lat? – zapytał.

– Dziewiętnaście.

Miła, uprzejma...

Lucien cmoknął z niezadowoleniem.

– Taka młoda, a taka poważna. I do tego już tak wprawna w zabijaniu.

Zacisnęłam dłonie w pięści, czując na skórze ciepło ostrza. Uległa, potulna, posłuszna... Dałam mojej matce słowo i zamierzałam go dotrzymać. Opieka ze strony Tamlina nie była tym samym co opieka sprawowana samodzielnie. Moje małe, wariackie marzenie wciąż mogło się spełnić: mogłam dobrze wydać siostry za mąż i spędzić resztę życia z ojcem, mając dość jedzenia dla nas obojga i dość wolnego czasu, aby może trochę malować... Albo dowiedzieć się, czego tak naprawdę chcę. To wciąż mogło się ziścić, może w jakiejś odległej krainie. Jeśli kiedykolwiek wykaraskam się z obecnych tarapatów. Mogłam nadal trzymać się tego strzępu marzenia, chociaż ci fae wysokiego rodu najpewniej wysmiałiby moje „typowo ludzkie”, miałkie pragnienia. Drwiliby, że wystarczy mi tak niewiele.

Ale teraz każda, choćby najbardziej błaha informacja mogła mi pomóc. A jeśli okażą im zainteresowanie, może zaczną mnie zyczliwiej traktować. Czymże to się różniło od zastawiania kolejnych sidła w lesie?

– A więc na tym upływa wam czas? – zapytałam. – Na darowywaniu życia ludziom i spożywaniu wykwintnych posiłków? – Spojrzałam wymownie na skórzany pas i ubiór wojownika u Tamlina, na miecz u boku Luciena.

Lucien uśmiechnął się pod nosem.

– Tańczymy też z duchami przy pełni księżyca i porywamy ludzkie niemowlęta z kołyszek, podkładając w ich miejsce podmieńców, a także...

– Przestań – przerwał mu Tamlin, po czym zwrócił się do mnie zaskakująco łagodnym głosem: – Czy twoja matka nic ci o nas nie opowiadała?

Dźgnęłam blat stołu palcem wskazującym, wbijając krótki paznokieć w drewno.

– Moja matka nie miała czasu czegokolwiek mi opowiadać. – Mogłam przed nimi odsłonić przynajmniej tę część mojej przeszłości.

Ku mojemu zaskoczeniu Lucien się nie roześmiał. Po chwili nieco krępującej ciszy Tamlin zapytał:

– Jak umarła? – Gdy w odpowiedzi tylko uniosłam brwi, dodał nieco łagodniejszym głosem: – Po wnętrzu waszej chaty nie było znać, żeby mieszkała w niej starsza kobieta.

Drapieżnik czy nie, nie potrzebowałam jego współczucia. Niemniej jednak odpowiedziałam:

– Tyfus. Odeszła, gdy miałam osiem lat. – To powiedziawszy, wstałam od stołu z zamiarem opuszczenia jadalni.

– Feyro... – Na dźwięk głosu Tamlina stanęłam i obróciłam się lekko w jego stronę.

Mięsień zadrgał na jego policzku. Lucien spojrział na mnie, po czym przeniósł wzrok na naszego gospodarza i znów na mnie. Metalowe oko tańczyło to w jedną, to w drugą stronę, ale jego właściciel zachował milczenie. Po chwili Tamlin potrząsnął głową. Nie pokręcił, potrząsnął jak jakieś zwierzę.

– Przykro mi z powodu twojej straty – wymruczał pod nosem.

Staralam się nie skrzywić na te słowa. Szybko obróciłam się na pięcie i wyszłam na korytarz. Nie chciałam ani nie potrzebowałam jego kondolencji – nie z powodu mojej matki; nie w sytuacji, kiedy od lat już za nią nie tęskniłam. Niech Tamlin uważa mnie za nieuprzejmą, nieokrzesaną człeczynę niewartą jego troskliwej opieki.

Powinłam raczej przekonywać Luciena, aby wstawił się za mną u Tamlina. I to jak najszybciej, zanim pojawią się ci inni, o których wspominali. Albo zanim ta ich magiczna plaga rozprzestrzeni się na nasze ziemie. Jutro. Jutro porozmawiam z Lucieniem, wybadam go trochę.

Po powrocie do sypialni znalazłam w szafie niewielką sakwę. Włożyłam do niej zmianę ubrań i wykradziony nóż. Zdecydowanie nie była to groźna broń, ale nawet nóż stołowy jest lepszy niż nic. Spakowałam się na wypadek, gdyby kiedykolwiek pozwolono mi odejść – i gdybym musiała wyruszyć od razu.

Na wszelki wypadek.



## Rozdział 9

Gdy następnego ranka Alis z drugą służącą przygotowywały dla mnie kąpiel, w milczeniu układałam w głowie plan. Tamlin wspomniał, że razem z Lucienem mieli różne obowiązki. Istotnie poza jednym przypadkowym spotkaniem i obiadem przez cały dzień nie widziałam żadnego z nich. Zatem w pierwszej kolejności musiałam znaleźć Luciena. Samego.

Niby od niechcienia spytałam o niego Alis. Odparła, że wedle jej wiedzy Lucien miał dziś patrolować granice włości, w związku z czym powinnam go znaleźć w stajni, szykującego się do drogi.

Byłam już w połowie ścieżki wiodącej przez ogrody – zmierzałam śpiesznym krokiem w stronę grupy budynków, które dojrzałam poprzedniego dnia – kiedy nagle usłyszałam za plecami głos Tamlina:

– Dzisiaj żadnych pułapek?

Zamarłam w pół kroku i obejrzałam się przez ramię. Stał ledwie kilka stóp ode mnie.

W jaki sposób podkraść się tak blisko na żwirowej alejce? Nie słyszałam jego kroków... Bez wątplenia była to kolejna magiczna umiejętność fae. Uspokoiłam rytm serca i myśli w głowie, po czym odezwałam się najuprzejmiej, jak tylko potrafiłam:

– Powiedziałaś, że jestem tu bezpieczna. Uwierzyłam ci na słowo.

Zmrużył oczy, ale chwilę potem wykrzywił usta w czymś, co miało być zapewne przyjaznym uśmiechem.

– Musiałem przełożyć moje poranne zajęcia – oznajmił.

Istotnie nie miał na sobie tuniki i pasa, w których paradował przez ostatnie dwa dni. Rękawy białej koszuli podwinął do łokci, odsłaniając opalone, muskularne przedramiona.

– Jeśli masz ochotę na przejażdżkę po okolicy – dodał – jeśli jesteś ciekawa swojego... nowego miejsca zamieszkania, mogę ci służyć za przewodnika.

Ponownie starał się być miły i uprzejmy, chociaż wyraźnie widziałam, z jakim trudem przychodziło mu zwracanie się do mnie w ten sposób. To dawało nadzieję, że może Lucien zdoła go przekonać do zmiany zdania. Ale do tego czasu... Nie wiedziałam, na ile mogę sobie pozwolić, skoro wymusił na swoich podwładnych przysięgę, aby mi nie spadł włos z głowy. Skoro wyraźnie chciał chronić mnie przed „traktatową” zemstą. Uśmiechnęłam się blado.

– Chyba wolalabym spędzić ten dzień w samotności – odparłam. – Ale dziękuję za propozycję.

Zesztywniał.

– A może...

– Nie, dziękuję – weszłam mu w słowo, sama siebie zadziwiając zuchwalstwem.

Musiałam zostać z Lucienem sam na sam, musiałam móc go wybadać. A przez to opóźnienie mogłam już go nie spotkać w stajni...

Tamlin zacisnął dłonie w pięści, tak jakby walczył z mimowolnie wysuwającymi się pazurami. Ale nie odezwał się już ani słowem, nie skarcił mnie, nie zrobił nic, aby mnie powstrzymać. Odwrócił się na pięcie i energicznym krokiem ruszył z powrotem do rezydencji.

Wkrótce, jeśli mi się poszczęści, Tamlin nie będzie już stanowił problemu. Ruszyłam szybkim krokiem ku stajniom, skrzętnie odnotowując nowe informacje. Może któregoś dnia, jeżeli kiedykolwiek odzyskam wolność, gdy dzielić nas będą bezkresny ocean i upływ lat, wrócę myślami do tej chwili i zastanowię się, dlaczego w ogóle to zrobił.

Kiedy w końcu dotarłam do ładnych, zadbanych, świeżo odmalowanych budynków stajni, postarałam się uspokoić oddech, żeby nie widać było po mnie pośpiechu. Bez szczególnego

zdziwienia odnotowałam fakt, że stajenni co do jednego nosili maski. Prawie zaczęłam im współczuć z powodu skutków magicznej plagi, przez którą musieli paradować w dziwacznych ozdobach do czasu, aż ktoś znajdzie sposób na ich zdjęcie. Żaden z nich nawet na mnie nie spojrział, gdy weszłam do środka. Może dlatego że nie uważali mnie za wartą swojej uwagi... A może oni również nienawidzili mnie z powodu Andrasa. Nie miałam im tego za złe.

Wszelkie próby udawania, że trafiłam tu zupełnym przypadkiem, spełzły na niczym, gdy natknęłam się na Luciena dosiadającego czarnego wierzchowca i szczerzącego do mnie swoje nienaturalnie białe zęby.

– Dzień dobry, Feyro. – Staralam się nie pokazać po sobie, że na jego widok stężały mi wszystkie mięśnie w rękach. Spróbowałam się uśmiechnąć. – Wybierasz się na przejażdżkę czy też rozważasz zrezygnowanie z gościny Tama? – Usiłowałam przypomnieć sobie słowa, które wcześniej ułożyłam; słowa, które miały mi zjednać jego przychylność. Ale moje starania spełzły na niczym, gdy mężczyzna się roześmiał, niezbyt przyjemnie. – Mniejsza z tym. Dzisiaj wyruszam na patrol do południowej kniei. Ciekawią mnie twoje... umiejętności, dzięki którym pokonałaś mojego przyjaciela. Przypadkowo... lub nie. Minęło już sporo czasu od mojego ostatniego spotkania z człowiekiem. Zwłaszcza z zabójcą fae. Spraw mi tę przyjemność i towarzyszy mi w polowaniu.

Doskonale. Przynajmniej ta część planu się powiodła. Nawet jeśli wiązała się ze stawieniem czoła niedźwiedziowi w jego zimowym legowisku. Odsunęłam się na bok, aby przepuścić stajennego. Ruchy sługi były niesamowicie płynne, tak jak i ruchy wszystkich mieszkańców posiadłości Tamlina. Przez cały czas stajenny nie spojrział na mnie ani razu, co wiele mówiło o jego nastawieniu do zabójczynie fae odwiedzającej stajnię.

Ale ja nie polowałam z końskiego grzbietu. Moje łowy polegały na wielogodzinnym skradaniu się i umiejętnym zastawianiu sideł oraz innych pułapek. Nie miałam żadnego doświadczenia w konnej pogoni za zwierzyną. Lucien odebrał kołczan ze strzałami od stajennego i skinął mu głową w podziękowaniu, po czym ponownie uśmiechnął się nieprzyjemnie. Jego oczy – zarówno to metalowe, jak i to zdrowe – pozostały chłodne.

– Niestety, nie mamy dla ciebie żadnych jesionowych strzał.

Zacisnęłam zęby, nie chcąc pogarszać sytuacji nieprzemyślaną ciętą ripostą. Nie rozumiałam, w jakim celu zaprasza mnie na polowanie, skoro Tamlin zabronił mi mnie w jakikolwiek sposób krzywdzić. Chyba że szukał okazji, aby mnie wyszydzić. Albo naprawdę był aż tak znudzony. Tym lepiej dla mnie.

Wzruszyłam ramionami i starałam się wyglądać na całkowicie obojętną.

– Cóż... – powiedziałam. – Ubiór mam odpowiedni na polowanie, więc czemu nie.

– Doskonale – stwierdził Lucien. Metalowe oko załśniło w promieniach słońca wciskających się do budynku przez otwarte wrota.

Modliłam się w duchu, żeby Tamlin zaraz nie wkroczył do stajni; żeby nie uznał, że wybierze się na samotną przejażdżkę, i nie zdybał nas szykujących się do drogi.

– Jedźmy zatem – powiedziałam.

Lucien skinął na stajennych, aby osiodłali dla mnie wierzchowca. Czekałam, aż skończą, oparta o drewnianą ścianę budynku, kątem oka obserwując wejście i spodziewając się w każdej chwili przybycia Tamlina. Lucien rzucał banalne uwagi na temat pogody, które kwitowałam równie banalnymi odpowiedziami.

Szczęśliwie wkrótce już siedziałam na grzbiecie białej klaczy i jechałam obok Luciena przez wiosenny las rozciągający się za ogrodem. Leśny trakt był na tyle szeroki, że mogłam utrzymywać bezpieczną odległość od mężczyzny z twarzą skrytą za lisią maską. Miałam tylko nadzieję, że jego metalowe oko nie pozwalało mu widzieć dokoła głowy.

Myśl ta była na tyle niepokojąca, że odepchnęłam ją na bok razem z tą częścią mnie, która zachwycała się grą promieni słonecznych na poruszanych delikatnym wiatrem liściach i kępami krokusów tworzącymi tu i ówdzie plamy soczystego fioletu na brązowo-zielonym tle. Były to rzeczy całkowicie niezwiązane z moim celem; bezużyteczne detale, które tylko odwracały uwagę od spraw naprawdę istotnych: kształtu i nachylenia traktu, drzew najlepszych do wspinaczki, szmeru pobliskich strumyków. Te informacje mogły mi pomóc przetrwać... gdybym kiedyś musiała tędy uciekać. Jednak teraz las był zupełnie pusty – podobnie jak cała okolica. Ani śladu jakichkolwiek istot, żadnych wędrujących fae wysokiego rodzaju. Cóż, trudno.

– Widzę, że milczenie podczas polowania masz opanowane do perfekcji – przerwał ciszę Lucien, spowalniając na chwilę krok swojego konia, aby zrównać się ze mną.

Dobrze. Niech on się zbliży do mnie, nie ja do niego. Mogłabym sprawiać wrażenie zbyt skorej do kontaktu, zbyt przyjacielskiej.

Poprawiłam kołczan na plecach, po czym przesunęłam palcem po gładkiej krzywiźnie leżącego w poprzek ud cisowego łuku. Był większy od tego, którego używałam w domu, a strzały były cięższe, z szerszymi grotami. Zanim przywyknę do ciężaru i innego wyważenia łuku, zapewne będę pudłować na potęgę.

Pięć lat temu na zakup ekwipunku myśliwskiego wydałam ostatnie miedziaki, jakie pozostały ojcu z naszej dawnej fortuny. Od tej pory co miesiąc odkładałam niewielką kwotę na nowe strzały i cięciwy.

– No i? – Nie dawał za wygraną Lucien. – Nie ma w naszych lasach zwierzyny godnej tego, byś ją pozbawiła życia? Mamy mnóstwo wiewiórek i ptaków.

Baldachim gałęzi nad naszymi głowami rzucał cienie na jego lisią maskę, tworząc hipnotyzującą grę światła i cieni na lśniąącym metalu.

– Odniosłam wrażenie, że macie dość jedzenia, aby codziennie zapełnić stół, a wręcz po każdym posiłku wiele produktów się marnuje. Nie widzę więc potrzeby dokładania do tego kolejnej zdobyczy. – Szczerze wątpiłam, by wiewiórka została uznana za odpowiednią na potrawę godną fae wysokiego rodzaju.

Lucien parsknął, ale nie powiedział już nic więcej. Przejechaliśmy pod obsypanym kwieciami krzewem bzu, którego gałęzie zwisały tak nisko, że delikatne płatki musnęły moją twarz. Mocny słodki zapach pozostał z nami jeszcze na długo. „Nieprzydatny!” – upomniałam samą siebie. Chociaż... Gęste krzewy za bzem byłyby dobrą kryjówką, gdybym takowej potrzebowała.

– Wspomniałeś, że służyłeś Tamlinowi w roli posła – zagałam. – Czy to miejscowy zwyczaj, że posłowie patrolują granice włości? – Staralam się, żeby moje pytanie zabrzmiało lekko i nienachalnie.

Lucien mlasnął z lekką irytacją.

– W formalnych okolicznościach istotnie jestem posłem Tamlina. Ale dzisiaj przypadała kolej Andrasa na objechanie lasu. Ktoś musiał go zastąpić. To prawdziwy zaszczyt.

Przełknęłam z trudem ślinę. Andras należał do miejscowej społeczności. Miał tu przyjaciół, nie był jakąś bezimienną, anonimową istotą. Bez wątpienia tęskniono za nim bardziej, niż moja rodzina tęskniła za mną.

– Przykro mi – powiedziałam. I nie skłamałam. – Nie wiedziałam... Nie wiedziałam, ile dla was znaczył.

Lucien wzruszył ramionami.

– Tamlin mówił to samo. Bez wątpienia dlatego właśnie sprowadził cię tutaj. Albo może wyglądałaś tak żałośnie w tych swoich szmatach, że w ostatniej chwili zlitował się nad tobą.

– Gdybym wiedziała, że będziesz mnie obrażać, nie dołączyłabym do ciebie.

Alis mówiła, że Lucienowi przydałoby się, gdyby ktoś go raz na jakiś czas ustawił do pionu. Nic prostszego.

Mój towarzysz uśmiechnął się pod nosem.

– Wybacz, Feyro. – powiedział. Gdybym nie wiedziała, że fae nie mogą kłamać, uznałabym te przeprosiny za nieszczerze. Czyli... musiał naprawdę poczuć skruchę? Nie wiedziałam, co o tym myśleć. – Dobrze więc. Kiedy zamierzasz zacząć przekonywać mnie, abym ubłagał Tamlina, żeby znalazł jakiś sposób na zwolnienie cię z kary wymaganej Traktatem?

Bardzo się starałam nie podskoczyć w siodle.

– Słucham?

– Przecież dlatego zgodziłaś się mi towarzyszyć, nie mam racji? Z jakiego innego powodu zawędrowałabyś do stajni dokładnie wtedy, kiedy wyruszałem na patrol? – Spojrzał na mnie z ukosa zdrowym okiem. – Przyznaję, że jestem pod wrażeniem. Czuję się też mile polectany przypuszczeniem, że mam aż taki wpływ na Tamlina.

Nie zamierzałam odkrywać kart – przynajmniej na razie.

– O czym ty mówisz?

W odpowiedzi przekrzywił na bok głowę. Zachichotał cicho i dodał:

– Zanim zmarnujesz swoje węższe siły na próby zaprzeczania, pozwól, że wyjaśnię ci dwie sprawy. Po pierwsze, gdybym miał coś do powiedzenia, byłabyś martwa i nie miałabyś nawet szansy mnie teraz przekonywać. Po drugie, nie mam nic do powiedzenia, ponieważ zapisy Traktatu nie dopuszczają żadnych odstępstw. Nie ma już pola do dalszej kreatywnej interpretacji jego brzmienia.

– Ale... Ale musi być jakiś...

– Podziwiam twoją odwagę, Feyro, naprawdę. Chociaż może jest to raczej głupota. Ale ponieważ Tam odrzucił pomysł wypatroszenia cię, na co nalegałem, musisz spędzić tu resztę życia. Chyba że wolisz spróbować szczęścia samodzielnie w Prythianie, co – urwał i zlustrował mnie od stóp do głów – osobiście odradzam.

Nie, nie... Nie mogłam tak po prostu tu zostać. Na zawsze. Aż do śmierci.

Może... Może był jakiś sposób, może był ktoś jeszcze, kto mógłby znaleźć inne wyjście. Uspokoiliam oddech i odsunęłam na bok paniczne myśli.

– Dzielna dziewczyna – rzucił Lucien z pogardliwym uśmieszkiem.

Nawet nie próbowałam ukryć wściekłości w spojrzeniu, które mu posłałam.

Dalej jechaliśmy w milczeniu. Po kilkanaście ptakami i wiewiórkami nie widziałam ani nie słyszałam nic szczególnego. Po kilku minutach wyciszyłam gniewne myśli na tyle, żeby móc odezwać się spokojnie:

– Gdzie jest reszta dworu Tamlina? Wszyscy uciekli przed tą magiczną plagą?

– Skąd wiesz o dworze? – zapytał szybko, zbyt szybko. Musiał pomyśleć, że chodzi mi o coś innego.

Zachowałam kamienną twarz.

– Czy w zwykłych rezydencjach utrzymuje się posłów? Poza tym służba lubi plotkować. Czy to nie dlatego kazaliście im założyć ptasie maski na ten bal?

Lucien skrzywił się, groteskowo rozciągając bliznę przecinającą twarz.

– Każde z nas samodzielnie wybrało swój strój, aby uhonorować dar zmiennokształtności Tamlina. Nie inaczej było w przypadku służby. Ale teraz, gdybyśmy mieli wybór, zerwalibyśmy je gołymi rękami. – Dla podkreślenia swoich słów pociągnął za swoją maskę. Ani drgnęła.

– Dlaczego magia zadziałała w ten sposób?

Lucien zaśmiał się chrapliwie.

– Coś zostało wysłane z cholernych czeluści piekieł – powiedział, po czym rozejrzał się

po okolicy i zaklął pod nosem. – Nie powinienem był tego mówić. Gdyby się dowiedziała...

– Kto?

Jego opalona twarz momentalnie zbladła. Przeczesał dłonią włosy.

– Nieważne. Im mniej wiesz, tym lepiej dla ciebie. Co prawda Tam uznał, że można ci powiedzieć o pladze, ale osobiście nie zdziwiłbym się, gdyby człowiek sprzedał tę wiedzę każdemu, kto tylko zaoferuje odpowiednią kwotę.

Zjeżyłam się na te słowa, ale jednocześnie cieszyłam z kolejnych skrawków informacji, które wyłożył przede mną niczym lśniące klejnoty. Była więc jakaś „ona”, która Luciena przeraża na tyle, że obawia się kogoś podsłuchującego jego rozmowy i obserwującego go z ukrycia. Nawet tutaj! Mimowolnie zbadałam cienie między drzewami, ale nikogo nie dostrzegłam.

Prythian był ponoć rządzony przez siedmioro książąt – może „ona” była władczynią tych ziem. Nie książę, ale właśnie księżna.

– Ile masz lat? – zapytałam, licząc na uzyskanie kolejnych przydatnych informacji. Nigdy nie wiadomo, kiedy taka wiedza mogła się przydać.

– Dużo – odparł.

Przyjrzał się badawczo mijanym krzewom. Odniosłam wrażenie, że nie wypatruje zwierzyny... Myśliwy szukający potencjalnej zdobyczy nie jest zazwyczaj taki spięty.

– Jakiego rodzaju mocami dysponujesz? Czy potrafisz zmieniać kształt tak jak Tamlin?

Westchnął ciężko i wzniosł wzrok na przebijające między gałęziami niebo, po czym spojrzał na mnie nieufnie spod zmrużonych powiek.

– Próbujesz znaleźć jakąś moją słabą stronę, aby... – Rzuciłam mu wściekle spojrzenie. – W porządku. Nie, nie potrafię. Tylko Tam potrafi.

– Ale twój przyjaciel miał przecież wygląd wilka. Chyba że to była jego...

– Nie, nie – przerwał mi. – Andras również należał do fae wysokiego rodu. Tam potrafi przemieniać nas do innej postaci w razie potrzeby, aczkolwiek zazwyczaj czyni tak tylko w przypadku strażników. Gdy wysłał Andrasa za mur, zmienił go w wilka, aby nie został rozpoznany. Chociaż zapewne same jego rozmiary były wystarczającą wskazówką.

Przeszył mnie zimny dreszcz. Na tyle silny, że ledwo zarejestrowałam ostre spojrzenie Luciena. Nie odważyłam się zapytać, czy Tamlin mnie również mógłby przemienić.

– W każdym razie – ciągnął dalej mój towarzysz – fae wysokiego rodu nie mają konkretnych „mocy”, tak jak pomniejsi fae. Nie mam żadnych wrodzonych zdolności, jeśli o to pytasz. Nie czyszczę wszystkiego, na co tylko spojrzę, ani nie wabię śmiertelników na pewną śmierć. Nie znam też odpowiedzi na wszelkie pytania, które tylko mogłabyś zadać, gdybyś mnie pojmała. My zwyczajnie istniejemy. Aby rządzić.

Odwrociłam się od niego, żeby nie dostrzegł, jak przewracam oczami.

– Zapewne gdybym była jedną z was, należałabym do zwykłych czarodziejskich istot, nie do fae wysokiego rodu. Tak jak Alis? Czekałaby tylko na polecenie, żeby wytrzeć wam buty z błota?

Nie odpowiedział, co uznałam za potwierdzenie moich przypuszczeń. Nie dziwiłam się, że przy swojej arogancji uznawał moją obecność w miejsce jego przyjaciela za potwarz. A ponieważ zapewne będzie mną gardził po wsze czasy, ponieważ zrujnował moje plany, zanim zdążyłam je wprowadzić w życie, zapytałam:

– Skąd masz tę bliznę?

– Nie siedziałem cicho, kiedy powinienem był to zrobić. I zostałem za to ukarany.

– Tamlin ci to zrobił?

– Na Kocioł, nie! Jego tam nawet nie było. Ale to on zdobył dla mnie sztuczne oko.

Kolejne bezużyteczne odpowiedzi...

– Są zatem istoty, które odpowiedzą na każde zadane pytanie, jeśli je schwytać?

Może wiedziały, w jaki sposób mogę uniknąć dożywocia w Prythianie...

– Tak, są – odparł niechętnie. – Suriele. Ale są stare i złośliwe. Niebezpieczeństwa związane z wyruszeniem na poszukiwania jednego z nich zdecydowanie nie są warte potencjalnych korzyści z ich znalezienia. A jeśli będziesz wystarczająco głupia, aby wyglądać na tak zaintrygowaną, nabiorę podejrzeń i doradzę Tamowi, żeby nałożył na ciebie areszt domowy. Chociaż może i przydałoby się tak zrobić, gdybyś w swojej bezmyślności poważnie rozważała wyruszenie na poszukiwania jednego z nich.

Musiały być całkiem niedaleko, skoro tak się tego obawiał. Lucien nagle zwrócił głowę w prawo i nasłuchiwał, wodząc wzrokiem po leśnej gęstwinie. Włoski na karku stanęły mi dęba i w mgnieniu oka przygotowałam łuk do strzału, celując w stronę, w którą spoglądał fae.

– Odłóż łuk – wyszeptał chrapliwie. – Odłóż ten cholerny łuk, człeczyno, i patrz przed siebie.

Zrobiłam, jak mówił. Coś poruszyło się w krzakach, przygotowując mnie o gęsią skórkę.

– Nie reaguj – powiedział Lucien, również wbijając wzrok wprost przed siebie. Jego metalowe oko zastygło nieruchomo. – Niezależnie od tego, co poczujesz czy zobaczysz, nie reaguj. Pod żadnym pozorem nie spoglądaj w bok! Cały czas patrz prosto przed siebie.

Dygotałam na całym ciele, ściskając kurczowo wodze spoconymi dłońmi. Może bym podejrzewała Luciena o próbę paskudnego żartu, gdyby on sam tak bardzo nie pobałdł. Również nasze konie położyły płasko uszy i szły sztywno naprzód, jakby rozumiejąc polecenie fae.

I wtedy to poczułam.

## Rozdział 10

Krew zastygła mi w żyłach, gdy coś cienistego i złowrogiego przemknęło na skraju mojego pola widzenia. Nie dostrzegłam żadnego konkretnego kształtu, tylko lekkie migotanie, ale i to wystarczyło, aby moja klacz napięła wszystkie mięśnie. Staralam się zachować kamienny spokój. Nawet tętniący dotąd życiem wiosenny las zdawał się poddawać wpływowi tego czegoś, jakby wędnąc i zamierając.

Istota, której obecność mroziła krew w żyłach, zaszeleściła z boku, to znów za nami, niczym drapieżnik krążący wokół ofiary. Nic nie mogłam dostrzec, ale *wyczuwałam* to. Gdzieś w podświadomości zabrzmiał pradawny głuchy szept:

„Pokruszę twoje kości. Wyszę z nich szpik. Nasycę się twoim mięsem. Jestem tym, czego się lękasz. Jestem tym, co cię przeraża... Spójrz na mnie. Spójrz na mnie!”

Spróbowałam przełknąć ślinę, ale strach zbyt mocno ścisnął mnie za gardło. Patrzyłam przed siebie: na drzewa, na ziemię, na gałęzie; na cokolwiek, byle nie na tę zimną, bezkształtną masę krążącą wokół nas.

„Spójrz na mnie”.

Chciałam spojrzeć. Chciałam zobaczyć, co to było.

„Spójrz na mnie”.

Wbiłam wzrok w chropowaty pień majaczącego w oddali wiązu i starałam się myśleć o przyjemnych rzeczach, takich jak ciepły chleb i pełny żołądek...

„Napełnię tobą swój żołądek. Pożrę cię w całości. Spójrz na mnie”.

Rozgwieżdzone, bezchmurne nocne niebo. Spokojne, migoczące i bezkresne. Letni wschód słońca. Odświeżająca kąpiel w leśnym stawie. Spotkania z Izaakiem; zatracenie się na godzinę czy dwie w jego ramionach, w naszych wspólnych oddechach.

To coś było wszędzie dokoła. Zrobiło się tak zimno, że zaczęłam szczełkać zębami.

„Spójrz na mnie”.

Patrzyłam niewzruszenie na coraz bliższy pień, bojąc się nawet zamrunąć. Oczy zaczynały mi łzawić. Pozwoliłam słonym kroplom popłynąć, ignorując wezwania czającej się w pobliżu istoty.

„Spójrz na mnie”.

I gdy już myślałam, że nie dam rady, że się poddam, gdy oczy aż piekły z bólu *niepatrzenia*, zimna masa zniknęła w głębi lasu, pozostawiając za sobą szlak zmarzniętych, drgających jeszcze liści. Rozluźniłam się dopiero wtedy, gdy Lucien odetchnął głęboko, a konie potrząsnęły łbami. Nawet krokusy zdawały się na powrót prostować.

– Co to było? – zapytałam, ocierając łzy z policzków.

Lucien wciąż był niezmiernie blady.

– Nie chcesz wiedzieć.

– Proszę, powiedz mi. Czy to był... jeden z surieli, o których wspominałeś?

Przez oko mężczyzny przemknął cień.

– Nie – odpowiedział zachrypniętym głosem. – To był stwór, którego nie powinno być na tych ziemiach. Nazywamy je bogge. Nie można na nie polować, nie można ich zabić. Nawet twoje ukochane jesionowe strzały by ci nie pomogły.

– Dlaczego nie wolno na nie patrzeć?

– Ponieważ gdy na nie spojrzysz, gdy przyjmiesz do świadomości ich obecność, wtedy właśnie stają się cielesne. Wtedy właśnie mogą cię zabić.

Przeszył mnie zimny dreszcz. Oto Prythian, jakiego się spodziewałam. To była jedna

z istot, o których ludzie nawet po tylu latach opowiadali przyciszonym głosem. To była przyczyna, dla której nie zawahałam się nawet przez chwilę, kiedy nabrałam podejrzeń, że spotkany wilk może być czarodziejską istotą.

– Słyszałam w głowie jego głos. Kazał mi na siebie spojrzeć.

Lucien wzruszył ramionami.

– Cóż, dzięki niech będą zatem Kotłowi, że tego nie zrobiłaś. Sprzątanie tego, co by z ciebie zostało, popsułoby mi humor na resztę dnia.

Posłał mi niepewny uśmiech. Nie odwzajemniłam go.

Wciąż słyszałam głos bogge'a szepczący do mnie między liśćmi, wołający mnie.

Po godzinie kluczenia wśród drzew, zamieniając z Lucieniem tylko kilka słów, przestałam się trząść na tyle, aby zdobyć się na dłuższą wymianę zdań.

– Jesteś zatem stary – stwierdziłam. – I nosisz miecz, patrolujesz granice włości Tamlina.

Walczyłeś w Wielkiej Wojnie?

No dobrze, może nie wyzbyłam się zupełnie ciekawości w związku z jego okiem.

Skrzywił się.

– Cholera, Feyro, nie jestem *tak* stary.

– Ale jesteś wojownikiem?

„Czy byłbyś w stanie mnie zabić, gdyby kiedyś przyszło do tego?”

Lucien zaśmiał się krótko pod nosem.

– Nie tak dobrym jak Tam, ale wiem, do czego służy broń. – Poklepał rękojeść miecza. – Chciałabyś, abym cię nauczył władania mieczem? A może posiadałaś już tę sztukę, o, potężna śmiertelna łowczyni? Skoro zdołałaś zabić Andrasa, zapewne nie potrzebujesz żadnego instruktora. Potrzebujesz tylko wiedzy, gdzie celować, mam rację? – Poklepał się po piersi.

– Nie umiem władać mieczem. Umieję tylko polować.

– Ale to przecież jest to samo, nieprawdaż?

– Dla mnie to dwie różne rzeczy.

Lucien zamilkł, jakby rozważał moje słowa.

– Cóż. Najwyraźniej ludzie są tak nikczemnymi tchórzami, że gdybyś tylko wiedziała ponad wszelką wątpliwość, czym Andras w rzeczywistości jest, zmoczyłabyś się, zwinęła w kłębek i czekała na śmierć.

Podły drań.

Fae westchnął i przyjrzał mi się.

– Czy ty kiedykolwiek przestaniesz być tak poważna i nudna? – zapytał.

– Czy *ty* kiedykolwiek przestaniesz być takim dupkiem? – odcięłam się.

Za późno ugryzłam się w język. Powinien mnie za to zabić.

Ale tylko wyszczerzył zęby.

– Od razu lepiej.

Wyglądało na to, że Alis nie myliła się co do niego.

\*\*\*

Przy stole podczas obiadu po kruchym rozejmie, jaki zawarliśmy tego popołudnia, nie było już ani śladu.

Tamlin siedział rozparty na swoim stałym miejscu, wodząc wysuniętym pazurem po krawędzi kielicha. Zamarł na chwilę, gdy tylko weszłam, a zaraz za mną Lucien. Spojrzenie zielonych oczu gospodarza ugodziło mnie niczym sztylet.

No tak. Rano odrzuciłam jego towarzystwo, twierdząc, że chcę być sama.

Tamlin powoli przeniósł wzrok na Luciena, którego twarz stężała.



– Byliśmy na polowaniu – powiedział Lucien.  
– Słyszałem – odparł oschłym tonem gospodarz, wodząc wzrokiem między nami, gdy zajmowaliśmy swoje miejsca. – Dobrze się bawiliście?

Powolutku wsunął pazur z powrotem pod skórę.

Lucien nie odpowiedział, ewidentnie pozostawiając wyjaśnienia mnie. Tchórz!

Odchrząknęłam.

– Tak jakby – powiedziałam.

– Udało się wam coś ustrzelić? – Każde słowo sprawiało wrażenie wyciosanego z zimnego kamienia.

– Nie.

Lucien odkasznął lekko i posłał mi znaczące spojrzenie, tak jakby chciał, abym powiedziała coś więcej. Ale ja nie miałam już nic do dodania. Tamlin wpatrywał się we mnie dłuższą chwilę, po czym zajął się swoim jedzeniem, najwyraźniej również niezainteresowany dalszą wymianą zdań.

– Tam – przerwał ciszę niepewnym głosem Lucien.

Gospodarz uniósł wzrok i posłał przyjacielowi dzikie spojrzenie – polecenie, aby Lucien wykrztusił z siebie, cokolwiek miał do powiedzenia.

Grdyka fae zatańczyła.

– W lesie był bogge.

Widelec w dłoni Tamlina zgiął się, jakby był zrobiony z wosku, nie z metalu.

– Spotkaliście go? – zapytał ze stoickim spokojem.

Lucien kiwnął głową.

– Mijał nas, ale zbliżył się do traktu. Musiał się przekraść przez granicę.

Pazury wystrzeliły nagle z palców Tamlina i widelec z jękiem rozpadł się na kilka części. Gospodarz zerwał się gwałtownie na równe nogi, dygocząc od tłumionej wściekłości. Staralam się nie zadrzeć na widok jego wydłużających się rysów.

– W której części lasu?

Lucien opisał mu miejsce. Tamlin zerknął na mnie, po czym opuścił szybkim krokiem jadalnię i z nienaturalną delikatnością zamknął za sobą drzwi.

Lucien odetchnął, odsunął od siebie talerz z niedojedzonym posiłkiem i potarł palcami skronie.

– Gdzie on poszedł? – zapytałam, wpatrując się w zamknięte drzwi.

– Zapolować na bogge'a.

– Ale przecież powiedziałaś, że nie można go zabić. Że nie można mu stawić czoła.

– Tam może.

Oddech na chwilę zamarł mi w piersi. Opryskliwy fae wysokiego rodu, który prawil mi nieszczerze komplementy, był zdolny zabić istotę pokroju bogge'a. A mimo to pierwszego wieczoru sam mi nałożył jedzenie. Poprzednio zaś darował mi życie. Wiedziałam już wcześniej, że był śmiertelnie groźny, że był wojownikiem, ale...

– Poszedł zapolować na bogge'a tam, gdzie dziś byliśmy?

Lucien wzruszył ramionami.

– Jeśli ma gdzieś podjąć trop, to właśnie tam.

Nie mieściło mi się w głowie, jak ktoś mógłby zmierzyć się z tym nieśmiertelnym potworem, ale... To nie był mój problem.

A to, że Lucienowi przeszedł apetyt, nie znaczyło, że ja też straciłam ochotę na obiad. Rudowłosy fae był tak zatopiony w swoich myślach, że nawet nie zauważył, jakie ilości jedzenia wchłonęłam.

Po skończonym posiłku wróciłam do swojej komnaty i ponieważ nie chciało mi się spać, a nie miałam nic innego do roboty, wyglądałam przez okno na ogród, wypatrując powrotu Tamlina. Długo nie wracał.

Naostrzyłam schowany wczoraj nóż kamieniem, który przyniosłam z ogrodu. Minęła kolejna godzina, a Tamlin wciąż się nie pojawił.

Wszedł księżyc, zalewając ciemny ogród srebrzystą poświatą.

To było idiotyczne. Czekać przy oknie i wyglądać powrotu fae. Żeby na własne oczy przekonać się, czy naprawdę przeżył spotkanie z boggem. Odwróciłam się od okna i już miałam zalec w łóżku, kiedy kątem oka wyłowiłam jakiś ruch w ogrodzie.

Skryłam się w cieniu zasłon, aby przypadkiem nie dostrzegł, że na niego czekałam, i wyrzalam na dwór.

To nie był Tamlin... A jednak ktoś zdecydowanie czaił się wśród żywopłotów i spoglądał w stronę domu. W stronę *mojego* okna.

Mężczyzna. Lekko przygarbiony. I...

Gdy istota przykuśtykała bliżej i stanęła w snopie światła padającego z jednego z okien na parterze, zaparło mi dech w piersiach.

To nie był fae, lecz człowiek.

Mój ojciec.

## Rozdział 11

Nie pozwoliłam sobie na panikę, nie dopuściłam też żadnych wątpliwości. Żałowałam tylko, że nie schowałam przy śniadaniu nic do jedzenia. Rzuciłam się do szafy i wciągnęłam na siebie kilka tunik, a na koniec owinęłam się płaszczem. Przed wyjściem schowałam jeszcze nóż w cholewie buta. Nie zabrałam sakwy ze zmianą ubrań. Tylko by mi zawadzała.

Mój ojciec. Tata przyszedł, aby mnie stąd zabrać. Aby mnie uratować. Zatem wszelka pomoc, jaką Tamlin zaoferował im po zabraniu mnie, nie mogła być zbyt szczodra. Może ojciec dogadał już nawet statek, czekający teraz w porcie, aby zabrać nas daleko, daleko stąd. Może w jakiś sposób zdołał sprzedać naszą chatę i zdobyć dość pieniędzy, żeby na nowo urządzić nasze życie w innym miejscu gdzieś na kontynencie.

Tata. Mój okaleczony, złamany przez życie ojciec przyszedł po mnie.

Szybki rzut oka na teren bezpośrednio pod moim oknem pozwolił mi się upewnić, że nikogo nie ma pod murami domu. Panująca wciąż cisza z kolei świadczyła o tym, że nikt poza mną jeszcze nie dostrzegł mojego ojca. Wciąż czekał na mnie przy żywopłocie, przyzywając mnie ruchem ręki. Dobrze, że Tamlin jeszcze nie wrócił.

Rozejrzałam się ostatni raz po komnacie, nasłuchując jakiegokolwiek odgłosu z korytarza, chwyciłam najbliższy szczebel treliazu, po którym pięły się porastające dom pnącza, i zeszałam na dół.

Syknęłam, gdy żwir zachrzęścił pod moimi butami, ale ojciec już zmierzał ku głównej bramie, przy każdym kroku wspierając się swoją laską. W jaki sposób zdołał się tu dostać? Musiał mieć konie. Zapewne ukrył je gdzieś w okolicy. Nie miał odpowiednio ciepłego odzienia jak na zimę panującą na południe od muru. Ja jednak założyłam na siebie tyle warstw ubrań, że w razie potrzeby mogłam się z nim podzielić.

Starałam się stąpać lekko i cicho, starannie unikając plam księżycowej poświaty. Pośpieszyłam w ślad za ojcem, który z zaskakującą szybkością sunął ku skrytym w cieniu żywopłotom i znajdującą się za nimi bramie.

W oknach domu paliło się tylko kilka świec. Nie odważyłam się zawołać za ojcem kuśtykającym ku wolności. Starałam się wręcz nie oddychać zbyt głośno. Jeśli uciekniemy teraz, jeśli dobrze zgadłam i czekały na nas konie, do czasu kiedy ktoś zauważy moją nieobecność, będziemy już w połowie drogi do domu. A potem porzucimy tę przeklętą wyspę. Znajdziemy się z dala od Tamlina i z dala od tajemniczej plagi, która lada dzień może rozprzestrzenić się na nasze ziemie.

Ojciec dotarł do otwartej już bramy. Ciemny las za nią przyzywał mnie. Nigdzie nie widziałam koni, musiał je zatem ukryć gdzieś dalej. Odwrócił się do mnie. Jego krzepiąco znajoma twarz była poważna i pełna napięcia. Pwne oczy po raz pierwszy od niepamiętnych czasów patrzyły na mnie bystro. I wołały. „Szybciej, szybciej” – zdawał się krzyczeć każdy ruch jego ręki.

Serce łomotało mi w piersi tak mocno, że aż gardło pulsowało mu do wtóru. Już tylko kilka stóp dzieliło mnie od ojca, od wolności, od nowego życia...

Czyjaś silna dłoń chwyciła mnie za ramię.

– Wybierasz się gdzieś?

Szlag, szlag, *szlag!*

Pazury Tamlina przebiły się przez warstwy ubrania. Spojrzałam na niego z nieskrywanym przerażeniem.

Nie ważyłam się nawet drgnąć. Mężczyzna zacisnął wargi, mięśnie jego szczęki zadrżały.

Otworzył usta i dojrzałam jego kły – długie, rozszarpujące gardła kły zalśniły w świetle księżyca.

Zaraz mnie zabije. Zabije mnie tu, gdzie stoję. A chwilę potem zabije mojego ojca.

Koniec z lawirowaniem wśród możliwych interpretacji zapisów Traktatu, koniec z komplementami, koniec z litością. Już o to nie dbał. W zasadzie już byłam martwa.

– Błagam – wyszeptalam. – Mój ojciec...

– Twój ojciec? – Uniósł wzrok i skierował go w stronę bramy za moimi plecami.

Zadrżałam, gdy zawarczał nisko i obnażył zęby. – Może spójrz ponownie?

Puścił mnie.

Zatoczyłam się do tyłu, zawirowalam w miejscu, nabrałam powietrza głęboko do płuc, aby krzyknąć do ojca, by uciekał, ale...

Ale go tam nie było. Tylko jaśniejący łuk i kołczan białych strzał stały oparte o kolumnę bramy. Jesion. Chwilę temu ich tam nie było, przecież...

Oba przedmioty zafalowały, tak jakby były tylko odbiciem na powierzchni wody...

Następnie przy bramie stał plecak wypełniony zapasami na drogę. Kolejne fale... Tym razem moim oczom ukazały się siostry, tulące się do siebie, szlochające...

Kolana się pode mną ugięły.

– Co to... – Nie zdołałam dokończyć pytania.

Teraz ponownie przy bramie stał mój ojciec, przygarbiony i ponaglący mnie ręką.

Wyglądał dokładnie tak, jakim go zapamiętałam.

– Czy nie zostałeś ostrzeżona, abyś zawsze uważała? – warknął Tamlin. – Że twoje ludzkie zmysły mogą cię oszukać?

Wyminął mnie i zaryczał tak groźnie, że cokolwiek czaiło się przy bramie, zamigotało i rzuciło się do ucieczki, zygzakując między drzewami daleko w mrok.

– Głupia – zwrócił się do mnie. – Jeśli chcesz uciekać, zrób to przynajmniej za dnia. – Spojrzał na mnie gniewnie; kły powoli wsuwały się w dziąsła, lecz pazury pozostały wysunięte. – Nocą po tych lasach krążą gorsze rzeczy niż bogge. Istota, która czekała na ciebie przy bramie, była jedną z łagodniejszych, ale nawet ona pożarłaby cię żywcem, długo delektując się twoim bólem.

Nagle odzyskałam mowę, jednak ze wszystkich rzeczy, które mogłam powiedzieć, bezmyślnie wypaliłam:

– A możesz mnie za to winić? Mój kaleki ojciec pojawia się pod moim oknem, a ty oczekujesz, że nie pobiegnę do niego? Naprawdę sądziłeś, że ochoczo zostanę tu do końca swojego życia, nawet jeśli ma to oznaczać opiekę dla mojej rodziny? Tylko dlatego że jakiś Traktat, z którym nigdy nie miałam nic wspólnego, pozwala twojemu gatunkowi mordować ludzi wedle uznania?

Poruszył palcami, jakby chciał schować pazury, ale pozostawił je wysunięte; gotowe do cięcia ścięgien i kości.

– Czego chcesz, Feyro?

– Chcę wrócić *do domu!*

– Do jakiego domu tak właściwie? Naprawdę wolisz swój nędzny ludzki żywot od obecnej egzystencji?

– Złożyłam obietnicę – odparłam, dysząc ciężko. – Dałam słowo konającej matce, że będę się opiekować resztą rodziny. Że o nich wszystkich zadbam. Wszystko, co robiłam każdego dnia, godzina po godzinie, wynikało z tej obietnicy. A teraz jestem zmuszana do złamania jej tylko dlatego, że polowałam, aby nakarmić tę rodzinę, aby uchronić ją od śmierci głodowej.

Tamlin ruszył w milczeniu w stronę rezydencji. Odczekałam, aby zwiększyć dystans, i dopiero po chwili podążyłam za nim. Z każdym krokiem powoli wsuwał pazury pod skórę.

– Nie łamiesz swojej obietnicy, przebywając tutaj – powiedział, nie patrząc na mnie – lecz ją spełniasz. Twojej rodzinie wiedzie się lepiej niż wówczas, gdy ty o nią dbałaś.

Przed oczami stanęły mi złuszczone, wyblakłe malunki. Może z czasem zapomną o tej, która nimi dekorowała dom. Te wszystkie lata, przez które o nich dbałam, będą im się jawiły równie nieistotnymi, jak ja byłam nieistotna dla tych zarozumiałych fae wysokiego rodu. A to marzenie, które snułam o zamieszkaniu pewnego dnia z ojcem... To, w którym mieliśmy dość jedzenia i pieniędzy, abym mogła malować... Było tylko moim marzeniem i nikt go ze mną nie dzielił.

Poczułam przykry ucisk w piersi.

– Nie mogę tak po prostu ich porzucić. Niezależnie od tego, co mi powiesz.

Nawet jeśli byłam tylko głupim człowiekiem, na tyle głupim, by uwierzyć, że ojciec tu po mnie przyszedł.

Tamlin rzucił mi spojrzenie przez ramię.

– Nie porzucasz ich.

– Żyjąc w wygodach i napychając się codziennie jedzeniem po uszy? W jaki sposób nie jest to...

– Zadbalem o wszystkie ich potrzeby. Są nakarmieni i prowadzą godne życie.

„Nakarmieni. Godne życie”. Jeśli naprawdę nie mógł kłamać, jeśli to była prawda... to mieli więcej, niż kiedykolwiek mogłabym zamarzyć.

To... To złożona matce obietnica była spełniona. Czułam się oszołomiona tą konkluzją. Przez chwilę szłam za Tamlinem w milczeniu. Moje życie należało teraz do Traktatu, ale... Może jednocześnie w pewien sposób zostałam wyzwolona.

Zbliżyliśmy się do szerokich schodów prowadzących do głównego wejścia rezydencji.

– Lucien patroluje granicę twoich włości – przerwałam ciszę. – Wspomniałeś też o innych strażnikach, lecz żadnego dotąd nie widziałam. Gdzie oni są?

– Na granicy – odparł zwięźle, tak jakby jego zdaniem była to wystarczająca odpowiedź.

Jednak po chwili dodał: – Nie potrzebuję strażników tutaj, jeśli sam tu jestem.

No tak, on sam był wystarczająco groźny. Staralam się o tym nie myśleć, ale i tak zapytałam:

– Masz zatem wyszkolenie wojownika?

– Tak. – Gdy nie zareagowałam na jego odpowiedź, dodał: – Większość życia spędziłem w oddziale ojca na granicach. Ćwiczyłem się w sztuce walki, aby pewnego dnia służyć jemu lub innym. Władanie tymi ziemiami... Nie mnie miało przypaść w udziale.

Beznamiętny ton jego wypowiedzi dobitnie pokazywał jego stosunek do swojej aktualnej pozycji. A także dlaczego tak bardzo potrzebował towarzystwa swojego złotoustego przyjaciela.

Ale były to sprawy zbyt osobiste, żebym mogła się zdobyć na pytanie, co się takiego stało, że jego sytuacja uległa tak diametralnej zmianie. Zamiast tego odchrząknęłam i powiedziałam:

– Jakiego rodzaju istoty żyją w lasach za tą bramą, skoro mówisz, że bogge nie jest najgorszą z nich? Co ja właściwie spotkałam?

Tak naprawdę chciałam zapytać: „Co by urządziło mi kaźń, a potem mnie zjadło? Kim jesteś, że tak bardzo przerażasz takie stworzenie?”

Zatrzymał się z jedną nogą na pierwszym stopniu i zaczął, aż się z nim zrównam.

– To była puka. Wykorzystują twoje własne pragnienia, aby zwabić cię w jakieś odludne miejsce, po czym cię zjadają. Powoli. Prawdopodobnie wyczuła twoją ludzką woń w lesie i podążyła za nią aż tutaj. – Zadrżałam, nawet nie próbując tego przed nim ukryć. Tamlin kontynuował: – Te ziemie były niegdyś dobrze strzeżone. Najgroźniejsze istoty nie opuszczały

swoich rodzimych stron, były nadzorowane przez lokalnych władców lub przepędzane daleko stąd. Kiedyś stwory takie jak ta puka nigdy nie poważyłyby się nawet tu zbliżyć. Ale teraz choroba trawiąca Prythian, osłabiła zakłęcia ochronne, które nie dopuszczały ich do naszych ziem. – Urwał. Gdy po chwili dokończył swoje wyjaśnienia, odniosłam wrażenie, że każde słowo sprawiało mu ból: – Teraz jest inaczej. Nocą lasy nie są już bezpieczne dla samotnych wędrowców. Zwłaszcza dla ludzi.

„Ponieważ ludzie są bezbronni niczym oseski w porównaniu z urodzonymi drapieżnikami, takimi jak Lucien czy Tamlin, którzy nie potrzebują zabierać broni na polowanie”. Zerknęłam na jego dłoń, ale nie dojrzałam już ani śladu pazurów. Tylko opaloną, zgrubiałą skórę.

– Co jeszcze się zmieniło? – zapytałam, podążając za nim po marmurowych schodach.

Tym razem się nie zatrzymał, nawet nie obejrzał przez ramię.

– Wszystko.

\*\*\*

Zatem miałam tu naprawdę spędzić resztę życia. I jakkolwiek mocno pragnęłam wierzyć, że moją rodziną istotnie się zaopiekowano i że lepiej się jej przysłużyć, zostając tu, z dala od niej... że naprawdę dotrzymywałam obietnicy danej matce, przebywając w Prythianie – bez ciężaru tego przyrzeczenia w duszy czułam się pusta.

Przez kolejne trzy dni towarzyszyłam Lucienowi na patrolach, które wcześniej odbywał Andras, podczas gdy Tamlin tropił bogge'a, którego my szczęśliwie już więcej nie spotkaliśmy. Choć czasami Lucien zachowywał się jak skończony drań, nie zdawał się niechętny mojemu towarzystwu. Do tego to on głównie mówił, co bardzo mi pasowało. Mogłam w spokoju rozmyślać nad dalekosiężnymi konsekwencjami wystrzelenia jednej strzały.

Strzała. Przez trzy dni podążania wzdłuż granicy włości Tamlina ani razu nie użyłam łuku. Jednego ranka wypatrzyłam w mijanej roztoce sarnę. Instynktownie dobyłam strzałę z kołczanu, nałożyłam ją na cięciwę i napięłam łuk, gotowa posłać pocisk prosto w oko zwierzęcia. Lucien nie omieszkał zauważyć ironicznie, że przynajmniej *tym razem* nie mierzę w fae. Ale gdy przyglądałam się mojemu celowi – dobrze odżywionej, zdrowej i wyraźnie zadowolonej z życia sztuce – rozmyśliłam się; opuściłam łuk, włożyłam strzałę z powrotem do kołczanu i pozwoliłam mojej niedoszłej zdobyczy odejść w spokoju.

Przez cały ten czas ani razu nie widziałam Tamlina w rezydencji poza posiłkami. Wedle słów Luciena dzień i noc polował na bogge'a. Wracał tylko na wieczerzę, podczas której mało mówił, szybko zjadał swoją porcję i wyruszał ponownie w las. Dzień za dniem, noc za nocą. Nie przeszkadzała mi jego nieobecność. Czułam wręcz pewną ulgę z tego powodu.

Trzeciego wieczoru po moim spotkaniu z puką ledwo zdążyłam zasiąść do stołu, kiedy Tamlin wstał, tłumacząc się, że nie chce marnować ani chwili, którą mógłby przeznaczyć na łowy.

Odprowadziliśmy go z Lucieniem wzrokiem.

Nie mogłam nie zauważyć, że twarz przyjaciela gospodarza była blada i ściągnięta.

– Martwisz się o niego – zauważyłam.

Lucien rozparł się niedbale w swoim krześle, przyjmując pozycję zupełnie nieprzystającą jednemu z fae wysokiego rodu.

– Tamlin miewa... humory.

– Nie chce, żebyś mu pomógł w polowaniu na bogge'a?

– Woli polować sam. A świadomość, że na naszych ziemiach pojawiła się taka istota...

Nie sądzę, abyś mogła to zrozumieć. Puki są na tyle mało istotne, że je ignoruje, ale bogge...

Nawet gdy już rozerwie go na strzępy, będzie jeszcze parę dni dochodzić do siebie.

– I nie ma nikogo, kto mógłby mu pomóc?

– Zapewne rozszarpałby takiego kogoś za to, że nie trzymał się od niego z daleka zgodnie z poleceniem.

Włoski na karku stanęły mi dęba.

– Posunąłby się tak daleko...

Lucien przyjrzał się w skupieniu winu w swoim kielichu.

– Nie utrzymasz się przy władzy, jeśli będziesz przyjaźnić się z wszystkimi wokół.

A wśród fae, zarówno tych pomniejszych, jak i tych wysokiego rodu, trzeba wyjątkowo twardej ręki. Jesteśmy zbyt potężni, zbyt znudzeni nieśmiertelnością, żebyśmy czuli respekt wobec czegokolwiek innego.

Wyglądało na to, że Tamlin czuł się w swojej roli bardzo samotnie. Zwłaszcza że przecież wcale jej nie chciał. Nie potrafiłam sobie odpowiedzieć, dlaczego mnie to w ogóle obchodziło.

\*\*\*

*Śnieg sypał gęsto i nieubłaganie. Zaspy sięgały mi już kolan. Napinałam łuk – mocniej i mocniej – aż mięśnie ramienia zaczęły dygotać. Za mną czaił się cień. Obserwował mnie. Nie odważyłam się nań spojrzeć; zobaczyć, kto może się w nim kryć, kto mnie obserwuje. Nie w chwili, kiedy wilk stojący po drugiej stronie polany wpatrywał się we mnie swoimi żółtymi ślepiami.*

*Tylko wpatrywał. Tak jakby czekał, prowokował mnie do wystrzelenia jesionowej strzały.*

*Nie, nie! Nie chciałam tego zrobić. Nie tym razem. Nie znowu. Nie...*

*Ale moje palce nie słuchały mnie ani trochę. Puściły cięciwę. Wilk wciąż się we mnie wpatrywał, podczas gdy strzała pędziła wprost ku niemu.*

*Jeden strzał. Grot wbity prosto w złote oko.*

*Rozbryzg krwi na śniegu. Tąpnięcie upadającego cielska. Westchnięcie wiatru. Nie!*

*To nie wilk upadł na śnieg. Nie, to był mężczyzna – wysoki i dobrze zbudowany.*

*Ale nie człowiek. Fae wysokiego rodu. Z wyraźnie widocznymi spiczastymi uszami.*

*Zamrugalam i wtedy nagle moje dłonie stały się ciepłe oraz lepkie od krwi, a jego ciało – czerwone i obdarte ze skóry. Truchło parowało w zimnie, a ja trzymałam w dłoniach skórę, jego skórę. A potem...*

\*\*\*

Obudziłam się gwałtownie mokra od potu. Zmusiłam się do zrobienia głębokiego oddechu. Otworzyłam oczy i rozejrzałam się po ciemnej sypialni. Prawdziwe... to było prawdziwe.

Wciąż widziałam mężczyznę fae wysokiego rodu leżącego na śniegu twarzą w dół, z moją strzałą wbity głęboko w oko, tak że zakrwawiony grot wychodził z tyłu głowy. Całe jego

ciało było czerwone i pokryte krzepnącą krwią, bo przed chwilą zdarłam z niego skórę.

Poczułam silne mdłości.

To nie było prawdziwe, to tylko sen. Nawet jeśli to, co zrobiłam Andrasowi, choćby w wilczej postaci, było... Było...

Potarłam mocno twarz. Może to wina spokoju, pustki minionych dni. Może to wina świadomości, że nie muszę już poświęcać każdej godziny mojego życia na obmyślanie sposobów na utrzymanie swojej rodziny przy życiu. Ale... Poczułam żal. Może też wstyd. To te uczucia czułam na języku, w szpiku kości.

Wzdrygnęłam się, tak jakbym mogła je z siebie strząsnąć, i odrzuciłam pościel, aby wstać z łóżka.



## Rozdział 12

Szłam mrocznymi korytarzami, usiłując bezskutecznie otrząsnąć się z resztek przerażenia i odrazy wywołanych koszmarem. W rezydencji panowała cisza: tak Lucien, jak i cała służba już dawno spali. A ja musiałam zrobić coś – *cokolwiek* – żeby tylko nie zasnąć z powrotem.

Ściskając kurczowo skrawek papieru w jednej dłoni i pióro w drugiej, ostrożnie przemierzałam śpiący dom, zapamiętując położenie okien, pomieszczeń i drzwi wyjściowych, od czasu do czasu szkicując zgrubne plany i zaznaczając krzyżykami najważniejsze miejsca.

To było najlepsze, co mogłam zrobić. Przypadkowy człowiek potrafiący czytać i pisać nic by nie zrozumiał z mojego „planu”. Ja jednak umiałam nakreślić zaledwie kilka liter i tylko taką mapę potrafiłam narysować. Zawsze lepsze to niż nic. Skoro tu zostałam, muszę doskonale znać najlepsze kryjówki i najdogodniejsze drogi ucieczki. Na wszelki wypadek, gdyby coś kiedyś poszło nie tak. Nie mogłam się całkowicie wyżyć instynktu, który utrzymywał mnie przy życiu przez te wszystkie lata.

W korytarzach było zbyt mało światła, abym mogła podziwiać obrazy zdobiące ściany, ale nie chciałam ryzykować zapalania świecy. W tych kilku chwilach ostatnich trzech dni, kiedy zebrałam dość odwagi, by przyjrzeć się bliżej niektórym dziełom, spotkałam kilkoro służących i za każdym razem ta część mnie, która zawsze przemawiała głosem Nesty, wyśmiała ciemną człeczynę próbującą zrozumieć sztukę fae. „Innym razem” – powiedziałam sama do siebie. Kiedyś, któregoś dnia znajdę godzinę spokoju, z dala od oczu wszystkich. Wtedy przyjrzę się dokładnie malowidłom. A miałam przecież przed sobą wiele godzin... Całe życie do wypełnienia. Może... Może kiedyś uda mi się ustalić, co chciałabym z tym życiem zrobić.

Zeszłam na palcach głównymi schodami. Blask księżyca zalewał czarno-białe kafle, którymi wyłożony był główny hall. Pokonałam ostatni stopień, stanęłam boso na zimnym kamieniu podłogi i nasłuchiwałam. Nic. Nikogo.

Położyłam swoją „mapę” na stoliku przy drzwiach wejściowych, po czym nakreśliłam kilka krzyżyków i kółek, oznaczając w ten sposób drzwi, okna i marmurowe schody. Miałam zamiar poznać dom tak dobrze, żeby potrafić się po nim poruszać nawet z zawiązanymi oczami.

Lekki powiew wiatru oznajmił jego przybycie. Odwróciłam się od stołu i spojrzałam w stronę otwartych szklanych drzwi ogrodowych.

Zdażyłam już zapomnieć, jak olbrzymi był w swojej zwierzęcej formie. Nie pamiętałam widoku skręconych rogów, wilczego pyska i cielska wielkości niedźwiedzia, które jednak nie przeszkadzało mu poruszać się z kocią zwinnością. Jarzące się w mroku zielone oczy utkwił we mnie. Jedną łapą zamknął drzwi za sobą, po czym ruszył w moją stronę, wypełniając hall stukaniem pazurów zwielokrotnionym echem na marmurowej posadzce. Stałam jak zamurowana, nie ważąc się nawet drgnąć lub mrugnąć.

Szedł powoli, utykając lekko. Na podłodze za sobą pozostawiał ciemne, lśniące w świetle księżyca plamy.

Zbliżył się jeszcze bardziej. Miałam problem z nabraniem powietrza, jakby wessał je całe do swoich płuc. Był tak wielki, że ogromny hall wydał mi się klaustrofobiczny, ciasny niczym klatka. Stukanie pazurów na marmurze, nierówne sapanie, skapywanie kropli krwi.

Wtem, między jednym a drugim krokiem, zmienił swoją postać. Towarzyszył temu tak jaskrawy błysk, że musiałam mocno zacisnąć powieki, aby nie oślepnąć. Kiedy otworzyłam oczy i mój wzrok przyzwyczaił się na powrót do panującego w hallu półmroku, Tamlin stał już tuż przede mną.

Stał niezbyt pewnie. Nie miał przewieszzonego przez pierś nieodzownego dotąd

skórzanego pasa ani swoich noży. Ubranie wisiało na nim w strzępach, z licznymi śladami cięcia pazurami. Zastanawiałam się, w jaki sposób to przeżył. Ba! Śniada skóra widoczna przez rozcięcia była gładka i nienaruszona.

– Czy udało ci się zabić bogge'a? – zapytałam ledwo słyszalnym szeptem.

– Tak – odparł głuchym, bezbarwnym głosem, tak jakby nie chciało mu się silić na uprzejmość. Jakby moje pytanie znajdowało się na samym końcu bardzo długiej listy, poprzedzone niezliczonymi o wiele ważniejszymi rzeczami.

– Jesteś ranny – wyszeptałam jeszcze ciszej.

Całą dłoń miał pokrytą krwią, która sączyła się nieprzerwanie i zdążyła już utworzyć niewielką kałużę na podłodze. Spojrzał na nią półprzytomnie, jakby niewyobrażalnym wysiłkiem woli właśnie sobie przypomniał, że w ogóle posiada coś takiego jak dłoń i że krwawi. Jak wiele musiało go kosztować – fizycznie i psychicznie – zabicie bogge'a? Stawienie czoła tej złowieszczej istocie? Jak głęboko w siebie musiał sięgnąć, jak pradawnych nieśmiertelnych mocy użyć, jaką pierwotną bestię wydobyć na powierzchnię, aby zabić tak groźnego przeciwnika?

Spojrzał na leżącą na stoliku „mapę”.

– Co to jest? – zapytał głosem całkowicie wypranym z wszelkich śladów emocji, czy to złości, czy rozbawienia.

– Pomyślałam sobie, że powinnam lepiej poznać dom, w którym teraz mieszkam – wyjaśniłam szybko, porywając papier z blatu.

Kap, kap, kap.

Otworzyłam usta i wskazałam palcem jego dłoń, ale nie dał mi nic powiedzieć.

– Nie umiesz pisać, czyż nie tak? – zapytał.

Nie odpowiedziałam. Nie wiedziałam, co mogłabym odpowiedzieć. „Prosta, niewarta uwagi człeczyna”.

– Nic dziwnego zatem, że tak dobrze opanowałaś inne umiejętności.

Uznałam, że myślami jest jeszcze przy walce z boggem i nie zdaje sobie sprawy z tego, że właśnie mnie skomplementował. Jeśli dobrze odgadłam, że to był komplement...

Kolejne krople krwi spadły na marmurową posadzkę.

– Gdzie możemy oczyścić twoją dłoń?

Uniósł wzrok i spojrzał mi w oczy. Nieruchomy, milczący i znużony.

– Mam wydzielone pomieszczenie do tych celów – powiedział w końcu.

Zdałam sobie sprawę, że była to zapewne najcenniejsza informacja, jaką udało mi się zdobyć tej nocy. Ale gdy szłam za nim, starając się nie wdepnąć w ślady krwi na podłodze, pomyślałam o tym, co Lucien powiedział mi o izolacji swojego przyjaciela, o jego samotności, o dźwiganym przezeń brzemieniu. Wspomniałam też, jak sam Tamlin wyznał, że to nie jemu miały przypaść w udziale te włości. I poczułam... współczucie.

\*\*\*

Pomieszczenie z medykamentami było dobrze zaopatrzone, choć przypominało raczej schowek gospodarczy ze wstawionym doń stołem roboczym niż gabinet lekarski. Zapewne fae w zupełności to wystarczało, skoro wiele urazów mogli leczyć samodzielnie dzięki swoim magicznym mocom. Ale ta rana... Ta rana nie chciała się zasklepić.

Tamlin oparł się o stół, ścisnął ranną dłoń w nadgarstku drugą ręką i przyglądał się moim poszukiwaniom odpowiednich materiałów i przyrządów. Gdy zgromadziłam wszystko, co było mi potrzebne, zwalczyłam niechęć do dotknięcia go. Nie poddałam się strachowi i ujęłam jego dłoń. Jego skóra była tak gorąca, że niemal parzyła moje nieco zziębnięte palce.

Oczyściłam metodycznie skórę z krwi, spodziewając się w każdej chwili zobaczyć błysk

pazurów, ale te pozostały schowane, a Tamlin zachowywał milczenie przez cały czas. Ostrożnie owinęłam mu dłoń bandażem. Ku memu zdziwieniu rana nie była głęboka – tylko kilka rozcięć skóry, z których żadne nie wymagało szycia.

Założyłam opatrunek i zabrałam miskę z wodą zabarwioną krwią do głębokiego zlewu zamocowanego z tyłu pomieszczenia. Cały czas czułam wzrok fae na sobie, piekący niczym stempel do wypalania piętna. Gdy skończyłam sprzątać, odniosłam wrażenie, że pokój zrobił się mniejszy i duszny. Tamlin zabił bogge'a i wyszedł z tego bez większego uszczerbku. Jeśli on był taki potężny, to książęta władający Prythianem musieli dysponować niemal boskimi mocami. Mój śmiertelny instynkt zwinął się w panice w ciasny kłębek na samą myśl o tym.

Byłam już prawie przy drzwiach, cały czas powstrzymując się, by nie uciec biegiem do mojej komnaty, kiedy usłyszałam jego głos:

– Nie umiesz czytać i pisać, a jednak nauczyłaś się polować. Nauczyłaś się walczyć o przetrwanie. Jak?

Zatrzymałam się ze stopą na progu.

– To łatwe, kiedy ponosisz odpowiedzialność za życie innych, nie tylko własne, prawda?  
– odparłam. – Robisz to, co trzeba.

Wciąż opierał się o stół, nadal stojąc w rozkroku między tu i teraz a tym mrocznym miejscem w umyśle, do którego musiał się udać, aby przetrwać walkę z boggem. Wytrzymałam drapieżne spojrzenie jego lśniących oczu.

– Jesteś inna, niż się spodziewałem – stwierdził. – Jak na człowieka.

Nie odpowiedziałam i wyszłam. On również nic więcej już nie dodał.

\*\*\*

Gdy następnego ranka schodziłam głównymi schodami, starałam się nie myśleć zbyt dużo o lśniącej czystości marmurowej posadzce głównego hallu. Ani śladu krwi Tamlina. Właściwie starałam się nie myśleć zbyt dużo w ogóle o naszym nocnym spotkaniu.

Gdy okazało się, że hall jest pusty, niemal się uśmiechnęłam. Coś drgnęło w tej bezdennej pustce, którą czułam, odkąd zostałam tu przyprowadzona. Może teraz, może w tej chwili spokoju mogłabym się przyjrzeć obrazom na ścianach, poznać je bliżej, zanim ktoś przyjdzie i zakłóci mi obcowanie z nimi.

Serce zabiło mi żywiej na samą myśl o tym. Już miałam ruszyć w stronę korytarza, którego ściany pokrywały malowidła, kiedy dosłyszałam męskie głosy dobiegające z jadalni.

Stałęm. Ponieważ w głosach usłyszałam napięcie, podeszłam cicho do drzwi i ukryłam się w ich cieniu. Może było to niegodne i tchórzliwe, ale gdy przekonałam się, o czym fae rozmawiają, wyzbyłam się całego poczucia winy.

– Chcę tylko wiedzieć, co ty wyprawiasz. – Ten głos należał do Luciena. Każde słowo podszyte było złośliwością.

– Powiedz mi lepiej, co ty robisz – odwarknęłam Tamlin.

W szparze między framugą a drzwiami widziałam, jak stoją naprzeciw siebie. Promienie porannego słońca lśniły na pazurach wysuniętych ze zdrowej dłoni Tamlina.

– Ja? – Lucien położył dłoń na piersi. – Na Kocioł, Tam. Mamy za mało czasu, a ty zwyczajnie się dąsas i miotasz. Nawet nie próbujesz już tego ukryć.

Uniosłam brwi w zdziwieniu. Tamlin odwrócił się plecami do rozmówcy, ale chwilę potem zwrócił się do niego ponownie z obnażonymi zębami.

– To od samego początku był błąd – wycedził. – Nie jestem w stanie tego przełknąć. Nie po tym, co mój ojciec uczynił ich gatunkowi, ich ziemiom. Nie pójdę w jego ślady, nie będę taki jak on. Zatem odpuść sobie.

– Opuścić sobie? I przyglądać się spokojnie, jak pieczętujesz nasze losy i wszystko niszczysz? Zostałem z tobą, bo miałem nadzieję na pomyślny obrót spraw, a nie po to, żeby przyglądać się twojemu upadkowi. Jak na kogoś o kamiennym sercu wykazujesz ostatnio nadzwyczajną miękkość. Na naszych ziemiach był bogge. *Bogge*, Tamlinie! Bariery między dworami zniknęły. Nawet nasze lasy są pełne różnego świnstwa, jak choćby te cholerne puki. Masz zamiar na stałe wyprowadzić się do leśnych ostępów i spędzić resztę życia na mordowaniu wszystkich szkodników, które będą się tu zakradać?

– Zważaj na swoje słowa – warknął Tamlin.

Lucien podszedł do niego, również szczerząc zęby. Poczułam w brzuchu dziwne pulsowanie, a nos wypełniła mi nieprzyjemna metaliczna woń. Ale nie widziałam żadnych efektów działania magii, tylko ją czułam. Nie mogłam się zdecydować, czy to lepiej, czy gorzej.

– Nie prowokuj mnie, Lucienie – odezwał się Tamlin złowieszczo cichym głosem, po czym wydał z siebie dziki, zwierzęcy warkot, od którego stanęły mi dęba wszystkie włoski na karku. – Myślisz, że nie wiem, co się dzieje na mojej ziemi? Co mam do stracenia? Co już straciłem?

Plaga. Może pierwsza fala minęła, przygasła, ale najwyraźniej wciąż powodowała nie lada kłopoty. Wciąż stanowiła dla nich zagrożenie, o którym najwyraźniej nie chcieli mi więcej powiedzieć, ponieważ nie ufali mi dostatecznie albo... Albo byłam dla nich nikim, nic nieznaczącym nikim. Nachyliłam się, żeby lepiej widzieć scenę, ale dłoń mi się omsknęła i lekko stuknęłam palcem w skrzydło drzwi. Gdyby byli ludźmi, mogliby nie usłyszeć tak cichego dźwięku. Ale oni nie byli ludźmi i obaj momentalnie się obrócili w moją stronę. Serce zamarło mi w piersi.

Wyszłam zza drzwi i odchrząknęłam, w myślach układając sobie naprędce wytłumaczenia mojego zachowania. Spojrzałam na Luciena i zmusiłam się do uśmiechu. Otworzył szeroko oczy. Zastanawiałam się, czy to z powodu mojego uśmiechu, czy też raczej dlatego, że naprawdę wyglądałam, jakby mi było wstyd.

– Wybierasz się na przejażdżkę? – zapytałam ze ściśniętym żołądkiem i wskazałam kciukiem za siebie. Nie planowałam towarzyszyć mu dziś na patrolu, ale uznałam, że będzie to dobra wymówka.

Zdrowe oko Luciena lśniło, chociaż nie dotarł do niego uśmiech, który mi posłał. Prawdziwe oblicze Tamlinowego posła – wyrachowanego i kalkulującego w każdej sytuacji.

– Dziś jestem zajęty – odparł, po czym wskazał brodą naszego gospodarza. – On z tobą pojedzie.

Tamlin posłał przyjacielowi spojrzenie pełne odrazy, którego nie starał się specjalnie ukryć. Miał ponownie swój skórzany pas, tylko tym razem wetknął w niego zdecydowanie więcej noży. Ich grawerowane metalowe rękojeści zalśniły w porannym słońcu, gdy obrócił się sztywno w moją stronę.

– Wyruszymy, gdy tylko będziesz chciała. – Pazury wsunęły się pod skórę jego zdrowej dłoni.

„Nie!?”. Niemal powiedziałam to na głos, spoglądając błagalnie na Luciena, który właśnie mijał mnie w drzwiach. On jednak tylko poklepał mnie po ramieniu.

– Może jutro, człeczyno – rzucił na odchodnym.

Sama z Tamlinem. Przełknęłam z trudem ślinę.

Gospodarz stał wyczekująco.

– Nie chcę jechać na polowanie – powiedziałam ostatecznie cichym głosem. Nie skłamałam. – Nienawidzę polowania.

Przechylił głowę.

– Co zatem chcesz robić?

\*\*\*

Prowadził mnie korytarzami swojej rezydencji. Przez otwarte okno wpadł łagodny powiew wiatru, niosący lekką woń kwitnących róż.

– Wiele polowałeś – przerwał ciszę Tamlin – ale nigdy tak naprawdę nie polubiłeś samego aktu polowania. – Spojrzał na mnie z ukosa. – Nic dziwnego, że wasza dwójka ani razu nic nie ustrzeliła.

Najmniejszego śladu zamkniętego, zimnego wojownika z wczorajszej nocy czy wściekłego wysoko urodzonego fae sprzed paru chwil. Zwyczajnie: Tamlin.

Byłabym głupia, gdybym choć na chwilę przestała uważać w jego towarzystwie; gdybym uznała, że jego swobodne zachowanie cokolwiek znaczy – zwłaszcza gdy wyraźnie coś złego działo się w jego włościach. Zabił bogge'a – a to czyniło go najbardziej niebezpiecznym stworzeniem, jakie kiedykolwiek spotkałam. Nie wiedziałam, co o nim myśleć.

– Jak twoja ręka? – zapytałam z udawaną nonszalancją.

Poruszył palcami zabandażowanej dłoni, przyglądając się czystym pasmom materiału pokrywającym jego opaloną skórę.

– Nie podziękowałem ci – powiedział.

– Nie musisz dziękować.

Potrząsnął w odpowiedzi głową. Poranne światło zdawało się więznąć w jego złotych włosach, które wyglądały teraz na utkane z promieni słońca.

– Ugryzienia bogge'a potrafią spowolnić nasze, fae wysokiego rodu, naturalne leczenie. Nawet na tyle, żeby można nas było zabić. Jestem ci więc winien wdzięczność. – Gdy tylko wzruszyłam ramionami, dodał: – W jaki sposób nauczyłaś się tak dobrze opatrywać rany? Pomimo bandaży mogę bez problemu używać dłoni.

– Metodą prób i błędów – odparłam. – Musiałam być w stanie naciągnąć cięciwę następnego dnia.

Przemierzyliśmy w milczeniu kolejny zalany słońcem korytarz o marmurowej posadzce. Gdy odważyłam się podnieść na niego wzrok, napotkałam jego oczy. Przyglądał mi się badawczo, mocno zaciskając wargi.

– Czy ktokolwiek kiedykolwiek opiekował się tobą? – zapytał cicho.

– Nie. – Już dawno przestało mi być z tego powodu przykro.

– Czy polować też nauczyłaś się w ten sposób? Metodą prób i błędów?

– Podglądałam myśliwych, kiedy mogło mi to ująć na sucho. A potem ćwiczyłam tak długo, aż w końcu coś ustrzeliłam. Kiedy pudłowałam, nie mieliśmy co jeść. Dlatego w pierwszej kolejności nauczyłam się dobrze celować.

– Zastanawia mnie... – powiedział swobodnie z dziwnym błyskiem bursztynowych płamek na zielonych tęczęwkach (jakby kryjący się w nim potwór, ten dziki wojownik wciąż się w nich czał) – czy kiedykolwiek użyjesz tego noża, który ukradłeś z mojego stołu?

Cała zeszywniałam.

– Skąd wiesz?

Przysięgłabym, że uniósł ukryte pod maską brwi.

– Zostałem nauczony dostrzegać takie rzeczy. Poza tym wtedy najsilniej czuć było od ciebie strach.

– Sądziłam, że zrobiłam to niepostrzeżenie – wymamrotałam pod nosem.

Uśmiechnął się krzywo, ale jednocześnie zdecydowanie bardziej szczerze, niż kiedy prawil mi wcześniej fałszywe komplementy.

– Niezależnie od tego, co głosi Traktat, jeśli chcesz mieć choć cień szansy umknąć przed fae, musisz wykazać się większą kreatywnością. Kradzież noży stołowych to zdecydowanie za mało. Ale przy twoim zamiłowaniu do podsłuchiwania może kiedyś dowiesz się czegoś przydatnego.

Poczułam, jak uszy płoną mi ze wstydu.

– Ja... Ja nie... Przepraszam – wymamrotałam, ale jednocześnie analizowałam w myślach to, co wcześniej podsłuchałam. Nie było sensu udawać, że nie czałam się pod drzwiami. – Lucien powiedział, że macie mało czasu. O co mu chodziło? Czy z powodu tej magicznej choroby na twoje ziemie przeniknie więcej takich stworzeń jak bogge?

Tamlin zeszytniał i potoczył wzrokiem dokoła, rejestrując uważnie każdy szczegół otoczenia. Po chwili nienaturalnie wzruszył ramionami.

– Jestem nieśmiertelny – stwierdził. – Mam cały czas tego świata, Feyro.

Wypowiedział moje imię z niesłychaną... czułością. Zupełnie jakby nie był istotą zdolną zabijać potwory wyrwane żywcem z najstraszniejszych koszmarów. Otworzyłam usta, aby domagać się jaśniejszej odpowiedzi, ale nie dał mi dojść do słowa.

– Siła dręcząca nasze ziemie, wpływająca na nasze moce... To też musi kiedyś minąć, jeśli Kocioł będzie nam przychylny. Ale tak, skoro bogge zdołał przeniknąć na moje włości, można moim zdaniem spokojnie założyć, że inne stwory podążą w jego ślady. Zwłaszcza że tamta puka była nad wyraz śmiała, jakby powoli przestawała się bać.

Ale jeśli granice między dworami całkowicie znikną, jak wspomniał Lucien; jeśli wszystko w Prythianie zmieniało się z powodu tej magicznej plagi, jak utrzymywał Tamlin... Cóż, nie chciałam znaleźć się w środku jakiejś gwałtownej wojny czy rewolucji. Raczej nie przeżyłabym długo w takich warunkach.

Tamlin przyśpieszył kroku i otworzył podwójne drzwi na końcu korytarza. Mięśnie jego grzbietu zagrały pod materiałem tuniki. Nie potrafiłam zapomnieć, kim był i do czego był zdolny. Do czego najwyraźniej został przyuczony.

– Zgodnie z życzeniem – oznajmił. – Gabinet.

Gdy zobaczyłam pomieszczenie kryjące się za drzwiami, zamurowało mnie.

## Rozdział 13

Tamlin machnął dłonią i w jednej chwili zapłonęły knoty setki świec. Cokolwiek wcześniej Lucien mówił na temat osłabienia i zakłócenia magii z powodu tej tajemniczej choroby, najwyraźniej nie tyczyło się zbytnio Tamlina. Albo może on był wcześniej jeszcze potężniejszy, skoro mógł na zawołanie zamieniać swoich strażników w wilki. Woń magii niemile podrażniła mi nos, ale starałam się zachować kamienną twarz i nawet mi się to udawało. Dopóki nie rozejrzałam się lepiej po pomieszczeniu.

Ze spoconymi dłońmi podziwiałam olbrzymie i urządzone z przepychem wnętrze. Regały pełne książek stały pod obiema ścianami niczym milczący żołnierze. Przestrzeń między nimi wypełniały kanapy i biurka umieszczone na kosztownych, przepięknych kobiercach. Ale... Minął już tydzień od mojego rozstania z rodziną. Chociaż ojciec nie chciał, abym kiedykolwiek do nich wróciła, chociaż moja obietnica dana matce została spełniona, chciałabym móc jakoś powiadomić ich, że jestem bezpieczna... Względnie bezpieczna. I ostrzec ich przed chorobą szalejącą w Prythianie, która pewnego dnia mogła przekroczyć mur.

A wymyśliłam tylko jeden sposób na przekazanie im tych wiadomości.

– Potrzebujesz czegoś jeszcze? – zapytał Tamlin, wrywając mnie z zamyślenia.

Wzdrygnęłam się, gdy spostrzegłam, że stoi tuż za moimi plecami.

– Nie – odparłam, przekraczając próg.

Starałam się nie myśleć o magicznej mocy, jaką się przed chwilą popisał. O pełnej wdzięku pozornej niedbałości, z jaką zapalił jednocześnie tyle świec. Musiałam się skoncentrować na bieżącym zadaniu.

Nie ze swojej winy ledwo potrafiłam czytać. Matka zawsze karygodnie zaniedbywała naszą edukację, nie troszcząc się nawet o zatrudnienie dla nas guwernantki. Gdy potem popadliśmy w ubóstwo, moje siostry, które już potrafiły czytać i pisać, uznały myśl o uczęszczaniu do wiejskiej szkoły za urągającą naszemu pochodzeniu, ale jednocześnie nie kwapiły się, aby przekazać mi swoje umiejętności. Czytałam powoli i miałam problemy z trudniejszymi słowami. Z pisanem było jeszcze gorzej: umiałam kreślić litery, lecz szło mi to tak opornie, że nawet napisanie mojego imienia oznaczało dla mnie drogą przez mękę.

Czułam się okropnie, że Tamlin o tym wiedział. A na tym nie kończyły się moje zmartwienia; pozostawała jeszcze kwestia sposobu dostarczenia listu, gdy już mi się go uda napisać. Może zdołam wyblagać u niego lub Luciena tę przysługę?

Jednak poproszenie ich o napisanie wiadomości za mnie zanadto by mnie upokorzyło. Już słyszałam w myślach ich szyderstwa: „Jakież to typowe dla ciemnej człeczyny”. A ponieważ Lucien zdawał się przekonany, że obrócę się przeciwko nim, gdy tylko nadarzy się dogodna okazja, bez wątpienia spaliłby mój list. I każdy kolejny. Musiałam więc sama go napisać.

– Zostawię cię zatem – powiedział Tamlin, gdy przeciągająca się cisza stała się już zbyt nieznośna.

Nawet nie drgnęłam, dopóki nie zamknął drzwi. Z bijącym mocno sercem podeszłam do jednej z półek.

\*\*\*

Musiałam robić przerwy na jedzenie i sen, ale każdego ranka wracałam do gabinetu, zanim niebo zdążyło się na dobre zaróżowić. Siadałam przy małym sekretarzyku w rogu pomieszczenia, w którym znalazłam papier i inkaust. Obok papieru położyłam zdjętą z półki książkę i wodziłam palcem po słowach, czytając cicho na głos:

– Chwy-ci... Chwyła swój but i wsta-ła... wstała szyb... sz...

Odchyliłam się do tyłu i przycisnęłam dłonie mocno do oczu. Po paru chwilach, gdy odeszła mi ochota rwania włosów z głowy, wyjęłam pióro z kałamarza i podkreśliłam słowo „szybko”.

Drżącą dłonią starałam się jak najwierniej przepisać słowo litera po literze na leżący obok książki arkusz papieru, dodając je do coraz dłuższej listy. Miałam już co najmniej czterdzieści wyrazów; w większości koślawych i ledwo czytelnych.

Wstałam z krzesła, aby rozprostować nogi i plecy, a częściowo też po to, żeby zwyczajnie uciec choć na chwilę od tej długiej listy słów, których nie potrafiłam poprawnie zapisać. I pozbyć się rumieńca, który mimowolnie ciągle występował na moją twarz i szyję.

„Gabinet” sprawiał raczej wrażenie biblioteki. Wszystkie boczne ściany – tak na dolnym poziomie, jak i na antresoli – były szczelnie zastawione regałami pełnymi książek. Kolejne stały w głębi pomieszczenia, tworząc labirynty drewna, skóry i papieru. Ale „gabinet” brzmiał mniej strasznie. Zagłębiłam się między wysokie meble, podążając za słabymi promieniami słońca, aż dotarłam do rzędu okien na drugim końcu sali. Wychodziły na różany ogród wypełniony niezliczonymi odcieniami szkarłatu, rózu, bieli i żółci.

Zapewne zatrzymałabym się na dłuższą chwilę, aby podziwiać to bogactwo barw lśniących rosą w porannym słońcu, gdybym nie zauważyła kątem oka obrazu zajmującego całą ścianę tuż przy oknach.

„Nie... To nie jest obraz” – pomyślałam. Zamrugałam i cofnęłam się, aby objąć wzrokiem całość. To był... Szukałam właściwego słowa w dawno nieużywanej części umysłu... Fresk! Tak, właśnie: fresk.

Z początku mogłam jedynie podziwiać jego wielkość, rozmach. Dziwiło mnie, że coś tak wspaniałego ukryto w tak trudno dostępnym zakątku. Jakby to nic nie znaczyło, jakby każdy mógł coś podobnego namalować w wolnej chwili.

Fresk opowiadał historię. Barwy, kształty i światłocienie płynnie przechodziły z jednej sceny w drugą. Opowiadał historię... Prythianu.

Na początku był kocioł.

Potężny czarny kocioł trzymany przez rozświetloną wewnętrznym blaskiem smukłą kobietę. Stała na tle bezkresnego rozgwieżdżonego nieba. Następnie kobieta przechylała naczynie i wylewała zeń złoty musujący płyn. Nie... Zaraz... Płyn nie musował, lecz kotłowały się w nim małe symbole, może litery jakiegoś dawno zapomnianego języka fae. Cokolwiek tam było napisane, czymkolwiek był ten płyn, spadał w pustkę pod kobietą i rozlewał się w kałużę, tworząc nasz świat...

Powstała w ten sposób mapa obejmowała cały nasz świat – nie tylko ląd, na którym mieszkaliśmy, ale też wszystkie morza i odległe kontynenty. Każdy skrawek terenu wypełniały kolory i różne symbole, a czasem kunsztowne, ozdobne przedstawienia istot, które niegdyś władały ziemiami znajdującymi się teraz pod panowaniem ludzi. Wszystko – wzдрыgnęłam się na tę myśl – cały świat kiedyś należał do nich. Wedle ich wyobrażeń został stworzony właśnie dla nich przez tajemniczą kobietę trzymającą kocioł. Nigdzie nie było śladu ludzi, żadnego reprezentującego nas symbolu. Zapewne w hierarchii istot żywych stawiali nas nie wyżej od świń.

Z trudem obejrzałam następną scenę. Obraz był tak prosty, a jednocześnie tak szczegółowy, że przez chwilę stałam na samym środku pola bitwy i czułam każdą nierówność obficie skropionej krwią ziemi pod stopami. Stałam tam – ramię w ramię z tysiącami ludzkich żołnierzy stawiających czoło nacierającym na nich hordom czarodziejskich istot. Chwila zawieszenia tuż przed kolejną rzezią.



Strzały i miecze ludzi zdawały się tak niewiele znaczyć wobec fae wysokiego rodu w ich lśniących zbrojach i wobec ich magicznego żołdactwa wyposażonego w śmiercionośne pazury i kły. Wiedziałam – bez konieczności spoglądania na kolejną scenę – że tej bitwy ludzie nie wygrali. Obrazowała to aż nazbyt dobitnie czarna smuga oznaczona czerwonymi rozbryzgami.

Na kolejnej mapie ziemie pod władaniem fae nie zajmowały już całego świata. Tereny na północy zostały podzielone i część z nich przekazano fae wysokiego rodu, którzy stracili ziemie leżące na południe od muru. Wszystko na północ od granicy należało do nich. Wszystko na południe od niej było rozmazaną, bezkształtną plamą. Zniszczony, zapomniany świat. Jakby autor fresku uznał te ziemie za zbyt nieznaczące, aby warto było je namalować.

Przyjrzałam się krainom przekazanym fae przybyłym z południa. Wciąż zajmowali szmat terenu, całą północną część naszego świata. Wiedziałam, że ziemie te były podzielone, że władali na nich liczni królowie, królowe, rady czy cesarzowe... Ale nigdy nie widziałam żadnego ich przedstawienia. Nie miałam pojęcia, jak dużo musieli oddać na południu i jak bardzo byli teraz ściśnięci na północy.

Na naszej wyspie radzili sobie całkiem nieźle – tylko wąski pas wybrzeża został przekazany nam, nędznym człeczynom. Najwięcej straciło oczywiście królestwo wysunięte najbardziej na południe, pokryte na fresku krokusami, owieczkami i różami. Kraj Wiosny.

Podeszłam bliżej, aż mogłam wyraźnie dostrzec ciemną, brzydką smugę reprezentującą mur. Kolejny element namalowany z wyraźną odrazą. Na ziemiach ludzi nie było żadnych oznaczeń – żadnych większych miast czy zamków, ale... Odszukałam przybliżone położenie naszej wioski, znalazłam las rozciągający się między nią a murem. Dwa dni drogi tu zdawały się tak niewiele znaczyć... Tyle co nic w porównaniu z potęgą rozciągającą się na północy. Przesunęłam palcem w powietrzu w górę, nad murem, ku miejscu, gdzie się obecnie znajdowałam – ku Dworowi Wiosny. Tu również nie oznaczono żadnych miast czy zamków. Zamiast tego wszędzie były symbole wiosny: kwitnące drzewa, wiosenne burze, młode zwierzęta... Cóż, przynajmniej dokończę żywota na ziemiach o łagodnym klimacie. Zawsze jakieś pocieszenie.

Spojrzałam w górę i na powrót cofnęłam się o kilka kroków, aby objąć wzrokiem pozostałe sześć dworów Prythianu. Jesień, Lato i Zima były łatwe do odszyfrowania. Nad nimi znajdowały się dwa lśniące królestwa: to na południu jarzyło się miękkim czerwonym światłem – był to Dwór Świtu; to bardziej na północ jarzyło się silnym jasnożółtym światłem przeplatany błękitem – był to Dwór Dnia. Na samej górze, wśród skutych lodem gór rozpościerała się kraina ciemności i gwiazd. Olbrzymi, niepokojący Dwór Nocy.

W cieniach gór czaiły się żarzące się oczy, błyskające zęby... Kraj groźnego piękna. Ramiona pokryła mi gęsia skórka.

Zapewne przyjrzałabym się dokładniej innym królestwom położonym za morzami, jak choćby niewielkiej, odizolowanej wyspie na zachodzie, na której chyba nie żyli żadni ludzie i nadal rządzą tam niepodzielnie fae. Ale wzrok mój przykuło serce tej przepięknej żyjącej mapy.

W samym środku naszej wyspy, jak rdzeń świata, z którego rozprzestrzeniło się całe życie, jakby to w tym miejscu spadła pierwsza kropla płynu z niebiańskiego kotła, znajdowało się niewielkie pasmo górskie o ośnieżonych szczytach. W samym jego środku zaś wyrastała olbrzymia, samotna góra. Pomimo swej wysokości niepokryta śniegiem, pozbawiona także jakiegokolwiek życia – jakby wszystkie żywioły od niej stroniły. Nigdzie nie znalazłam wskazówek mogących mnie naprowadzić na trop tego, co mogło się tam znajdować. Nic, co by mogło wytłumaczyć jej znaczenie. Zapewne malarz założył, że to oczywiste dla wszystkich spoglądających na mapę. W końcu fresk nie był przeznaczony dla ludzkich oczu.

Z tą myślą wróciłam do „mojego” sekretarzyka. Cóż, przynajmniej poznałam geografie ziem fae. I dowiedziałam się, żeby nigdy – pod żadnym pozorem – nie udawać się na północ.

Opadłam na krzesło i wróciłam do lektury. Twarz ponownie oblała mi się rumieńcem, gdy spojrzałam na ilustracje rozrzucone po tekście. Wybrałam książeczkę z bajkami dla dzieci, a i tak ledwo zdołałam przebrnąć przez dwadzieścia kilka stron. Ale dlaczego Tamlin trzymał w swojej bibliotece książeczki dla dzieci? Czy były to pamiątki z jego dzieciństwa? A może nabył je z myślą o swoich przyszłych potomkach? Nie miało to znaczenia. I tak nie będę w stanie ich wszystkich przeczytać. Nienawidziłam tych książek – stęchłej woni kurzu, drwiącego szeptu papieru, szorstkości skórzanej oprawy. Spojrzałam na mój arkusz, na wszystkie te słowa, których nie umiałam porządnie napisać.

Zgniotłam papier w kulkę i ze złością wrzuciłam do stojącego nieopodal kosza.

– Mógłbym ci pomóc napisać do nich, jeśli po to tu przyszłaś.

Aż podskoczyłam na krzesło, niemal się przewracając razem z nim. Zerwałam się na równe nogi i odwróciłam do stojącego tuż za mną Tamlina, trzymającego w dłoniach stos książek. Przegnałam precz rumieniec płonący na policzkach i uszach, zastanawiając się w panice, czy odgadł, co chciałam zawrzeć w liście do rodziny.

– Pomóc? – zapytałam. – Chcesz przez to powiedzieć, że fae przepuszcza okazję wyszydzenia prostej człeczyny?

Zacisnęła zęby i odłożył książki na pobliski stół. Zerknęłam na litery lśniące na skórzanych grzbietach, ale nie byłam w stanie odczytać tytułów.

– Dlaczego miałbym szydzić z powodu braków przez ciebie niezawinionych? Pozwól mi sobie pomóc. Jestem ci to winien za opatrzenie dłoni.

„Braków”. Cóż, istotnie można i tak to nazwać – uporczywym brakiem.

Ale czym innym było zabandażowanie mu dłoni i rozmawianie z nim, jakby jednak nie był drapieżnikiem zrodzonym, by zabijać i niszczyć, a czym innym zdradzenie przed nim, jak niewiele wiedziałam, odsłonięcie przed nim tej części mnie, która pozostała dzieckiem, niedokończonym i niedoświadczonym człowiekiem... Nie potrafiłam rozszyfrować wyrazu jego twarzy. Chociaż nie wyczułam w jego głosie politowania, wyprostowałam się dumnie i odparłam:

– Poradzę sobie.

– Czy naprawdę myślisz, że nie mam pilniejszych spraw niż wymyślanie wyszukanych sposobów na upokorzenie cię?

Pomyślałam o tej bezkształtnej plamie, która miała przedstawiać ludzkie ziemie, i nie znalazłam odpowiedzi na jego pytanie. Na pewno nie w sytuacji, gdy zadał je tak uprzejmym tonem. Ale dość już im – jemu – oddałam.

Tamlin pokręcił głową.

– Zatem będziesz dalej pozwalać Lucienowi zabierać się na polowania i...

– Lucien – przerwałam mu cichym, lecz stanowczym głosem – przynajmniej nie udaje, że jest kimś więcej, niż jest w istocie.

– Co to ma niby znaczyć? – warknął, ale nie wysunął pazurów, chociaż obie dłonie zacisnął w pięści.

Zdecydowanie stąpałam po cienkim lodzie, ale nie dbałam o to. Może i zapewnił mi schronienie, ale nie zamierzałam mu padać z tego powodu do stóp.

– To znaczy – powiedziałam cicho tym samym chłodnym głosem – że cię nie znam. Nie wiem, kim jesteś, czy też czym naprawdę jesteś. Nie wiem, czego ode mnie chcesz.

– Czyli mi nie ufasz.

– A jak mam ufać jednemu z fae? Czy nie rozkoszujecie się zabijaniem i oszukiwaniem

nas?

Od jego ryku zachybotwały płomienie na wszystkich okolicznych świecach.

– Wierz mi, nie sądziłem, że gdy wyruszę na poszukiwanie człowieka, znajdę kogoś takiego jak ty.

Niemal fizycznie poczułam otwierającą się głęboko w piersi starą ranę, z której poczęły wylewać się te wszystkie okropne szeptki, jakie słyszałam przez całe życie. „Niepiśmienna, ciemna, nijaka, arogancka, zimna”. Wszystkie wymawiane szyderczym tonem przez Nestę i odbijające się wielokrotnym echem w mojej głowie.

Zacisnęłam mocno wargi.

Tamlin skrzywił się i uniół nieco dłoni, jakby chciał sięgnąć w moją stronę.

– Feyro... – zaczął nieco łagodniej, ale ja tylko pokręciłam głową i ruszyłam w stronę wyjścia.

Nie próbował mnie zatrzymać.

Jednak kiedy popołudniu chciałam odzyskać swój arkusz ze słowami z kosza, nie znalazłam go tam. Dodatkowo dostrzegłam, że książki, które czytałam, były ułożone w innej kolejności, niż je zostawiłam. „Tu musiała być któraś ze służących” – uspokajałam siebie samą, aby pozbyć się bolesnego ucisku z piersi. Pewnie Alis albo inna ze służek z twarzą ukrytą za ptasią maską. Nie zapisałam nic, co by stawiało mnie w złym świetle. Tamlin nie mógłby zorientować się, co chciałam napisać do rodziny. Wątpiłam, żeby chciał mnie ukarać, nawet gdyby poznał prawdę, ale... Nasza wcześniejsza rozmowa potoczyła się wystarczająco źle i bez tego.

Mimo to gdy zasiadłam z powrotem przy sekretarzyku i odszukałam miejsce, w którym rano przerwałam czytanie, ręce mi drżały. Wiedziałam, że postąpiłam bardzo nieładnie, kreśląc piórem w książkach, ale skoro Tamlina stać było na złote talerze, mógł bez trudu wymienić kilka książek w swoim zbiorze.

Wpatrywałam się w stronę, nie widząc tak naprawdę liter.

Może postąpiłam głupio, odrzucając jego pomoc? Może powinnam była zapomnieć o dumie i poprosić go o napisanie listu za mnie? Jemu zajęłoby to pewnie ledwie kilka chwil. Oczywiście wtedy nie mogłabym ostrzec ojca... Ale mogłabym go chociaż powiadomić, że żyję i mam się dobrze. Skoro Tamlin miał lepsze rzeczy do roboty niż wymyślać nowe sposoby upokorzenia mnie, z pewnością też pomaganie mi w napisaniu listu do rodziny było bardzo nisko na jego liście priorytetów. A mimo to zaoferował, że to zrobi.

Stojący nieopodal zegar wybił pełną godzinę.

Brak... Kolejny z moich „braków”. Potarłam brwi palcami. Równie głupio postępowałam, odczuwając względem niego choć cień współczucia. Względem samotnego, ponurego fae, o którym tak *głupio* myślałam, że ucieszy się ze spotkania kogoś, kto może czuje to samo co on... Kto może rozumie – na swój prosty, ułomny ludzki sposób – co to znaczy dźwigać na barkach ciężar odpowiedzialności za innych. Nie powinnam była opatrywać jego dłoni tamtej nocy. Powinnam wiedzieć, jak naiwne jest oczekiwanie, że może... może jest gdzieś ktoś – człowiek, fae czy ktokolwiek inny – kto zrozumiałby, w co obróciło się moje życie w tych ostatnich paru latach... Kim ja się w tym czasie stałam.

Minęła minuta. Potem kolejna.

Może i czarodziejskie istoty nie mogą kłamać, ale zdecydowanie wolno im przemilczać informacje. Tamlin, Lucien i Alis robili wszystko, aby nie udzielić rzeczowych odpowiedzi na moje najważniejsze pytania. Zdobyć wiedzy na temat tej tajemniczej plagi, która ich nękała, zdobyć *jakichkolwiek* informacji na jej temat: skąd przyszła, jak jeszcze się przejawiała i – co najważniejsze – jak może wpłynąć na ludzi; to zdecydowanie było warte mojego czasu.

Jeśli istniał choć cień szansy, że mogą też wiedzieć coś o jeszcze jednej luce w zapisach tego przekłętą Traktatu, jeśli znali inny sposób na spłacenie mojego długu względem nich, tak żebym mogła wrócić do swojej rodziny i osobiście ostrzec ich przed plagą... Musiałam podjąć to ryzyko.

Nieco ponad kwadrans później odszukałam Luciena w jego komnacie sypialnej. Zaznaczyłam wcześniej na mojej małej mapie, gdzie się znajdowała: na piętrze innego skrzydła rezydencji, daleko od mojego pokoju. Między innymi dlatego też było to ostatnie miejsce, gdzie go szukałam. Zapukałam w białe dwuskrzydłowe drzwi.

– Wejdz, człeczyno.

Zapewne wyczuł mnie przez ścianę albo rozpoznał po rytmie oddechu dzięki nieludzko czułowemu słuchowi. A może to metalowe oko potrafiło widzieć przez drewno?

Otworzyłam drzwi. Pokój kształtem przypominał mój. Dominowały ciepłe barwy – pomarańcz, czerwienie i złoto – z nielicznymi zielonymi i brązowymi akcentami. Wnętrze przypominało las jesienią. O ile wystrój mojej komnaty sypialnej stanowił kwintesencję delikatności i wdzięku, jego była raczej surowa i niezbyt przytulna. Przy oknie, tam gdzie u mnie stał elegancki stolik, przy którym jadłam co dzień śniadanie, stał masywny, mocno zużyty stół roboczy pokryty różnej maści bronią. To tam siedział w samej koszuli i spodniach. Jego rozpuszczone rude włosy lśniły niczym płynny ogień. Może i był posłem Tamlina, ale z pewnością był też zaprawionym w boju wojownikiem.

– Rzadko cię ostatnio widuję – powiedziałam, zamykając za sobą drzwi i opierając się o nie plecami.

– Musiałem ostudzić nieco gorących głów na północnej granicy, bez rozlewu krwi – odparł, odkładając czyszczony nóż myśliwski o długim ząbkowanym ostrzu. – Wróciłem akurat na czas, aby usłyszeć twoją sprzeczkę z Tamem. Uznałem więc, że tutaj będzie bezpieczniej. Cieszę się, że twoje ludzkie serce żywi już do mnie nieco cieplejsze uczucia niż wcześniej. Przynajmniej spadłem z pierwszego miejsca twojej listy celów.

Spojrzałam na niego przeciągle.

– Cóż – podjął, wruszając ramionami – wygląda na to, że udało ci się zaleźć Tamowi za futro na tyle, że mnie odszukał i niemal odgryzł głowę. Zatem zapewne tobie wypada podziękować za zepsucie posiłku, który zazwyczaj upływa w zupełnym spokoju. Szczęśliwie dla mnie akurat dotarły wieści o kolejnych problemach w zachodnim lesie i mój biedny przyjaciel musiał udać się je rozwiązać w jedyny możliwy sposób. Dziwię się, że nie minęłaś go na schodach.

Dzięki niech będą zapomnianym bogom, że mi tego oszczędzili.

– Jakie problemy ma rozwiązać?

Lucien wruszył ramionami, aczkolwiek sztywno, ze źle odegraną nonszalancją.

– Te co zwykle. Niechciane, złośliwe stwory wprowadzające zamęt.

Dobrze się złożyło, że Tamlin wyjechał. Nie będzie go tu, aby mnie przydybać na realizacji moich planów. Znów mi się poszczęściło.

– Zaskakujesz mnie. Nie sądziłam, że uzyskam od ciebie aż tyle informacji – powiedziałam, starając się brzmieć, jakbym nie przywiązywała do nich wielkiej wagi, starannie dobierając kolejne słowa. – Szkoda jednak, że nie jesteś jak suriele i nie tryskasz odpowiedziami, których potrzebuję, gdy okażę się na tyle sprytna, aby cię schwytać.

Spojrzał na mnie i zamrugał, aby po chwili uśmiechnąć się półgębkiem. Metalowe oko lekko zasyczało, gdy zmrużył powieki.

– Nie podejrzewam, abyś chciała mi zdradzić, co takiego pragniesz wiedzieć.

– Ty masz swoje tajemnice, ja mam swoje – powiedziałam ostrożnie. Nie byłam w stanie

ocenić, czy próbowałby mnie odwieść od mojego pomysłu, gdybym wyznała mu prawdę. – Ale *gdybyś był surielem* – dodałam, celowo przeciągając sylaby, na wypadek gdyby mnie nie zrozumiał – w jaki sposób byłoby najlepiej cię schwytać?

Lucien odłożył nóż i przez chwilę przyglądał się swoim paznokciom. Zaczęłam się zastanawiać, czy czeokolwiek się od niego dowiem. A może powtórzy wszystko Tamlinowi, gdy tylko ten wróci ze swojej wyprawy?

Jednak po chwili przemówił:

– Zapewne miałbym słabość do młodych brzozowych zagajników w zachodniej kniei. I do świeżo zabitych kurczaków. Zapewne też byłbym na tyle zachłanny, że nie zauważyłbym podwójnej pętli sidła zastawionych koło przynęty, które unieruchomiłyby mi obie nogi.

– Hmm. – Nie odważyłam się zapytać, dlaczego nagle zdecydował się mi pomóc. Wciąż istniało niemałe ryzyko, że nie zmartwiłaby go moja śmierć. Musiałam jednak spróbować. – Jakoś wolę cię w twojej obecnej postaci.

Uśmiechnął się lekko, choć rozbawienie szybko zniknęło z jego twarzy.

– Gdybym był na tyle szalony i głupi, żeby zapolować na suriela, wziąłbym ze sobą także łuk i strzały. Może też nóż, taki jak ten. – To mówiąc, schował czyszczony nóż do pochwy i odłożył go wymownie na brzegu stołu. – Przygotowałbym się również na konieczność uciekania ile sił w nogach po uwolnieniu go. Śpieszyłbym do najbliższego strumienia, gdyż suriele nie znoszą ich przekraczać.

– Ale nie jesteś szalony, więc pozostaniesz tutaj, w bezpieczeństwie i wygodzie?

– Będę zupełnym przypadkiem polować w okolicy. A skoro mam fenomenalny słuch, może okazać na tyle wspaniałomyślny, żeby nasłuchiwać krzyków dobiegających z zachodniej kniei. Jednak dobrze się składa, że nie rozmawialiśmy o tym dzisiaj, ponieważ Tam wypatroszyłby każdego, kto by ci zdradził, jak schwytać suriela. Dobrze też, że i tak planowałem wyruszyć na polowanie, bo gdyby ktokolwiek zdybał mnie na pomaganiu ci, czekałyby nas tak poważne kłopoty, że nawet nie chcę zacząć ich sobie wyobrażać. Mam nadzieję, że twoje tajemnice są tego warte – zakończył ze swoim zwyczajowym szerokim uśmiechem. Ale w jego głosie dosłyszałam coś jeszcze: ostrzeżenie.

Kolejna zagadka. I kolejna informacja.

– Doskonale się też składa – zauważyłam – że podczas gdy ty dysponujesz fenomenalnym słuchem, ja potrafię fenomenalnie trzymać buzię na kłódkę.

Parsknął, a ja wzięłam nóż ze stołu i ruszyłam ku drzwiom z zamiarem udania się do mojej komnaty po łuk i strzały.

– Chyba zaczynam cię lubić – rzucił jeszcze, zanim wyszłam na korytarz. – Mimo tego że jesteś zdradziecką człeczyną.

## Rozdział 14

Zachodnia knieja. Młody brzozowy zagajnik. Martwy kurczak. Podwójne sidła. Blisko strumienia.

Powtarzałam w myślach instrukcje Luciena, przemierzając korytarze Tamlinowej rezydencji, starannie utrzymane ogrody, dzikie trawiaste pagórki, czyste szemrzące strumyki, zmierzając różnie w stronę zielonego lasu. Nikt nie próbował mnie zatrzymać. Ba! Nikt chyba nie widział, jak opuszczałam dom i ruszałam w drogę z łukiem i kołczanem przewieszonymi przez plecy oraz nożem Luciena przy pasie. Wzięłam też sakwę ze świeżo ubitym kurczakiem, którego dostałam od skonsternowanych podkuchennych, a do cholewy buta wsunęłam jeszcze jeden nóż. Na wszelki wypadek.

Tereny okalające rezydencję były równie opustoszałe jak ona sama, chociaż co pewien czas dostrzegałam kątem oka jakieś lśnienie. Jednak za każdym razem, gdy kierowałam w jego stronę wzrok, okazywało się promieniami słońca tańczącymi na powierzchni pobliskiego strumienia lub przenikającymi między poruszonymi wiatrem liśćmi samotnego jaworu. Gdy mijałam spory staw położony u stóp wysokiego wzgórza, zdawało mi się, że dostrzegłam cztery lśniące kobiece głowy wynurzające się z czystej wody, przyglądające mi się uważnie. Przyspieszyłam kroku.

Gdy wkroczyłam do spokojnej zachodniej kniei, słyszałam jedynie świergot ptaków i szmer przemykających w leśnym poszyciu małych zwierząt. Nie zapuściliśmy się w te lasy z Lucieniem ani razu; nie było tu żadnych ścieżek, jakby nigdy nie postawiła tu stopy jakakolwiek cywilizowana istota. Dęby, wiązy i buki tworzyły gęstą płataninę gałęzi, niemal całkowicie blokującą światło słońca. Gruba pokrywa mchu tłumiała każdy mój krok.

Ten las wyglądał na stary, bardzo stary. A także żywy w sposób, którego nie potrafiłam opisać. Było w nim coś, co mnie przenikało aż do szpiku kości. Prawdopodobnie byłam pierwszym od pięciuset lat człowiekiem, który przemierzał tę gęstą, ciemną knieję i napełniał płuca powietrzem przesyconym wonią młodych liści, maskującą ledwo wyczuwalny smród butwienia.

Brzozy. I strumień. Pełna napięcia parłam wciąż naprzód. „To w nocy jest niebezpiecznie” – przypominałam sobie co pewien czas. Do zachodu zostało jeszcze kilka godzin.

Chociaż bogge’ a spotkaliśmy przecież za dnia.

Ale tamten potwór już nie żył. A istoty, z którymi rozprawiał się obecnie Tamlin, nękały inną część jego ziem. Dwór Wiosny. Zastanawiałam się, jakie obowiązki jego gospodarz miał wobec swojego księcia. Może to właśnie władca tego kraju pozostawił tę paskudną bliznę na twarzy Luciena? A może zrobiła to księżna – ta „ona”, o której wspomniał Lucien, gdy podsłuchiwałam jego rozmowę z Tamlinem. „Ona”, której tak się obaj lękali. Odeгнаłam tę myśl.

Staralam się stapać lekko, mieć oczy oraz uszy otwarte i nie pozwalać sercu zbyt szybko się rozpętać. Może i miałam pewne braki, ale polować potrafiłam. Poza tym odpowiedzi, na których uzyskanie liczyłam, warte były podejmowanego ryzyka.

Gdy po jakimś czasie znalazłam zagajnik młodych, cienkich brzózek, zaczęłam zataczać coraz szersze kręgi, aż natrafiłam na strumień. Nie był zbyt głęboki, ale wystarczająco szeroki, żebym musiała wziąć rozbieg, by go przeskoczyć. Lucien powiedział, że suriele nie lubią przekraczać płynącej wody. Ten strumyk musiał mi więc wystarczyć. Na wypadek, gdybym musiała brać nogi za pas. Miałam nadzieję, że do tego nie dojdzie.

Wytyczyłam kilka różnych tras, którymi mogłam dotrzeć na brzeg strumienia. Potem wyszukałam jeszcze kilka innych, w razie gdybym musiała uciekać w inną stronę. Kiedy upewniłam się, że znam każdy korzeń, kamień i jar w okolicy, udałam się na niewielką polankę otoczoną smukłymi brzoźami i zastawiłam sidła.

\*\*\*

Wypatrywałam suriela z gałęzi pobliskiego wiekowego dębu, którego spore już liście skrywały mnie całkowicie przed wzrokiem każdego, kto by pod nim przechodził. Czekałam. Słońce stopniowo zmierzało ku zachodowi, ale wciąż stało dość wysoko, żeby w gęstej koronie drzewa panowała niezbyt przyjemna duchota. Żeby się nie spocić, musiałam zrzucić płaszcz i podwinąć rękawy tuniki. Zaburczało mi w brzuchu, wyciągnęłam więc z sakwy kawał sera, którego jedzenie było zdecydowanie mniej hałaśliwe, niż miałyoby to miejsce w przypadku jabłka, które też dorzuciłam do prowiantu. Gdy skończyłam jeść, upiłam nieco wody z manierki. Gorąco stawało się nie do zniesienia.

Czy Tamlin lub Lucien kiedykolwiek nudzili się niemającą końca, ciągnącą się dzień w dzień, miesiąc w miesiąc wiosną? Czy czasem wędrowali na ziemie pozostałych dworów, żeby zakosztować nieco innych pór roku? Ja sama nie miałam nic przeciwko niekończącej się łagodnej wiosnie. Zdecydowanie łatwiej byłoby mi wtedy dbać o rodzinę. Każdej zimy zaglądała nam w oczy śmierć głodowa... Chociaż jako nieśmiertelna od czasu do czasu chciałabym chyba zakosztować pewnej odmiany. Prawdopodobnie też znudziłoby mi się ciągle siedzenie w rezydencji, nieważne, jak wspaniałej. Niemniej jednak cały czas nie mogłam znaleźć w sobie dość odwagi, by zwrócić się do Tamlina z prośbą, która nie dawała mi spokoju, odkąd tylko zobaczyłam fresk w jego gabinecie.

Od czasu do czasu ostrożnie, uważając, by nie narobić hałasu, zmieniałam pozycję, aby uniknąć zdrętwienia kończyn. Aż w końcu dostrzegłam zbliżającą się falę ciszy. Sprawiało to wrażenie, jakby wszystkie ptaki i zwierzęta wstrzymały oddech i zamarły, obserwując sunącą między drzewami istotę.

Już wcześniej założyłam cięciwę na łuk. Powoli, po cichu wyjęłam z kołczanu strzałę i oparłam nieznacznie nacięcie drzewca o cięciwę. Ciszą podkradała się coraz bliżej i bliżej.

Nawet drzewa zdawały się nachylać, gęściej splatając swoje gałęzie, tworząc żywą klatkę i uniemożliwiając nawet najmniejszym ptakom wzlecenie ponad baldachim liści.

Może to jednak bardzo kiepski pomysł? Może Lucien przecenił moje możliwości? A może zrobił to specjalnie, może cały czas tylko czekał na okazję, by doprowadzić do mojej śmierci?

Mięśnie zaczynały mnie boleć od trwania w bezruchu, ale zachowywałam równowagę na gałęzi i nasłuchiwałam. W końcu dobiegł mnie cichy szmer, jakby ktoś przeciągał po korzeniach i kamieniach skrawek materiału. A także niecierpliwe, chrapliwe węszenie na polance, na której zastawiłam sidła.

Ułożyłam kurczaka tak, aby wyglądało to naturalnie. Jakby zablądził w lesie i skręcił sobie kark, usiłując się wydostać spod odłamanej od drzewa gałęzi. Staralam się, żeby przynęta jak najmniej pachniała mną. Ale te stwory miały bardzo czułe zmysły. I chociaż zatarłam swoje ślady...

Trzasnęła gałązka, kształt świsnął w powietrzu i wydał z siebie głuchy, potworny, mrozący do szpiku kości i zapierający dech w piersiach krzyk.

Gdy stworzenie wpadło w sidła i zostało unieruchomione, zabrzmiał kolejny wrzask, tym razem przepelniony wściekłością.

Zeszłam z drzewa i ruszyłam na spotkanie suriela.

\*\*\*

Kiedy podkradałam się do uwięzionej istoty, uznałam, że Lucien chyba naprawdę chciał mojej śmierci.

Nie wiedziałam, czego dokładnie się spodziewać, gdy weszłam między wysokie białe-czarne drzewa, niczym smukłe kolumny podtrzymujące dach z liści, ale na pewno nie oczekiwałam, że zobaczę wysoką, chudą postać w długich, ciemnych i postrzępionych szatach. Stwór był do mnie zwrócony przygarbionymi plecami. Kręgosłup tworzył na cienkim materiale jego ubioru wyraźne wzniesienia. Patykowate, pokryte strupami szare ramiona drapały sznur poślizkami i popękkanymi paznokciami.

„Uciekaj – błagała szeptem jakaś pierwotna, do cna ludzka część mnie. – Uciekaj jak najdalej i nie patrz za siebie”. Nie posłuchałam tego głosu i zbliżałam się ze strzałą wciąż opartą o cięciwę.

– Czy jesteś surielem? – zapytałam cicho.

Istota zastygła i powęszyła w powietrzu. I jeszcze raz.

Następnie powoli, bardzo powoli obróciła się do mnie. Ciemna chusta owinięta wokół jej łysej głowy powiewała na niewyczuwalnym wietrze.

Jej twarz wyglądała, jakby została wyrzeźbiona w starej, wyschniętej kości. Jeśli kiedyś miała skórę, to już dawno odpadła. Pozbawione warg usta wypełniały zbyt długie zęby osadzone w poczeriałych dziąsłach. Nozdrza były tylko dwiema pionowymi szczelinami, a oczy... Za oczy stworowi służyły dwie wirujące plamy mlecznej bieli – koloru śmierci, choroby, odartych z mięsa kości.

Przez dziury w postrzępionych ciemnych szatach i w nierównym wycięciu na szyję można było dostrzec ciało złożone z samych żył, ścięgien i kości. Groteskową masę sprawiającą równie przerażające wrażenie, co „twarz” istoty. Stworzenie porzuciło próby oswobodzenia się z sideł i poczęło przebierać swoimi niesamowicie długimi palcami z przyprawiającym o dreszcze klekotem.

– Człowiek – powiedział głośnie brzmiącym, jakby jednocześnie przemawiał chór wielu istot, zarówno starych, jak i młodych, zarówno pięknych, jak i odrażających. Zrobiło mi się niedobrze. – To ty zastawiłaś tę sprytną, niecną pułapkę?

– Czy jesteś surielem? – ponowiłam swoje pytanie, chociaż gardło miałam tak ściśnięte, że ledwo potrafiłam wydobyć z siebie głos.

– Owszem, jestem. – Palce istoty klekotały o siebie w rytm każdej wymawianej sylaby.

– Zatem pułapka była przeznaczona dla ciebie – wykrztusiłam.

„Uciekaj, uciekaj, uciekaj!”

Suriel nie ruszył się ze swojego miejsca i trwał przykucnięty na krzywych nogach uwięzionych w moich sidłach.

– Wieki całe nie widziałem ludzkiej kobiety – powiedział. – Podejdź bliżej, abym mógł się przyjrzeć tej, która mnie schwytała.

Ani drgnęłam, tylko roześmiałam się ironicznie.

– Który z moich pobratymców zdradził ci moje tajemnice? – zapytał suriel.

– Żaden. Moja matka opowiadała mi o twoim gatunku.

– Kłamiesz... Wyczuwam zapach łgarstwa w twoim oddechu. – Stwór ponownie powęszył i zaklekotał palcami, po czym nagłym, gwałtownym ruchem przekrzywił głowę na bok. – Czego ludzka kobieta mogłaby chcieć od suriela?

– Ty mi to powiedz – odparłam lekko.

Potwór zaśmiał się chrapliwie.



– Sprawdzasz mnie? Postępujesz głupio i marnujesz swój czas. Jeśli poważylaś się zastawić na mnie sidła, musi być coś, co bardzo, ale to bardzo chcesz wiedzieć. – Gdy się nie odezwałam, stwór wyszczerzył swoje przerośnięte zęby w groteskowym uśmiechu. – Zadaj mi swoje pytania, człeczyno, a potem mnie uwolnij.

Przełknęłam z trudem ślinę.

– Czy... Czy naprawdę nie ma sposobu, abym wróciła do domu?

– Nie. Chyba że chcesz zginąć razem z całą swoją rodziną. W przeciwnym razie musisz pozostać tutaj.

Ostatnie strzępki nadziei, jakie jeszcze zachowałam, ostatnie okruchy naiwnego optymizmu obróciły się w proch. Ale na dobrą sprawę to nic nie zmieniało. Przed tamtą poranną sprzeczką z Tamlinem nie rozważałam poważnie polowania na suriela. Może zdecydowałam się na to tylko z czystej złośliwości. Ale skoro już tu byłam i stawiałam czoło niechybnej śmierci, równie dobrze mogłam spróbować uzyskać pewne informacje.

– Co wiesz o Tamlinie?

– Wyrażaj się konkretniej, człeczyno. Wiem bowiem wiele o księciu Dworu Wiosny.

Ziemia usunęła mi się spod stóp..

– Tamlin jest... Tamlin jest księciem fae?

Znowu ten nieznośny klekot.

– Nie wiedziałaś tego – mruknął suriel. – Ciekawe...

Nie był tylko wysoko urodzonym fae ze sporymi włościami, ale... Był księciem fae wysokiego rodu, jednym z siedmiu władców rządzących Prythianem...

– Może też nie wiesz, że znajdujesz się na terenie Dworu Wiosny, malutki człowieczku?

– Nie... O tym wiedziałam.

Suriel usiadł na ziemi.

– Wiosna, lato, jesień, zima, świt, dzień i noc – wyliczał, tak jakby nie usłyszał mojej odpowiedzi. – Siedem Dworów Prythianu, każdy z własnym księciem, każdy groźny na swój niepowtarzalny sposób. Oni nie są zwyczajnie potężni. Oni *stanowią* potęgę.

To dlatego Tamlin był w stanie zmierzyć się z bogiem i wyjść z tego starcia cało. Książę. Upchnęłam swój strach jak najgłębiej.

– Wszyscy mieszkańcy Dworu Wiosny mają przytwierdzone na stałe do twarzy maski, lecz ty nie – powiedziałam ostrożnie. – Nie należysz do tego dworu?

– Nie należę do żadnego dworu. Jestem starszy od wszystkich książąt, starszy od samego Prythianu, starszy od kości tego świata.

Lucien *zdecydowanie* przecenił moje możliwości.

– A co można poradzić na tę tajemniczą plagę, która rozprzestrzeniła się po Prythianie i wpłynęła na magię fae? Skąd ona się wzięła?

– Trzymaj się księcia, człeczyno – odrzekł suriel. – Tylko tyle możesz zrobić. Dopóki przy nim pozostaniesz, nic ci nie grozi. Nie mieszaj się w nie swoje sprawy. Nie szukaj już więcej odpowiedzi. W przeciwnym razie pochłonie cię cień okrywający Prythian. Książę ochroni cię przed nim, nie odstępuj więc jego boku, a wszystko zostanie naprawione.

To nie była zbyt przydatna odpowiedź.

– Skąd wzięła się ta plaga? – ponowiłam swoje pytanie.

Stwór zwęził mleczne wiry oczu.

– Książę nie wie, że tu dziś przybyłaś, czy tak? Nie wie, że jego ludzka kobieta wyruszyła, aby schwytać suriela, ponieważ on sam nie potrafi dać jej odpowiedzi, których ona pragnie. Ale jest już za późno, człeczyno. Za późno dla księcia, dla ciebie, może nawet dla twoich ziem...

Ze wszystkiego, co stworzenie mi wyjawilo, pomimo jego wyraźnego polecenia, aby przestać zadawać kolejne pytania i trzymać się Tamlina, słyszałam tylko odbijające się echem w mojej głowie słowa „jego ludzka kobieta”. Zazgrzytałam zębami, ale suriel zdawał się tego nie zauważać i ciągnął dalej:

– Za burzliwym zachodnim morzem jest jeszcze inne królestwo fae zwane Hybernią. Władca nim potężny i nikczemny król. Tak, król – powtórzył stwór, gdy uniosłam pytająco brew.  
– Nie księżę, gdyż jego ziemie nie zostały podzielone na odrębne dwory. Na Hyberнії nie istnieje inne prawo poza tym, które on sam ustanowi. Tam nie ma już ludzi, a król zasiada na tronie zbudowanym z ich kości.

To musiała być wyspa, którą widziałam na mapie. Ta, która po sporządzeniu Traktatu nie oddała ludziom ani skrawka ziemi. Tron z ludzkich kości... Zjedzony wcześniej ser podszedł mi do gardła.

– Od pewnego czasu król Hyberнії nie kryje swojego niezadowolenia z zapisów Traktatu, które fae wysokiego rodu władający resztą świata zawarły wieki temu z wami, ludźmi. Jest wściekły, że został zmuszony do jego podpisania, że musiał uwolnić swoich śmiertelnych niewolników i ograniczyć się do wilgotnej, zielonej wyspy na skraju świata. Sto lat temu wysłał zatem swoich najbardziej zaufanych i lojalnych dowódców, swoich najstraszliwszych wojowników, którzy jeszcze pozostali z jego dawnej armii, jaka niegdyś popłynęła na kontynent, aby walczyć przeciwko ludziom. Wszyscy oni byli równie przepełnieni nienawiścią i głodni zemsty co on. Jako szpiegdy, dworzanie i kochankowie przez pięć dekad przenikali na dwory różnych fae wysokiego rodu, różnych królestw i cesarstw na całym wielkim świecie. Tam słuchali i zbierali informacje, które następnie przekazywali swojemu władcy. A gdy ten uznał, że dowiedział się już dość, uknuł przewrotny plan. Jednak blisko pięćdziesiąt lat temu jeden z jego podwładnych wypowiedział mu posłuszeństwo i go okłamał. A... – Suriel urwał i gwałtownie się wyprostował. – Nie jesteśmy sami.

Przygotowałam łuk i rozejrzałam się, trzymając strzałę wycelowaną w ziemię. Ale wszędzie wkoło nadal panowała absolutna cisza, jaka zapadła z chwilą przybycia suriela.

– Ludzka kobieto... Musisz mnie uwolnić i uciekać jak najdalej stąd – powiedział stwór, wpatrując się we mnie rozszerzonymi oczami wypełnionymi śmiercią. – Umykaj ku rezydencji swojego księcia. I nie zapominaj o tym, co ci powiedziałem: nie odstępuj go na krok! Wyczekuj, aż wszystko zostanie naprawione.

– Co się dzieje? – Gdybym wiedziała, co mi grozi, miałabym większą szansę...

– Zbliżają się nagi. Istoty powstałe z cienia, nienawiści i zgnilizny. Usłyszały mój krzyk, a potem wyczuły ciebie. Uwolnij mnie, ludzka istoto. Jeśli mnie tu znajdą, pojماją mnie i będą mnie więzić. *Uwolnij mnie* i wróć do swojego księcia.

Niech to szlag! Rzuciłam się do sideł, odkładając łuk i sięgając po nóż, kiedy cztery cieniste postacie prześlizgnęły się między brzozami. Były tak ciemne, że sprawiały wrażenie utkanych z bezgwiezdnego nocnego nieba.

## Rozdział 15

Nagi okazały się istotami wyrwanymi żywcem z koszmaru. Pokrytym ciemnymi łuskami potwornym połączeniem węża z człowiekiem, o muskularnych ramionach zakończonych czarnymi, lśniącymi szponami zdolnymi rwać ciało na strzępy.

Były to stwory rodem z krwawych podań, przenikające przez ściany domostw, aby torturować i mordować śmiertelników. Istoty, które chętnie zabiłabym tamtego dnia w ośnieżonym lesie. Ich olbrzymie migdałowate oczy patrzyły zachłannie na suriela i na mnie.

Cztery stworzenia zatrzymały się na drugim końcu polany i jakby zawahały. Uniosłam łuk i wycelowałam w jedno z nich.

Naga rozwarła usta w uśmiechu, ukazując równy rząd ostrych jak brzytwa zębów i wysuwając srebrzysty rozwidlony język.

– Mroczna Matka zesłała nam dziś dar, bracia – wyszczała, wpatrując się w suriela, który rozpaczliwie szarpał sidła pazurami. Bursztynowe oczy nagi przesunęły się na mnie. – I posiłek.

– Niezbyt dużo mięsa – zauważył drugi z potworów, rozprostowując pazurzaste dłonie.

Zaczęłam się cofać krok za krokiem w stronę strumienia, w stronę znajdującej się za nim rezydencji Tamlina, cały czas celując w nagi. Jeden mój krzyk zaalarmowałby Luciena, ale brakowało mi oddechu. Poza tym jeśli podpuścił mnie, abym tu przyszła na swoją zgubę, mógł w ogóle się nie zjawić. Całą uwagę skupiałam na kolejnych krokach, uważając, by się nie potknąć o jakiś korzeń czy kamień.

– Człowieku, błagam – jęknął suriel.

Miałam dziesięć strzał. Dziewięć, jeśli nie liczyć tej nałożonej już na cięciwę. Żadna z nich nie była wykonana z jesionu, ale może powstrzymają nagi na wystarczająco długo, abym zdołała uciec.

Cofnęłam się kolejny krok. Cztery wężowate potwory podpełzły bliżej, jakby rozkoszując się powolnym tempem polowania; jakby już delektowały się smakiem mojego ciała.

Miałam trzy uderzenia serca na podjęcie decyzji. Trzy chwile na wprowadzenie mojego planu w życie.

Napięłam mocniej łuk, aż ramię mi zadrżało z wysiłku.

I wtedy krzyknęłam. Głośno i wyraźnie, wypychając ze ściśniętych strachem płuc całe powietrze.

Wszystkie nagi skupiły na mnie całą swoją uwagę. Wtedy wystrzeliłam w sidła krępujące suriela.

Grot strzały gładko przeciął linę i uwolnił stwora. Ten skoczył błyskawicznie, niczym cień na wietrze, czarna smuga, przed którą zbliżające się nagi musiały się cofnąć.

Potwór najbliższy mnie rzucił się na suriela, sięgając ku niemu łbem osadzonym na pokrytej łuskami szyi. Teraz już z pewnością nie miały złudzeń, że jestem bezbronną ofiarą. Nie po tym popisie celności. Niemniej jednak wciąż chciały mnie zabić.

Wypuściłam więc kolejną strzałę.

Grot pomknął przez mroczny las, lśniąc niczym spadająca gwiazda. Chwilę potem raził cel i trafiona naga trysnęła krwią.

Upadła na ziemię. Pozostała trójka zwróciła się błyskawicznie w moją stronę. Nie wiedziałam, czy zdołałam zabić wroga. Ale nie zamierzałam zostawać na polanie, żeby się upewnić. Ruszyłam biegiem.

Mknęłam w stronę strumienia drogą, którą wybrałam zawczasu, nie marnując ani jednej cennej chwili na oglądanie się za siebie. Lucien powiedział, że będzie w pobliżu... Ale

znajdowałam się teraz bardzo głęboko w lesie, zbyt daleko od rezydencji Tamlina i potencjalnej odsieczy.

Za plecami – stanowczo zbyt blisko – usłyszałam trzask łamanych gałęzi i warczenie, które nie przypominało niczego, z czym się dotychczas spotkałam – ani poznanych dotąd fae, ani żadnego zwierzęcia. Jedyna nadzieja na ujęcie z życiem spoczywała w uciekaniu przed nimi wystarczająco długo, aby dotrzeć do Luciena. Pod warunkiem, że był w okolicy i przyjdzie mi z pomocą. Nie chciałam nawet myśleć o wszystkich wzgórzach, które miałam do pokonania między knieją a rezydencją Tamlina. Ani o tym, co zrobię, jeśli Lucien się rozmyślił i pozostaną zdana na siebie.

Odgłosy pogoni nasiliły się i zbliżyły. Skręciłam w prawo i przeskoczyłam strumień. Płynąca woda może i była barierą nie do przekroczenia dla suriela, ale wciąż nasilające się trzaski i syki świadczyły o tym, że nagi nic sobie z niej nie robiły.

Schyliłam się, aby przebić się przez płataninę gałęzi. Ciernie pokaleczyły mi ramiona i policzki, ale ja ledwie czułam ich kłujące pocałunki czy sączącą się z ran ciepłą krew. Nie miałam nawet czasu, by się skrzywić z bólu, gdyż po bokach dostrzegłam dwie ciemne postacie odcinające mi właśnie drogę.

Nogi odmówiły mi posłuszeństwa, kiedy zmusiłam je do jeszcze większego wysiłku, skupiona na coraz większej plamie światła zwiastującej kraniec lasu. Ale nie zdołałam wypaść na otwarty teren. Naga po mojej prawej rzuciła się na mnie tak szybko, że ledwo zdołałam odskoczyć, aby uniknąć jej ostrych pazurów.

Potknęłam się, ale utrzymałam równowagę. Kątem oka dostrzegłam, że teraz naga po lewej skacze w moją stronę.

Zatrzymałam się nagle i machnęłam szeroko łukiem. Niemal wypuściłam broń z dłoni, gdy drzewce uderzyły w wężową twarz, krusząc kość przy wtórze przerażającego skrzeku. Przeskoczyłam nad powalonym przeciwnikiem, nie zatrzymując się, aby poszukać wzrokiem pozostałych wrogów.

Zdołałam przebiec zaledwie kilka stóp, kiedy tuż przede mną wyrósł kolejny z potworów. Zamachnęłam się łukiem w jego głowę, ale uniknął mojego ciosu. Pozostałe dwa stwory syczały wściekle, zachodząc mnie od tyłu. Chwyciłam mocniej broń.

Byłam otoczona.

Obróciłam się powoli dokoła, gotowa uderzyć w każdej chwili.

Jeden z potworów powęszył w powietrzu, rozdymając wąskie nozdrza.

– Nędzna ludzka chudzina – wysyczał do towarzyszy, których uśmiechy się poszerzyły, po czym zwrócił się do mnie: – Czy wiesz, ile trudu nas kosztowałaś?

Nie miałam zamiaru się poddać bez walki. Chciałam zabrać ze sobą chociaż jednego z nich.

– Niech was piekło pochłonie – powiedziałam, ale nie zabrzmiała tak groźnie, jak chciałam.

Potwory zaśmiały się i zbliżyły. Machnęłam łukiem w stronę najbliższego z nich. Uniknął mojego ciosu i zachichotał.

– Teraz się zabawimy, chociaż tobie zapewne nie będzie do śmiechu.

Zacisnęłam zęby i zamachnęłam się ponownie. Nie dam się upolować jak jakiś jeleni wilkom. Znajdę wyjście, znajdę sposób, znajdę...

Dłoń o palcach zwieńczonych czarnymi pazurami chwyciła mój łuk i złamała go szybkim ruchem. Trzask poniósł się echem po nienaturalnie cichym lesie.

Krzyknęłam krótko i nie zdążyłam się obrócić, nim kolejny potwór chwycił mnie za gardło i cisnął na ziemię. Uderzyłam o jakiś korzeń tak mocno, że wypuściłam z nagle

zdrętwiałej dłoni strzaskany łuk.

– Gdy będziemy obdzierać cię ze skóry, pożałujesz, że postawiłaś nogę w Prythianie – wydyszał mi w twarz, owiewając mnie oddechem nasyconym mdlącą wonią rozkładu. Zebrało mi się na wymioty. – Potniemy cię na tak małe kawałki, że nawet kruki nie będą już miały nic do roboty.

Przez moje ciało przemknął gorący biały ogień. Wściekłość, przerażenie czy zwierzęcy instynkt – nie wiedziałam. Nie myślałam. Wyrwałam nóż z za cholewy buta i wbiłam go po rękojęść w skórzasty policzek nagi, po czym wyrwałam z powrotem.

Krew trysnęła mi na twarz, poczułam jej cierpki smak w ustach, gdy ryknęłam ze złości i strachu.

Potwór cofnął się, dając mi dość czasu, aby zerwać się na nogi, zanim pozostałe dwa zdołały mnie dopaść. Wtedy jednak nagle coś twardego jak kamień uderzyło mnie prosto w twarz. Upadłam jak długa, czując w ustach smak krwi, ziemi i mchu. Świecek stanęły mi w oczach. Instynktownie wstałam ponownie, szukając wzrokiem noża, który poleciał gdzieś w bok.

„Nie w ten sposób, nie w ten sposób”.

Jeden z potworów rzucił się w moją stronę. Ostatkiem sił zdołałam uniknąć jego ataku, nie na tyle jednak, aby nie zdołał zahaczyć pazurami mojej tuniki i pociągnąć, rwąc materiał i przecinając skórę na ramieniu. Chwilę później jeden z jego towarzyszy rzucił mnie znowu na ziemię.

– Potniemy cię – sapnął stwór i zaśmiał się chrapliwie. – Będziemy cię zabijać powoli, abys cierpiała jak najdłużej.

Poruszył pazurami – doskonałymi narzędziami do zadawania bólu. Otworzył ponownie usta i leśną ciszę rozdarł mrozący do szpiku w kościach wściekły ryk.

Z tym że nie wydobyl się on z gardła nagi.

Echo ryku jeszcze nie przebrzmiało, kiedy potwór nagle poleciał w bok i uderzył w drzewo tak mocno, że pień aż zatrzeszczał. Długie śmiercionośne pazury wbiły się w cielsko stwora i wtedy dopiero ujrzałam lśniąca złotą maskę.

Naga przyciskająca mi ramiona do ziemi zaskrzeczała i puściła mnie, aby rzucić się na Tamlina, który właśnie rozrywał gardło oszołomionego przeciwnika. Krew trysnęła obfitym strumieniem.

Chwyciłam leżący obok nóż i przetoczyłam się na brzuch, czekając na rozwój wypadków.

Tamlin wydał z siebie kolejny ryk, od którego przeszył mnie lodowaty dreszcz, i wyszczerzył groźne wilcze kły.

Pozostały przy życiu stwór rzucił się do panicznej ucieczki.

Nie zdołał ująć daleko. Tamlin powalił go na ziemię i przygniótł swoim potężnym ciałem, po czym szerokim zamaszystym ruchem ramienia rozerwał mu brzuch.

Nie ruszałam się z miejsca, z twarzą wciąż wciśniętą w mech. Nie próbowałam wstać. Dygotałam tak mocno, jakbym miała zaraz rozpaść się na kawałki. Jedyne, do czego byłam zdolna, to kurczowe ściskanie rękojęści noża.

Tamlin powstał, wyrrywając pazury z trzewi nagi. Skapujące z nich krew i żółc plamiły zielony mech.

„Książę. Książę. Książę”.

W jego oczach wciąż płonął dziki szał. Wzdrygnęłam się, gdy przyklął przy mnie. Sięgnął ku mnie, ale odruchowo cofnęłam się od zakrwawionych pazurów, które wciąż wystawały z jego palców. Usiadłam, opierając się o pień drzewa. Targnęła mną kolejna fala dreszczy. Nie byłam w stanie dźwignąć się na nogi.

– Feyro.

Szał przygasał w jego oczach, a pazury powoli wsunęły się pod skórę. W moich uszach wciąż jednak dźwięczał jego wściekły ryk. W tym dźwięku brzmiała czysta pierwotna furia.

– Jak? – Tylko tyle zdołałam z siebie wydusić, ale mnie zrozumiał.

– Tropiłem całą ich grupę. Ta czwórka uszła z życiem. Musiały podążyć przez las za twoim zapachem. Wtedy usłyszałem twój krzyk.

Nie wiedział zatem o surielu. I... i przyszedł mi z pomocą.

Wyciągnął ku mnie rękę. Zadrżałam, czując jego mokre palce na szczypiącym, obolałym policzku. Krew. Były mokre od krwi. Teraz dopiero zarejestrowałam lepkość na policzkach. Byłam już tak zakrwawiona, że parę kropel więcej z jego palców nie sprawiałoby żadnej różnicy.

Ból w twarzy i ramieniu stępsiał, po czym znikł zupełnie. Oczy Tamlina nieco pociemniały, gdy spojrzał na siniec, który musiał już wykwitać na moim policzku. Szczęśliwie pulsujący ból szybko zelżał. Metaliczna woń magii owionęła mnie, po czym odleciała, przegnana łagodnym podmuchem wiatru.

– Kilkaset stóp stąd natrafiłem na półżywą nagę – powiedział, rozpinając sprzączkę swojego pasa. Odłożył pas obok na ziemię, po czym ściągnął swoją tunikę i podał mi ją. Moja została porwana na strzepy podczas walki. – Ponieważ z jej gardła sterczała jedna z moich strzał, ruszyłem szybko po waszych śladach.

Wciągnęłam tunikę Tamlina przez głowę, starając się ignorować to, jak materiał niegdyś białej, a teraz nasiąkniętej krwią koszuli opinał się na jego umięśnionych ramionach. Urodzony drapieżnik; wyszkolony, by zabijać bez mrugnięcia okiem, bez żalu. Zadrżałam ponownie i rozkoszowałam się ciepłem, jakie rozlewało się po moich mięśniach po otuleniu wełną. „Książę”. Powinnałam była wiedzieć, powinnałam była się domyśleć. Może nie chciałam, może bałam się to przyznać.

– Chodź, pomogę ci – powiedział, wstając i podając mi zakrwawioną dłoń.

Chwyciłam jego rękę i pozwoliłam mu dźwignąć mnie na nogi. Nie odważyłam się spojrzeć na zaszlachtowane nagi. Nogi się pode mną na chwilę ugięły, ale zdołałam ustać.

Spojrzałam na nasze złęczone dłonie, obie pokryte krwią nienależącą do nas.

On nie był jedynym, który przed chwilą rozlał krew. A krew, którą wciąż czułam na języku, nie należała tylko do mnie. Może to czyniło mnie bestią nie mniejszą od niego. Ale on mnie uratował. Dla mnie zabijał. Splunęłam na mech, żałując zgubionej w szaleńczym biegu manierki.

– Czy chcę wiedzieć, co tu robiłaś? – zapytał.

„Nie. Zdecydowanie nie chcesz”. Nie po tylu otrzymanych dotąd ostrzeżeniach.

– Nie sądziłam, że nie wolno mi wychodzić poza ogród – odparłam. – Nie zauważyłam, że zawędrowałam tak daleko od domu.

Puścił moją dłoń.

– Kiedy wyruszam... załatwić pewne sprawy, nie oddalaj się od rezydencji.

Kiwnęłam nieco sztywno głową.

– Dziękuję – wymamrotałam pod nosem, walcząc z wciąż powracającymi dreszczami, starając się uporządkować myśli. Smród pokrywającej mnie krwi nagi stał się niemal nie do zniesienia. Ponownie splunęłam. – Nie... Nie tylko za to. Mam na myśli: za uratowanie mi życia. – Chciałam powiedzieć mu, jak wiele dla mnie znaczyło, że książę Dworu Wiosny uznał, iż moje życie warto ocalić. Ale nie mogłam znaleźć odpowiednich słów.

– To... to mój obowiązek – stwierdził, chowając kły. – Nie powinienem był dopuścić, aby wdarły się tak daleko na moje ziemie. – Pokręcił głową, bardziej jakby do samego siebie, i przygarbił się nieco. – Wracajmy do domu – dodał, oszczędzając mi konieczności tłumaczenia,

co robiłam w tej części lasu.

Nie śmiałam powiedzieć, że jego rezydencja nie jest moim domem. Że tak właściwie to chyba już nie mam żadnego domu.

Szliśmy w milczeniu. Oboje bladzi i pokryci krzepnącą krwią. Wciąż nie mogłam się otrząsnąć ze świadomości jatki, jaką za sobą zostawiliśmy, nasiąkniętej krwią ziemi i poranionych drzew. Strzępów cielsk nag.

Cóż, przynajmniej dowiedziałam się czegoś od suriela. Nawet jeśli nie dokładnie tego, co chciałam usłyszeć. Lub co chciałam wiedzieć...

„Trzymaj się księcia”. W porządku, to nie będzie trudne. Ale jeśli chodzi o tę lekcję historii, którą przerwało nadejście nag, tę opowieść o okrutnym królu i jego poplecznikach... Niestety, suriel nie zdążył mi powiedzieć, jak to wszystko łączyło się z krocącym obok mnie księciem fae i tą magiczną chorobą. Wciąż miałam za mało konkretnych informacji, aby sensownie doradzić mojej rodzinie. A suriel przestrzegł mnie przed szukaniem dalszych odpowiedzi.

Podświadomie czułam, że zignorowanie jego przestrogi byłoby z mojej strony bardzo głupie. Zatem ojciec i siostry będą musieli sobie poradzić z tymi strzępkami wiedzy, którą dotąd zdobyłam. Miałam szczerą nadzieję, że to wystarczy.

Nie pytałam Tamlina o nagi. Nie dopytywałam, ile ich zabił, zanim te cztery zdołały uciec. Nie zadawałam mu w ogóle żadnych pytań, ponieważ nie dostrzegłam w nim ani śladu radości z odniesionego zwycięstwa. Raczej poczucie głębokiego wstydu i porażki.

## Rozdział 16

Po spędzeniu blisko godziny w kąpieli zasiadłam w foteliku przed kominkiem, w którym buzował już ogień, i czekałam cierpliwie, aż Alis rozczesze moje wilgotne włosy. Choć wkrótce miano podać wieczerzę, kazała innej służce przynieść mi kubek gorącej czekolady. Napój pachniał tak kusząco, że odmówiłam robienia czegokolwiek, dopóki nie upiję choć kilku łyków.

Nigdy wcześniej nie piłam czegoś tak dobrego. Siedziałam więc, wpatrując się w ogień, sącząc czekoladę z kubka i niemal mrucząc pod łagodnym dotykiem palców Alis na mojej głowie.

Jednak gdy pozostałe służki udały się na dół, aby pomóc w przygotowaniach do posiłku, opuściłam kubek na kolana i odezwałam się do Alis:

– Jeśli kolejne istoty będą przekraczały granice tych ziem i nękały jej mieszkańców, czy wybuchnie wojna? – Wspomniałam słowa Luciena, które zasłyszałam tej pierwszej nocy: „Może winniśmy zwyczajnie stawić im czoła? Może w końcu nadszedł czas powiedzieć dość?”.

Szczotka zatrzymała się w połowie długości moich włosów.

– Nie zadawaj takich pytań. Ściągniesz tylko nieszczęście.

Obróciłam się w foteliku i spojrzałam na jej zamaskowaną twarz.

– Dlaczego pozostali książęta nie pilnują swoich poddanych? Dlaczego pozwalają tym okropnym istotom poruszać się swobodnie, gdzie te tylko zapragną? Ktoś... Ktoś zaczął mi opowiadać o królu Hybernii...

Alis chwyciła mnie mocno za ramię i obróciła twarzą do ognia.

– To nie jest twoja sprawa.

– Och, moim zdaniem jest. – Ponownie odwróciłam się ku niej, przytrzymując się drewnianego oparcia. – Jeśli to się rozleje na świat ludzi, jeśli wybuchnie wojna, jeśli ta magiczna plaga zatruje nasze ziemie...

Odepchnęłam zalewające mnie uczucie paniki. Musiałam ostrzec rodzinę, musiałam wysłać im list. I to szybko.

– Im mniej wiesz, tym lepiej dla ciebie. Pozostaw takie rzeczy panu Tamlinowi. Tylko on jest w stanie coś na to poradzić. – To samo powiedział suriel. Alis spojrzała na mnie twardo swoimi brązowymi oczami. – Sądziłaś, że się nie dowiem, o co prosiłaś w kuchni dziś rano? Sądziłaś, że nie zorientuję się, na co poszłaś zastawić pułapkę? Głupia, głupia dziewczyno. Gdyby suriel nie był w łaskawym humorze, zasłużyłabyś na śmierć, którą niechybnie to spotkanie by się skończyło. Nie wiem, co jest gorsze: to czy twoja naiwność w spotkaniu z puką.

– Czy ty nie postąpiłabyś tak samo? Gdybyś miała rodzinę...

– Mam rodzinę.

Przyjrzałam się jej uważnie. Na palcu nie dostrzegłam żadnego pierścionka czy obrączki.

– Moja siostra i jej towarzysz zostali zamordowani blisko pięćdziesiąt lat temu – powiedziała, zauważając moje spojrzenie. – Zostawili dwójkę młodych. Wszystko, co robię, czynię dla tych chłopców. Nie masz więc prawa patrzeć na mnie w ten sposób i pytać, czy postąpiłabym inaczej.

– Gdzie oni są? Mieszkają tu z tobą? – Może dlatego w gabinecie Tamlina stały książeczki dla dzieci. Może te dwie małe, lśniące postacie w ogrodzie... Może to byli oni?

– Nie, nie ma ich tu – odparła niespodziewanie ostrym tonem. – Są gdzie indziej. Daleko stąd.

Rozważyłam jej słowa i zapytałam, przechylając głowę na bok:



– Czy dzieci fae dorastają w innym tempie niż ludzkie? – Jeśli ich rodzice zginęli blisko pięć dekad temu, nie byli już raczej „chłopcami”.

– Och, niektórzy dojrzewają równie szybko co wy i mogą rozmnażać się jak króliki. Ale są inni, tacy jak ja, tacy jak fae wysokiego rodu, którzy bardzo rzadko mają młode. Te, które przyjdą na świat, dorastają zauważalnie wolniej. Wszyscy byli zdumieni, gdy moja siostra powiła drugie ledwie pięć lat po pierwszym. W naszym gatunku dojrzałość osiąga się w wieku siedemdziesięciu pięciu lat. Młode... Wszystkie nasze młode są niezmiernie rzadkie. I bardziej dla nas cenne niż klejnoty czy złoto. – Po zaciśniętej mocno szczęce zrozumiałam, że nic już więcej z niej na ten temat nie wyciągnę.

– Nie chciałam podawać w wątpliwość twojego oddania względem nich – powiedziałam cicho, a gdy nie odpowiedziała, kontynuowałam: – Rozumiem, o co ci chodzi. O robienie wszystkiego dla nich.

Alis nadal miała zawziętą i pochmurną minę, ale dodała jeszcze:

– Następnym razem, gdy ten głupiec Lucien będzie ci doradzał, jak złapać suriela, przyjdź prosto do mnie. Martwe kurczaki, niech go osioł kopnie! Gdybyś tylko zaoferowała mu nowe odzienie, wilby się z wdzięczności u twoich stóp.

\*\*\*

Szczęśliwie zanim udałam się do jadalni, zdążyłam się nieco ogrzać i przestać trząść z zimna. Może i mój gospodarz był księciem Prythianu, ale nie miałam zamiaru okazywać przed nim strachu. Nie po tym, co dzisiaj przeszłam.

Lucien i Tamlin czekali już na mnie przy stole.

– Dobry wieczór – przywitałam się i skierowałam w stronę swojego krzesła.

Lucien przekrzywił głowę w niemym pytaniu. Skinęłam mu lekko i usiadłam w milczeniu. Nie zamierzałam go zdradzić, chociaż zasłużył na solidne lanie za wysłanie mnie na spotkanie z surielem z tak zdawkowymi informacjami. Fae rozluźnił się nieco.

– Słyszałem, że wy dwoje mieliście dość ciekawe popołudnie – powiedział. – Żałuję, że mnie tam nie było, abym mógł pomóc.

Ukryte, może niezbyt szczerze przeprosiny. Skinęłam mu ponownie.

– Cóż, mimo wszystko wciąż wyglądasz uroczo – dodał z wymuszoną nonszalancją.

Parsknęłam. Nigdy w życiu nawet przez chwilę nie wyglądałam uroczo.

– Sądziłam, że fae nie mogą kłamać.

Tamlin zakrztusił się winem, a Lucien wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu, od którego przecinająca mu twarz blizna rozciągnęła się nieprzyjemnie.

– Kto ci to powiedział?

– Każdy to wie – odparłam, nakładając sobie jedzenie na talerz. Ale mimowolnie zaczęłam zastanawiać się nad wszystkim, co mi dotychczas powiedział; nad każdym stwierdzeniem, które do tej pory brałam za prawdziwe.

Lucien odchylił się na oparcie krzesła, uśmiechając się jak kot po sutym posiłku.

– Oczywiście, że możemy kłamać. Traktujemy to wręcz jako rodzaj sztuki. I oczywiście skłamałszy, kiedy wieki temu zapewniliśmy ludzi, że nie jesteśmy zdolni dawać fałszywego świadectwa. W jaki inny sposób mieliby nam zaufać i zrobić to, czego od nich oczekiwaliśmy?

Zacisnęłam mocno wargi. Mówił prawdę. Ponieważ jeśli kłamał... Od zapętlającej się logiki zakreśliło mi się w głowie.

– Żelazo? – zdołałam wykrztusić z siebie.

– Nijak nam nie szkodzi. Tylko jesion, jak sama już dobrze wiesz.

Poczułam, jak rumieniec zalewa mi twarz. Wszystko, co mówili, brałam za dobrą monetę.

Może suriel też dziś kłamał, gdy wyjaśniał mi zawile stosunki między królestwami fae? Może kłamał, gdy kazał mi trzymać się księcia? Gdy mówił, że wszystko zostanie naprawione?

Spojrzałam na Tamlina. Książę! To jedno nie było kłamstwem, czułam to w głębi serca. Chociaż nie zachowywał się jak książęta fae z legend, którzy składali ofiary z dziewczic i mordowali ludzi dla zabawy. Nie, Tamlin był... Taki, jakim opisywali fae ci zaślepieni fanatycy z Dzieci Błogosławionych, gdy snuli wizję Prythianu jako krainy mlekiem i miodem płynącej.

– Chociaż Lucien właśnie zdradził jedną z naszych *najpilniej* strzeżonych tajemnic – odezwał się Tamlin, zerkając groźnie w stronę towarzysza – nigdy nie wykorzystaliśmy twojej niewiedzy przeciwko tobie. – Spojrzał mi w oczy. – Nigdy świadomie ci nie skłamaliśmy.

Zdołałam w odpowiedzi tylko kiwnąć głową i upiłam solidny łyk wody z pucharka. Posiłek zjadłam w milczeniu, zbyt zajęta próbą rozszyfrowania ukrytego znaczenia każdego słowa, które podsłuchałam od przybycia tutaj, żeby zauważyć, jak Lucien oddalił się, zanim podano deser. Zostałam całkiem sama z najbardziej niebezpieczną istotą, jaką spotkałam w swoim życiu.

Odniosłam wrażenie, że jadalnia stała się nagle jakby mniejsza.

– Czy... czy czujesz się lepiej? – Chociaż brodę podparł pięścią, z jego oczu dało się wyczytać troskę, a także... jakby zdziwienie tą właśnie troską.

Przełknęłam z trudem ślinę.

– Mam nadzieję, że nigdy więcej nie spotkam żadnej nagi.

– Co robiłaś tak daleko w zachodniej kniei?

Powiedzieć prawdę czy skłamać? Skłamać czy powiedzieć prawdę... Zdecydowałam się na jedno i drugie.

– Słyszałam kiedyś legendę o istocie, która odpowie na wszystkie pytania tego, kto ją złapie.

Tamlin drgnął, gdy z palców wystrzeliły mu pazury, kalecząc twarz. Rany zasklepiły się równie szybko, jak powstały, pozostawiając jedynie krople krwi spływające po złocistej skórze, które chwilę potem otarł rękawem.

– Wyruszyłaś schwycić suriela.

– Schwyciłam suriela – poprawiłam go.

– I czy powiedział ci to, czego chciałaś się dowiedzieć? – Był tak spięty, że chyba przestał oddychać.

– Nagi zaatakowały nas, zanim zdążył mi powiedzieć cokolwiek przydatnego.

Spoważniał.

– Powinienem cię zbesztać, ale chyba dzisiejsze przejścia są wystarczającą nauką. – Pokręcił głową. – Schwyciłaś suriela. Ludzka dziewczyna schwyciła suriela.

Wbrew sobie i pomimo dzisiejszych przeżyć pozwoliłam kącikom ust unieść się nieco w górę.

– To taka trudna sztuka?

Zachichotał, po czym wyjął coś z kieszeni.

– Cóż, jeśli mam szczęście, nie będę musiał zastawiać sideł na suriela, żeby dowiedzieć się, o co chodziło. – Uniósł dłoń tak, żebym mogła zobaczyć, co w niej trzyma. Była to zgnieciona lista słów, które tak pracowicie wynotowywałam.

Serce zamarło mi w piersi.

– To... – Niestety nie chciało przyjść mi z pomocą żadne gładkie kłamstwo. Wszystkie rozbłyskujące w mojej głowie pomysły brzmiały absurdalnie.

– Niezwykły? Zdobył? Zgładził? Pożoga? – czytał na głos. Miałam ochotę zwinąć się w kłębek i umrzeć. Słowa, które sprawiały mi tak wielkie trudności, wynotowane z książeczek

dla dzieci. Słowa, które teraz, gdy je wymówił, zdawały się tak trywialne. – Czy to miał być wiersz mówiący o zabiciu mnie i spaleniu mojego ciała?

Gardło mi się ścisnęło i musiałam zacisnąć dłonie w pięści, żeby nie ulec chęci ukrycia w nich twarzy.

– Dobranoc – powiedziałam ledwo słyszalnym szeptem i wstałam, choć nogi się podę mną uginały.

Gdy już prawie dotarłam do drzwi, usłyszałam jego głos zza pleców:

– Bardzo ich kochasz, prawda?

Obróciłam się bokiem i napotkałam spojrzenie jego zielonych oczu. Tamlin wstał ze swojego krzesła i ruszył w moją stronę. Zatrzymał się w odległości wystarczająco dużej, by mnie nie krępować.

W dłoni wciąż ścisnął kartkę z koślawo nakreślonymi słowami.

– Ciekawi mnie, czy twoja rodzina w ogóle zdaje sobie z tego sprawę – wymruczał pod nosem. – Że wszystko, co dla nich robiłaś, nie wynikało tylko z obietnicy złożonej matce. Że nie robiłaś tego dla siebie, lecz dla nich. – Nic nie powiedziałam. Nie ufałam swoim ustom, że nie zdradzą mojego wstydu. – Wiem... Wiem, że gdy ci to proponowałam, nie zabrzmiało to dobrze, ale mógłbym ci pomóc napisać...

– Zostaw mnie w spokoju.

Już wychodziłam przez drzwi, gdy nagle wpadłam na kogoś – na niego. Cofnęłam się o krok. Zdążyłam już zapomnieć, jak szybko potrafił się poruszać.

– Nie mówię tego po to, by cię obrazić. – Jego cichy głos tylko pogarszał całą sytuację.

– Nie potrzebuję twojej pomocy.

– Ależ oczywiście, że nie potrzebujesz – powiedział z krzywym uśmiechem, który jednak szybko zniknął. – Ludzka dziewczyna, która potrafi zabić fae noszącego skórę wilka, która schwytała suriela i własnymi rękami zabiła dwie nagi... – Powstrzymał chichot i pokręcił głową. Blask ognia płonącego w kominku zatańczył na jego masce. – Są głupcami. Że też tego nie dostrzegają... – Skrzywił się. Lecz w jego oczach nie było złośliwości. – Proszę – dodał, podając mi trzymaną kartkę.

Wzięłam ją od niego i włożyłam głęboko do kieszeni, po czym obróciłam się, aby odejść. On jednak złapał mnie delikatnie za ramię.

– Tak wiele dla nich poświęciłaś. – Uniósł drugą dłoń i wykonał gest, jakby chciał mnie pogłaskać po policzku. Zebrałam się w sobie w oczekiwaniu na dotyk, ale ten nie nastąpił. Tamlin zawahał się i ostatecznie opuścił rękę. – Czy ty w ogóle umiesz jeszcze się śmiać?

Odrąciłam jego rękę i poczułam, że nie mogę już dłużej dusić w sobie dyktowanych złością słów. Książę czy nie, niech go szlag.

– Nie chcę twojej litości.

Jego szmaragdowe oczy lśniły tak mocno, że nie mogłam od nich oderwać wzroku.

– A co powiesz na przyjaźń?

– Czy fae mogą się przyjaźnić ze śmiertelnikami?

– Pięćset lat temu niemało było fae, których ze śmiertelnikami łączyła przyjaźń tak bliska, że walczyli w wojnie po ich stronie.

– Słucham? – Nigdy wcześniej o tym nie słyszałam. Nie znalazłam też śladu tej historii na fresku w gabinecie Tamlina.

– Myślałaś, że w jaki sposób ludzkie armie wytrzymały tak długo? Jak inaczej spowodowałyby tak poważne straty w szeregach naszych wojsk, że nasi przywódcy zgodzili się na zawarcie Traktatu? Dzięki samej jesionowej broni? U boku ludzi walczyli fae. I umierali za wolność swoich śmiertelnych przyjaciół. Fae, którzy później rozpaczali, gdy stało się jasne, że

jedynym rozwiązaniem naszych różnic jest trwale rozdzielenie jednych od drugich.

– Czy ty byłeś jednym z nich?

– Byłem wtedy ledwie dzieckiem; zbyt młodym, aby zrozumieć wagę wydarzeń – odparł.

– Dorośli nic mi nawet nie mówili o wojnie. – Dzieckiem! To znaczyło, że miał ponad... – Ale gdybym miał dość lat, by walczyć, stanąłbym u boku twoich przodków. Sprzeciwiłbym się światu opartemu na niewolnictwie i tyranii. Chętnie ruszylibym do śmiertelnej walki w obronie wolności. Nieważne czyjej.

Czy ja zrobiłabym to samo? Na czele listy moich życiowych priorytetów zawsze stała ochrona rodziny. Wybrałabym tę stronę, która by to zapewniła. Dotąd nie myślałam o tym jak o słabości.

– Jeśli to cokolwiek dla ciebie znaczy – dodał Tamlin – to wiedz, że twoja rodzina wie, iż jesteś cała i zdrowa. Nie mają żadnych wspomnień o bestii wpadającej do ich chaty. Żyją w przekonaniu, że dawno zapomniana, niezmiernie bogata umierająca ciotka wezwała cię, abys towarzyszyła jej w ostatnich dniach życia. Wiedzą, że żyjesz, nie głodujesz i jesteś otoczona opieką. Wiedzą też o krążących plotkach na temat pewnego... zagrożenia czającego się w Prythianie. I są przygotowani do ucieczki, gdy tylko pojawią się znaki, że mur oddzielający nasze światy zanika.

– Ty... Ty zmieniłeś ich wspomnienia?

Cofnęłam się o kolejny krok. Cóż za arogancja. Posunąć się do wpływania na nasze umysły, umieszczania w nich innych myśli, zmieniania wspomnień. To dopiero znaczy niewolić...

– Zaczarowałem ich wspomnienia. Przesłoniłem je gęstą zasłoną. Obawiałem się, że twój ojciec mógłby za tobą ruszyć. Albo że przekonałby część mieszkańców wioski, aby zebrać się grupą i przekroczyć granicę, powodując tylko kolejne, poważniejsze naruszenie Traktatu.

Wszyscy by zginęli. Wystarczyłoby jedno spotkanie z istotami pokroju puki, bogge'a czy nagi. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Nie mogłam w ogóle zebrać myśli. W końcu, zanim zdążyłam się ugryźć w język, wypaliłam:

– Nie znasz go. Mój ojciec nic takiego by dla mnie nie zrobił.

Tamlin przyglądał mi się dłuższą chwilę w milczeniu.

– Owszem, zrobiłby.

Ale... Ale przecież to niemożliwe. Nie z jego kolanem. Nie w sytuacji, gdy stanowiło ono tak wygodną wymówkę. Zrozumiałam to, w chwili gdy rozviała się iluzja usnuta przez pukę.

Nakarmieni, zadbani, bezpieczni. Nawet zostali ostrzeżeni o nadciągającej pladze... Choć nie mogłam mieć pewności, że właściwie zrozumieli ostrzeżenie. Z oczu Tamlina biła jedynie szczerłość. Zrobił więcej, aby rozwiać moje wszystkie obawy, niżbym go podejrzewała przy najszczerzych chęciach.

– Naprawdę ich ostrzegłeś o... o tym niebezpieczeństwie?

Skinął głową z poważną miną.

– Nie wprost, ale... Poczucie zagrożenia zostało wplecione w czary okrywające ich wspomnienia. Tkwi tam też polecenie, aby uciekać jak najdalej na pierwsze oznaki niepokojących wydarzeń.

Może i był to przejaw arogancji fae, ale... Ale uczynił dla nich więcej, niż ja bym zdołała. Moja rodzina mogłaby całkowicie zignorować mój list. Gdybym wiedziała, że Tamlin potrafi zrobić coś takiego, sama bym go o to poprosiła.

Teraz istotnie nie miałam już czym się martwić. Może poza świadomością, że zapewne zapomną o mnie szybciej, niż początkowo się spodziewałam. Ale też nie mogłam ich szczególnie za to winić. Wypełniłam moje zobowiązanie wobec matki, dotrymałam danego słowa... Co mi

pozostało?

Blask ognia z kominka tańczył na masce, pogłębiając barwę złota i rozświetlając szmaragdy. Tak piękne kolory, tyle odcieni – odcieni, których nazw nawet nie znałam, które pragnęłam skatalogować i splatać na nowo na płótnie. Świat barw, przed którego zgłębianiem nic mnie już nie powstrzymywało.

– Farby – powiedziałam ledwie słyszalnym szeptem. Tamlin przechylił głowę na bok i przyjrzał mi się badawczo. Przełknęłam ślinę i wyprostowałam się. – Jeśli... jeśli to nie będzie zbyt wiele, to chciałabym poprosić o trochę farb. I pędzle.

Zamrugła.

– Lubisz... obrazy? Lubisz malować?

Jego zdziwienie nie było podszyte szyderstwem. Dało mi to dość odwagi, żeby dodać:

– Tak. Ja... Nie potrafię malować dobrze, ale jeśli nie byłby to zbyt kłopot...

Malowałabym na zewnątrz, żeby nie zachlapać podłogi, ale...

– Na zewnątrz, w środku, na dachu: maluj, gdzie tylko zechcesz. Nie mam nic przeciwko – powiedział. – Ale będziesz jeszcze potrzebowała papieru i płótna.

– Mogę pracować. Mogę pomagać w kuchni albo w ogrodzie. Mogę spłacić wszystko, co zużyję.

– Więcej byś przeszkadzała, niż pomogła. Może mi to zająć kilka dni, ale dostaniesz farby, pędzle, płótno i swobodę malowania w dowolnie wybranym przez siebie miejscu. Możesz rozstawiać sztalugę, gdzie będzie ci wygodnie. W tym domu i tak jest zbyt czysto.

– Dziękuję... To naprawdę wiele dla mnie znaczy. Dziękuję.

– Oczywiście. – Już się odwracałam, żeby odejść, kiedy dodał: – Czy widziałaś obrazy w galerii?

– Jest tutaj galeria? – zapytałam zdziwiona.

Wyszczerzył zęby w zawadiackim uśmiechu. Książę i władca Dworu Wiosny uśmiechnął się do mnie.

– Kazałem ją zamknąć, kiedy odziedziczyłem to miejsce. – Kiedy odziedziczył tytuł, który najwyraźniej nieszczególnie go cieszył. – Wydawało mi się, że sprzątanie jej byłoby stratą czasu.

To oczywiste, że ktoś zajmujący się głównie wojaczką musiał uznać dbanie o galerię obrazów za stratę czasu.

– Jutro jestem zajęty – mówił dalej – a galerię trzeba najpierw posprzątać po tylu latach, więc... Pojutrze. Pokażę ci ją pojutrze. – Potarł dłonią kark. Na odsłoniętej części policzka dostrzegłam delikatny rumieniec, dzięki któremu jego twarz sprawiała wrażenie bardziej żywej niż kiedykolwiek dotąd. – Proszę. To będzie dla mnie przyjemność.

Uwierzyłam, że mówi szczerze.

Skinęłam niezdarnie. Jeśli obrazy wiszące na ścianach korytarzy były tak doskonałe, te wybrane do powieszenia w galerii musiały wymykać się możliwościom ludzkiej wyobraźni.

– Z chęcią, bardzo bym chciała ją z tobą obejrzeć.

Uśmiechnął się szeroko, bez śladu rezerwy czy zawahania. Izaak nigdy się do mnie tak nie uśmiechał. Izaak nigdy nie sprawił, że oddech zamarł mi w piersi, choćby na krótką chwilę.

Uczucie to było tak dziwne, że pośpiesznie oddaliłam się, kurczowo ściskając zmiętą kartkę papieru w kieszeni, tak jakbym mogła w ten sposób powstrzymać uśmiech, który pchał się właśnie na moje usta.

## Rozdział 17

Obudziłam się nagle w środku nocy, ciężko dysząc. Sny wypełniały mi klekoczące palce suriela, szczerząca zęby naga i blada, pozbawiona rysów twarz kobiety rozcinającej mi powoli gardło krwistoczerwonymi paznokciami. Nieustannie pytała o moje imię, ale za każdym razem, gdy chciałam jej odpowiedzieć, krew pieniała się w ranach na szyi i krztusiłam się, nie mogąc wydobyć z siebie nawet jęku.

Przezesłam palcami przepocone włosy. Gdy zdołałam uspokoić oddech, usłyszałam dobiegający gdzieś z oddali harmider. Nawoływanie, czyjeś krzyki bólu.

Błyskawicznie zerwałam się z łóżka. Wołanie nie brzmiało, jakby toczyła się walka, a raczej jakby ktoś próbował zapanować nad chaosem. Ale te krzyki...

Cała pokryta gęsią skórą otworzyłam szarpnięciem drzwi. Mogłam zostać i schować się pod łóżkiem... Ale słyszałam już takie krzyki: wiele razy w lesie, kiedy nie udało mi się czysto trafić i zwierzęta konały w bólu. Nie mogłam siedzieć beczynn timer. Musiałam się dowiedzieć, co się dzieje.

Nim się obejrzałam, dobiegłam do szczytu głównych schodów. Frontowe drzwi otworzyły się gwałtownie i Tamlin wbiegł do środka, trzymając w ramionach jakąś wrzeszczącą wniebogłosy istotę.

Krzyczący fae dorównywał niemal wzrostem Tamlinowi, co jednak nie przeszkadzało księciu nieść go, jakby był ledwie workiem zboża. Ranny musiał należeć do fae niższego rodu: miał niebieską skórę, patykowate kończyny, spiczaste uszy i długie, onyksowo czarne włosy. Nawet z tej odległości widziałam wyraźnie krew na plecach istoty. Krew wypływająca z czarnych kikutów sterczących znad łopatek. Krew, którą zdążyła już nasiąknąć zielona tunika Tamlina. Dostrzegłam też, że w jego skórzanym pasie brakowało jednego noża...

Lucien wparował do sieni tuż za Tamlinem.

– Stół! – zakomenderował księżę. – Oczyszczyć blat!

Lucien bezceremonialnie zrzucił wazon z kwiatami z długiego stołu stojącego na środku pomieszczenia. Tamlin albo nie do końca myślał, co robi, albo obawiał się, że czas poświęcony na zanieśenie rannego fae do komnaty z medykamentami może być czasem, którego niesiony już nie miał. Brzęk tłuczonego szkła wyrwał mnie z osłupienia i ruszyłam szybko w dół schodów. Byłam już w połowie drogi, kiedy Tamlin ostrożnie położył wrzeszczącego fae brzuchem na blacie stołu. Ranny nie miał na twarzy maski, która przesłaniałaby grymas niewyobrażalnego bólu wykrzywiający jego dziwną podłużną twarz.

– Zwiadowcy znaleźli go porzuconego zaraz po naszej stronie granicy – wyjaśnił Tamlin Lucienowi, ale patrzył na mnie. Jego oczy błysnęły ostrzegawczo, ale nie przestałam schodzić. – Jest z Dworu Lata. – Na Kocioł – westchnął Lucien, przyglądając się ranom.

– Moje skrzydła – łkał ranny fae, wpatrując się w przestrzeń rozszerzonymi, lśnięcymi czarnymi oczami. – Odebrała mi skrzydła.

Znowu jakaś nienazwana „ona”, kładąca się cieniem na ich życiu. Jeśli nie władała Dworem Wiosny, może była władczynią innego? Tamlin uczynił gest dłonią i na stole pojawiły się z niczego bandaż i miska z gorącą wodą. Całkiem osłupiałam, ale zdołałam dotrzeć na dół schodów i podejść do stołu. W powietrzu dało się wyczuć krążącą śmierć.

– Odebrała mi skrzydła – załkał ponownie ranny fae. – Odebrała mi skrzydła – powtórzył, chwytając kurczowo krawędź stołu długimi i cienkimi niebieskawymi palcami.

Tamlin wymruczał jakieś niezrozumiałe słowo – tonem łagodnym i zabarwionym czymś, czego wcześniej u niego nie słyszałam – i zanurzył jeden z bandaży w wodzie. Stałam

naprzeciw niego po drugiej stronie stołu i przyjrzałam się ranom. To, co zobaczyłam, zaparło mi dech w piersiach.

Kimkolwiek była ta tajemnicza „ona”, nie tyle odebrała temu stworzeniu skrzydła, ile je mu oderwała.

Krew sączyła się z czarnych, aksamitnych kikutów wystających z pleców leżącego na stole fae. Rany miały nierówne brzegi. Skóra i mięśnie wyglądały na przerwane nierównymi cięciami. Tak jakby skrzydła zostały odpiłowane kawałek po kawałku...

– Odebrała mi skrzydła – powtórzy ranny łamiącym się głosem. Gdy jego ciałem szarpnęły dreszcze, pod skórą zalśniły żyły wyglądające, jakby zostały wykonane ze szczerego złota – lekko opalizujące, jak u modrego motyla.

– Leż spokojnie – nakazał mu Tamlin, wyciskając nasączony wodą bandaż. – Jeśli się będziesz tak szarpał, stracisz tylko więcej krwi.

– N-n-nie – wyjąkał ranny i zaczął obracać się na plecy, jakby chciał uciec od Tamlina, od bólu, który z pewnością nadejdzie, gdy mokry bandaż dotknie zakrwawionych kikutów.

Powodowana instynktem, a może litością lub desperacją, chwyciłam ramiona leżącego i przycisnęłam go do blatu stołu, aczkolwiek starając się obchodzić z nim możliwie najdelikatniej. Szarpnęłam się rozpaczliwie, na tyle mocno, że musiałam wyteńczyć wszystkie siły, aby go utrzymać. W dotyku jego skóra była gładka jak aksamit i śliska. Miała fakturę, której nigdy nie potrafiłabym uchwycić na obrazie, nawet gdybym miała całą wieczność na kolejne próby. Przycisnęłam jego ręce do stołu, zaciskając zęby i błagając w duchu, żeby przestał się rzucać. Spojrzałam na Luciena. Jego pobladła twarz miała kolor niezdrowej spłowiałej zieleni.

– Lucienie – powiedział Tamlin cicho, acz stanowczo.

Ale książęcy posłaniec tylko wpatrywał się w pokiereszowane plecy rannego, w nędzne kikuty pozostałe po skrzydłach. Żrenica jego metalowego oka to rozszerzała się, to znów zwężała; rozszerzała i zwężała. Cofnął się o krok. Jeszcze jeden. Po czym zwymiotował do stojącej pod ścianą doniczki i pobiegł w głąb domu. Ranny fae ponownie się szarpnęła, chcąc się wyzwolić z mojego uścisku, ale zdołałam go utrzymać, choć ramiona drżały mi od wysiłku. Musiał stracić naprawdę wiele sił, skoro nie był w stanie wyrwać się z uścisku ludzkiej dziewczyny.

– Proszę cię – wyszeptałam. – Nie ruszaj się.

– Odebrała mi skrzydła – załkał ranny. – Zabrała mi je.

– Wiem – wymruczałam, starając się ignorować ból mięśni. – Wiem.

Tamlin przytknął bandaż do jednego z kikutów i fae wrzasnęła tak głośno, że aż zadzwoniło mi w uszach. Lekko oteściałam zatoczyłam się do tyłu, puszczając ramiona leżącego, żeby utrzymać równowagę. Korzystając z okazji, spróbował się podnieść, ale ręce odmówiły mu posłuszeństwa i na powrót opadł twarzą na stół.

Świeża krew trysnęła z kikuta silnym strumieniem. Pomyślałam, że taka rana wymaga użycia opaski uciskowej przy opatrywaniu. Jednak chwilę później zrozumiałam, że ranny stracił tak dużo krwi, że to już nie ma znaczenia. Krew lała się obficie na plecy i spływała na stół, z którego skapywała na podłogę. Koło moich stóp zaczęła się tworzyć coraz większa kałuża.

Poczułam na sobie wzrok Tamlina. Spojrzałam mu w oczy.

– Rany się nie zasklepiają – powiedział szeptem; leżący na stole fae z trudem chwycił powietrze.

– Nie możesz użyć swojej magii? – zapytałam, żałując, że nie mogę zerwać mu maski, aby ujrzeć wyraz jego twarzy.

Tamlin przełknął z trudem ślinę.

– Nie – odparł. – Nie w przypadku tak poważnych ran. Kiedyś mogłem, ale teraz już nie.

Ranny na stole jęknął. Jego oddech zwalniał.

– Odebrała mi skrzydła – wyszeptał.

Coś błysnęło w zielonych oczach Tamlina i właśnie wtedy zrozumiałam, że fae umrze. Śmierć nie tyle krążyła w sieni, co odliczała już ostatnie uderzenia serca.

Ujęłam jedną z dłoni rannego. Zaciśnął skórzaste palce wokół moich, całkowicie je owijając – chyba bardziej odruchowo niż świadomie.

– Odebrała mi skrzydła – powtórzył. Jego ciałem targały coraz słabsze drgawki.

Odgarnęłam długie mokre włosy z twarzy stworzenia, odsłaniając spiczasty nos i wargi, spod których wyłaniały się ostre zęby. Spojrzał na mnie błagalnie.

– Wszystko będzie w porządku – powiedziałam, modląc się w duchu, żeby konający nie potrafił wyczuć kłamstwa tak łatwo, jak czynił to suriel. Pogłaskałam go po głowie. Jego włosy przypominały w dotyku płynną noc; kolejna faktura, której nigdy nie zdołam oddać na płótnie, chociaż gotowa byłam próbować aż do śmierci. – Wszystko będzie w porządku.

Ranny przymknął oczy. Ścisnęłam mocniej jego dłoń.

Coś mokrego dotknęło moich stóp. Nie musiałam spuszczać wzroku, aby wiedzieć, że to jego krew.

– Moje skrzydła – wyszeptał.

– Odzyskasz je.

Fae z wysiłkiem uniósł powieki i spojrzał na mnie.

– Obiecujesz?

– Tak – wyszeptalam ledwie słyszalnie.

Konający zdołał się lekko uśmiechnąć i na powrót zamknął oczy. Usta mi zadrżały. Chciałam móc powiedzieć coś innego; dać mu coś więcej niż obietnicę bez pokrycia, pierwsze fałszywe przyrzeczenie w moim życiu. Ale wtedy zaczął mówić Tamlin. Uniosłam wzrok i zobaczyłam, że trzyma drugą dłoń rannego.

– Niech Kocioł cię ocali – recytował słowa modlitwy zapewne starszej od wszystkich królestw śmiertelników. – Niech Matka ukoi cię w swoich objęciach. Oby dane ci było przekroczyć wrota i odetchnąć nieśmiertelną krainą mlekiem i miodem płynącą. Nie lękaj się zła, nie odczuwaj bólu. – Głos Tamlina się załamał, ale zdołał dokończyć: – Odejdź w pokoju ku wieczności.

Fae wydał ostatnie westchnienie i poczułam, jak jego chwyt na mojej dłoni rozluźnia się. Nie puściłam jej, tylko dalej głaskałam go po głowie, chociaż Tamlin położył drugą rękę zmarłego na stole i cofnął się kilka kroków.

Czułam na sobie jego spojrzenie, ale nie chciałam jeszcze puszczać dłoni martwego fae. Nie wiedziałam, ile zajmuje duszy opuszczenie ciała. Stałam w kałuży krwi, aż ta wystygła. Cały czas trzymałam dłoń fae o patykowatych palcach, głaskałam jego mokre włosy i zastanawiałam się, czy wiedział, że skłamałam, gdy mu obiecałam, że odzyska swoje skrzydła. Zastanawiałam się, czy może tam, gdzie się teraz udał, w jakiś sposób faktycznie tak się stało.

Gdzieś w głębi domu zegar wybił godzinę. Tamlin chwycił mnie za ramię. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak bardzo zmarzłam, dopóki nie poczułam przez materiał koszuli nocnej ciepła bijącego od jego dłoni.

– Już odszedł. Puść go.

Przyjrzałam się twarzy zmarłego fae – była tak nieziemską, tak nieludzką. Kto mógł wykazać się takim okrucieństwem, żeby go w ten sposób okaleczyć?

– Feyro – odezwał się ponownie Tamlin, ściskając lekko moje ramię.

Odgarnęłam włosy nieboszczyka za jego długie, spiczaste ucho. Żalowałam, że nie znam jego imienia. W końcu puściłam jego dłoń.



Tamlin poprowadził mnie w górę schodów. Żadne z nas nie przejmowało się krwawymi śladami pozostawianymi na podłodze ani krwią zastygającą na mojej koszuli nocnej. Zatrzymałam się na chwilę na szczycie schodów, wyswobodziłam się z uścisku Tamlina i spojrzałam za siebie, na stojący w półmroku stół.

– Nie możemy tak go zostawić – powiedziałam i zesłam jeden stopień. Tamlin chwycił mnie za łokieć.

– Wiem – odparł znużony. – Ale najpierw chciałem odprowadzić cię do twojej komnaty. Zanim go pochowa.

– Chcę pójść z tobą.

– Noc jest zbyt niebezpieczna, abyś...

– Potrafię o siebie...

– Nie – przerwał mi z błyskiem w zielonych oczach. Wyprostowałam się hardo, ale on tylko westchnął i lekko się przygarbił. – To ja muszę to zrobić. Sam.

Stał z pochyloną głową. Ani śladu pazurów, ani śladu kłów. Przeciwno temu wrogowi – losowi – nie mógł nic poradzić, nie mógł stanąć z nim do walki. Skinęłam więc głową. Rozumiałam, że chciał to zrobić sam. Na jego miejscu również nie chciałabym niczyjego towarzystwa. Odwróciłam się i ruszyłam w stronę sypialni. Tamlin pozostał na szczycie schodów.

– Feyro – powiedział tak łagodnym głosem, że ponownie zwróciłam się do niego twarzą. – Dlaczego? – Przechylił głowę na bok. – Stwierdzić, że nie lubisz naszego gatunku, byłoby niedopowiedzeniem. A po sprawie z Andrasem... – Nawet w ciemnym korytarzu jego zwykle lśniąco jasnym blaskiem oczy sprawiały wrażenie zamglonych. – Dlaczego więc?

Postąpiłam krok w jego stronę. Pokryte lepą krwią stopy kleiły się do dywanu. Spojrzałam w dół do sieni, gdzie na stole wciąż leżał sztywny fae z kikutami skrzydeł na plecach.

– Ponieważ sama nie chciałabym umierać w samotności – powiedziałam, a głos mi się na chwilę załamał, gdy wróciłam wzrokiem do Tamlina i zmusiłam się, aby spojrzeć mu w oczy. – Ponieważ chciałabym, żeby ktoś trzymał moją dłoń do samego końca. I potem jeszcze przez parę chwil. Jest to coś, na co zasługuje każdy, człowiek czy fae. – Z trudem przełknęłam ślinę. – Żałuję tego, co zrobiłam Andrasowi. – Miałam tak bardzo ściśnięte gardło, że stać mnie było już tylko na szept. – Żałuję, że... że w moim sercu było tyle nienawiści. Chciałabym móc to cofnąć i... Przepraszam. Tak bardzo jest mi teraz przykro.

Nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz zwracałam się do kogoś w ten sposób. Jeśli w ogóle kiedykolwiek mi się to zdarzyło. Tamlin tylko skinął głową w odpowiedzi i się odwrócił. Zastanawiałam się, czy powinnam powiedzieć coś jeszcze; czy powinnam paść na kolana i błagać o przebaczenie. Jeśli czuł tak głęboki żal, jeśli zmagił się z tak silnym poczuciem winy z powodu obcego, to w przypadku Andrasa... Jednak kiedy zdołałam otworzyć usta, książę Dworu Wiosny był już na dole.

Przeglądałam się mu, rejestrowałam każdy najdrobniejszy ruch mięśni doskonale widocznych pod przesiąkniętym krwią materiałem tuniki, ważyłam w myślach to niewidzialne brzemie, które dźwigał na ramionach. Nie spojrzał na mnie ani razu. Wziął ciało nieznanego fae ze stołu i ruszył w stronę drzwi ogrodowych. Po chwili zniknął za rogiem. Podeszłam do okna znajdującego się nieopodal szczytu schodów i przez nie obserwowałam Tamlina niosącego martwego fae przez zalany księżycową poświatą ogród ku rozciągającym się za nim łąkom. Nie obejrzał się ani razu.

## Rozdział 18

Gdy następnego dnia po śniadaniu i kąpieli zesłam na dół, w sieni nie było już śladu po nocnych wydarzeniach. Nie śpieszyłam się zbyt – dochodziło południe, gdy stanęłam u szczytu schodów i spojrzałam na dół, żeby się upewnić, że nie ma już całej tej krwi.

Chciałam odszukać Tamlina i wyjaśnić mu – naprawdę wyjaśnić – jak bardzo było mi przykro z powodu Andrasa. Jeśli miałam tu pozostać i przebywać z nim pod jednym dachem, mogłam przynajmniej spróbować w jakiś sposób zadośćuczynić temu, co zniszczyłam. Obejrzałam się na olbrzymie okno za moimi plecami. Widok z niego rozciągał się aż do jeziora lśniącego w oddali za ogrodem.

Woda była tak spokojna, że błękitne niebo i puszyste chmury odbijały się w niej jak w lustrze. Po minionej nocy pytanie o farby i pędzle wydawało mi się bardzo nie na miejscu, ale może... Może już dotarły i mogłabym udać się ze sztalugą nad to jezioro, aby je namalować?

Zapewne długo stałabym wpatrzona w odległą smugę barw i światła, gdyby Tamlin z Lucieniem nie wyłonili się z korytarza na parterze prowadzącego do drugiego skrzydła rezydencji. Omawiali sprawy patrolowania granicy czy coś podobnego. Gdy zesłam po schodach, zamilkli, a po chwili Lucien wyszedł szybko przez frontowe drzwi, nie witając mnie ani słowem, tylko niedbale machając mi dłonią. Nie był to gest gniewny, ale wyraźnie nie miał najmniejszej ochoty uczestniczyć w rozmowie, którą miałam odbyć z Tamlinem.

Rozejrzałam się, mając nadzieję dostrzec gdzieś paczkę z farbami, ale nigdzie jej nie widziałam. Tam wskazał mi otwarte drzwi, przez które właśnie wyszedł Lucien. Na podjeździe stały nasze konie, już osiodłane, czekające na nas. Lucien właśnie dosiadał trzeciego.

Obróciłam się do Tamlina.

„Trzymać się go. On mnie ochroni i wszystko będzie dobrze”. W porządku. Mogłam to zrobić.

– Gdzie się wybieramy? – wymamrotałam niepewnie.

– Rzeczy, na które czekasz, dotrą dopiero jutro, a w galerii wciąż trwa sprzątanie. Z kolei moje spotkanie zostało przełożone. – Czy on właśnie paplał? – Pomyślałam więc, że moglibyśmy się wybrać na przejażdżkę. Bez żadnego zabijania. I bez wężowatych potworów czających się między drzewami.

Chociaż na koniec uśmiechnął się lekko, w jego oczach czaił się żal. Istotnie – w ostatnich dwóch dniach widziałam już dość śmierci, dość fae już zabiłam. Nie miałam ochoty odbierać życia czemukolwiek. Tamlin nie miał przy boku ani na pasie żadnej broni, aczkolwiek zza cholewy buta wystawała lśniąca rękojeść noża.

Gdzie pochował tego biedaka? Książę kopiący grób dla nieznanego. Zapewne nie uwierzyłam w to, gdyby mi ktoś o tym powiedział. Zapewne nie uwierzyłam, gdyby zamiast mnie zabijać nie przyjął mnie pod swój dach.

– Więc dokąd ta przejażdżka? – zapytałam.

W odpowiedzi tylko się uśmiechnął.

\*\*\*

Gdy dotarliśmy na miejsce, nie mogłam znaleźć słów, które dostatecznie oddałyby jego piękno. Wiedziałam też, że jeśli zdołałabym je namalować, nawet nie zbliżyłabym się do oryginału. Nie chodziło tylko o to, że był to najpiękniejszy zakątek, w jakim kiedykolwiek się znalazłam, ani o to, że atmosfera tego miejsca napełniała mnie jednocześnie tęsknotą i radością. Nie, chodziło o to, że wydawało się po prostu... właściwe. Tak jakby wszystkie barwy, światła

i wzory świata spotkały się, aby utworzyć miejsce doskonałe – okruch nieskazitelnego piękna. Po wydarzeniach minionej nocy potrzebowałam właśnie czegoś takiego.

Zasiedliśmy na szczycie porośniętego trawą pagórka, z którego roztaczał się doskonały widok na dęby o pniach tak grubych i wysokich, że przypominały kolumny i wieże jakiegoś pradawnego zamku. Wokół nas unosiły się, migocząc w promieniach słońca, puszek dmuchawców. U stóp pagórka rosły kępy kołyszących się lekko na wietrze krokusów, przebiśniegów i dzwonek. Minęła już pierwsza południe, ale słońce wciąż świeciło mocno, ozlając cały krajobraz.

Chociaż byliśmy tam we trójkę sami, mogłam przysiąc, że słyszę dochodzący gdzieś z pobliza śpiew. Podciągnęłam kolana pod brodę i podziwiałam widoki.

– Mamy pled – powiedział Tamlin. Obejrzałam się przez ramię, a on wskazał mi brodą fioletową płachtę rozłożoną parę stóp dalej. Lucien właśnie na niej zasiadał i rozprostowywał nogi. Tamlin stał, wyraźnie czekając na moją reakcję.

Pokręciłam głową i spojrzałam ponownie przed siebie. Opuściłam dłoń i przeczesałam palcami miękką niczym pierze trawę, chłonąc jej barwę i fakturę. Nigdy wcześniej nie spotkałam się z taką trawą i z pewnością nie miałam zamiaru psuć tego uczucia, przesiadając się na pled.

Mężczyźni naradzali się szeptem za moimi plecami. Zanim zdążyłam się obejrzeć, aby przekonać się, co knują, Tamlin usiadł obok mnie. Szczęki miał zaciśnięte tak mocno, że momentalnie wbiłam wzrok przed siebie.

– Co to za miejsce? – zapytałam, wciąż z lubością przeczesaując palcami trawę.

Siedzący obok Tamlin był tylko migoczącym złocistym konturem na skraju mojego pola widzenia.

– Zwykła polana. – Siedzący za nami Lucien parsknął. – Podoba ci się? – zapytał szybko Tamlin.

Zerknęłam w bok. Zieleń jego oczu pięknie współgrała z kolorem trawy między moimi palcami, a bursztynowe plamki w tęczęwkach przypominały promienie słońca przebijające się między liśćmi drzew. Nawet jego maska, dziwna i obca, wydawała się pasować do otaczającej nas przyrody – tak jakby to miejsce powstało z myślą właśnie o nim. Wyobraziłam go sobie tutaj w zwierzęcej postaci, zwiniętego na trawie i drzemiącego spokojnie.

– Słucham? – zapytałam wyrwana z zamyślenia.

– Czy ci się podoba? – spytał ponownie, nie przestając się uśmiechać.

Odetchnęłam i rozejrzałam się wkoło.

– Tak.

Zachichotał.

– To wszystko? Zwykle „tak”?

– Czy mam paść ci do stóp, książę, i dziękować uniesieniu za przywiezienie mnie tutaj?

– Ach, suriel nie powiedział ci nic ważnego, prawda?

Jego uśmiech obudził we mnie uśpioną dotąd śmiałość.

– Powiedział też, że lubisz być szcztokowany, a jeśli będę sprytna, to wytresuję cię, karmiąc smakołykami.

Tamlin odchylił głowę do tyłu i wybuchnął głośnym śmiechem. Wbrew sobie również się lekko roześmiałam.

– Niech skonam! – zawołał siedzący za mną Lucien. – Feyro, ty zażartowałaś.

Obejrzałam się na niego z lekkim uśmiechem.

– Nie chcesz wiedzieć, co suriel powiedział mi o *tobie*. – Uniosłam brwi, a fae podniósł rękę w geście kapitulacji.

– Wiele bym dał za usłyszenie, co takiego suriel miał do powiedzenia o Lucienie – wtrącił

Tamlin.

Strzelił korek i Lucien zajął się osuszaniem butelki, w przerwie między kolejnymi haustami chichocząc i powtarzając pod nosem „szcztokowany”.

Tamlin ujął mnie pod łokieć i pociągnął w górę. W oczach wciąż lśniły mu iskierki rozbawienia.

– Chodź – powiedział, wskazując głową niewielki strumyk omywający podnóże pagórka.  
– Chcę ci coś pokazać.

Wstałam i obejrzałam się na Luciena, który jednak ani myślał ruszać się z koca. Uniósł tylko butelkę wina w geście pozdrowienia, pociągnął potężny łyk, opadł na plecy i wbił wzrok w niebo i gałęzie.

Tamlin poruszał się precyzyjnie odmierzonymi, sprężystymi krokami. Jego potężnie umięśnione nogi pokonywały kolejne jardy. Przekroczyliśmy szemrzący strumień, kluczyliśmy między potężnymi pniami, przeskakiwaliśmy kolejne strugi, wspinaliśmy się na strome zbocza, aż w końcu zatrzymaliśmy się na szczycie pagórka. Widok zaparł mi dech w piersiach, a ręce opadły bezwładnie po bokach. Na polanie otoczonej olbrzymimi drzewami znajdował się iskrzący w świetle słońca srebrzysty staw. Nawet z tej odległości widziałam wyraźnie, że nie był wypełniony wodą, ale czymś zdecydowanie rzadszym i nieskończenie cenniejszym.

Tamlin chwycił moją dłoń w nadgarstku i pociągnął mnie w dół zbocza ku stawowi. Zgrubienia skóry na jego palcach delikatnie drapały moją skórę. Puścił moją rękę, aby płynnie przeskoczyć nad grubym korzeniem wiekowego drzewa i podszedł do krawędzi zbiornika. Zazgrzytałam zębami i ze sporym wysiłkiem przegramoliłam się nad korzeniem.

Tamlin przykucnął przy brzegu i zaczerpnął dłonią płynu wypełniającego staw.

– Spójrz.

Srebrzysta, lekko pieniaca się ciecz ściekająca z jego palców wywoływała liczne kręgi na spokojnej dotąd powierzchni stawu. Każdy krąg lśnił innym kolorem, a...

– To wygląda jak światło gwiazd – wyszeptałam.

Księżę fae stłumił chichot, raz po raz nabierając i wylewając dłonią dziwną ciecz.

Wpatrywałam się z niedowierzaniem w lśniące krople i kręgi.

– To *jest* światło gwiazd.

– To niemożliwe – odparłam, walcząc z chęcią podejścia do brzegu.

– Jesteś w Prythianie. A przecież według waszych legend tu wszystko jest możliwe.

– Ale jak? – zapytałam, nie mogąc oderwać oczu od stawu. Srebrzysta powierzchnia migotała też błękitem, czerwienią, różem i żółcią. Przypominała wielobarwne żywe srebro...

– Nie wiem. Nigdy nie pytałem i nigdy nikt mi tego nie wyjaśnił.

Gdy dalej tylko stałam i wpatrywałam się w powierzchnię stawu, zaśmiał się głośno, odciągając moją uwagę od dziwnej wody. Spojrzałam na niego... Właśnie rozpinał guziki tuniki.

– Wskakuj – powiedział, patrząc na mnie zachęcająco.

Pływać, bez ubrania, sama z księciem fae. Pokręciłam głową i cofnęłam się o krok. Jego palce zamarły przy przedostatnim guziku.

– Nie chcesz się przekonać, jakie to uczucie?

Nie byłam pewna, co miał na myśli: pływanie w płynnym świetle gwiazd czy pływanie z nim.

– Ja... Nie.

– W porządku. – Nie zapiął z powrotem tuniki. Spod materiału wyzierała naga złocista skóra opinająca twarde mięśnie.

– Dlaczego tutaj? – spytałam, odrywając wzrok od jego torsu.

– Lubilem tu przychodzić w chłopięcych latach.

– Czyli jak dawno temu? – zapytałam, zanim zdążyłam się ugryźć w język.

Spojrzał na mnie z ukosa.

– Bardzo dawno – odparł cicho, wprawiając mnie w zakłopotanie. Istotnie musiało to być bardzo dawno temu, jeśli podczas wielkiej wojny był młodzieńcem.

Cóż, skoro już rozmowa stała się poważna, równie dobrze mogłam zadać pytanie, które nie dawało mi spokoju.

– Czy z Lucieniem wszystko jest w porządku? Znaczący, po wczorajszej nocy. – Co prawda zdążył już odzyskać swój cięty humor i zuchwałe lekceważenie, ale w końcu wymiotował na widok konającego fae. – On... Chyba nie zniósł tego zbyt dobrze.

Tamlin wzruszył ramionami, ale gdy się odezwał, mówił łagodnym głosem:

– Lucien... Lucien przeżył w swoim życiu rzeczy, przez które stawianie czoła takim scenom jak wczoraj może być... problematyczne. I nie chodzi mi tylko o bliznę i oko, choć z pewnością widok tego okaleczonego biedaka ożywił te przykre wspomnienia. – Tamlin potarł dłonią kark i spojrzał mi w oczy. Po jego spojrzeniu, po napiętych mięśniach szczęki znać było wiele wieków bolesnych przeżyć. – Lucien jest najmłodszym synem władcy Dworu Jesieni. – Zesztywniałam. – Najmłodszym z siedmiu. Trzeba ci wiedzieć, że na Dworze Jesieni panuje... Bezwzględna rywalizacja. Jego bracia postrzegali w sobie nawzajem jedynie rywali, ponieważ tradycją jest dziedziczenie przez najsilniejszego, a nie najstarszego. Tradycją nie tylko Dworu Jesieni; ten sam zwyczaj panuje na każdym dworze w całym Prythianie. Lucienowi nigdy nie zależało na odziedziczeniu pozycji ojca, nigdy nie zamierzał rywalizować o tytuł księcia. Spędzał więc lata młodości na robieniu wszystkiego tego, czego syn księcia raczej nie powinien robić: szwendał się po innych dworach, przyjaźnił z synami innych książąt – tu w oczach Tamlina pojawił się słaby błysk – i szukał towarzystwa przedstawicielek płci pięknej, których pozycja społeczna nie mogła się równać z możliwymi Dworu Jesieni. – Tamlin urwał na chwilę. Jego żal wydał mi się niemal namacalny. – Lucien mówił, że zupełnie nie dba o to, że jego wybranka nie należy do fae wysokiego rodu; był przekonany, że wkrótce nawiążą więź godową, po czym pojmie ją za żonę i zostawi ojcowską spuściznę knowaniom swych braci. – Westchnął ciężko. – Ale jego ojciec kazał ją zabić. Zgładzili ją na oczach Luciena, a jego dwóch najstarszych braci trzymało go cały czas, pilnując, aby widział wszystko do samego końca.

Żołądek podszedł mi do gardła. Przycisnęłam dłoń do piersi. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, nie potrafiłam pojąć ogromu takiej straty.

– Wtedy Lucien odszedł. Przeklął ojca, porzucił swój tytuł, porzucił Dwór Jesieni i zwyczajnie odszedł. A skoro wyrzekł się ojcowskiej ochrony, jego bracia uznali, że nadarza się doskonała okazja wyeliminowania jednego z możliwych pretendentów do schedy po nim. Trzech ruszyło za nim, aby go zabić. Wrócił jeden.

– Lucien... Lucien ich zabił?

– Jednego – odparł Tamlin. – Ja zabiłem drugiego, ponieważ wdarli się na moje ziemie. Byłem już wtedy księciem i mogłem postępować z osobami naruszającymi spokój moich włości wedle własnego uznania – wyjaśnił, jakby wygłaszał lodowate, bezwzględne oświadczenie. – Przyjąłem Luciena pod swój dach. Mianowałem go posłem, gdyż miał wielu przyjaciół i znajomych na różnych dworach i zawsze doskonale sobie radził w rozmowie z innymi, podczas gdy ja... Miewam z tym problemy. Odtąd mieszka na moim dworze.

– Mianowałeś go posłem... – myślałam na głos. – Czy miał ponownie styczność ze swoim ojcem? Albo z braćmi?

– Tak. Ojciec nigdy go nie przeprosił, ale jego bracia zbyt się mnie boją, aby ryzykować dybanie na jego życie. – W jego głosie nie było arogancji; tylko rzeczowe stwierdzenie faktu. – On sam nigdy nie zapomniał tego, co zrobili jego ukochanej, ani tego, co jego bracia próbowali

zrobić jemu. Nawet jeśli udaje coś zgoła przeciwnego.

Nie rozgrzeszało to Luciena ze wszystkiego, co mi powiedział czy zrobił, ale... Teraz rozumiałam. Potrafiłam pojąć powód, dla którego budował wokół siebie mury i bariery. Moja pierś sprawiała wrażenie zbyt ciasnej, zbyt małej, aby pomieścić narastający w niej ból. Spojrzałam na staw migoczącego światła gwiazd i westchnęłam ciężko. Musiałam jakoś zmienić temat.

– Co by się stało, gdybym napiła się tej... wody?

Tamlin wyprostował się nieco, po czym rozluźnił, jakby zadowolony, że mógł wyrzucić z siebie ten skrywany wiele lat smutek.

– Jeśli wierzyć legendzie, zyskasz szczęście aż do swego ostatniego oddechu. Może oboje potrzebujemy po kubku.

– Nie sądzę, żeby w moim przypadku wystarczył cały ten staw – stwierdziłam, a on się zaśmiał.

– Dwa żarty w jeden dzień. Prawdziwy cud zesłany przez Kocioł.

Uśmiechnęłam się niepewnie. Zbliżył się do mnie, tak jakby chciał zostawić za sobą mrok, tę ponurą plamę losu Luciena. Światło gwiazd tańczyło w jego źrenicach.

– A czego trzeba, aby uczynić cię szczęśliwą?

Oblałam się rumieńcem od szyi po czubek głowy.

– Ja nie... Nie wiem.

Nie skłamałam. Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Nigdy nie wyszłam poza plany wydania sióstr za mąż, zapewnienia jedzenia dla siebie i ojca oraz znalezienia czasu, żeby nauczyć się porządnie malować.

– Hmm – mruknął. – A dzwonienie dzwonek polnych? Wstążka spleciona z promieni słońca? Wieniec utkany z blasku księżycy? – Wyszczrzył zęby w zawadiackim uśmiechu.

Książę Prythianu, też mi coś. Raczej książę błaznów. Do tego doskonale wiedział, że odmówię. Że będę się wykręcać od spędzenia czasu sam na sam z nim.

Nie. Nie mogłam dać mu satysfakcji upokorzenia mnie. Coraz częściej miałam już tego dość... Dość tej dziewczyny, której serce skuwał lód zgorzknienia. Uśmiechnęłam się więc promiennie i starałam się nie dać po sobie poznać, że właśnie skręca mi trzewia.

– Chętnie trochę popływam.

Nie dałam sobie czasu na wątpliwości. Byłam też dumna, że palce mi nawet nie zadrżały, gdy zzuwałam buty, rozpinalam tunikę i ściągałam spodnie. Bieliznę miałam na tyle skromną, że nie odsłaniała zbyt wiele. Spojrzałam Tamlinowi hardo prosto w oczy, stając na porośniętym trawą brzegu stawu. Powietrze było ciepłe i przyjemne. Delikatny powiew wiatru złożył pocałunek na moim nagim brzuchu.

Powoli, niezmiernie powoli zlustrował mnie najpierw od szyi do stóp, a potem z powrotem w górę. Tak jakby dokładnie analizował każdy cal mojego ciała, każdą krągłość. Jego wzrok sprawił, że pomimo bielizny czułam się całkiem naga.

Gdy nasze spojrzenia ponownie się spotkały, uśmiechnął się niedbale, po czym nieśpiesznie zdjął ubranie. Powoli, bardzo powoli. Mogłam przysiąc, że błysk w jego oczach stał się głodny i dziki; przynajmniej na tyle, że poczułam potrzebę spojrzenia na cokolwiek, tylko nie na jego twarz.

Pozwoliłam sobie na chwilę podziwiania szerokiej klatki piersiowej, muskularnych ramion i długich, silnych nóg, po czym weszłam do stawu. Nie miał budowy Izaaka, który wciąż był w pół drogi między chłopcem a mężczyzną. Nie... Wspaniałe ciało Tamlina zostało wyrzeźbione przez całe wieki brutalnych walk.

Ciecz okazała się rozkosznie ciepła. Kroczyłam po dnie, aż uznałam, że jest

wystarczająco głęboko, aby popłynąć. Podpłynęłam kawałek i zatrzymałam się, utrzymując się tylko na powierzchni. Nie była to zdecydowanie woda, lecz coś gęstszego i bardziej spoistego. Nie była to też oliwa, lecz coś bardziej przejrzystego i delikatniejszego. Miałam wrażenie, jakbym była spowita płynnym jedwabiem. Tak bardzo skupiłam się na uczuciu przeczesywania palcami tej srebrzystej substancji, że nie zauważyłam nawet, kiedy Tamlin znalazł się tuż koło mnie.

– Kto cię nauczył pływać? – zapytał i zanurzył głowę. Gdy się wynurzył, wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu. Po krzywiznach jego maski spływały lśniąca strugi światła gwiazd.

Nie odważyłam się zrobić tego samego. Nie byłam pewna, czy tylko żartował, że ten płyn czyni pijącego szczęśliwym, czy też może mówił prawdę.

– Kiedy miałam dwanaście lat, obserwowałam pływające w stawie dzieci z wioski i sama się wszystkiego nauczyłam.

To było jedno z najbardziej przerażających doświadczeń mojego życia. Zanim posiadałam tę sztukę, połknęłam chyba pół tamtego stawu. Ale ostatecznie, gdy tylko opanowałam dziką panikę i zdołałam zaufać samej sobie, nauczyłam się pływać. Nabycie tej umiejętności wydawało mi się niezbędne. Miałam przeczucie, że kiedyś może mi to uratować życie. Nigdy jednak nie podejrzewałam, że może doprowadzić do takiej sytuacji jak teraz.

Ponownie zanurzył głowę. Gdy wrócił na powierzchnię, przeczesał palcami swoje złociste włosy.

– W jaki sposób twój ojciec stracił swój majątek?

– Skąd wiesz, że go w ogóle miał?

Tamlin parsknął.

– Nie sądzę, żeby osoby, które urodziły się biedne, mogły wysławiać się tak jak ty.

Jakaś część mnie chciała odpowiedzieć mu uwagą na temat snobizmu, ale... Cóż, miał rację. A ja nie mogłam go winić za spostrzegawczość.

– Ojciec był Księciem Kupców – zaczęłam, pływając powoli w tej dziwnej jedwabistej wodzie. Niemal nie wymagało to wysiłku. Ciecz była tak ciepła i tak lekka, że pływanie sprawiało wrażenie unoszenia się w powietrzu. Cały ból z mojego ciała stopniowo ulatywał i gasł. – Ale ten tytuł, który odziedziczył po swoim ojcu, który ten odziedziczył po swoim ojcu i tak dalej, nic tak naprawdę nie znaczył. Był tylko ładnym sposobem nazwania trzech pokoleń popadających w coraz większe długi. Ojciec całe lata próbował znaleźć sposób na ich spłatę, więc kiedy tylko nadarzyła się kusząca okazja, skorzystał z niej, nie bacząc na ryzyko. – Przełknęłam ślinę. – Osiem lat temu zgromadził cały nasz majątek na trzech statkach, które potem wysłał do Bharatu. Miały wrócić z cennymi przyprawami i sukniami.

Tamlin zmarszczył brwi.

– Istotnie musiał być zdesperowany. Ten szlak jest śmiertelnie niebezpieczny. Trzeba płynąć okrężną drogą.

– Cóż, on nie zdecydował się na okrężną drogę. Cała podróż trwałaby wtedy zbyt długo, a wierzyciele nie dawali mu spokoju. Zaryzykował więc rejs najkrótszą drogą do Bharatu. Oczywiście statki nigdy nie dopłynęły do celu. – Odgarnęłam włosy na plecy, starając się przegnać sprzed oczu wspomnienie twarzy ojca w dniu, w którym dowiedział się o losie wyprawy. – Gdy okręty zatonęły, wierzyciele poczuli krążyć wokół niego niczym wygłodniałe wilki. Szarpały go i szarpały, aż nie zostało z niego nic poza zszarganym imieniem i garścią pieniędzy. Wtedy kupiliśmy chatę, w której mnie znalazłeś. Miałam wtedy jedenaście lat. Ojciec... Po tym wszystkim przestał próbować cokolwiek robić. – Nie mogłam się zdobyć na powiedzenie mu o dniu, w którym ostatni z wierzycieli zjawił się u nas ze swoimi zbirami i okaleczył ojca.

– Wtedy właśnie zaczęłaś polować?

– Nie. Chociaż przeprowadziliśmy się do nędznej chaty, pieniądze skończyły się dopiero po trzech latach. Polować zaczęłam, gdy skończyłam czternaście lat.

W jego oku dostrzegłam błysk – niepasujący do twardego wojownika, który pogodził się z brzemieniem książęcego tytułu.

– A teraz jesteś tutaj... Czego jeszcze musiałaś się sama nauczyć?

Może był to wpływ zaklętego stawu, a może wyczułam w jego głosie szczere zainteresowanie. Tak czy owak uśmiechnęłam się i opowiedziałam mu o tych latach spędzonych w lesie.

\*\*\*

W drodze powrotnej do rezydencji – zmęczona, ale zaskakująco zadowolona po kilku godzinach pływania, jedzenia i wylegiwania się na pagórku – przyglądałam się badawczo Lucienowi. Gdy przekraczaliśmy rozległą łąkę porośniętą świeżą wiosenną trawą, chyba dziesiąty raz przyłapał mnie na zerkaniu na niego. Zwolnił krok konia i zaczął, aby zrównać się ze mną. Zebrałam się w sobie w oczekiwaniu na niewygodne pytania.

Metalowe oko zwęziło się, chociaż drugie pozostało obojętne, acz czujne.

– Tak?

To wystarczyło, abym podjęła decyzję o nieporuszaniu tematu jego przeszłości. Na jego miejscu również nie chciałabym cudzej litości. Do tego on mnie praktycznie nie znał. A na pewno niewystarczająco dobrze, aby wzmianka o jego przejściach go nie uraziła. Chociaż bardzo ciążyła mi ta wiedza i niezmiernie mu współczułam.

Zaczekałam, aż Tamlin się nieco od nas oddali, aby nawet jego wyczulony słuch nie pozwolił mu wyłowić moich słów.

– Nie miałam jeszcze okazji podziękowania ci za twoją poradę dotyczącą suriela.

Lucien zeszywniał.

– Ach?

Spojrzałam przed siebie. Tamlin jechał swobodnie; koń zdawał się zupełnie niewzruszony tym, jak wspaniały jeździec go dosiadał.

– Jeśli nadal chcesz mojej śmierci – powiedziałam – powinieneś się postarać nieco bardziej.

Lucien westchnął.

– Nie to było moim celem. – Spojrzałam na niego przeciągle. – Nie żebym cię oplakiwał, gdybyś jednak zginęła – poprawił się. Widziałam po nim, że mówił prawdę. – Ale to, co się stało...

– Żartowałam – weszłam mu w słowo i uśmiechnęłam się lekko.

– Nie uwierzę, że tak łatwo wybaczysz mi narażenie cię na niebezpieczeństwo.

– Nie. I przyznaję, że pewna część mnie nie pragnie niczego innego, jak złoić cię za brak ostrzeżenia przed tym, co może mi zrobić suriel. Ale rozumiem: jestem ludzką kobietą, która zabiła twojego przyjaciela, która do tego teraz mieszka z tobą pod jednym dachem i z którą musisz się użerać. Rozumiem.

Milczał tak długo, że zaczęłam już podejrzewać, iż nie powie nic więcej. Odezwał się dopiero, gdy właśnie spinałam konia, by dołączyć do Tamlina.

– Tam powiedział mi, że pierwszą strzałą uratowałaś życie suriela, nie własne.

– Uznałam, że tak należy.

Przyjrzał mi się z zaciekawieniem większym niż kiedykolwiek wcześniej.

– Znam zdecydowanie zbyt wielu fae, zarówno wysokiego rodu, jak i pomniejszych,



którzy by tak nie uznali. Którzy nawet przez chwilę nie zaprzętałiby sobie głowy myślą, że może warto byłoby uwolnić suriela.

Sięgnął po coś zamocowanego przy drugim boku, po czym rzucił w moją stronę. Udało mi się chwycić lecący przedmiot, ale zachwiałam się i przez chwilę walczyłam o utrzymanie się w siodle. Gdy złapałam równowagę, przyjrzałam się temu, co trzymałam w dłoni. Był to wysadzany klejnotami nóż myśliwski.

– Słyszałem twój krzyk – powiedział, gdy przyglądałam się broni. Nigdy wcześniej nie widziałam noża tak kunsztownej roboty i do tego tak doskonale wyważonego. – I zawahałem się. Tylko na chwilę, ale zawahałem się, zanim zacząłem biec. Chociaż Tam zdążył przede mną i ocalił cię, nie zmienia to faktu, że w tych kilku sekundach zawahania złamałem obietnicę. – Wskazał brodą nóż. – Jest twój. Tylko proszę, nie wbij mi go w plecy.

## Rozdział 19

Następnego ranka dotarły farby i akcesoria malarskie dla mnie. Nie udało mi się ustalić, skąd je sprowadzali. Zanim jednak Tamlin mi je pokazał, poprowadził mnie długim korytarzem do skrzydła, w którym nie byłam jeszcze ani razu, nawet podczas moich nocnych eskapad. Nie chciał zdradzić celu tej wędrówki, ale nietrudno było się tego domyśleć. Marmurowa posadzka lśniła czystością, zatem służba musiała ją niedawno wymyć. Wszystkie okna były otwarte na oścież i z ogrodu wpadał lekki powiew wiatru niosący delikatną woń róż. Wszystko to zrobił dla mnie. Tak jakby przeszkadzały mi pajęczyny czy kurz.

Gdy zatrzymał się na chwilę przed podwójnymi drewnianymi drzwiami i uśmiechnął, nie wytrzymałam i wypaliłam:

– Dlaczego zrobiłeś... Dlaczego kazałeś to wszystko zrobić?

Jego uśmiech zniknął.

– Od wielu lat nie było w tym domu nikogo, kto mógłby docenić to, co się znajduje za tymi drzwiami. Cieszę się, że te zbiory ponownie sprawią komuś przyjemność.

Zwłaszcza gdy w każdej innej dziedzinie jego życia było tyle krwi i śmierci.

Otworzył drzwi do galerii. Gdy zobaczyłam, co się za nimi kryje, zaniemówiłam z wrażenia.

Jaskrawe światło słońca wlewające się przez okna padało na jasne deski podłogi. W pomieszczeniu nie było właściwie mebli poza kilkoma głębokimi fotelami i ławami, na których można było przysiąść, aby podziwiać... podziwiać...

Niewiele myśląc, weszłam do długiej sali, jedną dłoń bezwiednie zaciskając na szyi, i przyglądałam się obrazom.

Tak wiele tak różnych dzieł powieszonych w taki sposób, że wszystkie sąsiadujące obrazy pasowały do siebie nawzajem. Tak wiele różnych ujęć i spojrzeń na świat. Sceny rodzajowe, portrety, martwe natury... Każdy obraz coś opowiadał, obejrzenie każdego pozostawiało niepowtarzalne przeżycia. Każdy był głosem krzyczącym, szepczącym lub śpiewającym o chwili, o uczuciu. O przeszłości. Każdy wołał w bezkres czasu, że jest jej niemym świadkiem. Niektóre zostały namalowane przez osoby patrzące na świat tak jak ja – widzące rzeczywistość jako plamy barw i kształtów. W innych malarze wykorzystali kolory, które mi nigdy nie przyszły do głowy: ci widzieli świat zupełnie inaczej niż ja. Malowidła stanowiły bramy do umysłów stworzeń tak ode mnie różnych, a jednocześnie... A jednocześnie patrząc na nie, rozumiałam i czułam, co autorzy chcieli przekazać.

– Nigdy nie sądziłem – powiedział stojący cały czas przy drzwiach Tamlin – że ludzie są zdolni...

Urwał, gdy obróciłam się do niego. Dłoń, którą dotąd zaciskałam na szyi, zsunęła się niżej, nad serce łomoczące z dziką rozkoszą, głębokim żalem i obezwładniającą pokorą – pokorą wobec tak wspaniałej sztuki.

Książę fae stał przy drzwiach z głową przechyloną na bok w ten swój zwierzęcy sposób, ze słowami zamarłymi na ustach.

Wytarłam wierzchem dłoni wilgotne od łez wzruszenia policzki.

– To jest... – Cokolwiek mogłabym teraz powiedzieć: wspaniałe, cudowne, przekraczające moje najśmielsze marzenia, wydawało się nieadekwatne, nie oddawało w pełni mojego zachwytu. Stałam przez chwilę z ręką przyciśniętą do serca. – Dziękuję – powiedziałam w końcu, bo nie potrafiłam znaleźć żadnego innego sposobu na przekazanie mu, jak wiele dla mnie znaczyła możliwość obejrzenia tych obrazów.

– Możesz tu przychodzić, kiedykolwiek zechcesz.

Uśmiechnęłam się do niego, ledwo panując nad rozpierającą mnie radością. Odpowiedział uśmiechem nieco powściągliwym, lecz promiennym, po czym pozostawił mnie samą w galerii, abym mogła w spokoju obcować ze zgromadzonymi w niej obrazami.

Spędziłam tam wiele godzin, upajając się sztuką. Kiedy z głodu zaczęło mi się kręcić w głowie, wyruszyłam na poszukiwanie jedzenia.

Po zjedzeniu drugiego śniadania Alis zaprowadziła mnie do nieużywanej komnaty na pierwszym piętrze. Wewnątrz stała tylko sztaluga i stół założony płótnami różnych rozmiarów, pędzlami o wypolerowanych drewnianych rączkach i farbami w niezliczonych odcieniach. Tak wiele farb... Liczyłam na cztery podstawowe kolory, a dostałam... Drugi raz tego dnia zaniemówiłam z wrażenia.

Gdy Alis wróciła do swoich obowiązków, zostałam sama w ciszy pustej komnaty...

Zaczęłam malować.

\*\*\*

Mijały tygodnie, kolejne dni zlewały się ze sobą. Malowałam, malowałam i malowałam, choć większość moich „dzieł” była brzydka i bezużyteczna.

Nie pozwoliłam nikomu ich obejrzeć, chociaż Tamlin ciągle nalegał, a Lucien uśmiechał się ironicznie na widok moich poplamionych farbami ubrań. Ani razu nie poczułam satysfakcji z rezultatu mojej pracy. Ani razu farby nałożone na płótno nie dorównywały obrazom kłębiącym się w moich myślach. Często malowałam od świtu aż do zmierzchu. Czasem w komnacie, czasem w ogrodzie. Co pewien czas robiłam sobie przerwę na zwiedzanie ziem Dworu Wiosny razem z Tamlinem. Z każdej takiej wyprawy wracałam z nowymi pomysłami, które powoli dojrzewały i nie raz kazały mi wyskakiwać z łóżka o dziwnych porach, żeby naszkicować na czymkolwiek coś, co właśnie ujrzałam we śnie.

Były też dni, kiedy Tamlin musiał wyruszać na obrzeża swoich ziem, aby rozwiązywać coraz to nowe problemy. Wtedy nawet malowanie nie mogło odwrócić moich myśli od jego bezpieczeństwa. Nie mogłam się na niczym skupić, dopóki nie wrócił – czasem w postaci zwierzęcej, czasem w ludzkiej – ale za każdym razem umazany krwią, cudzą krwią. Nigdy nie zdradzał szczegółów swoich wypraw, a ja nie nalegałam, aby o nich opowiadał. Wystarczał mi jego bezpieczny powrót.

W bezpośrednim otoczeniu rezydencji nie pojawiały się istoty podobne nagom lub bogge’owi, ale mimo to trzymałam się z dala od zachodniej kniei (za to często malowałam ją z pamięci). W snach wciąż dręczyły mnie sceny śmierci – spowodowanych przeze mnie, ale też wizja tej przerażającej bladej kobiety rozrywającej mnie na strzępy. Śniłam, że byłam ich świadkiem i zawsze przypatrywał się im tajemniczy cień, któremu jednak ja sama nigdy nie zdołałam się dobrze przyjrzeć. Mimo tych koszmarów powoli opanowywałam swój lęk. „Trzymaj się księcia. Przy nim będziesz bezpieczna”. Zatem trzymałam się jego boku.

Ziemie Dworu Wiosny składały się z łagodnych zielonych pagórków, gęstych lasów i krystalicznie czystych, głębokich jezior. Magia nie kryła się tu po kątach i w różnych zakamarkach – wydawało się, że wszędzie wręcz bujnie się krzewiła. Jakkolwiek bym się starała, nie potrafiłam jej namalować – ani nawet poczuć. Czasem znajdowałam w sobie dość śmiałości, aby namalować Tamlina, wspaniałego księcia jadącego koło mnie podczas naszych przejażdżek w spokojniejsze dni; księcia, z którym z przyjemnością rozmawiałam długie godziny lub z którym równie długie godziny milczałam.

Najpewniej moje myśli mgliła uspokajająca magia. Ani razu nie pomyślałam o rodzinie... Aż do pewnego dnia, kiedy minęłam zewnętrzne żywopłoty w poszukiwaniu nowego miejsca na

rozstawienie sztalugi. Południowy wiatr potargał mi włosy, owiewając mnie ciepłym, świeżym powietrzem. W krainach śmiertelników zaczynała się wiosna.

Moja rodzina – z zaczarowanymi wspomnieniami, zadbana, bezpieczna – wciąż nie wiedziała, gdzie naprawdę jestem. Krainy śmiertelników... Tam życie toczyło się dalej, już beze mnie, tak jakby nigdy mnie tam nie było. Szept przypominający nędzne życie – zaginiona, niewspominana przez nikogo, kogo znałam lub na kim mi zależało.

Tego dnia nic nie namalowałam ani nie wybrałam się na przejażdżkę z Tamlinem. Siedziałam przed czystym płótnem, z myślami wypranymi z wszelkich kolorów.

W domu nikt o mnie nie pamiętał. Dla nich równie dobrze mogłam nie żyć. A Tamlin pozwolił mi zapomnieć o nich. Może te farby, pędzle i płótna miały odwrócić moją uwagę od dawnego życia. Może chciał w ten sposób ukrócić moje narzekanie i nagabywanie, by pozwolił mi zobaczyć swoją rodzinę. A może miały odwrócić moją uwagę od magicznej plagi i tego, co się działo z Prythianem. Zgodnie z przestrogą suriela przestałam o to pytać. Tak jak tego oczekiwano od głupiej, bezużytecznej i posłusznej człeczyny.

Z ledwością wytrzymałam całą wieczerzę. Tamlin i Lucien zauważyli mój nastrój i rozmawiali tylko między sobą. Nie pomogło to w okiełznaniu wzbierającej we mnie wściekłości... Gdy skończyłam jeść, wyszłam do skąpanego w blasku księżyca ogrodu i krążyłam bez celu po labiryncie żywopłotów i klombów.

Nie dbałam o to, gdzie idę. Po pewnym czasie zatrzymałam się w partii ogrodu, w której hodowano róże. Promienie księżyca barwiły czerwone płatki kwiatów na głęboki fiolet, a białe posrebrzały.

– Ojciec kazał założyć tę część ogrodu dla mojej matki – powiedział zza moich pleców Tamlin. Nie obróciłam się, aby na niego spojrzeć. Gdy stanął obok mnie, wbiłam paznokcie mocno w skórę dłoni. – To był prezent godowy dla niej.

Patrzyłam na róże, tak naprawdę ich nie dostrzegając. Po kwiatkach, które namalowałam na stole w naszej chacie, zapewne nie zostało już ani śladu. Może nawet Nesta sama pracowicie je zdrapała.

Paznokcie zaczęły przebijać skórę. Niezależnie od tego, czy Tamlin naprawdę o nich zadbał, czy istotnie zaczarował ich wspomnienia, zostałam... wymazana z ich życia. Zapomniana. Pozwoliłam mu wymazać mnie z życia mojej rodziny. Podarował mi farby oraz miejsce i czas na malowanie. Pokazał mi staw wypełniony światłem gwiazd. Ocalił mi życie niczym jakiś dziki rycerz prosto z legend. A ja to wszystko przełknęłam jak haust zaczarowanego wina. Nie byłam lepsza od tych fanatycznych Dzieci Błogosławionych.

W półmroku ogrodu jego maska sprawiała wrażenie wykonanej z brązu. Światło księżyca lśniło na osadzonych w niej szmaragdach.

– Wydajesz się... roztrzęsiona.

Podeszłam do najbliższego krzewu i zerwałam kwiat, kalecząc palce o kolce. Zignorowałam ból i ciepłą krew skapującą na ziemię. Nigdy nie potrafiłam poprawnie namalować róż; nigdy nie zdołałam oddać ich piękna tak, jak zrobili to autorzy obrazów wiszących w galerii. Nigdy nie będę potrafiła namalować małego ogródka Elainy takim, jakim go zapamiętałam, choć moja rodzina nie pamiętała już nawet o mnie.

Nie skarcił mnie za zerwanie róży w ogrodzie jego rodziców – rodziców równie nieobecnych jak moi, ale zapewne kochających siebie i jego bardziej niż moi mnie. Rodziców, którzy poszliby zamiast niego, gdyby przybył do nich ktoś chcący go wykraść.

Palce szczypały i bolały, ale nie wypuszczałam róży z dłoni.

– Nie wiem, dlaczego tak strasznie mi wstyd, że ich zostawiłam. Dlaczego malując, czuję się, jakbym robiła coś samolubnego i okropnego. Nie powinnam... Nie powinnam się tak czuć,

prawda? Wiem, że nie powinnam... Ale nie potrafię przed tym uciec. – Róża wisiała markotnie między moimi palcami. – Po tych wszystkich latach... Po tym wszystkim, co dla nich zrobiłam... Nawet nie spróbowali powstrzymać cię, gdy przyszedłeś mnie zabrać. – Oto i on: ból rozdzierający mnie na dwoje, kiedy zbyt długo o tym myślałam. – Nie wiem, dlaczego spodziewałam się po nich czegoś innego... Dlaczego uwierzyłam w iluzję puki. Nie wiem, dlaczego w ogóle wciąż o tym myślę. Dlaczego wciąż mnie to obchodzi. – Tamlin milczał, więc dodałam: – W porównaniu z tym, co ty przechodzisz, co musisz robić na granicach swoich ziem, co się dzieje z magią, moje użalanie się nad sobą musi brzmieć dość absurdalnie.

– Jeśli cię to dręczy – powiedział głosem, od którego ciepło rozlało się po moich kościach – to bynajmniej nie uważam, żeby to było absurdalne.

– Dlaczego? – Proste pytanie. Cisnęłam różę między krzewy.

Ujął mnie za dłonie, po czym uniósł delikatnie poranione palce do ust i pocałował je. Tak jakby to miało wystarczyć za odpowiedź.

Miękki dotyk jego ust i ciepło jego oddechu sprawiły, że gdy uniósł i pocałował także moją drugą dłoń, kolana się pode mną ugięły, a w samym środku mnie, w miejscu między nogami, zaczął pulsować żar.

Gdy odjął moje dłonie od ust, krople krwi zaślśniły na jego wargach. Spojrzałam na swoje palce, wciąż tkwiące w jego uścisku, i nie dostrzegłam ani śladu po ranach. Uniosłam wzrok z powrotem na jego twarz, na tę dziwną maskę, na jego opaloną skórę, na czerwień pokrywającą jego usta...

– Nie wstydź się nawet przez chwilę robienia tego, co przynosi ci radość – wymruczał.

Przysunął się do mnie i puścił jedną z moich dłoni, aby włożyć mi za ucho zerwaną przeze mnie różę. Nie wiedziałam, w jaki sposób znalazła się w jego ręce ani gdzie się podziały kolce.

Nie mogłam się powstrzymać i odepchnęłam go lekko.

– Dlaczego... Dlaczego to robisz?

Nachylił się tak blisko, że musiałam odchylić głowę, żeby spojrzeć mu w oczy.

– Ponieważ twoja ludzka radość mnie fascynuje. Sposób, w jaki doświadczasz nowych rzeczy. Przy twoim krótkim życiu wchłaniasz nowe doświadczenia tak szaleńczo i tak głęboko, wszystko naraz. To jest... porywające. Pociąga mnie to, chociaż wiem, że nie powinno. Nawet gdy próbuję z tym walczyć.

Ponieważ byłam człowiekiem i się zestarzeję, i... Zganiłam się w myślach, nie pozwalając sobie zabrnąć tak daleko. Tamlin zbliżył się jeszcze bardziej. Powoli, jakby chciał dać mi czas, abym go odepchnęła, gdybym tylko chciała. A potem złożył pocałunek na moim policzku. Miękki, ciepły i ujmująco delikatny, w zasadzie niewiele więcej ponad lekkie muśnięcie. Zaraz potem się wyprostował. Od chwili, gdy jego usta dotknęły mojej twarzy, nawet nie drgnęłam.

– Kiedyś... Pewnego dnia poznamy odpowiedzi na wszystkie nasze pytania – powiedział, puszczając moją drugą dłoń i cofając się o krok. – Ale musi nastać odpowiedni czas. Najpierw musi być bezpiecznie. – W ciemności sam ton jego głosu wystarczył, abym odgadła, że w jego oczach gości teraz gorycz.

Zostawił mnie oniemiałą i oddalił się w stronę rezydencji. Nabrałam ze świstem powietrza. Nie zdawałam sobie sprawy, że od jakiegoś czasu wstrzymywałam oddech.

Nie zdawałam sobie sprawy, że pragnę jego ciepła, jego bliskości. Dopóki nie odszedł w noc.

\*\*\*

Wciąż okrutnie zawstydzona swoim wyznaniem i tym, co się zmieniło między nami,

wymknęłam się z domu zaraz po śniadaniu i ruszyłam w stronę lasu, żeby poszukać odrobiny wytchnienia i przyjrzeć się grze światła i barw. Zabrałam ze sobą łuk i strzały, a także otrzymany od Luciena nóż myśliwski. Lepiej było pójść przygotowaną na najgorsze, niż dać się złapać bez broni.

Przedzierałam się między krzewami i gałęziami przez niespełną godzinę, kiedy nagle poczułam za plecami czyjąś obecność. Ktoś za mną szedł, płosząc zwierzęta. Uśmiechnęłam się do siebie i szłam dalej, jak gdyby nigdy nic. Dwadzieścia minut później ukryłam się w zagięciu olbrzymiego wiązu i czekałam.

Krzaki zaszeleściły lekko, jakby poruszone wiatrem, ale ja wiedziałam, czego się spodziewać. Doskonale potrafiłam rozpoznać znaki.

Trzasnęła gałąź i chwilę potem lasem wstrząsnął dziki ryk, płosząc wszystkie ptaki w okolicy.

Zeskoczyłam z drzewa i cofnęłam się na niewielką polankę. Stałam ze skrzyżowanymi na piersi ramionami i spojrzałam w górę na księcia fae dyndającego głową w dół z nogami uwięzionymi w zastawionej przeze mnie pułapce.

Pomimo swojego położenia uśmiechnął się do mnie.

– Typowo ludzkie okrucieństwo.

– Tak kończą ci, którzy próbują mnie śledzić.

W odpowiedzi tylko zachichotał. Zbliżyłam się na tyle, żeby móc dotknąć palcem jedwabistych złotych włosów wiszących tuż nad moją głową. Podziwiałam mnogość kryjących się w nich odcieni żółci i brązów. Serce łomotało mi w piersi tak mocno, że zapewne je słyszał. Przechylił głowę w moją stronę w geście niemego przyzwolenia. Delikatnie i ostrożnie przeczesалаm palcami jego włosy. Zamruczał w sposób, od którego mrowienie rozeszło się po moich palcach, ramionach, nogach, aż dotarło do samego rdzenia. Zastanowiłam się, jakie to byłoby uczucie, gdyby tak zamruczał przyciśnięty do mnie całym ciałem, skóra do skóry. Cofnęłam się o krok.

Płynnym ruchem wygiął plecy i jednym pazurem przeciął pnącza, które posłużyły mi za linę. Już chciałam krzyknąć, bojąc się, że spadnie na głowę, ale on obrócił się zwinnie w powietrzu i wylądował miękko na nogach. Nie pozwalał zapomnieć, kim był i do czego był zdolny. Zbliżył się do mnie z rozbawieniem wciąż malującym się na twarzy.

– Dziś lepiej się czujesz?

Wymamrotałam w odpowiedzi coś nieartykułowanego.

– To dobrze – odparł. Albo całkowicie zignorował, że właściwie mu nie odpowiedziałam, albo powiedział to, żeby nie roześmiać mi się w twarz. – Ale na wszelki wypadek chciałbym ci dać to – dodał, po czym wydobyl zza pazuchy kilka kartek.

Przygryzłam wargi i wpatrywałam się niepewnie w oferowane trzy arkusze papieru. Znajdowały się na nich pięciowersowe... wiersze! Było ich łącznie pięć, przy czym części słów nie byłam w stanie rozczytać. Przeczytanie tych wierszy zajęłoby mi chyba resztę dnia.

– Zanim rzucisz się do ucieczki albo zaczniesz krzyczeć... – powiedział, obchodząc mnie dokoła i zerkając na kartki ponad moim ramieniem. Gdybym tylko znalazła w sobie dość śmiałości, oparłabym się plecami o jego pierś. Jego oddech ogrzewał mi kark i ucho.

Odchrząknął i przeczytał na głos pierwszy wiersz.

*Była niegdyś piękna pani*

*O animuszu wielkim, acz dość niezwykłym*

*Choć liczni wyznawali miłość*

*Żaden przyjaźni jej nie zdobył,*

*Gdyż wszystkich odprawiała z kwitkiem*

Uniosłam brwi tak wysoko, że chyba przewędrowały całe moje czoło. Odwróciłam się i spojrzałam na niego, intensywnie mrugając. Nasze oddechy zmieszały się, gdy kończył czytać z uśmiechem na twarzy.

Nie czekając na moją reakcję, Tamlin odebrał mi wiersze i cofnął się o krok, po czym przeczytał drugi wiersz, który był zdecydowanie bardziej bezpośredni od pierwszego. Gdy dotarł do końca trzeciego, cała twarz płonęła mi już rumieńcem. Tamlin zawahał się przed czwartym tekstem, po czym oddał mi kartki.

– Ostatnie słowo w drugim i czwartym wersie każdego wiersza – powiedział, wskazując brodą zapisane arkusze.

„Niezwykły”, „zdobył”. Spojrzałam na drugi wiersz. „Zgładzić”, „pożoga”.

– To są...

– Twoja lista słów była zbyt ciekawa, aby przejść nad nią do porządku dziennego. A same słowa zupełnie nie przystawały do miłosnych poematów. – Gdy uniosłam brew w zdziwieniu, dodał: – Kiedy wędrowałem razem z oddziałem ojca wzdłuż granicy, urządzaliśmy konkursy na najbardziej sprośne limeryki. Nie lubię przegrywać, więc postawiłem sobie za punkt honoru opanować tę sztukę do perfekcji.

Nie wiedziałam, w jaki sposób zapamiętał wszystkie wynotowane przeze mnie słowa przez tę krótką chwilę, kiedy widział moją listę. I chyba nie chciałam się tego dowiedzieć. Widząc, że nie przymierzam się do doborcia strzały z kołczanu i strzelenia do niego, Tamlin ponownie odebrał mi kartki i przeczytał ostatni wiersz: najbardziej sprośny i bezpośredni ze wszystkich pięciu.

Kiedy skończył, odchyliłam głowę w tył i zawylałam, a mój głośny śmiech był niczym promienie słońca topiące nagromadzony przez wiele wieków lód.

\*\*\*

Uśmiech nie zniknął z mojej twarzy ani na chwilę, kiedy szliśmy przez las, a potem po trawiastych pagórkach w stronę rezydencji.

– Powiedziałeś... Wtedy w ogrodzie różanym... – Przygryzłam wargi. – Powiedziałeś, że twój ojciec zasadził go dla twojej matki jako prezent godowy. Nie ślubny?

– Fae wysokiego rodu najczęściej biorą ślub – odparł. Jego złocista skóra oblała się lekkim rumieńcem. – Jeśli jednak zostaną pobłogosławieni przez los, znajdują towarzysza godnego odprawienia rytuału godowego. Bratnią duszę, kogoś dorównującego im pod każdym względem. Małżeństwa fae wysokiego rodu zazwyczaj są zawierane bez więzi godowej. Jeśli jednak uda się znaleźć tę bratnią duszę, tworzy się tak silna więź, że małżeństwo...

W porównaniu z nią staje się czymś zupełnie nieistotnym.

Nie odważyłam się zapytać, czy fae wytwarzały kiedykolwiek więzi godowe z ludźmi. Zamiast tego spytałam:

– Gdzie są twoi rodzice? Co się z nimi stało?

Twarz mu stężała i momentalnie pożałowałam, że się odezwałam, choćby ze względu na cień bólu w jego oczach.

– Mój ojciec... – Czubki pazurów załśniły na jego palcach, ale nie wysunęły się bardziej. Zdecydowanie przesadziłam. – Mój ojciec był równie zły, co ojciec Luciena. A nawet gorszy. Moi dwaj starsi bracia całkowicie się w niego wrodzili. Trzymali licznych niewolników. Wszyscy trzej. Byłem młody, kiedy zawarto Traktat, ale wciąż pamiętam, co moi bracia robili... – Przez chwilę wydawał się lekko nieobecny. – Tamte czasy pozostawiły na mnie swoje piętno. Wystarczająco bolesne, że kiedy zobaczyłem ciebie, waszą chatę, nie mogłem... Nie mogłem sobie pozwolić na pójsie w ich ślady. Postanowiłem, że nie skrzywdzę twojej rodziny ani ciebie i że nie wystawię cię na kaprysy innych fae.

Niewolnicy... Na tych ziemiach trzymano niewolników! Nie chciałam tego wiedzieć. Nigdy nie szukałam żadnych śladów, choć mało prawdopodobne, że jakieś się zachowały – wszak minęło już pięćset lat. Tak czy inaczej, dla jego ludu, dla tego świata znaczyłam niewiele więcej niż kolejna pozycja w spisie inwentarza. To dlatego zaoferował mi inne wyjście: pozwolił zamieszkać w dowolnie wybranej części Prythianu. Wiedział doskonale, że nie jest to żadna alternatywa.

– Dziękuję – powiedziałam. Wzruszył lekceważąco ramionami. Poczucie winy wciąż musiało mu niezmiernie ciążyć. – A twoja matka?

Tamlin westchnął.

– Moja matka była zakochana w moim ojcu. Kochała go wręcz zbyt mocno, no ale łączyła ich więź godowa i... Nawet jeśli dostrzegą, jakim był tyranem, nigdy nie powiedziała o nim złego słowa. Nigdy nie oczekiwałem, że odziedziczę tytuł po moim ojcu, i nigdy tego nie chciałem. Gdyby nie to, moi bracia nie pozwoliliby mi dożyć pełnoletniości. Zatem gdy tylko wystarczająco odrosłem od ziemi, dołączyłem do oddziału ojca, abym mógł mu któregoś dnia służyć. Jemu albo temu z moich braci, który zostałby jego następcą. – Kilkakrotnie zgiął i rozprostował palce obu dłoni, tak jakby czuł pod skórą wysuwające się pazury. – Bardzo szybko pojąłem, że na dłuższą metę nadaję się tylko do dwóch rzeczy: walki i zabijania.

– Nie wierzę w to – powiedziałam.

Posłał mi skwaszony uśmiech.

– Och, umiem całkiem nieźle grać na skrzypkach, ale książęcy synowie nie zostają wędrownymi grajkami. Zatem ćwiczyłem i walczyłem dla mojego ojca z każdym, z kim kazał mi walczyć. I z prawdziwą przyjemnością zostawiłbym wszystkie knowania braciom. Niestety, moja moc rosła, a ja nie mogłem tego ukryć. Nie wśród innych fae. – Pokręcił głową. – Na szczęście czy nieszczęście całą moją rodzinę zabił książę wrogiego dworu. Mnie jednego oszczędził z nieznanego mi powodu. Może Kocioł zdecydował się obdarzyć mnie tamtego dnia swoją łaską. Po matce nosiłem żałobę. Co do ojca i braci... – Szttywno wzruszył ramionami. – Moi rodzeni bracia nie próbowaliby ocalić mnie od losu podobnego twojemu.

Spojrzałam na niego. Żył w tak brutalnym i surowym świecie. Świecie, w którym całe rodziny zabijały się nawzajem w pogoni za władzą, z zemsty, ze złościwości lub z czystego wyrachowania. Może jego hojność i dobroć to reakcja obronna? Może spojrzał mi w oczy i dostrzegł odbicie swojej duszy?

– Przykro mi z powodu twojej matki – szepnęłam. Mogłam zrobić tylko tyle, mogłam powiedzieć tylko to, co on powiedział kiedyś mnie. Uśmiechnął się słabo. – A więc tak zostałeś księciem.

– Większość książęcych następców jest uczona od urodzenia dworskich manier, prawa i dyplomacji. Gdy tytuł przypadł mnie... Ciężko mi było się przystosować. Wielu dworzan



mojego ojca wołało odejść na inne dwory niż znosić powarkiwanie półdzikiego wojownika.

Nesta nazwała mnie kiedyś półdzikiem zwierzęciem. Z trudem powstrzymałam się od uściśnięcia jego dłoni, od przytulenia go i zapewnienia, że doskonale go rozumiem. Zamiast tego powiedziałam:

– Zatem to głupcy. Chronisz te ziemie przed plagą lepiej niż inni, jak wnoszę po sytuacji na granicy. To głupcy.

W oczach Tamlina mignął jakiś złowrogi cień, a on sam ledwo zauważalnie się zgarbił. Zanim zdążyłam zapytać, co go gnębi, minęliśmy mały zagajnik i dotarliśmy do ostatniej partii pagórków ciągnącej się aż do samej rezydencji. Na wielu szczytach zamaskowani fae przygotowywali stosy drewna.

– Co oni robią? – zapytałam, zatrzymując się.

– Przygotowują ogień na Calanmai. To już za dwa dni.

– Na co?

– Noc Ognia.

Pokręciłam głową.

– W krainach ludzi nie obchodzi się już świąt, odkąd... Odkąd twój lud odszedł.

W niektórych miejscach jest to wręcz zakazane. Nawet nie pamiętamy imion waszych bogów. Z jakiej okazji obchodzi się Cala... Noc Ognia?

Potań szyć.

– To tylko święto z okazji nadejścia wiosny. Rozpalamy ogniska i... magia, którą tworzymy, pomaga ziemi zregenerować się na nadchodzący rok.

– W jaki sposób tworzycie magię?

– Mamy odpowiedni rytuał, ale jest on... Bardzo specyficzny. – Zaciśnął zęby i ruszył dalej, obierając taką drogę, aby ominąć przygotowywane ogniska. – W najbliższych dniach możesz widzieć więcej fae niż zwykle. Fae z tego dworu, ale też z innych krain. Tej nocy wszyscy mogą swobodnie przekraczać granicę.

– Sądziłam, że wielu z nich odstraszyła plaga.

– Tak było, ale i tak przybędą licznie. Po prostu... Trzymaj się od nich wszystkich z daleka. W domu będziesz bezpieczna, a jeśli natkniesz się na jednego z gości, zanim rozpalimy ogień o zachodzie słońca za dwa dni, zignoruj go.

– Nie zaprosisz mnie na to święto?

– Nie. – Znowu raz za razem zginał i prostował palce, tak jakby chciał powstrzymać wysuwające się pazury.

Chociaż próbowałam nie zwracać na to uwagi, zrobiło mi się przykro.

Szliśmy w stronę rezydencji w pełnym napięcia milczeniu, jakiego między nami nie było od wielu tygodni.

Gdy tylko wkroczyliśmy do ogrodów, Tamlin cały zeszywniał. Nie ze względu na mnie czy na naszą niedawną rozmowę. Też to poczułam; wokół panowała absolutna cisza i ten okropny bezruch, który zwykle towarzyszył pojawieniu się jednego z mniej przyjemnych fae. Tamlin obnażył zęby i warknął gardłowo.

– Schowaj się i nie wychodź z ukrycia. Niezależnie od tego, co usłyszysz, nie wychodź z ukrycia.

Chwilę później już go nie było.

Zostałam sama. Spojrzałam w jedną, potem w drugą stronę wzdłuż zwirowej ścieżki. Musiałam wyglądać jak ktoś niespełna rozumu. Jeśli coś się istotnie czaiło w okolicy, nie mogłam zostać na widoku. Może postępowalam brzydko, nie ruszając mu z pomocą, ale... Jak niby miałam mu pomóc? W końcu był księciem fae. Tylko bym mu przeszkadzała.

Ledwo zdążyłam się schować za żywopłotem, kiedy usłyszałam zbliżające się kroki. Wyrzałam ukradkiem i zobaczyłam nadchodzących Tamlina i Luciena. Zakłęłam pod nosem i zamarłam w ukryciu. Może uda mi się przekraść przez pola do stajni? Jeśli faktycznie było jakieś zagrożenie, w stajniach znajdę nie tylko schronienie, ale też konia, na którym w razie czego będę mogła uciec. Już miałam zanurzyć się między źdźbła wysokiej trawy rosnącej ledwie kilka kroków od granicy ogrodu, kiedy z drugiej strony żywopłotu dobiegło wściekle warknięcie Tamlina.

Odwróciłam się i spojrzałam między gęstymi gałązkami. Powiedział, żebym nie wychodziła z ukrycia. Jeśli teraz się ruszę, na pewno mnie zauważą. Nie miałam więc innego wyjścia.

– Wiem, jaki jest dziś dzień – powiedział Tamlin, ale wyraźnie nie do Luciena. Obaj stali zwrócenieni w stronę... Niczego. Zdawali się patrzeć na kogoś, kogo tam nie było, na niewidzialnego przybysza.

Pomyślałam pewnie, że się ze mnie naigrawają, gdybym chwilę potem nie usłyszała cichego, dobiegającego z powietrza głosu:

– Twoje zachowanie w ostatnich tygodniach jest coraz częściej tematem rozmów na dworze – wysyczał basowo głos. Mimo ciepłego dnia od tego dźwięku przeszły mnie zimne dreszcze. – Zaczęła się zastanawiać... zastanawiać, dlaczego jeszcze nie dałeś za wygraną. I dlaczego nie tak dawno temu cztery nagi padły trupem.

– Nie porównuj Tamlina do jakichś głupców – wypalił Lucien, wypinając pierś i prostując się hardo. W tej chwili wyglądał bardzo wojowniczo; zdecydowanie bardziej niż przez te wszystkie dni, odkąd go poznałam. Może więc ta cała broń w jego komnacie nie stanowiła tylko gustownej kolekcji... – Jeśli oczekiwała zgiętych karków, to jest głupsza, niż sądziłem.

Głos zasyczał nieprzyjemnie, mroząc mi krew w żyłach.

– Śmiesz tak otwarcie ubliżać tej, w której rękach spoczywa twój los? Jedno słowo, wystarczyłoby jej jedno słowo, aby obrócić tę nędzną rudę w perzynę. Nie była zadowolona, gdy doszły jej uszu wieści o tym, jak potraktowałeś jej wojowników. – Głos zdawał się teraz zwracać ponownie do Tamlina. – Ale ponieważ nic więcej z tego nie wynikło, postanowiła to zająć zignorować.

Tamlin zawarczał groźnie, ale po chwili przemówił spokojnie:

– Powiedz jej, że mam już dość sprzątanego śmieci, które wyrzuca przy granicy moich włości.

Głos zachichotał. Dźwięk przypominał przesypywanie piasku.

– Uwalnia te istoty jako podarunki dla ciebie. A także po to, żebyś nie zapomniał, co cię czeka, jeśli przyłapie cię na naruszaniu warunków...

– Nikt tu niczego nie narusza – odparował Lucien. – A teraz wynocha. Dość mamy tobie podobnych na granicach. Nie musisz do tego plugawić naszego domu. A skoro już przy tym jesteśmy, to nawet się nie zbliżaj do jaskini. To nie jest publiczny gościniec, którym takie śmieci jak ty mogą do woli podróżować.

Tamlin warknął potwierdzająco.

Niewidzialny stwór ponownie się zaśmiał. Ależ był to okropny, przeraźliwy dźwięk!

– Chociaż serce masz z kamienia, Tamlinie – powiedział głos. Tamlin stęzał – to zdecydowanie masz w nim też wiele lęku. – Głos jakby przycichł. – Nie martw się, książę – rzucił tonem wypranym z jakiegokolwiek szacunku. – Wkrótce wszystko będzie jasne jak słońce.

– Bodajbyś szczeł – odparł Lucien, zanim Tamlin zdołał cokolwiek powiedzieć.

Niewidoczna postać raz jeszcze wybuchnęła śmiechem, po czym rozległ się odgłos skórzastych skrzydeł bijących o powietrze i poczułam silny, odrażający smród. Chwilę potem znów zaległa

cisza.

Przez pewien czas obaj towarzysze tylko głęboko oddychali. Zamknęłam oczy, również starając się uspokoić oddech. Wtem czyjeś potężne dłonie zacisnęły się na moich ramionach! Wrzasnęłam.

– Już go nie ma – powiedział Tamlin, puszczając mnie. Zachwiałam się, ale szczęśliwie zdołałam utrzymać równowagę.

– Co słyszałaś? – zapytał ostro Lucien, wychodząc zza żywopłotu ze skrzyżowanymi ramionami.

Spojrzałam na twarz Tamlina. Tak mocno pobladł ze złości – ale chyba złości na tę istotę, nie na mnie – że musiałam odwrócić wzrok. Napotkałam spojrzenie Luciena.

– Nic. Ja... No dobrze: nic, co bym zrozumiała – powiedziałam. I nie skłamałam. Naprawdę nic nie zrozumiałam z całej tej rozmowy. Do tego nie mogłam przestać dygotać. W głosie tego stworzenia było coś, co wyssało ze mnie całe ciepło. – Kto... Co to było?

Tamlin zaczął chodzić w tę i z powrotem, chrzęszcząc butami na żwirze.

– W Prythianie występują pewne fae, które odpowiadają za te wszystkie straszne opowieści, jakie o nas powtarzacie. Niektóre istoty, takie jak ta, stanowią wręcz ucieleśnienie tych podań.

W tym syczącym głosie słyszałam krzyki cierpiących ludzi, młodych dziewczec błądzących o litość na chwilę przed tym, jak noże wbijały się w ich ciała i krew tryskała na kamienny ołtarz. Stwór wspominał jakiś dwór, na którym panowały chyba inne obyczaje niż w rezydencji Tamlina. Czy ta „ona” była tą, która zabiła rodziców księcia? Może była księżną jednego z dworów, które widziałam na mapie? Biorąc pod uwagę, jak fae wysokiego rodu potrafili być okrutni względem własnych rodzin, dla wrogów byli z pewnością jeszcze gorsi. A jeśli miała wybuchnąć wojna między dworami, jeśli magiczna choroba już zdołała osłabić Tamlina...

– Jeżeli attor ją widział... – powiedział Lucien, rozglądając się dokoła.

– Nie widział – uspokoił go Tamlin.

– Czy jesteś pewny, że...

– *Nie widział!* – warknął książę przez ramię, po czym spojrzał na mnie. Twarz miał wciąż bladą i stężałą z wściekłości. – Do zobaczenia przy wieczerzy.

A więc zostałam odprawiona. Ponieważ w zasadzie nie myślałam już o niczym innym poza zamknięciem za sobą drzwi sypialni, chętnie podążyłam ku domowi. Po drodze próbowałam rozgryźć, kim była ta tajemnicza „ona”, której tak obawiali się Tamlin z Lucieniem i która posyłała takie dziwne stwory jako swych posłańców.

Wiosenny wiatr wyszeptał mi do ucha, że nie chcę tego wiedzieć.

## Rozdział 20

Podczas wieczerzy panowała napięta atmosfera. Tamlin praktycznie się nie odzywał ani do Luciena, ani do mnie. Gdy po zakończonym posiłku wróciłam do swojej sypialni, zapaliłam wszystkie świece, aby przegnać z komnaty cienie.

Następnego dnia nie wychodziłam na zewnątrz. Kiedy zasiadłam przed sztalugą, zaczęłam malować wysokie kościste stworzenie o szarej skórze, z nietoperzymi uszami i olbrzymi błoniastymi skrzydłami. Stwór właśnie wybijał się w powietrze i rozwierał pysk w ryku, odsłaniając liczne rzędy ostrych kłów. Gdy nakładałam kolejne kolory, mogłam przysiąc, że poczułam w powietrzu oddech tchnący zgnilizną i rozkładem, a w pomieszczeniu rozległ się szum skrzydeł zwiastujący rychłą śmierć.

Efekt końcowy przyprawiał o ciarki. Postawiłam płótno w odległym kącie i wyruszyłam na poszukiwania Alis z zamiarem przekonania jej, aby pozwoliła mi pomóc sobie w przygotowywaniu jedzenia na Noc Ognia. Byłam gotowa zrobić wszystko, byle tylko uniknąć wyjścia do ogrodu, gdzie ponownie mogłby się pojawić attor.

W końcu nastał świt dnia obchodów Nocy Ognia, czy też Calanmai, jak nazwał święto Tamlin. Od rana do wieczora nie widziałam ani księcia, ani Luciena. Gdy zaczęło się zmierzchać, stałam nie wiem już który raz na środku głównego węzła komunikacyjnego rezydencji. Nigdzie nie mogłam znaleźć choć jednej służki w ptasiej masce. Kuchnia całkiem opustoszała, zniknęło też przygotowywane od dwóch dni jedzenie. Wtedy usłyszałam bębny.

Głuche dudnienie dobiegało gdzieś z daleka, spoza ogrodu, spoza pagórków i parku. Bębny grały gdzieś w leśnych ostępach. Rytm wywoływał u mnie dziwny niepokój. Najpierw grał jeden bęben, po chwili odpowiadały mu dwa inne. Brzmiało to jak wezwanie.

Stałam przy drzwiach prowadzących do ogrodu i wyglądałam na zewnątrz. Na niebie królowały odcienie pomarańcza i czerwieni. W oddali, na pagórkach między domem a lasem, zamigotały pierwsze ognie. Tu i ówdzie gęste kłęby ciemnego dymu przesłoniły rubinowe niebo. Musieli podpalać te stosy drewna, które mijaliśmy z Tamlinem. „Nie zostałam zaproszona” – upomniałam samą siebie. Nie zostałam zaproszona na ceremonię, o której szczebiotały wszystkie rozchichotane kucharki.

Bębnienie przyspieszyło i przybrało na intensywności. Chociaż przywykłam już do zapachu magii, wzbierająca metaliczna woń drażniła mi nos silniej niż kiedykolwiek dotąd. Postąpiłam krok naprzód i zatrzymałam się na progu. Powinnam wrócić do domu. Za moimi plecami promienie zachodzącego słońca zabarwiły białą-czarne kafle podłogowe na kolor mandarynek. Mój długi cień zdawał się pulsować w zgodzie z rytmem wybijanym na bębnach.

Nawet ogród, zwykle rozbrzmiewający chóralnym śpiewem jego małych mieszkańców, jakby przycichł onieśmielony dźwiękiem bębnów. Czułam się, jakby ktoś przywiązał do moich wnętrzności sznurek i ciągnął mnie w ten sposób w stronę wzgórz i lasu za nimi, rozkazując mi iść i wsłuchać się w muzykę czarodziejskich bębnów...

Pewnie bym tak zrobiła, gdyby z bocznego korytarza nie wyłonił się Tamlin.

Nie miał na sobie koszuli. Przez nagą pierś przerzucił tylko swój skórzany pas. Rękojeść miecza lśniła złotem w ostatnich promieniach słońca. Pierzaste końce strzał płonęły czerwienią nad potężnym barkiem księcia. Patrzyłam na niego, a on spoglądał na mnie. Posągowy wojownik.

– Dokąd idziesz? – wykrztusiłam.

– Jest noc Calanmai – odpowiedział beznamiętnie. – Muszę iść. – Wskazał brodą ogień i kierunek, z którego docierało bębnienie.

– Co tam będziesz robił? – zapytałam, zerkając na łuk w jego dłoni. Moje serce zabiło w rytm bębnow. Dudnienie przyśpieszało.

Zielone oczy Tamlina skryte były w cieniu rzucanym przez metalową maskę.

– Jako księżę tych ziem muszę uczestniczyć w Wielkim Rytuale.

– Czym jest Wielki...

– Udaj się do swojej komnaty – warknął i rzucił okiem w stronę ognisk. – Zamknij drzwi na klucz, zastaw siła, zrób to, co zawsze robisz przed snem.

– Dlaczego?

Głos attora ponownie zasyczał w mojej głowie. Tamlin wspomniał o „bardzo specyficznym” rytuale. O co w tym wszystkim chodziło? Po broni, którą ze sobą zabierał – tak jakby jego zwierzęca postać nie wystarczała – wносиłam, że musiał to być brutalny i krwawy rytuał.

– Po prostu to zrób. – Kły zaczęły mu się wydłużać. Puls mi przyśpieszył. – I nie wychodź aż do rana.

Dudnienie bębnow jeszcze bardziej przyśpieszyło i było coraz głośniejsze. Mięśnie na szyi Tamlina zadrżały, tak jakby stanie bez ruchu sprawiało mu w jakiś sposób ból.

– Czy wyruszasz na jakąś bitwę? – wyszeptałam.

W odpowiedzi tylko roześmiał się cicho. Uniósł dłoń, tak jakby chciał mnie dotknąć, ale po chwili cofnął ją i opuścił rękę.

– Nie wychodź z komnaty, Feyro.

– Ale...

– Proszę.

Zanim znów zaczęłam go błagać, by zabrał mnie ze sobą, ruszył biegiem w stronę ognia. Mięśnie grzbietu nabrzmiały, gdy zeskoczył z tarasu bezpośrednio na ziemię i pomknął długimi susami przez ogród, zwinny i szybki niczym umykający jelen. Kilka uderzeń serca później straciłam go z oczu.

\*\*\*

Zrobiłam, jak mi kazał, chociaż ponieważ zorientowałam się, że zamknęłam się w sypialni bez kolacji. Nieustanne bębnienie i coraz to nowe ogniska rozświetlające noc nie dawały mi spać. Chodziłam nerwowo od ściany do ściany, co i rusz wyglądając przez okno na odległe błyski ognia.

„Nie wychodź z komnaty”.

Ale między uderzeniami bębnow szeptał do mnie inny, dziki głos. „Idź tam – mówil. – Idź i zobacz wszystko na własne oczy”.

O dziesiątej dałam za wygraną. Nie mogłam już dłużej się opierać i podążyłam za dudnieniem bębnow.

W stajniach nikogo nie było, ale w minionych tygodniach Tamlin nauczył mnie siodłać konia. Wkrótce więc jechałam stępa na mojej białej klaczy. Nie musiałam nią powodować – sama podążała za wabiącym dźwiękiem bębnow w stronę ognia.

Powietrze było gęste od dymu i magii. Okryta płaszczem z kapturem przyglądałam się scenom rozgrywającym się przy olbrzymim ognisku na szczycie najbliższego wzgórza. Wokół płonącego stosu drewna tańczyły setki fae wysokiego rodu. Ponieważ wszyscy nosili maski, nie mogłam dostrzec ich twarzy. Skąd przybyli? Czy należeli do Dworu Wiosny, choć nie mieszkali w książęcej rezydencji? Gdy tylko próbowałam dostrzec jakiegokolwiek rysy ich twarzy, a przynajmniej tych ich części, które nie były przesłonięte maskami, obraz rozmazywał mi się przed oczami. Wszystko nabierało kształtów tylko wtedy, gdy patrzyłam na scenę kątem oka.

Gdy jednak spoglądałam bezpośrednio na tańczących, widziałam tylko wir cieni i barw.

Musiała to być jakaś magia, jakieś zaklęcie rzucone na mnie, aby uniemożliwić mi obserwację. Czy tak samo zaczarowano moją rodzinę? Byłam wściekła i bliska powrotu do rezydencji... Ale wybijany na bębnach rytm przeszywał mnie na wskroś i rezonował w szpiku kości. A między uderzeniami wciąż szeptał ten dziki głos; kusił i przyzywał.

Zsiadłam z klaczy, ale starałam się trzymać blisko niej. Obie ruszyłyśmy przez roztańczony tłum. Miałam nadzieję, że cień kaptura wystarczająco skrywa moją ludzką twarz, abym nie została rozpoznana, a dym z ogniska i niezliczone wymieszane wonie zebranych fae uniemożliwią wychwycenie mojego zapachu. Niemniej jednak na wszelki wypadek upewniłam się, że noże są łatwo dostępne i gładko wychodzą z pochew.

Tańczące istoty otaczały mnie już ze wszystkich stron. Bębniarze stali po jednej stronie ogniska, podczas gdy pozostali stopniowo schodzili do kotlinki między sąsiadującymi wzgórkami. Przywiązałam klacz do samotnego jaworu rosnącego w pobliżu ogniska i poszłam za nimi, rozkoszując się rytmicznym dudnieniem bębnów, od którego drżała ziemia pod moimi stopami. Na razie udało mi się nie zwrócić niczyjej uwagi.

Schodząc na dno kotliny, niemal poślizgnęłam się na stromym zboczu. Na końcu wąwozu widniało wejście do jaskini pod kolejnym wzgórzem. Na zewnątrz skały udekorowano kwiatami, gałęziami i liśćmi, a podłoże wewnątrz wyłożono miękkimi skórami. Ponieważ korytarz jaskini skręcał zaraz za wejściem, nie widziałam, co było w głębi. Jednak z pewnością płonęło tam ognisko, gdyż na ścianach wejścia odbijały się tańczące płomienie.

Cokolwiek działo się w środku lub cokolwiek miało się tam za chwilę wydarzyć, przyciągało uwagę wszystkich zebranych fae ustawiających się po obu stronach ścieżki prowadzącej do jaskini. Drugi koniec ścieżki ginął gdzieś między pagórkami. Wszyscy obecni kiwali się w rytm muzyki bębnów, która stała się już tak intensywna, że odczuwałam ją w swoich wnętrzościach.

Przyglądałam się otaczającym mnie fae, przestępując z nogi na nogę. Zabroniono mi przyjść na coś takiego? Rozejrzałam się uważnie dokoła, usiłując przebić wzrokiem zasłonę nocy i dymu, ale nie dojrzałam nic wartego uwagi. Dodatkowo zebrani zdawali się całkowicie mnie ignorować. Z każdą chwilą nadchodzili kolejni, tworząc coraz gęstszy szpaler po obu stronach ścieżki. Coś zdecydowanie miało się wkrótce wydarzyć. Lada chwila miał się zapewne rozpocząć ten Wielki Rytuał, czymkolwiek był.

Wdrapałam się na jedno ze wzgórz, stanęłam koło drzew na skraju kręgu światła rzucanego przez ognisko i przyglądałam się coraz liczniejszemu tłumowi fae. Już miałam zdobyć się na odwagę i zapytać przechodzącą nieopodal jedną z pomniejszych fae – służkę z twarzą ukrytą za ptasią maską – co się za chwilę wydarzy, kiedy ktoś chwycił mnie za ramię i obrócił do siebie.

Zamrugałam, przyglądając się ze zdziwieniem trójce nieznanych mi istot. Ich twarze miały bardzo ostre rysy i nie były przesłonięte maskami. Przypominały fae wysokiego rodu, ale było w nich coś odmiennego. Były wyższe i szczuplejsze niż Tamlin czy Lucien, a ich bezdenne, smoliste czarne oczy miały w sobie więcej okrucieństwa. Musiały to więc być jakieś inne czarodziejskie istoty.

Ta, która ścisnęła mnie za ramię, uśmiechnęła się nieprzyjemnie, odsłaniając równy rząd lekko zaostrzonych zębów.

– Ludzka kobieta – wymruczał stwór, taksując mnie uważnie wzrokiem. – Od dawna nie widzieliśmy żadnej z was.

Spróbowałam wyswobodzić rękę z chwytu, ale palce fae były zaciśnięte zbyt mocno.

– Czego chcecie? – spytałam ostro, starając się nie dopuścić drżenia do swojego głosu.

Stojące po bokach pozostałe dwie istoty również się uśmiechnęły. Jedna z nich błyskawicznym gestem unieruchomiła mi drugie ramię, gdy tylko uczyniłam ruch w stronę rękojęści noża.

– Jedyne trochę zabawy w Noc Ognia – powiedział trzeci stwór, odgarniając mi z twarzy kosmyk włosów niesamowicie długimi, bladymi palcami.

Odsunęłam twarz od jego dłoni i spróbowałam się cofnąć, ale nie mogłam się poruszyć. Żadna z istot zebranych w pobliżu ogniska nie reagowała. Żadna nawet nie patrzyła w naszą stronę.

Czy ktokolwiek pośpieszyłby mi na ratunek, gdybym zaczęła wołać o pomoc? Czy Tamlin by mnie usłyszał? Nie sądziłam, aby ponownie mi się poszczęściło pod tym względem. Prawdopodobnie zużyłam cały swój zapas szczęścia podczas spotkania z nagami.

Szarpnęłam mocno ramionami, ale w rezultacie trzymające mnie dłonie tylko wzmocniły chwyt, sprawiając mi ból i uniemożliwiając dobytec noży. Stwory stały tak blisko, że zasłaniały mnie przed wzrokiem kogokolwiek innego. Rozejrzałam się, szukając potencjalnego wsparcia, ale otoczyli mnie już tylko fae bez masek na twarzach. Moi dręczyciele zachichotali. Był to niski, syczący odgłos, od którego przeszyły mnie nieprzyjemne dreszcze. Dopiero teraz zdałam sobie sprawę z tego, jak daleko odeszłam od miejsca, gdzie zostawiłam konia, i jak bardzo zbliżyłam się do lasu.

– Zostawcie mnie – zażądałam głośniejsze i bardziej stanowczo, niż podejrzewałam, że potrafię w tej sytuacji. Kolana zaczynały mi się trząść ze strachu.

– Śmiałe słowa od ludzkiej kobiety w noc Calanmai – odparł ten trzymający moją lewą rękę. Ogień ani trochę nie odbijał się w jego oczach, tak jakby pochłaniały całkowicie całe docierające do nich światło. Wspomniałam nagi, u których ohydny wygląd szedł w parze z okrutnymi sercami. W jakiś sposób te nieziemsko piękne fae wydawały mi się o wiele gorsze. – Gdy rytuał zostanie odprawiony, trochę się zabawimy, co? Szczęście się musiało do nas uśmiechnąć, skoro znaleźliśmy tu ludzką kobietę.

– Zabierajcie ode mnie swoje łapska – warknęłam przez zaciśnięte zęby na tyle głośno, żeby usłyszeli mnie inni zebrani.

Jeden ze stworów wsunął dłoń pod mój płaszcz i powiódł kościstymi palcami po krzywiznie talii i bioder. Szarpnęłam się do tyłu, wskutek czego wpadłam na trzeciego fae, który wplótł palce w moje włosy i przycisnął swoje ciało do mojego. Nikt nie patrzył w naszą stronę, nikt nie widział, co się dzieje.

– Przestańcie. – Zdołałam wydobyć z siebie tylko ciche jęknięcie. Stwory zaczęły ciągnąć mnie w stronę drzew i czającej się między nimi ciemności.

Wrywałam się, szarpałam, rzucałam, ale oni nie zwalniali swojego uchwytu i tylko co jakiś czas posykiwali. Jeden z nich popchnął mnie mocno. Potknęłam się i poleciałam do przodu. Poczułam, że uścisk na moich ramionach zelżał i grunt pomknął mi na spotkanie. Sięgnęłam błyskawicznie po noże, ale zanim zdążyłam zacisnąć palce na ich rękojęściach, zanim upadłam na trawę, silne dłonie chwyciły mnie pod pachami.

To były inne dłonie: ciepłe i szerokie. Zupełnie nieprzypominające tych zimnych, kościstych palców trójki fae, którzy stali za moimi plecami, nie wydając najmniejszego odgłosu. Nieznajomy, który uchronił mnie właśnie przed upadkiem, pomógł mi stanąć równo na nogach.

– Tutaj jesteś. Szukałem cię – powiedział głęboki, zmysłowy męski głos. Głos zupełnie obcy. Nie spojrzałam jednak na swojego wybawcę, tylko obróciłam się szybko i nie spuszczałam wzroku z trójki dręczycieli, gotując się do walki. Nowo przybyły stanął obok mnie i swobodnym ruchem objął mnie w ramionach.

Stojąca przed nami trójka stworów pobladała, a ich ciemne oczy rozszerzyły się w strachu.

– Dziękuję, żeście ją dla mnie znaleźli – powiedział nieznajomy. Miał dźwięczny, przyjemny głos. – Bawcie się dobrze w trakcie święta.

Ostatnie zdanie wymówił chłodnym i twardym tonem. Trójka kościstych fae zeszywniała i bez słowa pobiegła z powrotem ku ogniskom.

Odsunęłam się od obejmującego mnie ramienia i odwróciłam się do mojego wybawcy, aby mu podziękować.

Przedemną stał najprzystojniejszy mężczyzna, jakiego spotkałam w całym swoim życiu.



## Rozdział 21

Nieznamy cały promieniował zmysłowym, naturalnym wdziękiem. Bez wątplenia należał do fae wysokiego rodu. Krótkie czarne włosy lśniły niczym kucze pióra, ostro kontrastując z bladą skórą i oczami o tak głębokim odcieniu błękitu, że aż wpadającym w fiolet – nawet w blasku odległych ogni. W źrenicach błysnęło rozbawienie.

Przez parę chwil tylko patrzyliśmy na siebie w milczeniu. Zwykle „dziękuję” wydawało się nieadekwatne do tego, co dla mnie zrobił. Było jednak coś dziwnego w sposobie, w jaki stał, w jego niewzruszonym spokoju, w tym, jak ciemność zdawała się zagęszczać wokół niego. To wszystko onieśmiało mnie i głos uwiązł mi w gardle. Czułam się coraz bardziej nieswojo i wzbierała we mnie chęć pobiegnięcia jak najdalej stąd.

On również nie miał na twarzy żadnej maski. Musiał zatem być z innego dworu.

Lekki uśmiech błędził po jego ustach.

– Co śmiertelniczka robi tutaj w Noc Ognia? – Jego głos przypominał mruczenie kochanka i przypawił mi o przyjemne dreszcze, pieszcząc wszystkie mięśnie, kości i nerwy.

Cofnęłam się o krok.

– Przyprowadziły mnie tu przyjaciółki.

Dudnienie bębnow jeszcze bardziej przyspieszyło, zmierzając nieuchronnie do kulminacji, której zupełnie nie rozumiałam. Wiele tygodni minęło od czasu, kiedy ostatni raz widziałam twarz choć trochę przypominająca ludzką. Ubranie mężczyzny było całkowicie czarne, wykonane z najlepszych materiałów. Skrojono je tak, że przylegało do jego ciała, podkreślając posagową sylwetkę. Wyglądał niczym wyrzeźbiony z samej nocy.

– A kimże są twoje przyjaciółki? – Nie przestawał się uśmiechać i sprawiał wrażenie drapieżnika oceniającego potencjalną zdobycz.

– To dwie damy dworu – skłamałam ponownie.

– A jak się nazywają? – Zbliżył się, wkładając dłonie do kieszeni.

Cofnęłam się o kolejny krok i zachowałam milczenie. Czyżbym właśnie zamieniła trzy potwory na coś o wiele gorszego?

Gdy zrozumiał, że nie mam zamiaru odpowiadać na jego pytanie, zachichotał.

– Proszę bardzo – powiedział. – Za uratowanie cię.

Zjeżyłam się w obliczu tak bezczelnej arogancji, ale trzymałam język za zębami i cofnęłam się jeszcze bardziej. Nie byliśmy tak daleko od ogniska i od kotliny, w której zebrali się fae, żebym nie zdołała tam dobiec, jeśli wyteżę wszystkie siły. Może ktoś by się nade mną zlitował? Może spotkałabym Luciena lub Alis?

– Dziwne, żeby śmiertelniczka przyjaźniła się z dwoma fae – myślał na głos, krążąc wokół mnie. Mogłam przysiąc, że ciągnęły się za nim wstęgi rozgwieżdżonego nocnego nieba. – Czy nie jest tak, że ludzie się nas zazwyczaj panicznie boją? I czy, skoro już o tym mowa, nie mieliście trzymać się swojej strony muru?

Jedno było pewne: panicznie się bałam *jego*, ale nie miałam najmniejszego zamiaru mu tego zdradzać.

– Znam je od wczesnego dzieciństwa. Nigdy nie dały mi żadnego powodu, abym się ich bała.

Zatrzymał się między mną a ogniskiem, odcinając mi drogę ucieczki.

– A mimo to przyprowadziły cię w tę noc na Wielki Rytuał i zostawiły samą.

– Poszły po coś do jedzenia i picia – wypaliłam, ale on się tylko szerzej uśmiechnął.

Najwyraźniej właśnie zdradziłam swoją niewiedzę. Widziałam wcześniej służące niosące gdzieś

jedzenie, ale... Może zaniósł je gdzie indziej?

Nieznajomy milczał, wciąż się uśmiechając. Nigdy wcześniej nie widziałam kogoś równie przystojnego. Ale też nigdy wcześniej w mojej głowie nie było naraz tak wiele dzwonów ostrzegawczych.

– Obawiam się, że jedzenie i picie są dość daleko stąd – powiedział i zbliżył się do mnie. – Twoje przyjaciółki mogą jeszcze długo nie wracać. Czy mogę tymczasem dokąś cię odprowadzić? – Wyjął rękę z kieszeni i zaferował mi swoje ramię.

Śmiertelnie wystraszył tamte stwory samym swoim pojawieniem się.

– Nie – odparłam, z ledwością poruszając zdrętwiałym nagle językiem.

Machnął ręką w stronę kotliny i bębnow.

– Zatem baw się dobrze w trakcie święta. Postaraj się trzymać z dala od kłopotów. – Jego oczy zalśniły w sposób sugerujący, że z dala od kłopotów oznaczało jak najdalej od niego.

Chociaż mogła to być najbardziej ryzykowna rzecz, jaką zrobiłam w całym swoim życiu, wypaliłam:

– Nie należysz więc do Dworu Wiosny?

Zwrócił się ponownie w moją stronę, uśmiechając się leniwie. Każdy jego ruch zdradzał nieludzką siłę, ale nie poddałam się strachowi i spojrzałam mu w oczy.

– Czy ja wyglądam na kogoś z Dworu Wiosny? – Jego słowa ociekały wręcz arogancją, na jaką stać było tylko kogoś nieśmiertelnego. Zaśmiał się cicho. – Nie. Nie należę do szlachetnego Dworu Wiosny. I jestem z tego powodu bardzo rad. – Zatoczył dłonią koło wokół oczu, gdzie wszyscy mieszkańcy rezydencji nosili maski.

Powinłam była odejść, powinłam była trzymać język za zębami.

– Dlaczego zatem tu jesteś?

Jego niesamowite oczy zalśniły tak niepokojąco, że cofnęłam się o parę kroków.

– Ponieważ dzisiejszej nocy wszystkie potwory zostały wypuszczone z ich klatek, niezależnie od tego, z jakiego pochodzą dworu. Dlatego też aż do świtu mogę wędrować, gdzie tylko zechcę.

Kolejne zagadki i pytania domagające się odpowiedzi. Miałam już jednak dość tej rozmowy, szczególnie że jego uśmiech wydał mi się nagle nieprzyjemny i okrutny.

– Baw się dobrze w trakcie święta – powiedziałam tak bezbarwnym głosem, na jaki tylko było mnie stać.

Pośpieszyłam z powrotem do kotliny, choć czułam się bardzo nieswojo, odwracając się do niego plecami. Odetchnęłam z ulgą, dopiero gdy wmieszałam się w tłum tłoczący się wzdłuż ścieżki prowadzącej do jaskini, wciąż czekający na jakieś ważne wydarzenie.

Gdy przestałam się trząść, rozejrzałam się po zebranych. Większość z nich miała maski na twarzach, lecz byli też i tacy, którzy – podobnie jak ten groźny nieznajomy i trzech dręczycieli – nie nosili masek. Musieli zatem pochodzić z innych dworów lub nie przynależeli do żadnego z nich. Nie potrafiłam ich nijak przyporządkować. Kiedy tak się rozglądałam wokół, napotkałam wzrok jednej z zamaskowanych istot stojących po drugiej stronie ścieżki. Jedno jej oko było rdzawobrunatne i lśniło równie jasno, co rude włosy wokół maski. Drugie oko było metalowe. Zamrugałam w tej samej chwili co on. I wtedy oboje jego oczu rozszerzyło się ze zdziwienia, a on sam zniknął, tak jakby się rozwiął w powietrzu. Niemal w tym samym momencie ktoś chwycił mnie za łokieć i odciągnął na bok, poza tłum fae.

– Czyś ty rozum postradała? – zawołał Lucien, starając się przekrzyczeć dudnienie bębnow. Twarz miał śmiertelnie bladą. – Co ty tu robisz?

Nikt z zebranych nie zwracał na nas uwagi; wszyscy patrzyli z uwagą wzdłuż ścieżki, wyraźnie na kogoś czekając.

– Chciałam... – zaczęłam, ale Lucien przerwał mi brzydkim przekleństwem.

– Idiotka! – wrzasnął na mnie, po czym obejrzał się przez ramię na stojący w kotlinie tłum. – Bezużyteczna ludzka idiotka. – Bez słowa wyjaśnienia przerzucił mnie sobie przez ramię, tak jakbym była workiem ziemniaków.

Nie bacząc na moje próby wyrwania się i okrzyki protestu, ignorując żądania zanieśienia mnie do mojego konia, nie puszczał mnie. Zaczęło mną trząść. Uniosłam głowę i zorientowałam się, że Lucien biegnie. I to bardzo szybko. Szybciej, niż jakakolwiek istota powinna być w stanie. Od zawrotnej prędkości zakręciło mi się w głowie. Zamknęłam oczy. Zatrzymał się dopiero w dużej odległości od grających bębnów i płonących ognisk. Powietrze tu było czystsze i zdecydowanie chłodniejsze.

Lucien postawił mnie na podłodze sieni rezydencji Tamlina. Gdy udało mi się zwalczyć zawroty głowy, otworzyłam oczy i spojrzałam na jego bladą twarz.

– Głupia śmiertelniczko – warknął. – Czy Tamlin nie kazał ci nie opuszczać swojej komnaty? – Lucien obejrzał się przez ramię w stronę pagórków. Bębny grały tak szybko i głośno, że brzmiały jak wiosenna burza.

– To nie było nic...

– Ceremonia jeszcze się nawet nie zaczęła! – Teraz dopiero dostrzegłam pot spływający mu po twarzy i błysk paniki w zdrowym oku. – Na Kocioł, gdyby Tam cię znalazł...

– To co? – zapytałam, również podnosząc głos. Czułam się jak nieposłuszne dziecko i wkurzało mnie to.

– Niech mnie w Kotle ugotują, to jest *Wielki Rytuał!* Nikt ci nie wytłumaczył, o co w tym chodzi? – Moje milczenie wystarczyło za odpowiedź. Niemal widziałam, jak wybijany na bębnach rytm pulsuje pod jego skórą i wzywa go, aby dołączył do ceremonii. – Noc Ognia wyznacza formalny początek wiosny. Zarówno w Prythianie, jak i w świecie śmiertelników – wyjaśnił Lucien i chociaż starał się mówić spokojnie, głos mu nieco drżał. Oparłam się o ścianę, starając się wyglądać na rozluźnioną, choć nerwy miałam napięte jak postronki. – Na naszych ziemiach późniejsze zbiory zależą od magii regenerowanej podczas Calanmai, czyli dziś.

Wcisnęłam dłonie w kieszenie spodni. Tamlin wspominał coś o tym dwa dni temu. Lucien wzdrygnął się, jakby pod niemiłym dotykiem kogoś niewidzialnego.

– Robimy to poprzez Wielki Rytuał. Wszyscy książęta siedmiu krain Prythianu odprawiają go co roku, ponieważ ich magia pochodzi z ziemi i ostatecznie do niej powraca. To jest zamknięty cykl.

– Ale na czym to polega? – zapytałam.

Lucien mlasnął ze zniecierpliwieniem.

– Dzisiejszej nocy Tam pozwoli... potężnej i strasznej magii wnikać do jego ciała – wyjaśnił Lucien, wpatrując się w odległe ognie. – Magia ta przejmie kontrolę nie tylko nad jego ciałem, ale też nad jego umysłem i duszą, zmieniając go w dzikiego myśliwego. Wypełni wszystkie jego myśli jednym celem: znalezienia towarzyszkę na noc. Ich połączenie wyzwoli magię, która wnika w ziemię, gdzie da roślinom siłę na cały rok.

Twarz oblał mi rumieniec. Z ledwością powstrzymywałam się od nerwowych ruchów.

– Dzisiejszej nocy Tam nie będzie tym fae, którego znasz – dodał Lucien. – Nie będzie nawet wiedział, jak się nazywasz. Magia pochłonie wszystko, czym jest, pozostawiając tylko jedno polecenie i jedną potrzebę.

– Kim... kim jest ta towarzyszkę? – wykrztusiłam.

Lucien parsknął.

– Nikt tego nie wie, dopóki nie nadejdzie czas. Gdy Tam upoluje białego jelenia i zabije go w rytualnej ofierze, uda się do świętej jaskini, którą widziałaś, gdzie czekać na niego będzie

szpaler kobiet gotowych spędzić z nim noc.

– Słucham?

Lucien się zaśmiał.

– Tak właśnie: wszystkie te kobiety, które tam widziałaś, przybyły, aby Tamlin miał z kogo wybierać. To wielki zaszczyt być wybranką myśliwego w Noc Ognia. Jednak wybór następuje instynktownie.

– Ale ty też tam byłaś. I inni mężczyźni fae. – Czułam takie gorąco na twarzy, że aż pot wystąpił mi na czoło. To dlatego były tam te trzy okropne stwory. I pomyśleli, że skoro też przybyłam świętować, z radością spełnią ich zachcianki.

– Ach, tak. – Lucien zachichotał pod nosem. – Cóż, Tam nie jest jedynym, który... odprawi tej nocy rytuał. Gdy on dokona swojego wyboru, pozostali mężczyźni mogą wybierać spośród pozostałych. Chociaż nie jest to sam Wielki Rytuał, nasze igraszki tej nocy również pomagają ziemi i przyrodzie. – Po raz drugi wzdrygnął się i spojrzał ku wzgórzom. – Masz szczęście, że znalazłem cię, zanim to wszystko się zaczęło. Gdyby cię wywęszył i wybrał, to nie Tamlin, którego znasz, zaniósłby cię do tej jaskini. – Spojrzał mi w oczy w taki sposób, że całe moje ciało przeszły zimny dreszcz. – I nie sądzę, żeby ci się to spodobało. Dzisiejszej nocy nie ma miejsca na zmysłowe pieszczoty.

Przełknęłam ślinę, żeby powstrzymać odruch wymiotny.

– Powinienem już iść – dodał Lucien zapatrzony w odległe ognie. – Muszę tam wrócić, zanim Tam dotrze do jaskini. Muszę chociaż spróbować nad nim zapanować, kiedy wyczuje twój zapach, ale nie znajdzie cię w tłumie.

Robiło mi się coraz bardziej niedobrze na myśl o tym, że Tamlin mógłby mnie wziąć siłą, że pierwotna magia odarłaby go z całej świadomości, z umiejętności rozróżnienia dobra i zła. Ale też usłyszeć, że jakaś jego dzika część pragnęła mnie... Nawet oddychanie sprawiało mi ból.

– Nie opuszczaj swojej komnaty, Feyro – powiedział Lucien, idąc w stronę drzwi ogrodowych. – Niezależnie od tego, kto zapuka do twoich drzwi, nie otwieraj ich. I nie wychodź aż do rana.

\*\*\*

Siedziałam długo przy toalecie, aż w końcu się zdrzemnęłam. Ocknęłam się w chwili, gdy bębny przestały grać. Nagła cisza aż huczała w uszach. Poczulałam silny zapach magii i wszystkie włoski na moich rękach stanęły dęba.

Choć próbowałam się powstrzymać, moje myśli podążyły ku prawdopodobnemu źródłu tej nagłej fali i twarz mi momentalnie poczerwieniała, a w piersi poczułam silny ucisk. Zerknęłam na tarczę zegara: była druga w nocy.

Cóż, zdecydowanie nie śpieszył się z „rytuałem”, co musiało oznaczać, że dziewczyna była piękna, czarująca i przemawiająca do jego instynktów.

Zastanawiałam się, czy cieszyła się z faktu zostania jego wybranką tej nocy. Zapewne tak, w końcu udała się tam z własnej, nieprzymuszonej woli, a Tamlin był księciem. Musiała czuć się zaszczycona. Zwłaszcza że Tamlin był z pewnością przystojny, zabójczo przystojny. Chociaż nie widziałam górnej połowy jego twarzy, oczy miał ładne, a jego usta były pięknie symetryczne, o pełnych wargach. Do tego przecież jego ciało było... było... Syknęłam poirytowana i wstałam.

Spojrzałam w stronę drzwi, na zastawioną zasadzkę. Czysty absurd – tak jakby kilka kawałków liny i drewna mogło mnie ochronić przed demonami tych ziem.

Ponieważ koniecznie potrzebowałam zająć czymś ręce, powoli i skrupulatnie rozbroiłam pułapkę. Gdy skończyłam, otworzyłam drzwi i wyszłam na korytarz. Co za dziwaczne święto. Wręcz śmieszne. Dobrze się stało, że ludzie zarzucili jego obchodzenie.

Dotarłam do pustej kuchni i spałaszowałam pół bochenka chleba, jabłko i cytrynową tartę. Na koniec wzięłam garść czekoladowych ciastek i pogryzałam je w drodze do mojej pracowni. Musiałam wyrzucić z myśli wściekłe obrazy, nawet jeśli miało to oznaczać malowanie przy świetle świec.

Gdy skręciłam za kolejny róg, niemal wpadłam na wysokiego mężczyznę. W świetle księżycy wpadającym przez otwarte okno jego maska lśniła srebrzyście, a rozpuszczone złote włosy lśniły pod wieńcem z liści laurowych.

– Wybierasz się gdzieś? – zapytał Tamlin głosem sprawiającym wrażenie pochodzącego z zupełnie innego świata.

Stłumiłam ogarniający mnie dreszcz.

– Nabrałam ochoty na nocną przekąskę – odparłam, aż nazbyt świadoma każdego swojego oddechu, każdego ruchu, który mnie do niego przybliżał.

Jego nagi tors pokrywały wijące się wzory wymalowane urzetem. Odciski palców i rozmazane smugi aż nazbyt widocznie wskazywały, gdzie i jak był dotykany. Staralam się ignorować niebieskie ślady palców schodzące poniżej umięśnionego brzucha.

Już miałam go minąć, kiedy złapał mnie za ramię. Poruszył się tak szybko, że niczego nie zauważyłam. W jednej chwili szłam, a w drugiej byłam przyszpilona do ściany. Ciastka rozsypały się po podłodze, gdy unieruchomił mi nadgarstki w mocnym uścisku.

– Czuję twój zapach – wyszeptał. Jego pomalowana pierś wznosiła się i opadała tak blisko mojej. – Szukałem cię, lecz nigdzie nie mogłem znaleźć.

Czuć było od niego mocno magią.

Gdy spojrzałam mu w oczy, dojrzałam w nich pozostałości potężnej mocy, która przez niego przepłynęła. Nie znalazłam w nich dobroci, ciętego humoru ani skłonności do wygłaszania łagodnych reprimend. Nie znalazłam w nich Tamlina, którego znałam.

– Puszczaj – powiedziałam tak spokojnie, jak tylko zdołałam. Z jego palców wystrzeliły pazury, wbijając się głęboko w drewnianą boazerię przy moich dłoniach. Wciąż był upojony magią, wciąż był półdziką bestią.

– Doprowadziłaś mnie do szaleństwa – warknął. Od głębokiego tembru jego głosu dreszcz przeszedł przez moją szyję w dół, do piersi, aż do bólu mięśni. – Szukałem cię, ale ciebie nigdzie nie było. A kiedy stało się jasne, że cię nie znajdę... – Przynął twarz do mojej tak blisko, że nasze oddechy się zmieszały. – Wtedy magia kazała mi wybrać inną.

Nie byłam w stanie się wyswobodzić. Szczerze mówiąc, nie miałam pewności, czy chcę się wyswobadzać.

– Poprosiłaś mnie, żebym nie był delikatny – wyrzucił z siebie, szczerząc zęby lśniące w księżycowej poświacie. Przynął wargi do mojego ucha. – Ale z tobą byłbym delikatny. – Zadrżałam i zamknęłam oczy. Każdy skrawek mojego ciała napiął się i naprężył, a echo jego słów krążyło mi w żyłach. – Sprawilibym, że jęczałabyś i szeptała moje imię od początku aż do samego końca. A trwałoby to bardzo, bardzo długo, Feyro. – Wymówił moje imię, jakby było pieszczotą. Jego gorący oddech połaskotał mnie w ucho. Wygięłam lekko plecy.

Wyrwał pazury z boazerii. Nogi się pode mną ugięły, gdy puścił moje nadgarstki. Przytrzymałam się ściany, aby nie upaść na podłogę; aby nie sięgnąć w jego stronę, by uderzyć lub by go pieścić – sama nie wiedziałam, na co miałam większą ochotę. Otworzyłam oczy. Wciąż się uśmiechał, lecz był to uśmiech zwierzęcia.

– Dlaczego miałabym chcieć resztki po kimś innym? – powiedziałam i spróbowałam go odepchnąć. Ponownie chwycił moje nadgarstki i ugryzł mnie w szyję.

Krzyknęłam, gdy jego zęby zacisnęły się na delikatnej skórze między szyją a barkiem. Nie mogłam się poruszyć, nie mogłam zebrać myśli. Cały mój świat zawęził się do tego uczucia,

do jego warg i zębów na mojej skórze. Nie wgryzł się w mięsień, lecz trzymał na tyle mocno, abym nie mogła się poruszyć. Naparł na mnie całym ciałem. Nacisk przesłonił mi oczy czerwoną mgłą, w której jaśniały oślepiające błyskawice. Jęknęłam i przywarłam do niego biodrami. Powinnam go nienawidzić – za ten głupi rytuał, za kobietę, z którą był tej nocy...

Nacisk zębów zelżał. Teraz pieścił językiem miejsce ugryzienia. Nie poruszył się. Tkwił cały czas w tej samej pozycji i całował moją szyję. Celowo, zaborczo, nieśpiesznie. Żar pulsował między moimi nogami, gdy naparł na mnie mocniej całym ciałem, uciskając wszystkie tętniące ciepłem miejsca. Jęknęłam głośno.

Oderwał się ode mnie. Zimne powietrze ukłuło boleśnie rozgrzaną skórę. Dyszałam ciężko, a on mi się tylko przyglądał.

– Od tej pory zawsze rób, co ci każę – powiedział głębokim, zmysłowym tonem, który przeszył mnie na wskroś, rozbudzając moje ciało na nowo i uśmierzając ból przyjemnym mrowieniem.

Jednak gdy zdołałam przeanalizować sens jego słów, otrząsnęłam się i wyprostowałam. Wyszczrzył zęby w dzikim uśmiechu. Uderzyłam go w twarz otwartą dłonią.

– Nie mów mi, co mam robić – wydyszałam, starając się ignorować palący ból dłoni. – I nie gryź mnie jak jakaś dzika bestia.

Zaśmiał się gorzko. W blasku księżycy jego oczy przypominały skryte w cieniu liście. Pragnęłam nacisku jego twardego ciała na moje. Pragnęłam jego ust, zębów i języka na mojej skórze, na moich piersiach, między nogami. Wszędzie – pragnęłam go *wszędzie*. Tonęłam w tym pragnieniu, w tej potrzebie.

Rozdął nozdrza, wciągając mój zapach. Czując wszystkie gorejące szalonym płomieniem myśli, które pulsowały pod moją skórą i rozsadzały zmysły. Westchnął potężnie, warknął z wściekłością i frustracją, po czym oddalił się w głąb domu.

## Rozdział 22

Gdy się obudziłam, słońce stało już wysoko na niebie. Całą noc rzucałam się w łóżku i przewracałam z boku na bok. Pusta. Obolała.

Służące wciąż odsypiały całonocne świętowanie, sama więc przygotowałam sobie kąpiel i długo moczyłam się w aromatycznej wodzie. Nieważne, jak usilnie próbowałam wyprzeć ze swoich myśli wspomnienie dotyku warg Tamlina na szyi, sporych rozmiarów siniak przypominał mi o tym aż nazbyt dobitnie. Po kąpeli ubrałam się i usiadłam przy toalecie, aby zapleść sobie warkocz.

Przetrząsnęłam szuflady w poszukiwaniu chusty czy czegokolwiek innego, czym mogłabym zasłonić wielki siniac widoczny zza kołnierza tuniki. Po bezowocnych poszukiwaniach spojrzałam na swoje odbicie w lustrze. Zachowywał się jak brutal i dzikus. Jeśli do rana zdołał się uspokoić, to ślad po jego postępowaniu w nocy będzie najmniejszym wymiarem kary.

Pociągnęłam nosem, rozpięłam kołnierz tuniki i założyłam luźne kosmyki włosów za uszy, aby jak najbardziej odsłonić szyję. Nie miałam zamiaru kłaść uszu po sobie.

Mrucząc pod nosem i wymachując dziarsko rękami, zeszałam na dół i podążyłam za nęcącymi zapachami do jadalni, gdzie o tej porze zazwyczaj podawano drugie śniadanie dla Tamlina i Luciena. Gdy otworzyłam drzwi, obaj siedzieli rozparci na swoich krzesłach. Przysięgłabym, że Lucien spał z otwartymi oczami i nieruchomym widelcem w dłoni.

– Dzień dobry – rzuciłam radośnie, posyłając księciu wyjątkowo słodki uśmiech.

Tamlin zamrugał. Obaj panowie wymamrotali pod nosem słowa pozdrowienia. Zasiadłam naprzeciwko Luciena, a nie jak zwykle naprzeciw Tamlina.

Pociągnęłam solidny łyk wody z pucharu i przystąpiłam do nakładania sobie jedzenia. Podczas posiłku rozkoszowałam się pełną napięcia ciszą, jaka zapadła.

– Wyglądasz... na odświeżoną – odezwał się Lucien, łypiąc na Tamlina. Wzruszyłam ramionami. – Dobrze spałaś?

– Jak niemowlę. – Uśmiechnęłam się do niego i zjadłam kolejny kęs. Oczy Luciena sunęły nieuchronnie ku mojej szyi.

– Jak się nabawiłaś tego siniaka? – zapytał.

Wskazałam widelcem Tamlina.

– Jego zapytaj, to jego sprawa.

Lucien spojrział na księcia, na mnie, ponownie na księcia.

– Dlaczego Feyra ma przez ciebie na szyi siniak? – zapytał, nie kryjąc rozbawienia w głosie.

– Ugryzłem ją – odparł Tamlin, nie przerywając krojenia steku. – Wpadliśmy na siebie w korytarzu zaraz po rytuale.

Wyprostowałam się w krześle.

– Najwyraźniej życie jej niemiłe – kontynuował ksiączę, pedantycznie krojąc mięso. Pazury wyraźnie napierały na skórę jego palców. Lęk ścisnął mi gardło. Był zły, wręcz wściekły na mnie za to, że opuściłam komnatę. A jednak w jakiś sposób utrzymywał swój gniew na krótkiej smyczy. – Skoro więc Feyra lekce sobie waży polecenia, nie może mnie winić za konsekwencje swojego nieposłuszeństwa.

– Słucham? – wybuchłam, uderzając dłońmi o blat stołu. – Osaczyłeś mnie w korytarzu jak wilk zająca!

Lucien oparł łokieć na stole i zakrył usta dłonią. Jego zdrowe oko lśniło rozbawieniem.

– Choć nie byłem do końca sobą, obaj z Lucieniem wyraźnie nakazaliśmy ci nie wychylać nosa ze swojej komnaty – powiedział Tamlin tak spokojnym głosem, że miałam ochotę rwać sobie włosy z głowy.

Nic nie mogłam na to poradzić. Nawet nie próbowałam powstrzymać krańcowej wściekłości trawiącej moje zmysły.

– Ty czarodziejska świni! – wrzasnęłam, a Lucien zawył, niemal przewracając się razem z krzesłem. Widząc wykwitający na twarzy Tamlina szeroki uśmiech, wypadłam z jadalni.

Dopiero po paru godzinach przestałam malować małe portrety Tamlina i Luciena ze świńskimi ryjami. Jednak gdy skończyłam ostatni obrazek, który roboczo zatytułowałam *Dwie czarodziejskie śwynie tarzające się we własnych nieczystościach*, uśmiechnęłam się sama do siebie w mojej jasnej, osobistej pracowni malarskiej. Tamlin, którego znałam, powrócił.

I byłam z tego powodu... szczęśliwa.

\*\*\*

Przeprosiliśmy się nawzajem przy kolacji. Nawet wręczył mi bukiet białych róż z ogrodu rodziców i chociaż udawałam niewzruszoną, dopilnowałam później, aby Alis dobrze się zajęła kwiatami. Skinęła głową z ironicznym uśmieszkiem i obiecała ustawić je w wazonie w mojej pracowni. Tej nocy zasnęłam z uśmiechem na ustach.

Po raz pierwszy od dłuższego czasu miałam spokojne sny.

\*\*\*

– Nie wiem, czy powinnam się cieszyć, czy martwić – powiedziała Alis nazajutrz, wsuwając złotą suknię na moje uniesione ramiona i obciągając ją w dół.

Uśmiechnęłam się lekko, podziwiając drobno utkany połyskliwy materiał, który przylegał do moich ramion i piersi niczym druga skóra, by potem opaść luźnymi fałdami aż do dywanu.

– To tylko suknia – powiedziałam, ponownie unosząc ramiona, gdy Alis przygotowała narzutkę w kolorze turkus. Była lekko przezroczysta, pozwalając dojrzeć lśniący złociście materiał pod spodem, a do tego lekka i zwiewna; przy każdym moim ruchu jej fałdy unosiły się niczym na niewyczuwalnym podmuchu powietrza.

Alis zachichotała pod nosem i zaprowadziła mnie do toaletki, aby zająć się moimi włosami. Nie miałam odwagi spojrzeć w lustro podczas jej pracy.

– Czy to znaczy, że od tej pory będziesz nosić suknie? – zapytała, rozdzielając moje włosy na pasma, by ułożyć z nich kolejną fantazyjną fryzurę, jaką tylko ona potrafiła stworzyć.

– Nie – odpowiedziałam szybko. – To znaczy... W dzień będę nosić moje zwykłe ubranie, ale pomyślałam, że może byłoby miło... Założyć tę suknię na próbę. Choćby tylko na jeden wieczór.

– Rozumiem. Dobrze wiedzieć, że zachowałeś jeszcze trochę rozsądku. Skrzywiłam się.

– Kto cię nauczył tak układać fryzury?

Jej dłonie znieruchomiały, lecz po chwili kontynuowały swój taniec.

– Matka nauczyła tego mnie i moją siostrę. A ją wcześniej uczyła jej matka.

– Zawsze należałaś do Dworu Wiosny?

– Nie – odparła, wsuwając tu i ówdzie szpilki do włosów. – Pierwotnie należeliśmy do Dworu Lata. Moi krewni wciąż tam przebywają.

– Jak się tu znalazłaś?

Alis spojrzała mi w oczy w lustrze. Minę miała bardzo zaciętą.

– Przybyłam tu z własnego wyboru. Krewni twierdzili, że oszalałam. Ale moją siostrę i jej



towarzysza zabito, a ich synowie... – Odkaszlnęła, tak jakby słowa nie chciały jej przejść przez gardło. – Przybyłam tu, aby zrobić, co tylko mogłam. – Poklepała mnie po ramieniu. – Możesz się obejrzeć.

Przyjrzałam się mojemu odbiciu w lustrze, po czym wybiegłam z komnaty, póki miałam jeszcze odwagę to zrobić.

\*\*\*

Musiałam cały czas zaciskać pięści, aby nie wycierać spoconych dłoni o suknię. Gdy stanęłam pod drzwiami jadalni, naszła mnie nagle chęć pobiegnięcia na górę i przebrania się z powrotem w tunikę i spodnie. Jednak wiedziałam, że już mnie usłyszeli lub wywęszyli, czy też wykryli moją obecność jakimś swoim innym nieludzkim zmysłem. Ucieczka tylko pogorszyłaby sytuację. Zebrałam się więc w sobie i otworzyłam drzwi.

O czymkolwiek rozmawiali Tamlin z Lucienem, momentalnie przestali i spojrzeli na mnie rozszerzonymi ze zdziwienia oczami. Starłam się nie patrzeć na nich, zмирzając spokojnie do mojego miejsca na końcu stołu.

– Cóż, jestem już spóźniony na niezmiernie ważne spotkanie – powiedział Lucien i zanim zdołałam zarzucić mu bezczelne kłamstwo lub choćby błagać, żeby został, właściciel lisiej maski opuścił jadalnię.

Czułam pełen ciężar skoncentrowanej na mnie uwagi Tamlina. Obserwował każdy mój oddech i każdy, nawet najdrobniejszy ruch. Udawałam, że podziwiam kandelabry stojące na gzymsie kominka. Nie przychodziło mi do głowy nic, co nie zabrzmiałoby absurdalnie. Jednak z jakiegoś powodu moje usta same z siebie uznały za stosowne zacząć się poruszać.

– Siedzisz tak daleko ode mnie. – Wskazałam gestem dłoni dzielący nas długi stół. – Równie dobrze mógłbyś być w sąsiednim pomieszczeniu.

Większość stołu nagle zniknęła i oto Tamlin, nie zmieniając nawet pozycji na krześle, siedział ledwie dwie stopy ode mnie. Poczułam, że brakuje mi tchu i niemal przewróciłam się w tył razem z krzesłem. Widząc zdumienie, z jakim przyglądałam się niewielkiemu stolikowi stojącemu teraz między nami, roześmiał się głośno.

– Lepiej? – zapytał.

Starłam się nie zważać na metaliczną woń magii.

– Jak... Jak to zrobiłeś? Gdzie się podziała reszta stołu?

Przechylił głowę.

– Pomiędzy. Możesz na to spojrzeć jak na schówek na szczotki wciśnięty między pęcherze świata. – Rozprostował ramiona i zatoczył głowę krąg, jakby walczył z bólem mięśni.

– Czy to cię wyczerpuje? – Pot lśnił na potężnej kolumnie jego szyi.

Przestał się rozciągać i położył dłonie płasko na stole.

– Kiedyś przychodziło mi to równie łatwo co oddychanie. Ale teraz... Teraz wymaga ode mnie koncentracji.

Z powodu piętna, jakie odcisnęła na nim magiczna plaga gnębiąca Prythian.

– Mogłeś po prostu się przesiąść.

Tamlin uśmiechnął się z samozadowoleniem.

– I przepuścić tak doskonałą okazję popisania się przed piękną kobietą? Nigdy. –

Uśmiechnęłam się, spuszczać wzrok. – Bo wyglądasz naprawdę pięknie – powiedział ciszej. – Mówię szczerze – dodał, gdy skrzywiłam się ironicznie. – Nie widziałas się w lustrze?

Chociaż na szyi wciąż widniał brzydki siniak, to musiałam przyznać, że istotnie wyglądałam ładnie. Kobieco. Nie posunęłabym się do nazwania się piękną, ale... Nie skuliłam się na jego słowa. Kilka miesięcy spędzonych tutaj uczyniło cuda dla moich nieładnych rysów.

Mogłam się wręcz pokusić o stwierdzenie, że moje oczy zaczęło rozjaśniać jakieś wewnętrzne światło. Moje oczy, nie oczy matki czy Nesty. *Moje*.

– Dziękuję – powiedziałam.

Szczęśliwie dla mnie nie musiałam mówić nic więcej, gdyż Tamlin zaczął nakładać nam obojgu jedzenie. Uniosłam wzrok znad talerza i spojrzałam na niego dopiero wtedy, gdy żołądek miałam już wypełniony po brzegi.

Siedział odchyłony na oparcie krzesła, chociaż ramiona miał spięte, a minę – poważną. Od kilku dni nie musiał interweniować na granicy. Ostatni raz wrócił zmęczony walką i umazany krwią jeszcze przed Nocą Ognia. A jednak... Wyraźnie wciąż przeżywał śmierć tego bezimiennego fae z Dworu Lata z odpiłowanymi skrzydłami. Jakież żal, jakie brzemię musiał nosić z powodu wszystkich innych, których śmierć oglądał w tym krwawym konflikcie? Zmarłych z powodu magicznej plagi lub starć na granicach? Książę fae wysokiego rodu. Pozycja, której nie chciał i której się nie spodziewał, a której ciężar znosił najlepiej, jak tylko zdołał.

– Chodź – powiedziałam, wstając z krzesła i ciągnąc go za rękę. Wyczułam palcami zgrubienia na jego dłoni. Po chwili odwzajemnił uścisk i spojrzał na mnie pytająco. – Mam coś dla ciebie.

– Dla mnie? – spytał podejrzliwie i wstał z ociąganiem.

Wyprowadziłam go z jadalni. Gdy zaraz za drzwiami chciałam puścić jego rękę, on tylko wzmocnił uchwyt. Przyspieszyłam kroku, tak jakbym mogła wyprzedzić moje bijące w opętańczym tempie serce lub zostawić za sobą onieśmielającą wieczną obecność mężczyzny, który szedł obok mnie. Poprowadziłam go długim korytarzem do mojej pracowni. Puścił moją dłoń, dopiero gdy sięgnęłam po klucz. Nagle pozbawiona ciepła jego palców skóra mojej dłoni na chwilę ścierpła.

– Wiedziałem, że poprosiłaś Alis o klucz, ale nie sądziłem, że naprawdę będziesz zamykać tę komnatę.

Rzuciłam mu kose spojrzenie przez ramię i otworzyłam drzwi.

– W tym domu wszyscy wszystkich szpiegują. Nie chciałam, żebyś ty albo Lucien przyszedł tu, zanim wszystko będzie gotowe.

Weszłam do ciemnego pomieszczenia, odchrząknęłam i czekałam, aż zapali świece. Zajęło mu to więcej czasu niż poprzednio. Zastanawiałam się, czy sztuczka ze skróceniem stołu nie wyczerpała go przypadkiem bardziej, niż chciał przyznać. Suriel powiedział, że książęta są potężni, ale... Coś musiało być naprawdę nie tak, skoro tylko na tyle było go obecnie stać. Świece wokół zapalały się kolejno. Odepchnęłam zmartwienia na bok i weszłam głębiej do pomieszczenia. Wzięłam głęboki wdech i wskazałam ręką obraz stojący na sztaludze. Miałam nadzieję, że nie zwróci uwagi na płótna, które ustawiłam pod ścianami.

Niestety, obrócił się w miejscu, rozglądając się po całym pomieszczeniu.

– Wiem, że są dziwne – powiedziałam, ponownie walcząc z pokusą wytarcia spoconych dłoni o suknię. Nie wiedząc, co z nimi zrobić, założyłam je za plecami. – Doskonale zdaję sobie też sprawę z tego, że nie są takie... Że nie dorównują tym, które masz w swoich zbiorach, ale... – Podeszłam do obrazu stojącego na sztaludze. Był bardziej impresyjny niż realistyczny. – Chciałam ci pokazać ten – powiedziałam, wskazując na wymieszane smugi zieleni, złota, srebra i błękitu. – To dla ciebie. Prezent ode mnie. Za wszystko, co dla mnie zrobiłeś.

Rumieniec oblał moje policzki, uszy i szyję, gdy w milczeniu podeszedł do obrazu.

– To tamta polana. Ze stawem wypełnionym światłem gwiazd – wyjaśniłam cicho.

– Widzę, co to jest – wymruczał pod nosem, uważnie studiując płótno.

Cofnęłam się o krok. Czułam straszny wstyd; zaczynałam żałować, że go tu przyprowadziłam. To pewnie z powodu wina, które wypiliśmy do kolacji. Albo ta głupia suknia

odebrała mi rozum. Przyglądał się obrazowi przez niemożliwą do zniesienia wieczność. Gdy w końcu oderwał od niego wzrok, na moje nieszczęście spojrział na jedno z płócien stojących pod ścianą.

Poczułam nagłe ukłucie w żołądku. Rozmyty śnieżny pejzaż z nagimi drzewami i niczym więcej. Dla kogokolwiek poza mną musiał wyglądać jak... nudna zima. Już otwierałam usta, żeby się wytłumaczyć, żałując, że nie odwróciłam tych wszystkich płócien do ściany, ale Tamlin mnie ubiegł.

– To jest twój las. Ten, w którym polowałeś. – Podszedł bliżej i z uwagą przyglądał się bladej, zimnej pustce, bielom i szarościom zmieszanim z brązami i czernią. – Tak wyglądało twoje życie – dodał.

Czułam zbyt głębokie zażenowanie całą sytuacją, aby mu odpowiedzieć. Podszedł do obrazu obok. Ciemnego, operującego intensywnie brązem, z rozrzuconymi tu i ówdzie niewielkimi plamami rubinowej czerwieni i pomarańcza.

– Twoja chata nocą.

Usiłowałam się poruszyć, poprosić go, żeby przestał oglądać te obrazy i przyjrzał się płótnom, które specjalnie przyszykowałam, ale nie mogłam porządnie nabrać tchu. A on sukcesywnie przesuwiał się wzdłuż ściany. Opalona, silna męska dłoń wśród siana, z palcami zaciśniętymi na pasmach brązu przeplatane złotem – na moich włosach. Serce podeszło mi do gardła.

– Mężczyzna, z którym się widywałaś w swojej wiosce. – Przechylił głowę, przyglądając się uważniej przedstawionej scenie. Warknął cicho. – W trakcie waszych miłosnych igraszek. – Cofnął się i objął wzrokiem wszystkie obrazy. – Tylko ten jeden ma jakiegokolwiek jasne barwy.

Czyżby był... zazdrosny?

– To była moja jedyna ucieczka. – Mówiłam prawdę. Nie miałam zamiaru przeproszać za Izaaka. Nie po tym, co Tamlin dopiero robił podczas Nocy Ognia. Nie miałam mu tego za złe, ale jeśli miał zamiar wypominać mi Izaaka...

On również musiał to zrozumieć, ponieważ wziął głęboki wdech, wypuścił powietrze z płuc w długim westchnieniu i podszedł do kolejnego płótna. Długie cienie mężczyzn, jaskrawa czerwień skapująca z ich pięści, z drewnianych pałek. Napastnicy otaczali swoją ofiarę skuloną na podłodze w kałuży krwi, z nogą wygiętą pod nienaturalnym kątem.

Tamlin zaklął.

– Byłaś tam, gdy złamali twojemu ojcu nogę.

– Ktoś musiał ich błagać, żeby przestali.

Tamlin rzucił mi pełne zrozumienia spojrzenie, po czym wrócił do obrazów. Zawarłam w nich wszystkie rany, które stopniowo przelewałam na płótno przez ostatnich parę miesięcy. Zamrugałam. Parę miesięcy. Czy moja rodzina uwierzyła, że tyle czasu spędzam u zmyślonej umierającej ciotki? I że spędzę u niej resztę życia?

W końcu Tamlin spojrział na obraz przedstawiający polanę i światło gwiazd. Skinął głową z aprobatą, ale chwilę potem wskazał śnieżny pejzaż.

– Ten. Chcę ten.

– Jest zimny i przygnębiający – powiedziałam, starając się ukryć grymas. – Ani trochę nie pasuje do tego miejsca.

Podszedł do płótna i posłał mi uśmiech, który był o wiele wspanialszym prezentem niż jakakolwiek zaczarowana polana czy staw pełen gwiazd.

– Niemniej jednak właśnie tego chcę – powiedział łagodnym głosem.

Nigdy w życiu nie pragnęłam niczego bardziej niż zdjąć mu maskę i spojrzeć na kryjącą się pod nią twarz; dowiedzieć się, czy jest taka, jaką sobie wyśniłam.

– Powiedz mi, że można ci w jakiś sposób pomóc – wyszeptałam. – Z maskami, z jakimkolwiek zagrożeniem, które kosztowało cię tak dużą część twojej mocy. Powiedz mi... Po prostu powiedz mi, co mogę zrobić, aby ci pomóc.

– Człowiek chce pomóc fae?

– Nie drocz się ze mną – zachnęłam się. – Proszę, po prostu... Powiedz mi.

– Nie ma nic, co chciałbym, abyś zrobiła. Nic, co *mogłabyś* zrobić. Ty czy ktokolwiek inny. To moje brzemię i ja je muszę nosić.

– Nie musisz...

– Owszem, muszę. To, czemu muszę stawić czoła, to, z czym muszę się zmierzyć, Feyro... Ty byś tego nie przeżyła.

– Zatem mam dożyć swojej śmierci bez świadomości tego, co się tu naprawdę dzieje? Jeśli nie chcesz, żebym to zrozumiała... To czy wolałbyś... – Przełknęłam z trudem ślinę. – Czy wolałbyś, abym zamieszkała gdzie indziej? Gdzieś, gdzie nie będę tylko utrapieniem?

– Czy noc Calanmai niczego cię nie nauczyła?

– Tylko tyle, że pod wpływem magii stajesz się dzikusem.

Zaśmiał się, choć w jego śmiechu nie usłyszałam rozbawienia. Gdy nic więcej nie powiedziałam, westchnął ciężko.

– Nie, nie wolałbym, abyś zamieszkała gdzie indziej. Chcę, żebyś mieszkała tu, gdzie mogę się tobą zaopiekować. Gdzie wiem, że jesteś bezpieczna, gdy ja ruszam na wyprawę. Gdzie malujesz w spokoju i nic ci nie grozi.

Nie mogłam oderwać od niego wzroku.

– Początkowo rozważyłem odesłanie cię – mruknął. – Czasem dochodzę do wniosku, że powinienem znaleźć ci inne miejsce do zamieszkania. Ale może postąpiłem tak, a nie inaczej z egoizmu. Nawet gdy jasno zadeklarowałaś, że jesteś gotowa złamać zapisy Traktatu lub znaleźć jakieś ich obejście, nie mogłem się zmusić do odprawienia cię, do umieszczenia cię w jakiejś części Prythianu, gdzie czułabyś się wystarczająco dobrze, aby nie próbować uciec.

– Dlaczego?

Podniósł z podłogi płótno przedstawiające zimowy las i przyjrzał mu się ponownie.

– Miałem wiele kochanek – wyznał. – Kobiet wysoko urodzonych, wojowniczek, księżniczek... – Poczułam nagły przypływ gniewu. Na samą myśl o tych kobietach wezbrała we mnie dzika furia. Wściekłość na ich tytuły, na ich niewątpliwie wspaniałą urodę, na to, jak wiele je z nim łączyło... – Ale żadna z nich nie rozumiała. Nie pojmowała, co to znaczyło, co to wciąż dla mnie znaczy: dbać o moich poddanych, o moje ziemie. Jakie blizny nadal się nie zagoiły, jak się czuję w gorsze dni. – Uśmiechnął się do mojego dzieła i dzika zazdrość opadła ze mnie niczym poranna rosa z liści. – Ten obraz przypomina mi o tym.

– O czym? – zapytałam szeptem.

Opuścił płótno i spojrzał prosto na mnie, prosto we mnie.

– Że nie jestem sam.

Tej nocy nie zamknęłam drzwi do mojej sypialni na klucz.

## Rozdział 23

Następnego popołudnia leżałam na plecach w trawie, rozkoszując się ciepłymi promieniami słońca przebijającymi się przez baldachim liści i zastanawiając, jak mogłabym to oddać na kolejnym obrazie. Lucien stwierdził, że ma przykre obowiązki poselskie do wypełnienia, po czym zostawił Tamlina i mnie samym sobie. Księżę skorzystał z okazji i pokazał mi kolejne przepiękne miejsce w jego zaczarowanym lesie.

Tu jednak nie było nic zakłętego – żadnych gwiazdnych stawów, żadnych tęczowych wodospadów. Tylko porośnięta trawą polanka przecięta przejrzystym potokiem, nad którym zwieszała swe gałęzie wierzba płacząca. Wypoczywaliśmy w przyjemnej ciszy. Zerknęłam na drzemiącego obok Tamlina. Jego złociste włosy i złota maska odcinały się wyraźnie na tle szmaragdowego dywanu. Zatrzymałam na chwilę wzrok na delikatnym łuku jego spiczastych uszu.

Otworzył jedno oko i uśmiechnął się do mnie leniwie.

– Śpiew tej wierzby zawsze mnie usypia.

– Jaki znowu śpiew? – zapytałam, unosząc się na łokciach i wpatrując się podejrzliwie w drzewo.

Tamlin wskazał je dłonią. Jakby na zawołanie wiatr poruszył gałęziami drzewa.

– Ona śpiewa.

– Pewnie nuci żołnierskie limeryki?

Uśmiechnął się i również uniósł się na łokciu, obracając się w moją stronę.

– Jesteś człowiekiem – stwierdził. Przewróciłam oczami. – Twoje zmysły są wciąż odcięte od wszystkiego wkoło.

Zrobiłam obrażoną minę.

– To po prostu kolejny z moich licznych braków.

Nie zrozumiał aluzji. Sięgnął dłonią ku mojej twarzy i wyjął mi źdźbło trawy z włosów. Gdy musnął palcami szyję, twarz zapłonęła mi rumieńcem.

– Mogłbym sprawić, abyś to zobaczyła. – Ujął kosmyk moich włosów i zaczął owijać go sobie wokół palca. – Abyś ujrzała, usłyszała i poczuła mój świat. – Usiadł, a ja zaczęłam szybciej oddychać. – Abyś poczuła jego smak. – Zauważyłam, jak na chwilę spojrzał na siniec blednący na mojej szyi.

– Jak? – zapytałam, rumieniąc się po czubki uszu.

Tamlin uklęknął przede mną.

– Każdy dar ma swoją cenę. – Gdy zmarszczyłam brwi, wyszczerzył zęby w uśmiechu. – W tym przypadku ceną będzie pocałunek.

– Absolutnie wykluczone! – Ale na samą sugestię krew popłynęła żywiej w moich żyłach, a ja musiałam zacisnąć dłonie na trawie, żeby nie sięgnąć ku niemu i go nie dotknąć. – Czy nie sądzisz, że dopóki jestem odcięta od tego wszystkiego, zagrożenie jest większe?

– Należę do fae wysokiego rodu, a my nigdy nic nie dajemy, jeśli jednocześnie nie zyskujemy czegoś w zamian.

– No dobrze, zgoda – powiedziałam ku swojemu zaskoczeniu.

Zamrugał, lekko zdziwiony. Zapewne spodziewał się, że będę oponowała bardziej zdecydowanie. Stłumiłam uśmiech zakradający się na moje usta i usiadłam na wprost niego, swoimi kolanami dotykając jego kolan. Oblizawałam wargi. Moje serce biło w opętającym tempie, tak jakby z piersi usiłował się wyrwać koliber.

– Zamknij oczy – powiedział, a ja posłuchałam, chwytając mocniej trawę.

Ptaki świergotały, gałęzie wierzby wzdychały. Trawa zaszeleściła, gdy Tamlin zmienił pozycję. Cała się spięłam, gdy pocałował najpierw jedną, a potem drugą moją powiekę. Jednak zaraz potem odsunął się, a ja całkowicie straciłam dech. Skóra wciąż mrowiła w miejscach jego pocałunków.

Śpiew ptaków przerodził się w potężny chór radosnych plotek. Nigdy dotąd nie słyszałam naraz tylu warstw muzyki, tylu wariacji, tylu motywów przeplatających się ze sobą między kolejnymi arpeggiami. Zaś poza śpiewem ptaków brzmiała inna, nieziemska melodia. Kobieta – wierzba – śpiewała tęsknie i rzewnie... Nabrałam gwałtownie powietrza i otworzyłam oczy.

Świat wydawał się bogatszy i wyraźniejszy. Przecinający polanę potok zmienił się w niemal niewidoczną tęczą wody omywającej kamienie o powierzchni gładkiej niczym jedwab. Drzewa spowijało ledwo zauważalne migotanie światła wydobywającego się z ich pni i tańczącego na krawędziach liści. Nie czułam jednak drażniącego metalicznego smrodu magii. Nie, jej zapach przypominał woń jaśminu, lilii czy róż. Nigdy nie będę w stanie namalować tego bogactwa, oddać tego uczucia... Może małe ułamki, ale nigdy całość.

Magia... *Wszystko* wkoło było magią i wprost raniło mi serce.

Wtedy spojrzałam na Tamlina i moje ranne serce pękło na dwie połowy.

Był taki sam, a zarazem innym. Był Tamlinem z moich snów: o skórze lśniącej złociście, głowie okolonej aureolą słonecznego światła. Jego oczy zaś...

Nie były zwyczajnie zielono-złote, lecz mieniły się każdym odcieniem, każdą barwą, jaką tylko można było sobie wyobrazić, tak jakby wszystkie liście z całego lasu zlały się w jeden kolor. *To* był prawdziwy książę Prythianu – oszałamiająco przystojny, zniewalający, potężniejszy, niż można sobie wyobrazić.

Wyciągnęłam rękę i dotknęłam brzegu jego maski. Odebrało mi dech. Zimny metal ranił czubki moich palców, a szmaragdy prześlizgiwały się pod moim dotykiem. Uniosłam drugą rękę i ostrożnie ujęłam maskę z obu stron, po czym lekko pociągnęłam. Ani drgnęła.

Uśmiechnął się, gdy ponowiłam próbę. Zamrugłam zdezorientowana i opuściłam rękę. Momentalnie złocisty, lśniący Tamlin zniknął i powrócił ten, którego widywałam codziennie od wielu miesięcy. Wciąż słyszałam śpiew wierzby i chór ptaków, ale...

– Dlaczego już cię nie widzę?

– Ponieważ przywróciłem okrywający mnie urok.

– Dlaczego?

– Żeby wyglądać normalnie. Albo przynajmniej na tyle normalnie, na ile jest to w ogóle możliwe w tej cholernej masce. Bycie księciem, nawet... z ograniczoną mocą, wyciska na ciele fizyczne piętno. To dlatego nie mogłem ukryć przed braćmi tego, czym się stawałem. Przed nimi czy przed kimkolwiek innym. Łatwiej jest wmieszać się w tłum.

– Ale maski naprawdę nie da się zdjąć... Czy jesteś pewien, że nie ma nikogo, kto by znał sposób odwrócenia tego, co magia spowodowała tamtej nocy? Nawet na innych dworach?

Sama do końca nie rozumiałam, dlaczego ta maska tak mi przeszkadzała. Nie musiałam widzieć całej jego twarzy, aby go dobrze poznać.

– Przykro mi, że cię rozczarowuję.

– Ja tylko... Chcę wiedzieć, jak wyglądasz.

„Kiedy stałam się taka małostkowa?”

– A jak myślisz, jak wyglądam?

Przechyliłam głowę na bok.

– Mocny, prosty nos – powiedziałam, czerpiąc z tego, co kiedyś próbowałam namalować.

– Wysoko osadzone kości policzkowe uwydatniające twoje oczy. Lekko... Lekko wygięte brwi – dokończyłam i oblałam się rumieńcem. Wyszczrzył się w tak szerokim uśmiechu, że niemal

widziałam wszystkie jego zęby – bez zwierzęcych kłów. Spróbowałam wymyśleć jakąś wymówkę dla swojej bezpośredniości, ale nagle ziewnęłam potężnie i poczułam ołowiany ciężar na powiekach.

– A jak będzie z twoją częścią umowy?

– Słucham?

Nachylił się w moją stronę, uśmiechając się nieco drapieżnie.

– Co z moim pocałunkiem?

Chwyciłam jego palce.

– Proszę bardzo – powiedziałam i przycisnęłam mocno usta do wierzchu jego dłoni. – Oto twój pocałunek.

Tamlin zaniósł się głośnym śmiechem. Świat wokół mnie rozmył się, a mnie zaczęła ogarniać nieodparta senność. Wierzba namawiała mnie, abym się położyła. Posłuchałam. Gdzieś z oddali dobiegło mnie ciche przekleństwo Tamlina.

– Feyro?

Spać, chciałam spać. A nie było lepszego miejsca na sen niż właśnie tutaj, gdzie mogłam wsłuchać się w śpiew wierzby, świergot ptaków i szum strumyka. Zwinęłam się w kłębek, składając głowę na ramieniu.

– Powinienem cię zanieść do domu – mruknął pod nosem książkę, ale nie zrobił żadnego ruchu, aby mnie podnieść. Zamiast tego poczułam lekkie drgnięcie ziemi. Na moją twarz spadło kilka kropelek rosy, a nos wypełnił mi zapach świeżej trawy i jego skóry. Tamlin leżał obok mnie i głaskał mnie po głowie, wywołując przyjemne mrowienie.

To był taki cudowny sen. Nigdy w życiu nie spałam tak dobrze. Było mi tak ciepło, gdy się w niego wtulałam. Ogarnął mnie taki błogi spokój. W moim sennym świecie rozległo się słabe echo cichych słów. Oddech Tamlina pieścił moje ucho.

– Ty też jesteś dokładnie taka jak w moich snach.

A potem wszystko pochłonęła ciemność.

## Rozdział 24

Nie obudziły mnie promienie porannego słońca, lecz natrętne bzyczenie. Jęknęłam, siadając na łóżku, i spojrzałam przez przymrużone powieki na tęgawą kobietę o skórze przypominającej korę drzewa, która krzątała się przy moim śniadaniu.

– Gdzie jest Alis? – zapytałam, przecierając oczy. Tamlin musiał mnie przynieść aż tutaj. Całą drogę z lasu do mojej sypialni.

– Słucham? – Nieznajoma obróciła się do mnie. Jej ptasia maska wyglądała znajomo... Ale zapamiętałabym fae o tak dziwnej skórze. Już dawno bym ją namalowała.

– Czy Alis źle się czuje? – zapytałam, zsuwając nogi z łóżka. To chyba był mój pokój... Rozejrzałam się szybko. Tak, to była moja sypialnia.

– Czy ty aby nie upadłaś na głowę? – zapytała służąca. Przygryzłam wargę. – Przecież Alis to ja. – Cmoknęła z dezaprobatą i pokręciła głową, po czym ruszyła przygotować moją kąpiel.

To było niemożliwe! Alis była pulchna i wyglądała jak fae wysokiego rodu.

Potarłam powieki. Urok. Tamlin powiedział, że okrył się urokiem. Jego dar pozwolił mi przejrzeć wszystkie czary, które mnie dotąd miały. Ale dlaczego zmienił też wygląd innych?

Ponieważ jestem nędzną człeczyną, ot co. Ponieważ Tamlin wiedział, że gdybym na samym początku ujrzała wszystkich w ich prawdziwych postaciach, zamknęłabym się na cztery spusty w swojej komnacie i nigdy więcej jej nie opuściła.

Sprawy przybrały jeszcze gorszy obrót, gdy zesłam na dół w poszukiwaniu księcia. W korytarzach krzątały się całe zastępy zamaskowanych istot, których nigdy wcześniej nie widziałam. Niektóre były wysokie i człekokształtne, fae wysokiego rodu podobnie jak Tamlin. Inne... zupełnie go nie przypominały. Na te starałam się jednak w ogóle nie patrzeć, ponieważ sprawiały wrażenie najbardziej zaskoczonych rzucanymi im spojrzeniami.

Gdy dotarłam do jadalni, niemal cała dygotałam. Szczęśliwie Lucien wyglądał jak Lucien. Nie zapytałam, czy – uprzedzony przez Tamlina – celowo utrzymywał urok, czy też nigdy nie próbował udawać czegoś, czym nie był.

Tamlin siedział na swoim zwykłym miejscu. Gdy nie ruszałam się spod drzwi, wyprostował się na krześle.

– Co się stało?

– W domu jest... mnóstwo ludzi. Chciałam powiedzieć: istot. Kiedy oni wszyscy przybyli?

Wcześniej niemal wrzasnęłam, kiedy wyjrzałam przez okno sypialni i dostrzegłam licznych fae w ogrodzie. Wielu z nich – wszyscy noszący owadzie maski – przycinało żywopłoty i pielęgnowało kwiaty. Ci wydawali się najdziwniejsi ze wszystkich: o opalizujących, trzepoczących skrzydłach wyrastających z pleców. Obrazu dopełniała zielono-brązowa skóra, nienaturalnie długie kończyny i...

Tamlin przygryzł wargę, usiłując powstrzymać uśmiech cisnący się na usta.

– Byli tu cały czas.

– Ale... Ale przecież niczego nigdy nie słyszałam.

– Oczywiście, że nie słyszałaś – wtrącił leniwie Lucien, bawiąc się jednym ze swoich sztyletów. – Dopilnowaliśmy, abyś nie ujrzała ani nie usłyszała nikogo, kogo nie musiałaś widzieć i słyszeć.

Poprawiłam tunikę.

– Chcesz powiedzieć, że... że kiedy pobiegłam za puką...



– Miałaś całkiem sporą widownię – dokończył za mnie Lucien.

A myślałam, że tak dobrze się skradałam. Tymczasem przechodziłam na palcach koło licznych fae, którzy zapewne śmiali się do rozpuku ze ślepej ludzkiej kobiety idącej za iluzją.

Walcząc z coraz silniejszym wstydem, zwróciłam się do Tamlina. Usta mu drgały. Zacisnął je mocno, ale w jego oczach wciąż tańczyło rozbawienie.

– Wykazałaś się dużą odwagą – powiedział, kiwając głową.

– Ale widziałam przecież nagi i pukę. I suriela. I... i tę istotę, której skrzydła były... oderwane. – Skrzywiłam się na samo wspomnienie tamtej nocy. – Dlaczego twoje uroki nie działały na nich?

Oczy mu pociemniały.

– Nie należą do mojego dworu – wyjaśnił. – Dlatego mój urok ich nie objął. Puka należy do wiatru, pogody i tego wszystkiego, co zmienne. A nagi... One należą do kogo innego.

– Rozumiem – skłamałam. Lucien zachichotał, wiedząc, że nie mam pojęcia, o czym mówi Tamlin. Spojrzałam na niego groźnie. – Ciebie ostatnio bardzo często nie było.

Zaczął czyścić paznokcie czubkiem sztyletu.

– Byłem zajęty. Ty również nie próżnowałaś, jak mniemam?

– Co to ma niby znaczyć?

– Jeśli obiecuję ci księżyc na sznurku, mnie też pocałujesz?

– Nie bądź takim palantem – skarcił go Tamlin z lekkim parsknięciem, ale Lucien tylko się roześmiał. Śmiał się cały czas, aż zniknął za drzwiami jadalni.

Zostałam z Tamlinem sama. Przystąpiłam z nogi na nogę.

– Gdybym więc ponownie spotkała attora, zobaczyłabym go? – zapytałam głównie po to, aby przerwać krępującą ciszę.

– Tak. I nie byłby to miły widok.

– Powiedziałeś wtedy, że mnie nie widział. A zdecydowanie nie sprawiał wrażenia członka twojego dworu. Dlaczego mnie nie dostrzegł?

– Ponieważ rzuciłem na ciebie urok, gdy tylko weszliśmy do ogrodu – odparł. – Attor nie mógł cię zobaczyć, usłyszeć ani wywęszyć. – Jego wzrok powędrował do jednego z okien. Przeczesał palcami włosy. – Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, aby uczynić cię niewidzialną dla stworów takich jak on. I tych o wiele gorszych. Plaga ponownie daje o sobie znać i coraz więcej jemu podobnych zrywa swoje pęta.

Strach ścisnął mi żołądek.

– Jeśli zobaczysz jednego z nich – ciągnął Tamlin – nawet jeżeli będzie wyglądać niegroźnie, ale z jakiegoś powodu będziesz się przy nim czuła nieswojo, udawaj, że go nie widzisz. Nie odzywaj się do niego. Jeśli cię skrzywdzi... Skutki nie byłyby przyjemne ani dla niego, ani dla mnie. Pamiętaj, jak wyglądało spotkanie z nagami.

Chodziło o moje bezpieczeństwo, nie jego zabawę. Nie chciał, żeby mi się coś stało, a także nie chciał być zmuszony karać jednej z tych istot za zrobienie mi krzywdy. Czy zabicie nag sprawiło mu ból, nawet jeśli nie należały do jego dworu?

Po paru chwilach milczenia zorientowałam się, że wciąż czeka na moją odpowiedź. Skinęłam głową.

– Plaga... Plaga ponownie się rozprzestrzenia? – zapytałam.

– Na razie tylko w innych krainach. Tu jesteś bezpieczna.

– Nie o moje bezpieczeństwo się obawiam.

Wzrok Tamlina złagodniał, ale minę miał dalej zaciętą.

– Poradzę sobie.

– Czy to możliwe, że nagły nawrót tej plagi jest tymczasowy? – spytałam z naiwną

nadzieją.

Milczał, co samo w sobie stanowiło odpowiedź. Jeśli plaga ponownie atakowała... Nie zaoferowałam się z pomocą, gdyż wiedziałam z góry, że nie pozwoli mi się włączyć w ten tajemniczy konflikt – na czymkolwiek on polegał.

Pomyślałam jednak o obrazie, który mu podarowałam, i o tym, co o nim powiedział... I bardzo zapraǳnęłam, aby nie trzymał mnie z daleka od wszystkiego.

\*\*\*

Następnego ranka znalazłam w ogrodzie głowę.

Zakrwawioną głowę męskiego przedstawiciela fae wysokiego rodu nadzianą na dziób kamiennej czapli zrywającej się do lotu, zdobiącej jedną z fontann. Kamień był pokryty zaschniętą krwią, czyli głowa została tu umieszczona wkrótce po odcięciu.

Dostrzegłam ją, gdy niosłam sztalugę i farby do ogrodu, aby namalować jeden z klombów irysów. Wszystkie przybory wylądowały z głośnym klekotem na żwirze alejki.

Całkowicie zapomniałam, po co tu przyszłam, i tylko patrzyłam oniemiała na tę groteskową dekorację. Na rozwarłe w niemym krzyku usta, na wybałuszone piwne oczy, na połamane zęby i zakrwawione dziąsła. Twarzy trupa nie przesłaniała maska, nie należał więc do Dworu Wiosny. To była jednak jedyna wskazówka, jaką udało mi się dostrzec.

Krew jaskrawo odcinała się od szarego kamienia. Usta były wykrzywione w odrażającym grymasie. Cofnęłam się i wpadłam na coś ciepłego i twardego.

Obróciłam się błyskawicznie, instynktownie unosząc zaciśnięte pięści, ale szczęśliwie był to Tamlin.

– To tylko ja – powiedział. Obok niego stał z ponurą miną poblady Lucien.

– Nie jest z Dworu Jesieni – stwierdził książęcy poseł. – Nie poznaję go.

Zacząłam się obracać z powrotem w stronę fontanny, ale Tamlin chwycił mnie mocno za ramiona i unieruchomił w miejscu.

– Ja też nie – powiedział głosem zabarwionym złością. Z jego dłoni nie wysunęły się na szczęście pazury i nie pocięły mi rękawów tuniki. Trzymał mnie mocno i nie pozwalał się odwrócić, podczas gdy Lucien wszedł do fontanny, przebrnął przez zabarwioną na czerwono wodę i przyjrzał się z bliska zastygłej w strasznym grymasie twarzy.

– Za uchem ma wypalony znak – powiedział, po czym przeklął szpetnie. – Górę z trzema gwiazdami...

– Dwór Nocy – stwierdził ledwo słyszalnie Tamlin.

Dwór Nocy. Najdalej na północ wysunięta część Prythianu, jeśli dobrze zapamiętałam mapę wymalowaną na ścianie biblioteki. Kraina ciemności i blasku gwiazd.

– Dlaczego... Dlaczego zrobili coś takiego? – zapytałam szeptem.

Tamlin puścił mnie i stanął obok. Odwróciłam się. Lucien właśnie wspinał się na posąg czapli, najwyraźniej chcąc zdjąć głowę z dziobu. Przeniosłam spojrzenie na kwitnącą jabłonkę.

– Dwór Nocy robi to, co mu się podoba – wyjaśnił Tamlin. – Żyją wedle własnych zasad i uznają tylko swoją wypaczoną moralność.

– Sadystyczni mordercy, co do jednego – dodał Lucien. Spojrzałam na niego ukradkiem. Siedział już na skrzydle czapli. Ponownie odwróciłam wzrok. – Uwielbiają dręczyć innych i zadawać ból na wiele różnych sposobów. Taki wybryk jest według nich zabawny.

– Zabawny wybryk, nie wiadomość? – Rozejrzałam się po ogrodzie.

– Och, ależ jak najbardziej zostawili nam wiadomość – powiedział Lucien. Wzdrygnęłam się na dochodzące ze strony fontanny mlaszczące odgłosy i zgrzyt kości ocierającej się o kamień. Oskórowałam w swoim życiu wiele zwierząt, ale coś takiego... Tamlin położył dłoń na moim

ramieniu. – Dają nam do zrozumienia, że potrafią prześlizgnąć się między naszymi patrolami, zabić kogoś na naszych ziemiach, na co wskazywałaby wciąż świeża krew... – Moich uszu dobiegł głośny podwójny plusk. Lucien musiał właśnie zeskoczyć z powrotem do wody. – Jest to zdecydowanie coś, co książę Dworu Nocy uznałby za wielce zabawne. Stary drań.

Oceeniłam odległość dzielącą fontannę od rezydencji. Sześćdziesiąt, może siedemdziesiąt stóp. Dotarli bardzo blisko nas... Tamlin potarł moje ramię kciukiem.

– Nadal jesteś tu bezpieczna. To tylko element ich wypaczonego poczucia humoru.

– I nie ma żadnego związku z plagą? – zapytałam.

– Jedyne takie, że oni również wiedzą, iż czeka nas kolejna jej fala. I chcą, żebyśmy byli świadomi, że krążą wokół Dworu Wiosny niczym sępy i tylko czyhają na dalsze osłabienie naszych zakłębionych. – Musiałam wyglądać równie podle, jak się czułam, ponieważ Tamlin dodał uspokajająco: – Nie dopuszczę do tego.

Nie miałam serca zauważyć, że maski dość wyraźnie świadczyły o ich niemocy i bezradności wobec tej tajemniczej magicznej plagi.

Lucien wydostał się z fontanny, ale nie mogłam się zdobyć na spojrzenie na niego. Nie kiedy niósł tę odciętą głowę, z rękoma i ubraniem z pewnością poplamionymi krwią.

– Przyjdzie czas, że zapłacą za swoją bezczelność. Mam szczerą nadzieję, że plaga również im da się we znaki. – Tamlin warknął na Luciena, polecając mu pozbyć się głowy. Żwir zachrząścił pod stopami oddalającego się posła.

Przykucnęłam, aby pozbierać farby i pędzle, ale ręce mi się trzęsły i wszystko mi z nich leciało. Tamlin przyklęknął obok mnie, ujął moje dłonie i ścisnął je pocieszająco.

– Nadal nic ci nie grozi – zapewnił mnie ponownie. W myślach zabrzmiały mi słowa suriela: „Trzymaj się księcia. Przy nim będziesz bezpieczna”.

Kiwnęłam głową.

– To tylko rozgrywki między dworami – dodał. – Dwór Nocy potrafi być groźny, ale to był jedynie ponury żart ich księcia. Zaatakowanie kogokolwiek tutaj, w tym ciebie, przyniosłoby mu więcej kłopotów niż korzyści. Jeśli plaga istotnie dotknie moich ziem i sługusy Dworu Nocy wedrą się w moje granice, będziemy gotowi.

Kolana mi zadrżały, gdy wstawałam. Polityka fae, dwory fae...

– Zapewne żartowali w jeszcze gorszy sposób, gdy byliśmy waszymi niewolnikami. Pewnie torturowali nas dla rozrywki? Pewnie dopuszczali się niewypowiedzianych okrucieństw wobec swojego ludzkiego „inwentarza”?

Cień przesłonił na chwilę oczy Tamlina.

– Czasem bardzo się cieszę, że wciąż byłem dzieckiem, gdy ojciec odesłał swoich niewolników na południe od muru. Dość mi tego, czego wtedy byłem świadkiem.

Nie chciałam sobie tego wyobrażać. Nawet po tylu tygodniach nie potrafiłam się jeszcze zdobyć na poszukanie jakichkolwiek śladów ludzi, którzy mieszkali tu wieki temu. Nie uważałam, że pięćset lat wystarczy, aby zetrzeć z tych ziem ślad wszystkich okropieństw, które spotkały tu śmiertelnych. Powinnam dać temu spokój – powinnam, ale nie mogłam się przemóc.

– Pamiętasz może, czy cieszyli się, że pozwolono im odejść?

Tamlin wzruszył ramionami.

– Tak. Lecz nigdy wcześniej nie zaznali wolności ani nie znali pór roku takimi, jakimi ty je znasz. Zupełnie nie wiedzieli, jak sobie radzić w śmiertelnym świecie. Ale owszem, większość z nich bardzo, ale to bardzo się cieszyła z możliwości odejścia. – Kolejne słowa przechodziły mu przez gardło z coraz większym trudem. – Ja też się cieszyłem, że odchodzą. Chociaż mój ojciec bynajmniej nie podzielał tej radości. – Pomimo pozornego spokoju i swobodnej pozycji pazury mimowolnie wysunęły się z jego palców.

Nic dziwnego zatem, że na samym początku, gdy mnie tu sprowadził, był taki skrępowany w mojej obecności; że nie wiedział, jak ze mną postępować.

– Tamlinie, nie jesteś swoim ojcem – powiedziałam cicho. – Ani braćmi. – Odwrócił wzrok. – Ani razu nie sprawiłeś, żebym poczuła się tu więźniem czy kolejnym elementem wystroju.

Cienie przemykające w jego oczach, gdy skinął mi głową, wskazywały, że nie powiedział mi jeszcze wielu rzeczy na temat swojej rodziny oraz własnego życia przed ich śmiercią i odziedziczeniem niechcianego tytułu. Ja zaś nie chciałam go o to pytać. Nie w sytuacji, gdy widmo magicznej plagi ponownie atakującej jego ziemie tak bardzo go gnębiło. Nie, dopóki nie będzie gotowy mi o tym opowiedzieć. On zachował wobec mnie odpowiedni dystans i okazał mi szacunek. Byłam mu winna co najmniej to samo.

Niemniej jednak tego dnia nie zdołałam już nic namalować.

## Rozdział 25

Kilka godzin po znalezieniu odciętej głowy w ogrodzie Tamlin musiał ruszyć na jedną z granic swoich ziem. Nie chciał mi powiedzieć, gdzie dokładnie się wybiera i dlaczego. Jednak udało mi się dość wydedukować z tego, czego nie powiedział: magiczna plaga istotnie przesączała się przez granice z innych dworów i zmierzała ku jego włościom.

Po raz pierwszy, odkąd tu przybyłam, nie wrócił na noc, ale wysłał Luciena z wiadomością, że żyje. Lucien podkreślił ostatnie słowo w tak specyficzny sposób, że tej nocy bardzo kiepsko spałam. Jednocześnie gdzieś z boku umysłu przycupnęła natrętna myśl, każąca mi się zastanawiać, dlaczego Tamlin w ogóle zadał sobie trud, żeby dać mi znać o sobie. Wiedziałam... Wiedziałam, że podążał ścieżką, która najpewniej doprowadzi do pęknięcia mojego śmiertelnego serca, a jednak... A jednak nie mogłam się powstrzymać. Nie potrafiłam – od czasu potyczki z nagami. Ale gdy zobaczyłam tę odciętą głowę... Gdy zobaczyłam, jak wyglądają rozgrywki między dworami fae, dla których inne istoty są jedynie pionkami w skomplikowanej grze... Za każdym razem, kiedy o tym pomyślałam, wzbierały we mnie mdłości.

Jednak pomimo nadciągającego zagrożenia rano obudził mnie wesoły dźwięk skrzypek. Wstałam i wyjrzałam przez okno: cały ogród udekorowano wielobarwnymi wstążkami i serpentynami. Na odległych wzgórzach dostrzegłam przygotowywane ogniska i stawiane słupy majowe. Gdy spytałam o to Alis (która w jednej z naszych rozmów wyjaśniła mi już, że jej gatunek nazywa się urisk), odparła:

– Przygotowują się do świętowania przesilenia letniego. Kiedyś główne obchody zawsze odbywały się na ziemiach Dworu Lata, ale... Teraz jest inaczej. Tak czy owak, urządzamy tu własne święto. W którym weźmiesz oczywiście udział.

Lato... Przez te tygodnie, które upłynęły mi na malowaniu, wieczernaniu z Tamlinem i przemierzaniu razem z nim jego włości, nadeszło lato. Czy moja rodzina wciąż wierzyła w wersję o odwiedzinach u szczęśliwie odnalezionnej ciotki? Jak oni sobie radzili? Skoro nadszedł już czas przesilenia, w centrum wioski zbiorą się ludzie... Nie będzie oczywiście żadnych ceremonii religijnych (choć Dzieci Błogosławionych mogą chcieć wykorzystać tę okazję do prób nawrócenia kilku osób), tylko trochę jedzenia, darmowe piwo z gospody, może jakiś wspólny taniec. Ludzie „świętowali” tylko dzień odpoczynku od długich letnich dni wypełnionych pracą w polu. A tutaj... Wszechobecne dekoracje i czynione jeszcze przygotowania wyraźnie wskazywały, że świętowanie będzie dużo huczniejsze i bardziej „religijne”.

Tamlina nie było przez większość dnia. Cały czas zżerała mnie troska o niego, która nie opuściła mnie ani na chwilę – nawet wtedy, gdy na szybko namalowałam udekorowany ogród. Może było to z mojej strony małostkowe i samolubne, zważywszy na powracającą magiczną plagę, ale miałam cichą nadzieję, że święto przesilenia nie wymaga takich samych rytuałów co Noc Ognia. Starłam się nie dopuszczać do siebie myśli o sznurze pięknych kobiet fae ustawiających się w szeregu dla niego i nie zastanawiać się nad tym, co bym wtedy zrobiła.

Dopiero późnym popołudniem usłyszałam głęboki głos Tamlina i donośny śmiech Luciena, niosące się echem po korytarzach aż do mojej pracowni. Odetchnęłam z głęboką ulgą, ale gdy pobiegłam im na spotkanie, Alis przechwyciła mnie na jednym z korytarzy na piętrze, zaciągnęła do mojej sypialni, kazała mi zdjąć zachlapaną farbą ubranie i przebrać się w zwiewną błękitną szyfonową suknię. Włosy pozwoiliła mi pozostawić rozpuszczone, ale nałożyła mi na głowę niczym koronę wieniec z różowych, białych i niebieskich kwiatów polnych.

Czułam się w nim nieco dziecinnie, ale przez te wszystkie spędzone tu miesiące moje

wystające kości zniknęły, a wychudzona sylwetka wypełniła się i zaokrągliła tam, gdzie trzeba. W końcu wyglądałam jak kobieta. Przesunęłam dłońmi po łagodnym łuku talii i bioder. Nigdy dotąd nie sądziłam, że poczuję w tych miejscach coś więcej niż skórę i kości.

– Niech mnie w Kotle ugotują. – Lucien zagwizdał, gdy schodziłam po schodach. – Wygląda jak urodzona fae.

Byłam zbyt zajęta lustrowaniem Tamlina w poszukiwaniu ran, krwi czy jakichkolwiek śladów, jakie mogła na nim pozostawić plaga, aby podziękować Lucienowi za komplement. Szczęśliwie książę był cały i zdrowy, a do tego wręcz lśnił czystością. I uśmiechał się do mnie. Gdziekolwiek się udał, gdziekolwiek był, jego wyprawa nie pozostawiła na nim żadnego śladu.

– Wyglądasz czarująco – mruknął Tamlin. Coś w tembrze jego głosu sprawiło, że ledwo powstrzymałam się od zamruczenia jak podrapany za uchem kot.

Wyprostowałam się, nie chcąc pokazać po sobie, jaki wpływ mają na mnie jego słowa, głos czy sam fakt, że nic mu nie jest. Przynajmniej jeszcze nie.

– Dziwię się, że w ogóle pozwalacie mi uczestniczyć w tym święcie.  
– Niestety dla ciebie i twojej szyi – zauważył Lucien – dzisiaj będziemy się tylko dobrze bawić.

– Czy nie sypiasz nocami, aby przygotować sobie świeży zapas ciętych ripost na kolejny dzień?

Właściciel rudej maski mrugnął do mnie zawadiacko, a Tamlin roześmiał się głośno i zaferował mi swoje ramię.

– Lucien ma rację – powiedział. Byłam świadoma każdego cala skóry, gdzie stykały się nasze ręce. Przez materiał jego zielonej tuniki wyczuwałam wspaniałe mięśnie. Poprowadził mnie do ogrodu, a Lucien podążył za nami. – Dzień przesilenia to dzień radości, w którym wszyscy jesteście sobie równi. Wszyscy mogą zapomnieć o ostrożności oraz wzajemnej nieufności i po prostu być... sobą. Niezależnie od urodzenia, wszyscy razem, bez podziałów.

– Mamy więc śpiewy, tańce i pijaństwo – wtrącił Lucien, dołączając do nas z mojego drugiego boku. – I flirty – dodał z szerokim uśmiechem.

Z każdym kolejnym dotknięciem, z każdym otarciem się o Tamlina coraz trudniej mi było oprzeć się pragnieniu przytulenia się do niego całym ciałem; wdychania jego zapachu, dotykania go, smakowania go... Jeśli dostrzegł rumieniec oblewający moją twarz i szyję lub usłyszał nierówne bicie serca, nie dał tego po sobie poznać. Ścisnął tylko mocniej moją rękę, gdy opuściliśmy ogród i wkroczyliśmy na rozciągające się za nim łąki.

Słońce chyliło się już powoli ku zachodowi, gdy dotarliśmy na miejsce. Starłam się nie gapić na zebrane istoty, chociaż one bez zażenowania gapiły się na mnie. Nigdy nie widziałam ich tak wielu zebranych w jednym miejscu, nawet po tym, gdy większość z nich stała się dla mnie widzialna. Teraz, kiedy moich oczu nie przesłaniała magiczna zasłona, mogłam swobodnie podziwiać przepiękne suknie i gibkie ciała w tak wielu różnych kształtach i kolorach. Zainteresowanie moim pojawieniem się u boku księcia wkrótce jednak przeminęło. Wydatnie w tym pomogło groźne warknięcie Tamlina, po którym wszyscy błyskawicznie wrócili do swoich wcześniejszych zajęć.

Z jednej strony pola wyznaczonego na obchody stał długi rząd stołów suto zastawionych jedzeniem. Gdy czekałam w kolejce z pustym talerzem, Tamlin zniknął mi gdzieś w tłumie. Nie za bardzo wiedząc, co ze sobą począć, robiłam wszystko, co w mojej mocy, aby nie wyglądać na ludzką zabawkę wielkiego pana. W pobliżu olbrzymiego ogniska zaczęła grać muzyka: skrzypce, bębenki i inne instrumenty zdadne do wygrywania wesołych melodii zadźwięczały tak żywo, że mimowolnie zaczęłam przytupywać na trawie. Wszyscy wokół byli swobodni, weseli i otwarci. To święto było niczym radosna siostra dzikiej Nocy Ognia.

Lucien oczywiście opanował do perfekcji sztukę znikania, gdy akurat go potrzebowałam. Stałam więc sama pod jaworem obwieszonym jedwabnymi latarenkami i lśniącymi wstążkami, pałaszując ciasto truskawkowe, trochę tarty jabłkowej i jeszcze nieco placka z jagodami. Jedzenie bardzo przypominało letnie przysmaki ludzi.

Ale w sumie nie przeszkadzał mi brak towarzystwa. Miałam w ten sposób więcej czasu na podziwianie gry światła i cieni na dekoracjach i rozważanie, jak najlepiej wykorzystać je na moim kolejnym obrazie. A może powinnam namalować eteryczne fae, które właśnie ruszały do tańca? Tyle kształtów i barw... Zastanawiałam się, czy którekolwiek z nich zostały uchwycone na płótnie przez autorów dzieł wiszących w galerii Tamlina.

Podeszłam ponownie do stołów, aby znaleźć coś do picia. W miarę jak słońce zbliżało się do horyzontu, wokół ogniska robiło się coraz tłoczniej. Na sąsiednich wzgórzach również płonęły ognie i rozpoczynała się zabawa. Słyszałam ich muzykę, gdy nasi grajkowie robili przerwę między kolejnymi utworami. Nalewałam sobie puchar z złotego musującego wina, gdy Lucien w końcu się znalazł. Stał tuż za mną i spojrzał mi przez ramię.

– Na twoim miejscu nie piłbym tego.

– Ach. – Przyjrzałam się krytycznie pieniącemu się w naczyniu płynowi.

– Przesileniowe zaczarowane wino – rzucił Lucien.

– Hmm – mruknęłam i powąchałam zawartość pucharka. Nie wyczuwałam alkoholu.

Napój pachniał latem spędzonym na leżeniu w trawie i kąpielach w chłodnej wodzie leśnych stawów. Nigdy wcześniej nie wąchałam czegoś pachnącego tak wspaniale.

– Mówię poważnie – dodał Lucien, gdy przytknęłam naczynie do ust. Uniosłam pytająco brwi. – Pamiętasz, co się stało ostatnim razem, gdy zignorowałaś moje ostrzeżenie? – Dźgnął mnie palcem w szyję. Odtrąciłam jego rękę.

– Pamiętam też, jak się zarzekałeś, że spróbowanie tamtych dziwnych jagód niczym mi nie grozi, a ja chwilę potem ledwo stałam na nogach i majaczyłam – zauważyłam, przypominając sobie pewne popołudnie w lesie parę tygodni temu. Jeszcze przez wiele godzin miałam zwidy, a Lucien śmiał się do rozpuku. Przynajmniej dopóki Tamlin nie wepchnął go do stawu.

Otrząsnęłam się z tego wspomnienia. Dzisiaj, tylko dziś byłam istotnie gotowa zapomnieć o ostrożności. Zapomnieć o magicznej pladze czającej się tuż za granicami włości Tamlina, zagrażającej jemu i nam wszystkim. Swoją drogą: gdzie on się podziewał? Gdyby wystąpiło jakieś zagrożenie, Lucien z pewnością by o tym wiedział. Na pewno odwołaliby świętowanie.

– Cóż, tym razem mówię poważnie – stwierdził fae i sięgnął po mój puchar, ale zdążyłam odsunąć dłoń. – Tam by mnie wypatroszył, gdyby cię złapał pijącą to wino.

– Zawsze dbasz o to, co dla ciebie dobre – rzuciłam i ostentacyjnie osuszyłam naczynie.

Nagle wewnątrz mnie wybuchła miriada sztucznych ogni i wypełniła mi żyły światłem gwiazd. Roześmiałam się głośno, a Lucien jęknął.

– Głupia człeczyno – syknął. Ale czar zdążył już prysnąć.

Jego kasztanowe włosy płonęły niczym roztopiony metal, a rdzawobrunatne zdrowe oko żarzyło się niczym trzewia bezdennego pieca. Już wiedziałam, co znajdzie się na moim następnym płótnie.

– Namaluję cię – powiedziałam i zachichotałam. Tak, autentycznie zachichotałam, gdy tylko słowa opuściły moje usta.

– Niech mnie w Kotle ugotują, a potem usmażą – wymamrotał pod nosem, a ja roześmiałam się ponownie. Zanim zdołał mnie powstrzymać, wychyliłam kolejny puchar zaczarowanego wina. Jego smak zdetronizował gorącą czekoladę, z którą zapoznała mnie Alis. Napój wyzwolił mnie z oków, o których istnieniu nawet nie wiedziałam.

Otoczająca mnie muzyka przeistoczyła się w syreni śpiew. Żywa melodia przyciągała

mnie jak magnes, a ja byłem bezbronna wobec jej zewu. Z każdym krokiem rozkoszowałem się dotykiem wilgotnej trawy na moich bosych stopach. Nie pamiętałem, kiedy zdjęła buty.

Niebo było wirem wymieszanych barw ametystów, szafirów i rubinów, spływającym do ostatecznego onyksowego stawu. Chciałem się w nim zanurzyć, wykąpać się w tych wszystkich kolorach i poczuć migoczące gwiazdy między palcami.

Potknęła się i zamrugała. Stała na obrzeżu roztańczonego kręgu fae. Grupa muzyków grała na swoich dziwnych instrumentach, a ja chwiałem się na boki i przyglądałem, jak tańczący raz po raz okrążają ognisko. Nie był to w żadnej mierze uroczysty taniec. Wszyscy sprawiali wrażenie równie rozluźnionych co ja. Wolnych. I uwielbiałem ich za to.

– Cholera, Feyro – powiedział Lucien, chwytając mnie za łokieć. – Chcesz, żebym się zabił, próbując cię powstrzymać od nabicia swojej śmiertelnej skóry na kolejny kamień?

– Co? – zapytałem, odwracając się do niego. Cały świat wirowało. Było to wspaniałe, upojne uczucie.

– Idiotka – stwierdził, gdy przyjrzał się mojej twarzy. – Pijana idiotka.

Tempo muzyki przyspieszyło. Chciałem w nią wniknąć, sunąć na jej rytmie i wić się między nutami. Fizycznie odczuwałem otaczające mnie dźwięki. Melodia sprawiała wrażenie żywej, oddychającej istoty; cudownej, radosnej i pięknej.

– Feyro, przestań – zażądał Lucien i ponownie chwycił mnie za ramię. Chciałem dołączyć do tańca. Moje biodra cały czas poruszały się w rytm muzyki.

– To ty przestań. Przestań być taki poważny – powiedziałam, odtrącając jego rękę. Chciałem słyszeć muzykę, chciałem być jak najbliżej grających. Ruszyłem w tan. Lucien zaklął.

Prześlizgnęła się między tańczącymi, wirując wokół własnej osi. Siedzący niedaleko ogniska muzycy nawet na mnie nie spojrzeli, gdy skoczyłem między nich i zaczęła tańczyć. Żadnych więzów, żadnych ograniczeń – tylko ja i muzyka. I taniec, szaleńczy taniec. Może nie byłem czarodziejską istotą, ale tak samo zrodziłem się z tej ziemi i ona tak samo była częścią mnie. I chciałem na niej tańczyć do końca moich dni.

Jeden z grających uniósł na mnie wzrok znad swoich skrzypiec. Zastygłem w miejscu.

Krople potu zaślśniły na posągowej szyi, gdy oparł brodę na ciemnym drewnie instrumentu. Podwinął rękawy koszuli, odsłaniając wspaniałą muskulaturę przedramion. Kiedyś wspomnieli, że chciał zostać wędrownym grajkiem, zanim został wtłoczony w rolę wojownika i księcia. Teraz – gdy usłyszałem, jak potrafi grać – zrozumiałam, że zrobiłby oszałamiającą karierę.

– Przepraszam, Tam – wysapał Lucien, pojawiając się nagle obok. – Zostawiłem ją samą dosłownie na chwilę przy jednym ze stołów, a kiedy wróciłem, ona już piła wino i...

Tamlin nie przerwał gry. Zlepione potem złote włosy zakrywały większą część jego twarzy, ale i tak wyglądał zabójczo przystojnie. Uśmiechnął się do mnie drapieźnie, gdy zaczęła przed nim tańczyć.

– Zajmę się nią – rzucił Tamlin, a ja się rozpromieniłem. Zawirowałem w tańcu jeszcze szybciej niż wcześniej. – Idź i baw się.

Lucien zniknął.

– Nie potrzebuję opiekuna! – krzyknęła do księcia. Chciałem kręcić się i wirować. I tak bez końca.

– Istotnie nie potrzebujesz – odparł Tamlin, cały czas bezbłędnie wygrywając melodię. Ale jego smyczek tańczył na strunach, prowadzony pewnie silnymi palcami bez śladu pazurów, których powoli przestawałem się lękać... – Tańcz, Feyro – dodał teatralnym szeptem.

I zatańczyła.

Byłem całkowicie rozluźniona. Rzuciłem się, wirując, w krąg tancerzy. Nie wiedziałam,



z kim tańczyłam, czy nawet jak wyglądali moi partnerzy. Osiągnęłam jedność z muzyką, ogniem i nocą; i nie było nic, co mogłoby mnie zatrzymać.

Tamlin i pozostali muzycy cały czas grali muzykę tak radosną, że wydawało się, jakby cały świat nie mógł jej w sobie pomieścić. Tańczyłam tylko dla niego, dla mojego czarodziejskiego księcia, mojego obrońcy i wojownika, mojego przyjaciela... I tańczyłam przed nim. Uśmiechnął się do mnie radośnie, wstał i uklęknął przede mną na trawie. Nie przerwałam tańca, a on zagrał solową partię specjalnie dla mnie.

Muzyka tylko dla mnie. Cudowny dar. Grał i grał, wodząc szybko i pewnie smyczkiem po strunach. Wiłam się przed nim niczym wąż; odchyliłam głowę, spojrzałam w rozpościerające się nade mną niebo i pozwoliłam muzyce Tamlina mnie wypełnić.

Coś chwyciło mnie w talii, czyjeś ramiona uniosły mnie i postawiły na powrót w kręgu tancerzy. Nie mogłam przestać się śmiać, choć miałam wrażenie, że od rozpierającej mnie radości zaraz stanę w płomieniach. Gdy otworzyłam oczy, ujrzałam Tamlina wirującego ze mną w tańcu.

Świat wokół niego składał się tylko z rozmytych smug barw i dźwięków. On był jedyną stałą, on jeden kotwiczył w rzeczywistości moje zmysły i moje ciało, które rozświetlało się i płonęło w każdym miejscu, którego dotknął.

Wypełnił mnie słoneczny blask. Czułam się, jakbym pierwszy raz w życiu doświadczyła lata; jakbym nigdy nie wiedziała, kto czaił się w lesie spowitym płaszczem lodu i śniegu. Pragnęłam, aby to trwało wiecznie; nie chciałam już nigdy opuszczać tego wzgórza.

Muzyka zamilkła. Kręciło mi się w głowie, z ledwością łapałam oddech i cała byłam złana potem. Spojrzałam na księżyc – był już blisko horyzontu.

Tamlin, również ciężko dysząc, ujął mnie za dłonie.

– Czas biegnie szybciej dla ludzi upojonych czarodziejskim winem.

– Nie jestem pijana – zaprotestowałam oburzona. W odpowiedzi tylko zaśmiał się krótko, po czym pociągnął mnie z dala od ognia. Gdy dotarliśmy na skraj kręgu światła, wbiłam pięty w ziemię. – Znowu zaczynają grać – zauważyłam, wskazując tancerzy zbierających się ponownie przed muzykami, którzy skończyli się odświeżać.

Nachylił się tak blisko, że jego oddech łaskotał mnie w ucho.

– Chcę ci pokazać coś lepszego – wyszeptał.

Nie protestowałam.

Sprowadził mnie ze wzgórza i powiodł na przełaj w blasku księżyca. Drogę wybrał krętą, najwyraźniej dbając o moje bose stopy, gdyż kroczyliśmy wyłącznie po miękkiej trawie. Wkrótce przestałam już słyszeć muzykę, którą zastąpiły westchnięcia drzew kołysanych lekkim nocnym wiatrem.

– To tutaj – powiedział Tamlin, zatrzymując się na skraju olbrzymiej łąki. Oparł dłonie na moim ramieniu i spojrzał w dal. Podążyłam za jego wzrokiem.

Wysoka trawa falowała niczym morze, muskana ostatnimi promieniami odbitymi od tarczy księżyca.

– Co jest tutaj? – zapytałam szeptem, on jednak przytknął mi palec do ust i gestem nakazał patrzeć.

Przez kilka minut nie dostrzegałam nic szczególnego, aż wtem na drugim krańcu łąki spomiędzy ździebeł trawy wypłynęły w górę dziesiątki migotliwych kształtów, sprawiających wrażenie ledwie gry księżycowego światła. Wtedy usłyszałam śpiew.

Nie jeden, lecz wiele głosów – zarówno męskich, jak i żeńskich, śpiewały do siebie nawzajem, nawoływały się i odpowiadały sobie. Cudowny dwugłos, jak dwie strony tej samej monety. Uniosłam dłoń do szyi. Melodia przybrała na sile, a kształty zaczęły tańczyć.

Bezcielesne eteryczne istoty szybowały nad łąką, niewiele się różniąc od wąskich pasm księżycowego blasku.

– Czym oni są?

– To błędne ogniki, duchy powietrza i światła – odparł łagodnym głosem. – Przybyły tu, by świętować przesilenie.

– Są piękne.

Wargi Tamlina musnęły moją szyję.

– Zatańcz ze mną, Feyro – wymruczał.

– Teraz? – Odwróciłam się. Nasze twarze dzieliło ledwie kilka cali.

Uśmiechnął się leniwie.

– Teraz.

Chwycił mnie i uniósł, jakbym ważyła tyle, ile powietrze, po czym poprowadził do tańca. Właściwie nie pamiętałam kroków do żadnego z tańców, których uczyłam się w dzieciństwie, ale on prowadził z taką pewnością, z taką dziką gracją, że nie potknęłam się ani razu. Doskonale wyczuwał każde moje zawahanie i błyskawicznie reagował, prowadząc mnie przez trawy wśród wirujących i śpiewających duchów.

Czułam się lekka jak puch z dmuchawca, a on był wiatrem, który pędził mnie przez świat.

Uśmiechnął się do mnie, a ja odpowiedziałam mu uśmiechem. Nie musiałam udawać, nie musiałam być kimkolwiek innym niż sobą, niesioną w jego ramionach, wirującą na łące, tańczącą razem z błędnymi ognikami, które wiły się wokół nas niczym dziesiątki małych księżyców.

W pewnym momencie Tamlin spowolnił nasz taniec, aż w końcu zatrzymaliśmy się i przyglądaliśmy tańcowi duchów, obejmując się nawzajem i kiwając w rytm ich pieśni. Oparł brodę na czubku mojej głowy i pogładził moje włosy, muskając palcami skórę szyi.

– Feyro – szepnął. W jego ustach moje imię brzmiało pięknie. – Feyro. – To nie było pytanie, nie oczekiwał odpowiedzi. Tak jakby zwyczajnie lubił wymawiać to słowo.

Błędne ogniki zniknęły równie nagle, jak się pojawiły, a wraz z nimi odszedł ich śpiew. Zamrugałam. Gwiazdy już bledły, a niebo zaczynało szarzeć na wschodzie.

Twarz Tamlina znalazła się tuż obok mojej.

– Już prawie świta.

Kiwnęłam głową, urzeczona magią chwili i jego wyglądem, jego zapachem, jego obejmującymi mnie ramionami. Uniosłam rękę i dotknęłam jego maski. Była nienaturalnie zimna, choć skóra pod nią była rozgrzana tańcem. Ręka mi zadrżała, a oddech przyspieszył, gdy przesunęłam palce i musnęłam skórę na szczęce. Była gładka – i rozpalona.

Zwilżył wargi. Jego oddech stał się nierówny. Poczułam jego palce na dolnej partii pleców i pozwoliłam mu się przyciągnąć do siebie. Nasze ciała się zetknęły, a jego ciepło wlało się we mnie.

Musiałam odchylić głowę, aby spojrzeć na jego twarz. Wykrzywił usta w niepewnym grymasie.

– Tak? – Położyłam dłoń na jego piersi, gotowa w każdej chwili go odepchnąć. Ale jego druga dłoń wślizgnęła się pod moje włosy i objęła kark.

– Sądzę, że mógłbym cię pocałować – powiedział cicho, lecz z naciskiem.

– Zatem zrób to. – Zarumieniłam się zawstydzona własną śmiałością.

Tamlin zaśmiał się cicho i nachylił do mnie.

Jego wargi, miękkie i ciepłe, ostrożnie musnęły moje. Cofnął się minimalnie. Patrzył na mnie w milczeniu. Spojrzałam mu w oczy i wtedy pocałował mnie ponownie, mocniej, ale w najmniejszym stopniu nie przypominało to niedawnego pocałunku w szyję. Przerwał, cofnął się nieco i przyjrzał mi się badawczo.

– Tylko tyle? – zapytałam. Roześmiał się i pocałował mnie jeszcze raz, tym razem z prawdziwą pasją.

Objęłam go za szyję i przyciągnęłam do siebie, napierając na niego całym ciałem. Jego dłonie wędrowały po moich plecach, przeczesywały włosy, chwytaly talię, tak jakby chciał mnie dotykać wszędzie naraz.

Zamruczał zmysłowo.

– Chodź – powiedział, całując mnie delikatnie w czoło. – Jeśli teraz nie pójdziemy, przegapimy najlepsze.

– Lepsze od tańca błędnych ogników? – zapytałam. W odpowiedzi doczekałam się tylko pocałunku w policzek, szyję i na koniec w usta.

Poprowadził mnie między drzewa. Wokół robiło się coraz jaśniej. Ścisnął mocno moją dłoń i wiódł przez podnoszącą się mgłę. Gdy podczas wspinaczki na nagie wzgórze poślizgnęłam się na wilgotnej od rosy trawie, wniósł mnie na szczyt.

Siedzieliśmy i spoglądaliśmy na wschód. Staralam się ukryć uśmiech, który wykwitł na mojej twarzy, gdy Tamlin objął mnie ramieniem i przytulił. Oparłam głowę o jego pierś, a on bawił się kwiatami w moim wieńcu.

Patrzyliśmy w ciszy na rozległą trawiastą równinę.

Niebo przeszło z głębokiego fioletu w granat, a chmury podświetliło różowawe światło. Aż nagle migoczący dysk słońca, zbyt intensywny i jasny, by móc go opisać, wyłonił się zza linii horyzontu i ozłocił cały świat. Czułam się, jakbyśmy jako jedyni świadkowie obserwowali narodziny świata.

Tamlin przycisnął mnie mocniej do swojego boku i pocałował w czubek głowy. Odsunęłam się i spojrzałam na jego twarz.

Złote plamki w jego oczach, teraz jaśniejące odbitym światłem wschodzącego słońca, migotały wesoło.

– Co się stało? – zapytał.

– Mój ojciec kiedyś powiedział mi, że powinnam pozwolić moim siostronom marzyć o lepszym życiu, lepszym świecie. A ja odparłam, że coś takiego nie istnieje. – Przesunęłam kciukiem po jego wargach, podziwiając ich wspaniałą krzywiznę. Pokręciłam głową. – Nigdy go nie rozumiałam, bo nie potrafiłam... nie umiałam uwierzyć, że to jest w ogóle możliwe. – Przełknęłam z trudem ślinę i opuściłam dłoń. – Aż do teraz.

Grdyka zatańczyła na szyi Tamlina. Tym razem jego pocałunek był głęboki i pełny, nieśpieszny i zdecydowany.

Pozwoliłam światowi wniknąć we mnie i wzrastać z każdym ruchem jego warg, z każdym zetknięciem naszych języków. Łzy wezbrały mi w oczach pod zamkniętymi powiekami.

To była najszczęśliwsza chwila mojego życia.

## Rozdział 26

Następnego dnia Lucien dołączył do nas przy drugim śniadaniu, które było właściwie pierwszym. Od czasu mojej uwagi na temat zbyt dużego stołu jedliśmy przy dużo krótszym. Lucien przez cały posiłek rozcierał skronie i zachowywał nienaturalne dla siebie milczenie. Staralam się nie uśmiechać, gdy zapytałam:

– A ty gdzie spędziłeś wczorajszą noc?

Metalowe oko Luciena łypnęło na mnie.

– Podczas gdy wasza dwójka tańczyła z duchami, ja patrolowałem granice dworu. – Tamlin odkasznął znacząco i Lucien dodał: – W pewnym towarzystwie. – Posłał mi przekorny uśmiech. – Krążą pogłoski, że wróciliście dopiero po świcie.

Zerknęłam na Tamlina i przygryzłam wargę. Tego ranka właściwie wpłynęłam do sypialni. Książę wodził wzrokiem po mojej twarzy, jakby szukając jakichkolwiek oznak żalu czy strachu. Absurd.

– Ugryzłeś mnie w szyję w Noc Ognia – powiedziałam cicho. – Skoro potrafię spojrzeć ci w twarz po czymś takim, kilka pocałunków znaczy tyle co nic.

Oparł się rękami o stół i nachylił w moją stronę.

– Tyle co nic?

Przeniósł spojrzenie na moje wargi. Lucien poprawił się na krześle, błagając pod nosem Kocioł o ratunek, ale zdecydowałam się go zignorować.

– Tyle co nic – odparłam nieco zamyślona. Obserwowałam usta Tamlina, chłonąc każdy jego ruch i żałując, że rozdziela nas blat stołu. Niemal czułam ciepło jego oddechu.

– Czy aby na pewno? – wymruczał tak sugestywnym głosem, że dziękowałam losowi za to, że siedzę. Mógłby mnie wziąć tu i teraz, na tym stole. Pragnęłam poczuć jego szerokie dłonie na mojej nagiej skórze, pragnęłam poczuć jego zęby kłapiące mnie w szyję, pragnęłam poczuć jego usta na całym moim ciele.

– Ja tu próbuję jeść – wtrącił Lucien. Zamrugałam i wypuściłam gwałtownie powietrze z płuc. – Ale skoro zaszczyciłeś mnie swoją uwagą, *Tamlinie*... – powiedział z naciskiem, lecz urwał bezradnie, bo książę nie odrywał ode mnie oczu, wprost pożerając mnie wzrokiem. Ledwo mogłam usiedzieć w miejscu, ledwo byłam w stanie znieść ocieranie się materiału o moją rozpaloną skórę. Nie bez wysiłku Tamlin przeniósł wzrok na swojego posła. Lucien znów poprawił się na krześle.

– Nie lubię przynosić złych wieści, ale mój informator z Dworu Zimy zdołał przesłać mi list. – Lucien wziął głęboki wdech, po czym wypuścił powoli powietrze. Zastanawiałam się, czy do obowiązków posła należało też szpiegowanie innych dworów. A także dlaczego w ogóle mówił to w mojej obecności. Uśmiech zniknął z twarzy Tamlina jak starty gąbką. – Plaga – powiedział Lucien cicho napiętym głosem. – Zabrała dwa tuziny ich młodych. *Dwa tuziny!* Tak po prostu. – Przełknął ślinę. – Zwyczajnie... Przepaliła się przez ich magię, po czym rozerwała ich umysły na strzępy. Nikt, absolutnie nikt z Dworu Zimy nie był w stanie nic zrobić. Nikt nie mógł jej powstrzymać, kiedy tylko zwróciła się przeciwko nim. Ich rozpacz jest... niewyobrażalna. Mój informator twierdzi też, że inne dwory również ponoszą duże straty. Chociaż oczywiście Dwór Nocy pozostaje względnie bezpieczny. Ale plaga zdaje się sięgać coraz dalej w naszą stronę. Każdy atak sięga coraz bardziej w głąb południowych ziem.

Całe ciepło i radość, odczuwane jeszcze parę chwil temu, odpłynęły ze mnie jak krew spuszczana z patroszonej zwierzyny.

– Plaga może... Naprawdę potrafi zabijać? – zdołałam wykrztusić.

Młode. Odebrała komuś dzieci, niczym jakaś burza ciemności i śmierci. A jeśli u fae potomstwo było tak rzadkie, jak opowiadała Alis, utrata tak wielu musiała być dla rodziców bardziej druzgocąca, niż mogłabym to sobie wyobrazić.

Oczy Tamlina zaszyły cieniem. Powoli pokręcił głową, jakby próbował się otrząsnąć z żalu i oszołomienia.

– Plaga potrafi ranić nas na sposoby, których sobie... – Wstał tak gwałtownie, że jego krzesło przewróciło się z głośnym hukiem na podłogę. Wysunął pazury i zawarczał w stronę otwartych drzwi, obnażając długie lśniące kły.

Dom – zwykle wypełniony szeptem spódnic i przyciszonym głosem służek – zamarł w głuchoj ciszy.

Nie była to brzemienna cisza Nocy Ognia, lecz raczej cisza pełna napięcia, przyprowadzająca o pragnienie jak najszybszego skrycia się pod stołem albo rzucenia się do panicznej ucieczki. Lucien zaklął i dobył miecza.

– Zabierz Feyrę do okna, koło zasłon – warknął Tamlin do Luciena, nie spuszczać wzroku z otwartych drzwi. Fae chwycił mnie za łokieć i szarpnięciem podniósł z krzesła.

– Co się... – zaczęłam, ale książę przerwał mi głośnym warknięciem, które poniosło się echem po jadalni.

Chwyciłam ze stołu nóż i pozwoliłam Lucienowi zaciągnąć mnie do okna, gdzie popchnął mnie na aksamitne kotary. Chciałam zapytać, dlaczego mnie za nimi nie ukrył, ale on tylko stanął do mnie plecami, przyciskając mnie swoim ciałem do ściany.

W nosie zakręciło mi się od ostrej woni magii. Chociaż trzymał miecz swobodnie opuszczony, palce zaciskał na rękojeści tak mocno, że kłykcie aż pobielaly mu z wysiłku. Magia. Urok. Rzucił na mnie zaklęcie, które sprawiło, że zlewałam się z Lucieniem w jedną osobę. Niewidzialna, ukryta przed światem magią i zapachem fae. Zerknęłam nad jego ramieniem w stronę Tamlina, który wziął głęboki oddech i schował pazury oraz kły. Na jego piersi pojawił się nagle skórzany pas z nożami, ale nie sięgnął po nie, tylko usiadł na krześle, przybrał niedbałą pozę i zaczął dłubać pod paznokciami jak gdyby nigdy nic.

Ale ktoś nadchodził. Ktoś wystarczająco zły, żeby przestraszyć ich obu. Ktoś, kto by mnie skrzywdził, gdyby dowiedział się o mojej obecności.

Pamięć podsunęła mi wspomnienie syczącego głosu attora. Tamlin wspomniął o istotach gorszych od niego. Gorszych od nagi, gorszych od suriela, gorszych nawet od bogge'a.

W korytarzu zabrzmiały czyjeś kroki. Równe, nieśpieszne.

Tamlin nie przerywał czyszczenia paznokci, a stojący przede mną Lucien udawał, że wygląda przez okno. Stuk ciężkich butów o marmurową posadzkę stawał się coraz głośniejszy.

Aż w końcu przybysz stanął w drzwiach.

Jego twarzy nie przesłaniała maska. Podobnie jak attor, należał do innego gatunku. Był czymś... *kimś* innym.

Co gorsza... Już go spotkałam. To on uratował mnie przed napastnikami w Noc Ognia.

Kroczył aż przesadnie zwinnie, wręcz kocio. Podeszedł do stołu i zatrzymał się przed Tamlinem. Wyglądał tak, jakim go zapamiętałam: kosztowne ubranie – smoliście czarna tunika wyszywana srebrem i złotem, ciemne spodnie i czarne buty sięgające aż do kolan – oraz snujące się za nim pasemka nocy. Nie odważyłam się dotąd go namalować. Teraz zrozumiałam, że nigdy się na to nie zdobędę.

– Książę – powiedział przesadnie uprzejmym głosem nieznajomy, lekko tylko skłaniając głowę. Nie uklonił się.

Tamlin nie ruszył się z miejsca. Siedział zwrócony do mnie plecami, zatem nie mogłam widzieć wyrazu jego twarzy. Jednak gdy przemówił, w jego głosie dało się słyszeć groźbę.

– Czego chcesz, Rhysandzie?

Nazwany Rhysandem przybysz uśmiechnął się ujmująco i przyłożył dłoń do piersi.

– Rhysandzie? Ależ Tamlinie, nie widzimy się przez czterdzieści dziewięć lat, a ty zwracasz się do mnie per Rhysandzie? Tylko moi więźniowie i wrogowie tak do mnie mówią. – Uśmiechnął się szerzej. Coś się zmieniło w sposobie jego zachowania, w tym, jak stał i jak się poruszał. Sprawiał teraz wrażenie dzikiego i śmiertelnie niebezpiecznego. Wydawał mi się groźniejszy niż Tamlin kiedykolwiek dotąd, nawet w najgorszych chwilach. Rhysand obrócił się i spojrzał na Luciena. Wstrzymałam oddech.

– Lisia maska? Jakże stosowna dla ciebie, Lucienie.

– Idź do diabła, Rhys – warknął fae.

– Zawsze lubiłem zajmować się motłochem – odparł Rhysand i obrócił się z powrotem do Tamlina. Nie odważyłam się jeszcze odetchnąć. – Mam nadzieję, że w niczym nie przeszkodziłem.

– Właśnie jedliśmy – zauważył księżę głosem całkowicie wybytym ciepła, do którego zdążyłam już przywyknąć. To był ton przystający do władcy fae wysokiego rodu. Ton mrozący do szpiku kości.

– Rozkosznie – mruknął Rhysand.

– Co tu robisz, Rhys? – zapytał Tamlin władczo, nadal nie ruszając się z krzesła.

– Chciałem sprawdzić, co u ciebie słychać. Zobaczyć, jak ci się wiedzie. A także upewnić się, że mój mały prezent do ciebie dotarł.

– Twój „prezent” był zbędny.

– Ale stanowił miłe przypomnienie dni naszych wspólnych zabaw, czyż nie? – Rhysand mlasnęła cicho i rozejrzał się po jadalni. – Blisko pół wieku zaszyty w posiadłości na prowincji. Nie mam pojęcia, jak udało ci się tu wytrzymać. Ale – zawiesił głos i spojrzał z powrotem na Tamlina – jesteś tak upartym draniem, że ta dziura wydaje ci się zapewne rajem w porównaniu z dworem pod Górą. Cóż, zapewne tak właśnie jest. Niemniej jednak zadziwiasz mnie: czterdzieści dziewięć lat i żadnej próby uratowania siebie czy swoich ziem. Nawet teraz, kiedy ponownie robi się ciekawie.

– Nie ma nic, co mógłbym zrobić – przyznał Tamlin przyciszonym głosem.

Rhysand podszedł do siedzącego księcia. Każdy jego ruch był płynny i sprężysty, jak u polującego kota. Głos ściszył do szeptu – jego głos działał jak erotyczna pieszczota, od której krew napłynęła mi mocniej do policzków.

– Jaka szkoda, Tamlinie, że musisz znosić ten ciężar. Jeszcze większa, że z taką rezygnacją poddajesz się swemu losowi. Twój upór jest żaloszny. Jakże bardzo dzisiejszy księżę różni się od bezwzględnego generała sprzed wieków.

– Co ty w ogóle możesz o tym wiedzieć? – wszedł mu w słowo Lucien. – Jesteś tylko dziwką Amaranthy.

– Może i jestem dla niej męską dziwką, ale mam swoje powody. – Drgnęłam na dźwięk niepokojącego tonu, jaki wkradł się do jego głosu. – Przynajmniej nie kryłem się wśród kwiatków i żywopłotów, podczas gdy cały świat wokół szedł w diabły.

Lucien uniósł lekko ostrze miecza.

– Jeśli sądzisz, że tylko się tu kryliśmy, wkrótce się przekonasz, w jak głębokim jesteś błędzie.

– Mały Lucienku. Zdecydowanie dałeś im temat do rozmów, gdy zmieniłeś dwór na Wiosnę. To takie smutne przyglądać się, jak twoja piękna matka usycha z tęsknoty za swoim ukochanym synem.

Lucien wycelował czubek miecza w pierś Rhysanda.

– Waż swoje słowa.

Rhys roześmiał się śmiechem kochanka – lekkim, łagodnym i poufałym.

– Czy tak należy się zwracać do księcia Prythianu?

Serce zamarło mi w piersi. To dlatego tamte istoty podczas Nocy Ognia tak szybko umknęły. Stawić mu czoła byłoby z ich strony samobójstwem. Ciemność zdawała się z niego sączyć, a jego ciemnofioletowe oczy płonęły światłem gwiazd...

– No dalej, Tamlinie – zwrócił się do gospodarza. – Czy nie powinienes upomnieć swojego sługusa za zwracanie się do mnie w ten sposób?

– Na moim dworze nie wymuszam sztywnej hierarchii – odparł Tamlin.

– Nie przeszło ci jeszcze? – Rhysand skrzyżował ramiona. – Przecież to takie zabawne, gdy płaszczą się, wiją i błagają o przebaczenie. Zapewne twój ojciec nigdy ci tego nie zademonstrował.

– Nie jesteś na Dworze Nocy – syknął Lucien. – Tu nie masz żadnej władzy. Zatem dobrze ci radzę: odejdz. Łoże Amaranthy stygnie.

Staralam się nie oddychać zbyt głośno. Rhysand. To *on* wysłał tę odciętą głowę. W prezencie... Zadrżałam. Czy ta kobieta, Amarantha, też przebywała na Dworze Nocy?

Rhysand parsknął, a chwilę później był tuż przy Lucienie, warcząc groźnie. Poruszał się zbyt szybko, aby moje ludzkie oczy mogły za nim nadążyć. Rudowłose fae cofnął się, wprasowując mnie plecami w ścianę. Napał tak mocno, że musiałam stłumić krzyk bólu.

– Wyrzynałem wrogów na polach bitew, zanim się w ogóle urodziłeś – odparował Rhysand, po czym równie szybko, jak doskoczył w naszą stronę, cofnął się niedbale i nonszalancko. Nie, zdecydowanie nie podjęłabym nawet próby namalowania tej mrocznej, nieśmiertelnej twarzy. Nigdy przenigdy. – Poza tym – dodał, wkładając dłonie do kieszeni – jak myślisz, kto nauczył twojego ukochanego Tamlina co ciekawszych rzeczy na temat fechtunku i kobiet? Chyba nie sądzisz, że wszystkiego dowiedział się podczas podróży z żołnierzycami ojca?

Tamlin potarł skronie.

– Zachowaj swoje uwagi na inną okazję, Rhys. Na którą nie będziesz musiał długo czekać. Już wkrótce się zobaczymy.

Rhysand ruszył w stronę drzwi.

– Ona już się przygotowuje na twoje przybycie. Zważywszy na twój aktualny stan, mogę chyba spokojnie jej przekazać, że już pękłeś i jesteś gotów ponownie rozważyć jej propozycję. – Lucien wstrzymał oddech, gdy Rhysand mijał stół. Książę Dworu Nocy przesunął palcem po oparciu mojego krzesła niedbałym ruchem. – Nie mogę się doczekać wyrazu twojej twarzy, kiedy...

Rhysand przyjrzał się uważnie stołowi.

Lucien zeszywniał i jeszcze mocniej przyparł mnie do ściany. Stół był zastawiony dla trzech osób. Tuż przed przybyszem stał mój talerz z niedojedzonym posiłkiem.

– Gdzie się podział wasz gość? – zapytał Rhysand unosząc mój puchar do twarzy, aby powąchać zawartość.

– Odesłałem go, gdy tylko wyczułem twoje przybycie – skłamał spokojnie Tamlin.

Rhysand spojrział na gospodarza z nieodgadnioną miną, po czym powoli uniósł brwi. Przez jego twarz przemknął cień podekscytowania, może nawet niedowierzania. Obrócił gwałtownie głowę w stronę Luciena. Zakręciło mi się w nosie od nagłego uderzenia magii. Patrzyłam na Rhysanda z obezwładniającym przerażeniem. Jego twarz zmieniła się w maskę wściekłości.

– Jak śmiesz zwodzić mnie czarami? – ryknął. Jego oczy płonęły ciemnym światłem,

kiedy wpatrywał się w moje. Lucien naparł na mnie plecami, jakby chciał mnie wprasować w ścianę.

Odepchnięte krzesło zaszurało po podłodze. Tamlin stał wyprostowany z wysuniętymi pazurami – bronią dużo groźniejszą od tkwiących w skórzanym pasie noży.

Twarz Rhysanda zastygła, choć jego wzrok wciąż ciskał gromy w moją stronę.

– Pamiętam cię – zamruczał zmysłowo. – Wygląda na to, że zignorowałaś moje ostrzeżenie i nie trzymałaś się z dala od kłopotów. – Obrócił się do Tamlina. – Racz mnie oświecić: kim jest twój gość?

– To moja narzeczona – wypalił Lucien.

– Ach? A ja myślałem, że wciąż rozpaczasz po swojej kochance z pospólstwa. – Rhysand kroczył powoli w moją stronę. Światło słońca nie lśniło na złotych i srebrnych niciach w materiale jego tuniki, tak jakby nie śmiało się zbliżyć do ciemności pulsującej wokół księcia Dworu Nocy.

Lucien splunął pod nogi przeciwnika i wycelował miecz w jego pierś. Na twarzy Rhysanda wykwitł jadowity uśmiech.

– Upuść mi choć kroplę krwi, Lucienie, a dowiesz się, jak szybko męska dziwka Amaranthy zdoła zaszlachtować cały Dwór Jesieni. Z poświęceniem szczególnej uwagi jego pierwszej damie.

Fae momentalnie pobladł, ale nie opuścił miecza. Ciszę, jaka zapadła po słowach Rhysanda, przerwał Tamlin:

– Opuść miecz, Lucienie.

Przybysz z Dworu Nocy przyjrzał mi się uważnie.

– Wiedziałem, Lucienie, że lubisz szukać kochanek z nizin społecznych, ale nigdy by mi nie przyszło do głowy, że mógłbyś upaść tak nisko, aby bratać się ze śmiertelnymi śmieciami. – Twarz zapłonęła mi silnym rumieńcem. Lucien cały się trząsł. Ze złości, strachu czy ze smutku – tego nie potrafiłam odgadnąć. – Pierwsza dama Dworu Jesieni wielce się zasmuci, gdy do jej uszu dotrą doniesienia o czynaniach jej najmłodszego syna. Na twoim miejscu trzymałbym swoją nową zabawkę z dala od twojego ojca.

– Zostaw go, Rhys – zażądał Tamlin, stojący teraz ledwie kilka stóp za przybyszem. Nie atakował go jednak, choć miał cały czas wysunięte pazury, a Rhysand nie przestał zbliżać się do mnie. Może walka między dwoma książętami zrównałaby cały dom z ziemią, pozostawiając zaledwie kupkę popiołu? A może Rhysand był istotnie kochankiem tej kobiety, która zemściłaby się straszliwie, gdyby poniósł tu jakąkolwiek krzywdę? A przecież Tamlin musiał jeszcze radzić sobie z powracającą magiczną plagą.

Rhysand odepchnął Luciena na bok z taką łatwością, jakby był lekką zasłonką.

Teraz już nic nie rozdzielało mnie od niego. Nagle powietrze zrobiło się bardzo zimne. Tamlin wciąż stał w miejscu, a Lucien tylko patrzył, gdy Rhysand z groteskową delikatnością wyjął mi nóż z dłoni i rzucił pod przeciwległą ścianę.

– I tak ci się nie przyda – powiedział. – Gdybyś była mądra, uciekałabyś właśnie z krzykiem jak najdalej od tego miejsca i od nich. Właściwie to zadziwia mnie, że wciąż tu jesteś.

– Moja mina musiała zdradzać całkowitą dezorientację, gdyż Rhysand roześmiał się głośno i dodał: – Och, ona nie wie, czy tak?

Zadrzałam, niezdolna przemówić ani zrobić nic innego.

– Daję ci kilka sekund, Rhys – ostrzegł go Tamlin. – Kilka sekund na zniknięcie stąd.

– Na twoim miejscu nie zwracałbym się do mnie w ten sposób.

Wbrew woli moje ciało wyprostowało się. Wszystkie mięśnie co do jednego zastygły naprężone, kości zaskrzypiały. Poczułam magię, ale potężniejszą od czegokolwiek, czego do tej



pory doświadczyłam. Moc, która wdarła się do mojego wnętrza i przejęła władzę; nawet krew płynęła tak, jak jej rozkazał.

Nie mogłam się poruszyć. Niewidzialna, pazurzasta dłoń przyszpiliła moje myśli. Spadła na mnie świadomość, że wystarczy jedno popchnięcie, jedno pociągnięcie tymi pazurami, a moja jaźń przestałaby istnieć.

– Puść ją – zażądał Tamlin. Wyraźnie gotował się w środku, ale nie postąpił ani kroku w naszą stronę. Z niepokojem wodził wzrokiem ode mnie do Rhysanda i z powrotem. – *Dość tego.*

– Zapomniałem, że ludzkie umysły można zgnieść równie łatwo, co skorupki jajek – powiedział władca Dworu Nocy i przesunął palcem po moim gardle. Zadrżałam, a do oczu napłynęły mi łzy. – Spójrz, jaka jest urocza. Spójrz, jak próbuje nie krzyknąć z przerażenia. Poszłoby szybko, naprawdę.

Gdybym zachowała choć trochę władzy nad własnym ciałem, zapewne zwymiotowałabym.

– W jej głowie krążą niesamowicie łakome myśli na twój temat, Tamlinie – ciągnął. – Wyobrażała sobie twoje palce zaciskające się na jej udach. A nawet wsuwające się między nie. – Zachichotał. Gdy wypowiadał na głos moje najskrytsze myśli, gdy paliłam się z oburzenia i wstydu, mogłam tylko drżeć pod tym odrażającym dotykiem w moich myślach. Rhysand obrócił się do gospodarza. – Ciekawe... Dlaczego się zastanawia, czy sprawiłoby jej przyjemność, gdybyś ukąsił ją w pierś tak samo, jak ugryzłeś ją w szyję?

– Puść. Ją. – Twarz Tamlina wykrzywiła tak dzika wściekłość, że jej widok wzbudził we mnie pewien instynktowny lęk.

– Jeśli będzie to dla ciebie pewnym pocieszeniem – kontynuował książę Dworu Nocy poufałym tonem – ona byłaby tą wybraną dla ciebie. A tobie mogłoby to ująć płazem. Niestety, jest już za późno, aby się przekonać. Jest uparta bardziej od ciebie.

Niewidzialne pazury jeszcze raz łagodnie popieściły moje myśli, po czym zniknęły. Osunęłam się na podłogę, podciągnęłam kolana pod brodę, przyciągnęłam wszystko, czym byłam, i starałam się powstrzymać szloch, krzyk i zawartość żołądka cisnącą się przez gardło.

– Amarantha będzie się z pewnością świetnie bawić, kiedy się nią zajmie – stwierdził Rhysand. – Prawie tak dobrze, jak przyglądając się tobie, gdy będzie na twoich oczach niszczyć ją kawałek po kawałku.

Tamlin zamarł. Ramiona opadły mu bezwładnie wzdłuż boków. Nigdy dotąd nie widziałam go w takim stanie.

– Proszę... – Tylko tyle zdołał z siebie wydobyć.

– Prosisz mnie o co? – zapytał Rhysand łagodnym, pieszczotliwym tonem.

– Nie mów Amarancie o niej – poprosił Tamlin łamiącym się głosem.

– Dlaczego miałbym tego nie zrobić? W końcu jestem tylko jej dziwką. – Spojrzał wymownie na Luciena. – Powinienem jej zatem mówić wszystko.

– Proszę. – Tamlin wykrztusił to słowo, jakby było kością, która stanęła mu w gardle. Rhysand wskazał posadzkę i uśmiechnął się okrutnie.

– Błagaj. A ja rozważę twoją prośbę.

Tamlin opadł na kolana i schylił głowę.

– Nizej.

Książę Dworu Wiosny przycisnął czoło do podłogi i przesunął dłonie po podłodze w stronę butów Rhysanda. Na widok Tamlina zmuszonego do pokłonięcia się komuś w taki sposób, na widok mojego księcia poniżonego tak bardzo do oczu napłynęły mi łzy wściekłości. Rhysand wskazał wyprostowanym palcem Luciena.

– Ty też, lisku.

Lucien przybrał ponurą minę, ale również ukląkł i dotknął podłogi czołem. Ileż bym dała za nóż, który Rhysand mi odebrał; za cokolwiek, czym mogłabym go zabić.

Zdołałam opanować drżenie, gdy książę Dworu Nocy przemówił ponownie:

– Robisz to ze względu na siebie czy na nią? – zastanowił się, ale chwilę potem wzruszył ramionami, tak jakby to nie on zmusił księcia jednej z krain Prythianu do płaszczenia się przed nim i błagania o litość. – Postępujesz zdecydowanie zbyt desperacko, Tamlinie. To odstręczające. Przejęcie schedy po ojcu uczyniło z ciebie nudziarza.

– Czy zamierzasz powiedzieć Amarancie? – zapytał Tamlin, nie odrywając czoła od podłogi.

Rhysand uśmiechnął się kpiąco.

– Może jej powiem, a może nie.

Tamlin błyskawicznie zerwał się z podłogi. Jego ruchy były zbyt szybkie, abym była w stanie je zarejestrować. W jednej chwili klęczał, a w następnej stał z pazurami o cale od twarzy władcy Dworu Nocy.

– Żadnych takich – powiedział Rhysand, mlaskając z dezaprobatą i łagodnie odpychając Tamlina jedną dłonią. – Nie w obecności damy. – Spojrzał na mnie. – Jak się nazywasz, moja droga?

Gdybym mu zdradziła swoje imię – a co gorsza nazwisko – spowodowałabym tylko więcej bólu i cierpienia. Mógłby przecież odszukać moją rodzinę i zaciągnąć ich do Prythianu, aby ich dręczyć ku swojej uciechu. Jeśli jednak będę zwlekać zbyt długo, mógłby wykraść to wszystko z moich myśli. Starając się nie myśleć o tym zbyt intensywnie, wyrzuciłam pierwsze imię, jakie przyszło mi do głowy. Imię przyjaciółki moich sióstr, z którą nigdy nie zamieniłam nawet słowa i której twarzy nawet nie mogłam sobie przypomnieć.

– Klara Beddor.

Rhysand przeniósł wzrok na Tamlina.

– Cóż, dobrze się bawiłem. Właściwie to od dawna nie bawiłem się lepiej. Nie mogę się wprost doczekać spotkania waszej trójki pod Górą. Przekażę Amarancie pozdrowienia od was.

Po tych słowach zniknął bez śladu, tak jakby przeszedł przez pęknięcie w rzeczywistości, pozostawiając nas sam na sam z okropną, rozedrganą ciszą.

## Rozdział 27

Leżałam w łóżku i przyglądałam się ruchom plam księżycowego blasku na podłodze. Nie mogłam odegnąć wspomnienia twarzy Tamlina, gdy po całym zajściu kazał mi i Lucienowi wyjść z jadalni i zamknąć za sobą drzwi. Gdybym nie czuła tak wielkiej potrzeby poskładania się z powrotem w całość, pewnie bym została. Może nawet zapytałabym Luciena o to, co zaszło. O wszystko. Ale tylko uciekłam do swojej komnaty jak najzwyklejszy tchórz, którym byłam. Do cieplej komnaty, w której czekała na mnie Alis z kubkiem gorącej czekolady. Jeszcze trudniej było zapomnieć potężny ryk, który zatrząsał kandelabrami i meblami w całym domu.

Nie zeszłam na obiad. Nie chciałam sprawdzać, czy jadalnia aby jeszcze istnieje. Nie mogła się też zebrać, by coś namalować.

Od pewnego czasu w rezydencji panowała cisza, aczkolwiek w powietrzu wciąż jeszcze pulsowało echo gniewu Tamlina, wprawiając w drżenie drewno, kamień i szkło.

Nie chciałam myśleć o tym wszystkim, co powiedział Rhysand. Nie chciałam myśleć o nadchodzącej pladze, o tym dworze pod Górą, czymkolwiek by on był, ani o tym, dlaczego miałabym zostać zmuszona tam się udać. Jeszcze ta Amarantha. Przynajmniej poznałam imię tej tajemniczej kobiety, której tak się obawiają. Drżałam za każdym razem, gdy tylko rozważałam, jak musi być potężna, żeby tak pomiatać książętami Prythianu; żeby trzymać księcia Dworu Nocy na tak krótkiej smyczy; żeby Tamlin był skłonny błagać na kolanach o zachowanie mojego istnienia w tajemnicy przed nią.

Drzwi skrzypnęły. Usiadłam gwałtownie w pościeli. Księżycowa poświata zalśniła na złotej masce. Moje serce nie chciało się uspokoić, nawet gdy Tamlin zamknął za sobą drzwi i podszedł do łóżka. Kolejne kroki stawiał powoli, ociężałe i w milczeniu. Usiadł ciężko na brzegu materaca.

– Przepraszam – powiedział zachrypniętym, pustym głosem.

– W porządku – skłamałam, zaciskając dłonie kurczowo na kołdrze. Jeśli myślałam o tym zbyt długo, wciąż czułam widmowe pazury Rhysanda przesuwające się po moim umyśle.

– Nie jest w porządku – warknął i chwycił gwałtownie moją dłoń. – Jest... – Zwiesił głowę i westchnął ciężko, zaciskając mocno swoje palce na moich. – Feyro... Chciałbym... – Pokręcił głową i odkaslnął. – Wysyłam cię do domu, Feyro.

Coś we mnie pękło.

– Słucham?

– Wysyłam cię do domu – powtórzył i chociaż tym razem mówił mocniej i głośniejszym głosem, wciąż mu drżał.

– A co z Traktatem...

– Przejąłem twój dług życia. Jeśli ktoś przyjdzie do mnie w sprawie złamanego prawa, przyjmę na siebie pełną odpowiedzialność za śmierć Andrasa.

– Ale przecież mówiłeś wcześniej, że nie ma już pola manewru wśród zapisów Traktatu. A suriel powiedział, że nie ma...

– Jeśli będą mieli z tym problem, mogą mi o tym powiedzieć – warknął.

Aha... I skończą rozerwani na strzępy. Poczułam bolesny ucisk w piersi. Miałam odejść...

Wolna.

– Czy zrobiłam coś złego?

Uniósł moją rękę do twarzy i przycisnął ją do policzka. Jego skóra była tak kusząco ciepła.

– Nie zrobiłaś nic złego. – Obrócił lekko twarz i ucałował moje palce. – Byłaś doskonała

– wymruczał z ustami wciąż przyciśniętymi do mojej skóry, po czym opuścił dłoń.  
– Zatem dlaczego muszę odchodzić? – zapytałam, wrywając mu swoją rękę.  
– Ponieważ są... są pewne osoby, które by cię skrzywdziły, Feyro. Skrzywdziłyby cię z powodu tego, co dla mnie znaczysz. Sądziłem, że zdołam sobie z nimi poradzić, ochronić cię przed nimi. Ale po dzisiejszych wydarzeniach... Nie mogę. Musisz zatem wrócić do domu, być jak najdalej stąd. Tam będziesz bezpieczna.  
– Dam radę o siebie zadbać i...  
– Nie, nie dasz rady – przerwał mi zdławionym głosem. – Ponieważ ja nie dam rady. – Ujął moją twarz obiema dłońmi. – Nawet siebie nie potrafię ochronić przed nimi czy przed tym, co się dzieje w Prythianie. – Czułam, jak każde słowo spływa z jego ust w moją stronę i dotyka moich warg jako gorący, rozedrgany powiew powietrza. – Nawet jeśli dalibyśmy radę stawić czoło pladze... Oni by cię dopadli. Ona znalazłaby sposób, żeby cię zabić.  
– Amarantha. – Zjeżył się na dźwięk tego imienia, ale kiwnął głową. – Kim ona...  
– Gdy już dotrzesz do domu – wszedł mi w słowo, nie dając mi dokończyć – nie mów nikomu, gdzie tak naprawdę byłaś. Niech nadal wierzą w to, co mówi im mój urok. Nie mów im nic o mnie. Nie zdradzaj, gdzie naprawdę byłaś. Jej szpiedzy będą cię szukać.  
– Nie rozumiem. – Chwyciłam jego przedramię i ścisnęłam mocno. – Powiedz mi...  
– Musisz wracać do domu, Feyro.  
Dom. To nie był mój dom. *To było piekło.*  
– Chcę zostać z tobą – wyszeptalam łamiącym się głosem. – Niezależnie od Traktatu, niezależnie od nadciągającej plagi.  
Przesunął dłoń po twarzy. Gdy dotknął maski, jego palce zacisnęły się w pięść.  
– Wiem.  
– Zatem pozwól mi...  
– Żadnej dyskusji – warknął. Wbiłam w niego wzrok, marszcząc brwi. – Czy ty nie rozumiesz? – Wstał gwałtownie. – Rhysand to dopiero początek. Chcesz być tutaj, kiedy powróci attor? Chcesz się dowiedzieć, jakie stwory wydają mu polecenia? Stwory takie jak bogge. I o wiele gorsze.  
– Pozwól mi sobie pomóc...  
– Nie! – Chodził w tę i w tę koło łóżka. – Nie dostrzegłaś, czym Rhysand groził między wierszami?  
Nie wiedziałam, o czym mówi, ale postanowiłam robić dobrą minę do złej gry. Uniosłam głowę i skrzyżowałam ramiona.  
– Więc odsyłasz mnie, bo jestem bezużyteczna w walce?  
– Odsyłam cię, ponieważ nie mogę znieść myśli o tobie w ich rękach!  
Zapadła cisza przerywana tylko jego ciężkim oddechem. Opadł na łóżko i przycisnął dłoń do oczu.  
Jego słowa odbijały mi się w głowie wielokrotnym echem, roztapiając gniew i czyniąc wszystkie moje myśli rozmytymi i kruchymi.  
– Na jak... na jak długo będę musiała odejść?  
Nie odpowiedział.  
– Na tydzień? – Milczenie. – Na miesiąc? – Pokręcił powoli głową. Usta mi zadrgały, ale zdołałam się opanować. – Na rok? – Tyle czasu z dala od niego...  
– Nie wiem.  
– Ale nie na zawsze, prawda? – Nawet jeśli magiczna plaga ponownie zagrozi Dworowi Wiosny, nawet jeśli mogłaby mnie rozerwać na drobne kawałki... Wróciłabym. Odgarnął włosy z mojej twarzy. Odtrąciłam jego dłoń. – Zapewne łatwiej będzie, gdy stąd zniknę –

powiedziałam, odwracając wzrok. – Kto by chciał być przy kimś pokrytym cierniami?

– Cierniami?

– Cierniami, kolcami. Zgorzkniałym. Pełnym sprzeczności.

Nachylił się ku mnie i pocałował delikatnie.

– Nie na zawsze – powiedział, muskając wargami moje usta.

Chociaż wiedziałam, że kłamie, zarzuciłam mu ramiona na szyję i pocałowałam go.

Przyciągnął mnie ku sobie i posadził na swoich kolanach, ściskając mocno. Jego wargi rozwarły moje. Gdy jego język wsunął się w moje usta, odpowiedział mu każdy nerw na każdym skrawku mojej skóry.

I chociaż wciąż drżałam na wspomnienie magii Rhysanda, popchnęłam Tamlina na łóżko i usiadłam na nim okrakiem, przycisnęłam całym ciałem do materaca, tak jakbym była w stanie w ten sposób powstrzymać go przed odesłaniem mnie, tak jakbym mogła zatrzymać czas.

Zsunął dłonie na moje biodra. Bijący od nich żar parzył mnie przez cienki jedwab koszuli nocnej. Moje włosy opadły po obu stronach naszych twarzy niczym zasłony. Nie potrafiłam całować go dość szybko i dość mocno, aby wyrazić gotującą się we mnie potrzebę. Zamruczał zmysłowo i zwinnie przewrócił mnie na plecy, unieruchamiając mi ręce nad głową. Oderwał się od moich warg i całował mnie coraz niżej wzdłuż szyi.

Cały mój świat skurczył się do dotyku jego ust na mojej skórze. Wszystko poza tym, poza nim, było pustką wypełnioną tylko ciemnością i blaskiem księżyca. Wyprężyłam plecy, gdy dotarł do miejsca, w którym mnie ugryzł w Noc Ognia. Przeczesałam palcami jego włosy, delektując się ich jedwabistą gładkością.

Przesunął dłońmi wzdłuż moich bioder, zatrzymując się na chwilę na brzegu mojej bielizny. Koszula nocna podwinęła mi się aż do talii, ale nie dbałam o to. Oplotłam go nogami i przesuwałam stopami wzdłuż jego umięśnionych łydek.

Wyszeptał moje imię, muskając wargami mój obojczyk. Jedną dłoń przeniósł z biodra na brzuch i przesuwał ją powoli w górę. Zadrżałam, przygotowując się na dotyk jego palców na moich piersiach. Uniósł się nade mną i pocałował mnie w usta. Wędrowka jego dłoni zakończyła się tuż poniżej celu.

Tym razem całował mnie powoli, delikatnie. Wsunął palce drugiej dłoni pod koszulę nocną. Zadrżałam i nabrałam gwałtownie powietrza.

Zawahał się i wycofał lekko. Ugryzłam go w wargę, wydając nieme polecenie. Zamruczał i pocałował mnie mocniej. Wysunął jeden pazur i przeciął jedwab, rozdarł koronkę. Po chwili już nic nie kryło mojego ciała przed jego wzrokiem. Pazur zniknął, jego usta napały mocniej na moje wargi. Wsunął palce między moje uda, muskając, kusząc. Napałam na jego dłoń, całkowicie poddając się namiętności wijącej się w moich myślach jak dzika rycząca bestia i wyszeptałam jego imię, całując go namiętnie.

Znów zamarł. Chciał cofnąć dłoń, ale chwyciłam ją i przycisnęłam mocniej do siebie. Pragnęłam go tu i teraz, chciałam zniszczyć wszystkie bariery, smakować jego pot, poczuć, jak mnie wypełnia.

– Nie przestawaj – jęknęłam.

– Ja... – powiedział przez ściśnięte gardło, oparł głowę między moimi piersiami i zadrżał.

– Jeśli posuniemy się dalej, nie będę mógł w ogóle przestać.

Usiadłam na łóżku. Przyglądał mi się, z trudem łapiąc oddech. Spojrzałam mu prosto w oczy i stopniowo uspokajałam oddech. Zsunęłam rozciętą koszulę nocną z ramion i cisnęłam ją na podłogę. Trwałam przed nim całkiem naga i obserwowałam, jak jego wzrok odrywa się od moich oczu i wędruje w dół do moich piersi, do sterczących od nocnego chłodu sutków i dalej w dół, na brzuch, między uda. Przez twarz przemknął mu wilczy, nienasycony głód. Zgięłam

nogę w kolanie i odchyliłam zapraszająco na bok. Warknął nisko i powoli, z determinacją drapieżnika uniósł wzrok z powrotem do moich oczu.

Skupił na mnie pełnię swojej dzikiej, nieokiełznanej woli. Czułam burzę mocy szalejącą pod jego skórą, zdolną – nawet w stanie osłabienia – w okamgnieniu zniszczyć moje ciało, mój umysł i moją duszę. Ale wiedziałam, że mogę mu zaufać. Że potrafię przetrwać zetknięcie z tą potęgą. Nawet gdybym rzuciła się na niego wszystkim, czym byłam – nie odsunąłby się.

– Daj mi wszystko – wyszeptalam.

Skoczył na mnie – dzika bestia zerwała wszelkie więzy.

Byliśmy płataniną kończyn i zębów. Zdarłam z niego ubranie i cisnęłam na ziemię obok mojej zniszczonej koszuli nocnej, a potem darłam jego skórę, znacząc paznokciami plecy i ramiona. Z wysuniętymi pazurami ujął mnie druzgocąco delikatnie za biodra i wsunął się między moje uda, napawając wzrok widokiem mojego ciała. Zatrzymał się na chwilę, gdy zadrżałam i pękłam. Wyjęczałam jego imię, gdy wniknął we mnie zdecydowanym, acz powolnym ruchem, od którego rozpadłam się na drzazgi wkoło niego.

Poruszaliśmy się jednym dzikim rytmem, bez końca, płonąc na stosie naszej namiętności. A gdy przekroczyłam krawędź i poleciałam w otchłań rozkoszy, ryknął głośno i rzucił się za mną.

\*\*\*

Zasnęłam w jego ramionach. Gdy obudziłam się kilka godzin później, kochaliśmy się jeszcze raz. Tym razem leniwie, celebrując się nawzajem, tak jak drobne płomyki pełgają po żarzących się węglach, gdy przeminą gwałtowne płomienie. Gdy oboje nie mieliśmy już sił, leżeliśmy w milczeniu złani potem, ciężko dysząc. Wciągnęłam w nozdrza jego zapach – rześki, przypominający wilgotną ziemię po deszczu. Nigdy nie będę w stanie tego uchwycić; nigdy nie zdołam namalować jego dotyku i jego smaku. Nieważne, ile razy spróbuję; nieważne, ilu użyję barw.

Tamlin kreślił palcem koła na moim brzuchu.

– Powinnaś się wyspać – wymruczał. – Czeka cię jutro długa podróż.

– Jutro? – Usiadłam gwałtownie. Nie wstydziałam się już swojej nagości. Nie po tym, jak wszystko dokładnie obejrzał i wszystkiego posmakował.

Przybrał poważną minę.

– O świcie.

– Ale przecież...

Usiadł jednym płynnym ruchem.

– Proszę cię, Feyro.

„Proszę”. Tamlin skłonił się Rhysandowi. Dla mnie. Przesunął się na skraj łóżka.

– Dokąd idziesz?

Obejrzał się na mnie przez ramię.

– Jeśli zostanę, nie zmrużysz oka.

– Zostań – zaprotestowałam. – Obiecuję trzymać ręce przy sobie. – Kłamstwo. Takie oczywiste kłamstwo.

Uśmiechnął się szelmowsko, dając mi wyraźnie do zrozumienia, że mnie przejrzał. Obrócił się jednak i przytulił mnie. Objęłam go w pasie i oparłam głowę na jego ramieniu.

Uniósł dłoń i głaskał delikatnie moje włosy. Nie chciałam spać, nie chciałam tracić ani jednej minuty, którą mogłam spędzić z nim. Niestety, wszechogarniające wyczerpanie ciągnęło mnie nieustępliwie ku nieświadomości. Rejestrowałam jeszcze tylko dotyk jego palców na głowie i spokojny rytm oddechu.

Miałam odejść. Teraz, kiedy to miejsce stało się dla mnie więcej niż schronieniem, kiedy polecenie suriela stało się błogosławieństwem, a Tamlin kimś dużo, dużo ważniejszym niż wybawca czy przyjaciel. Miałam odejść. Przez całe lata mogłam nie zobaczyć tego domu, nie powąchać róż rosnących w ogrodzie, nie móc spojrzeć w te nakrapiane złotem oczy. Dom. Tu teraz był mój dom.

Na chwilę przed tym, gdy ostatecznie przegrałam zmagania z sennością, zdało mi się, że słyszę jego głos przy moim uchu.

– Kocham cię – wyszeptał i pocałował mnie w skroń. – Kocham cię mimo cierni.

Gdy obudziłam się rano, już go nie było. A ja nabrałam pewności, że ta ostatnia chwila tylko mi się przyśniła.

## Rozdział 28

Spakowanie rzeczy i pożegnania nie zabrały mi wiele czasu. Byłam nieco zaskoczona, gdy Alis kazała mi założyć suknię zupełnie nieprzypominającą mojego zwykłego stroju – z mnóstwem falbanek, krępującą ruchy i uciskającą wszędzie tam, gdzie nie trzeba. Musiała to być jakaś moda aktualnie obowiązująca na dworach zamożnych śmiertelników. Suknia składała się z wielu warstw bladuróżowego jedwabiu obszytego białą i błękitną koronką. Na koniec Alis zarzuciła mi na ramiona krótkie, lekkie bolerko z białej dzianiny, a na głowę włożyła absurdalny malutki kapelusik w kolorze kości słoniowej. Nie miał absolutnie żadnego zastosowania praktycznego, musiał więc spełniać funkcję wyłącznie dekoracyjną. Nie zdziwiłabym się, gdybym dostała jeszcze parasolkę do kompletu.

Gdy zauważyłam to na głos, Alis tylko mlasnęła głośno.

– Nie powinnaś aby odprawić łzawego pożegnania?

Poprawiłam koronkowe rękawiczki – cienkie i bezużyteczne.

– Nie lubię pożegnań. Gdybym mogła, po prostu wyszłabym, nie mówiąc ani słowa.

Alis spojrzała na mnie przeciągle.

– Ja również ich nie lubię.

Podeszłam do drzwi.

– Mam nadzieję – powiedziałam wbrew sobie – że wkrótce zobaczysz swoich siostrzeńców.

– Wykorzystaj wolność jak najpełniej – powiedziała i nie odezwała się potem już ani słowem.

Na dole Lucien parsknął śmiechem, gdy tylko mnie zobaczył.

– Jeśli wszyscy w krainach śmiertelników się tak ubierają, to moja noga tam nigdy nie postanie.

– Nie jestem pewna, czy śmiertelnicy wiedzieliby, co z tobą począć.

Lucien uśmiechnął się nerwowo. Był spięty. Rzucił bystre spojrzenie za moje plecy, gdzie Tam czekał przy złożonym powozie. Spojrzał ponownie na mnie, mrużąc swoje metalowe oko.

– Sądziłem, że jesteś mądrzejsza.

– Ty również żegnaj – odparłam.

Też mi przyjacieli. To nie był ani mój wybór, ani moja wina, że cały czas ukrywali przede mną informacje o tym, czemu stawiali czoło. Nawet jeśli nie byłam w stanie im w żaden sposób pomóc z magiczną plagą, przemykającymi przez granice stworami czy Amaranthą – kimkolwiek ona była.

Lucien pokręcił głową. Jego blizna wyglądała paskudniej niż zwykle w porannym słońcu. Nieoczekiwanie ruszył w stronę Tamlina, choć ten warknął na niego ostrzegawczo.

– Nie dasz jej nawet choć kilku dni? Dwa, trzy dni, zanim będzie musiała udać się z powrotem do tej ludzkiej kloaki?

– Moja decyzja nie podlega dyskusji – powiedział ostro Tamlin i wskazał dom. – Do zobaczenia na posiłku.

Przez parę chwil Lucien spoglądał gniewnie na przyjaciela, po czym splunął na ziemię i wbiegł z powrotem po schodach. księżę nie upomniał go, tylko odprowadził wzrokiem.

Mogłam lepiej przemyśleć słowa Luciena, mogłam za nim zawołać, ale... Żalność ścisnęła mi serce, gdy stanęłam przed Tamlinem przy powozie. Dłonie zaczęły mi się pocić w tych śmiesznych rękawiczkach.

– Pamiętaj, co ci powiedziałem. – Pierwszy przerwał milczenie. Skinęłam głową, zbyt



zajęta zapamiętywaniem rysów jego twarzy, aby odpowiedzieć. Czy naprawdę wierzył w to, co wydawało mi się, że powiedział w nocy? Czy naprawdę mnie kochał? Przeszłam z nogi na nogę. Stopy zaczynały mnie boleć od ciasnych białych trzewików, które kazała mi założyć Alis. – W krainach śmiertelników będziesz bezpieczna. I twoja rodzina także.

Ponownie kiwnęłam głową. Zastanawiałam się, czy podjąłby próbę przekonania mnie, abym wraz z ojcem i siostrami porzuciła dom i odpłynęła na południe. I czy rozumiał, że z całą stanowczością odmówiłabym ucieczki tak daleko od muru, tak daleko od niego. Że powrót do rodziny był maksimum tego, na co mogłam się zgodzić.

– Moje obrazy... Daję ci je – powiedziałam, niezdolna wymyślić nic lepszego, co oddałoby to, jak się czułam. Co pozwoliłoby mu zrozumieć, co dla mnie znaczyło być odesłaną. Jak bardzo przerażał mnie górujący nade mną powóz.

Ujął mnie za brodę i podniósł moją głowę.

– Jeszcze się zobaczymy.

Pocałował mnie, ale wycofał się zbyt szybko. Przełknęłam z trudem ślinę, usiłując powstrzymać łzy cisnące się do oczu. „Kocham cię, Feyro”.

Odwrociłam się do niego plecami, zanim wzrok mi się zamglił, on jednak momentalnie znalazł się znów przede mną, aby pomóc mi wsiąść do bogatego wnętrza powozu. Przyglądał się przez otwarte drzwi, jak zajmuję miejsce w środku. W tej chwili dolną część jego twarzy również przesłaniała maska – maska spokoju.

– Gotowa?

Nie, nie, nie byłam gotowa. Nie po wczorajszej nocy, nie po tym wszystkim, co się wydarzyło w ostatnich miesiącach. Ale kiwnęłam głową. Jeśli Rhysand by wrócił, jeśli ta cała Amarantha istotnie stanowiła takie zagrożenie, że byłabym tylko kolejną osobą, którą Tamlin musiałby chronić... Musiałam odejść.

Zamknął za mną drzwi, odcinając mnie od siebie z cichym trzaskiem, który zadudnił głucho w mojej głowie. Wyciągnął ku mnie rękę przez otwarte okno i pogładził mnie po policzku. Mogłabym przysiąc, że właśnie pękło mi serce. Woźnica strzelił biczem.

Palce Tamlina musnęły moje wargi. Powóz ruszył do przodu ciągnięty przez szóstkę siwych koni. Przygryzłam wargę, aby powstrzymać jej drżenie.

Tamlin uśmiechnął się do mnie ostatni raz.

– Kocham cię – powiedział i cofnął się w stronę domu.

Powinłam to powiedzieć. Powinłam wymówić te słowa, ale utknęły mi w gardle, bo... Bo wiedziałam, z czym musi się zmierzyć. Bo pomimo swojej obietnicy mógł mnie już nigdy więcej nie odnaleźć. Bo... bo gdy kurz opadnie, on pozostanie nieśmiertelny, a ja zestarzeję się i umrę. Może teraz wierzył w swoje słowa. Może miniona noc zmieniła dla niego równie wiele, co dla mnie. Ale... Nie chciałam być dla niego ciężarem. Nie chciałam być kolejnym brzemieniem na jego barkach.

Nie powiedziałam zatem nic, gdy powóz odjeżdżał. I nie obejrzałam się, kiedy przejeżdżał przez bramę, aby zanurzyć się w las.

\*\*\*

Gdy tylko znaleźliśmy się między drzewami, w nos uderzyła mnie iskierka magii i błyskawicznie zapadłam w głęboki sen. Kiedu się obudziłam, nie posiadałam się ze złości. Zastanawiałam się, dlaczego to było konieczne. Porzuciłam jednak te myśli, gdy tylko rozpoznałam odgłos dobiegający z zewnątrz. Stukot podków o kamienny bruk. Przetarłam oczy i wyjrzałam przez okno. Powóz jechał łagodnie nachylonym podjazdem wysadzonym spiczastymi krzewami bukszpanu i kępami irysów. Nigdy dotąd nie widziałam tego miejsca.

Staralam się zarejestrować jak najwięcej informacji. Woźnica zajechał przed okazały pałac o ścianach wyłożonych białym marmurem i dachu lśniącym barwą szmaragdu. Budynek niemal dorównywał wielkością rezydencji Tamlina.

Nie rozpoznawałam twarzy zbliżających się służących. Staralam się zachować kamienną twarz, gdy skorzystałam z podanej mi dłoni i wysiadłam z powozu.

Spojrzałam na pomagającego mi wysiąść służącego. Był człowiekiem. Był zdecydowanie człowiekiem. Zaokrąglone uszy, rumiana twarz, zwykły strój.

Wszyscy pozostali służący również byli ludźmi. Wydawali się jednak czymś wyraźnie zaniepokojeni lub zniecierpliwieni. Jakiż kontrast w porównaniu z niewzruszonym spokojem fae wysokiego rodu. Niedokończone, pozbawione wdzięku istoty ziemi i krwi.

Służba przyglądała mi się z zaciekawieniem, ale utrzymywała dystans i cofała się z szacunkiem. Czy wyglądałam naprawdę na wielką damę? Wyprostowałam się, gdy z frontowych drzwi wypadły dwie ruchliwe postacie w barwnych ubraniach.

Rozpoznałam swoje siostry, zanim one mnie w ogóle dostrzegły. Zbliżyły się, wyglądając swoje piękne suknie, unosząc ze zdziwieniem brwi na widok połączonego powozu.

Rozdzierające dławienie w piersi wzmocniło swój ucisk. Tamlin powiedział, że zadbał o moją rodzinę, ale to...

Nesta przemówiła pierwsza, kłaniając się nisko. Elaina szybko poszła w jej ślady.

– Witamy w naszym domu – powiedziała Nesta nieco bezbarwnie, wbijając wzrok w ziemię. – Pani...

Zaśmiałam się głośno.

– Nesto – powiedziałam. Moja siostra zeszywniała. Ponownie się roześmiałam. – Nesto, nie poznajesz własnej siostry?

Elaina otworzyła szeroko oczy ze zdumienia.

– Feyra? – Sięgnęła ku mnie, ale zawahała się. – Co zatem z ciotką Ripleigh? Czy... nie żyje?

Przypomniałam sobie, że przecież taką właśnie historię usnuł Tamlin. Że wyjechałam do cudem odnalezionej, bogatej ciotki. Kiwnęłam powoli głową. Nesta otaksowała spojrzeniem moje ubranie i powóz. Perły wplecione w jej złocistobrązowe włosy lśniły w promieniach słońca.

– Pozostawiła ci swój majątek – zauważyła Nesta bezbarwnym tonem. To nie było z jej strony pytanie.

– Feyro, powinnaś była nas powiadomić! – powiedziała Elaina, wciąż nie mogąc wyjść z zaskoczenia. – Och, jaka okropność... A ty biedna musiałaś znosić trwanie przy jej łożu śmierci całkiem sama. Ach, biedna Feyro. Ojciec będzie zdruzgotany, że nie mógł osobiście złożyć ciotce ostatnich wyrazów uszanowania.

Takie... takie proste rzeczy: umierający krewni, dziedziczone fortuny, żegnanie się z umarłymi. A jednak... jednak... Z serca spadł mi kamień, z którego istnienia nie zdawałam sobie do tej pory sprawy. To były jedyne rzeczy, którymi się obecnie martwiły.

– Dlaczego nic nie mówisz? – zapytała Nesta z pewnym dystansem.

Zapomniałam, jak przebiegłe były jej oczy, jak były zimne. Była inna niż my. Ulepiona z czegoś twardszego i trwalszego niż kości i krew. Różniła się od otaczających nas ludzi w równym stopniu jak ja sama teraz od nich.

– Ach... Cieszę się, że i wam wiedzie się obecnie dużo lepiej – wykrztusiłam. – Co się stało?

Woźnica – zaczarowany przez Tamlina, żeby wyglądać na człowieka; bez żadnej maski na twarzy – zaczął zdejmować z powozu kufry i podawać służbie. Nie wiedziałam, że mój książę wyprawił mnie w drogę z takimi bagażami.

Elaina wyprostowała się dumnie.

– Nie dotarły do ciebie listy od nas? – Nie pamiętała, a może nawet naprawdę nie wiedziała, że i tak nie byłabym w stanie ich przeczytać. Gdy pokręciłam przecząco głową, sarknęła na bezużyteczność usług pocztowych. – Och, nigdy nie uwierzysz! Niecały tydzień po tym, gdy pojechałaś zająć się ciotką Ripleigh, jakiś nieznajomy pojawił się na naszym progu i zwrócił się do ojca z prośbą o pomoc w zainwestowaniu olbrzymiej sumy! Ojciec z początku się wahał, bo oferta wydawała się podejrzanie dobra, ale nieznajomy nie ustępował i w końcu tato uległ jego namowom. Za samą gotowość pomocy dał nam skrzynię złota! W zaledwie miesiąc ojciec podwoił majątek tego mężczyzny. Wtedy pieniądze zaczęły płynąć szerokim strumieniem. I wiesz co? Te statki ojca, które zaginęły na morzu, zostały odnalezione w Bharacie! Razem z jego zaległym zarobkiem!

Tamlin... To wszystko zasługa Tamlina. Zignorowałam ssącą pustkę za mostkiem.

– Feyro, wyglądasz teraz na równie zaskoczoną jak my wtedy – wtrąciła się Elaina, biorąc mnie pod ramię. – Wejdz do środka. Oprowadzimy cię po domu! Nie mamy dla ciebie przygotowanego pokoju, gdyż sądziłyśmy, że będziesz u biednej ciotki Ripleigh jeszcze przez wiele miesięcy. Ale mamy tyle komnat sypialnych, że jeśli tylko zechcesz, codziennie możesz spać w innej!

Zerknęłam przez ramię na Nestę, która przyglądała mi się badawczo z nieodgadnioną miną. Czyli ostatecznie nie wyszła za Tomasa Mandraya.

– Ojciec zapewne zemdleje, gdy cię zobaczy – paplała dalej Elaina, ciągnąc mnie w stronę drzwi frontowych i klepiąc po dłoni przy każdym słowie. – Och, może urządzi bal, żeby uczcić twoje przybycie!

Nesta ruszyła za nami. Szła cicho i ostrożnie. Nie chciałam wiedzieć, o czym właśnie myślała. Nie mogłam się też zdecydować, czy powinnam czuć wściekłość czy ulgę, że tak dobrze im się wiodło pod moją nieobecność. Czy Nesta nie miała przypadkiem teraz tych samych myśli?

Podkowy końskie zastukały o bruk i powóz ruszył w drogę powrotną – daleko ode mnie, do mojego prawdziwego domu. Do Tamlina. Musiałam wyteńczyć całą swoją siłę woli, aby nie pobiec za nim.

Powiedział, że mnie kocha, a po sposobie, w jaki uprawiał ze mną miłość, wiedziałam, że to prawda. A potem odesłał mnie, aby uchronić przed zagrożeniem. Uwolnił mnie spod wymogów Traktatu, aby zapewnić mi bezpieczeństwo. Gdyż burza, która miała lada chwila rozpętać się w Prythianie, zapowiadała się na tak gwałtowną, że nawet księżę fae wysokiego rodu mógł jej nie podolać.

Musiałam tu zostać. To było rozsądne. Ale nie mogłam się pozbyć tego dziwnego uczucia, jakby mrocznego cienia otaczającego mnie stopniowo. Niedającego spokoju podejrzenia, że popełniłam ogromny błąd, opuszczając Prythian – niezależnie od tego, co na ten temat sądził Tamlin. „Trzymaj się księcia”, powiedział suriel. We wszystkim, co mi mówił, zawarł tylko to jedno polecenie.

Odegrałam tę myśl, aby przywitać się z ojcem, który rozplakał się na mój widok. Istotnie wyprawił bal na moją cześć. I chociaż wiedziałam, że spełniłam obietnicę złożoną niegdyś matce, chociaż wiedziałam, że naprawdę zostałam już z niej zwolniona, że moja rodzina ma zapewnione dostatnie życie aż do śmierci... Cień wątpliwości rósł i zatruwał moje serce.

## Rozdział 29

Zmyślanie opowieści o mojej bytności u ciotki Ripleigh nie wymagało zbyt wielkiego wysiłku. Ona uczyła mnie dobrych manier, a ja jej codziennie czytałam i zajmowałam się nią aż do dnia, w którym zmarła we śnie dwa tygodnie temu. W testamencie zapisała mi całą swoją fortunę.

A cóż to była za fortuna! W kufrach, które Tamlin kazał załadować na powóz, znajdowały się nie tylko ubrania, ale też złoto i klejnoty. I to nie drobne, już obrobione, ale olbrzymie niecięte jeszcze kamienie, za które można było kupić tysiąc domów.

Ojciec zabrał się do szacowania ich wartości. Zaszły się w gabinecie z oknami wychodzącymi na ogród, w którym siadywałam z Elainą na trawie, i siedział zgarbiony nad biurkiem. Gdy spojrzałam w tamtą stronę, właśnie kładł na wadze rubin wielki jak kacze jajo. Zasłona jakby nagle opadła z jego oczu. Poruszał się energicznie, z determinacją, której nie widziałam u niego od czasu upadku naszej rodziny. Nawet zaczął jakby mniej kuleć. Według słów Elainy poprawa nastąpiła po zastosowaniu jakiegoś dziwnego napoju i maści, którą otrzymał w podarku od tajemniczego nieznanego przechodzącego przez wieś. Byłabym dozgonnie wdzięczna Tamlinowi za sam ten jeden gest.

Nie chodził przybity, ze zwieszonymi bezwładnie ramionami. Uśmiechał się spontanicznie, potrafił wesoło się roześmiać i zdawał się świata nie widzieć poza Elainą, która z kolei była całkowicie zapatrzona w niego. Nesta natomiast była bardzo cicha i zachowywała dużą rezerwę. Na wszystkie pytania siostry odpowiadała nie więcej niż dwoma słowami.

– Te bulwy – powiedziała Elaina, wskazując odzianą w rękawiczkę dłonią grupę fioletowo-białych kwiatów – pochodzą z pól tulipanów na kontynencie. Ojciec obiecał, że następnej wiosny zabierze mnie tam, abym mogła je zobaczyć na własne oczy. Mówił, że mają tam łąki ciągnące się całymi milami, na których rosną tylko te kwiaty.

Poklepała bezwiednie ciemną żyzną ziemię. Niewielki ogródek pod oknem gabinetu ojca należał tylko do niej: to ona wybrała każdą roślinę i własnoręcznie ją zasadziła. Nikomu innemu nie pozwalała ich dotykać. Zajmowała się nawet pieleniem i podlewaniem.

Chociaż, jak sama przyznała, służący pomagali jej nosić ciężkie konewki. Gdyby zobaczyła ogrody, do których w ostatnich miesiącach przywykłam, gdyby ujrziała wiecznie kwitnące kwiaty Dworu Wiosny, zapewne zapłakałaby łzami podziwu i radości.

– Powinnaś udać się tam razem z nami – ciągnęła dalej Elaina. – Nesta nie chce, gdyż boi się ryzykować przeprawy przez morze. Ale ty i ja... Och, bawiłybyśmy się przednio, prawda?

Spojrzałam na nią z ukosa. Cała promieniała, zadowolona z życia, ładniejsza niż kiedykolwiek wcześniej, nawet w prostej muślinowej sukience ogrodniczki. Policzki płonęły jej rumieńcem pod opadającym szerokim rondem kapelusza.

– Chyba... chyba chciałabym zobaczyć kontynent – powiedziałam.

I zrozumiałam, że to rzeczywiście prawda. Tyle jeszcze było rzeczy na świecie, których nie widziałam, o których zobaczeniu nawet nie pomyślałam, o których poznaniu nie ważyłam się marzyć.

– Dziwi mnie, że tak bardzo chcesz się tam udać następnej wiosny – zauważyłam. – Czy nie jest to sam środek sezonu?

Chodziło mi oczywiście o sezon towarzyski, który zakończył się kilka tygodni temu. Co roku wypełniony był przyjęciami, balami, piknikami oraz plotkowaniem, plotkowaniem i jeszcze raz plotkowaniem. Elaina opowiadała mi o tym przy wczorajszym obiedzie, praktycznie nie zauważając, że miałam problemy z przełknięciem jedzenia. Potrawy nie odbiegały wyborem od

tych na dworze Tamlina – mięso, pieczywo, warzywa – a jednak... W porównaniu z daniami, które jadłam w Prythianie, wszystko smakowało jak popiół.

– Dziwi mnie też, że pod drzwiami domu nie ustawia się długi szereg przystojnych młodzieńców błagających o twoją rękę.

Elaina spłonęła rumieńcem i wbiła łopatkę w ziemię, aby wykopać uporczywy chwast.

– Tak, cóż... Będzie jeszcze tyle innych sezonów. Nesta ci tego nie powie, ale tegoroczny był jakiś taki... dziwny.

– Dlaczego?

Wzruszyła szczupłymi ramionami.

– Ludzie zachowywali się, jakbyśmy przez te osiem lat były chore albo w podróży do jakiejś odległej krainy, a nie mieszkały w nędznej chatynce kilka wiosek dalej. Człowiek mógłby pomyśleć, że wysniliśmy to wszystko, co nam się przez ten czas przytrafiło. Nikt nie wspomniał o tym nawet słowem.

– Spodziewałaś się czegoś innego? – Jeśli nasza rodzina stała się tak zamożna, jak można było wnosić po przepychu pałacyku, z pewnością wiele osób z towarzystwa chętnie puściło lata ubóstwa w niepamięć.

– Nie, ale... Ale zapragnęłam wrócić do tych czasów, nawet z całym zimnem i głodem. Ten dom wydaje mi się czasem taki wielki, ojciec jest ciągle zajęty, a Nesta... – Obejrzała się przez ramię na naszą starszą siostrę, która stała przy poskręcanej morwie i spoglądała na ciągnące się w dal należące do nas pola. Przy wczorajszym obiedzie ledwie zamieniła ze mną dwa słowa, a podczas dzisiejszego śniadania milczała jak zaklęta. Dlatego też zdziwiłam się, gdy dołączyła do nas w ogrodzie, chociaż cały czas stała na uboczu, przy drzewach. – Pod koniec sezonu Nesta przestała się pojawiać na przyjęciach. Nie powiedziała mi dlaczego, po prostu w pewnej chwili zaczęła odrzucać wszystkie zaproszenia. Rzadko z kimkolwiek rozmawia, a ja martwię się okropnie, gdy odwiedzają mnie przyjaciółki, ponieważ przez nią czują się nieswojo. Cały czas patrzy na nie w ten swój nieprzyjemny sposób... – Elaina westchnęła. – Może mogłabyś z nią porozmawiać?

Chciałam odpowiedzieć, że nie odbyłyśmy z Nestą normalnej rozmowy od wielu lat, ale nie zdążyłam, bo Elaina dodała:

– Pojechała się z tobą zobaczyć, wiesz?

Zamrugałam. Krew mi na chwilę zastygła w żyłach.

– Słucham?

– Cóż, nie było jej tylko przez jakiś tydzień, a potem mówiła, że w połowie drogi zepsuł jej się powóz i łatwiej jej było po prostu wrócić niż kontynuować podróż, ale rzeczywiście nie możesz nic o tym wiedzieć, skoro nie dostałaś żadnego z naszych listów.

Spojrzałam na Nestę stojącą wciąż w bezruchu pod gałęziami. Fałdy jej sukni powiewały lekko poruszane letnim wietrzykiem. Wyruszyła, aby mnie odwiedzić, i zawróciła dopiero, gdy powstrzymała ją magia Tamlina?

Wróciłam wzrokiem do Elainy i napotkałam jej intensywne spojrzenie.

– O co chodzi?

Siostra pokręciła głową i wróciła do pielienia swojego ogródka.

– Wyglądasz tak... inaczej. Inaczej też się wyrażasz.

Istotnie sama nie mogłam uwierzyć własnym oczom, gdy poprzedniego dnia minęłam w holu lustro. Twarz mi się nie zmieniła, ale... otaczała mnie jakaś poświata, rodzaj migoczącej, ledwo dostrzegalnej aureoli. Bez wątpienia spowodował to mój pobyt w Prythianie, w jakiś sposób magia tamtych ziem przylgnęła do mnie. Wzdrygnęłam się na myśl o dniu, w którym zaniknie bezpowrotnie.

– Czy coś się stało w domu ciotki Ripleigh? – zapytała Elaina. – Czy... poznałaś kogoś?  
Wzruszyłam ramionami i wyrwałam najbliższy chwast.  
– Tylko dobrze jadłam i wypoczywałam.

\*\*\*

Mijały kolejne dni. Dręczący mnie cień się nie rozwiął. Czułam odrazę nawet na myśl o malowaniu, większość czasu spędzałam więc z Elainą w jej ogródku. Wystarczało mi słuchanie o poszczególnych roślinach, kwiatach, o jej planach założenia drugiego ogrodu przy szklarni, może ogródka warzywnego, jeśli w najbliższych miesiącach zdoła się dowiedzieć dość o potrzebnych roślinach.

Wyraźnie tu ożyła, a jej entuzjazm okazał się zaraźliwy. Nie było służki czy ogrodnika, którzy by się do niej nie uśmiechali. Nawet gburowaty szef kuchni szukał wymówek, aby przynosić jej o różnych porach dnia tace z ciastkami czy tartami owocowymi. To zadziwiające – te wszystkie lata życia w ubóstwie nie odebrały Elainie jej wewnętrznego światła. Może nieco je przyćmiły, ale teraz stała się hojną, kochającą i dobrą kobietą. Odczuwałam wręcz dumę, że ją znam, że mogę ją nazywać moją siostrą.

Ojciec skończył szacować wartość klejnotów i liczyć złote monety z moich kufrów. Okazałam się niesamowicie bogatą kobietą. Zainwestowałam część w ojcowskie interesy, ale wciąż pozostała mi olbrzymia kwota. Po krótkim namyśle poprosiłam tatę, aby przyszykował mi kilka toreb pieniędzy. Gdy tylko były gotowe, ruszyłam w drogę.

Rodzinną rezydencja znajdowała się ledwie trzy mile od naszej starej chaty, a ja doskonale znałam drogę. Nie przeszkadzało mi zupełnie, że dół mojej sukni przesiąkł błotnistą wodą. Rozkoszowałam się szumem wiatru w koronach drzew i cichymi westchnięciami wysokich traw. Gdybym odpłynęła wystarczająco daleko na wody wspomnień, mogłabym wyobrazić sobie, że oto właśnie spaceruję z Tamlinem przez jego lasy.

Nic nie wskazywało, że wkrótce go zobaczę, niemniej jednak każdej nocy kładłam się do łóżka z modlitwą o przebudzenie się w jego rezydencji albo chociaż o otrzymanie wiadomości wzywającej mnie do powrotu. Ale to nie rozczarowanie, że nic takiego nie nastąpiło, było najgorsze. O wiele bardziej nękała mnie niesłabnąca obawa, że groziło mu niebezpieczeństwo; że ta Amarantha, kimkolwiek by była, w jakiś sposób wyrządzi mu krzywdę.

„Kocham cię”. Niemal słyszałam te słowa, niemal słyszałam wymawiający je głos, niemal widziałam błysk promieni słońca na jego złocistych włosach i żywą zieleń jego oczu. Niemal czułam jego ciało przyciśnięte do mojego, jego palce sunące po mojej skórze.

Minęłam łuk drogi, po której mogłabym się poruszać po omacku, i oto dotarłam do celu.

Taka mała. Chatka była taka mała. Stary ogródek Elainy zmienił się w bezładną płataninę chwastów i kwiatów. Na kamiennym progu wciąż widniały znaki ochronne. Drzwi wejściowe, które zostawiałam za sobą roztrzaskane, zostały wymienione. W jednym z okrągłych okien tkwiła pęknięta szyba. Wnętrze zalegała ciemność. Na ziemi dokoła chaty nie znalazłam żadnych śladów butów.

Ruszyłam niewidoczną ścieżką przez wysoką trawę, którą przemierzałam każdego ranka od progu, przez drogę i dalej przez pofalowane pole aż do linii drzew. Do lasu. Mojego lasu.

Niegdyś wydawał mi się przerażający – śmiertelnie groźny, wygłodniały, brutalny. Teraz wyglądał... zwyczajnie.

Spojrzałam jeszcze raz na ten smutny, ciemny dom. Na miejsce, które było moim więzieniem. Elaina mówiła, że tęskni za naszą chatą. Zastanawiało mnie, co ona widziała, gdy na nią patrzyła. Więzienie czy schronienie? Miejsce, gdzie można było uciec przed światem, w którym było tak mało dobra, co jednak nie przeszkadzało jej ciągle go szukać. Nawet jeśli ja

zawsze uważałam to za głupie marnowanie czasu.

Patrzyła na nasz poprzedni dom z nadzieją. Ja znajdowałam w sobie tylko nienawiść.  
I wiedziałam, która z nas była silniejsza.

## Rozdział 30

Pozostała mi jeszcze jedna rzecz do zrobienia, zanim mogłam skierować swe kroki z powrotem do nowej ojcowskiej rezydencji. Mieszkańcy wioski, którzy niegdyś prychnęli na mój widok albo zwyczajnie mnie ignorowali, teraz gapili się z otwartymi ustami. Kilku podeszło do mnie i pytało o ciotkę, odziedziczony majątek i tak dalej. Zdecydowanie, acz uprzejmie wymawiałam się od wdawania w rozmowy z nimi. Nie chciałam im dawać nowych tematów do plotek. Ale przez nich dotarcie do biedniejszych domów zajęło mi tak wiele czasu, że do drzwi pierwszego z nich zapukałam już bardzo wyczerpana.

Biedni mieszkańcy przekrzywiających się chatynek nie zadawali żadnych pytań, gdy wręczałam im woreczki wypełnione srebrem i złotem. W pierwszym odruchu odmawiali, niektórzy wręcz nie rozpoznawali mnie, ale byłam nieustępliwa i każdemu zostawiłam pieniądze. Czulałam się w obowiązku zrobić dla nich choć tyle.

Gdy wracałam do rodzinnego pałacyku, minęłam Tomasa Mandraya z kolegami stojących przy fontannie. Rozprawiali o jakimś domu, który spłonął w minionym tygodniu razem z uwięzionymi w środku mieszkańcami. Zastanawiali się, czy w ruinach można jeszcze znaleźć coś przydatnego. Tomasz przyglądał mi się zdecydowanie zbyt długo, bezwstydnie wodząc wzrokiem po moich krągłościach, z tym zawadiackim uśmieszkiem, który zawsze posyłał dziewczkom z wioski. Dlaczego Nesta zmieniła zdanie? Posłałam mu wściekle spojrzenie i poszłam dalej swoją drogą.

Na skraju wioski usłyszałam wesoły kobiecy śmiech. Gdy skręciłam za róg, stanęłam twarzą w twarz z Izaakiem Halem i ładną, pulchną młodą kobietą, która musiała być jego świeżo poślubioną żoną. Szli pod ramię, oboje z promiennymi uśmiechami na twarzy. Oczy obojga lśniły wewnętrznym blaskiem.

Gdy kobieta mnie dostrzegła, uśmiech zamarł jej na ustach.

Wyglądał tak zwyczajnie ludzko z tymi jego patykowatymi kończynami i powszednią urodą, ale uśmiech, który jeszcze przed chwilą gościł na jego ustach, przekształcił go w coś więcej.

Jego żona wodziła wzrokiem między nami, nieco zbyt nerwowo. Tak jakby uczucie, które do niego żywiła – miłość, która biła z nich obojga – było tak świeże, tak nieoczekiwane, że wciąż obawiała się, iż mogłoby zniknąć. Powoli, ostrożnie Izaak skinął mi głową na powitanie. Gdy opuszczałam wioskę, był jeszcze chłopcem. Lecz osoba, która teraz stała przede mną... Cokolwiek połączyło go z żoną, cokolwiek między nimi wykiełkowało, uczyniło z niego mężczyznę.

Nie czulałam nic. W moim sercu, w moich myślach, w mojej duszy nie było nic poza niejasnym poczuciem wdzięczności.

Jeszcze kilka kroków i się minęliśmy. Uśmiechnęłam się szeroko do niego, do nich obojga i również skinęłam głową. Życzyłam im jak najlepiej. Z całego serca.

\*\*\*

Do balu, który ojciec wydawał z okazji mojego powrotu, pozostały jeszcze dwa dni, ale w domu już panowało wielkie poruszenie. Tyle pieniędzy wyrzucanych na rzeczy, o odzyskaniu których już dawno przestałyśmy marzyć... Początkowo chciałam ubłagać ojca, aby zrezygnował z tego pomysłu, ale Elaina zajęła się planowaniem wszystkiego i do tego uparła się, że sama wybierze suknię dla mnie, a poza tym – jak przekonywała – to miał być tylko jeden wieczór. Wieczór wypełniony spotkaniami z ludźmi, którzy przez te wszystkie lata nas ignorowali



i pozwalali nam przymierać głodem.

Słońce niemal już zaszło, gdy zakończyłam zaplanowaną na ten dzień pracę: skopanie niewielkiego poletka na kolejny ogród Elainy. Ogrodnicy spoglądali z lekkim przerażeniem, gdy jedna z nas chwyciła za łopatę, tak jakbyśmy miały zacząć całą ich pracę wykonywać samodzielnie i wszystkich ich zwolnić. Zapewniłam ich, że nie nadaję się do dbania o ogród i chciałam tylko znaleźć sobie jakieś zajęcie na cały dzień.

Brakowało mi wciąż planu na resztę tygodnia. Miesiąca. Na cały ten czas, który przyjdzie mi tu spędzić. Jeśli istotnie na północ od muru przetaczała się kolejna fala magicznej plagi, jeśli ta cała Amarantha wysyłała swoje stwory, żeby wykorzystać osłabienie dworów... Trudno było nie poddać się nieustępliwemu cieniowi zatruwającemu moje serce. Odkąd przyjechałam, nawet przez chwilę nie miałam ochoty malować. Ta część mojego umysłu, w której mieszkwały wszystkie barwy, kształty i światłocienie, zamarła i przygasła. „Niedługo – zapewniałam sama siebie. – Niedługo kupię sobie farby i ponownie zacznę malować”.

Wbiłam łopatę w ziemię i oparłam stopę o ostrze, ale nie napałam na nie; potrzebowałam chwili odpoczynku. Może przestraszyłam ogrodników swoim ubiorem, wygrzebanymi z bagaży tuniką i spodniami? Jeden z nich nawet pobiegł sam z siebie do domu i przyniósł mi jeden z tych kapeluszy z szerokim rondem, które nosiła Elaina. Założyłam go dla ich spokoju. Mojej skórze słońce nie mogło już zaszkodzić. Przez długie miesiące spędzone na przemierzaniu ziem Dworu Wiosny opaliłam się i dostałam piegów.

Spojrzałam na dłonie zaciśnięte na trzonku łopaty. Zgrubienia, drobne blizny, brudna ziemia pod paznokciami. Z pewnością przyprawiłabym tu wszystkich o palpitację serca, gdybym ukazała się ich oczom w ubraniu zachlapanym farbami.

– Nawet jeśli je umyjesz, i tak tego nie ukryjesz – powiedziała Nesta, zbliżając się do mnie od strony drzewa, przy którym tak lubiła przesiadywać. – Żeby należycie wejść w swoją nową rolę, musiałybyś założyć rękawiczki. I nigdy ich nie zdejmować.

Miała na sobie prostą, bladolawendową suknię z muslinu. Włosy częściowo upięła na głowie, pozostawiając kurtynę złotego brązu opadającą jej luźno na kark. Piękna, władcza i niewzruszona, niczym fae wysokiego rodu.

– Może nie chcę wchodzić w nową rolę i dołączać do twojego kręgu towarzyskiego – odparowałam, odwracając się do niej plecami i chwytając ponownie łopatę.

– Więc po co tu przyjechałaś? Żeby z nami zamieszkać? – Szybkie pytania zadane lodowatym tonem.

Wbiłam ostrze łopaty głębiej w ziemię i z wysiłkiem przerzuciłam na bok płat ziemi i trawy.

– Tu jest mój dom, czyż nie?

– Nie – odparła bezbarwnym głosem. Wbiłam ostrze w nowym miejscu. – Sądzę, że twój dom jest gdzieś daleko, daleko stąd.

Zamarłam. Zostawiłam łopatę wbitą w ziemię i powoli odwróciłam się do siostry.

– Dom ciotki Ripleigh...

– Nie ma żadnej ciotki Ripleigh. – Nesta sięgnęła do kieszeni i rzuciła coś na spulchnioną glebę.

Był to kawałek drewna, jakby odłamany od czegoś. Na gładkiej powierzchni widniały bluszcz i... palce wróżek. Namalowane w niewłaściwym odcieniu błękitu.

Oddech zaświszczał mi w gardle. Przez cały ten czas, wszystkie miesiące...

– Sztuczka twojej bestii nie zadziałała na mnie – podjęła głosem ostrym niczym sztylet. – Najwyraźniej do oparcia się urokowi wystarczy żelazna wola. Musiałam się przyglądać beczynnemu, jak ojciec i Elaina momentalnie przeszli od histerycznego łkania do... niczego.

Musiałam wysłuchiwać ich paplaniny o tym, jakie to szczęście cię spotkało, że wezwała cię jakaś nieistniejąca ciotka; jak to nasze drzwi strzaskał silny zimowy wicher. Początkowo sądziłam, że zwariowałam. Ale za każdym razem spoglądałam na pomalowany brzeg stołu i na głębokie ślady pazurów. Dzięki temu wiedziałam, że sobie tego wszystkiego nie wymyśliłam.

Nie słyszałam dotąd, żeby urok na kogoś nie zadziałał. Ale wola Nesty była nieugięta; jej myśli należały zawsze tylko do niej. Wybudowała wokół swego umysłu tak solidne mury – mury ze stali, żelaza i jesionowego drewna – że nawet magia księcia fae wysokiego rodu nie zdołała się przez nie przebić.

– Elaina powiedziała... Powiedziała, że wyruszyłaś mnie odwiedzić. Że próbowałaś...

Nesta prychnęła. Twarz miała ponurą, a oczy płonęły ciemnym ogniem długo tłumionego gniewu, z którym nigdy sobie nie poradziła.

– Porwał cię w środku nocy, prawie jakiegoś farmazona o Traktacie. A wszyscy żyli dalej, jakby to nigdy nie nastąpiło. Coś mi w tym wszystkim nie pasowało. Nic mi w tym nie pasowało.

Ręce opadły mi bezwładnie wzdłuż boków.

– Ruszyłaś za mną. Podążyłaś za mną do... aż do Prythianu.

– Dotarłam tylko do muru. Nie zdołałam znaleźć sposobu na pokonanie go.

Uniosłam drżącą dłoń do szyi.

– Szłaś dwa dni w jedną i dwa dni w drugą stronę przez las? W zimie?

Wzruszyła ramionami, patrząc na odłamany kawałek stołu.

– Tydzień po twoim porwaniu opłacałam tę najemniczkę z targu. Dałam jej pieniądze uzyskane za wilczą skórę. Wydawała mi się jedyną osobą, która mogłaby mi uwierzyć.

– Zrobiłaś to... dla mnie?

Nesta oderwała spojrzenie – moich oczu, oczu naszej matki – od drewnianego odłamka i patrząc na mnie hardo, odpowiedziała z naciskiem:

– To nie było w porządku.

Tamlin mylił się, mówiąc, że mój ojciec poszedłby za mną. Nie znalazłby w sobie tyle odwagi, tyle determinacji. W najlepszym wypadku wynająłby kogoś, kto by to zrobił za niego. Ale Nesta ruszyła razem z tą najemniczką. Nienawidząca mnie, oziębła siostra zdecydowała się stawić czoła niebezpieczeństwu Prythianu, żeby mnie uratować.

– Co się stało z Tomaszem Mandrayem? – zapytałam, zmagając się ze ściśniętym gardłem.

– Zrozumiałam, że on nie wyruszyłby ze mną, żeby pośpieszyć ci na ratunek.

A ona – ze swoim szalonym, niestępliwym sercem – czegoś takiego nie wybaczała.

Spojrzałam na moją siostrę. Po raz pierwszy *naprawdę* spojrzałam na kobietę, która nie mogła znieść otaczających ją teraz pochlebców, która nigdy w swoim życiu nie spędziła nawet jednego dnia w lesie, a wyruszyła za mną na tereny łowieckie wilków... Która odepchnęła utratę matki, a potem nasz upadek za zasłonę lodowatej wściekłości i rozgoryczenia, ponieważ gniew odgradzał ją od szaleństwa, a okrucieństwo było dla niej wyzwoleniem. Ale poza tym wszystkim zależało jej na mnie, może nawet kochała mnie mocniej, niż byłabym w stanie kiedykolwiek pojąć. Głębiej i serdeczniej, niż sądziłam, że jest zdolna.

– Tomasz i tak nigdy nie zasługiwał na twoją rękę – powiedziałam przyjaźnie.

Nie uśmiechnęła się, ale na chwilę jej szaroniebieskie oczy rozświetlił błysk wesołości.

– Opowiedz mi wszystko, co cię spotkało – powiedziała. To było żądanie, nie prośba.

Więc opowiedziałam.

Kiedy skończyłam, Nesta spoglądała na mnie przez dłuższą chwilę w milczeniu, po czym poprosiła mnie, abym nauczyła ją malować.

\*\*\*

Uczenie Nesty malarstwa okazało się mniej więcej tak przyjemne, jak się obawiałam. Ale przynajmniej dało nam to pretekst do unikania bardziej uczęszczanych partii domu, przez który przewijało się coraz więcej osób w związku z przygotowaniem do balu. Farby, pędzle i płótna były łatwe do zdobycia, ale wytłumaczenie mojego podejścia do malowania i przekonanie Nesty, żeby wyraziła na płótnie to, co myśli i co czuje... Cóż, przynajmniej potrafiła powtórzyć z dużą precyzją i starannością ruchy mojego pędzla.

Gdy wyszliśmy z cichej komnaty, którą zajęliśmy na nasze potrzeby, obie całe pochłapane farbą i umazane węglem, w pałacu czyniono ostatecznie już przygotowania. Wzdłuż podjazdu stały dwa rzędy latarń z barwionego szkła, a wewnątrz każdą poręcz, każdy łuk i każdą wnękę udekorowano wieńcami i girlandami wykonanymi ze wszystkich możliwych kwiatów we wszystkich możliwych kolorach. Wyglądało to pięknie. Kwiaty wybrała osobiście Elaina i szczególnie poinstruowała służbę, gdzie które kompozycje należy umieścić.

Wślizgnęliśmy się z Nestą po schodach na górę, ale gdy tylko dotarliśmy do podestu, w holu pod nami pojawili się idący ramię w ramię ojciec z Elainą.

Twarz Nesty momentalnie stężała. Ojciec mruczał słowa pochwały pod adresem Elainy, która cała promieniała i czule wspierała głowę na jego ramieniu. Cieszyłam się ich szczęściem, wygodą i beztrąską ich życia, zadowoleniem malującym się na twarzach ich obojga. Owszem, mieli swoje małe troski, ale oboje wyglądali na takich... spokojnych i szczęśliwych.

Nesta ruszyła korytarzem w głąb domu. Poszłam za nią.

– Bywają dni – powiedziała, przystając przed drzwiami do swojej komnaty, która znajdowała się naprzeciw mojej – gdy chcę go zapytać, czy pamięta te lata, kiedy doprowadził nas na skraj śmierci głodowej.

– Ty też wydawałaś wszystkie pieniądze, jakie udało mi się zdobyć – przypominałam.

– Bo dobrze wiedziałam, że zawsze dasz radę zdobyć ich więcej. A nawet jeśli nie, to chciałam się przekonać, czy on sam kiedykolwiek spróbuje to zrobić zamiast ciągłego dłubania w drewnie. Czy w końcu ruszyłby się i zawalczył o nasz byt. Ja nie potrafiłabym zająć się nimi wszystkimi. Nie tak, jak ty to robiłaś. Nienawidziłam cię za to. Ale jego nienawidziłam bardziej. Wciąż go nienawidzę.

– Czy on wie?

– Zawsze wiedział, że go nie cierpię, nawet zanim popadliśmy w biedę. To on pozwolił matce umrzeć. Miał do swojej dyspozycji całą flotę okrętów gotowych na jedno jego skinienie popłynąć we wszystkie zakątki świata w poszukiwaniu leku. Mógł też wynająć ludzi, żeby wyruszyli w jego imieniu do Prythianu i błagali fae o pomoc. Ale nie, on jej pozwolił stopniowo więdnąć.

– Kochał ją. I opłakiwał jej śmierć. – Nie wiedziałam, co z tego było prawdą. Może wszystko.

– Pozwolił jej umrzeć. Ty byś poszła na kraniec świata, żeby uratować swojego księcia. Ponownie poczułam bolesny ucisk w piersi.

– Tak, poszłabym – powiedziała cicho i wślizgnęłam się do swojej komnaty, by się przebrać.

## Rozdział 31

Bal... Wielobarwny wir tańców, tłum stroszących piórka, obwieszonych klejnotami arystokratów; wina i toasty na moją cześć. Trzymałam się boku Nesty, ponieważ zdawała sobie doskonale radzić z odstraszeniem zbyt ciekawskich zalotników, którzy chcieli dowiedzieć się więcej o mojej fortunie. Niemniej jednak starałam się uśmiechać, choćby tylko z uwagi na Elainę, która fruwała to tu, to tam, osobiście witając każdego gościa i tańcząc z synami wszystkich najważniejszych.

Cały czas rozmyślałam nad tym, co Nesta powiedziała o ratowaniu Tamlina.

Wiedziałam, że coś jest nie w porządku. Przeczynałam, że jest w tarapatkach. I nie chodziło tylko o plagę dręczącą Prythian, ale też o siły zbierające się przeciw niemu. A ja... Zaprzestałam poszukiwania odpowiedzi, zaprzestałam przygotowań do walki zadowolona – tak, samolubnie zadowolona – że mogę odłożyć na półkę tę dziką część mnie, która kazał mi żyć z godziny na godzinę. Pozwoliłam mu odesłać się do domu. Już nie próbowałam dopasować do siebie wszystkich elementów układanki związanej z plagą i Amaranthą, które udało mi się zdobyć. Nie próbowałam go ratować. Nawet mu nie wyznałam, że go kocham. A Lucien... Lucien też to wiedział i dał temu wyraz w gorzkich słowach, jakimi mnie pożegnał. Nie krył swojego rozczarowania moją postawą.

Zegar wybił już drugą po północy, a bal wciąż trwał w najlepsze. Ojciec debatował z grupą kupców i arystokratów, którym zostałam przedstawiona, ale których nazwiska chwilę później wyleciały mi z głowy. Elaina bawiła się świetnie, otoczona pięknymi przyjaciółkami, wprost promieniejąca szczęściem. Nesta opuściła towarzystwo bez pożegnania o północy. Ja również nie uznałam za stosowne wdawać się w długi ceremoniał pożegnalny i wymknęłam się do swojej komnaty.

Następnego popołudnia zebraliśmy się wszyscy – niewyspani i milczący – przy drugim śniadaniu. Podziękowałam Elainie i ojcu za przyjęcie i zrezygnowanie z odpowiedzi na pytania ojca, który chciał się koniecznie dowiedzieć, czy może wpadł mi w oko któryś z synów jego przyjaciół.

Dzień był upalny. Oparłam brodę na dłoni i wachlowałam się dla ochłody. Mimo wysokiej temperatury przespałam twardo całą noc. W domu Tamlina nigdy nie było zbyt gorąco ani zbyt chłodno. Zawsze w sam raz.

– Zastanawiam się nad zakupem ziemi Beddorów. – Ojciec zwrócił się do Elainy; ona jedna okazywała zainteresowanie jego słowami. – Doszła mnie plotka, że wkrótce zostanie wystawiona na sprzedaż. Nie przeżył nikt z członków rodziny, a teren jest perspektywiczny. Może któraś z was chciałaby wybudować tam dom dla siebie, gdy nadejdzie czas opuszczenia rodzinnych pieleszy?

Elaina pokiwała energicznie głową. Zamrugalałam, gdy dotarło do mnie znaczenie tego, co przed chwilą powiedział.

– Co się stało z Beddorami? – zapytałam.

– Och, to było okropne – powiedziała Elaina. – Ich dom spłonął, a cała rodzina zginęła. No, ciała Klary nie znaleziono, ale... – Spuściła wzrok. – Był środek nocy. Wszyscy spłonęli żywcem: członkowie rodziny, służba. Wszyscy. Dzień przed tym, jak wróciłaś od ciotki.

– Klara Beddor – powiedziałam powoli.

– Nasza przyjaciółka, pamiętasz?

Kiwnęłam głową i poczułam na sobie wzrok Nesty.

Nie... Nie, to niemożliwe. To musiał być zbieg okoliczności, *musiał!* Ponieważ inne

wy tłumaczenie...

Tak się przedstawiłam Rhysandowi.

A on tego nie zapomniał.

Poczułam nagły ucisk w brzuchu i gwałtowny przypływ nudności.

– Feyro? – zapytał zatroskanym głosem ojciec.

Zakryłam oczy drżącą dłonią i wzięłam głęboki wdech. Co się stało? Nie chodziło tylko o Beddorów: co się stało w domu, w Prythianie?

– Feyro – powtórzył z naciskiem ojciec.

– Siedź cicho – syknęła na niego Nesta.

Odepchnęłam od siebie poczucie winy, odrazę i przerażenie. Musiałam uzyskać odpowiedzi na swoje pytania. Musiałam się dowiedzieć, czy to był zbieg okoliczności, czy też może mam jeszcze szansę uratowania Klary. A jeśli coś stało się tu, w krainie śmiertelników, to Dwór Wiosny... To te stwory, których tak bardzo bał się Tamlin... Plaga, która wpływała na ich magię i ziemię...

Fae. Czarodziejskie istoty musiały przekroczyć mur. I zatarły wszystkie ślady.

Opuściłam dłoń i spojrzałam na Nestę.

– Posłuchaj mnie teraz bardzo uważnie – powiedziałam i przełknęłam z trudem ślinę. – Wszystko, co ci powiedziałam, musi pozostać tajemnicą. Nie wyruszysz za mną ani nawet nie wspomnisz o mnie nigdy i nikomu.

– O czym ty mówisz, Feyro? – Ojciec patrzył na mnie szeroko otwartymi oczami, nic nie rozumiejąc.

Elaina spoglądała to na mnie, to na naszą starszą siostrę i wierciła się na krześle. Nesta patrzyła mi w oczy z żelazną determinacją.

– Sądzę, że w Prythianie dzieje się coś bardzo niedobrego – powiedziałam łagodnym głosem. Nigdy się nie dowiedziałam, jakie sygnały ostrzegawcze Tamlin umieścił w ich urokach, i nie zamierałam pozostawiać bezpieczeństwa mojej rodziny wyłącznie magii. Nie w sytuacji, kiedy Klara została porwana, a jej rodzina – zamordowana. I to z mojego powodu. Mdłości się wzmogły.

– W Prythianie?! – zakrzyknęli ojciec i Elaina. Nesta uciszyła ich gestem dłoni.

– Jeśli nie chcecie uciekać, zatrudnijcie strażników – ciągnęłam. – I zwiadowców, którzy będą patrolować mur i las. Na wioskę też warto mieć oko. – Wstałam. – Na pierwszą oznakę niebezpieczeństwa, kiedy tylko usłyszycie jakąś plotkę o przedarciu się fae przez mur, od razu, gdy tylko zacnie się dziać coś dziwnego... wsiadajcie na pierwszy statek i odpływajcie. Uciekajcie gdzieś daleko stąd. Tak daleko na południe, jak tylko zdołacie. Gdzieś, gdzie fae nigdy się nie zapuszczą.

Ojciec i Elaina zaczęli mrugać intensywnie, jakby próbowali otrząsnąć się z oszołomienia, jakby budzili się z głębokiego snu. Ale Nesta podążyła za mną do holu i w górę schodów.

– Ta sprawa z Beddorami – powiedziała. – To mieliśmy być my. Ale ty podałaś tym okrutnym fae, którzy grozili twojemu księciu, fałszywe nazwisko; pierwsze, które ci przyszło do głowy. – Kiwnęłam głową. Wiedziałam, że właśnie układa w głowie różne plany. – Czy dojdzie do inwazji?

– Nie wiem. Nie wiem, co się dokładnie dzieje. Powiedzieli mi, że ich ziemię trawi jakaś choroba, która osłabia albo wypacza ich moc. Jakaś plaga, która dotknęła ich kraj i zagraża bezpieczeństwu granic. I która mogłaby sprowadzić śmierć na ludzi, gdyby uderzyła z wystarczającą mocą, aby przebić się przez mur. Powiedzieli, że znowu wzbiera na sile... Że zaczyna działać. Gdy mi o tym mówili, nie zagrażała jeszcze bezpośrednio naszym ziemiom. Ale

jeśli Dwór Wiosny upadnie, plaga będzie się zbliżać do muru, a Tamlin... Tamlin był jednym z ostatnich bastionów powstrzymujących napór innych dworów; śmiertelnie groźnych dworów. I sądzę, że jest w niebezpieczeństwie.

Weszłam do swojej komnaty i zaczęłam zdejmować suknię. Siostra pomogła mi w tym, po czym otworzyła szafę i podała mi solidną tunikę, spodnie i porządne buty. Ubrałam się szybko i zaczęłam zaplatać włosy w warkocz.

– Poradzimy sobie, Feyro – powiedziała Nesta. – Nie oglądaj się za siebie.

Wzulałam buty i podeszłam do komody, w której ukryłam noże myśliwskie zdobyte kiedyś podstępem.

– Ojciec powiedział ci już raz, żebyś nie wracała. A ja to teraz powtarzam. Zdołamy o siebie zadbać.

Kiedyś poczytałabym to za zniewagę, ale teraz ją zrozumiałam. Pojęłam, co mi w ten sposób ofiarowuje. Zamocowałam noże przy pasie, przerzuciłam kołczan ze strzałami przez plecy (żadna nie była niestety jesionowa) i sięgnęłam po łuk.

– Oni mogą kłamać – powiedziałam, przekazując jej tę tak ważną wiedzę z nadzieją, że nigdy jej się nie przyda. – Fae potrafią kłamać, a żelazo nie wyrządza im żadnej krzywdy. Ale jesion – jesion zdaje się działać. Wykorzystaj moje pieniądze, żeby kupić cały cholerny jesionowy gaj. Niech Elaina o niego dobrze dba.

Nesta pokręciła głową, ściskając kurczowo nadgarstek, na którym wciąż nosiła swoją żelazną bransoletę.

– Jak ty mu w ogóle możesz pomóc? On jest księciem fae, a ty tylko człowiekiem. – Tego również nie powiedziała po to, żeby mnie obrazić. Rozważała na chłodno całą sytuację i przedstawiała swoje wątpliwości.

– Nie dbam o to – wyznałam i pchnęłam drzwi. – Muszę spróbować.

Siostra pozostała w mojej komnacie. Nie pożegnała się. Nienawidziła pożegnań równie mocno jak ja. Przystanąłam i odwróciłam się.

– Istnieje lepszy świat, Nesto. Gdzieś tam jest lepsze życie i tylko czeka, żeby je znaleźć. Jeśli kiedykolwiek będę miała szansę, jeśli kiedyś sprawy przybiorą inny obrót, gdy będzie bezpieczniej... Ponownie was znajdę.

Tylko tyle mogłam jej dać.

– Szkoda zachodu – odparła, prostując plecy. – Nie sądzę, żebym polubiła fae. – Uniosłam pytająco brew, a ona wzruszyła lekko ramionami. – Spróbuj dać nam jakoś znać, kiedy będzie już bezpiecznie. Jeśli kiedykolwiek tak się stanie... Ojciec i Elaina mogą sobie zatrzymać ten pałac. Ja chyba wolałabym sprawdzić, co świat ma do zaoferowania kobiecie z pokaźną fortuną i dobrym pochodzeniem.

Dla Nesty nie istniały żadne ograniczenia. Gdy znajdzie miejsce, które naprawdę będzie mogła nazwać swoim, świat padnie jej do stóp. Miałam nadzieję, że poszczęści mi się w życiu na tyle, abym mogła to kiedyś zobaczyć.

\*\*\*

Ku memu zaskoczeniu Elaina zdążyła wyszykować konia oraz sakwy z jedzeniem i niezbędnym ekwipunkiem. Mojego ojca nigdzie nie było widać. Siostra rzuciła mi się na szyję.

– Teraz pamiętam – powiedziała, ściskając mnie mocno. – Wszystko sobie przypomniałam.

Odzwajemniłam uścisk.

– Strzeż się. Wszyscy się miejcie na baczności.

Kiwnęła głową i cofnęła się, aby na mnie spojrzeć. W oczach stały jej łzy.

– Chciałabym zobaczyć z tobą kontynent, Feyro.

Uśmiechnęłam się do niej, starając się zapamiętać jej uroczą twarz. Otarłam kciukiem łzy z jej policzków.

– Może któregoś dnia – powiedziałam. Kolejna obietnica, której dotrzymanie będzie wymagało olbrzymiego szczęścia.

Gdy spięłam konia i ruszyłam galopem po podjeździe, Elaina wciąż płakała. Nie miałam ochoty ponownie żegnać się z ojcem.

Jechałam cały dzień aż do zmierzchu. Zatrzymałam się dopiero, gdy zrobiło się tak ciemno, że nie widziałam już drogi przed sobą. Na północ – miałam zamiar podążać jak najdalej na północ, aż natrafię na mur oddzielający nasze ziemie od Prythianu. Musiałam wrócić. Musiałam się przekonać, co się stało. Musiałam odkryć przed Tamlinem swoje serce, zanim będzie za późno.

Następny dzień również spędziłam w drodze. W nocy spałam twardo i ruszyłam dalej jeszcze przed świtem. Mila za milą przemierzałam letni las pełny bujnej roślinności i świergotu ptaków.

Wtem nagle zapadła całkowita cisza. Ściągnęłam wodze, zwalniając do ostrożnego stępu, i przeczesalam wzrokiem leśną gęstwinę w poszukiwaniu jakiegokolwiek znaku, najmniejszego falowania powietrza. Ale nie było nic, absolutnie nic, aż...

Koń stanął dęba i potrząsnął głową. Ledwo zdołałam utrzymać się w siodle. Jakkolwiek mocno bym wbijała pięty w jego boki, nie chciał pójść dalej. Ale nie widziałam przed sobą nic. Żadnego znaku. Zsiadłam z konia, ledwo dysząc. Wyciągnęłam przed siebie rękę i natrafiłam na coś twardego.

Las przecinała niewidzialna bariera.

Ale przecież fae jakoś przechodzili przez mur. Plotki mówiły o rozsianych tu i ówdzie wyrwach. Poprowadziłam więc konia wzdłuż muru, sprawdzając co parę kroków, czy wciąż tam jest.

Poszukiwania przejścia zajęły mi dwa dni, a rozdzielająca je noc była straszniejsza niż jakakolwiek inna z czasu mojego pobytu na Dworze Wiosny. Jednak w końcu wypatrzyłam dwa porośnięte mchem kamienie ułożone w pewnej odległości od siebie. Na obu wyrzeźbiono ledwo już widoczny spiralny symbol. Brama.

Wsiadłam na konia i zmusiłam go do przejścia między kamieniami. Wierzchowiec strasznie się boczył, ale w końcu przedostaliśmy się na drugą stronę. Magia podrażniła mi nos, a całe ciało pokryła gęsia skórka.

Znałam tę partię lasu.

Jechałam w milczeniu ze strzałą luźno opartą na cięciwie. Stworzenia zamieszkujące tę okolicę były dużo groźniejsze od jakichkolwiek, które można było spotkać po ludzkiej stronie muru.

Tamlin zapewne się wścieknie. Może nawet rozkaże mi wrócić do rodziny. Ale zamierzałam mu powiedzieć, że chcę mu pomóc, że go kocham i będę walczyła dla niego tak, jak tylko zdołam. Nawet jeśli będę musiała go najpierw przywiązać do krzesła, żeby mnie wysłuchał.

Tak się skupiłam na rozważaniu, jak go udobruchać, że nie od razu zarejestrowałam panującą wkoło ciszę. Nie słychać było śpiewu ptaków, chociaż zbliżałam się już do samej rezydencji. Żywopłoty wyglądały, jakby od wielu dni nie były przycinane.

Gdy dotarłam do bram, zaschło mi w ustach. Wrota stały otwarte na oścież. Żelazne pręty były powykęcane, jakby zostały rozgięte potężnymi ramionami.

Każde uderzenie podkowy o żwir ścieżki zdawało się zbyt głośne. Obawa jeszcze mocniej ścisnęła mi serce, kiedy ujrzałam otwarte na oścież drzwi frontowe. Jedno ze skrzydeł było

przekrzywione – górny zawias został wyrwany z framugi.

Zsiadłam z konia z łukiem wciąż gotowym do strzału. Ale nie zapowiadało się, żebym musiała go użyć. Nigdzie jak okiem sięgnąć nie widziałam ni żywej duszy. Dom przypominał grobowiec.

– Tam?! – zawołałam.

Weszłam po schodach na frontowy taras i przez uszkodzone drzwi do holu. Zakląłam, gdy poślizgnęłam się na roztrzaskanym porcelanowym wazonie. Powoli obróciłam się wkoło, rejestrując zniszczenia.

Wnętrze domu wyglądało, jakby przemaszzerowała przezeń cała armia. Gobeliny zwisały smętnie pocięte na strzępy, porcelanowa poręcz była pokruszona, kandelabry leżały strzaskane na podłodze.

– Tamlin? – zawołałam.

Żadnej odpowiedzi.

W oknach nie została się ani jedna cała szyba.

– Lucien?

Cisza.

– Tam? – Mój głos powrócił do mnie echem, jakby sam dom mnie przedrzeźniał.

Byłam całkiem sama w zdewastowanej rezydencji. Opadłam na kolana.

Nie było go tu.



## Rozdział 32

Pozwoliłam sobie klęczeć w zniszczonym holu tylko przez kilka chwil.

Potem dzwignęłam się z powrotem na nogi i ruszyłam przed siebie, starając się nie nadepnąć na odłamki szkła, odłupane szczapy drewna czy... krew. Wszystko było nią zachłapanie. Tu i ówdzie widniały zaschnięte niewielkie kałuże, a część ścian pokrywały czerwone smugi.

„To tylko kolejny las – pokrzepiłam sama siebie. – Kolejne tropy”.

Kroczyłam powoli, wchłaniając jak najwięcej informacji. Walka musiała być bardzo zaciekle. Sądząc po układzie rozbryzgów krwi, większość szkód powstała w czasie potyczki, a nie po jej zakończeniu. Szczątki szkła i ślady butów schodziły się z każdego kierunku – z przodu, z tyłu, z boków domu. Tak jakby rezydencja została całkowicie otoczona. Napastnicy wyważyli drzwi frontowe; te prowadzące do ogrodu zostały rozbite w drobny mak.

„Żadnych ciał, żadnych ciał” – powtarzałam w kółko w myślach. Nigdzie nie było żadnych zwłok. Po prawdzie krwi również nie było szczególnie dużo. Musieli zatem żyć... Tamlin musiał żyć!

Ponieważ jeśli zginęli...

Potarłam twarz i z drzeniem zaczerpnęłam tchu. Nie chciałam o tym myśleć. Ręce mi dygotały, gdy stanęłam przed drzwiami do jadalni, ledwie wiszącymi na pojedynczych zawiasach.

Nie potrafiłam ocenić, czy szkody były efektem jego furii po wizycie Rhysanda dzień przed moim odejściem, czy też spowodował je ktoś inny. Olbrzymi stół był w drzazgach, wszystkie okna zostały wybite, a z kotar zostały tylko porwane pasy. Ale ani kropli krwi. Ani kropli. A sądząc po śladach pozostawionych w potłuczonym szkłe...

Przyjrzałam się im uważnie. Ktoś później naruszył trop, ale zdołałam wychwycić dwa biegnące równoległe zestawy śladów – duże i małe. Zaczynały się w miejscu, w którym stał stół. Tak jakby Tamlin siedział tu z Lucieniem, gdy nastąpił atak, po czym obaj opuścili pomieszczenie bez walki.

Jeśli miałam rację... Obaj żyli. Podążyłam za śladami aż do drzwi, gdzie przykucnęłam na chwilę, aby przyjrzeć się odłamkom wymieszanym z piachem i plamom krwi. Tutaj ich ślady łączyły się z innymi. Wszystkie prowadziły następnie w stronę ogrodu...

Z korytarza dobiegł mnie chrzęst szkła pod czymiś butami. Dobyłam noża i cofnęłam się w głąb jadalni, szukając rozpaczliwie dobrej kryjówki. Na moje nieszczęście wszystko zostało zniszczone. Nie mając innego wyjścia, skoczyłam za skrzydło wyłamanych drzwi. Przycisnęłam wolną dłoń do ust, aby stłumić swój oddech, i wyjrzałam ostrożnie przez szparę między drzwiami a ścianą.

Coś weszło do pomieszczenia, wyraźnie utykając, i pociągnęło nosem. Widziałam tylko plecy stwora okryte prostą peleryną. Był średniego wzrostu... Żeby mnie znaleźć, wystarczyło odchylić drzwi. Może gdyby stwór wszedł dostatecznie daleko w głąb jadalni, zdołałabym się wymknąć... Ale to wymagałoby opuszczenia mojej kryjówki. Może tylko się rozejrzy i wyjdzie?

Stwór ponownie pociągnął nosem. Strach ścisnął mi żołądek. Musiał poczuć mój zapach. Zaryzykowałam lepsze przyjrzenie się sylwetce, licząc na wypatrzenie jakiegoś czulego punktu, w który mogłabym wbić nóż, gdyby doszło do walki.

Postać powoli obróciła się w moją stronę.

Krzyknęłam, a stwór zaskrzeczał głośno, gdy odepchnęłam skrzydło drzwi.

– Alis!

Patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami z ręką na sercu. Jej brązowa sukienka była

cała porwana i pobrudzona. Fartuch gdzieś zaginął. Nie widziałam krwi. Żadnych obrażeń poza białą plamą na przypominającej korę skórze prawej nogi, którą wyraźnie oszczędzała, gdy ruszyła w moją stronę.

– Nie powinno cię tu być. – Spojrzała na mój nóż, łuk, kołczan. – Przecież kazał ci trzymać się z dala od dworu.

– Czy on żyje?

– Tak, ale...

Nogi się pode mną ugięły od nagłej fali ulgi.

– A Lucien?

– Też żyje, ale...

– Opowiedz mi, co tu się stało. *Wszystko*, minuta po minucie.

Zerknęłam na okno i wyteżyłam słuch. Rezydencja i ogrody były puste i ciche. Znikąd nie dobiegał żaden dźwięk.

Alis chwyciła mnie za ramię i wyciągnęła z jadalni. Nie odezwała się ani słowem, kiedy przemierzałyśmy w pośpiechu puste, zbyt ciche korytarze, pełne zniszczonych mebli i plam krwi. Ale nigdzie nie było żadnych ciał. Albo zostały uprzątnięte po walce, albo... Ucięłam dalsze rozważania. Alis doprowadziła mnie do kuchni.

Olbrzymie pomieszczenie zostało strawione ogniem. Wszędzie dokoła zostały tylko zwęglone sprzęty i osmalony kamień. Moja przewodniczka długo węszyła w powietrzu i nasłuchiwała, ale gdy upewniła się, że nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo, puściła moją rękę.

– Co ty tu robisz? – zapytała.

– Musiałam wrócić. Miałam wrażenie, że stało się coś złego. Nie mogłam tak po prostu tam zostać. Musiałam tu przybyć i pomóc.

– Zabronił ci wracać – warknęła Alis.

– Gdzie on jest?

Służąca ukryła twarz w dłoniach o długich kościstych palcach. Zaczepiła paznokcie o brzeg maski i pociągnęła lekko, ale ta ani drgnęła. Kobieta westchnęła i opuściła ręce.

– Zabrała go – powiedziała, mroząc mi krew w żyłach. – Zabrała go do swojego dworu pod Górą.

– Kto? – zapytałam, choć znałam odpowiedź, zanim ją usłyszałam.

– Amarantha – wyszeptwała Alis. Rozejrzała się lekliwie po kuchni, tak jakby samo wypowiedzenie tego imienia mogło sprowadzić kłopoty.

– Dlaczego? I kim ona tak w ogóle jest? *Czym* ona jest? Proszę, błagam, powiedz mi prawdę.

Alis zadrżała.

– Dziewczyno... Chcesz poznać prawdę? Zatem oto ona: zabrała go z powodu klątwy. Ponieważ minęło po siedmiokroć siedem lat, a on nie zdołał pokonać zaklęcia. Tym razem wezwała do siebie wszystkich książąt. Będą przyglądać się, jak ona go łamie.

– Co ona... j-jakiej klątwy? – Klątwy... Zaklęcia, które ona rzuciła. Którego ja nawet nie dostrzegłam.

– Amarantha jest królową tych ziem. Królową Prythianu. – Alis westchnęła. Oczy rozszerzyły się jej na wspomnienie czegoś strasznego.

– Ale przecież krainami Prythianu rządzi siedmiu książąt, równych sobie władców. Nic nie słyszałam o jakiejś królowej...

– Tak było kiedyś, u zarania czasu. Ale sto lat temu wszystko się zmieniło, gdy przybyła tu jako wysłanniczka króla Hybernii.

Alis podniosła z podłogi przy drzwiach dużą sakwę, którą najwyraźniej wcześniej tu zostawiła. Była już w połowie wypełniona ubraniami i zapasami na drogę.

Kiedy ona przeczesywała zniszczoną kuchnię, wygrzebując ze zgliszcz noże i jedzenie, ja roztrząsałam w głowie wszystkie informacje, które uzyskałam od suriela. Wspomnił o okrutnym królu fae, który przez wieki nie pogodził się z tym, że został zmuszony do podpisania Traktatu, którego nienawidził. Król ów wysłał jednego ze swoich najgroźniejszych dowódców z zadaniem infiltracji innych krain fae w poszukiwaniu osób myślących podobnie do niego. Razem z pozyskanymi sojusznikami chciał odebrać śmiertelnikom ziemie oddane im na mocy Traktatu.

Oparłam się o jedną z pokrytych sadzą ścian.

– Podróżowała od dworu do dworu – podjęła Alis, przypatrując się znalezionemu jabłku; najwyraźniej zadowolona z rezultatu oględzin włożyła owoc do swojej torby. – Zwodziła książąt obietnicami ożywienia handlu między Hybериą a Prythianem, wymiany wiedzy, dzielenia się posiadanymi zasobami. Nazywali ją Niewiędnącym Kwiatem. Przez pięćdziesiąt lat mieszkała między nami jako dwórka niezwiązana na stałe z żadnym dworem. Mówiła, że pokutuje za przewiny swoje i całej Hybериi z czasów wielkiej wojny.

– Walczyła w wojnie przeciwko śmiertelnikom?

Alis przerwała na chwilę poszukiwania.

– Jej czyny stały się wśród nas legendarne. Ale jest to legenda, która przyprawia o ciarki. Była najgroźniejszym generałem króla Hybериi. Walczyła w pierwszym szeregu, wyrzynając ludzi, wszelkich fae wysokiego rodu i inne czarodziejskie istoty, które miały czelność stanąć po stronie śmiertelników. Miała też młodszą siostrę, Clythię, która walczyła u jej boku z równą zaciekłością i takim samym okrucieństwem... Aż do dnia, w którym Clythia zakochała się w bohaterze śmiertelników, Jurianie. – Alis westchnęła, wzdrygając się. – Jurian dowodził ludzką armią, ale to nie przeszkadzało Clythii szukać go potajemnie, kochając go z nieznanym pardonu szaleństwem. Była zbyt zaślepiona, aby pojąć, że Jurian tylko ją wykorzystywał do pozyskania informacji o siłach Amaranthy. Sama Amarantha podejrzewała to, ale nie zdołała przekonać Clythii do porzucenia kochanka. Jednocześnie nie mogła się zdobyć na zabicie go, gdyż wiedziała, jak wielki ból sprawiłaby tym swojej ukochanej siostrze. – Alis mlasnęła głośno i przystąpiła do przetrząsania zawartości ocalałych szafek. – Amarantha uwielbiała torturować i zabijać, ale kochała Clythię wystarczająco mocno, aby powstrzymać się od zabicia jej ukochanego.

– Co się stało potem? – zapytałam szeptem.

– Och, oczywiście Jurian zdradził Clythię. Po wielu miesiącach niechętnego udawania miłującego kochanka, gdy już zdobył wszystkie potrzebne mu informacje, poddał ją torturom i zaszlachtował. Przywiązał ją do jesionowego stołu, aby nie mogła się poruszyć, podczas gdy on się nad nią znęcał. Zostawił później dla Amaranthy poćwiartowane resztki jej siostry. Mówią, że gniew Amaranthy ściągnąłby nam wszystkim niebiosa na głowy, ale król Hybериi nakazał jej powstrzymanie się od zemsty. Po jakimś czasie spotkali się na polu bitwy. Od tego czasu Amarantha nienawidzi ludzi z zapamiętałością, jakiej nie zdołasz sobie wyobrazić.

Alis znalazła słoik z jakimiś przetworami i włożyła go do sakwy.

– Gdy zawarto Traktat – kontynuowała opowieść, zwracając swoją uwagę ku szufladom – wymordowała wszystkich swoich niewolników, nie mogąc znieść myśli o konieczności ich uwolnienia. – Zbladłam. – Ale wieki później książęta Prythianu uwierzyli jej, kiedy im powiedziała, że śmierć siostry ją odmieniła. Na pewno pomogło jej przywrócenie handlu między naszymi krainami a Hybериą. Książęta nie wiedzieli, że okręty przywożące hybериjskie towary przemycały również żołnierzy z jej oddziałów. Co więcej, nie miał o tym pojęcia także król Hybериi. Wkrótce wszyscy się dowiedzieliśmy, że w czasie gdy u nas przebywała, zdecydowała

się zagarnąć Prythian dla siebie, zgromadzić potężne siły i wykorzystać te ziemie jako bazę wypadową do rozpętania wojny, której celem było zniszczenie świata ludzi raz na zawsze. Z błogosławieństwem swojego króla lub bez niego. I tak czterdzieści dziewięć lat temu uderzyła. Wiedziała dobrze, że nawet ze swoją osobistą armią nie zdołałaby podbić siedmiu dworów w otwartej wojnie. Była jednak przebiegła i okrutna. Czekwała cierpliwie na dzień, w którym zdobędzie bezgraniczne zaufanie wszystkich książąt. Ten dzień w końcu nadszedł. Sprosiła wszystkich na bal urządzony na jej cześć i do wina gości dołała magiczny napój, którego recepturę wykradła z przekłętej księgi zaklęć króla Hybernii. Gdy wypili truciznę, wszystkich zmogło w okamgnieniu, a ich magia stała się bezużyteczna. Amarantha wykradła im ich moce z tych części ciał, w których się gnieździły. Wyrwała je, tak jakby zrywała jabłko z gałęzi, pozostawiając tylko absolutne minimum. Twój Tamlin... To, czego byłeś świadkiem, to zaledwie cień jego dawnych możliwości. Nędzny strzępek mocy, którą kiedyś władał. Po tak drastycznym okrojeniu mocy książąt Amarantha w zaledwie kilka dni odebrała im władzę nad Prythianem. Jesteśmy jej niewolnikami już od czterdziestu dziewięciu lat. Przez cały ten czas czekała cierpliwie na dogodny moment do złamania Traktatu i zajęcia waszych ziem oraz wszystkich krain śmiertelników leżących poza nimi.

Żałowałam, że w kuchni nie ostał się żaden stołek, że nie było żadnej ławy, na którą mogłabym się osunąć. Alis zamknęła z trzaskiem ostatnią szufladę i pokuśtykała w stronę spiżarni.

– Teraz nazywają ją Przecherą. Uwięziła siedmiu książąt Prythianu i wybudowała pałac pod świętą Górą, w sercu naszych ziem.

Fae przystanęła przed drzwiami prowadzącymi do spiżarni i ukryła twarz w dłoniach, starając się uspokoić oddech.

Święta Góra... ten nagi, olbrzymi szczyt, który widziałam miesiące temu na fresku w bibliotece.

– Ale... Choroba trawiąca te ziemie... Tamlin mówił, że to plaga odebrała im moce...

– To *ona* jest chorobą trawiącą naszą krainę – wybuchła Alis, po czym opuściła ręce i weszła do spiżarni. – Nie ma innej plagi prócz niej. Granice zanikały, ponieważ ona je zniszczyła. Uważa wysyłanie swoich stworów na nasze ziemie za okropnie zabawne. Ciągle sprawdzała, ile jeszcze siły pozostało Tamlinowi.

Jeśli to Amarantha była plagą, zagrożenie dla ludzkich krain...

To ona zagrażała ludziom.

Alis wyszła ze spiżarni z naręczem różnych bulwiastych warzyw.

– A ty mogłaś ją powstrzymać. – Wbiła we mnie wściekłe spojrzenie i obnażyła niepokojąco ostre zęby. Wrzuciła rzodkiewki i buraki do sakwy. – Mogłaś uwolnić księcia i przywrócić mu moc. Gdybyś tylko nie była tak ślepa, gdybyś tylko potrafiła słuchać głosu własnego serca. Ech, ludzie... – Splunęła.

– Ja... Ja... – Uniosłam dłonie w obronnym geście. – Ja nie wiedziałam.

– Nie mogłaś wiedzieć – powiedziała Alis z przejmującą goryczą w głosie, zaśmiała się cierpko i wróciła do spiżarni. – To była część klątwy, jaką rzuciła na Tamlina.

W głowie mi zawirowało. Wsparłam się mocniej o ścianę.

– Co było... – Staralam się nie zabrzmieć histerycznie. – Co było jego klątwą? Co ona mu zrobiła?

Alis zgarnęła z półki samotne słoiczki z przyprawami.

– Tamlin i Amarantha znali się już wcześniej. Jego rodzina od wielu wieków miała powiązania z Hybarnią. Podczas wojny Dwór Wiosny sprzymierzył się z ich królem. Razem walczyli o zatrzymanie ludzi w niewoli. Ojciec Tamlina, niestały i okrutny władca, utrzymywał

bardzo bliskie kontakty z królem Hyberrnii i Amaranthą. Często zabierał synów ze sobą. I w ten właśnie sposób Tamlin poznał Amaranthę.

Kiedyś Tam powiedział mi, że walczyłby, aby chronić cudzą wolność; że nigdy nie zgodziłby się na przywrócenie niewolnictwa. Czy wynikało to tylko ze wstydu za ojca, czy też... Czy też na własnej skórze doświadczył niewoli?

– Z czasem Amarantha zaczęła pożądać Tamlina. Pragnęła go całym swoim czarnym sercem. Ale on słyszał różne opowieści z czasów wojny i wiedział, co Amarantha wespół z jego ojcem i królem Hyberrnii robili fae i ludziom pospołu. Wiedział, w jaki sposób zemściła się na Jurianie za śmierć siostry. Gdy tu przybyła, był pełny podejrzeń co do jej zamiarów. Pomimo jej licznych starań, aby zwabić go do swojej alkowy, Tamlin starał się trzymać od niej z dala... Aż do dnia, w którym wykradła jego moc. Lucien... Tamlin wysłał do niej Luciena jako swojego posła, aby spróbował wynegocjować rozejm między nimi.

Poczułam rosnącą w gardle gulę.

– Odrzuciła propozycję i... Lucien kazał jej wrócić do dziury, z której wypełzła. Ukarła go, odbierając mu oko. Wydłubała je paznokciem, po czym okaleczyła mu twarz. Odesłała go w takim stanie, że Tamlin... Gdy książę ujrzał swego przyjaciela, wymiotował na podłogę.

Nie chciałam nawet próbować sobie wyobrazić, jak musiał wyglądać Lucien, skoro Tamlin tak silnie zareagował.

Alis postukała palcem w swoją maskę.

– Potem wyprawiła pod Górą bal maskowy. Były na nim wszystkie dwory. Wedle jej zapewnień chciała w ten sposób wynagrodzić to, co zrobiła Lucienowi. Mówiła, że to właśnie z uwagi na stan jego twarzy zdecydowała się na bal maskowy. Zaprosiła cały Dwór Wiosny, łącznie ze służbą. I wszyscy mieli założyć maski, aby w ten sposób uhonorować moc zmiennokształtności naszego księcia. Tamlin chciał zakończyć waśń bez rozlewu krwi, wobec czego zgodził się przybyć razem z nami wszystkimi.

Przycisnęłam dłoń do ściany. Była tak zbawiennie chłodna i stabilna.

Alis zatrzymała się na środku kuchni i postawiła wyładowaną zapasami sakwę na podłodze.

– Gdy wszyscy przybyli na miejsce, ogłosiła, że zgodzi się na zawarcie pokoju, jeśli w zamian Tamlin zechce ją poślubić. Ale gdy spróbowała go dotknąć, on się cofnął i odtrącił jej rękę. Po tym, co zrobiła Lucienowi, nie chciał mieć z nią już nic wspólnego. W obecności wszystkich zebranych oświadczył, że prędzej zalegnie z ludzką kobietą, że prędzej poślubi człowieka, niż pozwoli Amaranthie się dotknąć. Może nawet puściłaby to płazem, gdyby nie dodał, że jej rodzona siostra wołała towarzystwo człowieka. Że miłsze jej były ramiona Juriana niż siostrzane.

Skrzywiłam się, wiedząc już, co za chwilę usłyszę. Alis wsparła dłoń na biodrach i kontynuowała swoją opowieść:

– Domyślasz się zapewne, jak to przyjęła Amarantha. Oznajmiła jednak Tamlinowi, że jest w dobrym nastroju i że da mu szansę na przełamanie zaklęcia, którym odebrała mu jego moc. Splunął jej w twarz, a ona się roześmiała. Powiedziała, że ma po siedmiokroć siedem lat, po których upływie będzie należał do niej. Wtedy będzie *musiał* dołączyć do niej pod Górą. Aby przełamać klątwę, miał znaleźć ludzką dziewczynę, która byłaby skłonna go poślubić. Ale nie mogła to być pierwsza lepsza dziewczyna – musiała mieć lodowate serce i nienawidzić naszego gatunku. Musiała być gotowa zabić fae.

Podłoga się pode mną zachwiała. Nie upadłam tylko dzięki ścianie za plecami.

– Co gorsza, zabity fae musiał pochodzić z jego dworu. Miał wysłać własnych dworzan na południe muru niczym owce na rzeź. Dziewczynę mógł sprowadzić na swój dwór i spróbować

ją uwieść dopiero po tym, jak zabiła jednego z jego poddanych w czynie niczym niesprowokowanej agresji. Z samej nienawiści do fae. Tak jak Jurian zabił Clythię... Tak aby Tamlin zrozumiał ból jej siostry.

– Traktat...

– Zmyślone od początku. Traktat nie zawiera żadnego takiego zapisu. Możecie zabijać niewinnych fae do woli i nigdy nie ponieść konsekwencji. Zabiłaś Andrasa, którego Tamlin wysłał w roli przynęty, rzekomo na poszukiwanie lekarstwa. Ale lekarstwo nie miało zaradzić magicznej pladze. Miało ocalić Prythian przed Amaranthą. Miało zdjąć z niego jej klątwę.

Wilk... Andras tylko... Tylko patrzył na mnie, kiedy go zabijałam. *Pozwolił* mi się zabić. To było z góry ukartowane. Jego śmierć miała zapoczątkować szereg wydarzeń, których ukoronowaniem miała być szansa przełamania zaklęcia. A jeśli Tamlin wysłał Andrasa za mur, wiedząc doskonale, że ten może zginąć... Och, Tamlinie...

Alis schyliła się po wygięty nóż do smarowania, po czym ostrożnie go wyprostowała.

– Z punktu widzenia Amaranthy to był okrutny żart, wymyślna kara. Wy, ludzie, tak bardzo nas nienawidzicie, tak bardzo się nas lękacie, że nie wydawało się możliwe, by dziewczyna, która była zdolna z zimną krwią zabić fae, pokochała jednego z nas. Ale klątwa mogła być zdjęta z Tamlina tylko wtedy, gdyby tak właśnie się stało przed upływem czterdziestu dziewięciu lat. Dziewczyna miała mu sama wyznać miłość; miała go pokochać z całego serca. Amarantha wiedziała, że uroda jest dla ludzi bardzo ważna, dlatego też przytwierdziła maski do naszych, a przede wszystkim do jego twarzy, aby dodatkowo utrudnić zadanie. Dziewczyna nie tylko musiała przełamać swoją niechęć do fae, ale do tego musiała umieć spojrzeć poza maskę, poza dziką naturę Tamlina, prosto w jego duszę... Na koniec rzuciła na nas wszystkich zaklęcie, które uniemożliwiało nam zdradzenie się choćby słowem na temat klątwy. Mogliśmy jedynie przekazywać ci ogólne informacje na temat naszego świata i naszego losu. Nie mógł ci nic powiedzieć wprost. Żadne z nas nie mogło. Historia o pladze... To było najlepsze, co mogliśmy zrobić. To, że mogę ci teraz o tym swobodnie mówić... oznacza, że z jej punktu widzenia zabawa dobiegła końca.

Schowała nóż.

– Gdy rzuciła na niego klątwę, Tamlin codziennie wysyłał jednego ze swoich ludzi na południe muru. Do lasów, na pola. Krążyli pod postacią wilków, aby zwiększyć prawdopodobieństwo, że jakiś człowiek zechce ich zabić. Ci, którzy wracali cali i zdrowi, opowiadali o ludzkich dziewczynach uciekających z krzykiem lub błagających o litość. Żadnej z nich nie przyszło do głowy nawet spróbować podnieść rękę przeciwko nim. Kiedy niektórzy wracali, więź łącząca ich z Tamlinem jako ich panem i władcą, mówiła księżciu, że zginęli z ręki kogoś innego. Myśliwych, może jakiejś starszej kobiety. Przez dwa lata codziennie kogoś wysyłał. Każdego dnia musiał osobiście wybrać tego, kto pójdzie za mur. Gdy pozostał mu ledwie tuzin kandydatów, załamał się tak bardzo, że przestał to robić. Zaprzestał wszelkich starań. Od tamtej pory Tamlin trwał na swoich ziemiach, broniąc swoich granic, podczas gdy na pozostałych dworach panowały chaos i zniszczenie. Inni książęta również próbowali stawić jej czoła. Czterdzieści lat temu kazała stracić trzech z nich, wraz z większą częścią ich rodzin, za sprzymierzenie się przeciwko niej.

– Jawne powstanie? Które dwory się na to odważyły? – Wyprostowałam się i odsunęłam od ściany. Może znajdę wśród nich sojuszników, którzy pomogliby mi ocalić Tamlina.

– Dwór Dnia, Dwór Lata i Dwór Zimy. Ale nie, sprawy nie zaszły tak daleko, aby można to było nazwać powstaniem. Wykorzystała moce wykradzione księżtom, by przywiązać nas do ziemi. Buntownicy próbowali zatem uzyskać pomoc pozostałych fae, wykorzystując w roli posłańców ludzi na tyle lekkomyślnych, aby przybyć na nasze ziemie. Większość z nich

stanowiły młode kobiety, które wielbiły nas niczym jakichś bogów.

Dzieci Błogosławionych. A więc tym nieszczęsnym dziewczętom naprawdę udawało się przekroczyć mur oddzielający świat śmiertelnych od nieśmiertelnych ziem. Ale nie poślubiły czarodziejskich istot... Byłam zbyt zdruzgotana wszystkim, co usłyszałam, żeby im współczuć czy żeby choćby czuć z ich powodu gniew.

– Amarantha złapała je wszystkie, zanim zdążyły opuścić brzegi Prythianu, i... Możesz sobie wyobrazić, jak to się dla tych dziewcząt skończyło. Zaraz potem Amarantha wyrznęła buntowników, a ich następcy zbyt się jej bali, aby próbować ponownie.

– Gdzie oni teraz są? Czy pozwoliła im mieszkać na swoich ziemiach, tak jak Tamlinowi?

– Nie. Trzyma ich wraz z całym ich dworem pod Górą, gdzie może ich dręczyć, jak tylko zechce. Pozostali... Jeśli przysięgną jej służyć, jeśli się przed nią odpowiednio płaszczą i spełniają każdą jej zachciankę, uzyskują nieco swobody i mogą do woli opuszczać jej mroczny dwór pod Górą. My mogliśmy tu pozostać tylko do końca klątwy Tamlina, ale... – Zadrzała.

– To dlatego ukryłaś swoich siostrzeńców – zauważyłam, zerkając ku stojącej na podłodze wypchanej sakwie. – Chciałaś ich trzymać jak najdalej od tego wszystkiego.

Alis przytaknęła i ruszyła w stronę przewróconego stołu roboczego. Podeszłam do niej, aby jej pomóc, ale po chwili wysiłku musiałyśmy dać za wygraną.

– Razem z siostrą służyłyśmy na Dworze Lata. Ona i jej towarzysz byli jednymi z pierwszych, którzy zginęli w początkowej fazie agresji Amaranthy. Zabrałam chłopców i uciekłam, zanim Przechera zaciągnęła wszystkich pod Górę. Przybyłam tutaj, ponieważ tylko tu mogłam się schronić. Zwróciłam się do księcia Tamlina z prośbą o pomoc w ukryciu chłopców. Spełnił moją prośbę. Gdy błagałam go, żeby pozwolił mi sobie pomóc w jakikolwiek, choćby mało znaczący sposób, zatrudnił mnie w tej rezydencji... Na kilka dni przed balem maskowym, na którym to cholerstwo przykleiło mi się do twarzy. Tak więc byłam tu niemal pięćdziesiąt lat i obserwowałam, jak zarzucona przez Amaranthę pętla coraz bardziej zaciskała się na jego szyi.

Spróbowałyśmy podnieść stół jeszcze raz i tym razem udało nam się postawić go na nogi. Przez parę chwil opierałyśmy się o blat, ciężko dysząc.

– Próbował – kontynuowała opowieść Alis. – Pomimo wszystkich szpiegów, których wysyłała, szukał sposobu na zdjęcie klątwy. Szukał czegokolwiek, co pozwoliłoby mu uniknąć wysyłania swoich ludzi na śmierć z rąk ludzi. Myślał, że jeśli ludzka dziewczyna pokochałaby go szczerą miłością, sprowadzenie jej tu w celu wyzwolenia się spod mocy zaklęcia byłoby tylko nową formą niewolnictwa. A on uważał, że jeśli i on by się w niej zakochał, Amarantha uczyniłaby wszystko, co w jej mocy, aby ją unicestwić. Tak jak zniszczona została jej siostra. Dlatego też całe dziesięciolecie nie chciał tego robić, nie chciał podjąć tego ryzyka. Ale tej zimy, gdy zostało nam już tylko kilka miesięcy... Coś w nim pękło. Jednego po drugim wysłał ostatnich ze swoich ludzi. Poszli ochoczo – ba! – przez te wszystkie lata błagali księcia, aby pozwolił im pójść. Tamlin chciał za wszelką cenę ocalić swoich poddanych, w tym za cenę życia jego żołnierzy i życia tej ludzkiej kobiety. Po trzech dniach wędrówek Andras spotkał dziewczynę na polanie... A ty go zabiłaś z nienawiścią w sercu.

Ale ich zawiodłam. A tym samym przypieczętowałam wyrok na nich wszystkich.

Przypieczętowałam wyrok na każdego z mieszkańców tej krainy, na sam Prythian.

Przytrzymałam się blatu stołu. Gdyby nie on, osunęłabym się na podłogę.

– Mogłaś przełamać zaklęcie – warknęła Alis. Jej ostre zęby znalazły się zaledwie cale od mojej twarzy. – Wystarczyłoby, gdybyś powiedziała, że go kochasz. Gdybyś szczerze wyznała mu miłość. Z całego swojego bezużytecznego ludzkiego serca. Wtedy odzyskałby swoją moc. Głupia, głupia dziewczyno.

Nic dziwnego, że chociaż Lucien czuł do mnie odrazę, tolerował moją obecność. Nic

dziwnego, że był tak gorzko rozczarowany, kiedy odjechałam. To dlatego próbował Tamlina przekonać, żeby pozwolił mi zostać jeszcze kilka dni.

– Przykro mi – powiedziałam, czując napływające do oczu łzy.

Alis parsknęła.

– Powiedz to Tamlinowi. Gdy odjeżdżałaś, do końca zapowiedzianych czterdziestu dziewięciu lat brakowało tylko trzech dni. dni... A on cię puścił. Pojawiła się ze swoimi zbirami w chwili, w której wybiła ostatnia godzina czasu, jaki dała księciu. Pojmała jego oraz większość dworu, po czym zabrała wszystkich pod Górę, gdzie będą odtąd jej poddanymi. Stworzenia takie jak ja są dla niej zbyt poślednie, aby się nami przejmować... Co nie przeszkadza jej czasem mordować nas dla rozrywki.

Staralam się nie wyobrażać sobie tego.

– Ale co z królem Hybernii? – zapytałam. – Skoro podbiła Prythian dla siebie i wykradła jego zakłęcia, nie traktuje jej jako zbuntowanej poddanej? Czy też postrzega ją jako sojuszniczkę w swoich staraniach?

– Jeśli żywi do niej urazę z powodu tego, co i jak zrobiła, to w żaden sposób nie dał tego poznać. Amarantha rządzi naszymi ziemiami już od czterdziestu dziewięciu lat. Co gorsza, po tym jak książęta ulegli jej podstępowi, wszystkie plugawe istoty – te zbyt ohydne nawet dla Dworu Nocy – zleciały się do niej jak muchy do miodu. I z każdym rokiem ich przybywa. A ona daje wszystkim schronienie. Wiemy, że buduje armię, że zbiera siły przed najazdem na nasz świat. Gdy to nastąpi, będzie dowodzić hordą najstraszniejszych i najokropniejszych mieszkańców Prythianu i Hybernii.

– Takich jak attor – zauważyłam. Strach i odraza ścisnęły mi żołądek. Alis ponuro przytaknęła. – Na naszych ziemiach krążą plotki, że coraz więcej fae przekracza mur i atakuje ludzi. A jeśli żadna istota nie może tego zrobić bez jej zgody, to znaczy, że te ataki odbywają się za jej przyzwoleniem. Może nawet z jej poruczenia.

I prawdopodobnie to, co się naprawdę stało z Klarą Beddor i jej rodziną, stało się na rozkaz Amaranthy.

Alis strzepnęła ze stołu niewidzialny pyłek.

– Nie zdziwiłabym się, gdyby wysyłała na południe swoich sługusów, żeby poznali wasze mocne i słabe strony, aby tym łatwiej siać zniszczenie, na co cały czas ostrzy sobie zęby.

Było gorzej, dużo gorzej, niż sądziłam, gdy mówiłam Neście, Elainie i ojcu, aby zachowali czujność i uciekali na pierwszą oznakę zagrożenia. Zrobiło mi się niedobrze na myśl o towarzystwie, w jakim Tamlin musiał teraz przebywać. A także głęboko mu współczułam. Nie wyobrażałam sobie tej desperacji, tego poczucia winy i tego żalu, jakie musiały mu towarzyszyć, gdy wysyłał swoich ludzi na stracenie. Do tego nie mógł mi nic z tego wyznać... A potem mnie odesłał. Pozwolił, aby wszystkie poczynione ofiary, w tym ofiara Andrasa, poszły na marne.

Wiedział, że gdyby pozwolił mi zostać, ryzykowałby ogromny gniew Amaranthy. Nawet gdyby udało mi się go uwolnić od klątwy.

„Nawet siebie nie potrafię ochronić przed nimi czy przed tym, co się dzieje w Prythianie... Nawet jeśli dalibyśmy radę stawić czoło pladze... Oni by cię dopadli. Ona znalazłaby sposób, żeby cię zabić”.

Przypomniałam sobie te nieudolne pochlebstwa tuż po moim przybyciu. A gdy spostrzegł, że chcę uciec za wszelką cenę, że nie chcę się do niego odzywać, dał za wygraną. A jednak mimo tego wszystkiego i tak mnie pokochał. Wiedział też, że odwzajemniam to uczucie... Ale pozwolił mi odejść na kilka dni przed upływem czasu wyznaczonego przez Amaranthę. Postawił mnie na pierwszym miejscu, przed wszystkimi swoimi poddanymi, przed całym Prythianem.

– Gdyby Tamlin odzyskał wolność i całą swoją moc, czy zdołałby zniszczyć Amaranthę?



– zapytałam, wpatrując się w poczerniałą od ognia ścianę.

– Nie wiem. W końcu książąt pokonała sprytem, nie siłą. Magia jest bardzo szczególnym zjawiskiem: podlega ścisłym prawom. Amarantha zaś doskonale potrafi tymi prawami manipulować. Trzyma moce ich wszystkich zamknięte w sobie samej, ale zdaje się sama nie móc z nich korzystać, albo przynajmniej w bardzo ograniczonym stopniu. Dysponuje jednak własnymi groźnymi umiejętnościami. Gdyby więc doszło do walki...

– Ale Tamlin jest silniejszy? – Zaczęłam wykręcać palce u dłoni.

– Jest księciem – odparła Alis, tak jakby to wszystko wyjaśniało. – Jednak teraz to jest bez znaczenia. Przebywa w jej niewoli. A my musimy wciąż nosić maski, dopóki nie zgodzi się zostać jej kochankiem. Ale nawet wtedy nie odzyska pełni swojej mocy. A ona nigdy nie pozwoli odejść tym, których trzyma w swoim pałacu pod Górą.

Odepchnęłam się od stołu.

– Jak mogę się dostać pod Górę?

Alis mlasnęła.

– Nie możesz tam pójść. Żaden człowiek nigdy nie wyszedł stamtąd żywy.

Zacisnęłam pięści tak mocno, że aż paznokcie wbiły mi się w skórę.

– Jak. Mogę. Się. Tam. Dostać.

– To samobójstwo. Przechera cię zabije. Jeśli zdołasz się w ogóle do niej zbliżyć.

Amarantha wywiodła go w pole. I zadała mu tyle bólu. Spowodowała tyle cierpienia im wszystkim.

– Jesteś tylko człowiekiem – kontynuowała Alis, również odpychając się od stołu. –

Twoja skóra jest cienka jak papier.

Amarantha na pewno wiąże też Luciena, któremu wcześniej wylupała oko i oszpeciła na całe życie. Czy jego matka go żałowała?

– Byłaś zbyt zaślepiona, aby dostrzec klątwę rzuconą na Tamlina – ciągnęła służąca. – Jak chcesz stawić czoła Przecherze? Tylko pogorszysz sprawę.

Amarantha odebrała mi wszystko, czego pragnęłam. Wszystko, czego po tylu latach pozwoliłam sobie pożądać.

– Pokaż mi drogę – zażądałam. Głos mi zadrzał, ale zdołałam powstrzymać łzy.

– Nie. – Alis zarzuciła sobie sakwę na ramię. – Wracaj do domu. Odprowadzę cię do samego muru. Teraz już nic nie zdołasz wskórać. Tamlin będzie niewolnikiem Amaranthy po wsze czasy, a ona pozostanie królową Prythianu. Taki jest wyrok losu. Tak zdecydowały wiry w Kotle.

– Nie wierzę w los ani w jakiś nedorzeczny Kocioł.

Pokręciła głową. W panującym w kuchni półmroku jej rozczochrane brązowe włosy przypominały błoto.

– Zaprowadź mnie do niej – nie ustępowałam.

Jeśli Amarantha rozerwie mi gardło, przynajmniej umrę, robiąc coś dla niego.

Przynajmniej odejdę, starając się naprawić zło, któremu nie zdołałam zapobiec, usiłując uratować tych, których skazałam na cierpienie. Przynajmniej Tamlin będzie wiedział, że zrobiłam to dla niego; że go kocham.

Alis przyglądała mi się przez parę chwil. W końcu jej wzrok złagodniał.

– Jak sobie życzysz.

## Rozdział 33

Może i szłam na niemal pewną śmierć, ale nie miałam zamiaru ruszać bez broni.

Zapięłam na piersi pasek od kołczanu i przesunęłam palcami po piórach strzał. Oczywiście ani jedna z nich nie była jesionowa, ale musiałam sobie radzić z tym, co udało mi się znaleźć w rezydencji Tamlina. Mogłabym zabrać dużo więcej broni, ale tylko bym się niepotrzebnie obciążała. Zresztą większością i tak nie umiałam się posługiwać. Wzięłam więc jedynie kołczan pełen strzał, dwa sztylety i łuk. To lepsze niż nic, nawet jeśli przyjdzie mi zmierzyć się z istotami, które umiały zabijać od urodzenia.

Alis poprowadziła mnie przez cichy las i faliste pagórki, co jakiś czas przystając i nasłuchując, czasem zmieniając kierunek marszu. Nie chciałam wiedzieć, co usłyszała lub wywęszyła. Biorąc pod uwagę całkowity bezruch, jaki wszędzie panował, nie mogło to być nic dobrego. „Trzymaj się księcia” – powiedział suriel. Trzymaj się go, zakochaj się w nim, a wszystko zostanie naprawione. Gdybym nie wyjechała, gdybym wyznała swoje uczucia, nic z tego by się nie wydarzyło.

Powoli zapadała noc. Nogi bolały mnie od pokonywania coraz bardziej stromych zboczy, ale Alis nie przestawała iść, ani razu nawet się nie oglądając, aby sprawdzić, czy wciąż podążam za nią.

Zaczynałam się zastanawiać, czy nie powinnam była zabrać zapasów na więcej niż jeden dzień, gdy fae w końcu zatrzymała się w kotlinie między dwoma wzgórzami. Powietrze było zimne – dużo chłodniejsze od tego na szczycie pagórka. Zadrżałam, gdy wzrok przyzwyczaił się do większego mroku i ujrzałam wąskie wejście do jaskini. To nie mogły być wrota do pałacu Amaranthy. Na fresku w bibliotece Góra znajdowała się w samym środku Prythianu. Całe tygodnie drogi od Dworu Wiosny.

– Wszystkie mroczne i odstręczające drogi prowadzą pod Górę – powiedziała Alis niewiele głośniej od szelestu liści, wskazując jaskinię. – To jeden z pradawnych skrótów. Niedługo uważany za święty... Ale to dawne dzieje.

A więc stałam przed jaskinią, o której Lucien mówił w rozmowie z attorem. Starłam się zapanować nad dygotaniem całego ciała. Kochałam Tamlina i poszłabym na kraniec świata, aby naprawić całe zło, aby go uratować, ale jeśli Amarantha była gorsza od attora... Jeżeli attor nie był najgorszym z jej sług... Jeśli nawet Tamlin jej się bał...

– Rozumiem, że w tej chwili zaczynasz żałować swojej porywczosci.

Wyprostowałam się.

– Uwolnię go.

– Będziesz miała szczęście, jeśli zabije cię w miarę bezboleśnie. Ba, możesz mówić o szczęściu, jeśli w ogóle ją zobaczysz. – Musiałam zblednąć, ponieważ wydeła usta i poklepała mnie po ramieniu. – Posłuchaj mnie, dziewczyno, i zapamiętaj kilka zasad – powiedziała. Obie wpatrywałyśmy się we wlot jaskini. Wyciekająca z niego ciemność zatruwała czyste nocne powietrze. – Nie pij wina. W niczym nie przypomina ono tego, którego skosztowałaś podczas przesilenia. Będzie z tego więcej szkody niż pożytku. Nie wchodź z nikim w żadne układy, chyba że od tego będzie zależało twoje życie. A nawet wtedy dobrze się zastanów, czy warto. I przede wszystkim nie ufaj tam nikomu, nawet Tamlinowi. Twoje ludzkie zmysły okażą się twoim największym wrogiem, w każdej chwili mogą cię zdradzić.

Zwalczyłam chęć sięgnięcia do jednego ze sztyletów. Kiwnęłam tylko głową.

– Masz jakiś plan?

– Nie – przyznałam.

– Nie licz na to, że stal na cokolwiek ci się przyda – powiedziała, zerkając na moją broń.  
– Nie liczę – odparłam i spojrzałam na nią, przygryzając wargę.  
– Jest jeszcze jedna część klątwy, o które nie możemy ci powiedzieć. Nawet teraz, gdy tylko o tym wspominam, kości bolą mnie tak bardzo, że niemal mam ochotę wyć. Tę część będziesz musiała odkryć... samodzielnie. Część, którą... którą... – Przełknęła głośno ślinę. – Którą najwyraźniej wciąż chce trzymać przed tobą w tajemnicy, skoro nie mogę tego wypowiedzieć – wysapała. – Ale... Miej uszy otwarte, dziewczyno. Staraj się *wstuchać* w to, co słyszysz.

Dotknęłam jej ramienia.

– Tak zrobię. Dziękuję, że mnie tu przyprowadziłaś. – W końcu zmarnowała cenne godziny. Wypchana do granic możliwości sakwa dla niej i jej siostrzeńców nie pozostawiała wątpliwości co do tego, dokąd Alis się spieszyła.

– To zaiste rzadkość, żeby ktoś dziękował za zaprowadzenie go na pewną śmierć – odparła, a ja pomyślałam, że jeśli zbyt długo będę roztrząsała grożące mi niebezpieczeństwo, mogę stchórzyć mimo całej miłości do Tamlina. Alis wcale nie pomagała mi wytrwać przy moim postanowieniu. – Niemniej jednak życzę ci powodzenia – dodała.

– Gdy znajdziesz swoich siostrzeńców, jeżeli będziecie potrzebowali schronienia, udajcie się na południe od muru. Odszukaj posiadłość mojej rodziny. – Opisałam jej drogę. – Zapytaj o Nestę, moją najstarszą siostrę. Ona wie, kim jesteś; wie wszystko. Udzieli ci schronienia i pomoże, jak tylko zdoła.

Wiedziałam już, że Nesta by to zrobiła, nawet gdyby Alis i jej siostrzeńcy ją śmiertelnie przerazili. Pomogłyby im mimo tego. Alis poklepała mnie po dłoni.

– Nie daj się zabić – powiedziała.

Spojrzałam na nią ostatni raz. Potem przeniosłam wzrok na rozpościerające się nad nami nocne niebo, na ciemnozielone wzgórza. Miały taki sam kolor jak oczy Tamlina.

Bez słowa weszłam do jaskini.

\*\*\*

Jedynymi dźwiękami rozlegającymi się we wnętrzu były szmer mojego płytkiego oddechu i chrzęst kamieni pod butami. Posuwałam się pomału przez mroźną ciemność, co chwila potykając się o większe kamienie. Trzymałam się cały czas jednej ściany, przesuając skostniałą już dłoń po wilgotnej skale. Stawiałam drobne, ostrożne kroki, nie chcąc wpaść w jakąś niewidzialną rozpadlinę.

Po zdającej się trwać całą wieczność wędrówce dostrzegłam w oddali słabe pomarańczowe światło. Potem usłyszałam głosy.

Syczące i ryczące, wysokie i gardłowe – istna kakofonia rozdzierająca ciszę niczym huk petardy. Przyłgnęłam do ściany, ale wkrótce odgłosy zanikły.

Podkrađłam się w stronę światła, mrugając intensywnie, aby dostrzec coś więcej. W końcu udało mi się znaleźć jego źródło – wąską szczelinę w skale. Po drugiej stronie znajdował się wykuty w kamieniu, oświetlony pochodniami podziemny korytarz. Przycisnęłam się w cieniu. Serce waliło mi w piersi jak młotem. Szczelina była wystarczająco szeroka, żebym zdołała się przecisnąć, aczkolwiek była bardzo nierówna i chropowata – zapewne nie korzystano z niej zbyt często. Na dnie szczeliny zalegała nienaruszona warstwa pyłu, co wskazywało, że dawno nikt tędy nie przechodził. Korytarz po drugiej stronie wydawał się pusty, ale szybko zakręcał, w związku z czym niewiele mogłam zobaczyć.

Panowała przeraźliwa cisza, ale wspomniałam ostrzeżenie Alis, abym nie ufała swoim zmysłom. Poza tym czarodziejskie istoty potrafiły poruszać się cicho jak koty.

Niemniej jednak musiałam w końcu opuścić jaskinię. Tamlin był tu już od tygodni.

Musiałam się dowiedzieć, gdzie Amarantha go przetrzymywała. Miałam nadzieję nie wpaść na nikogo w trakcie poszukiwań. Zabijać zwierzęta czy nawet nagi – to jedno. Ale walczyć z groźniejszymi istotami...

Odetchnęłam głęboko kilka razy i zebrałam się w sobie. Próbowałam sobie wmówić, że wybrałam się na polowanie... tyle tylko że tym razem zamiast zwierząt musiałam się zmierzyć z fae, którzy potrafiliby torturować mnie w nieskończoność, aż błagałabym ich o śmierć. Mogliby mnie męczyć, tak jak męczyli tamtą istotę z Dworu Lata, której na koniec oderwali skrzydła.

Odegnęłam wizję tamtych krwawiących kikutów, zdjęłam łuk z ramienia i kołczan z pleców, wciągnęłam brzuch i wsunęłam się w szczelinę. Sztylety zamocowane przy pasie zachrobotyły o kamień. Skrzywiłam się na dźwięk spadających kamyków. „Nie zatrzymuj się, nie zatrzymuj się”. W końcu przecisnęłam się do korytarza. Przemknęłam pod drugą ścianę i skryłam się w niewielkim wgłębieniu. Marna kryjówka, ale lepsza niż żadna.

Po odczekaniu paru chwil przesunęłam się wzdłuż ściany i przystanęłam przy zakręcie. Popęłniłam błąd, tylko idiotka by tu przychodziła. Mogłam być w dowolnym miejscu dworu Amaranthy. Alis powinna była mi przekazać więcej informacji. Powinnam była pomyśleć zawczasu i dokładnie ją wypytać. Albo wykazać więcej rozumu i znaleźć inny sposób. Jakikolwiek inny.

Zaryzykowałam zerknięcie za róg i niemal załkałam z bezsilności. Korytarz ciągnął się dalej, wykuty w bladej skale, oświetlony rozmieszczonymi w regularnych odstępach pochodniami. Nigdzie nie było choćby kawałka cienia, w którym mogłabym się ukryć. Po jakimś czasie droga ponownie zakręcała pod ostrym kątem. Jeśli ruszę dalej, dostrzeże mnie każdy, kto wyjdzie z tego załomu. Byłam tu celem równie łatwym jak przymierająca głodem łania obskubująca drzewo z kory na leśnej polanie.

Lecz w korytarzu panowała zupełna cisza. Echa głosów, które słyszałam wcześniej, już dawno zamilkły. Gdybym kogoś usłyszała, mogłabym pobiec co sił w nogach z powrotem do szczeliny i dalej do wylotu jaskini. Mogłabym zrobić tylko rozeznanie, zebrać trochę informacji, dowiedzieć się, gdzie przetrzymywany jest Tamlin...

Nie! Druga taka okazja mogła się nie nadarzyć przez długi czas. Musiałam działać *teraz*. Gdybym przerwała poszukiwania na zbyt długo, nigdy już bym się nie zdobyła na odwagę, aby spróbować ponownie. Ruszyłam za róg.

Długie kościste palce owinęły się wokół mojego ramienia. Zesztywniałam. W polu mojego widzenia pojawiła się szara skórzasta twarz. Srebrzyste kły lśniły w szerokim uśmiechu.

– Witaj – wysyczał stwór. – Co takie stworzenie jak ty robi w tych korytarzach?

Znałam ten głos. Wciąż czasem słyszałam go w koszmarach.

Słowa uwięzły mi w gardle i z ledwością powstrzymałam wzbierający w piersi krzyk paniki. Stwór zastrzygł nietoperzymi uszami.

## Rozdział 34

Attor trzymał moje ramię w lodowatym uścisku przez całą drogę. Nie odebrał mi broni; oboje doskonale wiedzieliśmy, że niewielki miałabym z niej pożytek.

„Tamlin. Alis i jej siostrzeńcy. Moje siostry. Lucien”. Przywoływałam w kółko w myślach wszystkie osoby, na których mi zależało. Demoniczny attor górował nade mną wzrostem. Co pewien czas jego skórzaste skrzydła poruszały się z nieprzyjemnym szmerem. Gdybym potrafiła wydobyć z siebie głos, nie krzycząc panicznie, zapytałabym go, dlaczego nie zabił mnie od razu. Stwór ciągnął mnie za sobą, sunąc pazurzystymi stopami po podłożu, zostawiając na skale podłużne rysy. Wyglądał niepokojąco podobnie do jego wizerunku, który namalowałam z wyobraźni.

Weszliśmy do jakiejś komnaty. Ze wszystkich stron przyglądały nam się złowrogie twarze. Żadna z nich nie przejawiała choć cienia troski lub zaniepokojenia moim położeniem. Otaczały nas tłumy czarodziejskich istot, choć fae wysokiego rodu było bardzo niewielu.

Przeszliśmy przez dwie pary niezwykle starych, olbrzymich kamiennych wrót – większych niż drzwi frontowe w rezydencji Tamlina – i wkroczyliśmy do przestronnej komnaty wykutej w bladej skale, której sufit podtrzymywały niezliczone rzeźbione kolumny. Ta część mojego umysłu, która ponownie zajmowała się trywialnymi i bezużytecznymi rzeczami, zauważyła, że na kolumnach namalowano nie tyle zdobienia, ile sylwetki zwykłych czarodziejskich istot, fae wysokiego rodu i zwierząt w różnym otoczeniu i różnych sytuacjach. Rysunki układały się w niezliczone opowieści z historii Prythianu. Między kolumnami z sufitu zwisały kandelabry z różnorodnych drogich kamieni, zalewające posadzkę z czerwonego marmuru wielobarwnym światłem. Dostrzegłam tu zdecydowanie więcej fae wysokiego rodu.

Komnatę wypełniał tłum różnych istot. Część z nich tańczyła do dziwnej, kakofonicznej muzyki; inne prowadziły ożywione rozmowy. Wyglądało to na jakiś rodzaj przyjęcia. Zdawało mi się, że tu i ówdzie dostrzegałam lśniące maski. Jednak wszystko zlewało się w bezkształtną masę ostrych zębów i eleganckich ubrań. Attor popchnął mnie do przodu i cały świat zawirował.

Upadłam mocno na zimną posadzkę, dorabiając się kilku bolesnych stłuczeń. Podniosłam się na rękach. Gwiazdy tańczące mi przed oczami powoli przygasały. Nie ryzykowałam powstania i zostałam na podłodze. Po chwili intensywnego mrugania zobaczyłam przed sobą podwyższenie, na które prowadziły wykute w skale schodki. Uniosłam głowę wyżej.

U szczytu schodów na czarnym tronie zasiadała Amarantha.

Chociaż nie mogłam jej odmówić urody, nie okazała się tak olśniewająca, jak się spodziewałam. Nie wyglądała jak jakaś bogini ciemności i okrucieństwa. Co czyniło ją tym bardziej przerażającą. Złociście rude włosy miała zaplecione w równe warkoczyki, które następnie przepleciono przez otwory złotej korony. Intensywny kolor włosów ożywiał śnieżnobiałą cerę, która z kolei mocno kontrastowała z rubinowymi ustami. I chociaż jej smoliście czarne oczy lśniły urzekająco, było w niej coś, co zdawało się wysysać jej piękno. Jej twarz zdawał się wykrzywiać wieczny pogardliwy grymas, co ujmowało jej uroku i przydawało sztuczności. Nawet próba namalowania jej przyprawiałaby mnie o szaleństwo.

Najzdolniejszy generał wojsk króla Hybernii. Wieki temu wycinała w pień całe armie ludzi. Wymordowała wszystkich swoich niewolników, aby tylko nie zwracać im wolności. A pół wieku temu w kilka dni podporządkowała sobie cały Prythian.

Mój wzrok powędrował na drugi czarny tron stojący obok. Zrobiło mi się słabo.

Górną część jego twarzy wciąż przesłaniała złota maska. Ubrany był w ten sam strój wojownika, który nosił w swoim domu, z tym samym skórzanym pasem, choć nie było w nim ani

jednego noża czy jakiegokolwiek innej broni. Jego oczy nie rozszerzyły się, usta nie zacisnęły, pazury nie wysunęły, kły nie urosły. Patrzył na mnie beznamiętnie, jakby zupełnie nie poruszała go moja obecność.

– A to co? – zapytała Amarantha melodyjnym głosem, jednocześnie uśmiechając się jadowniczo.

Na szczupłej bladej szyi wisiał długi cienki łańcuch z pojedynczą wyblakłą kością wielkości ludzkiego palca. Wzdrygałam się przed domysłami, do kogo mogła należeć. Pozostałam na klęczkach na podłodze. Przesunęłam nieco dłoń. Może gdyby udało mi się dobyć sztyletu...

– Tylko jakaś człeczyna, którą znalazłem na dole – zasyczał attor. Spomiędzy jego ostrych zębów wysunął się rozwidlony język. Stwór trzepnął raz skrzydłami, owiewając mnie okropnym fetorem, po czym złożył je równo na kościstych plecach.

– To widzę – zamruczała Amarantha. Unikałam jej spojrzenia. Skoncentrowałam się na brązowych butach Tamlina. Znajdował się dziesięć stóp ode mnie. Tak blisko, a nie odezwał się ani słowem. Nie wyglądał na przestraszonego ani rozżłoszczonego. – Ale dlaczego miałoby to mnie obchodzić?

Attor zachichotał. Przypominało to wodę syczącą na rozgrzanej blasze. Szponiasta stopa dźgnęła mnie w bok.

– Powiedz jej wysokości, dlaczego skradałaś się korytarzami katakumb. Dlaczego wślizgnęłaś się do tej starej jaskini prowadzącej na ziemi Dworu Wiosny.

Lepiej będzie zabić attora czy spróbować dotrzeć do Amaranthy? Stwór kopnął mnie ponownie. Skrzywiłam się z bólu, gdy jeden z pazurów rozorał mi skórę na boku.

– Powiedz jej wysokości, ty ludzka szumowino.

Potrzebowałam czasu. Musiałam lepiej się zorientować w otoczeniu. Jeśli Tamlin był pod wpływem jakiegoś uroku, będę musiała go stąd wyciągnąć. Wstałam powoli, dbając o to, aby moje dłonie cały czas były w pobliżu rękojeści sztyletów. Wbiłam wzrok w lśniąca złotą suknię Amaranthy, próbując nie patrzeć jej w oczy.

– Przyszłam, aby odzyskać swojego ukochanego – powiedziałam cicho. Może wciąż można było przełamać klątwę. Spojrzałam ponownie na Tamlina. Widok tych szmaragdowych oczu działał na mnie kojąco.

– Ach. – Amarantha pochyliła się do przodu.

– Przyszłam po Tamlina, księcia Dworu Wiosny.

Wśród zebranych fae rozszedł się szmer zdumienia. Amarantha tylko odchyliła głowę do tyłu i zaśmiała się. Jej śmiech przypominał skrzeczenie kruka.

Królowa zwróciła się do Tamlina, uśmiechając się złowrogo.

– Zdecydowanie nie próżnowałeś przez te wszystkie lata. Zasmakowałeś w ludzkich bestyjkach, mój drogi?

Nie odpowiedział ani słowem. Jego twarz nie zdradzała żadnych emocji. Co ona mu zrobiła? Nie poruszył się, nawet nie drgnął. Zatem klątwa się dopełniła. Już za późno. Zawiodłam go i skazałam na wieczne cierpienie.

– Ale... – dodała Amarantha, przeciągając sylaby. Attor i wszyscy zebrani ucichli i wyczekiwali na dalsze słowa królowej. – Zastanawia mnie jedno... Skoro po utracie jednego ze swoich poddanych mogłeś zabrać tylko *jedną* ludzką dziewczynę... – Oczy jej błysnęły. – Och, jesteś cudowny. Pozwoliłeś mi torturować tamtą niewinną niebogę, żeby ochronić tę? Czyż to nie urocze! Naprawdę zdołałeś rozkochać w sobie ludzkiego robaka. Wspaniale! – Zaklaskała, a Tamlin tylko odwrócił wzrok. Pierwsza i jedyna jak dotąd reakcja z jego strony.

Pozwolił jej torturować. Ona zamęczyła...

– Uwolnij go – zażądałam, starając się powstrzymać drżenie w głosie.

Amarantha ponownie się roześmiała.

– Podaj choć jeden powód, człeczyno, dla którego miałabym cię nie zgładzić tu i teraz. – Wyszczrzyła w uśmiechu równe zęby tak nieskazitelnie białe, że aż świeciły.

Krew szumiała mi w uszach. Pomimo narastającego strachu zdołałam unieść dumnie głowę i odpowiedzieć:

– Oszukałaś go. Został nieuczciwie pojmany.

Tamlin zeszywniał.

Amarantha mlasnęła i uniosła do oczu bladą dłoń. Na palcu wskazującym załśnił pierścień. Gdy opuściła ponownie dłoń na oparcie tronu, przyjrzałam się pierścieniowi uważniej. Klejnot osadzony na nim wyglądał jak... Jak ludzkie oko zatopione w kryształ. Mogłabym przysiąc, że oko się poruszało.

– Wy, ludzkie bestie, jesteście tak mało pomysłowe. Poświęciliśmy wiele lat, aby nauczyć was poezji i retoryki, a ty potrafisz wymyślić tylko tyle? Powinnaś wyrwać ci język za mielenie nim po próżnicy.

Zacisnęłam zęby.

– Ciekawi mnie jednak, jakąż to elokwentną uwagą podzielisz się z nami, gdy ujrzysz, jaki los powinien być cię spotkać? – Zmarszczyłam brwi. Amarantha wskazała coś znajdującego się za moimi plecami. Oko w jej ohydnych pierścieniu podążyło za jej wzrokiem. Odwróciłam się.

Wysoko nad posadzką do ściany sali tronowej przybito zmasakrowane zwłoki młodej kobiety. Jej skór była w wielu miejscach poważnie poparzona, wszystkie palce miała powykrzywiane pod dziwnymi kątami, a jej nagie ciało przecinała siatka postrzępionych czerwonych pręg. Głos Amaranthy z ledwością przebijał się przez ryk krwi w moich uszach.

– Może powinnaś była jej uwierzyć, gdy utrzymywała, że nigdy w życiu nie widziała Tamlina – zastanawiała się królowa. – Albo gdy raz po raz twierdziła, że nigdy nie zabiła żadnej czarodziejskiej istoty czy wręcz że nawet przez jeden dzień w życiu nie polowała. Aczkolwiek muszę przyznać, że jej krzyki były rozkoszne. Od dawna nie słyszałam tak wspaniałej muzyki. – Kolejne słowa skierowała do mnie: – Powinnaś ci chyba podziękować za podanie Rhysandowi jej nazwiska zamiast swojego prawdziwego.

To była Klara Beddor! To tu ją zabrali, to to jej zrobili po spaleniu jej rodziny żywcem we własnym domu. Na to ją skazałam, podając Rhysandowi jej imię, aby chronić ojca i siostry.

Zrobiło mi się niedobrze. Musiałam wyteńczyć wszystkie siły, aby nie zwymiotować na posadzkę.

Pazury attora wbiły się w moje ramię, gdy mnie obrócił twarzą do Amaranthy, która wciąż uśmiechała się niczym jadowity wąż tuż przed atakiem. Byłam winna śmierci Klary. Ocaliłam swoje życie, podpisując wyrok na nią. To ja powinnaś w tej chwili gnić przytwierdzona do ściany. Ja.

*Ja.*

– No i, moja droga? – zwróciła się do mnie Amarantha. – Co powiesz na to?

Pragnęłam wyrzucić z siebie, że zasługiwała na smażenie się w piekle przez całą wieczność, ale nie mogłam wydobyć z siebie głosu. Spoglądałam na Tamlina, ale przed oczami stało mi tylko okaleczone ciało Klary. Pozwolił im zabić ją w taki sposób – aby nie dowiedzieli się o moim istnieniu. Łzy wezbrały mi pod powiekami, a w gardle wezbrała żółć.

– Czy nadal chcesz ratować kogoś, kto pozwolił zrobić coś takiego niewinnej dziewczynie? – powiedziała Amarantha łagodnym, przepelnionym troską głosem.

Otrząsnęłam się z otępienia i spojrzałam na nią. Nie mogłam pozwolić, aby śmierć Klary

poszła na marne. Nie zamierzałam poddać się bez walki.

– Tak – odparłam. – Owszem, chcę.

Wykrzywiła wargi w złowrogim uśmiechu, odsłaniając nienaturalnie ostre kły. Spojrzałam w jej czarne jak otchłań oczy i zrozumiałam, że niedługo zginę. Na razie jednak królowa rozparła się w tronie i założyła nogę na nogę.

– Cóż, Tamlinie – powiedziała, kładąc dłoń na jego ramieniu we władczym geście. – Nie sądzę, abyś się spodziewał takiego obrotu spraw. – Machnęła drugą dłonią w moim kierunku. Przytłumiony śmiech zebranych istot uderzał we mnie niczym grad kamieni. – Co ty masz nam do powiedzenia, księżę?

Spojrzałam na twarz, którą tak mocno kochałam. Jego słowa niemal podcięły mi nogi.

– Nigdy wcześniej jej nie widziałem. Ktoś musiał z czarować ją i przysłać tu dla żartu. To zapewne sprawka Rhysanda. – Wciąż starał się mnie chronić. Nawet teraz, nawet tu.

– Mój drogi, zupełnie nie umiesz kłamać. – Amarantha przechyliła głowę. – Czy to możliwe? Czyżbyś pomimo swoich słów sprzed tych wszystkich lat odwzajemnił uczucia ludzkiej kobiety? Dziewczyna, która całym sercem nienawidzi naszego gatunku, zdołała pokochać fae? A ten, którego ojciec niegdyś szlachtował ludzi u mego boku, pokochał ją? – Ponownie zaniósła się swoim skrzekliwym śmiechem. – Och, to jest aż nazbyt wyborne. – Obracała w palcach kość zawieszoną na swojej szyi i spoglądała na oko osadzone w pierścieniu. – Cóż, jeśli ktokolwiek potrafi docenić taki obrót spraw – powiedziała do pierścienia – to chyba właśnie ty, Jurianie. – Uśmiechnęła się przyjaźnie. – Jaka szkoda, że ta ludzka dziwka, z którą zdradzałeś moją siostrę, nigdy nie próbowała cię ocalić.

Jurian! A więc to było jego oko i kość z jego dłoni. Strach ścisnął mi żołądek. Jaką mocą się posłużyła, jakiej podłości się dopuściła, że zdołała uwięzić jego duszę, jego jaźń w pierścieniu i kości?

Tamlin niezmiennie spoglądał na mnie, niczym nie zdradzając, że mnie poznaje. W jego oczach nie było nawet cienia uczucia. Może użyła swoich mocy, aby go oczarować? Może odebrała mu wszystkie wspomnienia?

Królowa przyjrzała się krytycznie swoim paznokciom.

– Odkąd nasza mała Klara zdecydowała się nas rozczarować i umrzeć, życie stało się tak obrzydliwie nudne. Zabicie cię ot tak, człeczyno, byłoby marnotrawstwem. – Na chwilę przeniosła wzrok na mnie, po czym wróciła do przyglądania się paznokciom i pierścieniowi na swoim palcu. – Ale los miesza w Kotle w niepojęty czasem sposób. Może moja droga Klara musiała umrzeć, abym zakosztowała prawdziwej rozrywki z tobą.

Zalała mnie kolejna fala mdłości.

– Przyszłaś odebrać mi Tamlina? – To nie było pytanie, lecz wyzwanie. – Cóż, tak się składa, że jego nieprzerwane milczenie niemożebnie mnie nuży. Bardzo się zmartwiłam, gdy nawet nie mrugnął podczas mojej zabawy z drogą Klarą. Jego urocze pazury nie wysunęły się nawet na chwilę... Zawrę z tobą układ, człeczyno – oznajmiła. W głowie zabiły mi dzwony na alarm. Przypomniałam sobie słowa Alis: „Nie wchodź z nikim w żadne układy, chyba że od tego będzie zależało twoje życie”. – Podejmiesz się trzech wskazanych przeze mnie zadań; trzech zadań, które pokażą nam wszystkim, jak szczerze są twoja miłość i lojalność wobec Tamlina. Jeśli je wykonasz, będzie twój. Tylko trzy drobne wyzwania, aby dowieść swojej wierności; aby udowodnić mnie i drogiemu Jurianowi, że wasz gatunek jest zdolny do pokochania naprawdę. Jeśli ci się powiedzie, odzyskasz swojego księcia. – Obróciła się do Tamlina. – Możesz to uznać za przysługę, mój drogi. Te ludzkie psy mogą nas tak zaślepić, że tracimy wszystkie rozsądek. Lepiej będzie dla ciebie, abyś teraz ujrzał jej prawdziwą naturę.

– Chcę również zdjęcia z niego kłątwy – wypaliłam. Uniosła brew i uśmiechnęła się



szeroko, ukazując zbyt wiele nieskazitelnie białych zębów. – Wykonam twoje trzy zadania, a ty zdejmiesz z niego klątwę. Ponadto pozwolisz nam obojgu, a także całemu jego dworowi, opuścić to miejsce. I zachować wolność na zawsze – dodałam. Alis powiedziała, że magia podlega ścisłym prawom. To tak Amarantha ich oszukała. Nie mogłam dopuścić, abym poniosła porażkę z powodu jakiegoś niedopowiedzenia.

– Oczywiście – zamruczała Amarantha. – Dorzucę jeszcze jeden warunek, jeśli ci to nie przeszkadza. Żeby przekonać się, czy jesteś godna zostania towarzyszką jednego z nas; czy jesteś wystarczająco mądra, aby zasłużyć na niego. – Oko Juriana zawirowało gwałtownie. Amarantha mlasnęła i zatopiona w kryształach gałka zamarła w bezruchu. – Dam ci, dziewczyno, możliwość wykaraskania się z tych tarapatów – kontynuowała. – Musisz wykonać wszystkie trzy zadania albo, gdy już będziesz miała dość, wystarczy, że odpowiesz na jedno pytanie. – Krew tak głośno szumiała mi w uszach, że ledwo słyszałam jej słowa. – Rozwiążesz jedną zagadkę, a klątwa zostanie zdjęta natychmiast. Nie będę musiała kiwnąć palcem, a twój książę będzie wolny. Podaj mi prawidłową odpowiedź, a będzie twój. Możesz odpowiedzieć w dowolnie wybranym przez siebie czasie. Jeśli jednak się pomylisz... – Wskazała palcem coś za moimi plecami. Nie musiałam się odwracać, aby wiedzieć, że pokazuje ciało Klary.

Obracałam jej propozycję w głowie na wszystkie strony, szukając pułapek i niedopowiedzeń. Nic nie znalazłam. Układ brzmiał uczciwie.

– A jeśli nie wykonam jednego z twoich zadań?

Jej uśmiech stał się niemal groteskowy. Potarła kciukiem kryształ osadzony w pierścieniu.

– Jeśli nie podołasz któremukolwiek z nich, nie zostanie z ciebie nic, czym mogłabym się zabawić.

Zimny dreszcz przepelzł mi po plecach wzdłuż kręgosłupa. Alis mnie ostrzegła, abym nie wchodziła z nikim w żadne układy. Ale jeśli się nie zgodzę, Amarantha mnie zabije.

– Jakiego rodzaju zadania mnie czekają?

– Och, zdradzenie ci tego popsułoby całą zabawę. Mogę ci powiedzieć tylko tyle, że kolejne zadania będziesz otrzymywać co miesiąc o pełni księżyca.

– A co w czasie pomiędzy pełniami? – Odważyłam się zerknąć na Tamlina. Złote plamki w jego oczach były jaśniejsze, niż pamiętałam.

– W tym czasie – odparła Amarantha ostrzejszym nagle głosem – pozostaniesz w swojej celi lub będziesz wykonywać dodatkowe prace, jakie ci zlecę.

– Jeśli mnie zamęczysz między zadaniami, czy nie będzie to nieuczciwe? – Widziałam wyraźnie, że traci zainteresowanie całą sytuacją. Najpewniej nie spodziewała się, że będę ją tak wypytywała. Ale musiałam chociaż spróbować uzyskać jakąś przewagę.

– Nie będzie to nic wykraczającego poza zwykłe prace domowe. Przyznasz chyba, że to uczciwe, żebyś zapracowała na swoje utrzymanie. – Miałam ochotę ją za to udusić, ale tylko kiwnęłam głową. – Zatem uzgodnione.

Wiedziałam, że czeka, aż powtórzę te słowa, ale musiałam najpierw uzyskać pewność.

– Jeśli wykonam wszystkie trzy zadania lub rozwiążę twoją zagadkę, zrobisz to, o co proszę?

– Oczywiście – powiedziała Amarantha. – Czy przyjmujesz te warunki?

Dolna część twarzy Tamlina śmiertelnie pobladła. Spojrzałam mu w oczy; źrenice zdały się niemal niezauważalnie powiększyć. Jego wzrok krzychał: „Nie!”

Ale miałam do wyboru to albo śmierć. Powolne konanie w wielkim cierpieniu. Zrobiliby mi to samo, co zrobili Klarze. Stojący za moimi plecami attor zasyczał ponaglająco. Nie wierzyłam w los ani w Kocioł, ale nie miałam innego wyjścia.

Gdy spojrzałam w oczy Tamlina – nawet teraz, kiedy siedział u boku Amaranthy jako jej

niewolnik (albo gorzej) – czułam, że kocham go całym sercem. A gdy jego źrenice rozszerzyły się, zrozumiałam, że on też wciąż mnie kochał.

Nie miałam już nic poza strzępem naiwnej nadziei, że w jakiś sposób uda mi się wygrać. Że zdołam przechytryć i pokonać królową fae, choćby ta dorównywała wiekiem kamieniowi, na którym stałam.

– No i? – ponagliła mnie Amarantha.

Wyczuwałam, że stojący za mną attor spręży się do skoku z zamiarem wytrąsnięcia ze mnie odpowiedzi, gdyby tylko zaszła taka potrzeba. Oszukała ich wszystkich, ale nie na darmo przetrwałam lata ubóstwa, przymierania głodem i polowania w lesie. Największe szanse będę miała, jeśli nie zdradzę nic o sobie ani o tym, co wiedziałam. Bo czym był jej dwór, jeśli nie kolejnym lasem, kolejnym terenem łowieckim?

Po raz ostatni zerknęłam na Tamlina.

– Zgoda – powiedziałam.

Amarantha posłała mi nikły, okrutny uśmiech, po czym pstryknęła palcami i w powietrzu między nami zaiskrzyła magia. Królowa rozparła się wygodnie na swoim tronie.

– Przywitajcie ją w sposób godny mojego pałacu – powiedziała do stojącego za mną potwora.

Złowrogi syk attora był jedynym ostrzeżeniem przed nadchodzącym atakiem. Coś twardego jak kamień uderzyło mnie w szczękę.

Poleciałam w bok, oszołomiona nagłym bólem. Nie zdążyłam się otrząsnąć, gdy kolejny potężny cios wylądował na mojej twarzy. Pękła jakaś kość – *moja* kość. Nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Skórzasta ręka attora ponownie uderzyła mnie z impetem w skroń. Poleciałam w bok, gdzie nadziałam się na pięść innego stwora – odrażającego pomniejszego fae, którego twarzy nawet nie zdążyłam dojrzeć. Czułam się, jakby rzucano we mnie cegłami. Chrząst, trzask. Dopadły mnie chyba trzy potwory i potraktowały jak worek treningowy. Cios za ciosem podawali mi sobie wkoło. Moje kości i mięśnie protestowały głośno. Może i ja krzyczałam. Nie wiem.

Krewa trysnęła mi z ust. Jej metaliczny posmak był ostatnim, co poczułam.

## Rozdział 35

Powoli odzyskiwałam zmysły. Każdy wysyłał nieprzerwanie impulsy bólu. Pierwszym dźwiękiem, jaki zidentyfikowałam, było kapanie wody. Potem usłyszałam cichnące echo oddalających się ciężkich kroków. Następny był metaliczny posmak w ustach – krew. Skrzepy zatykały mi również nos, ale nawet mimo to wyczuwałam w wilgotnym zimnym powietrzu wyraźny smród stęchlizny i pleśni. W policzek kłuły mnie ostre źdźbła słomy. Wybadałam ostrożnie językiem pękniętą wargę. Szybko tego pożałowałam. Krzywiąc się z bólu, uchyliłam powieki. Niestety, były tak opuchnięte, że zdołałam uzyskać tylko wąską szparę. To, co zobaczyłam, zdecydowanie nie poprawiło mi humoru.

Byłam w jakimś lochu. Zdążyli odebrać mi broń. Jedyne źródłem światła były pochodnie zatknięte w korytarzu za drzwiami. Co prawda Amarantha zapowiedziała, że umieści mnie w celi, ale mimo to obudzenie się w lochu Niemile mnie zaskoczyło. Podciągnęłam się do pozycji siedzącej. W głowie zakręciło mi się tak mocno, że niemal z powrotem straciłam przytomność. Przyjrzałam się smugom światła wpadającego przez szpary między drzwiami a framugą, po czym bardzo ostrożnie dotknęłam twarzy.

Bolała mnie bardziej niż kiedykolwiek dotąd w całym moim życiu. Stłumiłam krzyk, gdy dotknęłam palcem nosa, z którego wypadło kilka skrzepów. Był złamany. Złamany! Zacisnęłabym zapewne zęby z bólu, gdyby szczeka również mnie nie bolała.

Nie mogłam sobie pozwolić na panikę. Musiałam powstrzymać łzy i na spokojnie przeanalizować moją sytuację. Najpierw trzeba zbadać odniesione obrażenia, a potem wykombinować, co mogę na nie poradzić. Może zdołam wykorzystać koszulę na bandażę? Może za jakiś czas dadzą mi trochę wody, abym mogła obmyć rany... Wzięłam bardzo płytki oddech i delikatnie obmacałam resztę twarzy. Szczeka na szczęście była cała, jedynie bardzo opuchnięta. Oboje oczu miałam podbitych. Do tego należało jeszcze doliczyć pękniętą wargę. Najgorzej jednak było z nosem.

Podciągnęłam kolana do piersi, objęłam je ciasno ramionami i skoncentrowałam się na miarowym oddychaniu. Nie posłuchałam jednej z rad Alis, ale przecież nie miałam wyboru. Patrzeć na Tamlina siedzącego u boku Amaranthy...

Mimo bólu zacisnęłam zęby. Pełnia księżycy... Gdy opuszczałam rezydencję ojca, miesiąc wchodził w trzecią kwadrę. Jak długo leżałam tu nieprzytomna? Nie byłam na tyle naiwna, aby sądzić, że zdołam odpowiednio przygotować się na pierwsze zadanie Amaranthy, choćbym miała cały czas świata.

Wolałam się nawet nie zastanawiać, co mogła planować. W zupełności wystarczała mi świadomość, że spodziewała się mojej śmierci. Że na koniec nie zostanie ze mnie dość dużo, żeby mogła mnie jeszcze torturować.

Ścisnęłam mocniej nogi, aby powstrzymać drżenie rąk. Gdzieś – niezbyt daleko – ktoś zaczął krzyczeć. Był to wysoki, błagalny lament akcentowany co pewien czas głośnymi wrzaskami, od których robiło mi się niedobrze. Ciekawe, czy ja będę krzyczeć podobnie, gdy przyjdzie mi się zmierzyć z pierwszym zadaniem Amaranthy?

Strzelił bicz i krzyki przeobraziły się w nieustanny wrzask, z bardzo krótkimi przerwami na oddech. Klara zapewne krzyczała podobnie. Równie dobrze można powiedzieć, że to ja sama ją torturowałam. Co rozumiała ze swojej sytuacji, otoczona czarodziejskimi istotami pragnącymi jej krwi i cierpienia? Choćby ze względu na to, co musiała przeżyć, zasługiwałam na cały ból i wszystkie męki, jakie mnie czekały. Ale... W jakiś sposób musiałam to wszystko naprawić.

W którymś momencie musiałam stracić przytomność, ponieważ obudził mnie chrobot

drzwi szorujących o kamień. Momentalnie zapomniałam o pulsującym bólu w twarzy i rozpaczliwie skryłam się w najciemniejszym kącie celi. Ktoś wślizgnął się do środka i szybko zamknął za sobą drzwi, zostawiając je jednak lekko uchylone.

– Feyra?

Usiłowałam wstać, ale nogi trzęsły mi się tak mocno, że nie zdołałam zmusić ich do współpracy.

– Lucien? – wyszeptałam imię rozpoznanego po głosie przybysza. Słoma zatrzeszczała, gdy przyklęknął przede mną.

– Na Kociół, wszystko z tobą w porządku?

– Moja twarz...

Obok jego głowy pojawiło się nagle światło i ujrzałam przed sobą jego oczy. To metalowe zmrużył.

– Czyś ty postradła rozum? – wysyczał. – Co ty tu robisz?

Odgoniłam łzy – i tak na nic by mi się teraz zdały.

– Wróciłam do rezydencji... Alis mi powiedziała... Opowiedziała mi o klątwie... Nie mogłam pozwolić Amarancie...

– Nie powinnaś była tu przybywać – przerwał mi ostrym tonem. – Nie miałaś tu nigdy trafić. Czy ty nie rozumiesz, co on poświęcił, odsyłając cię wtedy do rodziny? Jak mogłaś postąpić tak głupio?

– Cóż, jestem tutaj! – powiedziałam głośniejszym głosem, niż powinienam. – I nic z tym się już nie da zrobić. Lepiej więc odpuść sobie kazanie o słabych człeczninach i głupocie! Wszystko doskonale rozumiem i... – Miałam ochotę ukryć twarz w dłoniach, ale zbyt mnie bolała. – Ja tylko... Musiałam mu powiedzieć, że go kocham. Musiałam się przekonać, czy nie jest jeszcze za późno.

Lucien przysiadł na piętach.

– Zatem wiesz o wszystkim. – Udało mi się kiwnąć głową i nie stracić przytomności z bólu. Musiałam wyglądać równie źle, jak się czułam, ponieważ Lucien skrzywił się na ten widok. – Cóż przynajmniej nie musimy cię już okłamywać. Chodź, spróbuję cię doprowadzić do jako takiego porządku.

– Chyba mam złamany nos, ale nic więcej – powiedziałam i poszukałam wzrokiem u Luciena wody czy bandaży. Bez powodzenia. Zatem będzie używał magii.

Posel Tamlina obejrzał się przez ramię na drzwi.

– Strażnicy są pijani, ale wkrótce zostaną zlurowani przez nowych – powiedział i przyjrzał się uważnie mojemu nosowi. Zebrałam się w sobie i pozwoliłam mu delikatnie go dotknąć. Nawet lekkie muśnięcie wywołało jasne rozbłyski bólu pod powiekami. – Zanim cię ulecę, będę musiał go najpierw nastawić.

Zdusiłam budzącą się dziką panikę.

– Zrób to. Teraz. – Zanim przegram walkę z moim tchórzostwem i powiem mu, żeby to sobie odpuścił. Zawahał się. – Teraz! – wysapałam.

Jego dłoń poruszyła się zbyt szybko, abym zdołała to zarejestrować. Zanim się obejrzałam, jego palce były już zacisnięte na moim nosie. Nagły rozbłysk bólu przeszył całe moje ciało, a w głowie zadudnił donośny chrzęst. Chwilę potem straciłam przytomność. Gdy ocknęłam się z powrotem, mogłam normalnie otworzyć oboje oczy, a nos miałam czysty i nieopuchnięty. Zniknął też pulsujący ból twarzy. Lucien siedział obok w kucki i marszczył brwi.

– Nie mogłam uleczyć cię całkowicie, gdyż inaczej by się zorientowali, że ktoś ci pomógł. Masz kilka siniaków, w tym paskudny siniec pod jednym okiem, ale... Przynajmniej

opuchlizna zesła.

– A mój nos? – zapytałam, dotykając czubka, zanim Lucien zdążył odpowiedzieć.

– Naprawiony. Jest równie zadarty i śliczny jak wcześniej. – Uśmiechnął się półgębkiem.

Na widok tego jakże znajomego grymasu poczułam bolesny ucisk w piersi.

– Sądziłam, że odebrała ci większą część twojej mocy – zdołałam wydusić. Na ziemiach Tamlina praktycznie w ogóle nie widziałam, aby używał magii.

Skinął głową w stronę małego światełka podskakującego lekko nad jego ramieniem.

– Oddała mi trochę. Miało to zachęcić Tama do przystania na jej propozycję. Ale on i tak odmówił. – Wskazał brodą moją twarz. – Wiedziałem, że tkwienie tu na dole zda się w końcu na coś dobrego.

– Zatem ty też jesteś tu uwięziony?

Skinął głową z ponurą miną.

– Teraz wezwała do siebie wszystkich książąt. Nawet tych, którzy wcześniej przysięgli jej posłuszeństwo. Żadnemu nie wolno opuścić pałacu pod Górą, dopóki... Dopóki twoje próby nie dobiegną końca.

Zakładałam, że chciał powiedzieć: „Dopóki nie zginiesz”.

– Ten pierścień. Czy... czy to rzeczywiście oko Juriana? – zapytałam.

Lucien się wzdrygnął.

– Tak. Zatem naprawdę wiesz o wszystkim?

– Alis nie powiedziała mi, co się stało, gdy Jurian i Amarantha w końcu stanęli naprzeciw siebie.

– Obrócili w perzynę całe pole bitwy. Wykorzystywali swoich żołnierzy jako żywe tarcze, aż oboje stracili prawie całe siły. Jurian otrzymał pewną ochronę przed jej mocami, ale kiedy starli się ze sobą... Obalenie go na ziemię nie zajęło jej zbyt wiele czasu. Pokonanego zawlekła do swojego obozu i torturowała go przez całe tygodnie – *tygodnie* – zanim go w końcu zabiła. Odmówiła pójścia z pomocą królowi Hybernii, który z tego powodu stracił całą armię i przegrał wojnę. Odmawiała zrobienia czegokolwiek, dopóki nie skończyła z Jurianem. Zachowała jedynie kość z jakiegoś palca i jedno oko. Clythia przyrzekła mu, że nigdy nie umrze. Zatem dopóki Amarantha trzyma to oko zakonserwowane dzięki swojej magii, dopóki więzi w ten sposób jego duszę i jaźń, nie może odejść. Pozostaje przymusowym biernym obserwatorem wszystkiego, co Amarantha czyni. Kara jest adekwatna do tego, co zrobił, ale... – Lucien postukał się w metalowe oko. – Cieszę się, że mnie nie zgotowała tego samego losu. Zdaje się mieć jakąś obsesję na tym punkcie.

Zadrżałam. Myśliwy – była po prostu nieśmiertelnym okrutnym myśliwym, kolekcjonującym trofea po swoich ofiarach i podbojach, żeby móc się nimi później chwalić przez długie wieki. Wyobraziłam sobie wściekłość, rozpacz i przerażenie, jakie muszą być udziałem Juriana każdego dnia. I tak przez całą wieczność... Kara może i zasłużona, ale i tak niewyobrażalnie okrutna. Otrząsnęłam się z tych myśli.

– Czy Tamlin...

– On... – Lucien zerwał się na nogi na dźwięk zbyt cichy, żeby moje ludzkie uszy zdołały go wychwycić. – Strażnicy z kolejnej zmiany już tu idą. Postaraj się nie umrzeć, co? Mam już bardzo długą listę fae, których chcę zabić, i wolałbym nie dokładać do niej kolejnych, choćby i tylko ze względu na Tamlina.

Dlatego też bez wątpienia przyszedł do mojej celi – z troski o swojego księcia.

Lucien zniknął, po prostu rozwiął się w półmroku. Chwilę później w judaszu drzwi pojawiło się żółtawe oko z czerwonymi plamami. Przez chwilę na mnie spoglądało, po czym zniknęło. Ciężkie kroki się oddaliły.

\*\*\*

Na przemian traciłam przytomność i budziłam się przez godziny, może dni. Trzy razy w nieregularnych odstępach dostałam czerstwy chleb i wodę. Gdy drzwi mojej celi stanęły otworem, nie miałam już na nic siły. Ssący ból przestał już mi dokuczać. Nie próbowałam się opierać, gdy dwa przysadziste stwory o czerwonej skórze zawlekły mnie do sali tronowej. Starłam się zapamiętać drogę, odnotowując charakterystyczne elementy korytarza – dziwne pęknięcia w ścianie, sceny przedstawione na gobelinach, specyficzne zakręty – słowem wszystko, co mogłoby mi kiedyś pomóc wydostać się z lochów.

Tym razem przyjrzałam się lepiej sali tronowej Amaranthy i zapamiętałam liczbę oraz rozkład wyjść. Nie zauważyłam żadnych okien, co było w zasadzie oczywiste, skoro znajdowaliśmy się głęboko pod ziemią. Góra, którą zapamiętałam z fresku w rezydencji Tamlina, znajdowała się w samym sercu Prythianu – daleko od Dworu Wiosny i jeszcze dalej od muru oddzielającego nieśmiertelne krainy od ziem zamieszkałych przez ludzi. Gdybym zdołała uciec z Tamlinem, powinniśmy się kierować do jaskini, przez którą się tu dostałam.

Pod ścianą przeciwną do wejścia, którym mnie wprowadzono, stał tłum fae. Nad ich głowami górował wysoki łuk jakiegoś przejścia. Starłam się nie patrzeć na gnijące ciało Klary, gdy pod nim przechodziłam. Zamiast tego przyglądałam się uważnie zebrany. Wszyscy mieli na sobie bogate, kolorowe szaty. Wszyscy wyglądali na zadbanych i dobrze odżywionych. Tu i ówdzie wśród tłumu dostrzegałam istoty z twarzami przesłoniętymi maskami. Jeśli miałam jakiegokolwiek szansę na znalezienie tu sprzymierzeńców, byli to właśnie oni.

Spróbowałam wypatrzeć w tłumie Luciena, ale nigdzie go nie dostrzegłam. Gdy dotarłam przed podest z tronami, strażnicy rzucili mnie na podłogę. Amarantha miała na sobie suknię wyszywaną rubinami, która podkreślała barwę jej włosów i warg, rozchylających się w wężowym uśmiechu, gdy tylko na nią spojrzałam.

Królowa fae cmoknęła głośno.

– Wyglądasz przyjemnie okropnie. – Obróciła się do Tamlina siedzącego przy niej z nieobecny wyrazem twarzy. – Czy nie sądzisz, że nieco straciła na uroku?

Nie odpowiedział. Nawet na mnie nie spojrział.

– Wiesz – ciągnęła Amarantha, wspierając głowę na łokciu – ostatniej nocy nie mogłam zasnąć i dopiero rano zrozumiałam dlaczego. – Zlustrowała mnie od stóp do głów. – Nie znam twojego imienia. A skoro mamy być tak bliskimi przyjaciółkami przez najbliższe trzy miesiące, powinnam je znać, przyznasz mi chyba rację?

W ostatniej chwili powstrzymałam się od przytaknięcia. Było w niej coś urokliwego i zachęcającego. Coś, dzięki czemu zaczynałam rozumieć, dlaczego księżęta Prythianu dali jej się omamić i uwierzyli w jej kłamstwa. Nienawidziłam jej za to.

Kiedy zawzięcie milczałam, Amarantha zmarszczyła brwi.

– No dalej, zwierzątko. Ty znasz moje imię, chyba będzie uczciwie, jeśli ja poznam twoje? – Kątem oka wychwyciłam jakiś ruch po mojej prawej stronie. Spojrzałam w tamtą stronę i zeszywniałam, gdy attor przeszedł przez rozstępujący się przed nim tłum, szczerząc do mnie liczne rzędy zębów. – W końcu – Amarantha skinęła dłonią w stronę ściany za moimi plecami; światło kandelabrow załśniło na kryształach więzającym oko Juriana – wiesz już, jakie są konsekwencje podawania fałszywych imion.

Czarna chmura owiała mi myśli, gdy wspominałam ciało Klary przybite wysoko nad podłogą. Mimo wszystko byłam zdeterminowana dalej milczeć.

– Rhysandzie – powiedziała Amarantha. Nie musiała podnosić głosu, aby księżę się zjawił. Serce zamarło mi w piersi, gdy usłyszałam za plecami zbliżające się niedbałe, lekkie

kroki. Ustały dopiero obok mnie – jak na mój gust o wiele za blisko.

Przyjrzałam się kątem oka księciu Dworu Nocy, kiedy ten kłaniał się w pas królowej. Pasma nocy zdawały się wyrastać z niego i spowijały go niczym ledwo widoczna peleryna.

Amarantha uniosła brwi.

– Czy to tę dziewczynę widziałeś w rezydencji Tamlina?

Rhysand strzepnął z rękawa tuniki niewidzialny pyłek i mi się przyjrzał. Z jego fioletowych oczu emanowały znudzenie i pogarda.

– Chyba tak.

– Ale czy nie mówiłeś mi, że to *tamta* dziewczyna – powiedziała Amarantha ostrym tonem, wskazując ciało Klary – była tą, którą wtedy widziałeś?

Rhysand wsunął dłonie do kieszeni.

– W moich oczach wszyscy ludzie wyglądają podobnie.

Amarantha posłała mu uśmiech słodki jak lep na muchy.

– A fae?

Księżę skłonił się ponownie ruchem tak płynnym, że wyglądał, jakby tańczył.

– W morzu prozaicznych twarzy twoja jest dziełem sztuki.

Gdybym nie manewrowała na linii między życiem a śmiercią, zapewne parsknęłabym śmiechem.

„Wszyscy ludzie wyglądają podobnie”. Nawet przez chwilę mu nie wierzyłam. Rhysand doskonale zapamiętał mój wygląd – wszak przyjrzał mi się doskonale tamtego dnia na Dworze Wiosny. Gdy Amarantha skupiła swoją uwagę z powrotem na mnie, przybrałam kamienną twarz.

– Jak ona ma na imię? – zażądała głosem niecierpiącym sprzeciwu.

– Skąd mam to wiedzieć? W końcu mnie okłamała. – Albo traktował droczenie się z Amaranthą jak rodzaj zabawy, coś równie dowcipnego jak pozostawienie w ogrodzie Tamlina odciętej głowy fae, albo... Albo knuł jakąś intrygę.

Przygotowałam się psychicznie na dotyk jego niewidzialnych pazurów na moich myślach i na rozkaz, który niechybnie miał zaraz paść z ust królowej.

Niemniej jednak dalej milczałam jak zaklęta. Modliłam się w duchu, żeby Nesta zdążyła wynająć tych zwiadowców i strażników; żeby zdołała przekonać ojca, że te środki ostrożności są konieczne.

– Jeśli tak bardzo chcesz bawić się w podchody, moja mała, sądzę, że wszyscy możemy się przy tej okazji rozerwać – stwierdziła Amarantha.

Pstryknęła palcami na attora, który sięgnął w tłum fae i kogoś chwycił. Pojawiła się burza rudych włosów i aż podskoczyłam, gdy stwór wyciągnął Luciena za kołnierz jego zielonej tuniki. Nie. Nie on!

Trzymany rzucił się, starając się wyswobodzić z chwytu attora, ale nie mógł nic wskórać przeciwko ostrym jak igły pazurom stwora, który po chwili szamotaniny zmusił posła Dworu Wiosny do ukłęknięcia. Attor uśmiechnął się i rozluźnił chwyt, ale pozostał blisko.

Amarantha kiwnęła palcem na Rhysanda. Księżę Dworu Nocy uniósł starannie przystrzyżoną brew.

– Chwyć go za umysł – rozkazała królowa.

Strach ścisnął mi serce, a Lucien zeszytniał. Pot wystąpił na kark posła, gdy Rhysand skinął głową Amaranthie i odwrócił się do niego.

Za jego plecami przez tłum przeciskało się czterech wysokich, rudowłosych fae wysokiego rodu. Wszyscy doskonale umięśnieni, część o posturze wojowników gotujących się do bitwy, część o wyglądzie dystyngowanych dworzan. Wszyscy spoglądali na Luciena z triumfalnymi uśmiechami. Musiała to być czwórka pozostałych synów księcia Dworu Jesieni.

– Jej imię, pośle? – zażądała Amarantha. Lucien tylko spojrział na Tamlina, po czym zamknął oczy i naprężył ramiona.

Rhysand uśmiechnął się blado. Wzdrygnęłam się na wspomnienie dotyku niewidzialnych pazurów na moich myślach. Jakże łatwo byłoby mu wtedy je zmiażdżyć...

Bracia Luciena stali na skraju ciżby czarodziejskich istot. Na ich pięknych twarzach próżno było szukać choćby śladu żalu czy strachu.

Amarantha westchnęła.

– Sądziłam, Lucienie, że zrozumiałeś swoją poprzednią lekcję. Tym razem twoje milczenie będzie kosztowało cię równie dużo, jeśli nie więcej, co wtedy niewyparzony język. – Lucien kurczowo zaciskał powieki. Przygotowywał się na wymazanie wszystkiego, czym był, na obrócenie umysłu i jaźni w pył.

– Jej imię? – zapytała Amarantha Tamlina, lecz on również zachował milczenie. Wpatrywał się w braci Luciena, jakby starał się ocenić, któremu z nich ta sytuacja sprawia najwięcej przyjemności. Królowa przesunęła paznokciem po poręczy swojego tronu. – Nie sądzę, żeby którykolwiek z twoich przystojnych braci je znał – rzuciła w stronę Luciena.

– Gdyby tak było, moja pani, dowiedziałabyś się w pierwszej kolejności – powiedział najwyższy.

Był szczupły, dobrze ubrany. Każdy cal świadczył o obyciu, jakie ten drań zdobył w świecie dworskich intryg. Zapewne był najstarszy spośród braci. Wskazywał na to sposób, w jaki spoglądali na niego pozostali, nawet ci wyglądający na urodzonych wojowników. Z ich oczu były szacunek, zimna kalkulacja i strach.

Amarantha posłała mu zamyślony uśmiech, po czym uniosła dłoń. Rhysand przekrzywił głowę, spojrział na Luciena i zmrużył nieco oczy.

Posel zesztywniał, po czym głośno jęknął i...

– Feyra! – krzyknęłam. – Nazywam się Feyra.

Dużym wysiłkiem woli powstrzymałam się od opadnięcia na kolana. Amarantha skinęła głową i Rhysand się cofnął. Nawet przez chwilę nie wyjął dłoni z kieszeni.

Musiała pozostawić mu wyraźnie więcej mocy niż innym, skoro wciąż potrafił dokonywać takich rzeczy. Albo też zanim padł ofiarą jej podstęp, dysponował... niewyobrażalną mocą, skoro obecnie zostały mu jej nędzne resztki.

Lucien opadł na posadzkę, dygocząc na całym ciele. Wszyscy jego bracia zmarszczyli brwi. Najstarszy nawet wyszczerzył zęby i warknął cicho. Zignorowałam go.

– Feyra – powiedziała Amarantha, jakby smakując moje imię. – Stare imię, z jednego z naszych wczesnych dialektów. Cóż, *Feyro* – powiedziała. Mało się nie rozplakałam z ulgi, gdy nie zapytała mnie o nazwisko. – Obiecałam ci zagadkę.

Powietrze wokół mnie jakby zgęstniało, a światło przygasło. Dlaczego Tamlin w żaden sposób nie reagował? Dlaczego nic nie mówił? Co Lucien chciał powiedzieć, zanim uciekł z mojej celi?

– Rozwiąż tę łamigłówkę, Feyro, a ty, twój książę i cały jego dwór będziecie mogli stąd od razu odejść. Z moim błogosławieństwem. Przekonajmy się, czy istotnie jesteś wystarczająco mądra, aby zasługiwać na jednego z nas. – Jej czarne oczy zaśniły. Oczyszczałam głowę z wszystkich myśli i starałam się jak najlepiej zapamiętać jej słowa.

*Niektórzy szukają mnie przez życie całe, lecz nigdy się nie spotykamy,*

*Pocałunek zaś ofiarowuję tym, którzy nie deptają mnie swymi stopami.*



*Niektórzy mówią, że łaskami swymi obdarzam mądrych i gładkich,*

*Lecz me błogosławieństwo jest dla tych, którym nie brak odwagi.*

*Zazwyczaj me działanie zdaje się wszystkim darem cudnym,*

*Lecz wzgardzona staje się potworem do pokonania trudnym*

*I chociaż każdy cios mój góry kruszyć by pozwolił,*

*Gdy zabijam, robię to bardzo powoli...*

Zamrugałam zdezorientowana. Amarantha powtórzyła zagadkę i na koniec uśmiechnęła się jak kot, który właśnie zjadł kanarka. W myślach miałam całkowitą pustkę, bezkształtną masę bezużyteczności. Czy chodziło o jakąś chorobę? Moja matka umarła na tyfus, a jej kuzyn zachorował na malarię podczas pobytu w Bharacie... Ale objawy tych chorób nie pasowały do treści zagadki. Może zatem chodziło o jakąś osobę?

Za moimi plecami rozległ się gremialny śmiech wszystkich zebranych. Najgłośniejszym śmiał się bracia Luciena. Rhysand tylko mi się przyglądał; spowity nocą, z zagadkowym uśmiechem na twarzy.

Rozwiązanie zagadki zdawało się na wyciągnięcie ręki – jedna odpowiedź, a wszyscy moglibyśmy być wolni. Powiedziała „natychmiast”, w przeciwieństwie do... Zaraz, czy warunki dotyczące prób różniły się od warunków związanych z zagadką? Podkreśliła słowo „natychmiast” tylko w odniesieniu do zagadki. Nie, nie mogłam teraz o tym myśleć. Musiałam rozwiązać tę łamigłówkę, a wszyscy będziemy wolni. *Wolni!*

Ale nic mi nie przychodziło do głowy. Żaden najprostszy nawet pomysł. Lepiej bym wyszła na poderżnięciu sobie gardła i zakończeniu w ten sposób swoich cierpień, zanim ona rozerwie mnie na strzępy – kawałek po kawałku. Byłam idiotką. Byłam zwykłą głupią „człeczyną”. Spojrzałam na Tamlina. Złote plamki w jego oczach zalśniły, ale wyraz twarzy nie uległ zmianie.

– Przemyśl to sobie – powiedziała pocieszającym tonem Amarantha i posłała przelotny szeroki uśmiech w stronę oka kręcącego się w kryształach jej pierścienia. – Gdy odgadniesz rozwiązanie, będę na ciebie czekała.

Kiedy mnie ciągnęli z powrotem do lochów, wpatrywałam się w Tamlina, aż straciłam go z oczu. W głowie nieodmiennie miałam tylko kłębiącą się pustkę.

Drzwi celi zatrzasnęły się za mną, a ja zrozumiałam, że przegram.

\*\*\*

Siedziałam w zamknięciu dwa dni, a przynajmniej wydawało mi się, że upłynęły dwa dni, zważywszy na podawane posiłki, w których częstotliwości zaczęłam dostrzegać pewien schemat.

Zjadałam najbardziej zdatne do spożycia kawałki na wpół spleśniałej stawy. Liczyłam na ponowną wizytę Luciena, ale na próżno. Nawet przez chwilę nie ośmieliłam się marzyć o tym, że pozwolą na odwiedziny Tamlinowi.

Praktycznie cały czas dumałam nad zagadką Amaranthy. Im dłużej o niej myślałam, tym mniej zdawała się mieć sensu. Rozważałam różne trucizny i jadowite zwierzęta. W efekcie robiło mi się coraz bardziej wstyd z powodu mojej głupoty. Nie wspominając już o niedającym mi spokoju przeczuciu, że ta zagadka może być pułapką, skoro tak mocno podkreśliła słowo „natychmiast”. Może chciała przez to powiedzieć, że w przypadku ukończenia wszystkich prób nie uwolni nas od razu? Że będzie z tym zwlekała tak długo, jak jej się tylko spodoba? Nie, nie, to tylko moja paranoja. Doszukiwałam się ukrytych znaczeń, których tam wcale nie było. Ale rozwiązanie zagadki mogło nas wszystkich uwolnić... natychmiast. Musiałam znaleźć odpowiedź.

Chociaż przysięgłam sobie nie rozmyślać zbyt wiele o czekających mnie zadaniach, nie wątpiłam w kreatywność Amaranthy. Często budziłam się z koszmarów cała zlane potem, z trudem łapiąc oddech. W niektórych z tych snów to ja byłam uwięziona w kryształowym pierścieniu, uciszona na wieki, zmuszona do obserwowania ich krwawego, okrutnego świata, odcięta od wszystkiego, co kiedykolwiek kochałam. Amarantha stwierdziła, że w przypadku porażki przy którejkolwiek z prób nie zostanie ze mnie wystarczająco wiele, aby mogła się ze mną „zabawić”. Modliłam się, żeby to była prawda. Lepiej zostać unicestwioną niż znosić los podobny do losu Juriana.

Mimo to, gdy drzwi mojej celi stanęły otworem, a czerwonoskórzy strażnicy oznajmili, że jest już pełnia, ogarnął mnie obezwładniający strach.

## Rozdział 36

W korytarzu dudniły echa okrzyków zebranego gdzieś w oddali tłumu. Strażnicy bezceremonialnie ciągnęli mnie za sobą. Fakt, że nie dobyli broni, najlepiej świadczył o tym, jak oceniali moje możliwości. Nawet nie założyli mi kajdan. Gdybym rzuciła się do ucieczki, ktoś lub coś z pewnością by mnie złapało i wypatroszyło, zanim zdołałabym przebyć kilka stóp.

Kakofonia rechotu, okrzyków i nieludzkiego wycia przybrała na sile, gdy dotarliśmy do swego rodzaju olbrzymiej areny. Oświetlona pochodniami jaskinia nie została w żaden sposób udekorowana. Nie potrafiłam też ocenić, czy była dziełem natury, czy też wykuto ją w skale. Dno było błotniste i bardzo śliskie, tak że musiałam bardzo uważać, żeby się nie przewrócić.

Najgorszy jednak był nieprzebrany, rozszalały tłum wpatrujący się we mnie. Nie potrafiłam rozróżnić poszczególnych okrzyków, ale domyślałam się, co mogą wołać. Okrutne grymasy nieludzkich twarzy i szerokie szydercze uśmiechy mówiły same za siebie. Ciżba składała się nie tylko z pomniejszych czarodziejskich istot, ale też z fae wysokiego rodu. Ekscytacja na twarzach tych ostatnich czyniła ich oblicza niemal równie bestialskimi, jak u ich mniej szlachetnych pobratymców.

Zostałam zaciągnięta pod drewniany podest ustawiony przed zebraniem tłumem. Na nim ustawiono trony dla Amaranthy i Tamlina, a przed nim...

Staralam się nie dać po sobie poznać przerażenia, gdy przyglądałam się wyrytemu w dnie jaskini labiryntowi tuneli i wąwozów. Tłum stał na szczytach wzniesień i wzdłuż krawędzi rowów, zasłaniając to, co znajdowało się dalej. Strażnicy zmusili mnie do ukłęknięcia przed Amaranthą. Na wpół zamrożone błoto przyklejało się do moich spodni.

Wstałam na trzęsących się nogach. Wokół podestu, w pewnym oddaleniu od tłumu, stało sześciu mężczyzn. Po ich poważnych, pięknych twarzach, po śladzie wciąż drzemiących w nich resztek potężnej niegdyś mocy rozpoznałam w nich pozostałych książąt Prythianu. Gdy spojrzałam na Rhysanda spowitego aurą ciemności, uśmiechnął się nieprzyjemnie. Błyskawicznie odwróciłam wzrok.

Amarantha uniosła dłoń i tłum momentalnie ucichł. W jaskini zapadła taka cisza, że niemal słyszałam bicie własnego serca.

– Cóż, Feyro – przemówiła. Staralam się nie patrzeć na jej dłoń opartą na kolanie Tamlina w geście równie wulgarnym co pierścień na jej palcu. – Oto twoje pierwsze zadanie. Zobaczmy, jak głębokie jest to ludzkie uczucie.

Zazgrzytałam zębami, niemal je na nią szczerząc. Tamlin cały czas zachowywał kamienną twarz.

– Pozwoliłam sobie dowiedzieć się co nieco o tobie – ciągnęła Amarantha, cedząc powoli słowa. – Tylko tak byłoby uczciwie, przyznasz sama.

Cały mój instykt, każda ludzka cząstka mnie krzyczały, żebym uciekała. Stanęłam pewniej na podłożu i usztywniłam kolana, żeby nie upaść w błoto.

– Sądzę, że spodoba ci się to zadanie – dodała. Machnęła ręką, a attor wysunął się przed tłum i zaczął go rozdzielać, torując drogę do skraj najbliższego wąwozu. – Proszę. Zobacz sama.

Zrobiłam, jak powiedziała. Rowy były głębokie na jakieś dwadzieścia stóp, całe wypełnione śliskim błotem. Po bliższym przyjrzeniu się uznałam, że zostały wręcz w nim wykopane. Starając się zachować równowagę, spojrzałam dalej. Wąwozy tworzyły istny labirynt na całym dnie jaskini. Ich układ zdawał się nie mieć większego sensu. Wszędzie pełno było dziur i jam, które bez wątpienia prowadziły do podziemnych tuneli. Poza tym...

Ktoś mnie popchnął i z głośnym krzykiem poleciałam do przodu. Nie zdążyłam jednak spaść do rowu, gdy czyjeś kościste dłonie chwyciły mnie mocno i uniosły wysoko w powietrze. Gromki śmiech zebranego tłumu odbił się echem od ścian i sufitu, a ja dyndałam w pazurach attora, który z głuchym hukiem bił skrzydłami, lecąc nad areną. W pewnym momencie zniżył lot i upuścił mnie na dno jednego z rowów.

Błoto głośno mlasnęło. Poślizgnęłam się i zamachałam ramionami, usiłując zachować równowagę. Moje wysiłki zostały skwitowane kolejnymi salwami śmiechu, chociaż udało mi się ustać na nogach.

Błoto cuchnęło okropnie, ale przełknęłam ślinę i zwalczyłam nudności. Odwróciłam się. Podest z tronem Amaranthy właśnie podlatywał do skraju wąwozu. Królowa spojrzała na mnie z góry i uśmiechnęła się jadowniczo.

– Rhysand powiedział mi, że dobrze sobie radzisz na polowaniach – powiedziała. Serce zabiło mi mocniej.

Musiał znowu czytać w moich myślach, albo... Albo może odszukał moją rodzinę i...

Amarantha wyciągnęła w moją stronę dłoń i pstryknęła palcami.

– Zapoluj zatem na to.

Zebrana gawiedź wzniosła radosny okrzyk. Coś zabłysło w tłumie, coś przekazywanego z jednej barwnej, wychudzonej dłoni do drugiej. Robili zakłady o to, czy mi się uda. Czy może raczej jak długo zdolam przeżyć.

Przeniosłam spojrzenie na Tamlina. Jego szmaragdowe oczy pozostały nieruchome. Utrwaliłam w pamięci rysy jego twarzy, kształt maski, odcień włosów... Mogłam je oglądać już ostatni raz.

– Wypuście go! – rozkazała Amarantha. Przeszył mnie silny dreszcz, gdy gdzieś w oddali zajęczała unoszona żelazna krata. Chwilę potem jaskinię wypełnił odgłos czegoś ślizgającego się szybko w błocie.

Skuliłam ramiona. Wrzawa przycichła do lekkiego pomruku, na tyle cichego, abym mogła usłyszeć gardłowe bulgotanie pędzącego w moją stronę stwora, czemu towarzyszyło drżenie podłoża i wszystkiego wokół.

Amarantha cmoknęła głośno. Uniosłam na nią wzrok.

– Biegnij – powiedziała teatralnym szeptem, unosząc wysoko brwi.

Wtedy go zobaczyłam.

Zaczęłam biec.

To był olbrzymi czerw lub może kiedyś był czerwem, zanim jego przedni koniec nie zmienił się w olbrzymią paszczę wypełnioną niezliczonymi kolistymi rzędami niesamowicie ostrych zębów. Stwór pędził w moją stronę, wyginając swoje różowawo-brązowe ciało z zatrważającą łatwością. Te rowy i tunele były jego żerowiskiem.

A ja miałam być kolacją.

Ślizgając się po śmierdzącej mazi, pobiegłam w przeciwnym kierunku, panicznie usiłując sobie przypomnieć układ tego labiryntu. Nie chciałam wbiec w ślepy zaułek, w którym z pewnością...

Tłum zaryczał triumfalnie, zagłuszając mlaskanie błota i huk pędzącego czerwia. Jednak nie zdecydowałam się obejrzeć przez ramię, aby nie tracić cennych sekund. Coraz silniejszy odór dobitnie wskazywał, że stwór był coraz bliżej mnie. Dotarłam do rozwidlenia wąwozu. Odetchnęłam z ulgą, gdyby nie szkoda mi było resztek tchu. Pobiegłam w lewo.

Musiałam zwiększyć odległość dzielącą mnie od goniącego mnie stwora. Musiałam znaleźć miejsce, gdzie mogłabym na chwilę przystanąć i opracować jakiś plan; gdzie mogłabym w jakiś sposób zyskać przewagę.

Na kolejnym rozwidleniu ponownie wybrałam lewą odnogę. Może jeśli będę ciągle skręcała w lewo, w końcu zatoczę krąg i znajdę się za tym stworem, a wtedy...

Nie, to było nierealne. Musiałabym być trzykrotnie szybsza od czerwia, a przecież ledwo utrzymywałam stały dystans. Ponownie skręciłam w lewo i wpadłam w śliską, grząską ścianę wąwozu. Zimne cuchnące błoto oblepiło mnie całą. Otarłam twarz, aby cokolwiek widzieć. Rzuciłam okiem w górę; znad krawędzi rowu wyglądały śmiejące się szydyczko fae. Pobiegłam dalej ile sił w nogach.

Wybiegłam na długi, w miarę płaski fragment labiryntu i wyteżyłam wszystkie siły, aby przyspieszyć bieg. Zaryzykowałam rzut oka przez ramię; serce podeszło mi do gardła, gdy czerw wypadł zza zakrętu, wciąż niebezpiecznie blisko mnie.

Nieomal przegapiłam wąski przesmyk w bocznej ścianie wądołu. Straciłam kilka cennych sekund na gwałtowne hamowanie i cofnięcie się do szczeliny. Była zdecydowanie zbyt mała dla czerwia, aczkolwiek stwór zapewne zdoła przebić się przez ścianę błota. A nawet jeśli nie, to z czasem przegryzie się na wylot. Tak czy owak warto było zaryzykować.

Gdy zaczęłam się przeciskać na drugą stronę, coś pociągnęło mnie do tyłu. Ściana nie dawała mi przejść! Szczelina okazała się zbyt wąska... Wpadłam w nią siłą rozpędu, ale utknęłam w połowie drogi. Czerw znajdował się za moimi plecami, a ja nie byłam w stanie się obrócić. Nie musiałam go jednak widzieć, żeby się zorientować, że jest coraz bliżej. Fetor stawał się coraz silniejszy.

Machałam rękami, próbowałam się złapać błotnistej ściany, jakoś przepchnąć, ale tylko ślizgałam się rozpaczliwie.

Ziemia wokół mnie wibrowała, wprawiana w drżenie ruchami potężnego cielska czerwia. Niemal czułam na sobie jego cuchnący oddech, niemal słyszałam zęby kłapiące w powietrzu. Bliżej, coraz bliżej. Nie w ten sposób. Mój koniec nie mógł nastąpić w ten sposób.

Darłam błoto palcami, wiłam się, szukałam jakiegokolwiek oparcia. Z każdym uderzeniem serca potwór zbliżał się coraz bardziej. Smród stał się już tak silny, że prawie odbierał zmysły.

Rwałałam błoto, wykręcałam tułów, kopałam, pchałam i lkałam przez zaciśnięte zęby. „Nie w ten sposób”.

Ziemia zadrżała. W plecy trafiła mnie fala gorącego powietrza, niosąc ze sobą straszny fetor. Zęby czerwia zazgrzytały o siebie.

Wbiłam palce mocniej w ścianę i ciągnęłam, i ciągnęłam. Wtem usłyszałam głośnie mlaśnięcie i nacisk w okolicach bioder zelżał. Przeleciałam na drugą stronę szczeliny i wylądowałam na dnie sąsiedniego wąwozu, rozbryzgując naokoło błoto.

Tłum westchnął. Nie miałam czasu uronić choć jednej łzy ulgi. Pobiegłam głębiej w labirynt. Po coraz cichszych rykach zorientowałam się, że potwór sunie sąsiednim wądołem w przeciwnym kierunku.

To nie miało sensu – w przejściu nie było się gdzie ukryć, musiał mnie widzieć. Chyba że nie potrafił przebić się przez ścianę i posuwał się teraz drogą okrężną. Prędzej czy później mnie dogoni.

Biegłam ile sił w nogach, chociaż z tego powodu wytracałam pęd za każdym razem, gdy na ostrych zakrętach wpadałam na błotnistą ścianę. Czerw też musiał zwalniać na takich zakrętach. W końcu tak wielkie stworzenie, jakkolwiek by było zwinne, nie mogło skręcać w pełnej prędkości.

Zaryzykowałam zerknięcie na zebrany tłum. Na widniejących nad krawędzią rowu twarzach malowało się wyraźne rozczarowanie. Nikt na mnie nie patrzył, oczy wszystkich były zwrócone w stronę drugiego końca jaskini. Tam musiał się w tej chwili znajdować czerw; tam

kończył się ten wąwóz. Nie widział, gdzie pobiegłam. Nie widział mnie.

Był ślepy.

Byłam tak zaskoczona, że nie zauważyłam olbrzymiej jamy, która nagle otworzyła się przede mną za niewielkim wzniesieniem. Zdołałam jedynie powstrzymać krzyk, gdy wpadłam do środka. Przez chwilę tylko leciałam w powietrzu, aż...

Wbiłam się po kostki w dno jamy; zebrani fae krzyknęli. Błoto złagodziło upadek, ale zęby i tak zadzwoniły mi od uderzenia. Szczęśliwie nic nie zламаłam ani nie zwichnęłam.

Gawiedź nad moją głową starała się zajrzeć do dołu. Obróciłam się dokoła, szybko lustrując otoczenie w poszukiwaniu najszybszej drogi z powrotem na górę. W jamie znajdowało się wejście do niewielkiego, ciemnego tunelu. Nie widziałam żadnej możliwości wspięcia się na górę – spadek był zbyt stromy.

Znalazłam się w potrzasku. Z trudem łapiąc oddech, przeszłam kilka kroków po omacku, zagłębiając się w tunel. Gdy coś pękło z chrzęstem pod moją stopą, przygryzłam wargę, aby nie krzyknąć. Upadłam do tyłu i stłukłam sobie boleśnie kość ogonową. Cofałam się rozpaczliwie, gdy moja dłoń natrafiła na coś gładkiego i twardego. Uniosłam znalezisko do oczu. Zaśniło bielą.

Chociaż całe dłonie miałam pokryte błotem, błyskawicznie rozpoznałam aż nazbyt dobrze znaną fakturę. To była kość.

Przekreśliłam się na czworaki i podążyłam głębiej w ciemność. Kości, kości, wszędzie mnóstwo kości każdego kształtu i wszelkich rozmiarów. Zduśiłam okrzyk odrazy, gdy w końcu dotarło do mnie, gdzie się znalazłam. Gdy natrafiłam dłonią na gładką wypukłość czaszki, zerwałam się na równe nogi.

Musiałam się stąd wydostać. I to jak najszybciej.

– Feyro! – Wołanie Amaranthy było stłumione odległością. – Pozbawiasz wszystkich zabawy! – Mówiła z takim wyrzutem, jakbym celowo psuła zagrania podczas gry w wolanta. – Wychodź!

Nie chciałam jej jeszcze dać tej satysfakcji. A ona niechcący przekazała mi bardzo ważną informację. Czerw nie wiedział, gdzie jestem, nie mógł mnie wywęszyć. Zyskałam cenny czas, żeby się stąd wydostać.

Gdy wzrok przyzwyczyił mi się do ciemności panującej w leżu stwora, zobaczyłam niezliczone kupy kości ciągnące się niemal w nieskończoność w atramentową ciemność panującą w głębi jamy. Kredowe zabarwienie błota musiało pochodzić właśnie od nich, stopniowo rozsypujących się przez lata. Musiałam się stąd wydostać i znaleźć kryjówkę, która nie byłaby jednocześnie pułapką bez wyjścia. Wyszłam chwiejnie z powrotem tą samą drogą, z każdym krokiem krusząc kości.

Gdy znalazłam się na powrót w jamie, chwyciłam się jednej ze stromych ścian. Kilku fae o zielonych twarzach cisnęło w moją stronę stekiem przekleństw. Zignorowałam je i skoncentrowałam się na próbie wspięcia się po ścianie. Udało mi się pokonać może cal, kiedy osunęłam się ponownie na dno. Bez liny czy drabiny nie miałam szans na wydostanie się stąd, a zapuszczenie się głębiej w legowisko czerwia w poszukiwaniu drugiego wyjścia nie wchodziło w rachubę. Drugie wyjście musiało gdzieś być, w końcu każde zwierzę robi w swoim leżu co najmniej dwa, ale nie chciałam ryzykować błędzenia po omacku w atramentowym mroku. Wzrok był w tej chwili moją jedyną przewagą, nie mogłam się go pozbawiać.

Musiałam jakoś dostać się na górę. Ponownie spróbowałam się wspiąć na ścianę. Fae wciąż mamrotali pod nosami z niezadowoleniem, co dobrze mi wróżyło. Dopóki byli zawiedzeni rozwojem wypadków, byłam względnie bezpieczna. Jeszcze raz chwyciłam się błotnistej ściany i wbiłam palce głęboko w poszukiwaniu jakiegokolwiek uchwytu. Zyskałam tylko więcej

lodowatego błota pod paznokciami i znów wylądowałam z płaskiem na dnie jamy.

Smród dobiegający z leża wdzierał się każdym poram mojego ciała. Przełknęłam ślinę, aby opanować nudności, i spróbowałam się wspiąć jeszcze raz. I jeszcze raz. Zebrani fae zaczęli się ze mnie śmiać.

– Jak mysz w pułapce – powiedział jeden z obserwatorów.

– Rzucić ci stołek? – dodał inny.

Stołek. Punkt oparcia.

Obróciłam się w stronę zalegających na dnie jamy kości i pchnęłam mocno ścianę. Ziemia pod wierzchnią warstwą błota zdawała się być dość zwarta. Cały ten labirynt powstał z ubitego błota. Jeśli ten stwór choć trochę przypominał swoich mniejszych, niegroźnych krewnych, mogłam założyć, że ten fetor – a zatem także samo błoto – to ekskrementy wydalone po dokładnym oczyszczeniu kości i przetrawieniu posiłku.

Odepchnęłam odrażającą konstatację, czym właśnie byłam cała pokryta, i skupiłam się na słabej iskieierce nadziei. Wzięłam dwie najgrubsze kości, jakie zdołałam w pośpiechu znaleźć. Obie były dłuższe od moich nóg i ciężkie, bardzo ciężkie. Niemniej jednak zdołałam wbić je w ścianę. Nie wiedziałam, co zwykle zjadał ten potwór, ale musiało to być co najmniej wielkości krowy.

– Co to robi? Co to planuje? – zasyczał jeden z fae.

Chwyciłam trzecią kość i wbiłam w błoto tak głęboko i tak wysoko, jak tylko zdołałam. Na koniec wzięłam czwartą, mniejszą kość i wetknęłam za pas, mocując ją na plecach. Szarpnęłam na próbę trzy kości wbite w ścianę jamy, wzięłam głęboki oddech, odciąłam się od skrzeczących głosów czarodziejskich istot nade mną i rozpoczęłam wspinaczkę po mojej improwizowanej drabinie. Nie masz stołka? To go sobie zrób.

Pierwsza kość ani drgnęła, gdy oparłam na niej cały swój ciężar. Chwyciłam drugą i z jękiem podciągnęłam się wyżej. Już opierałam się na niej stopą i przygotowywałam do dźwignięcia w górę, gdy nagle w głowie zaświtał mi pewien pomysł. Zastygłam.

Obserwujący moje starania fae ponownie zaczęli na mnie pokrzykiwać.

Ale to mogło zadziałać. Jeśli tylko właściwie to rozegram. Mogło zadziałać, ponieważ *musiało* zadziałać. Zeskoczyłam z powrotem na błotniste dno jamy. Czarodziejskie istoty nad moją głową mamrotały między sobą w zakłopotaniu. Wydobyłam kość z za pasa, wzięłam głęboki wdech i nagłym ruchem złamałam ją na pół o kolano.

Poczułam w nodze tępy ból, ale udało mi się. Teraz miałam dwa ostro zakończone szpikulce. Mój pomysł wypali.

Amarantha chciała, żebym zapolowała na czerwia? No to zapoluję.

Przeszłam na środek jamy, oceniłam odległość i wbiłam obie kości w podłoże. Następnie podeszłam do najbliższej kupy kości i szybko przetrząsnęłam ją w poszukiwaniu przydatnych egzemplarzy. Gdy oba kolana były już zbyt obolałe, aby łamać na nich kości, robiłam to stopą. Uzyskane ostre szpikulce wbijałam kolejno w błotniste dno jamy, aż całe – poza jednym niewielkim miejscem – było pokryte białymi kolcami.

Nie sprawdzałam, czy dobrze je wbiłam. Musiało mi się udać, albo moje kości dołączą do tych, które bieleją teraz wokół. Miałam tylko jedną szansę. Zawsze to lepiej niż nie mieć żadnej.

Skoczyłam do mojej „drabiny” i zaczęłam się wspinać, ignorując odłamki wbijające mi się w palce. Wspierałam się na trzeci „szczebel”, złapałam równowagę i wbiłam wyżej w ścianę czwartą kość.

Chwilę później stałam już obok jamy i niemal płakałam, mogąc odetchnąć względnie świeżym powietrzem.

Poprawiłam trzy kości, zatknięte za pas. Ich ciężar dodawał mi otuchy. Podeszłam do

najbliższej ściany, chwyciłam pełną garść cuchnącego błota i rozmasałam je sobie na twarzy. Zebrani fae zasycieli. Zebrałam więcej błota i rozsmarowałam je równomiernie po włosach. Kolejna garść powędrowała na szyję. Ponieważ zdążyłam się już przyzwyczaić do duszącego smrodu, łzy nie cisnęły mi się bardzo intensywnie do oczu, gdy stopniowo pokrywałam całe ciało ekskrementami czerwia. Na koniec nawet wytarzałam się na dnie wądołu. Każdy skrawek mojego ciała musiał być zakryty. Każdy cholerny skrawek.

Skoro stwór był ślepy, musiał polegać na węchu, w związku z czym moją największą słabością był zapach.

Nakładałam na siebie kolejne warstwy błota, aż zyskałam pewność, że widać spod niego tylko dwoje szaroniebieskich oczu. Dla pewności obrzuciłam się błotem jeszcze ostatni raz. Dłonie miałam tak śliskie, że ledwo dawałam radę utrzymać jedną z przełamanych na pół kości, którą dobytek zza pasa.

– Co to robi? – zajączał ponownie fae o zielonej twarzy.

Tym razem odpowiedział mu głęboki, dystyngowany głos:

– Zastawia pułapkę. – To był głos Rhysanda.

– Ale Middengard...

– Polega na zmyśle węchu – wyjaśnił Rhysand. Spojrzałam na niego gniewnie.

W odpowiedzi tylko się uśmiechnęła. – A Feyra właśnie stała się dla niego niewidzialna.

Jego fioletowe oczy zaśmiały. Wykonałam obsceniczny gest w jego stronę i ruszyłam biegiem w stronę czerwia.

\*\*\*

Umieściłam pozostałe kości przy wyjątkowo ostrych zakrętach, wiedząc aż nazbyt dobrze, że bez wspomaganie nie zdołam skręcać przy prędkości, z jaką miałam nadzieję biec. Znalezienie czerwia nie było trudne, gdyż tłum fae zebrał się nieopodal niego i zachęcał go do pogoni za mną. Musiałam jednak spotkać go we właściwym miejscu. To ja musiałam wybrać pole potyczki.

Gdy usłyszałam mlaskanie błota i trzeszczenie skóry na cielsku stwora, zwolniłam kroku i przywarłam plecami do ściany. Pojawił się jeszcze jeden odgłos. Jakby chrupanie.

Przyglądający się potworowi fae zachichotali. Było ich około dziesięciu, o bladoniebieskiej skórze i migdałowatych czarnych oczach. Zapewne znudzili się obserwowaniem moich poczynań i zepchnęli jakiegoś nieszczęśnika w dół, aby przyglądać się jego śmierci.

Nie miałam nic przeciwko, o ile czerw był wciąż głodny; o ile zareaguje na przynętę – mnie. Zebrany tłum mamrotał i pomrukiwał.

Wychyliłam się ostrożnie i spojrzałam za załom ściany. Pokrywające mnie błoto bardzo dobrze maskowało mój zapach. Stwór wykręcał swoje cielsko w górę, starając się dosięgnąć czegoś, czym wymachiwała jedna z czarodziejskich istot. Wyglądało to na czyjeś włochate ramię. Stwór kłapał zębami. Niebiescy fae zachichotali i rzucili służące im za przynętę ramię w wyczekującą paszczę potwora.

Cofnęłam głowę i uniosłam prowizoryczny kościany miecz. Odtworzyłam jeszcze raz w myślach drogę, jaką tu przebyłam, odliczyłam po kolei wszystkie skręty.

Mimo to serce i tak podeszło mi do gardła, gdy przeciągnęłam ostrym końcem kości w poprzek dłoni, przecinając skórę. Zaczęła płynąć krew – jasna i lśniąca niczym rubin. Odczekałam chwilę, po czym zacisnęłam dłoń w pięść. Czerw powinien wkrótce to poczuć.

Dopiero wtedy zorientowałam się, że tłum umilkł.

Niemal upuściłam kość, gdy wychyliłam się ponownie za zakręt, aby zobaczyć, co robi



czerw.

Ale go nie było.

Niebiescy fae szczyrzyli do mnie zęby.

Wtem cisza została przecięta tak, jak spadająca gwiazda przecina rozgwieżdżone niebo, głośnym krzykiem Luciena:

– Po lewej!

Rzuciłam się w bok. Zdołałam przebiec ledwie kilka stóp, gdy ściana, o którą przed chwilą się opierałam, rozpadła się w mgnieniu oka. Czerw wypadł z niej, rozbryzgując wszędzie błoto. Niezliczone ostre zęby minęły mnie ledwie o kilka cali.

Biegłam ile sił w nogach. Mknęłam tak szybko, że ściany błotnych wąwozów rozmyły się w jedną czerwonawobrazową smugę. Musiałam zwiększyć dzielący mnie od potwora dystans, gdyż w przeciwnym wypadku wpadnie prosto na mnie. Jednocześnie nie mogłam się zbyt od niego oddalić, aby cały czas powodował nim instynkt głodu, a nie chłodny plan działania.

Dotarłam do pierwszego ostrego zakrętu i chwyciłam mocno wbitą w ścianę kość, wykorzystując ją do nagłej zmiany kierunku biegu bez wytracania pędu i w ten sposób zyskując kilka sekund przewagi nad czerwem.

Skręt w lewo. Oddech palił mi gardło. Dotarłam do kolejnego ostrego zakrętu i ponownie wykorzystałam wbitą w ścianę kość do błyskawicznej zmiany kierunku.

Kolana i kostki coraz bardziej protestowały z powodu karkołomnej gonitwy po śliskim błocie i ciągłego balansowania w celu utrzymania równowagi. Jeszcze tylko jeden zakręt i potem ostatnia prosta...

Wykonałam ostatni ostry zwrot. Ryk obserwujących pogoń fae zmienił ton. Rozszalały czerw miotał się za moimi plecami, ja jednak nie straciłam panowania nad sobą i mknęłam przed siebie ostatnim wadołem.

Wlot jamy był coraz bliżej. Zmówiłam ostatnią modlitwę i skoczyłam.

Ciemność sięgała ku mnie, by mnie połknąć.

Zamachałam ramionami, aby skorygować tor lotu i wylądować w wybranym wcześniej miejscu. Silny ból przeszył mnie do szpiku kości i zadudnił w głowie, gdy uderzyłam z impetem w błotniste podłoże i przetoczyłam się do przodu. Uderzyłam w coś ramieniem i krzyknęłam głośno z bólu, gdy coś ostrego rozdarło mi skórę do żywego mięsa.

Nie miałam czasu o tym myśleć, nie zdążyłam nawet spojrzeć, na co wpadłam. Musiałam jak najszybciej uciekać w głąb leża czerwia, jak najdalej od wejścia. Gdy potwór wpadł z impetem do jamy, wydobyłam kolejną kość zza pasa i obróciłam się do niego.

Czerw uderzył potężnie w ziemię i rzucił się w bok, spodziewając się mnie w ten sposób zabić. Zamiast tego rozległ się głośny, mokry i chrzęszczący odgłos.

Potwór już się nie poruszył.

Siedziałam w kucki, połykając gorące powietrze i wpatrując się w otchłań paszczy pełnej zębów zdolnych w okamgnieniu rozerwać ciało, wciąż rozwartej, jakby gotowej w każdej chwili mnie pożreć. Dopiero po kilku uderzeniach serca dotarło do mnie, że czerw nie połknie mnie w całości. Po kilku kolejnych zrozumiałam, że naprawdę nadział się na wbite na sztorc ostre kości. Był martwy.

Nie rejestrowałam w pełni okrzyków zaskoczenia, a potem radości. Na wpół przytomna i praktycznie bez czucia, wyminęłam martwe cielsko i powoli wygramoliłam się z jamy, wciąż ściskając w ręce kość-miecz.

W milczeniu, nie mogąc złożyć jednej sensownej myśli, ciągle się potykając, wróciłam na początek labiryntu. Lewe ramię pulsowało mi z bólu, ale w całym ciele czułam tak silne mrowienie, że nie zwracałam na to uwagi.

Gdy dotarłam do miejsca, w którym zaczęło się całe to widowisko, i uniosłam wzrok na Amaranthę siedzącą wciąż na podeście na brzegu wąwozu, zacisnęłam wolną dłoń w pięść. Ona śmiała żądać ode mnie, abym dowiodła swojej miłości. Ostry ból przeszył mi rękę, ale zniosłam go. Wygrałam.

Spoglądałam na nią spod zmarszczonych brwi i mimowolnie wyszczerzyłam zęby we wściekłym grymasie. Usta miała mocno zaciśnięte. Jej dłoń nie spoczywała już na kolanie Tamlina.

Tamlin, *mój* Tamlin.

Ścisnęłam mocniej trzymaną kość. Dygotałam, cała się trzęsłam, ale nie ze strachu, o nie. Nie odczuwałam go ani krztyny. Dowiodłam swojej miłości – i zarazem czegoś więcej.

– Cóż – powiedziała Amarantha z lekkim, kpiącym uśmiechem. – Każdemu by się to udało.

Wzięłam kilka kroków rozbiegu i cisnęłam w nią kością ze wszystkich sił, jakie mi jeszcze pozostały.

Wbiła się w ziemię tuż przed podestem, chlapiąc błotem na jej białą suknię, zadrżała i znieruchomiała.

Zebrani fae wydali stłumiony okrzyk zdumienia. Amarantha spojrzała na tkwiącą w ziemi kość, po czym dotknęła plam na gorscie. Szyderczy uśmiech powoli wkradł się na jej usta.

– Nieładnie – powiedziała.

Gdyby nie dzieliła nas niesamowicie stroma ściana rowu, wyrwałabym jej w tej chwili gardło. Obiecałam sobie, że kiedyś – jeśli wyjdę z tego cało – obedrę ją żywcem ze skóry.

– Zapewne ucieszy cię informacja, że większość moich dworzan właśnie przegrała mnóstwo pieniędzy – dodała, unosząc w górę kartkę papieru. Gdy czytała zapiski, spojrzałam na Tamlina. Jego zielone oczy płonęły jasno i chociaż twarz miał śmiertelnie bladą, przysięgłabym, że w jego oczach tańczył cień triumfu. – Zobaczmy – odezwała się ponownie królowa, kontynuując przeglądanie dokumentu i jednocześnie bawiąc się zawieszoną na szyi kością Juriana. – Tak, wygląda na to, że prawie cały mój dwór obstawił twoją śmierć w pierwszej minucie zabawy. Niektórzy zaryzykowali stwierdzenie, że przeżyjesz ich aż pięć. – Obróciła kartkę na drugą stronę. – Tylko jedna osoba postawiła na twoją wygraną.

Uwłaczające, lecz niezaskakujące. Nie stawiałam oporu, gdy attor podniósł mnie z dna rowu i rzucił u stóp Amaranthy. Od upadku ból w ramieniu odezwał się z nową siłą.

Wciąż studiująca zapiski na trzymanym arkuszu królowa zmarszczyła brwi, po czym machnęła niedbale dłonią.

– Zabrać ją. Znudziła mnie jej pospolita twarz. – Odłożyła kartkę i zacisnęła dłonie na oparciach tronu aż do pobielenia kłykci. – Rhysand, do mnie.

Nie zdążyłam zobaczyć, jak książę Dworu Nocy podchodzi do królowej. Czerwone dłonie podniosły mnie z ziemi i ścisnęły mocno, abym się nie wyślizgnęła. Zdążyłam już zapomnieć, że błoto pokrywało mnie całą niczym druga skóra. Gdy mnie odciągali, ramię znów przeszył mi ostry ból, od którego pociemniało mi w oczach.

Spojrzałam zamglonym wzrokiem na źródło bólu. Żołądek podszedł mi do gardła. Krew sączyła się obficie z głębokiej rany o poszarpanych brzegach, z której wciąż wystawał odłamek kości przebijający mi rękę na wylot.

Nie mogłam nawet spojrzeć ostatni raz na Tamlina, nie mogłam odszukać wzrokiem Luciena, żeby mu podziękować. Ból stał się tak silny, że ledwo dawałam radę wlec się do celi.

## Rozdział 37

Przez wiele dni nikt mnie nie odwiedzał, nawet Lucien. Nikt nie przyszedł zająć się moją ręką. Ból był tak straszliwy, że krzyczałam za każdym razem, gdy wbita w ramię kość choć trochę się poruszyła. Nie miałam innego wyjścia, jak siedzieć w lochu i pozwolić ranie stopniowo pozbawiać mnie sił. Staralam się nie myśleć o ciągłym pulsowaniu, posyłającym iskry zatrutych błyskawic przesywających mnie nieustannie do szpiku kości.

Gorsza od bólu była jednak narastająca panika spowodowana ciągłym sączeniem się krwi. Wiedziałam, z czym się wiązało niezasklepienie rany. Co pewien czas przyglądałam się ręce. W nadziei, że krew w końcu zakrzepnie, a także z obawą, że dostrzegę pierwsze oznaki zakażenia.

Nie byłam w stanie przełknąć zgniłego jedzenia, jakie mi serwowali. Sam jego widok wywoływał tak silne nudności, że jeden z kątów mojej celi bez przerwy śmierdział wymiocinami. Z pewnością nie pomagało też to, że wciąż pokrywało mnie błoto, a w celi było nieodmiennie lodowato zimno.

Opierałam się plecami o ścianę naprzeciw drzwi, ciesząc się chłodem kamienia studzącego moje rozpalone ciało. Obudziłam się z niespokojnego snu z bardzo wysoką gorączką. Czułam się, jakby wewnątrz mnie płonął żywy ogień, a wszystko wokół było lekko rozmazane. Ranna ręka zwisała mi bezwładnie wzdłuż ciała, a ja wpatrywałam się otępiała w wejście do celi. Framuga zdawała się chwiać na boki, a deski lekko falowały.

Gorąco bijące od mojej skóry musiało być skutkiem przeziębienia, niegroźnej infekcji. To nie mogła być gorączka od zakażenia. Położyłam dłoń na piersi; zaschnięte błoto skruszyło się i opadło na nogi. Każdy oddech przypominał próbę połknięcia potłuczonego szkła. To nie mogło być zakażenie. To nie zakażenie. Nie zakażenie.

Powieki ciążyły mi ołowiem. Oczy szczypały. Nie mogłam sobie pozwolić na zaśnięcie, musiałam się upewnić, że w ranę nie wdało się zakażenie. Musiałam... mu...

Wtem drzwi naprawdę się poruszyły. Nie, nie drzwi, a raczej cienie wokół nich zafalowały. Nowy strach ścisnął mi żołądek, gdy ciemność przybrała kształt mężczyzny; tak jakby prześlizgnął się do środka szczeliną między drzwiami a framugą niczym duch.

Po chwili Rhysand stał się już całkowicie cielesny. Jego fioletowe oczy lśniły w półmroku. Stał pod drzwiami i uśmiechnął się leniwie.

– Cóż za żałosne położenie jak na obrończynię Tamlina.

„Szeźnij w piekle” – chciałam odparować, ale zdołałam z siebie wydobyć tylko cichy świst. Moja głowa sprawiała wrażenie jednocześnie lekkiej i ciężkiej. Gdybym spróbowała wstać, zapewne bym się przewróciła.

Podszedł do mnie z typową dla siebie kocią gracją i płynnie przykucnął. Pociągnął nosem i skrzywił się, zerkając w stronę kąta celi, w którym ciągle wymiotowałam. Spróbowałam podciągnąć nogi do pozycji, która umożliwiłaby mi odsunięcie się od niego lub kopnięcie go w twarz, ale stopy miałam jakby odlane z ołowiu.

Rhysand przechylił głowę. Jego blada skóra zdawała się lśnić alabastrowym światłem. Zamrugałam, próbując wyostrzyć wzrok. Gdy dotknął zimnymi palcami mojej skroni, nie znalazłam w sobie dość siły, aby choć odwrócić twarz.

– Cóż by powiedział Tamlin – wymruczał – gdyby się dowiedział, że jego ukochana gnije w lochach, z czołem rozpalonym gorączką? Oczywiście nie mógłby tu przyjść, w żadnym wypadku. Nie w sytuacji, gdy każdy jego krok jest obserwowany.

Staralam się usiąść tak, żeby moją ranną rękę skryć w cieniu. Nie chciałam, by

zorientował się, jak bardzo jestem osłabiona.

– Wynos się – powiedziałam. Każde słowo paliło mnie w gardło, a do oczu napłynęły mi łzy. Miałam ogromne problemy z przełknięciem śliny.

– Przychodzę tu z ofertą pomocy, a ty masz czelność kazać mi się wynosić? – zapytał, unosząc jedną brew.

– Zostaw mnie – wysapałam. Oczy miałam tak przekrwione, że każdy ruch powiek sprawiał mi ból.

– Dzięki tobie zarobiłem mnóstwo pieniędzy, wiesz? Uznałem, że wypadałoby się odwdziżyć.

Oparłam głowę o ścianę. Cały świat wirował, wkoło i wkoło, jak na karuzeli, jak... Przełknęłam podchodzącą do gardła żółć.

– Pokaż mi swoją rękę – powiedział ledwie słyszalnie.

Nie uczyniłam żadnego ruchu, aby spełnić jego prośbę – głównie dlatego, że nie byłam w stanie poruszyć ramieniem.

– Pokaż mi ją. – W jego głosie pojawiło się gniewne ostrzeżenie. Nie czekając na moją odpowiedź, chwycił mój łokieć i pociągnął rękę do słabego światła pochodni wpadającego do celi przez szpary w drzwiach.

Przygryzłam wargę i stłumiłam krzyk bólu. Z przeciętej wargi popłynęła krew. Z ramienia popłynęła przez całe ciało rzeka żywego ognia, w głowie mi zawirowało, a wszystkie moje zmysły skupiły się na wystającej z rany pękniętej kości. Nie mogli wiedzieć, nie mogli się dowiedzieć o moim paskudnym stanie. Gdy tylko się dowiedzą, wykorzystają to przeciwko mnie.

Rhysand przyjrzał się uważnie ranie, po czym wykrzywił swe zmysłowe usta w pobłażliwym uśmiechu.

– Och, to jest cudownie odrażające. – Przekląłam go, a on zachichotał. – Takie wyrażenia z ust damy.

– Wynos się – wycharczałam. Mój słaby głos był równie przerażający co rana w ręce.

– Nie chcesz, żebym uzdrowił twoje ramię? – Zacisnął palce na moim łokciu.

– Za jaką cenę? – odpałam, nie odrywając głowy od kamienia ściany, potrzebując jego wilgotnej siły.

– Ach, no tak. W czasie, jaki spędziłaś między nami, najwyraźniej poznałaś niektóre nasze zwyczaje.

Skoncentrowałam się na dotyku zdrowej ręki na kolanie, na zaschniętym błocie pod paznokciami.

– Zawrzyjmy umowę – powiedział z pozoru niedbale i delikatnie położył moją rękę na ziemi. Gdy tylko dotknęła mokrej posadzki, musiałam zamknąć oczy, żeby wytrzymać nowy napływ tych zatrutych błyskawic. – Ulecę twoje ramię w zamian za *ciebie*. Każdego miesiąca na dwa tygodnie, wybrane przeze mnie, zamieszkas ze mną na Dworze Nocy. Począwszy od miesiąca następującego po tych kłopotliwych próbach.

Otworzyłam szeroko oczy.

– Nie. – Wystarczyła mi jedna, już zawarta, niekorzystna umowa.

– Nie? – Objął swoje kolana ramionami i nachylił się ku mnie. – Doprawdy?

Świat wokół zaczął wirować.

– Wynos się – wyszeptalam.

– Odrzucasz moją ofertę... Na co liczysz? – Nie odpowiedziałam, więc ciągnął: – Zapewne czekasz na jednego z twoich przyjaciół, najpewniej na Luciena, mam rację? W końcu już raz cię uleczył, prawda? Och, nie udawaj niewiniątka. Attor i jego zbiry złamały ci nos. Zatem jeśli nie dysponujesz jakimiś magicznymi mocami, o jakich zapomniałaś wcześniej

wspomnieć... Nie sędzę, żeby złamania u ludzi zrastały się tak szybko. – W oczach Rhysanda zatańczyły iskiereki. Książę wstał i powoli krążył po celi. – Moim zdaniem masz, Feyro, dwa wyjścia. Pierwsze, mądre, polega na przyjęciu mojej propozycji.

Splunęłam mu pod nogi, ale nie wywarło to na nim większego wrażenia. Spojrzał na mnie tylko z dezaprobatą.

– Drugie wyjście, na które zdecydowałby się tylko ktoś niezmiernie głupi, to odrzucenie mojej oferty i złożenie swojego życia, a zatem też życia Tamlina, w rękach losu. – Zatrzymał się i wbił we mnie wzrok. Chociaż cały świat wirował i tańczył, coś pierwotnego wewnątrz mnie zamarło w bezruchu pod tym spojrzeniem. – Powiedzmy, że zaraz stąd wyjdę. Może Lucien przybędzie ci z pomocą pięć minut po moim wyjściu. A może zjawi się dopiero za pięć dni. Może wręcz nie przyjdzie nigdy. Tak między nami mówiąc, po swoim raczej zawstydzającym zachowaniu podczas twojej próby teraz stara się nie wychylać. Widzisz, Amarantha nie jest zbyt zachwycona jego postawą. Tamlin nawet przerwał swoje cudowne, pełne udręki milczenie, aby błagać o oszczędzenie swojego posła. Cóż za szlachetny wojownik, ten twój książę. Oczywiście królowa wysłuchiwała jego błagania i pozwoiliła Lucienowi ujść z życiem. Ale Tamlin musiał osobiście wymierzyć swemu słudze karę. Dwadzieścia batów.

Zaczęłam dygotać z odrazy. Co mój książę musiał czuć, kiedy został zmuszony do wysmagania swojego przyjaciela.

Rhysand wzruszył ramionami. W jego wykonaniu ten ruch wydawał się piękny i niewymuszony.

– Zatem tak naprawdę prawdziwe pytanie brzmi: jak wielkim zaufaniem jesteś skłonna obdarować Luciena? I jak wiele jesteś skłonna zaryzykować? Już teraz zastanawiasz się, czy twoja gorączka jest oznaką zakażenia. Może jest, może nie. Może nic wielkiego ci nie grozi. Może ekskrementy tego czerwia wcale nie zawierają mnóstwa różnych zarazków. Może Amarantha przyśle w końcu uzdrowiciela. Do tego czasu albo już będziesz martwa, albo twoja ręka będzie w takim stanie, że będziesz mogła mówić o niebywałym szczęściu, jeśli zachowasz cokolwiek poniżej łokcia.

Żołądek zwinął mi się w mały kłębek bólu.

– Nie muszę nawet sięgać do twoich myśli, żeby to wszystko wiedzieć. Wystarczy na ciebie spojrzeć, aby się zorientować, co powoli, powolutku do ciebie dociera. – Ponownie przykucnął przede mną. – Umierasz.

Łzy napłynęły mi do oczu. Zassałam wargi do ust.

– Ile jesteś skłonna zaryzykować w nadziei, że pomoc przyjdzie w innej postaci?

Patrzyłam na niego, wysyłając w jego stronę tyle nienawiści, ile tylko zdołałam zmieścić w jednym spojrzeniu. To on ponosił winę za to wszystko. To on powiedział Amaranecie o Klarze. To on zmusił Tamlina, żeby błagał o moje życie.

– No i?

Wyszczrzyłam zęby.

– Niech. Cię. Piekło. Pochłonie.

Szybko niczym błyskawica doskoczył do mnie, chwycił odłamek kości tkwiący w moim ramieniu i przekręcił go. Głośny krzyk bólu wyrwał się z mojego obolałego gardła, dodatkowo pogarszając jego stan. Świat był wirem jaskrawej bieli, krwistej czerwieni i atramentowej czerni. Rzuciłam się i wiłam, ale on trzymał mnie mocno w swoim uścisku. Przekręcił kość jeszcze raz, po czym puścił moją rękę.

Targana drgawkami przy kolejnych falach bólu, upadłam na podłogę, łkając i ciężko dysząc. Gdy doszłam nieco do siebie, zobaczyłam, że siedzi przy mnie w kucki i uśmiecha się kpiąco. Splunęłam mu w twarz.

Roześmiewszy się, wstał, otarł policzek ciemnym rękawem tuniki i ruszył do wyjścia.  
– Po raz ostatni oferuję ci moją pomoc – powiedział, zatrzymując się przy drzwiach. – Gdy opuszczę twoją celę, moja propozycja przestanie obowiązywać. – Splunęłam ponownie. Pokręcił głową. – Mogę się założyć, że gdy śmierć przyjdzie po ciebie, jej również spluniesz w twarz.

Kontury jego sylwetki poczęły się rozmywać. Jego ciało powoli przeistaczało się w falującą chmurę ciemności. Mógł blefować, aby skłonić mnie do zaakceptowania jego propozycji. Albo mógł mieć rację i naprawdę umierałam. Od tej decyzji zależało moje życie. Więcej niż moje życie. Jeśli Lucien istotnie nie może przyjść mi z pomocą... Albo jeśli przybędzie za późno...

Naprawdę umierałam. Wiedziałam o tym już od jakiegoś czasu, nie chciałam jedynie sama przed sobą tego przyznać. A Lucien już kiedyś przecenił moje możliwości. Nigdy tak naprawdę nie zrozumiał ludzkich ograniczeń. Wysłał mnie na poszukiwania suriela z kilkoma nożami i łukiem. Sam później przyznał, że gdy wołałam o pomoc, zawahał się. Teraz też mógł nawet nie zdawać sobie sprawy, w jak złym jestem stanie. Mógł nie rozumieć, jak poważnym zagrożeniem dla człowieka jest zakażona rana. Może przybyć dzień, godzinę, minutę za późno.

Księżycowo biała skóra Rhysanda rozmywała się w cień.

– Zaczekaj.

Ciemność otaczająca księcia Dworu Nocy zamarła w bezruchu. Dla Tamlina... Dla Tamlina sprzedałabym swoją duszę. Oddałabym wszystko, czym jestem, za jego wolność.

– Zaczekaj – powtórzyłam.

Ciemność zniknęła, pozostawiając całkowicie materialnego Rhysanda z szerokim uśmiechem na twarzy.

– Tak?

Uniosłam głowę tak wysoko, jak zdołałam.

– Tylko dwa tygodnie?

– Tylko dwa tygodnie – zamruczał i przyklęknął przede mną. – Dwa króciutkie, malutkie tygodnie ze mną co miesiąc. Tylko o to proszę.

– Dlaczego? I na jakich... na jakich warunkach? – dopytywałam się, walcząc z zawrotami głowy.

– Ach – odparł, poprawiając klapę obsydianowo czarnej tuniki. – Gdybym ci to powiedział, zepsułbym całą zabawę, nieprawdaż?

Spojrzałam na moją nieszczęsną rękę. Lucien mógł nigdy do mnie nie dotrzeć; mógł uznać, że nie warto już ryzykować dla mnie życiem; nie po tym, jak został za to ukarany. A jeśli znachorzy Amaranthy odcieliby mi rękę...

Nesta zrobiłaby to samo dla mnie i dla Elainy. A Tamlin już tyle dla mnie uczynił. Dla mnie i mojej rodziny. Nawet jeśli skłamał w sprawie Traktatu, o ratowaniu mnie od pewnej śmierci na mocy jego zapisów, to przecież ocalił mi życie, gdy goniły mnie nagi, a potem uratował je jeszcze raz, odsyłając mnie do domu.

Nie potrafiłam objąć myślami ogromu tego, co miałam właśnie oddać. Gdybym zdołała, mogłabym ponownie odmówić. Spojrzałam Rhysandowi w oczy.

– Pięć dni.

– Masz zamiar się targować? – Rhysand zaśmiał się cicho. – Dziesięć dni.

Wyteżyłam wszystkie siły, aby nie odwrócić wzroku.

– Tydzień.

Rhysand zamilkł na dłuższą chwilę, wodząc wzrokiem po moim ciele, po mojej twarzy.

– Niech będzie tydzień – wymruczał.

– Zatem dobiliśmy targu – oznajmiłam. Poczułam w ustach metaliczny posmak, gdy magia zawirowała między nami.

Rhysand uśmiechnął się obłąkańczo i zanim zdołałam jakkolwiek zareagować, chwycił moją rękę. Poczułam oślepiający, ostry ból i krzyknęłam głośno, gdy kość i ciało zostały rozerwane, gdy krew trysnęła strumieniem. A potem...

Gdy otworzyłam oczy, Rhysand uśmiechał się szeroko. Nie miałam najbledszego pojęcia, jak długo pozostawałam nieprzytomna, ale nie czułam już gorączki, a kiedy usiadłam, nie zakręciło mi się w głowie. Co więcej, nigdzie nie widziałam śladu błota. Czułam się jak świeżo po kąpieli.

Kiedy jednak uniosłam do oczu lewą rękę...

– Coś ty mi zrobił?!

Rhysand wstał i przeczesał palcami krótkie ciemne włosy.

– Na moim dworze panuje zwyczaj pozostawiania na ciele trwałych znamion zawartych umów.

Potarłam lewe przedramię i lewą dłoń, które całe były pokryte zawijasami wymalowanymi czarnym atramentem. Tatuaz sięgał czubków palców. We wnętrzu dłoni zaś widniało duże oko. Przypominało oko kota, a jego pionowa źrenica spoglądała prosto na mnie.

– Zabierz to – zażądałam, ale on tylko się roześmiał.

– Wy, ludzie, naprawdę potraficie okazywać wdzięczność, czyż nie?

Z pewnej odległości tatuaz wyglądał jak sięgająca łokcia koronkowa rękawiczka. Gdy jednak przysuwałam ją bliżej oczu, rozróżniałam filigranowe kwiatki i cienkie linie tworzące złożone wzory, na zawsze znaczące moje ciało.

– Nie powiedziałaś mi, że będę miała coś takiego.

– Nie zapytałaś. Jaka w tym moja wina? – Podeszedł do drzwi, ale zawahał się i zatrzymał, gdy strzępy nocy już unosiły się z jego ramion. – Chyba że ten brak wdzięczności i uznania wynika z twojej obawy o reakcję pewnego księcia.

*Tamlin!* Oczywiście wyobraźni już widziałam jego blednącą twarz, zaciskające się mocno wargi, wysuwające się pazury. Niemal słyszałam groźny warkot, po którym zapyta mnie, co ja sobie w ogóle myślałam.

– Chyba zaczekam z poinformowaniem go, aż nadejdzie właściwy czas – dodał Rhysand.

Błysk w jego oku wystarczył za wyjaśnienie. Nie uleczył mnie, żeby mnie uratować, lecz żeby zranić Tamlina. A ja wpadłam w zastawione przezeń sidła, i to wpadłam gorzej niż czerw w moją pułapkę.

– Wypoczywaj, Feyro – rzucił na odchodne książkę Dworu Nocy, po czym rozpląnął się w lekko falujący cień i wypłynął z celi przez szparę w drzwiach.

## Rozdział 38

Starając się nie patrzeć na swoje lewe ramię, szorowałam podłogę korytarza. Tatuaz – który w świetle okazał się nie czarny, ale ciemnogrnatowy – kładł się cieniem na moich myślach, i tak ponurych, nawet bez świadomości zaprzędania się Rhysandowi. Nie mogłam się zdobyć, aby spojrzeć na oko patrzące na mnie z dłoni. Miałam absurdalne, niedające spokoju przeczucie, że cały czas mnie obserwuje.

Zmoczyłam dużą szczotkę w wiadrze, które wcześniej rzucili czerwonoskórzy strażnicy. Z powodu wystających im z ust długich żółtych zębów ledwo rozumiałam, co mówili, gdy dawali mi szczotkę i wiadro, po czym zaprowadzili do długiego korytarza wyłożonego białym marmurem.

– Jeśli nie będzie lśniło do kolacji – zakomunikował wtedy jeden z nich, szczękając zębami w nierównym uśmiechu – przywiążemy cię do rożna i przypieczemy nad ogniem.

Po tych słowach obaj odeszli. Ponieważ nie miałam pojęcia, ile czasu pozostało do pory kolacji, zaczęłam gorączkowo zmywać podłogę. Chociaż nie minęło jeszcze pół godziny, plecy już mnie piekielnie bolały. Ale dali mi wiadro z wodą tak brudną, że z każdą minutą mojej pracy stawała się tylko brudniejsza. Gdy podeszłam do drzwi, za którymi zniknęli strażnicy, żeby poprosić o wiadro czystej wody, okazało się, że są zamknięte. Nikt nie odpowiadał na moje wołanie. Byłam zdana tylko na siebie.

To było niemożliwe. Kazali mi to robić tylko po to, żeby mnie dręczyć. Rozen... Może stąd dochodziły te nieustanne krzyki odbijające się echem w lochach? Czy będą mnie przypiekać, aż całe mięso odpadnie od moich kości, czy tylko poparzą mnie na tyle, abym była zmuszona dobić kolejnego targu z Rhysandem? Zakląłam i zaczęłam szorować mocniej. Twarde włosie szczotki ugięło się i szeleściło w zetknięciu z marmurowymi płytkami. Po każdym ruchu ręką na podłodze pozostawała brązowa smuga. Zawarczałam ze złości i ponownie zamoczyłam szczotkę w wiadrze. Gdy ją wyjęłam, wychlapałam brudną wodę wszędzie dokoła.

Szorowanie powodowało tylko powstawanie kolejnych brązowych smug. Oddech mi przyspieszył z irytacji; cisnęłam szczotkę na podłogę i ukryłam twarz w mokrych dłoniach. Gdy zorientowałam się, że przyciskam do policzka wytatuowane oko, szybko opuściłam lewą rękę.

Wzięłam kilka głębokich oddechów na uspokojenie. Musiał być jakiś racjonalny sposób na poradzenie sobie z tym, jakaś sztuczka dobrych gospodyń. Rozen... Przywiążą mnie do rożna jak świniaka na pieczeń.

Podniosłam szczotkę z podłogi i szorowałam marmur, aż dłonie zaczęły mi pulsować z bólu. Posadzka wyglądała, jakby ktoś ją całą zachlapał błotem. W zasadzie brud zamieniał się w błoto, im mocniej szorowałam. Gdy będą mnie obracać na tym rożnie, zapewne będę jęczeć i błagać o litość. Nagie ciało Klary pokrywały czerwone pręgi. Od jakiego narzędzia tortur pochodziły? Dłonie mi zadrżały; odłożyłam szczotkę na podłogę. Mogłam zabić wielkiego czerwia, ale umycie tej posadzki było zwyczajnie niemożliwe.

W górze korytarza ktoś otworzył drzwi. Zerwałam się na równe nogi. Dostrzegłam zwróconą w moją stronę rudą czuprynę. Odetchnęłam z ulgą. Lucien...

Nie, to nie był Lucien. Twarz należała do kobiety i nie była przesłonięta maską.

Wyglądała na może nieco starszą od Amaranthy, ale jej porcelanowa skóra była przepięknie umalowana, z delikatnym różem na policzkach. Podczas gdy kolor włosów był silną wskazówką, jedno spojrzenie w rdzawobrunatne oczy dało mi pewność, kim jest nieznajoma.

Ukloniłam się pierwszej damie Dworu Jesieni, a ona w odpowiedzi lekko skinęła głową. Zapewne powinnam sobie takie powitanie poczytać za zaszczyt.



– Za podanie jej swojego imienia i uratowanie życia mojego syna – przemówiła głosem słodkim jak dojrzałe w słońcu jabłko. Musiała tamtego dnia stać w tłumie fae. Wskazała wiadro smukłą dłonią o długich palcach. – Spłaciłam swój dług. – Po tych słowach zniknęła za drzwiami, przez które przyszła. Przysięgłabym, że jeszcze przez chwilę po jej odejściu w powietrzu unosiła się woń pieczonych kasztanów i ognia trzaskającego w kominku.

Dopiero po paru chwilach wpatrywania się w zamknięte drzwi zorientowałam się, że powinnam była jej podziękować. A dopiero gdy zajrzałam do wiadra, zdałam sobie sprawę z tego, że cały czas lewą rękę chowałam za plecami.

Przyklękłam przy wiadrze, zanurzyłam dłoń i zaczerpnęłam garść czystej wody.

Zadrżałam, osunęłam się na kolana i przez chwilę dochodziłam do siebie. Potem chlusnęłam oszczędnie na podłogę i cieszyłam oczy widokiem zmywanego brudu.

\*\*\*

Ku rozgoryczeniu strażników podołałam pozornie niemożliwemu do wykonania zadaniu. Ale już następnego dnia uśmiechali się szeroko, gdy wpełchnęli mnie do ogromnej, mrocznej sypialni oświetlonej zaledwie kilkoma świecami i wskazali rozbudowany kominek.

– Służące rozsypały soczewicę w popiele – warknął jeden ze strażników, rzucając w moją stronę drewniane wiadro. – Wyzbij ją, zanim wróci właściciel sypialni. Jeśli cię tu znajdzie, będzie darł z ciebie skórę pasami.

Zatrzasnęli drzwi, zamknęli je na klucz i tak oto zostałam całkiem sama.

Znaleźć ziarna soczewicy wśród popiołu i węgla: absurdalne, bezsensowne i...

Podeszłam do wygaszonego kominka i skuliłam się.

Niemożliwe.

Rozejrzałam się po sypialni. Żadnych okien, żadnych drzwi poza tymi, przez które zostałam wpełchnięta do środka. Łoże było olbrzymie i kunsztownie wykonane. Pokrywały je czarne prześcieradła uszyte z... z jedwabiu. Poza podstawowymi meblami komnata była pusta. Nie było nawet ubrań, książek czy broni – tak jakby właściciel w ogóle tu nie sypiał. Przyklękłam przed kominkiem i uspokoiłam oddech.

„Mam przecież bystry wzrok” – pocieszyłam się. Potrafiłam wypatrzeć króliki chowające się pod krzakiem i wytropić większość zwierząt, które wołały pozostać ukryte. Wypatrzenie ziaren soczewicy w popiele nie powinno być aż takie trudne. Westchnęłam ciężko, weszłam głębiej do kominka i zaczęłam mozolną pracę.

\*\*\*

Mylłam się.

Po dwóch godzinach oczy mnie bolały, a chociaż przeczesalam każdy cal paleniska, wciąż znajdowałam nowe ziarna – kolejne i kolejne – które wcześniej przeoczyłam. Ponieważ strażnicy nie powiedzieli, *kiedy* wróci właściciel tej komnaty, każde tyknięcie zegara stojącego na obudowie kominka brzmiało w moich uszach jak uderzenie dzwonu żałobnego, a na każdy odgłos kroku za drzwiami chwytalam pogrzebacz i przywierałam plecami do ściany paleniska. Amarantha nie zakazała mi się bronić, jeśli mam więc zginąć, przynajmniej zginę w walce.

Jeszcze raz przetrząsnęłam palenisko. Ręce i ubranie miałam całe pomazane sadzą i popiołem. Musiałam już wybierać wszystkie, z pewnością...

Zamek w drzwiach szczęknął. Błyskawicznie chwyciłam pogrzebacz, zerwałam się na równe nogi, oparłam się plecami o ścianę i schowałam żelazo za plecy.

Do pokoju wsunęła się ciemność. Płomienie świec zamigotały w lodowatym podmuchu wiatru. Mocniej ścisnęłam uchwyt pogrzebacza i przywarłam plecami do kamienia. Ciemność

osiadła na łożu i przybrała znajomą postać.

– Chociaż oczywiście bardzo mnie cieszy twój widok, Feyro, kochanie – powiedział Rhysand, leżąc wygodnie na łożku i podpierając głowę ręką – czy chcę wiedzieć, dlaczego przekopujesz się przez popiół w moim kominku?

Ugięłam lekko nogi, szykując się do ucieczki, uniku, czegokolwiek, co by mi pozwoliło dostać się do drzwi, które teraz sprawiały wrażenie znajdujących się bardzo, bardzo daleko.

– Powiedzieli, że mam wybierać z paleniska ziarna soczewicy, bo w przeciwnym razie obedrzesz mnie ze skóry.

– Tak ci powiedzieli? – Uśmiechnął się miękko i drapieźnie.

– Czy to tobie mam dziękować za ten pomysł? – wysyczałam. Nie mógł mnie zabić, zabraniała tego moja umowa z Amaranthą, ale... Mógł mnie skrzywdzić w inny sposób.

– Och, nie – odparł przeciągle. – Nikt się jeszcze nie dowiedział o naszym małym układzie... A ty też zdołałaś utrzymać to w tajemnicy. Wstyd nie daje ci spokoju?

Zacisnęłam zęby i wskazałam palenisko, cały czas trzymając rękę z pogrzebaczem za plecami.

– Czy jest wystarczająco czyste dla ciebie?

– A w jaki w ogóle sposób soczewica znalazła się w moim kominku?

Spojrzałam na niego chłodno.

– Zapewne miała to być jedna z *prac domowych* wyznaczonych przez twoją kochankę.

– Hmm. – Przyjrzał się w zamyśle swoim paznokciom. – Najwyraźniej ona albo jeden z jej sługusów uznał, że mógłbym się z tobą zabawić.

Momentalnie zaschło mi w ustach.

– Albo wystawia cię na próbę – wykrztusiłam. – Powiedziałeś, że przy moim pierwszym zadaniu postawiłeś na mnie. Nie wyglądała na zadowoloną.

– A na jakąż to próbę Amarantha miałaby mnie wystawiać?

Nie odwróciłam wzroku, gdy wbił we mnie spojrzenie swych fioletowych oczu. Lucien nazwał go wtedy w rezydencji Tamlina „dziwką Amaranthy”.

– Okłamałaś ją. W kwestii Klary. Doskonale wiedziałeś, jak wyglądam.

Rhysand usiadł jednym płynnym ruchem i skrzyżował ramiona na udach. Taki wdzięk skryty w tak potężnej postaci. „Wyrzynałem wrogów na polach bitew, zanim się w ogóle urodziłeś” – powiedział tamtego dnia do Luciena. Nie wątpiłam w to.

– Amarantha gra w swoje gierki – odparł lekkim tonem – a ja gram w swoje. Codziennosc tu, pod ziemią, dość szybko staje się nudna.

– Pozwoliła ci opuścić swój pałac w Noc Ognia. A potem zdołałeś się jakoś wymknąć, żeby podrzucić tę głowę do ogrodu.

– To ona mnie poprosiła o przekazanie Tamlinowi tego prezentu. Jeśli zaś chodzi o Noc Ognia... – Zlustrował mnie od stóp do głów. – Miałem wtedy swoje powody, żeby się pojawić. Nie myśl sobie, Feyro, że nic mnie to nie kosztowało. – Uśmiechnął się samymi ustami. Oczy pozostały śmiertelnie poważne. – Zamierzasz odłożyć ten pogrzebacz czy mam się spodziewać rychłego ataku z twojej strony?

Zmełam w ustach przekleństwo i wyjęłam żelazo zza pleców, choć jeszcze go nie odłożyłam.

– Odważne, aczkolwiek bezcelowe – zauważył.

Miał rację. Nie musiał przecież nawet wyciągać rąk z kieszeni, żeby chwycić umysł Luciena.

– Dlaczego ty zachowałeś tak wiele swojej mocy, podczas gdy innym odebrała ją niemal całkowicie? Sądziłam, że wszystkim książętom zabrała po równo.

Powoli uniósł jedną z zadbanych ciemnych brwi.

– Och, ależ odebrała mi moce. To... – Niewidzialne pazury przesunęły się niemal pieszczotliwie po moich myślach. Chciałam się cofnąć o krok, ale wpadłam na ścianę kominka. Nieprzyjemne uczucie przeminęło. – To jest ledwie niewielka pozostałość po nich. Nędzne resztki, którymi mogę się bawić. Twój Tamlin dysponuje olbrzymią siłą i może przybierać różne kształty. Mój arsenał jest zdecydowanie bardziej śmiertelny.

Wiedziałam, że nie blefował. Dotyk jego szponów na moim umyśle świadczył o tym najlepiej.

– Zatem nie potrafisz zmieniać kształtu? Nie jest to umiejętność dana wszystkim księżetom?

– Och, ależ oczywiście, wszyscy księżęta potrafią to robić. Pod skórą każdego z nas czai się dzika bestia tylko czekająca, aby ją wypuścić na wolność. Lecz podczas gdy twój Tamlin preferuje futro i pazury, ja uważam skrzydła i szpony za dużo ciekawsze.

Wzdłuż kręgosłupa przeszedł mi zimny dreszcz.

– Czy teraz też potrafisz zmieniać postać, czy też tę moc również ci odebrała?

– Tyle pytań od małej człeczyny.

Gdy wypowiadał te słowa, unosząca się wokół niego ciemność zaczęła się wić i skręcać. Gdy wstał, pojawiły się ciemnofioletowe rozbłyski. Zamrugalam. Gdy ponownie wyostrzyłam wzrok, przemiana już się dokonała.

Uniosłam czubek pogrzebacza. Tylko odrobinę.

– Jak widzisz, nie jest to pełna przemiana – zauważył Rhysand, stukając o siebie czarnymi, ostrymi jak brzytwy szponami, w które zmieniły się jego palce. Poniżej kolan skórę pokrywała mu ciemność, a zamiast palców u stóp lśniły dwa kolejne komplety szponów. – Niespecjalnie lubię się całkowicie poddawać mojej pierwotnej stronie.

Istotnie Rhysand zachował swoją twarz i muskularne ciało. Z pleców wyrastały rozłożyste czarne skrzydła pokryte skórzastą membraną, jak u nietoperza czy attora. Złożył je równo za sobą. Znad szerokich ramion wystawały dwa pazury wieńczące kciuki tych dodatkowych kończyn. Przeróżające, oszalamiające – kwintesencja tysięcy koszmarów i mar nocnych. Bezużyteczna część mojego umysłu podekscytowała się tym widokiem, zachwycając się sposobem, w jaki światło świec przenikało przez membranę rozpiętą między kośćmi skrzydeł, uwypuklając rysunek naczyń krwionośnych; w jaki odbijało się od lśniących szponów.

Rhysand zatoczył szyją koło i wszystko – skrzydła oraz szpony – zniknęło w błysku ciemnego światła, pozostawiając na podłodze tylko mężczyznę – doskonale ubranego i o niezmaconym spokoju.

– Żadnych komplementów?

Popełniłam wielki, ogromny błąd, składając swoje życie w jego ręce.

– Masz już wystarczająco wysokie mniemanie o sobie – stwierdziłam. – Wątpię, by komplementy prawione przez małą człeczynę sprawiły jakąkolwiek różnicę.

Roześmiał się niskim śmiechem, który przeniknął mnie do szpiku kości i podniósł mi temperaturę krwi.

– Nie mogę się zdecydować, czy w związku ze zwracaniem się do księcia w sposób tak bezczelny powinienem cię uznać za rozkoszną, czy też za niezmiernie głupią.

Wyglądało na to, że tylko przy nim miałam problemy z utrzymaniem języka za zębami. Postanowiłam więc pójść za ciosem i zapytać:

– Czy znasz odpowiedź na zagadkę?

Skrzyżował ramiona.

– Oszukujemy, czy tak?

– Nigdzie nie zaznaczyła, że nie mogę prosić o pomoc.

– Ach, ale po tym, jak kazała zbić cię na kwaśne jabłko, zabroniła wszystkim pomagać ci w rozwiązaniu tej łamigłówki. – Czekałam na ciąg dalszy. Pokręcił głową. – Nawet gdybym miał taką ochotę, nie mógłbym. Ona rozkazuje, a my wszyscy jesteśmy jej posłuszni. – Strzepnął niewidzialny pyłek z surduta. – Dobrze się składa, że mnie lubi, prawda?

Otworzyłam usta, aby nalegać, aby go przebłagać. Jeśli to miało oznaczać natychmiastową wolność...

– Nie marnuj tchu – powiedział, zanim zdążyłam się odezwać. – Nie mogę ci powiedzieć. Nikt nie może. Gdyby rozkazała nam przestać oddychać, wszyscy musielibyśmy wykonać ten rozkaz. – Zmarszczył brwi i pstryknął palcami. – Sadza, popiół i brud zniknęły z mojej skóry. Byłam czysta, jakbym się przed chwilą wykąpała. – Proszę. Prezent. W uznaniu odwagi, która pozwoliła ci w ogóle zadać to pytanie.

Wbiłam w niego lodowaty wzrok, ale on pozostał niewzruszony. Skinął dłonią w stronę paleniska.

W okamgnieniu zniknęły cały popiół, sadza, wszystkie węgle, a moje wiadro było wypełnione po brzegi soczewicą. Drzwi otworzyły się same z siebie. Za nimi stali dwaj strażnicy, którzy mnie tu wcześniej przywlekli. Rhysand niedbale machnął ręką w ich stronę.

– Wykonała swoje zadanie. Zabierzcie ją.

Chwycili mnie pod ramiona i już się zabierali do wyprowadzenia mnie, kiedy książę wyszczerzył zęby w uśmiechu, któremu bardzo daleko było do przyjaznego. Strażnicy zamarli.

– Żadnych więcej prac domowych, żadnych więcej zadań – powiedział takim głosem, jakby szeptał czule słówka do ucha kochanki. Żółte oczy strażników zaszyły mgłą. Szczęki im opadły bezwładnie i światło świec załśniło na ostrych zębach. – To samo powtórzcie pozostałym. Nie wchodźcie do jej celi, nie ważcie się jej tknąć palcem. Jeśli to zrobicie, weźmiecie własne sztylety i rozplątacie sobie brzuchy. Zrozumiano?

Odpowiedziały mu powolne kiwnięcia dwóch głów. Po chwili strażnicy zamrugali i wyprostowali się. Powstrzymałam ogarniające mnie dreszcze. Urok, kontrola umysłów – cokolwiek przed chwilą zrobił, zadziałało. Wskazywali mi drogę, ale starali się mnie nie dotykać.

Rhysand uśmiechnął się do mnie.

– Nie ma za co – wymruczał, gdy opuszczałam jego komnatę.

## Rozdział 39

Od tego dnia każdego ranka i wieczoru w mojej celi pojawiał się gorący posiłek przygotowany ze świeżych produktów. Pałaszowałam wszystko, ale i tak wciąż przeklinałam Rhysanda. Tkwiłam cały czas w zamknięciu i jedynym moim zajęciem było deliberowanie nad łamigłówką Amaranthy. Zwykle kończyło się to tylko silnym bólem głowy. Powtarzałam rymowaną raz po raz, ale nic to nie dawało.

Dni mijały. Ani razu nie odwiedził mnie Lucien ani Tamlin. Nawet Rhysand nie zjawił się, żeby ze mnie drwić. Byłam sama, tak bardzo sama, odizolowana od reszty świata, w całkowitej ciszy (jeśli nie liczyć rozbrzmiewających wciąż krzyków torturowanych nieszczęśników). Gdy wrzaski stawały się nie do zniesienia i nie dawałam rady się od nich odciąć, wpatrywałam się w oko wytatuowane na dłoni. Zastanawiałam się, czy Rhysand zrobił to w ramach dyskretnego przypomnienia o Jurianie. Czy raczej był to okrutny, małostkowy policzek mający sugerować, że może byłam właśnie na dobrej drodze, aby stać się jego własnością, tak jak wojownik sprzed wieków należał teraz do Amaranthy.

Co jakiś czas przemawiałam do swego tatuażu, aby zaraz potem zganić się za głupotę. Albo przekląć Rhysanda. Jednak przysięgłabym, że pewnego wieczoru, gdy już zasypiałam, oko zamrugało.

Jeśli dobrze liczyłam posiłki, około czterech dni po wizycie w komnacie Rhysanda w mojej celi zjawiły się dwie fae wysokiego rodu.

Ich sylwetki uformowały się z pasm ciemności, które przeniknęły przez szpary w drzwiach, tak jak to się działo w przypadku księcia Dworu Nocy. Ale podczas gdy on przybierał postać całkiem materialną, one pozostawały w dużej mierze cieniami. Ledwo dostrzegałam rysy ich twarzy. Tak naprawdę jedynym rzeczywiście widocznym elementem były lejące się suknie, sprawiające wrażenie utkanych z pajęczyny. Nieznajome wyciągnęły ku mnie w milczeniu ręce. Nie stawiałam oporu. Nie miałam czym z nimi walczyć, nie miałam też dokąd uciec. Dłonie, które chwyciły moje przedramiona, były zimne, ale w pełni cielesne, tak jakby cienie, które widziałam, tylko je pokrywały niczym druga skóra.

Musiały zostać wysłane przez Rhysanda; zapewne były służkami z Dworu Nocy. Bez słowa przycisnęły się do mnie i razem przeszłyśmy – tak po prostu przeszłyśmy – *przez* zamknięte drzwi, jakby ich tam w ogóle nie było. Jakbym sama stała się w tej chwili również cieniem. Z wrażenia nogi się pode mną ugięły. Gdy posuwałyśmy się przez mroczne, wypełnione krzykami torturowanych lochy, czułam na całej skórze nieprzyjemne ciarki, jakby chodziło po mnie stado niewidzialnych pajaków. Strażnicy nie próbowali nas zatrzymać, nawet nie patrzyli w naszą stronę. Musiały działać jakieś czary sprawiające, że dla postronnych wyglądałam jak niewielka smuga przemykająca między cieniami.

Fae poprowadziły mnie w górę po zakurzonych schodach i dalej przez dawno zapomniane korytarze. Gdy dotarłyśmy do niczym niewyróżniającego się pomieszczenia, rozebrały mnie do naga, bez słowa wykapały, a po osuszeniu – ku memu przerażeniu – przystąpiły do malowania mojej skóry.

Używane przez nie pędzle były niemożliwie zimne i strasznie mnie łaskotały. Gdy próbowałam się wykręcać, unieruchomiły mnie w swoim cienistym uścisku. Najgorsze chwile przeżyłam, gdy malowały moje najbardziej intymne miejsca. Musiałam naprawdę mocno się powstrzymywać, żeby nie kopnąć jednej z nich w twarz. Nijak nie wytłumaczyły mi, dlaczego to robią. Nie dały żadnej wskazówki, czy przypadkiem nie jest to kolejny pomysł Amaranthy na dręczenie mnie. Nawet gdybym się im wymknęła, nie miałabym dokąd uciekać. Poza tym w ten

sposób tylko pogorszyłabym sytuację Tamlina. Przestałam się więc domagać wyjaśnień, przestałam stawiać opór i pozwoliłam im dokończyć pracę.

Od szyi w górę wyglądałam istic królewsko: twarz miałam umalowaną pierwszorzędnymi kosmetykami – róż na wargach, złoty pył na powiekach, węgiel podkreślający oczy – a włosy miałam owinięte wokół niewielkiego złotego diademu wysadzanego lazurytem. Od szyi w dół wyglądałam jak niewolnica jakiegoś pogańskiego kultu. Całe ciało miałam pokryta wzorem identycznym z tatuażem na ręce. Gdy ciemnogrnatowa farba wyschła, ubrały mnie w półprzezroczystą białą sukienkę.

Jeśli w ogóle można to było nazwać sukienką. Były to dwa długie pasy ażurowego materiału, szerokie tylko na tyle, aby zakryć moje piersi, spięte na obu ramionach złotymi broszami. Na biodrach oba pasy były zebrane wysadzaną klejnotami szarfą, z której zwisała do podłogi wstęga zasłaniająca miejsca między moimi nogami. Czułam się praktycznie naga. Po dotyku zimnego powietrza wiedziałam, że niemal całe plecy mam odsłonięte.

Zimne podmuchy dotykające mojej nagiej skóry wystarczyły, by wzniecić gniew. Jednak dwie fae wysokiego rodu zignorowały moje żądania przebrania mnie w coś innego. Nie widziałam wyrazu ich skrytych w cieniu twarzy, ale gdy spróbowałam zerwać z siebie ten upodlający strój, unieruchomiły mi ręce w mocnym uścisku.

– Nie robiłbym tego na twoim miejscu. – Od drzwi dobiegł niski, melodyjny głos. Rhysand stał oparty o ścianę z ramionami skrzyżowanymi na piersi.

Jak mogłam się nie domyślić, że to jego sprawka? Wzór pokrywający teraz całą moją skórę powinien być wystarczającą wskazówką.

– Nasz układ jeszcze nie zaczął obowiązywać – warknęłam. Instynkt, który kiedyś kazał mi trzymać język za zębami przy Tamlinie i Lucienie, zawodził mnie całkowicie w pobliżu Rhysanda.

– Ach, potrzebuję tylko towarzyszki na bal. – Jego fioletowe oczy lśniły niczym gwiazdy. – A gdy pomyślałem o tobie, skulonej cały czas w tej celi, tak bardzo samotnej... – Machnął dłonią i służące bezszelestnie zniknęły za drzwiami. Zadrżałam, gdy przeszły prosto przez drewno. Bez wątplenia była to umiejętność, którą mogli się pochwalić wszyscy na Dworze Nocy. Rhysand zachichotał. – Wyglądasz dokładnie tak, jak chciałem.

Przez pajęczyny mojej pamięci przebiło się wspomnienie podobnych słów wyszeptanych mi kiedyś do ucha przez Tamlina.

– Czy to jest konieczne? – zapytałam, wskazując farbę i ubranie.

– Oczywiście – odpowiedział spokojnie. – W jaki inny sposób miałbym wiedzieć, kiedy ktoś cię dotknie?

Podszedł do mnie. Przygotowałam się na najgorsze, on jednak tylko przesunął palcem po moim ramieniu, rozmazując farbę. Gdy tylko oderwał palec, wzór na mojej skórze błyskawicznie sam się naprawił.

– Sukienka nie naruszy wzoru, tak samo jak twoje ruchy – powiedział, przysuwając twarz do mojej. Jego zęby znalazły się zdecydowanie zbyt blisko mojego gardła. – A ja dobrze zapamiętam, gdzie będą wędrowały *moje* ręce. Jeśli jednak dotknie cię ktokolwiek inny, powiedzmy pewien książę gustujący w wiośnie, dowiem się o tym. – Pstryknął mnie w nos. – Ja zaś, Feyro – dodał, mrużąc pieśczośliwie – nie lubię, gdy ktoś rusza moją własność.

Zmroziło mnie. Każdego miesiąca należałam do niego przez tydzień. Najwyraźniej uważał, że dotyczy to też reszty mojego życia.

– Chodź. – Przyzwał mnie skinieniem dłoni. – Już jesteśmy spóźnieni.

\*\*\*

Przemierzaliśmy długie korytarze. Odgłosy wesołej zabawy stawały się coraz wyraźniejsze. Twarz płonęła mi rumieńcem ze wstydu i rozpacz z powodu mojego zdecydowanie zbyt skąpego ubioru. Moje piersi były praktycznie na widoku. Farba bardzo niewiele pozostawiała wyobraźni. Dodatkowo od wszechobecnego zimnego powietrza całą skórę pokrywała mi gęsia skórka. Ponieważ jeśli nie liczyć wąskich pasków cienkiego materiału byłam całkowicie naga, musiałam zacisnąć mocno zęby, żeby nie szczekać nimi z zimna. Nagie stopy całkowicie mi zdrętwiały. Miałam nadzieję, że w miejscu, do którego się udawaliśmy, będą mieli buzujący ogień.

Dziwaczna, nieskładna muzyka dobiegała zza podwójnych kamiennych drzwi, które błyskawicznie rozpoznałam. Sala tronowa... Nie, nie, wszędzie tylko nie tu!

Fae – ci zwykli i ci wysokiego rodu – gapili się na nas ze zdumieniem, gdy wkraczaliśmy do środka. Niektórzy kłaniali się Rhysandowi, ale większość tylko się przyglądała. Nieopodal drzwi wypatrzyłam kilku braci Luciena. Posłali mi lisie uśmiechy.

Rhysand nie dotykał mnie, lecz szedł wystarczająco blisko, aby dla wszystkich było oczywiste, że jestem tu z nim; że *należę* do niego. Nie zdziwiłabym się, gdyby założył mi obrozę i przyczepił do niej smycz. Może zresztą planował to zrobić za którymś razem, skoro już byłam z nim związana, a naszą umowę spisał na moim ciełe.

Szepty pelzały pod wesołymi krzykami; nawet muzyka jakby nieco przycichła. Tłum rozstępował się przed nami, pozwalając bez przeszkód dojść pod tron Amaranthy. Mimo wpijającego się w czaszkę ciężaru diademu uniosłam głowę.

Podolałam pierwszemu zadaniu. Nie dałam się złamać jej durnym „pracom domowym”. Mogłam jej stawić czoła z podniesioną głową.

Tamlin siedział obok niej ubrany w ten sam strój co zwykle, bez żadnej broni. Rhysand poinformował mnie, że chciał mu powiedzieć o naszym układzie we właściwej chwili; że chciał mu sprawić tym przykrość. Sukinsyn. Podstępny, wredny sukinsyn.

– Wesołego środka lata – powiedział Rhysand, kłaniając się królowej ubranej w kosztowną, lecz zarazem zaskakująco skromną suknię w barwach lawendy i orchidei. W porównaniu z jej wyrafinowanym pięknem byłam zwykłą dzikuską.

– Cóżś zrobił z moją więźniarką? – zapytała, uśmiechając się lekko, lecz jednocześnie gromiąc go wzrokiem.

Tamlin zachował kamienną twarz. Jedynie zaciśnięte kurczowo na podłokietnikach palce pobielaly, choć pazury udało mu się utrzymać pod skórą.

Postąpiłam tak niemiłosiernie głupio, przystając na propozycję Rhysanda. Księcia Dworu Nocy, pod którego piękną, nieskazitelną skórą kryły się skrzydła i szpony. Potwora, który potrafił miażdżyć umysły innych. Pragnęłam zakrzyknąć: „Zrobiłam to dla ciebie!”.

– Zawarliśmy umowę – odparł Rhysand. Drgnęłam, gdy poczułam dotyk jego palców odgarniających kosmyk włosów z mojej twarzy. Delikatnie przesunął opuszkami po policzku aż po brodę. Gdy zwrócił się z następnymi słowami do Tamlina, w sali tronowej panowała całkowita cisza. – Jeden tydzień z każdego miesiąca ma spędzić ze mną na Dworze Nocy. W zamian uleczyłem ją po jej pierwszym zadaniu. – Uniósł moją lewą rękę, aby ukazać tatuaż, który nie lśnił tak bardzo jak farba na reszcie skóry. – Do końca jej życia – dodał pozornie niedbale, wpatrując się w Amaranthę.

Królowa fae wyprostowała się na swoim tronie. Nawet oko Juriana zdawało się wpatrywać intensywnie we mnie i Rhysanda. Do końca mojego życia. Powiedział to tak, jakby miało ono trwać bardzo, bardzo długo.

Był przekonany, że podołam wszystkim trzem zadaniom.

Zerknęłam na profil stojącego obok mnie mężczyzny, na ten szlachetny nos i zmysłowe

usta. Gierki. Rhysand lubił rozgrywać swoje gierki. A ja najwyraźniej miałam być kluczowym elementem najnowszej, na czymkolwiek miałyby ona polegać.

– Ciesz się przyjęciem – rzuciła Amarantha, bawiąc się kością na swoim naszyjniku.

Odprawiony książę Dworu Nocy położył dłoń na moich plecach i pokierował mnie z dala od tronu; z dala od Tamlina, który wciąż zaciskał kurczowo dłonie na poręczach krzesła.

Pozostali goście starali się utrzymywać bezpieczny dystans. Nie patrzyłam na nich, obawiając się ponownego spojrzenia na Tamlina lub wypatrzenia Luciena, a dokładniej – wyrazu ich twarzy na mój widok.

Głowę cały czas trzymałam w górze. Nie chciałam, aby ktokolwiek dostrzegł moją słabość. Nie chciałam, aby widzieli, jak wielkie katusze przeżywam, parując przed nimi praktycznie nago z wymalowanymi na niemal każdym skrawku skóry symbolami Rhysanda; jak bardzo boli mnie, że Tamlin musi być świadkiem mojego poniżenia.

Rhysand zatrzymał się przy stole zastawionym wykwintnymi potrawami. Zebrani przy nim fae wysokiego rodu szybko się oddalili. Jeśli na przyjęciu były obecne inne osoby z Dworu Nocy, ciemność nie falowała wokół nich, jak wokół Rhysanda i jego służek. Nikt też nie odważył się podejść do nas. Muzyka przybrała na sile. Zapewne gdzieś w sali rozpoczęły się tańce.

– Wina? – zapytał książę Dworu Nocy, podając mi napełniony puchar.

Pierwsza zasada Alis. Pokręciłam głową.

Uśmiechnął się i ponowił gest.

– Wypij. Przyda ci się.

Polecenie odbiło się echem w moich myślach. W palcach poczułam mrowienie i moja dłoń zaczęła sama, bez udziału mojej woli, sięgać po naczynie. Nie, nie! Alis przestrzegła mnie przed tutejszym winem. Mówiła, że było inne od tego, które w noc przesilenia dawało tyle radości i poczucia wolności.

– Nie – powtórzyłam. Kilka czarodziejskich istot obserwujących całe zajście z bezpiecznej odległości zachichotało.

– Pij – rozkazał i moje zdradzieckie palce przejęły puchar z jego dłoni.

\*\*\*

Obudziłam się w swojej celi, wciąż odziana w te paski materiału, które on nazywał sukienką. Męczyły mnie tak silne zawroty głowy, że ledwo doczołgałam się w kąt pomieszczenia, zanim zwymiotowałam. Potem jeszcze raz. I jeszcze. Gdy już opróżniłam żołądek, przeczolgałam się w przeciwny kąt celi i zaległam w nim.

Sen nadszedł szybko i wyparł wirującą wściekle rzeczywistość. Czulałam się, jakbym była przywiązana do obracającego się koła, którym ktoś ciągle kręci wkoło i wkoło, i wkoło...

Przez większość dnia męczyły mnie mdłości.

Ledwo skończyłam dziobać widelcem gorącą kolację, kiedy drzwi do celi zaskrzypiały i w szparze pojawiła się złota lisia twarz, a wraz z nią – zmrużone metalowe oko.

– Cholera – powiedział Lucien. – Tu jest lodowato.

Istotnie było. Ale zbyt podle się czułam, żeby zwracać na to uwagę. Utrzymanie głowy w górze stanowiło dla mnie nie lada wysiłek. Niewiele mniejszy od utrzymania jedzenia w żołądku. Lucien odpiął broszę utrzymującą płaszcz na jego ramionach i owinął mnie nim. Ciężkie ciepło powoli wsączało się we mnie.

– Popatrz tylko na to – powiedział, wpatrując się w pokrywającą moją skórę farbę. Na szczęście wzory były w większości nienaruszone. Znalazłam tylko kilka smug w okolicach talii.  
– Drań.

– Co się działo? – wydusiłam z siebie, chociaż nie byłam pewna, czy naprawdę chcę



poznać odpowiedź. Pamiętałam tylko dziką muzykę.

Lucien cofnął się nieco.

– Nie sądzę, abys chciała wiedzieć.

Przyjrzałam się uważniej smugom na bokach. Wyglądały na ślady czyichś dłoni.

– Kto mi to zrobił? – zapytałam cicho, wodząc oczami po łukach rozmazanej farby.

– A jak myślisz?

Ścisnęło mi serce. Wbiłam wzrok w podłogę.

– Czy... Czy Tamlin to widział?

Lucien kiwnął głową.

– Rhys robił to tylko po to, aby wyprowadzić go z równowagi.

– I... udało mu się? – Nie mogłam spojrzeć Lucienowi w oczy. Przynajmniej dzięki farbie wiedziałam, że skończyło się na dotykaniu mojej talii.

– Nie – odparł fae i uśmiechnął się ponuro.

– Co... co robiłam przez całe przyjęcie? – To byłoby tyle, jeśli chodzi o przestrożę Alis.

Lucien westchnął ciężko i przeczesał dłonią rude włosy.

– Większość czasu kazał ci dla niego tańczyć. Kiedy akurat nie tańczyłaś, siedziałaś na jego kolanach.

– Jakiego rodzaju był to taniec? – drażyłam.

– Nieco inny niż z Tamlinem w noc przesilenia – odparł Lucien, a ja splonęłam rumieńcem.

Z odmętów pamięci wydobyłam niewyraźne wspomnienie z ostatniej nocy. Wspomnienie pewnych fioletowych oczu, które przyglądały mi się z zawadiackim błyskiem.

– Przed wszystkimi?

– Tak – odpowiedział Lucien. Nie słyszałam nigdy wcześniej, żeby zwracał się do mnie tak łagodnym głosem. Cała zeszytniałam. Nie chciałam jego litości. Westchnął i ujął moją lewą rękę, aby przyjrzeć się tatuażowi. – Coś ty sobie myślała? Nie wiedziałaś, że zjawię się najszybciej, jak tylko zdołam?

Wyrwałam rękę z jego uścisku.

– Lucien, ja *umierałam*! Miałam wysoką gorączkę. Traciłam przytomność. Skąd miałam niby wiedzieć, że przyjdziesz? Że w ogóle rozumiesz, jak szybko ludzie umierają od takich ran? Sam się przyznałeś, że przy historii z nagami się zawahałeś.

– Poprzysiągłem Tamlinowi, że...

– Nie miałam innego wyjścia! Sądziłeś, że po tym wszystkim, co mi powiedziałeś w rezydencji, tak po prostu ślepo ci zaufam?

– Rzykowałam głową, pomagając ci w walce z czerwiem. Czy to nie wystarczy? – Metalowe oko zabrzczało cicho. – Uratowałaś moje życie, zdradzając swoje imię. Po wszystkim, co ci powiedziałem, po wszystkim, co uczyniłem, mimo wszystko to zrobiłaś. Nie wiedziałaś, że po czymś takim na pewno ci pomogę? Niezależnie nawet od złożonej przysięgi?

Nie sądziłam, że będzie to dla niego cokolwiek znaczyło.

– Nie miałam innego wyjścia – powtórzyłam, ciężko dysząc.

– Czy ty nie rozumiesz, czym Rhys jest?

– Rozumiem! – odwarknęłam i westchnęłam. – Rozumiem. – Spojrzałam z niechęcią na oko wytatuowane na mojej dłoni. – Ale co się stało, to się nie odstanie. Nie musisz więc trzymać się przysięgi złożonej Tamlinowi i mnie chronić. Nie musisz też czuć się wdzięczny, że nie pozwoliłam Amarancie cię zabić. Zrobiłabym to choćby tylko po to, żeby zetrzeć te kpiące uśmiešky z twarzy twoich braci.

Lucien zachnął się, ale jego zdrowe oko błysnęło wesoło.

– Cieszę się, że nie sprzedałaś Rhysowi swojego uroczego ludzkiego ducha ani wrodzonego uporu.

– Tylko tydzień z każdego miesiąca mojego życia.

– Tak, cóż... Gdy przyjdzie czas, zobaczymy, co się da z tym zrobić – warknął. Zerknął na drzwi i wstał. – Powiniennem już iść. Za chwilę zmieniają się warty.

– Przykro mi – powiedziałam za nim, kiedy stanął u drzwi. – Przykro mi, że ukarała cię za pomoc podczas pierwszego zadania. Słyszałam... – Gardło mi się ścisnęło. – Słyszałam, co kazała Tamlinowi ci zrobić. – Wzruszył ramionami. – Dziękuję. Dziękuję ci za tamtą pomoc. Podszedł do drzwi. Dopiero teraz zauważyłam, jak sztywno się porusza.

– Dlatego nie mogłem przyjść wcześniej – powiedział. Grdyka zagrała mu na szyi. – Ona ją wykorzystała... Wykorzystała *nasze* moce, aby powstrzymać gojenie się moich pleców. Do dziś nie byłem w stanie się poruszyć.

Oddychanie przychodziło mi z coraz większym trudem.

– Proszę – powiedziałam, zsuwając z ramion jego płaszcz i wstając, aby mu go podać. Nagłe uderzenie zimna przyprawiło mnie o gęsią skórę na całym ciele.

– Zachowaj go. Ukradłem ten płaszcz po drodze śpiącemu strażnikowi. – W słabym świetle załśnił wyhaftowany śpiący smok. Herb Amaranthy. Skrzywiłam się, ale zarzuciłam go z powrotem na plecy. – Poza tym – dodał Lucien z ironicznym uśmiechem – dość się już na ciebie napatrzyłem przez tę sukienkę. Starczy mi do końca życia.

Splonęłam rumieńcem.

Otworzył drzwi.

– Zaczekaj – poprosiłam. – Czy... czy z Tamlinem wszystko jest w porządku? To znaczy... Chodzi mi o ten czar, który Amarantha na niego rzuciła, żeby siedział tak cicho i nieruchomo...

– Nie rzuciła na niego żadnego czaru. Nie przyszło ci do głowy, że Tamlin celowo się tak zachowuje, aby nie dać Amarancie poznać, który z pomysłów na dręczenie cię najbardziej go dotyka?

Szczerze mówiąc, nie – nie przyszło mi to do głowy.

– Co nie zmienia faktu, że prowadzi niebezpieczną grę – rzucił na odchodne Lucien, wyslizgując się na korytarz. – Jak my wszyscy.

\*\*\*

Następnego wieczoru ponownie zostałam wykąpana, pomalowana i zaprowadzona do tej przeklętej sali tronowej. Tym razem nie było żadnego balu, tylko jakaś wieczorna rozrywka. Szybko się okazało, że za część rozrywkową miałam posłużyć ja. Szczęśliwie po wypiciu wina byłam całkowicie nieświadoma dalszych wydarzeń.

Noc w noc cieniste służki przygotowywały mnie w ten sam sposób i musiałam towarzyszyć Rhysandowi w sali tronowej. W ten sposób zostałam zabawką księcia Dworu Nocy. Ladaczną dziwką Amaranthy. Każdego ranka budziłam się z mglistymi strzępami wspomnień: tańca między nogami Rhysanda siedzącego na krześle i śmiejącego się głośno; jego dłoni poplamionych granatową farbą z mojej talii, moich ramion... Z jakiegoś powodu nigdy nie posuwał się dalej. Kazał mi tańczyć, aż chwytały mnie nudności, a następnie – gdy tylko skończyłam wymiotować – nakazywał mi tańczyć dalej.

Budziłam się wyczerpana i obolała. Chociaż strażnicy wypełniali zakaz dręczenia mnie co do słowa, cowieczorne eskapady wyzuły mnie całkiem z sił. Całe dni odsypiałam zaczarowane wino, uciekając w sen przed myślami o przeżywanym codziennie upokorzeniu. Gdy tylko mogłam, myślałam nad zagadką Amaranthy, obracając każde słowo z osobna na wszystkie

strony. Niestety, bezowocnie.

Gdy wchodziłam do sali tronowej, zawsze dane mi było spojrzeć na Tamlina tylko przez chwilę, zanim byłam zmuszana do wychylenia pucharu magicznego napoju. Ale za każdym razem, każdego wieczoru, przez ten ulotny moment, gdy nasze spojrzenia się spotykały, nie kryłam miłości i bólu wycierających z moich oczu.

\*\*\*

Służki Rhysanda właśnie skończyły mnie malować i ubierać – tego wieczoru moja „sukienka” była koloru czerwonej pomarańczy – gdy do komnaty wkroczył sam książę Dworu Nocy. Kobiety opuściły pomieszczenie, wychodząc – jak zwykle – prosto przez ściany. Ku memu zdziwieniu, zamiast przyzwać mnie gestem, Rhysand zamknął za sobą drzwi.

– Jutro odbędzie się twoja druga próba – powiedział spokojnym głosem. Przy każdym ruchu srebrne i złote nitki zdobiące jego czarną tunikę lśniły w blasku świec. Nigdy nie nosił nic jaśniejszego.

Po chwili dotarło do mnie znaczenie jego słów. Było niczym uderzenie obuchem. Zupełnie straciłam rachubę dni.

– No i?

– Może to być twoja ostatnia próba – oznajmił, opierając się ze skrzyżowanymi ramionami o framugę drzwi.

– Jeśli to ma być wstęp do jakiejś kolejnej twojej gierki, to marnujesz czas.

– Nie masz zamiaru błagać mnie o możliwość spędzenia nocy ze swoim ukochanym?

– Kiedy wykonam ostatnie zadanie, spędzę z nim nie jedną noc, ale dużo więcej.

Rhysand wzruszył ramionami, po czym uśmiechnął się szeroko, odepchnął od framugi i zbliżył do mnie.

– Ciekawym, czy byłaś równie uszczypliwa wobec Tamlina, kiedy byłaś jego branką.

– Nigdy nie traktował mnie jak branki. Ani jak niewolnicy.

– Nie... A jakże by mógł? Na pewno nie z tak wielkim poczuciem winy z powodu okrucieństw jego ojca i braci. Biedna, szlachetna bestia. Lecz może gdyby zechciał dowiedzieć się tego czy owego na temat okrucieństwa, na temat tego, co to znaczy być prawdziwym księciem, uratowałby Dwór Wiosny od upadku.

– Twój dwór również upadł.

W fioletowych oczach Rhysanda pojawił się na chwilę smutek. Nie zauważyłabym tego, gdybym tego nie... poczuła. Gdzieś głęboko w środku mnie samej. Moje spojrzenie zbłądziło na oko wytatuowane na dłoni. Jakiego właściwie rodzaju tatuażem mnie obdarował? Zapytałam go jednak o co innego:

– Gdy cieszyłeś się swobodą podczas Nocy Ognia, w trakcie rytuału początku wiosny... Powiedziałeś wcześniej, że coś cię to kosztowało. Czy byłeś jednym z książąt, którzy ślubowali posłuszeństwo Amarancie w zamian za możliwość opuszczania pałacu pod Górą?

Smutek zniknął z jego spojrzenia, pozostawiając tylko chłodny, lśniący spokój. Przysięgłabym, że na ścianie za nim pojawił się cień potężnych skrzydeł.

– Co robię i co zrobiłem dla swego dworu, nie powinno cię obchodzić.

– A co ona robiła przez te czterdzieści dziewięć lat? Urządzała przyjęcia i torturowała, kogo tylko uznała za stosowne? Po co? – Jak miałam go przekonać, żeby powiedział mi o zagrożeniu, jakie Amarantha stwarza dla świata ludzi, żeby mi wyjaśnił znaczenie tego wszystkiego, żeby mi powiedział, dlaczego musiało się wydarzyć tyle okropności?

– Pani Góry nie potrzebuje uzasadniać swoich działań.

– Ale...

– Czekają na nas na przyjęciu – uciął i wskazał drzwi.  
Wiedziałam, że stąпам po grząskim gruncie, ale nie dbałam o to.  
– Czego chcesz ode mnie? Poza wykorzystywaniem mnie do dręczenia Tamlina.  
– Dręczenie go jest moją największą przyjemnością – odparł i skłonił się szyderczo. – Zaś co do twojego pytania: dlaczego jakkolwiek mężczyzna miałby potrzebować wymówki, aby móc się cieszyć obecnością kobiety?

– Uratowałeś mi życie.

– A ratując twoje życie, uratowałem życie Tamlina.

– Dlaczego?

Puścił do mnie oko i przyglądał niebieskoczarne włosy.

– To, droga Feyro, jest najważniejsze pytanie, czyż nie?

Powiedziawszy to, wprowadził mnie na korytarz.

Gdy weszliśmy do sali tronowej, przygotowałam się psychicznie na ponowne odurzenie i kolejny wieczór upokorzeń. Tym razem jednak to na Rhysanda zwrócone były wszystkie oczy. To Rhysanda odprowadzali wzrokiem bracia Luciena. Ponad muzyką dźwięczał czysty głos wołającej go Amaranthy.

Zawahał się i spojrzał na zbliżających się ku nam rudych młodzieńców, których uwaga przeniosła się z niego na mnie. Pożerali mnie pożądliwymi, wygłodniałymi i okrutnymi spojrzeniami. Już otwierałam usta, aby schowawszy dumę do kieszeni, poprosić Rhysanda, by nie zostawiał mnie z nimi samej, ale właśnie wtedy położył mi dłoń na plecach i pchnął lekko do przodu.

– Trzymaj się blisko mnie i nie odzywaj ani słowem – wymruczał mi do ucha, ujmując mnie za łokieć. Tłum rozstępował się przed nami tak szybko, jakbyśmy płonęli żywym ogniem, nazbyt rychło ukazując naszym oczom, co nas czekało.

Nie nas właściwie, lecz Rhysanda.

Na podłodze przed podestem, na którym stały trony, leżał łkający brązowoskóry fae wysokiego rodu. Amarantha patrzyła na niego z nieprzyjemnym uśmiechem. Pochłaniał jej uwagę tak całkowicie, że nie obdarzyła mnie nawet przelotnym spojrzeniem. Obok niej siedział oczywiście Tamlin – jak zwykle z kamiennym, niewzruszonym spokojem. Bestia pozbawiona pazurów.

Rhysand zerknął na mnie i ruchem oczu nakazał mi pozostanie na skraju zebranego tłumu. Posłuchałam go i spojrzałam na Tamlina. Patrzyłam na jego twarz i czekałam, aż on spojrzy na mnie. Pragnęłam tylko jednego spojrzenia. Ale on nie patrzył. Całą swoją uwagę skupiał na królowej i na łkającym fae. Zrozumiałam, co chciał mi przekazać.

Amarantha wodziła palcem po swoim pierścieniu, obserwując każdy ruch zbliżającego się Rhysanda.

– Chłystek z ziem Lata – powiedziała, wskazując skinieniem głowy leżącego u jej stóp mężczyznę – usiłował uciec przejściem do swojego dworu. Chcę wiedzieć dlaczego.

Na skraju tłumu stał wysoki przystojny fae wysokiego rodu. Włosy miał tak jasne, że aż niemal białe. Jego kryształowo przejrzyste oczy lśniły bladym błękitem, a skóra miała kolor najszlachetniejszego mahoni. Mężczyzna zaciskał mocno zęby, strzelając wzrokiem to na Amaranthę, to na Rhysanda. Widziałam go już wcześniej, przy okazji pierwszego zadania. Był to książę Dworu Lata. Wtedy cały lśnił – złote światło zdawało się wręcz wypływać z porów jego skóry. Teraz był jakby przygaszony, ponury. Tak jakby podczas przesłuchania łkającego fae Amarantha wyssała z niego ostatnią kroplę mocy.

Rhysand wsunął dłonie do kieszeni i powolnym krokiem zbliżył się do leżącego mężczyzny.

Nieszczęśnik skulił się i obrócił do księcia Dworu Nocy twarz lśniąca od łez. Gdy na spodniach mężczyzny pojawiła się powiększająca mokra plama, żołądek ścisnęły mi strach i wstyd.

– P-p-proszę – wyjąkał.

Zebrani wokół zachowywali się nienaturalnie cicho, jakby bali się nawet oddychać.

Zwrócony teraz do mnie plecami Rhysand stał rozluźniony. Ubranie leżało na nim nienagannie jak zawsze. O tym, że jego psychiczne szpony pochwytyły umysł fae, świadczyło tylko nagłe zeszywnienie ciała leżącego.

Księżę Dworu Lata zamarł. Z jego pięknych błękitnych oczu były ból, dotkliwy ból i przemożny strach. Przypomniałam sobie, że jego dwór był wśród tych, które powstały przeciwko Amarancie. Był to więc nowy, nieokrzepły jeszcze księżę, niemuszający dotąd podejmować wyborów, których ceną było życie innych.

Po chwili całkowitej ciszy Rhysand uniósł wzrok na Amaranthę.

– Chciał uciec. Przedostać się do Dworu Wiosny, przekroczyć mur i umknąć na południe, na ziemię ludzi. Nikt mu w tym nie pomagał. Kierowało nim tylko żalosne tchórzostwo.

Na podkreślenie swoich ostatnich słów wskazał głową kałużę moczu. Kątem oka dostrzegłam, że księżę Dworu Lata jakby lekko się rozluźnił. Niby niewiele, ale dość, bym zaczęła się zastanawiać... Jakiego wyboru dokonał Rhysand, gdy przeszukiwał myśli leżącego mężczyzny?

Amarantha przewróciła tylko oczami i rozparła się niedbale na tronie.

– Roztrzaskaj go, Rhysandzie. – Skinęła dłonią na księcia Dworu Lata. – Możesz potem zrobić z jego ciałem, co uznasz za stosowne.

Księżę uklonił się, tak jakby otrzymał właśnie prezent i za niego dziękował, po czym spojrzał na swojego poddanego. Ten siedział spokojnie i nieruchomo na podłodze, obejmując ramionami podciągnięte kolana. Był gotowy, a na jego twarzy malowała się ulga.

Rhys wyjął dłoń z kieszeni i opuścił ją luźno wzdłuż boku. Przysięgłabym, że gdy zakrzywił nieco palce, widziałam błysk cienistych szponów.

– To się robi nudne, Rhysandzie – powiedziała Amarantha z westchnieniem, bawiąc się kością zwisającą z jej szyi. Wciąż nie obdarzyła mnie nawet jednym spojrzeniem. Całą jej uwagę pochłaniała ofiara.

Rhysand zacisnął dłoń w pięść.

Oczy siedzącego rozszerzyły się, po czym zaszyły mgłą i mężczyzna osunął się bezwładnie we własne nieczystości. Krew pociekła mu z nosa i z uszu, tworząc nową kałużę na posadzce.

Tak szybko, tak łatwo, tak nieodwołalnie... Umarł.

– Miałam na myśli jego umysł, nie jego mózg – warknęła Amarantha.

Przez tłum przetoczył się niespokojny pomruk. Chciałam cofnąć się i zatopić w ciżbie fae, przedrzeć się do wyjścia, zaszyć w celi i wypalić to wspomnienie z pamięci. Tamlin przez cały czas siedział niewzruszenie. Nie drgnął mu nawet jeden mięsień. Jakich okropieństw musiał być świadkiem w swoim długim życiu, że potrafił tak całkowicie panować nad sobą w podobnych okolicznościach?

Rhysand wzruszył ramionami i wsunął dłoń z powrotem do kieszeni.

– Wybacz, pani.

Odwrócił się, nie czekając na gest czy słowo królowej. Nie spojrzał na mnie; jedynie mnie minął i skierował swoje kroki do wyjścia. Ruszyłam za nim, ledwo powstrzymując się od drżenia, starając się nie myśleć o leżącym za nami ciele ani o Klarze – wciąż przybitej wysoko do ściany.

Tłum rozstępował się przed Rhysandem i odsuwał na bezpieczną odległość, większą niż

poprzednio.

– Dziwka – syczeli cicho niektórzy, aby królowa ich nie dosłyszała. – Dziwka Amaranthy.

Wielu jednak uśmiechało się z aprobatą.

– Dobrze – mówili. – Dobrze zrobiłeś, zabijając zdrajcę.

Rhysand nijak nie reagował na żadne uwagi rzucane pod jego adresem. Szedł nieśpiesznie, całkowicie rozluźniony. Zastanawiałam się, czy ktokolwiek poza nim i księciem Dworu Lata zdawał sobie sprawę z tego, że ta śmierć była aktem łaski. Byłam gotowa się założyć, że nieszczęśnik nie działał sam, że może nawet sam książę mu pomagał.

Ale może Rhysand zachowywał prawdę w tajemnicy tylko dlatego, że pomagało mu to w jego knowaniach. Może oszczędzenie temu fae cierpień przez ofiarowanie szybkiej śmierci zamiast rozbicia umysłu i pozostawienie śliniącej się skorupy było kolejnym starannie przemyślanym, wynikającym z wyrachowania ruchem w jego gierkach.

Szedł równym krokiem przez całą salę tronową. Przystanął dopiero przy stole z jedzeniem i piciem. Wziął dwa kielichy z winem, jeden podał mi, a drugi wychylił sam. Nie powiedział ani słowa, a chwilę później wino rzuciło mnie w objęcia nieświadomości.

## Rozdział 40

Nadszedł czas na drugie zadanie.

Stałam przed Amaranthą. Wyszczерzone zęby attora lśniły w świetle pochodni. Znajdowaliśmy się w jeszcze innej jaskini, mniejszej od sali tronowej, ale na tyle dużej, żeby mogła niegdyś służyć za salę balową, jednak poza złoceniami pokrywającymi ściany nie zostały żadne dekoracje ani meble. Królowa siedziała na rzeźbionym drewnianym krześle, zaś Tamlin stał obok niej, nieco z tyłu. Staralam się nie patrzeć zbyt długo na attora, który stanął po drugiej stronie krzesła i zamiatał podłogę zamaszystymi ruchami smukłego ogona. Szczęrzył zęby w uśmiechu tylko po to, aby wyprowadzić mnie z równowagi.

I udawało mu się to zrobić, nawet spoglądanie na Tamlina mnie nie uspokajało. Zacisnęłam dłonie w pięści i spojrzałam ponuro na uśmiechającą się jadownicę Amaranthę.

– Cóż, Feyro, nadszedł czas na wykonanie drugiego zadania. – Była tak pewna siebie, tak przekonana, że moja śmierć jest tylko kwestią czasu. Byłam głupia, nie kończąc żywota w paszczy czerwia. Królowa skrzyżowała ramiona i wsparła brodę na dłoni. Uwięzione w pierścieniu oko Juriana obróciło się i spojrzało na mnie. Jego źrenica rozszerzyła się z powodu panującego w jaskini półmroku. – Czy rozwiązałaś już moją zagadkę?

Zachowałam milczenie.

– Jaka szkoda – rzuciła, wydymając wargi. – Na twoje szczęście jestem dziś we wspaniałomyślnym nastroju.

Attor zachichotał. Część zebranych za moimi plecami fae zawtórowało mu syczącymi głosami, od których przeszły mnie ciarki.

– Może trochę poćwiczysz? – zapytała Amarantha. Przybrałam możliwie obojętny wyraz twarzy. Jeśli Tamlin udawał niewzruszonego dla naszego dobra, powinnam wziąć z niego przykład.

Pozwoliłam sobie jednak na krótkie zerknięcie na mojego księcia i napotkałam jego skupione spojrzenie. Gdybym mogła go choć na chwilę objąć, poczuć przez mgnienie oka dotyk jego skóry, odetchnąć jego zapachem, usłyszeć swoje imię w jego ustach...

Cichy syk odbił się echem w zaległej nagle ciszy. Oderwałam wzrok od Tamlina i spostrzegłam, że Amarantha spogląda na niego spod zmarszczonych brwi. Nie sądziłam, że patrzyliśmy na siebie tak długo.

– Rozpocząć – warknęła królowa.

Zanim zdołałam się zebrać w sobie, podłoga zadrżała.

Podłoga pode mną zaczęła się obniżać. Zachwiałam się i zamachałam ramionami, żeby się nie przewrócić. Zjeżdżałam na dno dużej, prostokątnej jamy. Część fae zaśmiała się chrapliwie. Odszukałam spojrzenie Tamlina i patrzyłam mu w oczy, dopóki jego twarz nie zniknęła za krawędzią jamy.

Rozejrzałam się w poszukiwaniu drzwi lub choćby wskazówki tego, co ma nastąpić. Trzy ściany wykute były w lśniącej litej skale – zbyt płaskie i gładkie, aby móc nawet myśleć o wspięciu się po nich. Czwarta okazała się żelazną kratą dzielącą jamę na pół. Za nią...

Oddech zamarł mi w gardle.

– Lucien.

Rudowłosy poseł Tamlina leżał skuty łańcuchami na środku drugiej części jamy. Źrenica jego zdrowego oka była tak rozszerzona, że nie było w ogóle widać rdzawobrunatnej tęczówki. Metalowe oko wirowało jak oszalałe. Paskudna blizna odcinała się ciemną pręgą na bladej skórze. Kolejny raz Amarantha bawiła się jego kosztem.

Nie dostrzegłam żadnych drzwi, żadnego sposobu na przedostanie się do niego. Musiałabym wspiąć się na dzielącą nas kratę. Grube pręty i szerokie przerwy między nimi umożliwiały wygodną wspinaczkę. Mogłabym szybko dostać się na samą górę i zeskoczyć po drugiej stronie. Ale nie odważyłam się spróbować.

Nad moją głową fae zaczęły porozumiewać się przyciszonymi głosami. Po chwili dosłyszałam brzęk monet. Czy Rhysand ponownie postawił na mnie? Spojrzałam w górę i dostrzegłam w tłumie rude włosy, a dokładniej cztery rude czupryny. Zesztywniałam. Wiedziałam, że bracia Luciena nie przepuściliby możliwości obserwowania upokorzenia swojego brata, ale gdzie była jego matka? A jego ojciec? Książę Dworu Jesieni musiał z pewnością być obecny. Powiodłam wzrokiem po zgromadzonych, ale nigdzie ich nie dostrzegłam. Na skraju jamy stali Amarantha z Tamlinem. Królowa skinęła mi głową i wskazała eleganckim gestem ścianę zaczynającą się pod jej stopami.

– Tutaj, moja droga Feyro, znajdziesz swoje bieżące zadanie. Wystarczy, że odpowiesz na pytanie i wybierzesz właściwą dźwignię, a wygrasz. Jeśli wybierzesz niewłaściwą, zginiesz. Ponieważ możliwości są tylko trzy, chyba dałam ci nieuczciwą przewagę. – Pstryknęła palcami i usłyszałam jęk metalu trącego o metal. – Oczywiście jeżeli zdołasz rozwiązać zagadkę, zanim będzie za późno.

Nad moją głową dwie wielkie nabijane kolcami kraty, które wcześniej wzięłam za kandelabry, zaczęły powoli sunąć w dół.

Obróciłam się na pięcie i spojrzałam na Luciena. To dlatego jamę przedzielała krata. Żebym musiała patrzeć na jego śmierć, jednocześnie konając przeszyta metalowymi kolcami. Kolcami, które były rozgrzane do czerwoności.

Lucien szarpnął krępujące go łańcuchy. To nie będzie szybka śmierć.

Obróciłam się do ściany, którą wskazała Amarantha.

Na gładkiej skale wyryto długi napis. Pod nim znajdowały się trzy kamienne dźwignie z wyrytymi nad nimi cyframi I, II i III.

Zaczęłam dygotać. Rozpoznawałam tylko najprostsze słowa – takie jak „trzy”, „ale” czy „ile” – co nie pozwalało mi poznać całości zagadki. Wszystko pozostałe wyglądało jak losowo przemieszane litery, z których części jeszcze się nie nauczyłam.

Najeżona kolcami krata nieuchronnie sunęła w dół. Znajdowała się już na wysokości głowy Amaranthy. Wkrótce odetnie mi jakąkolwiek drogę ucieczki z tej jamy. Żar bijący od rozgrzanego żelaza wycisnął mi pot na czoło. Kto jej zdradził, że nie umiem czytać?

– Coś nie w porządku? – Królowa uniosła brew pytająco.

Skoncentrowałam się na wyrytym w skale napisie, starając się uspokoić oddech. Nie zająknęłam się ani słowem na temat braku umiejętności czytania. Gdyby Amarantha o tym wiedziała, nie omieszkałaby mnie z tego powodu wyszydzić. Było to zatem tylko zrzędzenie okrutnego i bezwzględnego losu.

Łańcuchy zabrzęczały i Lucien zaklął. Obejrzałam się i dostrzegłam, że mruży oczy, aby odczytać napis, ale po jego twarzy widziałam, że jest za daleko, żeby móc rozróżnić poszczególne litery. Nawet jego metalowe oko nie widziało dość ostro z tej odległości. Gdyby ktoś mi przeczytał pytanie na głos, miałabym szansę udzielić prawidłowej odpowiedzi. Choć nigdy nie byłam dobra w rozwiązywaniu zagadek.

Wkrótce przebiją mnie świecące od gorąca kolce i rozgniotą mnie na ziemi niczym dojrzałe winogrono.

Krata minęła krawędź jamy, wypełniając przestrzeń nade mną od ściany do ściany. Nie było miejsca, gdzie mogłabym się ukryć. Jeśli nie odgadnę odpowiedzi, zanim krata minie dźwignie...



Gardło mi się ścisnęło. Wpatrywałam się usilnie w litery, ale nie mogłam odszyfrować słów. Nozdrza wypełniał mi smród rozgrzanego metalu. Żadnej magii, tylko nieubłagane rozgrzane żelazo sunące w dół cal za całem.

– Wybierz odpowiedź! – krzyknął Lucien głosem zdradzającym paniczny lęk.

Oczy mnie zapiekły od wysiłku. Litery tańczyły mi przed nimi, drwiąc ze mnie i szydząc swoimi zawijasami i pałkami.

Żelazo chrobotąo o kamienne ściany jamy, a zebrani nad moją głową fae zdradzali coraz większe ożywienie. Przez dziury w kracie dostrzegłam chichoczącego najstarszego brata Luciena. Było tak gorąco... Tak niemożliwie gorąco.

Obniżające się nieubłaganie kolce były duże i stępione. Czekają mnie powolna i bolesna śmierć. Trochę czasu zajmie przebicie mnie na wylot. Pot spłynął mi po karku i w dół pleców. Kolejny raz przebiegłam wzrokiem wyryte w skale litery i cyfry, które były – czy tego chciałam, czy nie – moją ostatnią deską ratunku. Dwie możliwości oznaczały nieprzyjemny koniec. Jedna oznaczała ratunek.

Odszukałam cyfry w zagadce. To musiało być jakieś zadanie logiczne, labirynt słowny o wiele gorszy od labiryntu olbrzymiego czerwia.

– *Feyro!* – krzyknął Lucien, dysząc ciężko.

Wykrzywione szydlerczo twarze fae wysokiego rodu i ich bardziej poślednich pobratymców wyglądały znad krawędzi jamy.

„Trzy... koń... koniki... pole... polne...”.

Krata była coraz niżej, już tylko kilka stóp dzieliło czubki kolców od czubka mojej głowy. Przysięgłabym, że żar wręcz wypychał powietrze z jamy.

„sok... skok... dały... stały... skakały...”.

Powinnam spojrzeć ostatni raz na Tamlina i pożegnać się z nim bez słów. Teraz, zaraz. To był już kres mojego życia, moje ostatnie chwile. To był już koniec. Ostatnie oddechy, ostatnie uderzenia serca.

– Po prostu wybierz jedną z nich! – wrzasnął Lucien. Część zebranych fae roześmiało się głośno. Jego bracia bez wątpienia śmiali się najgłośniej.

Wyciągnęłam dłoń w stronę dźwigni i wodziłam wzrokiem od jednej cyfry do drugiej.

I, II, III.

Nie widziałam w nich żadnego sensu, żadnego znaczenia poza tym, że dwie z nich oznaczały moją śmierć, a tylko jedna – dalsze życie. Jeśli szczęście się do mnie uśmiechnie, mogę to przeżyć, ale...

Dwa. Dwójka była moją szczęśliwą liczbą, ponieważ przypominała Tamlina i mnie, nas dwoje, mających tylko siebie nawzajem. Jedyńska musiała być zła, gdyż przypominała Amaranthę i attora – istoty całkowicie samotne. Jedyńska była bardzo nieprzyjemna. Trzy to z kolei za dużo – trzy siostry stłoczone w maleńkiej chatce, nieznoszące siebie nawzajem aż do utraty tchu, pozwalające nienawiści zatruć rodzinne życie.

Dwa. Odpowiedź musiała brzmieć „dwa”. Jeśli Kocioł i los zadbają o mnie, byłam gotowa z ogromną chęcią, prawdziwie i żarliwie uwierzyć w jedno i drugie. Wierzyłam w dwójkę. Dwa.

Sięgnęłam ku drugiej dźwigni, ale zanim jej dotknęłam, oślepiający ból przeszył mi rękę. Cofnęłam ramię z sykiem i spojrzałam na dłoń. Wytatuowane oko zwęziło się! Musiałam już halucynować od tego gorąca...

Krata dotarła już do skraju napisu, ledwie parę stóp nad moją głową. Miałam problemy z oddychaniem, nie mogłam pozbierać myśli. Bijący od kolców żar był nie do zniesienia, a wypełniający uszy syk skwierczącego metalu zdecydowanie nie pomagał mi się skupić.

Ponownie sięgnęłam ku środkowej dźwigni, ale znów silny ból sparaliżował mi palce. Wytatuowane oko wróciło do normalnego wyglądu. Sięgnęłam ku pierwszej dźwigni. I tym razem dłoń przeszył niemożliwy do zniesienia ból.

Wyciągnęłam rękę w stronę trzeciej dźwigni. Nic, żadnego bólu. Zaciśnęłam palce na kamieniu i spojrzałam w górę. Krata była niemiłosiernie blisko. Między prętami napotkałam spojrzenie nakrapianych blaskiem gwiazd fioletowych oczu.

Sięgnęłam jeszcze raz ku pierwszej dźwigni. Ból. Ale gdy wróciłam dłonią do dźwigni numer trzy...

Twarz Rhysanda ani drgnęła i nieodmiennie wyrażała bezgraniczne zdumienie. Krople potu spływały mi z czoła na brwi i szczypały w oczy. Mogłam mu zaufać. Mogłam ponownie poddać się jego woli, zmuszona całkowitą bezradnością.

Oglądane z bliska kolce wydawały się takie wielkie. Gdybym wyciągnęła rękę w górę, dotknęłabym ich i poparzyła dłoń.

– Feyro, błagam! – jęknął Lucien.

Dygotałam tak mocno, że ledwo trzymałam się na nogach. Żar bijący od kolców wysysał ze mnie resztki sił.

Pod palcami czułam chłód kamiennej dźwigni.

Zaciśnęłam powieki, nie mogąc spojrzeć Tamlinowi w oczy, przygotowując się na uderzenie i bolesną śmierć, po czym pociągnęłam trzecią dźwignię.

Cisza.

Piekielny żar nie zbliżył się już ani o cal. Ktoś odetchnął z ulgą. Lucien!

Otworzyłam oczy i spojrzałam na wytatuowane palce zaciśnięte na opuszczonej dźwigni aż do pobielenia kłykci. Kolce zatrzymały się ledwie kilka cali nad moją głową.

Zatrzymały się. Naprawdę się zatrzymały.

Wygrałam. Już...

Krata jęknęła i rozpoczęła mozolną wędrówkę w stronę sufitu. Wkrótce chłodne powietrze wlało się na powrót do jamy. Napełniałam nim łapczywie płuca rwanymi wdechami.

Lucien mamrotał pod nosem jakąś modlitwę, raz po raz całując dno jamy. Fragment skały, na którym stałam, drgnął i zaczął sunąć w górę, zmuszając mnie do puszczenia dźwigni, która uratowała mi życie. Nogi się pode mną ugięły.

Brak umiejętności czytania niemal sprowadził na mnie śmierć. Nie wykonałam tego zadania samodzielnie. Opadłam na kolana i ukryłam twarz w drżących dłoniach.

Łzy popłynęły mi po twarzy. Chwilę później znowu poczułam przeszywający ból w lewej ręce. Nie ma mowy, abym poradziła sobie z trzecim zadaniem. Nigdy nie zdołam przywrócić wolności Tamlinowi i jego poddanym. Jeszcze raz ból wstrząsnął mną aż do szpiku kości. Przez narastającą histerię usłyszałam w myślach głos, na dźwięk którego znieruchomiałam.

„Nie daj jej zobaczyć, że płaczesz”.

„Wstań i wyprostuj się”.

Nie mogłam... Nie mogłam się poruszyć.

„Wstań! Nie dawaj jej tej satysfakcji. Nie pokazuj jej swojej słabości”.

Bez udziału mojej woli nogi i kręgosłup wyprostowały się. Gdy skała zatrzymała się przy krawędzi jamy, spojrzałam na Amaranthę suchymi już oczami.

„Dobrze – powiedział w moich myślach Rhysand. – Spójrz na nią hardo, nie odwracaj wzroku. I żadnych łez. Powstrzymaj je, dopóki nie dotrzesz do swojej celi”.

Amarantha siedziała sztywno ze ściągniętą, pobladłą twarzą i patrzyła na mnie lśniącymi niczym onyksy oczami. Wygrałam, choć powinnam była zginąć. Powinnam zostać przebita kolcami, a moja krew powinna rozlewać się teraz szeroko wokół mego bezwładnego ciała.

„Odlicz do dziesięciu. Nie patrz na Tamlina, tylko prosto w jej oczy”.

Posłuchałam go, bo tylko to powstrzymało mnie przed poddaniem się kotłującej się w piersi przemożnej chęci zwinienia się w kłębek i żalostnego łkania.

Zmusiłam się do spojrzenia prosto w oczy królowej. Oczy zimne, przepastne i po brzegi wypełnione pradawnym złem. Ale wytrzymałam jej spojrzenie, nie odwróciłam wzroku. Odliczyłam do dziesięciu.

„Grzeczna dziewczynka. Teraz odejź. Obróć się na pięcie. Dobrze. Idź w stronę drzwi. Głowa wysoko, niech tłum się przed tobą rozstępuje. Spokojnie, krok za krokiem”.

Robiłam, co mi kazał. Jego głos mnie umacniał i nie pozwalał mi się załamać, gdy strażnicy odprowadzali mnie do celi. Ani razu mnie nie dotknęli – cały czas zachowywali bezpieczną odległość. Słowa Rhysanda odbijały się echem w moich myślach, spajając je i nie pozwalając się rozsypać.

Ale kiedy zamknęły się za mną drzwi mojego więzienia, kiedy głos w mojej głowie zamilkł, osunęłam się na podłogę i rozplakałam.

\*\*\*

Plakałam przez wiele godzin. Oplakiwałam siebie, Tamlina oraz to, że powinnam była zginąć, a jednak mimo to przeżyłam. Oplakiwałam wszystko, co straciłam, i wszystkie otrzymane rany – zarówno te fizyczne, jak i te psychiczne. Oplakiwałam tę banalną część mojego umysłu, niegdyś tak pełną barw i gry światła, a teraz tak pustą i ciemną.

Nie mogłam się uspokoić, nie mogłam nawet normalnie oddychać. Nie potrafiłam jej pokonać. To ona dziś wygrała, chociaż nie była tego świadoma.

Wygrała. Przeżyłam tylko dzięki oszustwu. Tamlin nigdy nie odzyska wolności, a ja zginę w jakiś okropny sposób. Nie umiałam czytać... Byłam tylko prostą, durną człeczyną. Moje braki dogoniły mnie i w końcu dały o sobie znać, a teraz to miejsce stanie się moim grobowcem. Nigdy już niczego nie namaluję. Nigdy już nie ujrzę słońca.

Ściany zdawały się chylić ku mnie, sufit osuwał się w dół. Pragnęłam, aby mnie zmiażdżyły, aby zgasiły mój nędzny żywot. Cały świat ciążył ku mnie, coraz mocniej naciskał, wypychając powietrze na zewnątrz. Nie mogłam utrzymać jaźni w swoim ciele, napierające ciągle ściany wyciskały ją ze mnie. Próbowałam uczepić się mojej materialnej powłoki, ale próby były zbyt bolesne. Spokojne, proste życie... To wszystko, czego pragnęłam; wszystko, czego kiedykolwiek odważyłam się pragnąć. Tylko tyle, nic więcej, nic nadzwyczajnego. Ale teraz... Teraz...

Poczułam bardziej, niż zobaczyłam, zafalowanie mroku wypełniającego celę. Wiedziałam, czyje nadejście to oznaczało, nie drgnęłam więc na dźwięk miękkich kroków. Nawet przez chwilę nie łudziłam się nadzieją, że mógłby to być Tamlin. – Wciąż płaczesz? Nie myliłam się. Rhysand.

Nadal ukrywałam twarz w dłoniach. Podłoga i sufit zbliżały się do siebie. Wkrótce miałam zostać sprasowana na placek. W lochach nie było żadnych kolorów, nie było światła. – Wyszłaś zwycięsko z drugiego zadania Amaranthy. Łzy są zbędne.

Zaszlochałam gwałtowniej, a on się tylko roześmiał. Kamienie zadrżały, gdy przyklęknął przy mnie. Chociaż starałam się opierać, chwycił mocno moje nadgarstki i oderwał dłonie od twarzy.

Ściany się nie poruszały. Cella była taka jak wcześniej. Przestrzeń wokół zdawała się we mnie wpatrywać. Żadnych kolorów, lecz wiele odcieni ciemności i nocy. Tylko te nakrapiane blaskiem gwiazd fioletowe oczy były jasne, pełne barw i światła. Uśmiechnął się leniwie, po

czym nachylił się ku mnie.

Próbowałam się odsunąć, ale trzymał mnie zbyt mocno, byłam całkowicie bezradna. Dotknął wargami mojego policzka i zlizął spływającą po nim łzę. Czubek języka palił moją skórę. Byłam tak oszołomiona, że nawet nie próbowałam odsunąć twarzy, gdy zlizął kolejną kroplę słonej wody, i jeszcze jedną. Moje ciało rozluźniło się i zwiotczało, a ja sama zapłonęłam wbrew zimnym dreszczom wstrząsającym moimi kończynami. Dopiero kiedy musnął językiem wilgotne od łez rzęsy, cofnęłam gwałtownie głowę.

Zachichotał i puścił mnie. Odczołgałam się niezdarne w kąt celi, otarłam twarz i spojrzałam na niego z wściekłością. Uśmiechnął się kpiąco i oparł plecami o ścianę.

– Dobrze myślałem, że w ten sposób powstrzymam cię od płaczu.

– To było obrzydliwe. – Jeszcze raz wytarłam twarz.

– Czyżby? – Poruszył kilkakrotnie brwiami i wskazał na wnętrze swojej dłoni – miejsce, gdzie na mojej ręce widniał jego tatuaż. – Przysięgłbym, że pod całą tą dumą, pod całym twoim oślim uporem wyczułem coś zgoła odmiennego. Ciekawe.

– Wynoś się.

– Jak zwykle twoja wdzięczność jest onieśmielająca.

– Czy mam cię ucałować w stopy za to, co zrobiłeś dla mnie podczas tej próby? Czy też mam ci ofiarować kolejny tydzień mojego życia?

– Nie, jeśli sama nie czujesz potrzeby zrobienia tego – odparł. Jego oczy lśniły jak dwie gwiazdy.

Złożenie mojego życia w rękach tego księcia fae było okropne samo w sobie. A gdy dodać do tego tę dziwną więź umożliwiającą mu swobodne odczytywanie moich myśli, uczuć i...

– Kto by pomyślał, że ta przemądrzała ludzka dziewczyna nie umie czytać?

– Ani mi się waży komukolwiek o tym powiedzieć.

– Ja? Ani mi w głowie zdradzać twój sekret. Czemuż to miałbym marnować tak przydatną wiedzę na czcze plotki?

Gdybym miała dość siły, rzuciłabym się w tej chwili na niego i rozerwała na strzępy.

– Odrażający drań.

– Będę musiał spytać Tamlina, czy to takimi właśnie komplementami zdobyłaś jego serce. – Jęknął gardłowo, prostując nogi. Miękkie echo jego głosu przeniknęło mnie aż do szpiku kości.

Spojrzał mi w oczy i uśmiechnął się powoli. Wyszczrzyłam zęby i niemal syknęłam.

– Jutro oszczędzę ci obowiązków towarzyskich – oznajmił, wzruszając ramionami i zмирzając w stronę drzwi celi. – Ale kolejnego wieczoru oczekuję cię w twojej najlepszej formie. – Rzucił mi przez ramię uśmiech sugerujący, że nawet moją najlepszą formę uważa za dość mizerną. Zatrzymał się przy drzwiach, ale jeszcze nie rozplynął w ciemność. – Rozmyślałem nad najlepszymi sposobami dręczenia cię, gdy przybędziesz na mój dwór, i tak się zastanawiam: czy przymusowa nauka czytania będzie dla ciebie tak bolesna, jak to wyglądało dzisiaj?

Zanim zdążyłam skoczyć na niego z pięściami, rozmył się w cieniu.

Wstałam i poczęłam chodzić od ściany do ściany, co parę kroków krzywiąc się w stronę wytatuowanego oka. Rzucałam pod jego adresem wszystkie obelgi, jakie mi tylko przyszły na myśl, ale nie doczekałam się żadnej odpowiedzi.

Dopiero wiele godzin później zrozumiałam, że Rhysand uratował mnie przed kompletnym rozklejeniem się. Bez odpowiedzi pozostawało pytanie, czy zrobił to świadomie.

## Rozdział 41

Kolejne dni wypełniały wydarzenia, których lepiej nie przywoływać z pamięci. Opadła mnie całkowita ciemność. Zaczęłam wręcz wypatrywać z utęsknieniem chwili, gdy Rhysand kolejny raz poda mi kielich zaczarowanego wina, po którego wypiciu stracę świadomość na kilka godzin. Zaprzestałam też prób rozwikłania zagadki Amaranthy. Znalezienie odpowiedzi było niemożliwe, zwłaszcza dla niepiśmiennej, durnej człeczyny.

Rozmyślanie o Tamlinie tylko pogarszało sprawę. Wysłałam zwycięsko z dwóch zadań wyznaczonych mi przez Amaranthę, ale czułam w kościach, że trzecie mnie zabije. Po tym, co spotkało siostrę królowej, co zrobił jej Jurian, nigdy nie pozwoli mi opuścić tego pałacu. Nawet nie mogłam jej za to winić. Wątpiłam, czy ja bym potrafiła kiedykolwiek wybaczyć czy choćby zapomnieć, nawet po wielu wiekach, gdyby ktoś uczynił coś takiego Neście lub Elainie. Co tylko potwierdzało przeczucie, że nie wyjdę spod Góry żywa.

Przyszłość, o której śniłam, okazała się właśnie tylko tym: snem. Ja bym się postarzała, zwiędła, podczas gdy on pozostanie młody na całe wieki, może nawet tysiąclecia. W najlepszym wypadku spędziłabym z nim przed śmiercią kilkadziesiąt lat.

*Kilkadziesiąt lat.* To było wszystko, o co walczyłam. Dla nich: mgnienie oka. Kropla w morzu eonów ich żywotów.

Tak więc łąpczywie wypijałam wino i przestałam się przejmować tym, kim byłam i co niegdyś było dla mnie ważne. Przestałam myśleć o kolorach, o świetle, o zieleni oczu Tamlina, o wszystkim, co wciąż chciałam namalować, a czego już nigdy nie będzie mi dane przenieść na płótno.

Nie wyjdę z tego żywa.

\*\*\*

Szłam posłusznie wraz z cienistymi służkami Rhysanda do komnaty, w której zawsze mnie przebierały, i wpatrywałam się bezmyślnie w przestrzeń, kiedy nagle zza najbliższego rogu dobiegł jakiś syk i pojedyncze trzepnięcie skrzydłami. Attor. Prowadzące mnie fae stężały i lekko uniosły głowy.

Nigdy nie zdołałam przyzwycząić się do attora, jedynie nauczyłam się akceptować jego złowieszczą obecność. Reakcja towarzyszących mi fae zbudziła we mnie uśpiony lęk. Momentalnie zaschło mi w ustach. Chociaż skrywał nas cień, to z każdym kolejnym krokiem nieuchronnie zbliżyliśmy się do tego skrzydlatego demona. Stopy miałam jak z ołowiu.

Wtem na posykiwanie attora odpowiedział niski, gardłowy głos i czyjeś pazury stuknęły o kamień. Służki Rhysanda wymieniły w milczeniu spojrzenia, po czym błyskawicznym ruchem wciągnęły mnie do pobliskiej wnęki. Ledwie przyłgnęliśmy we trzy do zimnej ściany, a zasłonił nas długi gobelin, którego jeszcze przed chwilą tam nie było, zaś cienie pogłębiły się i pociemniały. Miałam przeczucie, że gdyby ktoś zajrzał za naszą zasłonę, ujrzałby tylko mrok i kamień.

Jedna z fae zakryła mi usta dłonią, przyciągając mocno do siebie. Wijące się cienie spłynęły z jej ręki na moją. Poczułam woń jaśminu – coś, czego dotąd nie zauważyłam. Tknęło mnie teraz, że przez te wszystkie dni nie poznałam nawet ich imion.

Attor i jego towarzysz wyszli zza rogu, rozmawiając przyciszonymi głosami. Gdy zaczęłam rozróżniać słowa, zrozumiałam, że służki nie ukryły się tylko po to, by pozostać niedostrzeżonymi.

– Tak – powiedział attor. – Dobrze. Ucieszy się, że w końcu są gotowi.

– Ale czy książęta dołączą do niej ze swoimi siłami? – zapytał gardłowy głos. W moich uszach brzmiał jak chrząkanie świni.

Rozmawiający zbliżali się coraz bardziej, nieświadomi naszej obecności. Służki Rhysanda napały na mnie mocniej. Były tak spięte, że aż wstrzymały oddechy. Służki... I zarazem szpiedzy.

– Książęta postąpią tak, jak ona rozkaże – stwierdził attor z wyższością. Jego ogon sunął z szelestem po podłodze.

– W Hybernii wśród żołnierzy krążą pogłoski, że król nie jest zadowolony z sytuacji z tą dziewczyną. Amarantha ponownie zawarła głupi układ. Poprzednim razem przegrał wojnę przez nią i jej fiksację na punkcie Juriana. Jeśli ponownie go zawiedzie, nie będzie równie skłonny jej wybaczyć. Wykradnięcie mu zaklęć i zagarnięcie ziem na własność to jedno, a nieudzielenie mu pomocy drugi raz z rzędu to coś zupełnie innego.

Odpowiedział mu głośny syk i kłapięcie zębów.

– Pani nie wchodzi w układy, które nie są dla niej korzystne. Pozwala im poczuć smak nadziei, aby po jej skruszeniu złamać wolę delikwenta i uczynić go swoim wiernym sługą.

Teraz znajdowali się tuż przed gobelinem.

– Módl się, żeby tak było – odparł gardłowy głos.

Cóż to był za stwór, który nie bał się w tak bezceremonialny sposób rozmawiać z attorem? Służka zasłaniająca mi usta zacisnęła mocniej spowitą w cienie dłoń. Attor i jego rozmówca minęli nas i poszli dalej.

Alis przestrzegła mnie przed poleganiem na moich zmysłach. Już raz attor mnie złapał, gdy byłam święcie przekonana, że nic mi nie grozi...

– A ty naucz się powściągać język – ostrzegł towarzysza attor. – W przeciwnym razie pani ci w tym pomoże, a nie operuje zbyt delikatnie szczypcami.

Drugi stwór znów zachrzakał jak świnią.

– Obejmuje mnie immunitet nadany przez króla. Jeśli twoja *pani* uważa, że stoi wyżej od niego, bo włada tym nędznym skrawkiem ziemi, rychło sobie przypomni, kto może odebrać jej całą moc. Bez uciekania się do zaklęć i mikstur.

Attor nie odpowiedział, choć część mnie pragnęła, aby się odciął. Stwór jednak zachował milczenie i wtedy strach uderzył we mnie jak obuchem.

Jakiegolwiek plany król Hybernii snuł przez te wszystkie lata, jakkolwiek pragnął odebrać śmiertelnikom przyznane im na mocy Traktatu ziemie, wyglądało na to, że nie zamierzał już dłużej czekać. Może wkrótce Amarantha dostanie to, czego pragnęła: zniszczenie krain ludzi.

Krew zastygła mi w żyłach. Nesta... Ufałam Neście, że wywiezie ojca i siostrę na południe, że ich ochroni.

Odgłosy kroków ucichły w oddali, ale służki Rhysanda rozluźniły się dopiero co najmniej minutę później. Zasłaniający wnękę gobelin zniknął i wyslizgnęłyśmy się z powrotem na korytarz.

– Co to było? – zapytałam, wodząc wzrokiem od jednej do drugiej. W międzyczasie cienie wokół nas nieco się rozwiały i świat odrobinę pojaśniał. – *Kto* to był? – uściśliłam.

– Problemy – odparły unisono.

– Czy Rhysand wie?

– Wkrótce się dowie – odpowiedziała tym razem tylko jedna z nich, po czym ruszyłyśmy już w milczeniu do czekającej na mnie komnaty.

Cóż, i tak nie mogłam nic poradzić na plany króla Hybernii. Na pewno nie w sytuacji, gdy tkwiłam uwięziona pod Górą i nie zdołałam jeszcze uwolnić Tamlina, a tym bardziej samej siebie. Poza tym Nesta była gotowa w każdej chwili uciec razem z rodziną, nie musiałam więc

nikogo dodatkowo ostrzegać. Minął więc kolejny dzień, przybliżając termin trzeciej próby.

\*\*\*

Zamknęłam się w sobie tak mocno, że potrzeba było czegoś wyjątkowego, żeby mnie wyrwać na powrót do świata. Obserwowałam taniec światłocieni na wilgotnym sklepieniu celi. Przypominało mi to blask księżyca odbijający się od fal na wodzie. W pewnym momencie przez kamienie, wijąc się po podłodze, dotarł do mnie nowy dźwięk.

Byłam już tak przyzwyczajona do dziwnych melodii wygrywanych na fletach i bębnach, że gdy usłyszałam miłą dla ucha muzykę, w pierwszym odruchu wzięłam ją za majak. Czasem, gdy wpatrywałam się dość długo w sufit, stawał się on bezkresnym przestworem rozgwieżdżonego nocnego nieba, a ja – małą, niegodną uwagi drobiną porywaną wiatrem.

Spojrzałam na niewielki otwór w rogu sufitu, z którego zdawała się dobiegać muzyka. Jej źródło musiało być gdzieś daleko, gdyż słyszałam bardzo przytłumione dźwięki. Jednak gdy zamknęłam oczy, słyszałam ją wyraźniej. Mogłam... Mogłam ją zobaczyć, tak jakby była wspaniałym obrazem, żywym freskiem.

Z melodii biło piękno; piękno i dobro. Kolejne takty przenikały się i mieszały jak ciasto wylewane z misy do formy. Jedna nuta na drugiej, stapiające się w całość, wzbierające i wypełniające mnie. Nie była to dzika muzyka, ale przepelniała ją silne uczucie: przelewające się na przemian radość i żal. Podciągnęłam kolana do piersi, aby poczuć dotyk własnej skóry, choć cała była pokryta tą oleistą farbą.

Muzyka wytyczała ścieżkę, wiodący w górę szlak prowadzący po łukach zbudowanych z różnorodnych barw. Podążyłam za nią, wyszłam z celi, przebiłam się przez kolejne warstwy ziemi, cały czas wyżej i wyżej, aż wyłoniłam się na łące bławatków, skąd wzniosłam się jeszcze wyżej, ponad korony drzew, prosto w otwarte niebo. Rytm muzyki był niczym dłonie delikatnie niosące mnie w górę, wynoszące w przestworza, na wskroś, przez chmury. Nigdy dotąd nie widziałam takich chmur – w ich kłębach dostrzegałam liczne twarze, piękne i smutne. Kiedy próbowałam się którejs dokładnie przyjrzeć, rysy rozplływały się i stawały na powrót obłokiem. Skierowałam wzrok w dal, w stronę, w którą niosła mnie muzyka.

Był zachód albo wschód słońca. Gorejący dysk malował chmury na fioletowo i karminowo, złocistopomarańczowe promienie przeplatały się z moją ścieżką, tworząc wstęgę jakby lśniącego metalu.

Pragnęłam opaść na nią, chciałam spalić się w słonecznym żarze, pozwolić im wypełnić mnie tak wielką radością, że sama stałabym się złocistym blaskiem. Nie była to muzyka do tańca, taką melodię należało wielbić. Nuty wypełniały luki w mej duszy i niosły mnie w miejsce, gdzie nie ma bólu.

Zorientowałam się, że płaczę, dopiero gdy ciepła łza spadła mi na ramię. Ale ja tylko chwyciłam muzykę mocniej, ściskając ją jak występ skalny, pod którym ziała bezdenna przepaść. Dotąd nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak bardzo nie chciałam spaść w tę czarną otchłań, jak bardzo pragnęłam zostać wśród chmur, wśród światła i barw.

Pozwoliłam dźwiękom zdruzgotać mnie, powalić płasko na podłoże i zmiażdżyć brzmieniem bębnów. Cały czas w górę, wyżej i wyżej, ku wzniesionemu ponad chmurami pałacowi, ku salom z alabastru i księżycowego kamienia, gdzie wszystko, co cudowne, miłe i wspaniałe, trwało w pokoju. Płakałam rzewnie z żalu, że znajduję się tak blisko tego pałacu, a nie mogę doń wejść. Płakałam z tęsknoty za tym, co się w nim znajdowało. A zostało tam wszystko, czego pragnęłam... Został tam ten, którego kochałam...

Muzyka była palcami Tamlina trącającymi struny mego ciała. Była złotem w jego oczach i krzywizną jego uśmiechu. Była tym cichym śmiechem; była sposobem, w jaki wymówił te dwa

słowa. O to walczyłam. Właśnie to przysięgłam ocalić.

Muzyka wzmagała się, stała się głośniejsza, wspanialsza, szybsza, jak kulminacyjna fala rozbijająca mrok w mojej celi. Gdy dźwięki umilkły i w ich miejsce wlała się ponownie cisza, wstrząsnął mną potężny szloch. Siedziałam tak, dygocząc i łkając, obnażona przez muzykę i barwy w moich myślach.

Gdy łyzy obeschły, wciąż słyszałam jej echa w każdym tchu. Leżałam więc na mojej kupce słomy i wsłuchiwałam się w rytm własnego oddechu.

Melodia trzepotała po moich wspomnieniach, spajając je, tkając z nich koc, którym mogłam się owinąć, pod którym mogłam ogrzać ciało. Spojrzałam na oko wytatuowane na dłoni, ale ono tylko tam tkwiło bez ruchu.

Dwa dni dzieliły mnie od ostatecznej próby. Jeszcze tylko dwa dni i przekonam się, co wiry w Kotle dla mnie przygotowały.



## Rozdział 42

Przyjęcie przypominało wszystkie wcześniejsze. Z tym wyjątkiem, że miało być najpewniej moim ostatnim. Mężczyźni i kobiety fae pili, bawili się i tańczyli, śmiali się i śpiewali sprośne, dziwaczne piosenki. Nie przejawiali ani krzty podekscytowania tym, co mogło nastąpić nazajutrz. Co mogłam zmienić dla nich i dla ich świata. Może oni też przeczuwali, że zginę.

Tkwiałam pod ścianą, całkiem zapomniana przez bawiących się, oczekując na skiniecie Rhysanda i polecenie wypicia wina, abym potem dla niego tańczyła lub robiła dowolne inne rzeczy, których sobie zażyczy. Miałam na sobie swój zwyczajowy strój i oczywiście byłam pokryta od szyi w dół ciemnoniebieską farbą. Tego wieczoru moja przejrzysta „sukienka” była w odcieniu różu kojarzącego mi się z niebem o zachodzie słońca. W zestawieniu z zawijasami pokrywającymi moją skórę kolor ten wydawał się zbyt jaskrawy i zbyt kobiecy. Zbyt radosny, zważywszy na to, co czekało mnie następnego dnia.

Tym razem Rhysand zwlekał dłużej niż zwykle z przyzwaniem mnie, chociaż zapewne jakiś związek z tym miała gibka fae siedząca na jego kolanach i muskająca mu ucho długimi zielonymi palcami. Wkrótce jednak znudził się nią.

Nawet nie próbowałam szukać wzrokiem Amaranthy. Uznałam, że lepiej wyjdę na udawaniu, iż jej tu nie ma. Lucien nigdy nie rozmawiał ze mną przy świadkach, a Tamlin... W ostatnich dniach coraz trudniej było mi na niego patrzeć.

Chciałam, żeby było już po wszystkim. Chciałam, żeby wino pomogło mi przetrwać ten ostatni wieczór i przyśpieszyło spotkanie z losem. Tak bardzo wyczekiwałam przyzwania przez Rhysanda, że zauważyłam obecność kogoś przy mnie dopiero wtedy, gdy ciepło jego ciała ogrzało moją skórę.

Zeszywniałam, wyczuwając zapach deszczu i ziemi, ale nie mogłam się zdobyć na odwrócenie się i spojrzenie na Tamlina. Staliśmy tak obok siebie, obserwując przyjęcie, niewzruszeni i niezauważani jak posągi.

Jego palce musnęły moje, posyłając przeze mnie rzekę ognia, parząc mnie tak mocno, że do oczu napłynęły mi łzy. Chciałam, aby nie dotykał mojej splamionej dłoni, żeby jego palce nie wodziły po liniach tego przeklętego tatuażu.

Ale jednocześnie rozkoszowałam się tą chwilą, bo na te kilka uderzeń serca, kiedy nasze dłonie się zetknęły, moje życie znów stało się piękne.

Pilnowałam się, aby na twarzy nie drgnął mi ani jeden mięsień. Tamlin opuścił dłoń i odszedł równie szybko, jak się pojawił, zanurzając się z powrotem między rozbawionych fae. Zrozumiałam, o co mu chodziło, dopiero gdy obejrzał się przez ramię i lekko przekrzywił głowę.

Serce zabiło mi mocniej niż podczas dwóch pierwszych prób. Przybrałam jak najbardziej znudzony wyraz twarzy, po czym oderwałam się od ściany i pozornie niedbałym krokiem ruszyłam za nim. Wybrałam inną drogę, ale nieuchronnie zmierzałam do niewielkich drzwi częściowo schowanych za gobelinem, przy którym na moment się zatrzymał. Miałam tylko kilka chwil, zanim Rhysand zauważy moją nieobecność i zacznie mnie szukać. Ale wystarczyłaby mi nawet jedna minuta sam na sam z Tamlinem.

Z ledwością łapałam oddech, zbliżając się krok po kroku do drzwi, mijając podwyższenie, na którym stał tron Amaranthy, przechodząc obok grupy chichoczących fae... Tamlin niemal niezauważalnie zniknął za drzwiami. Spowolniłam krok, meandrując na pozór bez celu. Teraz już nikt nie zwróci na mnie uwagi, dopóki Rhys nie odurzy mnie i nie zacznie się mną bawić. Zbyt szybko stanęłam przed drzwiami i otworzyłam je bezgłośnie, prześlizgując się na drugą stronę.

Spowila mnie ciemność. Ujrzałam nagły błysk zieleni oraz złota i już ciepło ciała Tamlina

otuliło mnie, a nasze usta się spotkały.

Nie potrafiłam go całować dość namiętnie, obejmować dość mocno, dotykać dość intensywnie, by się nasycić. Nie potrzebowaliśmy słów.

Wyjęłam mu koszulę ze spodni, pragnąc przesunąć ten ostatni raz dłonią po jego torsie. Z dużym trudem stłumiłam jęk, gdy chwycił moją pierś. Nie chciałam, aby był delikatny, gdyż uczucia, jakie do niego w tej chwili żywiłam, dalekie były od delikatności. Targała mną silna, gorejąca, dzika żądza i czułam, że on odczuwa to samo.

Oderwał usta od moich i ugryzł mnie w szyję – tak jak to zrobił w Noc Ognia. Musiałam zacisnąć mocno zęby, aby nie jęknąć głośno i nas nie wydać. To mógł być ostatni raz, kiedy go dotykałam. To mogło być nasze ostatnie takie spotkanie. Nie mogłam go zmarnować.

Chwyciłam sprzączkę jego pasa, a on ponownie przywarł wargami do moich ust. Nasze języki zatańczyły razem, lecz nie był to walc czy menuet, lecz taniec wojenny, taniec śmierci z rytmem wybijanym piszczelami na bębnach i wyjąłymi przeciągle skrzypcami.

Pragnęłam go tu i teraz.

Zarzuciłam nogę na jego biodro, przyciągając go do siebie. Naparł na mnie łędwiami, przygniatając mnie do lodowatej ściany. Uporałam się w końcu ze sprzączką i rozpięłam pas. Tamlin wywarczał mi do ucha swoje pożądanie – niski, głęboki dźwięk, od którego oczy zaszczyły mi czerwoną mgłą przecinaną oślepiająco białymi błyskawicami. Oboje wiedzieliśmy, co stanie się następnego dnia.

Wyszarpnęłam skórzany pas ze szlufek, odrzuciłam go na bok i zaczęłam gorączkowo ściągać mu spodnie. Ktoś odchrząknął.

– Haniebne – zamruczał Rhysand. Oderwaliśmy się od siebie i obróciliśmy do niego. Stał w słabym świetle wpadającym przez uchylone drzwi, ale za nami, głębiej w korytarzyku, więc nie wszedł tu od strony sali tronowej, gdzie trwało przyjęcie. Znając jego możliwości, zapewne przeniknął przez ściany. – Zwyczajnie haniebne. – Zbliżył się. Tamlin cały czas trzymał mnie w swoim uścisku. – Spójrz tylko, co zrobiłeś z moją zabawką.

Oboje dyszeliśmy ciężko, nie odzywając się ani słowem. Powietrze złożyło zimny pocałunek na mojej skórze, na moich odsłoniętych piersiach.

– Amarantha byłaby wielce poruszona, gdyby dowiedziała się, że jej mały wojownik zabawiał się z ludzką pomocą domową – ciągnął książę Dworu Nocy, krzyżując ramiona na piersi. – Ciekawe, jak by cię ukarała. A może pozostałaby wierna swoim zwyczajom i ukarałaby Luciena? W końcu wciąż ma jeszcze jedno oko. Może je również osadziłaby w pierścieniu.

Bardzo, bardzo powoli Tamlin oderwał ode mnie ręce i cofnął się.

– Cieszę się, że zdecydowałaś się postąpić rozsądnie – skwitował jego ruch Rhysand. Mój ukochany z trudem powstrzymywał gniew. – A teraz bądź mądrym księciem, zapnij pas i doprowadź swoje ubranie do porządku, zanim tam wrócisz.

Tamlin spojrzał na mnie i ku mej rozpaczy posłuchał Rhysanda. Przez cały czas, gdy wyglądał koszulę i tunikę, poprawiał włosy i zapinał pas na spodniach, nie odrywał oczu od mojej twarzy. Farba pokrywająca jego dłonie i ubranie – farba z mojej skóry – zniknęła.

– Baw się dobrze na przyjęciu – zamruczał melodyjnie Rhysand, wskazując drzwi prowadzące na salę tronową.

Zielone oczy Tamlina zalśniły, gdy nasze spojrzenia się spotkały.

– Kocham cię – powiedział cicho i nie patrząc na Rhysanda, wyszedł z korytarza.

Światło z sali tronowej na chwilę mnie oślepiło. Nie obejrzał się na mnie, tylko szybko zamknął drzwi. W korytarzu ponownie zapanował półmrok.

Rhysand zachichotał.

– Jeśli tak bardzo potrzebujesz rozładowania napięcia, powinnaś była zwrócić się do

mnie.

– Wieprz – wypaliłam, zasłaniając piersi półprzezroczystymi paskami materiału służącymi mi za sukienkę.

Kilkoma lekkimi krokami podszedł do mnie, chwycił moje ręce i przycisnął je do ściany. Moje kości zajęczały z bólu. Przysięgłabym, że cieniste szpony wbiły się w kamień przy mojej twarzy.

– Czy naprawdę zamierzasz zdać się na moją łaskę, czy też jesteś zwyczajnie głupia? – Jego głos przepełniał zmysłowy, kruszący kości gniew.

– Nie jestem twoją niewolnicą.

– Jesteś idiotką, Feyro. Czy ty masz w ogóle pojęcie, co by się stało, gdyby Amarantha przydybała was dwoje tutaj? Tamlin może odmawiać zostania jej kochankiem, ale ona trzyma go blisko siebie w nadziei, że kiedyś go złamie, że go zdominuje, tak jak to uwielbia robić z nami wszystkimi. – Milczałam. – Jesteście oboje głupcami – wymruczał. Oddychał bardzo nierówno. – Jak mogłaś nie pomyśleć, że ktoś zauważy wasze zniknięcie? Powinnaś dziękować Kotłowi, że nie obserwowali cię rozkoszni braciszczowie Luciena.

– A co ci zależy? – odwarknęłam. Jego chwyt na moich nadgarstkach przybrał na sile. Czułam, że jeszcze chwila, a moje kości popękają.

– Co mi zależy? – wyszeptał, a wściekłość wykrzywiła mu twarz. Skrzydła, te wspaniałe skórzaste skrzydła, wyrosły mu z pleców, utkane z czających się za nim cieni. – Co *mi* zależy?

Nie dokończył jednak, tylko spojrzał gwałtownie na drzwi, a potem z powrotem na moją twarz. Skrzydła zniknęły równie szybko, jak się pojawiły. Zanim się obejrzałam, przywarł swoimi wargami do moich i wepchnął mi język do ust. Siłą i gwałtem wdarł się do miejsca, gdzie jeszcze czułam smak Tamlina. Próbowałam go odepchnąć, miotałam się w jego uścisku, ale trzymał mnie zbyt mocno. Przesunął językiem po moim podniebieniu, po zębach, biorąc w posiadanie moje usta, mnie...

Drzwi otworzyły się na oścież i pojawiła się w nich Amarantha. Obok niej stał Tamlin. Gdy dostrzegł, co się dzieje, jego oczy rozszerzyły się gwałtownie.

Królowa zaśmiała się, a mój książę błyskawicznie przybrał kamienny wyraz twarzy, zmywając z niej najmniejszy ślad uczucia, wszystko, co choć trochę przypominało mojego ukochanego, którego jeszcze kilka chwil wcześniej trzymałam w objęciach.

Rhys oderwał się ode mnie i polizał mnie po wardze. Zebrany za plecami Amaranthy tłum fae dołączył do jej śmiechu. Książę Dworu Nocy posłał im leniwy, zadowolony z siebie uśmiech i skłonił się królowej. W jej oczach pojawił się dziwny błysk. W końcu nazywali go jej dziwką...

– Wiedziałam, że to tylko kwestia czasu – powiedziała, kładąc dłoń na ramieniu Tamlina i unosząc drugą tak, aby oko Juriana mogło zobaczyć całą scenę. – Wy, ludzie, jesteście wszyscy tacy sami.

Zachowałam milczenie, chociaż miałam ochotę spłonąć ze wstydu, chociaż pragnęłam wszystko wyjaśnić. Tamlin *musiał* wiedzieć, co się stało naprawdę.

Nie dostałam jednak luksusu poznania myśli księcia Dworu Wiosny, gdyż Amarantha tylko cmoknęła i odwróciła się. Wraz z Tamlinem i całym towarzystwem ruszyła z powrotem do sali tronowej.

– Typowy ludzki śmieć o niestałym, nijakim sercu – powiedziała do siebie tonem przywodzącym na myśl kota, który właśnie zjadł kanarka.

Rhys ruszył za nimi, chwytając mnie za ramię i ciągnąc za sobą. Gdy padło na nas światło rzęsiście oświetlające salę tronową, dostrzegłam smugi na farbie pokrywającej moje ciało – na piersiach, na brzuchu... A także plamy tejsze farby, które w jakiś niewytłumaczalny sposób pojawiły się na dłoniach Rhysanda.

– Znudziłem się tobą na dziś – rzucił książkę Dworu Nocy, popychając mnie lekko w stronę głównych drzwi. – Wracaj do swojej celi.

Amarantha i wszyscy dworzanie uśmiechnęli się na te słowa wesoło, przyglądając się rozmazanej farbie. Odszukałam wzrokiem Tamlina. Szedł odwrócony do mnie plecami na swoje miejsce obok tronu Amaranthy. Tak jakby nie mógł znieść mojego widoku w tym stanie.

\*\*\*

Kilka godzin później zbudziły mnie czyjeś kroki na podłodze celi. Usiadłam gwałtownie i rozejrzałam się. Z jednego z cieni wyszedł Rhys.

Wciąż czułam na wargach żar jego pocałunku, wciąż miałam smak jego języka w ustach, chociaż trzy razy płukałam je wodą z wiadra stojącego w kącie pomieszczenia.

Górne guziki jego tuniki były rozpięte. Książę przeczesał palcami włosy, po czym bez słowa oparł się plecami o przeciwległą ścianę i osunął się na podłogę.

– Czego chcesz?

– Chwili spokoju i wytchnienia – odwarknął, rozcierając skronie.

Zawahałam się.

– Od czego?

Wciąż masował swoją bladą skórę, to unosząc, to ciągnąc w dół kąciaki oczu. W górę i w dół. Westchnął.

– Od tego bałaganu.

Odsunęłam się na jak najdalszy róg mojego posłania ze słomy. Nigdy dotąd nie był taki bezpośredni.

– Ta przekłeta suka wpędzi mnie kiedyś do grobu. – Opuścił dłonie i oparł głowę o ścianę. – Ty mnie nienawidzisz. Wyobraź sobie, jakbyś się czuła, gdybym zmusił cię do usługiwania mi w mojej sypialni. Jestem księciem Dworu Nocy, a nie jej dziwką.

A więc pogłoski mówiły prawdę. Z łatwością mogłam sobie wyobrazić, jak bardzo bym go znienawidziła w takiej sytuacji. A także co by ze mną zrobiło zniewolenie przez kogoś takiego.

– Dlaczego mi to mówisz?

Duma i złośliwość zniknęły jak ręką odjął.

– Ponieważ jestem zmęczony i samotny, a ty jesteś jedyną osobą, z którą mogę porozmawiać, nie narażając się na śmiertelne niebezpieczeństwo. – Zaśmiał się cicho. – Cóż za absurd: książkę Prythianu i...

– Jeśli masz zamiar mnie obrażać, możesz wyjść w tej chwili.

– Ale tak dobrze mi idzie. – Posłał mi jeden ze swoich popisowych uśmiechów.

Odpowiedziałam mu wrogim spojrzeniem, lecz on tylko westchnął. – Jeden twój fałszywy krok jutro pogrzebie nadzieję nas wszystkich.

Jego słowa wzbudziły we mnie tak silny lęk, że ledwo mogłam złapać oddech.

– Jeśli zawiedziesz – ciągnął dalej, mówiąc bardziej do siebie niż do mnie – Amarantha będzie władała tymi krainami po wsze czasy.

– Jeżeli raz zdołała ukraść Tamlinowi moc, czy nie będzie mogła zrobić tego ponownie? – To było pytanie, którego dotąd bałam się zadać.

– Drugi raz twój książę nie da się tak łatwo podejść – odparł, wpatrując się w sufit. – Jej najgroźniejszą bronią są nasze uwięzione moce. Ale ona nie może z nich korzystać, nie w pełni. Jednak może za ich pomocą kontrolować nas. To dlatego nigdy nie dałbym rady strzaskać jej umysłu. To dlatego wciąż żyje. W chwili, w której złamiesz klątwę Amaranthy, Tamlin będzie mógł uwolnić swój tłumiony dotąd gniew z całą siłą. Nic na tym świecie nie zdoła powstrzymać

go od rozsmarowania jej po okolicznych ścianach.

Przeszył mnie zimny dreszcz.

– Jak myślisz, dlaczego to robię? – Skinął dłonią w moją stronę.

– Bo jesteś potworem.

Zaśmiał się.

– To prawda, ale jestem też pragmatykiem. Wzbudzenie w Tamlinie ślepej wściekłości jest naszą najlepszą bronią przeciwko niej. Przyglądanie się, jak zawierasz niekorzystną umowę z Amaranthą, to jedno, lecz gdy Tamlin zobaczył mój tatuaż na twojej ręce... Och, gdybyś się urodziła z moimi zdolnościami, gdybyś tylko mogła poczuć tę furję, która wręcz z niego wyciekała.

Wolałam nie myśleć zbyt wiele o jego umiejętnościach.

– A skąd pewność, że ciebie też nie rozsmaruje na ścianie?

– Może spróbuje... Ale mam przecucie, że najpierw zabije Amaranthę. Zresztą do tego wszystko się sprowadza: można ją obarczyć winą nawet za twoją podległość mnie. Dlatego właśnie on ją jutro zabije, a ja zostanę uwolniony spod jej czaru, zanim zdoła mnie zaatakować. W takich okolicznościach nasz pojedynek zrówna naszą nigdy świętą górę z ziemią. – Przyjrzał się krytycznie swoim paznokciom. – A ja mam jeszcze kilka asów w rękawie.

Uniosłam brwi w niemym pytaniu.

– Feyro, na litość Kotła, owszem, odurzam cię, ale czy nigdy nie zastanowiło cię, czemu nie dotykam niczego więcej poza talią i ramionami?

Aż do dziś, aż do tego przekłętą pocałunku. Zazgrzytałam zębami, ale mimo kipiącego coraz mocniej gniewu zaczęłam dostrzegać prawdę.

– To jedyny dowód mojej niewinności – powiedział. – Jedyna rzecz zdolna sprawić, że Tamlin zastanowi się dwa razy, zanim rozpocznie ze mną walkę, która przyniosłaby niepowetowane straty i kosztowałyby wiele niewinnych żyć. Tylko w ten sposób mogę go przekonać, że cały czas byłem po twojej stronie. Bo możesz mi wierzyć, bardzo chętnie zażyłbym z tobą rozkoszy, ale gra toczy się o wiele wyższą stawkę niż zalegnięcie w łóżku z ludzką kobietą.

Chociaż doskonale znałam odpowiedź, zadałam pytanie:

– Jaką stawkę?

– Moje ziemie – odparł, spoglądając na mnie nieobecny wzrokiem, którego jeszcze u niego nie widziałam. – To, co zostało z moich poddanych, zniewolonych przez despotyczną królową, która jednym słowem może skazać ich na śmierć. Z pewnością Tamlin podzielił się z tobą podobnymi odczuciami.

Nie zrobił tego, nie wprost. Z powodu klątwy nie mógł mi tego wszystkiego powiedzieć.

– Dlaczego Amarantha wybrała ciebie? – odważyłam się zapytać. – Dlaczego uczyniła cię... swoją dziwką?

– Poza tym, co oczywiste? – Wskazał dłonią swoją doskonałą twarz. Gdy nie doczekał się ode mnie uśmiechu, westchnął przeciągle. – Mój ojciec zabił ojca Tamlina. I jego braci.

Zaniemówiłam. Tamlin nigdy nie wspomniął mi, że odpowiada za to Dwór Nocy.

– To długa opowieść, a ja nie jestem w nastroju, aby ci ją przybliżyć. Powiem tylko tyle, że gdy Amarantha zabrała nam nasze ziemie, uznała za stosowne szczególnie okrutne ukaranie syna zabójcy jej przyjaciela. Na tyle nienawidziła mnie za czyny mojego ojca, że uznała za stosowne zmuszenie mnie, abym za nie odpokutował.

Gdyby z głowy nie uciekły mi wszystkie myśli, pewnie mogłabym wyciągnąć ku niemu rękę, przeprosić. To, co Amarantha mu wyrządziła...

– Tak więc – ciągnął znużony – losy świata nieśmiertelnych spoczywają w rękach

niepiśmiennej człeczyny. – Zaśmiał się nieprzyjemnie, zwiesił głowę, oparł czoło na dłoni i zamknął oczy. – Co za bałagan.

Jakaś część mnie poszukiwała słów, którymi – wykorzystując jego chwilową słabość – mogłabym go zranić. Jednak jakaś inna cząstka przywoływała wszystko, co do tej pory powiedział, wszystkie jego czyny – w tym to, jak gwałtownie spojrział w stronę drzwi, zanim mnie pocałował.

Z pewnością wiedział, że zaraz pojawi się w nich Amarantha. Może zrobił to po to, żeby wzbudzić w niej zazdrość, albo może...

Jeśliby mnie nie pocałował, gdyby się nie pojawił i nam nie przerwał, wróciłabym na salę tronową z całkowicie rozmazaną farbą. Wszyscy, a zwłaszcza Amarantha, domyśliliby się, co robiłam. Nie trzeba by było również tęgiego umysłu, aby rozszyfrować, z kim byłam. Zwłaszcza że Tamlin miałby ślady farby na dłoniach. Wolałam nawet myśleć o tym, jaką karę mogłaby wymyślić królowa.

Niezależnie od motywów czy metod Rhysand utrzymywał mnie przy życiu. W zasadzie zaczął to robić, jeszcze zanim pojawiłam się pod Górą.

– Powiedziałem ci już zbyt wiele – stwierdził, podnosząc się. – Może powinienem był cię najpierw odurzyć. Gdybyś była sprytna, znalazłabyś sposób na wykorzystanie tej wiedzy przeciwko mnie. Gdybyś miała jakiegokolwiek skłonności do okrucieństwa, poszłabyś teraz do Amaranthy i wyznała jej wszystko. Może w nagrodę oddałaby ci twojego Tamlina. – Wsunął dłonie do kieszeni czarnych spodni i zaczął rozplýwać się w cieniu. W krzywiznie jego ramion dostrzegłam coś, co sprowokowało mnie do odezwania się.

– Kiedy uleczyłeś moją rękę... Nie musiałeś się ze mną targować. Mogłeś wręcz zażądać całego roku. – Ściągnęłam brwi, gdy się obrócił, już w połowie przemieniony w ciemność. – Mogłeś zażądać każdego tygodnia mojego życia aż do śmierci, a ja i tak bym się zgodziła. – Nie było to właściwie pytanie, ale musiałam znać odpowiedź.

Na jego zmysłowych ustach pojawił się lekki uśmiech.

– Wiem – powiedział.

I zniknął.

## Rozdział 43

W dniu ostatniego zadania otrzymałam z powrotem moje stare ubranie. Tunika i spodnie były porwane i śmierdzące, ale nie zważałam na to i szłam do sali tronowej z uniesioną wysoko głową.

Drzwi stanęły otworem i wkroczyłam do środka, witana całkowitą ciszą. Czekałam na wiwaty i okrzyki, czekałam na błysk złota towarzyszący zakładom, ale tym razem zebrane istoty tylko spoglądały na mnie w milczeniu, przy czym te zamaskowane szczególnie intensywnie.

Rhys powiedział, że los ich świata spoczywał w moich rękach, ale w moim odczuciu na ich twarzach wypisane było coś więcej niż tylko zmartwienie. Część z nich dotykało palcami ust i wyciągało dłoń w moją stronę. Był to gest oddawania czci poległym; pożegnanie tych, którzy zginęli chwalebną śmiercią. Przełknęłam z trudem ślinę. Nie było w tych gestach żadnej złośliwości. Większość tych fae należała do dworów książąt, których ziemie i których istnienie Amarantha zagarnęła na własność. A jeśli Tamlin i Rhysand cały czas dokładali starań, aby utrzymać nas wszystkich przy życiu...

Szłam szpalerem czarodziejskich istot, prosto w stronę Amaranthy. Królowa uśmiechnęła się, gdy stanęłam u stóp jej tronu. Tamlin zajmował swoje zwyczajowe miejsce przy jej boku, ale powstrzymałam się od spojrzenia na niego. Jeszcze nie teraz.

– Za tobą już dwie próby – przemówiła Amarantha, strzepując niewidzialny pyłek ze swojej krwistoczerwonej sukni. Jej włosy lśniły, gotowe przyćmić blask złotej korony wieńczącej głowę królowej. – Przed tobą ostatnia. Zastanawiam się, czy skoro udało ci się zająć tak daleko, porażka będzie dla ciebie tym bardziej gorzka. – Wyduła wargi. Obie wyczekiwałyśmy salw śmiechu zebranych fae.

Ale roześmiało się tylko kilku czerwonoskórych strażników. Wszyscy pozostali zachowali milczenie, nawet żałośni bracia Luciena, nawet Rhysand, gdziekolwiek krył się w tłumie.

Zamrugałam, aby pozbyć się pieczenia z oczu. Może podobnie jak w przypadku Rhysanda ich wiernopoddańcze przysięgi, zakłady o moje życie i złośliwe docinki były tylko na pokaz. Może teraz, gdy zbliżał się mój koniec, oni też postanowili być jego świadkami z tą resztką godności, jaka im jeszcze pozostała.

Amarantha posłała w stronę zebranego tłumu wściekle spojrzenie, lecz gdy skierowała wzrok na mnie, uśmiechała się szeroko i z przemożną słodyczą.

– Jakież ostatnie słowa przed śmiercią?

Przyszły mi na myśl różnorodne przekleństwa, ale odrzuciłam je wszystkie i spojrzałam na Tamlina. Nie zareagował w żaden sposób, zachowując kamienną twarz. Ileż bym dała za możliwość zajrzenia pod maskę, choćby na chwilę. Ale teraz wystarczyła mi zieleń jego oczu.

– Kocham cię – powiedziałam. – Niezależnie od tego, co ona o tym mówi; nawet jeśli jest to tylko moje nic nieznaczące ludzkie serce; nawet jeśli spalą moje ciało, wiedz, że cię kocham. – Wargi mi zadrżały, oczy zaszyły mgłą. Kilka ciepłych łez spłynęło po zimnych policzkach. Nie otarłam ich.

Żadnej reakcji. Nawet nie chwycił mocniej podłokietników tronu. Uznałam, że jest to jego sposób na przetrwanie tego, na sprostanie napięciu. Nawet jeżeli z tego powodu zakłuło mnie mocno w sercu. Nawet jeśli z powodu jego milczenia umierałam.

– Moja droga, będziesz miała szczęście, jeżeli zostanie z ciebie dość, aby było co spalić – powiedziała słodko Amarantha.

Wbiłam w nią wzrok i długo go nie odwracałam. Jej słowa nie wywołały serii wesołych

okrzyków, śmiechów ani wiwatów ze strony zebranego tłumu. W sali tronowej panowała śmiertelna cisza.

Był to dar, który dodał mi odwagi, który pozwolił mi zacisnąć pięści, który sprawił, że ostatecznie pogodziłam się z tatuażem na mojej lewej ręce. Uczciwie czy nie, do tej pory z nią wygrywałam, a gdy umrę, nie będę samotna. Nie zginę całkiem sama. O to jedynie mogłam prosić.

Amarantha wsparła brodę na dłoni.

– Nie udało ci się rozwikłać mojej zagadki, prawda? – Gdy nie odpowiedziałam, uśmiechnęła się. – Szkoda, odpowiedź jest taka cudowna.

– Miejsy już to z głowy – warknęłam.

Amarantha spojrzała na Tamlina.

– Nie masz dla niej żadnych ostatnich słów? – zapytała, unosząc jedną brew. Gdy książę w żaden sposób nie zareagował, wyszczerzyła do mnie zęby. – Dobrze więc. – Zaklaskała dwukrotnie.

Otworzyły się boczne drzwi i strażnicy wciągnęli na salę trzy osoby – dwóch mężczyzn i kobietę – z zarzuconymi na głowy brunatnymi workami. Wprowadzeni zwrócili się w stronę tronu, wyciągając nieco szyje, tak jakby chcieli dosłyszeć nerwowe szepty odbijające się echem od wysokiego sufitu. Gdy strażnicy doprowadzili ich bliżej, kolana lekko się pode mną ugięły.

Bezceremonialnymi kuksańcami i popchnięciami czerwonoskórzy żołnierze zmusili całą trójkę do upadnięcia na kolana u stóp tronu, zwróconych jednak zasłoniętymi twarzami w moją stronę. Ich postura i ubiór nie zdradzały, kim mogą być.

Amarantha ponownie zaklaskała i obok każdego z klęczących stanął odziany w czerni służący. Każdy z nich trzymał w smukłych białych dłoniach poduszkę z ciemnego aksamitu. Na każdej poduszce leżał wypolerowany gładko drewniany sztylet. Ich ostrza nie były metalowe, lecz jesionowe. Jesion...

– Twoim ostatnim zadaniem, Feyro – oznajmiła Amarantha, przeciągając każdą sylabę i wskazując klęczących – będzie dźgnięcie każdego z tych nieszczęśników prosto w serce.

Patrzyłam na nią oniemiała, na przemian otwierając i zamykając usta.

– Są niewinni, ale to nie powinno stanowić dla ciebie problemu – ciągnęła dalej. – Wszak nie przeszkodziło ci to w zabiciu biednego żołnierza Tamlina. Tak samo nie przeszkodziło to drogiemu Jurianowi w zamordowaniu mojej siostry. Jeśli jednak masz jakieś opory... Cóż, zawsze możesz odmówić. Oczywiście jeżeli nie wykonasz tego zadania, odbiorę ci życie. Umowa to umowa, czyż nie? Jednak moim zdaniem, skoro już więcej niż raz mordowałeś fae, to ofiarowuję ci właściwie prezent.

Odmówić i zginąć. Zabić trzy niewinne istoty i przeżyć. Trzy niewinne życia w zamian za moją przyszłość, za moje szczęście. Za Tamlina i jego dwór, za wyzwolenie całego Prythianu.

Ostrza doskonale naostrzonych sztyletów zostały wypolerowane z taką pieczołowitością, że aż mieniły się w świetle kandelabrow z barwionego szkła.

– No i? – zapytała królowa. Uniosła dłoń, aby oko Juriana mogło dobrze się przyjrzeć mnie i jesionowym sztyletom. – Nie chciałabym, abyś to przegapił, stary przyjacielu – zamruczała do pierścienia.

Nie mogłam. Nie mogłam tego zrobić. To nie było polowanie. Nie zabiję ich w samoobronie czy walcząc o przetrwanie. To będzie morderstwo z zimną krwią. Zabiję tę trójkę, a wraz z nimi umrze moja dusza. Ale dla Prythianu, dla Tamlina, dla wszystkich zebranych w tej sali, dla Alis i jej siostrzeńców... Żałowałam, że nie znałam imienia żadnego z naszych zapomnianych bogów, abym mogła pomodlić się do niego lub do niej o interwencję. Żałowałam, że nie znałam żadnych modlitw o pomoc w podjęciu decyzji, czy choćby



o odkupienie.

Nie znałam ani modlitw, ani imion bogów. Znałam tylko imiona tych, którzy pozostaną zniewoleni, jeśli nic nie zrobię. Wymieniłam w myślach ich wszystkich, chociaż okropność tego, do czego mnie zmuszano, powoli mnie pochłaniała. Za Prythian, za Tamlina, za ich świat i mój... Ich śmierć nie pójdzie na marne, nawet jeśli będę z tego powodu przeklęta na wieki.

Zrobiłam krok w stronę pierwszej postaci – był to najdłuższy i najtrudniejszy krok w całym moim życiu. Trzy życia w zamian za wyzwolenie Prythianu. Trzy życia, które nie zostaną odebrane na próżno. Mogłam to zrobić. Mogłam to zrobić nawet na oczach Tamlina. Mogłam się zdobyć na to poświęcenie. Mogłam poświęcić ich... Mogłam to zrobić.

Palce mi zadrżały, ale chwyciłam pierwszy sztylet. Jego rękojeść była chłodna i gładka, drewniane ostrze zaś cięższe, niż się spodziewałam. Amarantha kazała przygotować trzy sztuki, gdyż chciała, abym musiała trzykrotnie znieść okropność sięgania po broń. Pragnęła, abym naprawdę pokazała, że chcę ich zabić.

– Nie tak szybko. – Królowa zachichotała i strażnicy trzymający pierwszą klęczącą osobę zerwali jej worek z głowy.

Moim oczom ukazała się przystojna twarz młodego fae wysokiego rodu. Nie znałam go, nigdy dotąd go nie widziałam, ale w jego błękitnych oczach widziałam wyraźnie błaganie o litość.

– Tak lepiej – stwierdziła Amarantha i skinęła dłonią. – Możesz kontynuować, Feyro, złotko. Baw się dobrze.

Oczy młodzieńca miały kolor nieba, którego nigdy więcej nie zobaczę, jeśli nie zabiję klęczącego przede mną fae; kolor, którego już nigdy nie wyprę z myśli, którego nigdy nie zapomnę, niezależnie od tego, ile razy naniosę go na płótno. Potrząsnął głową i źrenice pochłonęły cały błękit, pozostawiając już tylko same białka. On też już nigdy nie zobaczy tego nieba. Ale było to prawdą także dla wszystkich pozostałych, jeśli ich zawiodę.

– Proszę – wyszeptał, strzelając wzrokiem od jesionowego sztyletu do moich oczu. – Błagam.

Dłoń mi zadrżała. Ścisnęłam mocniej rękojeść. Trójka fae – tylko tyle stało między mną a wolnością. Tylko tyle, a Tamlin będzie mógł rzucić się na Amaranthę. Jeśli zdoła ją zabić... „Nie na marne – zapewniłam samą siebie. – Nie na marne”.

– Nie – młodzian wyszeptał błagalnie, gdy wzniosłam ostrze. – *Nie!*

Wzięłam niepewny oddech, wargi mi zadrżały, a mnie samą opadł nagły lęk. Samo powiedzenie „przepraszam” nie wystarczy. Nigdy nie mogłam powiedzieć tego Andrasowi, a teraz... A teraz...

– *Błagam!* – wyjęczał, a w jego oczach zaślniły łzy.

Z tłumu zebranych dobiegł czyjś szloch. Za chwilę miałam odebrać komuś bliskiego, którego kocha zapewne równie mocno, jak ja Tamlina.

Nie mogłam o tym myśleć. Nie mogłam roztrząsać tego, kim był młodzieniec. Nie mogłam rozmyślać o kolorze jego oczu. Musiałam odegnąć wszystkie te myśli. Amarantha szczyrzyła zęby w dzikim triumfalnym uśmiechu. Zabić fae, zakochać się w fae, po czym zostać zmuszoną do ponownego zabicia fae, aby zachować tę miłość. Genialne i okrutne zarazem. I ona o tym doskonale wiedziała.

Ciemność zafalowała w pobliżu tronu i chwilę później stał tam ze skrzyżowanymi ramionami Rhysand – tak jakby chciał lepiej widzieć całą sytuację. Twarz ukrył za maską obojętności, ale wnet poczułam mrowienie w lewej dłoni. „Zrób to” – powiedział tatuaż.

– *Nie* – załkał młodzian. Zaczęłam kręcić głową. Nie mogłam go słuchać. Musiałam to zrobić teraz, zanim mnie odwiedzie od podjętej decyzji. – *Błagam!* – zawył głośno.

Ten dźwięk wstrząsnął mną tak mocno, że szarpnęłam ramieniem.

Z urywanym szlochom wbiłam sztylet w serce klęczącego.

Gdy ostrze przecięło ciało i kość z taką łatwością, jakby było wykonane z najlepszego metalu, młodzian wrzasnął z bólu i zaczął się rzucać w uścisku strażników. Zapłakałam i wyrwałam sztylet z rany. Od chrzęstu jesionu o rozplątane kości moje ramię przeszył nieprzyjemny dreszcz, a gorąca lepka krew trysnęła z rany i poplamiała moją dłoń.

Patrzył na mnie z niedowierzaniem i nienawiścią, do samego końca przeklinając moje imię, po czym zwiśł beładnie w rękach strażników. Osoba łkająca w tłumie teraz zawyła boleśnie.

Zakrwawiony sztylet opadł z trzaskiem na marmurową posadzkę. Zatoczyłam się do tyłu o kilka kroków.

– Doskonale – powiedziała Amarantha.

Chciałam opuścić swoje ciało. Musiałam uciec od plamy tego, co zrobiłam. Musiałam się wydostać – nie mogłam znieść krwi na moich rękach, tego lepkiego ciepła między palcami.

– Teraz kolejna osoba. Och, Feyro, nie udawaj takiej nieszczęśliwej. Czy nie bawisz się wspaniale?

Zwróciłam się ku drugiej postaci. Jej twarz wciąż przesłaniał brunatny worek. Tym razem była to kobieta. Odziany w czerń służący podsunął mi poduszkę z nowym sztyletem, a strażnicy trzymający klęczącą zerwali worek z jej głowy.

Miała pospolitą twarz, a jej włosy były złocistobrązowe – takie jak moje. Po jej pucułowatych policzkach spływały łzy. Spojrzenie brązowych oczu śledziło ruch mojej zakrwawionej dłoni, gdy sięgałam po drugi sztylet. Czyste drewniane ostrze drwiło z krwi na moich palcach.

Pragnęłam upaść na kolana i błagać ją o przebaczenie. Chciałam jej powiedzieć, że jej śmierć nie pójdzie na marne. Chciałam to zrobić... Ale przez moje ciało biegła tak szeroka rozpadlina, że ledwie czułam własne dłonie i bicie rozdartego na strzępy serca. Cóż ja uczyniłam...

– Niech Kocioł mnie ocali – zaczęła szeptać równym, cudownie melodyjnym głosem. – Niech Matka ukoi mnie w swoich objęciach – ciągnęła, recytując modlitwę bardzo podobną do tej, którą słyszałam już wcześniej, gdy Tamlin ukrócił cierpienia fae, którego przyniósł konającego do rezydencji. Kolejna ofiara Amaranthy. – Powiedz mi ku sobie. – Nie mogłam się zdobyć na uniesienie sztyletu. Nie mogłam uczynić kroku, który by mnie przybliżył do klęczącej. – Niech dane mi będzie przekroczyć wrota i odetchnąć nieśmiertelną krainą mlekiem i miodem płynącą.

Ciche łzy spłynęły po mojej twarzy i szyi, aby ostatecznie zwilżyć brudny kołnierz tuniki. Słuchając jej słów, wiedziałam, że mi na zawsze zostanie wzbroniony wstęp do tej krainy, o której mówiła. Wiedziałam, że do jakiegokolwiek „matki” się modliła, nigdy nie ukoi mnie ona w swoich objęciach. Ocalając Tamlina, skazywałam na potępienie siebie.

Nie mogłam tego zrobić. Nie mogłam drugi raz unieść sztyletu do ciosu.

– Pomóż mi nie lękać się zła – szeptała klęcząca, patrząc na mnie, spoglądając w głąb mnie, zaglądając mi w duszę, która właśnie pękała na dwoje. – Pozwól mi nie odczuwać bólu. Zaszlochałam.

– Przepraszam – jęknęłam.

– Pozwól mi odejść w pokoju ku wieczności – dokończyła szeptem.

Spłynęło na mnie zrozumienie i zapłakałam rzewnie. Mówiła: „Zabij mnie. Zrób to szybko. Zrób to tak, aby mnie nie bolało. Zabij mnie teraz”. Patrzyła na mnie pewnie, może wręcz z jakimś żalem. Było to nieskończenie gorsze do zniesienia od błagań martwego już fae

leżącego teraz obok niej.

Nie mogłam tego zrobić.

Ona jednak cały czas patrzyła mi w oczy i powoli skinęła głową.

Gdy uniosłam jesionowy sztylet do ciosu, coś we mnie rozpadło się na tak drobne kawałki, że nie mogłam liczyć, iż kiedykolwiek da się to naprawić. Nieważne, ile upłynie lat; nieważne, ile razy spróbuję namalować jej twarz.

W tłumie zapłakało tym razem wiele osób. Jej krewni. Jej przyjaciele. Sztylet bardzo mi ciążył w dłoni, mojej dłoni: lśniącej, pokrytej krwią pierwszego nieszczęśnika.

Bardziej honorowo byłoby odmówić. Umrzeć, ale nie musiec mordować niewinnych. Ale... Ale...

– Pozwól mi odejść w pokoju ku wieczności – powtórzyła, unosząc głowę. – Nie lękaj się zła – wyszeptala tylko do mnie. – Nie odczuwaj bólu.

Chwyciłam jej delikatne, kościste ramię i wbiłam sztylet prosto w serce.

Nabrała gwałtownie powietrza. Krew trysnęła na ziemię niczym krople czerwonego deszczu. Gdy ponownie spojrzałam na jej twarz, miała już zamknięte oczy. Osunęła się na posadzkę i już więcej nie poruszyła.

Udałam się gdzieś daleko, daleko od siebie samej.

Tłum zafalował, tu i ówdzie trwały gorączkowe rozmowy przyciszonymi głosami, wiele osób płakało. Upuściłam sztylet. Stuk jesionu o marmur był w moich uszach głośnym rykiem. Dlaczego Amarantha wciąż się uśmiechała? Przecież już tylko jedna osoba stała między mną a wolnością... Zerknęłam na Rhysanda, ale on całą swoją uwagę poświęcał królowej.

Ostatni fae i będziemy wolni. Jeszcze tylko jeden zamach ręki.

Może potem jeszcze jeden. Może zamachnę się jeszcze raz: w górę i do siebie, prosto we własne serce.

Przyniosłoby mi to wielką ulgę: zakończyć wszystko własną ręką i umrzeć, żeby nie musiec żyć z brzemieniem tego, co zrobiłam.

Trzeci służący podsunął mi poduszkę z ostatnim sztyletem. Już miałam po niego sięgnąć, kiedy strażnik zerwał worek z klęczącego przede mną mężczyzny.

Ręce opadły mi bezwładnie wzdłuż boków. Spoglądały na mnie zielone oczy nakrapiane kolorem bursztynu.

Warstwa po warstwie zawalił się cały mój świat, krusząc, miażdżąc i łamiąc wszystko. Przede mną klęczał Tamlin.

Obróciłam się gwałtownie i spojrzałam na tron stojący obok Amaranthy, na którym wciąż siedział mój książę. Królowa roześmiała się głośno i pstryknęła palcami. Siedzący obok niej sobowtór Tamlina zmienił się w attora, który uśmiechnął się złośliwie.

Wywiedziona w pole, ponownie oszukana przez własne zmysły. Powoli, z duszą coraz bardziej oderwaną od jaźni, odwróciłam się ponownie do Tamlina. Z jego oczu były tylko poczucie winy i żal. Zatoczyłam się do tyłu i niemal przewróciłam się o własne nogi.

– Coś nie w porządku? – zapytała Amarantha, przekrzywiając głowę.

– To nie... To nieuczciwe – wydusiłam z siebie.

Rhysand pobladł. Skóra jego twarzy przypominała papier.

– Nieuczciwe? – Amarantha bawiła się zawieszoną na szyi kością Juriana. – Nawet nie wiedziałam, że ludzie znają koncepcję „uczciwości”. Zabij Tamlina, a będzie wolny. – Jej uśmiech był najbardziej odrażającą rzeczą, jaką widziałam w całym swoim życiu. – A ty będziesz go miała tylko dla siebie.

Słowa uwięzły mi w gardle.

– Chyba że uważasz – ciągnęła dalej Amarantha – że bardziej właściwe będzie złożenie

w ofierze swojego życia. W końcu jaki byłby tego cel? Przeżyć tylko po to, żeby go stracić? – Jej słowa były niczym trucizna. – Wyobraź sobie te wszystkie lata, które chcieliście spędzić razem... Teraz wypełnione tylko samotnością. Tragiczna historia, doprawdy. Chociaż kilka miesięcy temu nienawidziłaś nas wystarczająco mocno, aby mordować nas z zimną krwią. Z pewnością otrząsniesz się z tego bez trudu. – Poklepała swój pierścień. – Ludzka kochanica Juriana tak właśnie zrobiła.

Oczy wciąż klęczącego Tamlina zapłonęły buntem.

– Tak więc – dodała Amarantha, choć już na nią nie patrzyłam. – Jak będzie, Feyro?

Zabić go i ocalić jego poddanych oraz własne życie. Albo zabić siebie i pozwolić im wszystkim dalej żyć jako niewolnicy Amaranthy; pozwolić jej i królowi Hybernii rozpętać ostateczną wojnę przeciwko ludziom. Tutaj nie mogłam się targować. Nie mogłam oddać żadnej części mnie, aby uniknąć konieczności podejmowania tego wyboru.

Wpatrywałam się w leżący na poduszce jesionowy sztylet. Alis miała rację: żaden człowiek nigdy nie wyszedł stąd żywy. I ja nie będę wyjątkiem. Jeśli miałabym choć trochę oleju w głowie, dźgnęłabym się w serce, zanim zdążą mnie pochwycić. Przynajmniej umrę szybką śmiercią i nie będę musiała znosić tortur, które z pewnością mnie czekały. Nie będę musiała znosić losu podobnego Jurianowemu. Alis miała rację. Ale...

Alis... Ona coś powiedziała... Coś, co miało mnie wspomóc. Ostatnia część klątwy. Ta, o której nie mogli mi powiedzieć. Ta, która miała mi pomóc... Prosiła, żebym słuchała uważnie. Żebym się *wsluchiwała* w to, co słyszę. Czyżbym już dowiedziała się wszystkiego, co jest mi potrzebne?

Powoli spojrzałam na Tamlina. Wspomnienia przesuwają mi się przed oczami, jedno po drugim, rozmyte smugi barw i słów. Tamlin był księciem Dworu Wiosny... W jaki sposób mi to pomagało? Wielki Rytuał został odprawiony... Nie.

Oszukiwał mnie cały czas... Skłamał co do celu zabrania mnie do jego rezydencji, a także co do wydarzeń zachodzących na jego ziemiach. Klątwa... Nie wolno mu było wyznać mi prawdy, ale przecież nie twierdził, że wszystko jest w porządku. Nie... Klamał i wyjaśniał mi wszystko tak, jak tylko mógł i potrafił. Na każdym kroku dawał mi wyraźnie do zrozumienia, że coś jest bardzo, bardzo nie tak.

Attor w ogrodzie... Ukryty przede mną tak samo dobrze jak ja przed nim. Ale to Tamlin ukrył mnie przed jego wzrokiem... Kazał mi nie ruszać się z miejsca i *zaprowadził* attora prosto do mnie, żebym mogła podsłuchać ich rozmowę.

Zostawił też otwarte drzwi do jadalni, gdy rozmawiał z Lucieniem o... Rozmawiali wtedy o klątwie, chociaż ja nie zdawałam sobie z tego sprawy. Prowadził rozmowy w takich miejscach, abym mogła go podsłuchać, ponieważ on *chciał*, abym podsłuchiwała.

Ponieważ chciał, żebym wiedziała. Żebym słuchała... Ponieważ zdobyta w ten sposób wiedza... Odtworzyłam w myślach każdą zasłyszaną wymianę zdań, obracając poszczególne słowa na wszystkie strony. Część klątwy, której nie rozumiałam. Ta, o której nie mogli mi powiedzieć wprost. Ale Tamlin chciał, żebym ją poznała...

„Pani nie wchodzi w układy, które nie są dla niej korzystne”.

Nigdy by nie zabiła kogoś, na kim jej najbardziej zależy. A zależało jej na Tamlinie równie mocno jak mnie. Ale jeśli go zabiję... Albo była przekonana, że się na to nie zdobędę, albo rozgrywała bardzo, bardzo niebezpieczną grę.

Rozmowa po rozmowie rozbrzmiewała echem w mojej głowie. Aż w końcu usłyszałam wyraźnie zasłyszane słowa Luciena i wszystko wokół zamarło. Wtedy w końcu rozumiałam.

Nie mogłam złapać tchu. Odtwarzałam zapamiętaną scenę, tę podsłuchaną wymianę zdań. Lucien i Tamlin rozmawiali w jadalni przy otwartych na oścież drzwiach, tak że każdy mógł ich

usłyszeć... Tak abym *ja mogła* ich usłyszeć.

„Jak na kogoś o kamiennym sercu wykazujesz ostatnio nadzwyczajną jego miękkość”. Spojrzałam na Tamlina, na jego pierś. Przywołałam kolejne wspomnienie. Attor w ogrodzie. Śmiał się.

„Chociaż serce masz z kamienia, Tamlinie, to zdecydowanie masz w nim też wiele lęku”. Amarantha nigdy nie zaryzykowałaby, gdyby istniał choć cień możliwości, że mogłabym go zabić. Zatem wiedziała, że nie mogę tego zrobić.

Ponieważ jego serca nie można przebić żadnym ostrzem. Ponieważ jego serce zostało zaklęte w kamień.

Poszukałam wzrokiem na jego twarzy potwierdzenia swoich domysłów, ale w jego oczach jaśniał tylko nieustępliwy bunt.

Może się myliłam, może to tylko takie ich zwyczajowe powiedzenie. Ale za każdym razem, gdy trzymałam Tamlina w objęciach... Nigdy nie czułam bicia jego serca. Byłam ślepa na wszystko aż do czasu, gdy rzeczywistość wymierzała mi siarczasty policzek. Ale nie tym razem.

To w ten sposób panowała nad nim i nad jego magią. To w ten sposób kontrolowała wszystkich księząt. Zmusiła ich do posłuszeństwa i uzależniła od swojej woli, tak jak uwiązała duszę Juriana do oka i kości.

Alis mnie przestrzegła, abym nikomu nie ufała. Ale ja ufałam Tamlinowi. Nawet więcej: ufałam sobie. Wierzyłam, że dobrze zapamiętałam zasłyszane słowa. Wierzyłam, że Tamlin był sprytniejszy od Amaranthy. Ufałam, że wszystko, co do tej pory poświęciłam, nie poszło na marne.

W sali tronowej zapadła niczym niezmacona cisza. Całą swoją uwagę skupiałam na Tamlinie. Olśnienie musiałam mieć wypisane na twarzy, ponieważ mój ksiązę zaczął szybciej oddychać i unióś głowę.

Zrobiłam krok w jego stronę. Potem kolejny. Miałam rację. Musiałam mieć.

Wzięłam głęboki oddech i chwyciłam rękojęść sztyletu. Mogłam się mylić. Mogłam się boleśnie, tragicznie mylić.

Ale gdy stanęłam nad Tamlinem z jesionowym sztyletem w dłoni, dostrzegłam na jego wargach lekki, błędzący uśmiezek.

Jednak istniał los, gdyż to właśnie on dopilnował, abym znalazła się we właściwym miejscu i we właściwym czasie, aby podsłuchać rozmowę Tamlina z Lucieniem. Ponieważ to los podpowiedział Tamlinowi, że oziębła, pełna sprzeczności dziewczyna, którą zaciągnął do swego domu, będzie tą, która przerwie kłótwę. To los utrzymywał mnie przy życiu aż do tej chwili, żeby się przekonać, czy słuchałam wystarczająco uważnie.

I oto był on – mój ksiązę, mój ukochany, klęczący przede mną.

– Kocham cię – powiedziałam i dźgnęłam.

## Rozdział 44

Tamlin krzyknął, gdy moje ostrze przebiło jego ciało i przecięło kości. Przez przepełnioną trwogą chwilę, gdy na moją dłoń popłynęła krew z rany, myślałam, że jesionowy sztylet przebije go na wylot.

Wtedy jednak usłyszałam stłumiony stuk i poczułam ból w dłoni, jak przy uderzeniu o coś twardego i nieustępliwego. Tamlin pochylił się w przód z pobladłą twarzą. Wyrwałam sztylet z jego piersi. Uniosłam ostrze do oczu. Krew spływała po wypolerowanym drewnie, ale czubek... Czubek był splaszony, jakby uderzony młotkiem.

Tamlin przycisnął dłoń do piersi i ciężko dyszał, ale widziałam wyraźnie, że rana już zaczęła się goić. Stojący teraz u stóp tronu Amaranthy Rhysand uśmiechał się od ucha do ucha. Królowa wstała.

Przez zebrany tłum przetoczył się niespokojny pomruk. Rozluźniłam palce i sztylet upadł ze stukiem na czerwony marmur.

Chciałam warknąć do Tamlina: „Zabij ją, teraz!”, ale on się nie poruszał, tylko dalej przyciskał dłoń do rany, z której wciąż sączyła się krew. Zbyt powoli, leczyl się zbyt powoli. A maska nadal tkwiła przytwierdzona do jego twarzy. „Zabij ją, szybko”.

– Wygrała – powiedział ktoś w ciżbie. – Uwolnij ich – zawołał ktoś inny.

Amarantha stała z białym jak papier obliczem, które powoli wykrzywiało się w nienawistnym grymasie, coraz bardziej przypominając pysk węża.

– Uwolnię ich, kiedy uznam to za stosowne. Feyra nie określiła, *kiedy* mam ich uwolnić. Powiedziała tylko, że mam to zrobić. Kiedyś. Może po twojej śmierci – dokończyła z podłym uśmiechem, zwracając się wprost do mnie. – Sądziłaś, że gdy przy okazji zagadki mówiłam o natychmiastowym zwróceniu mu wolności, będzie to miało zastosowanie również do prób? Głupia, głupia człeczyno.

Cofnęłam się przed nią, gdy zeszła z podestu z palcami zakrzywionymi niczym szpony. Oko Juriana kręciło się jak szalone w kryształach jej pierścienia; jego źrenica to rozszerzała się, to zwężała.

– Ty... – wysyczała do mnie. – Ty! – Wyszczrzyła lśniące zęby, które nagle zrobiły się bardzo ostre. – *Zabiję cię.*

Ktoś krzyknął. Nie mogłam się poruszyć, nie mogłam nawet uskoczyć, gdy coś o wiele potężniejszego od pioruna uderzyło mnie i posłało na podłogę.

– Zapłacisz mi za swoją bezczelność! – zawołała Amarantha. Przeszył mnie ból silniejszy niż cokolwiek, co kiedykolwiek czułam, a z gardła wyrwał się głośny krzyk.

Moje ciało uniosło się nad posadzką i uderzyło w nią z wielką siłą, łamiąc liczne kości. Moje zmysły zalała kolejna fala oślepiającego bólu.

– Wyznaj, że nie kochałaś go naprawdę, a cię oszczędzę – wydyszała Amarantha. Kątem oka, między łzami a białymi rozbłyskami bólu, widziałam, jak się do mnie zbliża. – Wyznaj, że jesteś tchórzliwą, kłamliwą, niestałą ludzką wywłoką.

Nie mogłam... Nie mogłam tego powiedzieć, nawet jeśli miała mnie zmiażdżyć o podłogę.

Rozrywała mnie od środka, ciskała z miejsca w miejsce, a ja już nie mogłam nawet wydać z siebie krzyku.

– Feyro! – krzyknął ktoś. Nie, nie ktoś... Rhysand.

Ale Amarantha wciąż się zbliżała.

– Sądzisz, że jesteś go warta? Księżca fae wysokiego rodu? Sądzisz, że zasługujesz na

cokolwiek, człeczyno? – Mój grzbiet wygiął się bardziej, niż powinien, i żebra pękały jedno po drugim.

Rhysand ponownie krzyknął moje imię. Krzyczał głośno, jakby naprawdę mu zależało, żebym przeżyła. Straciłam przytomność, ale ona mnie ocuciła. Chciała, żebym czuła wszystko, chciała, abym wyla za każdym razem, gdy pęknie kolejna kość.

– Czymże ty jesteś? Tylko błotem, kośćmi i karmą dla robaków. – Amarantha szalała. – Czymże ty jesteś w porównaniu z nami? Czymże jesteś, że uważasz się za godną jednego z nas?

Część zebranych zaczęła wznosić okrzyki zarzucające jej naginanie warunków umowy i domagające się uwolnienia Tamlina od klątwy. Niektórzy nazywali ją wprost oszustką. Przez mgłę zasnuwającą mi oczy dojrzałam Rhysanda kucającego przy Tamlinie. Jednak nie robił tego, by mu pomóc, lecz by chwycić...

– Jesteście wszyscy świniami. Podstępnyimi, podłymi świniami.

Mój szloch przerwał rozdzierający krzyk, gdy Amarantha kopnęła mnie w połamane żebra. I jeszcze raz. I jeszcze.

– Twoje śmiertelne serce nic dla nas nie znaczy.

Rhysand wstał, ściskając w dłoni zakrwawiony jesionowy sztylet. Skoczył na Amaranthę zwinny niczym cień, celując prosto w jej gardło.

Królowa uniosła rękę – nawet nie spoglądając w jego stronę – i odrzuciła go w tył falą białego światła.

Ból w moich żebrach ustał na chwilę wystarczająco długą, by ujrzeć, jak księżę Dworu Nocy pada na ziemię i wstaje, aby ponownie skoczyć na królową ze szponami wieńczącymi palce dłoni. Uderzył w niewidzialną barierę otaczającą Amaranthę. Ból w moim ciele zamigotał, gdy obróciła się do niego.

– Ty zdradziecki śmieciu – wysyczała pod adresem Rhysanda. – Jesteś równie podły jak te ludzkie bestie. – Jeden po drugim szpony cofały się z powrotem pod skórę, jakby wypchane siłą niewidzialnej dłoni, zostawiając na palcach krwawiące rany. Księżę zaklął szpetnie. – Planowałeś to od samego początku.

Kolejne uderzenie magii cisnęło go na ziemię. Następne uniosło go w powietrze i rzuciło na ścianę. Głowa Rhysanda uderzyła z głuchym trzaskiem o kamień. Sztylet wypadł z bezwładnych palców. Nikt nie ruszył mu z pomocą, gdy Amarantha ponownie uderzyła w niego całą swoją mocą. Czerwony marmur pękał w miejscach, w których opadał, tworząc ciemną pajęczynę pełną coraz bliżej mnie. Miotła nim jak szmacianą lalką. Rhys jęczał przejmująco.

– Przestań – wydusiłam z siebie. Wyciągnęłam dłoń, próbując chwycić ją za kostkę u nogi. Krew napłynęła mi do ust. – Proszę.

Rhys spróbował się podnieść na dygoczących ramionach. Krew skapywała mu z nosa na marmurową posadzkę. Spojrzał mi w oczy.

Łącząca nas więź naprężyła się i nagle przeskoczyłam do jego ciała, zobaczyłam siebie jego oczami – zakrwawioną, połamaną, z twarzą mokrą od łez.

Gdy Amarantha zwróciła się ponownie w moją stronę, wróciłam do siebie.

– Mam przestać? Przestać? Nie udawaj, że ci na nim zależy, człeczyno – warknęła melodyjnie i zgięła palec. Potężna siła wygięła mi plecy na skraj wytrzymałości kręgosłupa. Rhysand wykrzyczał moje imię. Obraz sali tronowej odpłynął gdzieś daleko.

Przed oczami przeleciały mi wspomnienia – kompilacja najgorszych chwil mojego życia, historia rozpacz i mroku. Gdy ujrzałam ostatnią stronę, zapłakałam. Przeogromny ból przeszywający moje ciało był gdzieś daleko, a ja spoglądałam na małego królika wykrwawiającego się na leśnej polanie, z moim nożem na gardle. Moja pierwsza ofiara. Pierwsze

życie, które odebrałam.

Umierałam z głodu, nie miałam innego wyjścia. Lecz później, gdy moja rodzina pożywiła się zdobycznym mięsem, wymknęłam się do lasu i zanosłam się płaczem przez długie godziny. Świadoma, że przekroczyłam pewną granicę, że na zawsze już splamiłam swoją duszę.

– Powiedz, że go nie kochasz! – wrzasnęła Amarantha. Krew na moich dłoniach była krwią tamtego królika. Krwią wszystkiego, co utraciłam.

Ale nie mogłam spełnić jej żądania. Miłość do Tamlina była ostatnią rzeczą, jaka mi pozostała. Jediną rzeczą, której nie mogłam poświęcić.

Między czerwonymi i czarnymi plamami tańczącymi mi przed oczyma pojawiła się czysta ścieżka prowadząca wprost do oczu mojego księcia. Oczu rozszerzonych strachem, gdy pełzył w stronę królowej, gdy przyglądał się mojej agonii, nie mogąc mnie ocalić, ponieważ jego rana wciąż się w pełni nie zagoiła, ponieważ ona wciąż więziła jego moc.

Amarantha nigdy nie zamierzała pozwolić mi przeżyć, nigdy nie zamierzała zwrócić mi wolności.

– Amarantho, przestań – błagał Tamlin, leżąc u jej stóp, przyciskając dłoń do wciąż krwawiącej rany w piersi. – Przestań! Ja... Przepraszam. Przepraszam za to, co powiedziałem wtedy o Clythii. Błagam cię.

Królowa zignorowała go, ale ja nie mogłam oderwać od niego wzroku. Oczy Tamlina były takie zielone – jak łąki na jego ziemiach. Ten kolor odegnał wszystkie zalewające mnie wspomnienia i przyćmił zło łamiące kolejne kości. Krzyknęłam ponownie, gdy moje kolana zatrzeszczały, grożąc pęknięciem, ale wtedy ujrzałam zaczarowany las i to popołudnie, kiedy leżeliśmy na trawie. Ujrzałam poranek, kiedy obserwowaliśmy wschód słońca, kiedy przez chwilę – jedną krótką chwilę – dane mi było skosztować prawdziwego szczęścia.

– Powiedz, że tak naprawdę go nie kochasz – wycedziła królowa. Moje ciało wygięło się jeszcze mocniej. Kolejne kości i ścięgna nie wytrzymały napięcia. – Przyznaj, że masz niestałe serce.

– Amarantho, błagam – jęknął Tamlin, krwawiąc na podłogę. – Zrobię, cokolwiek zechcesz.

– Z tobą policzę się później – warknęła na niego i posłała mnie w buchający ogień bólu.

Nie mogłam tego powiedzieć, nie mogłam dać jej tej satysfakcji, nawet jeśli miała mnie zabić. Jeśli to miał być mój koniec, niech tak będzie. Jeśli to ma być słabość, która mnie zgubi, przyjmę ją całym sercem. Jeśli to...

*I chociaż każdy cios mój góry kruszyć by pozwolił,*

*Gdy zabijam, robię to bardzo powoli...*

Tym właśnie były te trzy miesiące – powolnym, straszliwym konaniem. A przyczyną tego wszystkiego było uczucie, które żywiłam do Tamlina. Nie było na to leku – nie można było tego zniszczyć bólem, rozdzieleniem ani szczęściem.

*Lecz wzgardzona staję się potworem do pokonania trudnym*

Mogła mnie torturować, ile tylko chciała, ale nigdy nie zdoła zniszczyć tego, co czułam. Nigdy nie zdoła sprawić, aby Tamlin ją zechciał. Nigdy nie złagodzi bólu odtrącenia.

Świat pociemniał na skraju mojego widzenia, a ból nieco przytępsiał.



*Lecz ja błogosławieństwo swe daję tym, którzy wykażą dość odwagi.*

Tak długo przed tym uciekałam. Ale gdy się otworzyłam przed nim, przed moimi siostrami, był to sprawdzian odwagi równie trudny, co dowolna z prób Amaranthy.

– Przyznaj się, ty podła bestio – wysyczała królowa. Mogła wyłgać się z naszej umowy, ale co innego powiedziała w przypadku zagadki, obiecała natychmiastowe uwolnienie, niezależne od jej woli.

Ciepła krew wypełniła mi usta i zaczęła spływać mi na brodę. Spojrzałam ostatni raz na skrytą za maską twarz Tamlina.

– Miłość – wyszeptalam, podczas gdy cały świat walił się i znikał w bezkresnej ciemności. Amarantha wstrzymała na chwilę swoją magię. – Rozwiązaniem zagadki... – wydusiłam z siebie, krztusząc się własną krwią – jest... miłość.

Oczy Tamlina rozszerzyły się. Coś w moim kręgosłupie pękło już na zawsze.

## Rozdział 45

Byłam daleko, ale wciąż widziałam salę tronową. Spoglądałam jednak przez oczy kogoś innego; kogoś, kto wstał powoli ze strzaskanej, zakrwawionej posadzki.

Oblicze Amaranthy zwiotczało. Obok leżało moje ciało, rozciągnięte na ziemi twarzą w dół, z głową przekrzywioną na bok pod nienaturalnym kątem. W tłumie mignęła ruda czupryna. Lucien.

Z jego zdrowego oka płynęła strużka łez. Łkając, uniósł dłonie do twarzy i zdjął lisią maskę.

Okrutnie oszpecona twarz była przystojna mimo przecinającej ją blizny. Miał ostre, szlachetne rysy. Właściciel oczu, przez które obserwowałam całą scenę, skierował wzrok na Tamlina, który powoli obracał się w stronę moich zwłok.

Wciąż zasłonięta maską twarz księcia wykrzywiła się w istic zwierzęcym grymasie. Przeniósł wzrok na królową i zawarczał chrapliwie. Z palców dłoni wysunęły się pazury.

Amarantha cofnęła się kilka kroków od niego i od mojego ciała. Zdażyła tylko wyszeptać „proszę”, zanim rozbłysło jaskrawe, złote światło.

Królowa została odrzucona do tyłu i wgnieciona w przeciwległą ścianę. Tamlin zaryczał tak potężnie, że aż zadrżały posadzka, sufit i ściany, po czym rzucił się na moją zabójczynię. Zmienił postać na zwierzęcą szybciej, niż zdołałam to zarejestrować. W jednej chwili skakał fae, w drugiej po posadzce pędziło potężne cielsko pokryte futrem i uzbrojone w ostre pazury.

Amarantha nie zdażyła osunąć się na podłogę, gdy dopadł jej, chwycił za gardło i cisnął w bok. Kamień pękł od impetu.

Rzucała się, próbowała się bronić, ale nie była w stanie nic wskórać w obliczu szaleńczej szarży Tamlina. Zdołała go tylko zadrapać w bark. Ciemna krew zlepiła futro.

Attor i strażnicy ruszyli na pomoc królowej, ale drogę zagrodziła im grupa czarodziejskich istot, w tym kilkoro fae wysokiego rodu. Odrzucili z brzękiem maski na kamienną posadzkę i starli się z przeciwnikami. Amarantha zawyla, kopiąc Tamlina i rażąc go swoją mroczną magią, ale jego ciało spowijała niczym druga skóra powłoka złotego światła... Nie mogła go tknąć.

– Tam! – zawołał Lucien nad wzmagającym się chaosem.

W powietrzu zalśnił rzucony miecz, niczym stalowa gwiazda przecinająca nocne niebo.

Tamlin złapał rękojeść potężną łapą i wraził miecz prosto w czoło Amaranthy. Ostrze przeszło jej głowę na wylot i wbiło się głęboko w kamienną ścianę. Wrzaski królowej nagle umilkły.

Na koniec Tamlin zacisnął potężne szczęki na jej gardle i wyrwał je jednym szarpnięciem.

W sali zapadła całkowita cisza.

Dopiero gdy ponownie spojrzałam na moje połamane ciało, zrozumiałam, przez czyje oczy spoglądam. Ale Rhysand nie zbliżył się do moich zwłok. Ciszę przerwało ciężkie stąpanie łap, które po nagłym błysku światła przeszło w odgłos kroków. Bestia zniknęła, stając się na powrót mężczyzną.

Tamlin opadł na kolana. Na jego twarzy i tunice nie widać było śladu krwi Amaranthy.

Podniósł moje bezwładne, powykręcane ciało i przycisnął mocno do piersi. Nie zdjął maski z twarzy. W otworach na oczy wzbierały łzy, które skapywały na moją brudną tunikę. Od ścian odbiło się echem żalosne łkanie. Książę kołysał się w przód i w tył, głaszcząc moje włosy.

– Nie – wydyszał ktoś. Lucien, z mieczem zwisającym luźno z półotwartej dłoni.

Wokół Tamlina zebrało się wielu przedstawicieli fae wysokiego rodu. Przyglądali się rozpaczającemu księciu z wilgotnymi oczami.

Zapraǳęłam dostać się do Tamlina, dotknąć go, błagać o wybaczenie za to, co zrobiłam, za ciała innych leżące na podłodze... Ale byłam za daleko.

Ktoś stanął obok Luciena – wysoki, przystojny brunet o twarzy bardzo podobnej do Tamlinowego posła. Ten nawet nie spojrział na ojca. Zesztywniał, gdy ksiąǳę Dworu Jesieni podszedł do Tamlina i wyciągnął do niego zaciśniętą dłoń.

Tamlin uniósł wzrok, dopiero gdy stojący przy nim ksiąǳę rozwarł palce i przechylił dłoń wierzchem do góry. Na moje ciało opadła migocząca iskra. Gdy dotknęła mojej piersi, rozbliła jasnym światłem i zniknęła.

Podeszły dwie kolejne osoby – obie młode i przystojne. Oczy Rhysanda natychmiast je rozpoznały. Ciemnoskóry mężczyzna po lewej był ubrany w niebiesko-zieloną tunikę, a na jasnych blond włosach tkwił wieniec róż – był to ksiąǳę Dworu Lata. Jego blady towarzysz odziany był w biele i szarości, a na głowie miał koronę wykutą z lodu. Ksiąǳę Dworu Zimy.

Z uniesionymi głowami i ściągniętymi ramionami również oni upuścili na mnie migoczące iskry. Tamlin skinął im głową z wdzięcznością.

Kolejny fae wysokiego rodu podszedł i także obdarzył mnie kroplą światła. Jaśniał najbardziej ze wszystkich, a po złoto-rubinowym stroju rozpoznałam w nim księcia Dworu Świtu. Po nim przysła kolej na księcia Dworu Dnia, odzianego w biel i złoto. Jego ciemna skóra lśniła wewnętrznym światłem. Również i on podarował mi świetlistą drobinę, uśmiechnął się smutno do Tamlina i odszedł z powrotem w stronę tłumu.

Wtedy Rhysand postąpił naprzód, niosąc ze sobą odłamek mojej duszy. Tamlin spojrział na niego – na nas.

– Za to, co oddała – powiedział ksiąǳę Dworu Nocy, wyciągając rękę przed siebie – ofiarujemy jej dar, którego nasi przodkowie udzielili przed nią niewielu. – Urwał na chwilę. – Jesteśmy teraz kwita – dodał. Poczulaam, jak zatańczyła w nim iskierka tak typowego dlań humoru. Otworzył dłoń i ziarenko światła opadło na moje ciało.

Tamlin delikatnie odsunął mi z czoła zmatowiałe włosy. Jego dłoń lśniła jaśniej od wschodzącego słońca. Po chwili na środku jego dłoni wyrósł dziwny, lśniący pęk.

– Kocham cię – wyszeptał i pocałował mnie, kładąc dłoń na moim sercu.

## Rozdział 46

Wszystko było czarne, ciepłe i gęste. Atramentowe, ale obramowane złotem. Płynęłam, starając się wydostać na powierzchnię, gdzie czekał na mnie Tamlin, gdzie czekało na mnie życie. W górę, w górę, łaknąc powietrza. Złote światło stawało się jaśniejsze, ciemność przypominała teraz musujące wino. Łatwiej mi było w niej płynąć, łaskotanej unoszącymi się ku powierzchni bąbelkami, aż...

Nabrałam łapczywie powietrza.

Leżałam na zimnej podłodze. Nie czułam bólu, nie krwawiłam, wszystkie kości były całe. Zamrugałam. Nade mną wisiał kandelabr. Nigdy wcześniej nie zauważyłam, jak misternie wyrzeźbione były tworzące go kryształki. Nie zwróciłam uwagi, jak odbijało się od niego echo przyciszzonego pomruku otaczającego nas tłumu. Tłumu... To znaczyło, że wciąż znajdowałam się w sali tronowej. Że... Naprawdę żyłam. To znaczyło, że... Zabiłam tych... Ja... Ściany i sufit zawirowały.

Z jękiem oparłam dłonie na podłodze i przygotowałam się do powstania, ale... Zamarłam, gdy spojrzałam na swoją skórę. Lśniła dziwnym światłem, a oparte o marmur posadzki palce wydawały się dłuższe i smuklejsze. Dźwignęłam się na nogi. Czułam... czułam się silna, zwinna i smukła. I jeszcze...

Stałam się jedną z fae wysokiego rodu.

Zeszytniałam, gdy wyczułam Tamlina stojącego obok mnie, gdy poczułam bijącą od niego woń deszczu i wiosennej łąki. Zapach zdawał się bogatszy niż kiedykolwiek wcześniej. Nie mogłam się obrócić, aby na niego spojrzeć. Nie mogłam... Nie mogłam się poruszyć. Fae wysokiego rodu... Nieśmiertelna. Co oni zrobili?

Usłyszałam, jak Tamlin wstrzymuje oddech, a potem wzdycha z ulgą. Słyszałam westchnienia, szept, szlochy i ciche wiwaty wszystkich zebranych w sali. Wciąż przyglądających się nam, przyglądających się *mnie*. Niektórzy wysławiali wspaniałą moc swoich ksiąg.

– To był jedyny sposób na przywrócenie ci życia – powiedział cicho Tamlin. Gdy spojrzałam na ścianę, uniosłam dłoń do ściśniętego nagle gardła. W okamgnieniu zapomniałam o oszołomionym tłumie fae.

Pod rozkładającym się ciałem Klary tkwiła – z otwartymi ustami, przygwożdżona do kamienia mieczem Luciena – Amarantha. W miejscu jej gardła ziała poszarpana dziura. Cały przód sukni miała przesiąknięty własną krwią.

Amarantha nie żyła. Wszyscy byli wolni. Ja byłam wolna. Tamlin był...

Amarantha nie żyła. A ja zabiłam dwójkę fae. Ja...

Pokręciłam powoli głową.

– Czy ty... – Mój własny głos zdawał się zbyt głośny. Odepchnęłam ścianę czerni, która groziła pochłonięciem mnie.

Amarantha nie żyła.

– Sama zobacz – odparł. Utkwiłam wzrok w posadzce i obróciłam się.

Na czerwonym marmurze leżała złota maska, wpatrując się we mnie pustymi wycięciami na oczy.

– Feyro – odezwał się Tamlin i ujął mnie za brodę, aby delikatnie unieść twarz. Najpierw ujrzałam znajomy podbródek, następnie linię ust, a potem...

Był w każdym calu taki jak w moich snach.

Uśmiechnął się do mnie. Całe oblicze jaśniało mu tą cichą radością, którą tak mocno

pokochołam. Przesunął dłoń i odgarnął na bok kosmyk moich włosów. Chłonełam dotyk jego palców na skórze i sama uniosłam dłoń, aby dotknąć jego twarzy, aby prześledzić kontur wysokich kości policzkowych, tego pięknego, prostego nosa, tego szerokiego czoła, tych lekko wygiętych brwi obramowujących te wspaniałe zielone oczy.

Cóżem zrobiła, żeby dotrzeć do tej chwili, by tu stać... Ponownie odepchnęłam tę myśl. Za chwilę, za godzinę, za dzień... Kiedyś rozważę to wszystko i zmuszę się do stawienia jej czoła.

Położyłam dłoń na sercu Tamlina. Jego równy rytm odbił się echem w moich kościach.

\*\*\*

Usiadłam na brzegu łóżka. Chociaż sądziłam, że nieśmiertelność wiąże się z większą odpornością na ból i szybszym leczeniem, wiele razy się skrzywiłam, gdy Tamlin badał kilka wciąż gojących się ran, aby następnie wspomagać ich leczenie. W godzinach, które nastąpiły po śmierci Amaranthy – po tym, co zrobiłam dwojgu tamtych fae – ledwo mieliśmy parę chwil dla siebie.

Ale teraz, w tej cichej komnacie... Nie mogłam dłużej odwracać się od prawdy rozbrzmiewającej w mojej głowie z każdym oddechem.

Zabiłam ich. Zamordowałam. Nawet nie widziałam, jak zabierali ich ciała.

W chwilach po moim przebudzeniu w sali tronowej zapanował chaos. Attor i co podlejsze z czarodziejskich istot błyskawicznie się ulotnili, a razem z nimi bracia Luciena. Uczynili mądrze, ponieważ Lucien nie był jedynym, który chciał wyrównać stare rachunki. Rhysanda również nigdzie nie mogłam znaleźć. Niektórzy uciekli, inni zaczęli świętować, jeszcze inni tylko stali lub chodzili w tę i w tę z nieobecnyimi spojrzeniami oraz pobladyimi twarzami. Tak jakby oni również nie mogli uwierzyć w to, co się stało.

Jeden po drugim fae wysokiego rodu i poddani Tamlina podchodzili do niego, płakali, śmiali się radośnie, klękali przed nim, obejmowali go, całowali jego ręce, dziękowali mu... Dziękowali też *mnie*. Stałam nieco z tyłu za księciem i tylko kiwałam głową. Nie potrafiłam znaleźć słów, którymi mogłabym się do nich zwrócić, którymi mogłabym odpowiedzieć na ich wdzięczność – wdzięczność za zabicie dwójki niewinnych fae, aby ocalić ich wszystkich.

W tym rozgardiaszu do Tamlina podchodzili sprzymierzeni z nim książęta; w krótkich, pełnych napięcia rozmowach próbowali zaplanować kolejne posunięcia. Tam spotkał się również z Lucieniem i grupą fae wysokiego rodu z Dworu Wiosny, którzy przedstawili mi się jako strażnicy księcia... Lecz każde słowo, każdy oddech były dla mnie zbyt głośne; każdy zapach – zbyt silny; światło – zbyt jasne. Pozostawanie cały czas w bezruchu było łatwiejsze od poruszania się, od przystosowania się do tego dziwnego, silnego ciała, które miałam teraz w swoim władaniu. Nie mogłam nawet dotknąć włosów bez wzdrygnięcia się, tak obca wydawała mi się moja obecna powłoka.

Trwało to długo, aż wszystkie moje wyostrzone zmysły sprawiały wrażenie żywej rany. W końcu Tamlin dostrzegł mój nieobecny wzrok i moje milczenie. Ujął mnie za ramię i poprowadził labiryntem tuneli oraz korytarzy, aż w końcu dotarliśmy do zacisznej sypialni w odległej części podziemnego pałacu.

– Feyro – powiedział teraz, unosząc wzrok znad badanej nogi. Zdążyłam tak przywyknąć do jego maski, że dziwiłam się za każdym razem, gdy widziałam jego piękną twarz.

To... to za to zamordowałam tę dwójkę fae. Ich śmierć nie poszła na marne, ale jednak... Gdy się obudziłam, nie znalazłam na sobie ani śladu krwi. Tak jakby zyskanie nieśmiertelności, samo zachowanie życia dało mi prawo do zmycia ich krwi ze swoich rąk.

– Tak? – Mój głos brzmiał... cicho. Pusto. Powinnam spróbować... Postarać się brzmieć

radośniej, dla niego, z powodu tego, co się stało, ale...

Uśmiechnął się do mnie półgębkiem, tak jak to robił już wiele razy. Gdyby był człowiekiem, dochodziłby właśnie trzydziestki. Ale nie był – i ja też już nie.

Nie wiedziałam, czy ta myśl była radosna, czy raczej smutna.

Jednak nie to martwiło mnie najbardziej. Powinnam była błagać go o przebaczenie, błagać o przebaczenie rodziny i przyjaciół tych, których zabiłam. Powinnam paść na kolana i zapłakać ze wstydu z powodu tego, co uczyniłam...

– Feyro – powtórzył moje imię, opuszczając moją nogę na ziemię i stając przede mną. Musnął mój policzek wierzchem dłoni. – Jak ja ci się kiedykolwiek odwdzięczę za to, co zrobiłaś?

– Nie musisz – odparłam.

Niech tak to pozostanie. Niech ta ciemna, zatechła cela zaginie w odmętach pamięci. Niech twarz Amaranthy całkowicie zniknie z moich wspomnień. Nawet jeśli tych dwoje martwych fae, *ich* twarze zawsze już będą stawać mi przed oczami. Gdybym zdołała się kiedyś zmusić do ponownego chwycenia za pędzel, widziałabym tylko te dwa oblicza zamiast barw i światłocieni.

Tamlin ujął moją twarz w dłonie i nachylił się do mnie. Po chwili jednak odsunął się i chwycił moją lewą rękę – tę wytatuowaną. Zmarszczył brwi, przyglądając się wzorom.

– Feyro...

– Nie chcę o tym rozmawiać – wymamrotałam. Mój układ z Rhysandem. Kolejne drobne zmartwienie w porównaniu z płamą na mej duszy, z głębią ziejącej w niej dziury. Niemniej jednak nie wątpiłam, że wkrótce zobaczę Rhysa.

Tamlin wodził palcami po zawijasach tatuażu.

– Znajdziemy z tego jakieś wyjście – wymruczał i przesunął dłoń wyżej, na mój bark. Otworzył usta. Wiedziałałam, co chciał powiedzieć, jaki temat spróbuje poruszyć.

Ale ja nie mogłam o tym – o nich – rozmawiać. Jeszcze nie. Wyszepiałam więc: „później”, i objęłam stopami jego nogi, przyciągając go do siebie. Położyłam dłonie na jego piersi; wyczułam bicie serca pod skórą. Tego właśnie teraz potrzebowałam. Nie zmyje to znamienia tego, co zrobiłam, ale... Potrzebowałam jego bliskości, potrzebowałam czuć jego zapach i smak, potrzebowałam przypomnieć sobie, że był prawdziwy – że to wszystko jest prawdziwe.

– Później – powtórzył za mną i nachylił się, aby mnie pocałować.

Pocałunek był lekki, badający... W niczym nie przypominał tych mocnych, szalonych pocałunków w korytarzu za salą tronową. Ponownie musnął moje wargi swoimi. Nie chciałam żadnych przeprosin, nie chciałam współczucia ani troski. Chwyciłam przód jego tuniki i przyciągnęłam go jeszcze bliżej, rozwierając szerzej wargi.

Wydał z siebie cichy warkot. Wibrujący dźwięk rozpałił we mnie gwałtowny ogień. Pozwoliłam mu wypalić tę dziurę w mojej piersi, w mojej duszy. Pozwoliłam mu spalić na popiół tę falę czerni, która coraz mocniej na mnie napierała. Pozwoliłam mu pochłonąć fantomową krew, którą wciąż czułam na dłoniach. Poddałam się jego płomieniowi, poddałam się jemu, jego rękom błędzącym po moim ciele, rozpinającym guziki.

Odchyliłam się, odrywając usta od jego warg, aby spojrzeć mu w twarz. Jego oczy jaśniały pożądaniem, ale ręce przerwały swój taniec i spoczęły pewnie na moich biodrach. Nieruchomy niczym drapieźnik przed skokiem na ofiarę czekał i przyglądał mi się, podczas gdy ja wodziłam palcami po krzywiznach jego twarzy i całowałam każde dotykane miejsce.

Jego chrapliwy oddech był jedynym dźwiękiem, jaki słyszałam. Jego dłonie wkrótce wznowiły wędrówkę po moich plecach i bokach, pieszcząc, obiecując i obnażając mnie przed

nim. Gdy moje palce dotarły do jego ust, ukąsił jeden z nich i zaczął go ssać. Nie bolało, ale unieruchomił mój palec zębami na tyle nieustępliwie, że ponownie spojrzałam mu w oczy. Zrozumiałam, że miał już dość czekania. Tak jak i ja.

Położył mnie na łóżku, mrużąc moje imię, całując moją szyję, ucho, czubki palców dłoni. Popędziłam go – szybciej, mocniej. Jego usta błędziły po krągłości mojej piersi, wewnętrznej stronie ud.

Jeden pocałunek za każdy dzień rozłąki. Jeden pocałunek za każdą ranę, każdy lęk. Jeden pocałunek za każdy zawijas tatuażu na mojej skórze. Aż wreszcie jeden pocałunek za wszystkie dni, jakie spędzimy już razem. Dni, na które być może nie zasługiwałam. Ale poddałam się ponownie bużującemu we mnie ogniovi, rzuciłam się weń, w niego, i pozwoliłam płomieniom mnie spowić.

\*\*\*

Obudziłam się z uczuciem, jakby ktoś ciągnął za nitkę przywiązaną gdzieś głęboko w środku mnie.

Zostawiłam Tamlina śpiącego twardo po wyczerpującym wieczorze. Za kilka godzin opuścimy pałac pod Górą i wrócimy do domu. Nie chciałam go więc budzić wcześniej, niż potrzeba. Modliłam się, aby dane mi było jeszcze kiedyś spać tak spokojnie.

Wiedziałam, kto mnie wzywa, jeszcze zanim otworzyłam drzwi na korytarz. Idąc, ciągle się potykałam i chwiałam, wciąż nieprzyzwyczajona do nowego ciała, do przesuniętego środka ciężkości, do odmiennych rytmów. Ostrożnie wspierałam się długimi, wąskimi schodami, aby ku memu zaskoczeniu dojrzeć światło słoneczne wlewające się na stopnie. Wkrótce potem znalazłam się na niewielkim balkonie wykutym w górskim zboczu.

Syknęłam z bólu, gdy oślepiła mnie nagła jasność. Osloniłam ręką oczy. Przez miesiące spędzone w ciemnościach podziemi całkowicie zatraciłam poczucie czasu. Sądziłam, że jest środek nocy.

Rhysand zachichotał cicho. Odwykła od dziennego światła ledwo dostrzegałam jego sylwetkę opartą o kamienną balustradę.

– Zapomniałam, że ostatni raz słońce widziałas dość dawno temu.

Światło kłuło mnie w oczy. Nie odezwałam się ani słowem, zanim nie zdołałam rozewrzeć powiek, nie narażając się na przeszywający ból głowy. Powitał mnie widok gór o ośnieżonych szczytach. Cały krajobraz tonął w odcieniach lawendy, ale zbocza Góry były brązowe i nagie – bez jednego źdźbła trawy czy kryształka lodu.

W końcu spojrzałam na Rhysanda. Nietoperze skrzydła leżały równo złożone na plecach, ale dłonie i stopy miał normalne, bez szponów.

– Czego chcesz? – Nie udało mi się zadać tego pytania tak ostro, jak zamierzałam. Po tym, jak walczył z Amaranthą, jak ją atakował raz po raz, aby mnie ocalić, nie potrafiłam już go tak mocno nienawidzić.

– Chciałem się tylko pożegnać. – Podmuchał ciepłego wiatru zmierzwił mu włosy i zwił kilka pasm ciemności z ramion. – Zanim twój ukochany uniesie cię stąd na zawsze.

– Nie na zawsze – odparłam, unosząc wytatuowaną dłoń i poruszając wymownie palcami.  
– Czyż nie masz tygodnia w każdym miesiącu? – Szczęśliwie to pytanie udało mi się zadać lodowatym tonem.

Rhys uśmiechnął się lekko. Skrzydła poruszyły się nieco, ale pozostały złożone.

– Jak mógłbym zapomnieć?

Przyjrzałam się nosowi, który zaledwie kilka godzin temu krwawił. Fioletowym oczom, które przepelniał ból.

– Dlaczego?– zapytałam.

Wiedział, o co mi chodziło. Wzruszył ramionami.

– Ponieważ gdy powstaną legendy, nie chcę zostać opisany jako ten, który stał z boku i tylko się przyglądał. Chcę, aby moi potomkowie wiedzieli, że byłem tam, że ostatecznie walczyłem z nią, choć nie na wiele się zdałem.

Zamrugałam ponownie; tym razem nie z powodu nadmiernej jasności słońca.

– Ponieważ – kontynuował, spoglądając mi w oczy – nie chciałem, abyś walczyła sama. Abyś zginęła sama.

Przez chwilę stanął mi przed oczami fae, który umarł w naszym holu, dla którego Tamlin zrobił to samo.

– Dziękuję – powiedziałam ze ściśniętym gardłem.

Rhys wyszczerzył zęby w uśmiechu, choć jego oczy pozostały poważne.

– Wątpię, czy to powtórzysz, gdy zabiorę cię na ziemie Dworu Nocy.

Zmilczałam tę uwagę i odwróciłam się przodem do balustrady, aby podziwiać krajobraz. Góry ciągnęły się jak okiem sięgnąć pod otwartym, czystym niebem – lśniące, rzucające długie cienie, olbrzymie.

Ale we mnie nic nie drgnęło, nic nie katalogowało gry światła i barw.

– Zamierzasz polecieć do domu?

Zaśmiał się wesoło.

– Niestety, zajęłoby mi to więcej czasu, niż mam. Kiedy indziej zakosztuję ponownie nieba.

Zerknęłam na skrzydła złożone za jego potężnymi barkami.

– Nigdy nie wspomniałeś, że lubisz te skrzydła – zauważyłam zachrypniętym głosem. – Albo latanie. – Pamiętałam, że mówił o swojej umiejętności zmiany kształtu jak o czymś... zwykłym, bezużytecznym, nudnym.

Wzruszył ramionami.

– Wszystko, co kocham, zawsze w końcu tracę. Bardzo niewielu osobom mówię o skrzydłach. Albo o lataniu.

Na jego bladą jak księżyc twarz wróciły już pewne barwy. Zastanawiałam się, czy zanim Amarantha zamknęła go na tak długo pod ziemią, był choć trochę opalony. Książę, który uwielbia latać – uwięziony w korytarzach pod górą. W jego fioletowych oczach wciąż czaiły się cienie, które nie należały do niego. Byłam ciekawa, czy kiedykolwiek zdoła się ich pozbyć.

– Jak się czujesz jako jedna z fae wysokiego rodu? – zapytał niespodziewanie cicho i uprzejmie.

Ponownie spojrzałam na górski krajobraz, zastanawiając się nad odpowiedzią. Może ponieważ byliśmy tu sami i nikt inny nie mógł mnie usłyszeć, może z powodu cieni w jego oczach, które będą już zawsze nawiedzały także mnie, powiedziałam:

– Jestem nieśmiertelną, która była śmiertelniczką. To ciało... – Spojrzałam na dłoń, tak czystą i lśniącą; drwina losu w świetle tego, co zrobiłam. – To ciało jest inne, ale to... – Położyłam dłoń na piersi, gdzie biło moje serce. – ...jest wciąż ludzkie. Może zawsze takie pozostanie. Jednak byłoby mi łatwiej żyć z tym... – Poczułam rosnącą gulę w gardle. – Łatwiej byłoby mi żyć z tym, co zrobiłam, gdyby moje serce również zostało odmienione. Może nie czułabym się wtedy taka winna. Może umiałabym uwierzyć, że ich śmierć nie poszła na marne. Może nieśmiertelność sprawi, że kiedyś to uczucie zniknie. Chociaż nie potrafię powiedzieć, czy chcę, by tak się stało.

Rhysand wpatrywał się we mnie przez dłuższą chwilę. Milczenie przeciągało się tak bardzo, że spojrzałam na niego pytająco.



– Ciesz się swoim ludzkim sercem, Feyro. Żałuj tych, którzy nie czują już nic. Nie potrafiłam mu wytłumaczyć, dlaczego mam wrażenie, jakby w mojej duszy ziała potężna dziura. I nawet nie chciałam. Dlatego też tylko skinęłam głową.

– Cóż, zatem żegnaj na razie – rzucił i rozprostował mięśnie szyi, sprawiając wrażenie, jakbyśmy nie rozmawiali o niczym ważnym. Skłonił mi się w pas (skrzydła zdążyły już zupełnie zniknąć) i zaczął się rozpląwać w cieniach, gdy... nagle cały zeszywniał.

Spojrzał na mnie dziko oczami rozszerzonymi strachem, rozdał nozdrza. Na jego twarzy wypisał się szok, czysty szok wywołany najwyraźniej czymś, co zobaczył na mojej twarzy. Zatoczył się do tyłu, autentycznie się zatoczył.

– Co się... – zaczęłam, ale nie dane mi było dokończyć, gdyż Rhysand zniknął. Zwyczajnie zniknął, a nie rozpląnął się swoim zwyczajem w cieniu, pozostawiając tylko rzeźkie górskie powietrze.

\*\*\*

Opuściliśmy z Tamlinem podziemne korytarze tą samą drogą, którą przybyłam – przez wąskie przejście głęboko pod Górą. Zanim wyruszyliśmy, fae wysokiego rodu z kilku dworów zniszczyli i zapieczętowali pałac Amaranthy. My wyruszyliśmy jako ostatni. Gdy precyzyjnie się przez szczelinę łączącą korytarz z jaskinią prowadzącą na ziemie Dworu Wiosny, Tamlin machnął ręką i kamienie trwale zagrodziły przejście za nami.

Wciąż nie mogłam się zdobyć na zadanie pytania o ciała tamtych dwojga fae. Może kiedyś, może wkrótce zapytam, gdzie została pochowana ta dwójka, spytam o ich imiona. Z zasłyszanych rozmów dowiedziałam się, że ciało Amaranthy zostało zabrane gdzieś i spalone, jednak kość i oko Juriana w tajemniczy sposób zaginęły. Chociaż bardzo pragnęłam jej nienawidzić, chociaż żałowałam, że nie dane mi było splunąć na jej płonące zwłoki... Rozumiałam, co nią kierowało. Była to bardzo mała jej część, ale ją rozumiałam.

Tamlin chwycił moją dłoń i ruszyliśmy przez mrok. Żadne z nas nie odezwało się ani słowem, nawet gdy pojawił się pierwszy promień słońca, nadając ścianie jaskini srebrzysty połysk. Jednak gdy w korytarzu pojaśniało i ociepliło się, przyśpieszyliśmy kroku i wkrótce stąpaliśmy po zielonej wiosennej trawie pokrywającej pagórki i dolinki jego ziem. Naszych ziem.

Owiał mnie ciepły wiatr niosący ze sobą woń dzikich kwiatów i pomimo dziury ziejącej w piersi, pomimo plamy na mojej duszy nie mogłam powstrzymać uśmiechu, który wykwitał na mojej twarzy, w miarę jak wspinaliśmy się na strome zbocze najbliższego wzgórza. Moje nowe nogi były dużo silniejsze od starych – ludzkich. Gdy dotarliśmy na szczyt, daleko mi było do zmęczenia, jakie z pewnością odczuwałabym po takiej wspinaczce przed przemianą. Tak samo jednak zaparło mi dech w piersiach, kiedy mój wzrok spoczął na rezydencji obrośniętej różanymi pnączami.

Dom.

Gdy czasem marzyłam w lochach Amaranthy o przyszłości, nigdy nie pozwoliłam sobie na rozmyślanie o tej chwili; nigdy nie pozwoliłam sobie na tak śmiałe marzenia. Ale udało mi się: doprowadziłam nas oboje do domu.

Ścisnęłam jego dłoń i oboje spoglądaliśmy w milczeniu na zabudowania, na stajnię, na ogrody. Gdzieś z terenów pałacowych dobiegał śmiech dwójki dzieci – prawdziwy beztrouski śmiech. Chwilę później dwie małe lśniące postacie wypadły na pole znajdujące się zaraz za ogrodem, krzycząc wniebogłosy. Goniła ich wyższa od nich, chichocząca osoba – Alis i jej siostrzeńcy. Bezpieczni i nareszcie niemuszający się ukrywać.

Tamlin objął mnie ramieniem, przyciągnął mocno do siebie i oparł twarz na mojej głowie. Wargi mi zdrząły i objęłam go w pasie.

Staliśmy w milczeniu na szczycie wzgórza, aż zachodzące słońce ozłociło dom, okoliczne pagórki i cały świat, a Lucien zawołał, że wieczerza jest gotowa.

Wyswobodziłam się z objęć Tamlina i pocałowałam go delikatnie. Jutro... Będziemy mieli jutro, a po nim – całą wieczność. Dość czasu, by zmierzyć się z tym, co zrobiłam, by stawić czoło temu, co rozerwałam w sobie na strzępy pod Górą. Ale teraz... Dziś...

– Chodźmy do domu – powiedziałam i ujęłam jego dłoń.

## Podziękowania

Szczerze mówiąc, niezbyt wiem, od czego zacząć te podziękowania, ponieważ przy powstawaniu tej książki przez wiele lat pracowało bardzo dużo osób. Pragnę przekazać moją dozą doznania wdzięczność i wyrazy miłości następującym osobom:

Susan Dennard, drugiej pilotce mojego myśliwca, mojej Siostrze Splotów, Leonardowi mojego Rafaela, Gusowi mojego Shawna, Blake'owi mojego Adama, Scottowi mojego Stilesa, Aragornowi mojego Legolasa, Izoldzie mojej Safi, Schmidtowni mojego Jenko, Senneth mojej Kiry, Elsie mojej Anny, Czarodziejce z Jowisza (albo Lunie!) mojej Czarodziejki z Księżyca, Mossowi mojego Roya, Martinowi mojego Seana, Alanowi Grantowi mojego Iana Malcolma, Brennanowi mojego Dale'a i Esqueleto mojego Nacho – nie mam bladego pojęcia, co bym bez Ciebie zrobiła. Albo bez naszych dowcipów, których nikt inny nie zrozumie. Nasza przyjaźń jest definicją wspaniałości – i jestem przekonana, że została zapisana w gwiazdach. (Jakieś tysiąc lat przed dinozaurami, jak mówi przepowiednia). Patrz również: Imhotep, Malutkie Filiżanki dla Malutkich Dłoni, *Oooooch, czyżby?*, Cryssals, Henry Cavill, Sam Heughan, Claaaassic Peg i wszystko, co tylko można, od Nacho Libre. Sarusan na zawsze.

Aleksowi Brackenowi, który był jednym z pierwszych przyjaciół, jakich zdobyłam w tej branży, i do dziś pozostaje jednym z najlepszych. Bywają chwile, kiedy wciąż mam wrażenie, jakbyśmy ledwo co skończyli college, podpisali umowy na pierwsze książki, zastanawiali się, co nas czeka... Tak się cieszę, że mogliśmy wspólnie odbyć tę szaloną podróż. Dziękuję Ci za wszystkie wspaniałe uwagi, za wielokrotne czytanie (tej książki i wielu innych) i za wspieranie mnie zawsze, ale to naprawdę zawsze. Nie potrafię ubrać w słowa, jak wiele to dla mnie znaczy. Dziękuję, że wierzyłeś w tę opowieść przez te wszystkie lata.

Biljanie Likic, która właściwie czytała to na bieżąco, w miarę jak pisałam kolejne rozdziały, pomagała mi ułożyć zagadki i limeryki, a także pomogła mi uzmysłwić sobie, że ta opowieść nie może całe moje życie leżeć w szufladzie. Gdy teraz widzę, jak sama wymiatasz, rozpiera mnie duma z Ciebie.

Mojej agentce, Tamar Rydzinskiej, która zaryzykowała z niepublikowaną dotąd dwudziestodwuletnią pisarką i na zawsze zmieniła moje życie jednym telefonem. Jesteś absolutnie najwspanialsza. Dziękuję za wszystko!

Cat Onder – cudownie się z Tobą współpracuje. To dla mnie zaszczyt mieć Cię za redaktorkę. Laurze Bernier – dziękuję Ci naprawdę mocno za pomoc w przekształceniu tej książki w coś, z czego jestem naprawdę dumna. Nie poradziłabym sobie z tym bez Twoich wspaniałych uwag.

Całej ekipie Bloomsbury z całego świata: nawet nie wiecie, jak bardzo się cieszę, że zdecydowaliście się przygarnąć ten cykl. Jesteście absolutnie najlepsi. Dziękuję Wam za wyteżoną pracę, entuzjazm i spełnienie moich marzeń. Nie mogłam trafić w lepsze ręce. Dziękuję, dziękuję i jeszcze raz dziękuję.

Dano Krokosowi, Erin Bowman, Mandy Hubbard i Jennifer Armentrout – dziękuję Wam za niesłabnące wsparcie w każdych okolicznościach. Nie wiem, co bym bez Was zrobiła.

Brigidzie Kemmerer, Andrei Maas i Kat Zhang, które przeczytały różne wstępne szkice tej opowieści i podzieliły się ze mną tak ważnymi uwagami i entuzjazmem. Jestem Waszą dłużniczką.

Elenie z NovelSounds, Aleksie z AlexaLovesBooks, Linnei z Linneart i wszystkim ambasadorom *Szklanego tronu*: dziękuję Wam wszystkim serdecznie za Wasze wsparcie i poświęcenie. Poznanie Was było niesamowicie pozytywnym przeżyciem i sprawiło mi

prawdziwą przyjemność.

Moim rodzicom: trochę mi zajęło zrozumienie tego, ale czuję się przeschczęśliwa, mając w Was moich najwierniejszych fanów – i będąc Waszą córką. Mojej rodzinie: dziękuję Wam za bezwarunkową miłość i niesłabnące wsparcie.

Annie, najwspanialszemu psu w historii czworonogich towarzyszy: będę Cię kochać zawsze i jeden dzień dłużej.

I na końcu mojemu mężowi Joshowi – ta książka jest dla Ciebie. Zawsze była, tak samo jak moje serce należało do Ciebie od chwili, kiedy Cię tylko zobaczyłam w pierwszym dniu zajęć integracyjnych na pierwszym roku college'u. Gdy się spojrzy na to, jak nasze losy w jakiś tajemniczy sposób splotły się, zanim jeszcze się spotkaliśmy, ciężko mi uwierzyć, że to nie było przeznaczenie. Dziękuję Ci za pokazanie mi, że prawdziwa miłość istnieje. Możliwość spędzenia życia z Tobą czyni mnie najszczęśliwszą kobietą pod słońcem.